

THOMAS

PERRY

Milczenie

ROZDZIAŁ 1

Nieduży neonowy szyld z napisem BANQUE już się nie palił. Wendy Harper włączyła alarm i pstryknęła wyłącznikiem. Sala pogrążyła się w ciemnościach, a ona zatrzasnęła wielkie frontowe drzwi i zamknęła je na klucz. Barman David oraz trzej ostatni pracownicy kuchni rozmawiali cicho, czekając na nią oparci o filary przy wejściu do starego budynku.

- Dziękuję wam wszystkim - rzuciła. - Erie i ja jesteśmy bardzo wdzięczni za wasz wysiłek dzisiejszego wieczoru.

Victor, Juan i Billy, trzej faceci z kuchni, wymamrotali coś nieśmiało w odpowiedzi i ruszyli w stronę swoich samochodów. David odprowadził ją na koniec parkingu, gdzie zostawiła swoje auto. Zdziwiła się, że ciągle jest tak gorąco, choć było już po trzeciej nad ranem. Pierzaste liście wysokich palm kokosowych trwały całkowicie nieruchome w spokojnym nocnym powietrzu i można było odnieść wrażenie, że asfalt wydycha z siebie żar, jaki zgromadził w ciągu dnia.

Zapaliła silnik i zamknęła wszystkie zamki. Cofnęła wóz, poczekała, aż David wsiądzie do swojego, i pomachawszy mu, wyjechała na La Cienega i skręciła w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca. Zerknęła często w

lusterko wsteczne, czasami dość raptownie. Kiedy zauważała jakiś samochód pojawiający się za nią na La Cienega z bocznej ulicy, nie spuszczała go z oczu, dopóki gdzieś nie skręcił i nie zniknął jej z pola widzenia.

7

Była wdzięczna pracownikom restauracji za cierpliwość. Wyglądało na to, że strzegą jej do późnej nocy. Erie i ja dziękujemy wam, pomyślała. Erie i ja. To była ta zasadnicza zmiana. Przez cały ten czas od otwarcia Banque -faktycznie przez te wszystkie lata, kiedy tkwiła w branży restauracyjnej - ona i Erie wracali do domu razem. Nie było dla niej ważne, czy jest trzecia po południu czy w nocy, ponieważ on zawsze był z nią. Dziś wyszedł o północy.

Kuchnia była już nieczynna, w barze jednak ciągle panował ruch i zgiełk, kiedy obchodziła salę, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku po zakończeniu podawania do stolików. Pomocnik kelnera otworzył drzwi do kuchni i przytrzymał je mężczyźnie niosącemu pojemnik pełen ciężkich naczyń. Za drzwiami zobaczyła ubranych na biało pomocników kucharza oraz Victora, podkuchennego, który zaczynał już szorować stoły i skrobać ruszt. Dojrzała też Erica. Zdjął już białą kurtkę i włożył niebieską koszulę z krótkimi rękawami.

Kiedy na niego patrzyła, nawet z daleka, było to jakby stał tuż obok i właśnie ją dotknął. Prawie czuła jego krótkie blond włosy, ostrzyżone niemal na jeża, a zarazem miękkie jak kocie futerko, lekko wilgotne po wielu godzinach wysiłku w nagrzanym, wypełnionym parą pomieszczeniu. Był wysportowany i silny, o głowę wyższy od każdego ze sprzątaczy, którzy się wokół niego uwijali. Oddalał się od niej. Kiedy

mijał Victora i Juana, uśmiechnął się do nich, poklepał po plecach i każdemu coś szepnął. Nie była w stanie odczytać słów z ruchu jego warg, ale mogła się domyślić, co mówi. Chociaż stawał się już znanym szefem kuchni, to przecież zaledwie parę lat temu zaczął od pomocnika kelnera i jeszcze nie zdążył o tym zapomnieć. Wahadłowe drzwi, przez które go widziała, zamknęły się.

Kiedy jechała do ich wspólnego domu, z każdą przecznicą odczuwała coraz większy niepokój. Wjechała z Bul-

8

waru na wijące się wśród wzgórz drogi i zaczęła węszyć niebezpieczeństwo, choć nie wiedziała, jaką formę może przybrać. Czy mógł jechać za nią jakiś samochód z wyłączonymi światłami? Ostatnie dwa tygodnie wracała do domu różnymi trasami i każdej nocy opuszczała restaurację o innej porze. To pewnie wina OHvii. Była z Wendy od otwarcia restauracji, przyjaźniła się z nią i trwała przy niej przez cały czas, ale ostatnio straciła zimną krew. Nieustannie przypominała Wendy, co może się wydarzyć, jak łatwo byłoby to zrobić i jak trudno byłoby temu zapobiec. Dwa tygodnie temu wyjechała.

Mijając domy w swojej okolicy, przyglądała się bacznie każdemu po kolei, szukając w nich najdrobniejszych zmian. W tej okolicy każdy dom był inny, niektóre miały dwa piętra i wrastały w stok wzgórza, innych niemal nie było widać za wysokimi żywopłotami. Kiedy pokonała ostatni zakręt, jej oczom od razu ukazał się dom, który niecały rok wcześniej kupili z Erikiem. Wtedy jedną z rzeczy, jakie jej się w tym domu podobały, była jego masywność, teraz jednak nie dawał jej poczucia bezpieczeństwa. Dzisiejszej nocy dom będzie tylko duży i pusty, w

większej części pogrążony w ciemności. Ale nie było innego miejsca, do którego mogłaby się udać.

Zwolniła i skręciła na podjazd. Niedawno kazała od frontu i z boku domu zainstalować automatyczne oświetlenie, które włączało się z nadejściem zmroku, ale rezultat nie był zadowalający. Przestrzeń pomiędzy jasnymi plamami światła z reflektorów wydawała się teraz wypełniona głębszą ciemnością. Musi pamiętać zrobić coś jutro w tej sprawie. Może powinno być więcej światła albo słabsze żarówki i dające bardziej rozproszone światło. Skarciła się za to, że ciągle wprowadza jakieś zmiany. Kiedyś ona i Erie zamierzali pozostać w tym domu na zawsze, ale wyszło inaczej.

Wstawiła auto do garażu i poszła do bocznego wejścia.

9

Podobały jej się drewniane żerdzie w stylu japońskim, które sterczały z okapu dachu. Przeniosła ten pomysł z ogrodzonego ogródka za restauracją, pomyślanego jako mała niespodzianka dla klientów, którzy wchodzili frontowym wejściem pomiędzy kolumnami korynckimi i przemierzali marmurową posadzkę bankowego westybulu.

Zbliżała się do drzwi pod jaśminowym pnączem i czuła, jak ogarnia ją jego zapach, którym przesiąknięte było powietrze. Opuściła wzrok na kółko z kluczami, żeby odnaleźć właściwy, i kiedy ponownie podniosła oczy, zobaczyła mężczyznę.

Wynurzył się z mroku pod altaną i widziała, że trzyma coś w ręce, a kiedy wziął zamach, rozpoznała, że to kij bejsbolowy. Osłaniając twarz ręką, odruchowo odchyliła się do tyłu, jednak mężczyzna nie mierzył w jej twarz.

Ból wybuchł w lewym udzie nad kolaniem, a kij wymiótł spod niej obydwie nogi. Upadła lewym biodrem na chodniczek i gdy usiłowała się odczołgać, drugi cios trafił ją w przedramię. Kiedy opadło, już wiedziała, że ma pogruchotane kości.

Teraz go zobaczyła: szerokie bary, ciemna sportowa kurtka, w przyćmionym świetle nieruchoma jak u posągu twarz.

- O co? - spytała. - O co chodzi?

Kij spadł ponownie, trafiając tuż poniżej biodra. Ból zasnuł jej oczy czerwoną mgiełką, która po chwili się rozwiała. Już wiedziała, że to dzieje się naprawdę. Że on ją okaleczy i że po następnym uderzeniu nie będzie już dla niej nadziei. Całkowicie unieruchomi ją i zabije. Znowu podniósł kij. Zebrała wszystkie siły, stanęła na nogi i próbowała pobiec, ale mogła jedynie żałośnie kuśtykać. Zrobiła trzy kroki, kiedy chwycił ją i pociągnął z powrotem.

Usiłowała się wyrwać, ale ścisnął ręką bluzkę na jej barku. Nie puszczając kija, szybko okręcił nią w kółko. Bluzka się rozerwała. Spory kawałek materiału pozostał

10

mu w ręce, a sam impet rzucił Wendy na wybetonowany podjazd. Tym razem znalazła się w samym środku kręgu światła lampy umieszczonej pod okapem domu.

Mężczyzna przykląkł, przycisnął ją kijem bejsbolowym i uniósł drugą rękę, wymierzając cztery szybkie ciosy w twarz i bark. Zawirowało jej w głowie. Poczula smak krwi i nie była w stanie jej wypluć, a jeszcze więcej krwi zalewało jej oczy. Przeszywał ją gorący pulsujący ból. Jej ręce były słabe i bezużyteczne.

Na tle silnego światła widziała tylko jego sylwetkę i zobaczyła, jak ponownie wznosi kij. Kiedy go opuszczał, szarpnęła się i obróciła na bok. Kij z głuchym dźwiękiem uderzył w beton obok jej głowy, odbił się i otarł o tył czaszki. Tym razem stanął nad nią okrakiem, podniósł kij wysoko ponad głowę. Wiedziała, że przy takim zamachu rozłupie jej czaszkę.

Świat zapłonął i rozświetlił się na nowo. Mężczyzna, dom za nim, beton przy jej twarzy, wszystko wyglądało jak w biały dzień. Napastnik spojrzął na ulicę i zniknął z jej pola widzenia. Słyszała jego coraz szybciej oddalające się kroki. Dotarł do niej trzask drzwi samochodu, jeszcze jeden, a potem głosy.

ROZDZIAŁ 2

Jack Till poprawił krawat i patrzył na paparazzich po drugiej stronie ulicy. Dotąd zachowywali się cicho i spokojnie, zerkając tylko czasami w stronę hotelu, teraz jednak powysiadali z aut i chodzili w tę i z powrotem, wlepiając wzrok we frontowe wejście do budynku. Zauważył, że popatrują też na siebie nawzajem. Byli rywalami, a co za korzyść ze zdjęcia, jeśli inni je też zdobyli. Jack miał szczęście, że Marina Fallows była tego wieczoru w hotelu na kolacji charytatywnej. Wyróżniła się w kilku epizodycznych rolach ważnych filmów, a świeże twarze zawsze stanowiły ulubioną zdobycz tabloidów. Zastanawiał się, co też brukowce z tego tygodnia napiszą o jej obecności w tym miejscu.

Fotografowie na chwilę zamarli, jakby coś usłyszeli, po czym ruszyli ławą, przesuając się w stronę drzwi frontowych, gdzie obok portiera i

chłopców od parkowania samochodów pojawiło się nagle kilku ciemno ubranych ochroniarzy. Po chwili dwie czarne limuzyny wypłynęły z parkingu za rogiem i przysunęły się do samego krawężnika.

Najwyraźniej przedstawienie we wnętrzu, gdzie była Marina Fallows, dobiegło końca, a teraz zaczynało się przedstawienie na zewnątrz. Drzwi się otworzyły i ukazała się w nich piękna młoda kobieta, ubrana w czarną wieczorową suknię bez ramiączek i skrzące się w świetle pantofle z odkrytymi palcami. Towarzyszył jej mężczyzna mniej

12

więcej w tym samym co ona wieku, w ciemnym garniturze, jakby wybrano go tak, żeby do niej pasował. Błysnęły flesze i Till po raz któryś w życiu zadziwił się, jakie drobne są w rzeczywistości niektóre aktorki, niewiele większe od dzieci. Błask fleszy stał się już ciągły, niczym światła stroboskopowe, fotografowie rozpychali się łokciami, żeby dostać się bliżej, pstrykali po trzy zdjęcia na sekundę. Dwóch stanęło przed maską pierwszej limuzyny, żeby zablokować jej drogę, podczas gdy ich koledzy biegli obok pary, wpychając im w twarze błyskające aparaty, dopóki tych dwoje nie znalazło się we wnętrzu auta i nie zatrzaśnięto drzwi.

Till całą uwagę skupił na wejściu. Zobaczył wychodzące dwie pary, potem trzecią, wszyscy w strojach wieczorowych. Wyjął z kieszeni wydrukowaną kartkę rozmiarów listu, przez chwilę przyglądał się bacznie zamieszczonemu na niej kolorowemu zdjęciu, po czym schowawszy ją, ruszył do przodu.

Miał metr osiemdziesiąt, czterdzieści dwa lata, szerokie bary i energicznie się poruszał. Ubrany był w ciemny garnitur, jak gdyby uczestniczył w którejś z imprez odbywających się w salach bankietowych

hotelu. Kiedy podchodził do frontonu budynku, paparazzi i ochroniarze zdawali się wyczuwać, że w ich własnym interesie najlepiej będzie założyć, że on nie ma nic wspólnego z ich wysiłkami, i w ogóle go nie zauważać.

Znalazł się przy krawężniku w momencie, kiedy trzecia para już tam czekała na podstawienie ich auta z parkingu. Mieli po trzydzieści kilka lat, kobieta była bardzo szczupłą blondynką, z piegami, które na jej ramionach i obojczykach zlewały się ze sobą, robiąc wrażenie opalenizny. Mąż był wysoki i w dobrej formie, twarz miał otwartą, chłopięcą, i brwi, które w świetle ulicznych latarni wyglądały jak białe. Kiedy ich mercedes podjechał do krawężnika, Till zwrócił oczy na szyję kobiety.

13

Z kieszeni marynarki wyjął mały aparat cyfrowy i zrobił zdjęcie.

Mężczyzna roześmiał się i uniósł rękę.

- Hej! My nie jesteśmy sławni!

- Przepraszam, to mój błąd - odparł Jack, nie zatrzymując się.

Kiedy zrównał się z parą, zobaczył, że kobieta odwraca się od niego i z dłonią przy szyi szepcze coś natarczywie do męża. Till przyspieszył kroku.

Mężczyzna ruszył za nim i dotknął jego ramienia.

- Przykro mi przyjacielu, ale muszę poprosić cię o ten film.

- Mnie też jest przykro. Nie dostaniesz go.

- W porządku, zapłacę. Moja żona nie chce, by robiono jej zdjęcia, a poza tym i tak go nie sprzedasz. Nie jesteśmy aktorami. - Wyjął

niewielki, miękki portfel i wyciągnął z niego banknot. - Setka pokryje koszty?

- Nie - powiedział Till. - Możesz jej powiedzieć, że film naświetliłem, czy co tam się teraz z nimi robi, ale nie mogę wziąć pieniędzy. Mam w tym aparacie zdjęcia, które mi są potrzebne, wobec czego nie mogę nic dla ciebie zrobić.

- Musisz. - Mężczyzna wyciągnął rękę, żeby chwycić aparat.

Lewa ręka Jacka uniosła się tak szybko, że wyglądało to, jakby czekała w powietrzu na rękę tamtego. Chwycił ją i wykręcił.

- Puść mnie. Puszczaj moją rękę!

- W porządku. - Till schował aparat do kieszeni i puścił rękę.

Mężczyzna cofnął się i wrócił pospiesznie z żoną do wejścia hotelowego. Trzymał już w ręku telefon komórkowy i ożywionym głosem coś do niego mówił. Jack widział przez szklane drzwi, jak kilkoro innych mężczyzn i kobiet zbiera się wokół tej pary. Trzech mężczyzn wyszło na zewnątrz i zrobiło kilka kroków w jego kierunku, ale wyglą-

14

dali na niezdecydowanych. Ich znajomy nie potrzebował ratunku, a Till najwyraźniej nie zamierzał uciekać. Wycofali się ku wejściu do hotelu, żeby patrzeć przez szklane drzwi na kolegę i jednocześnie mieć na oku Tilla.

Policyjny radiowóz przyjechał po pięciu minutach, zaparkował przy krawężniku za mercedesem tej pary, raz tylko zakołysawszy się na zużytych amortyzatorach. Wsiadło dwoje młodych policjantów. Kobieta była niska, ciemne włosy miała zwinięte w kok i w kamizelce kuloodpornej wyglądała na bardzo krępą, natomiast mężczyzna był wysoki i szczupły, jak koszykarz.

- Przepraszam - odezwał się policjant - czy pan Mason?

- Nie, nazywam się Jack Till. George Mason jest tam, za tymi drzwiami. Ten wysoki opalony blondyn.
- Panie władzo! Panie władzo! - George Mason wybiegł z hotelu przez szklane drzwi, a za nim jego żona i reszta towarzystwa. - Ten człowiek mnie zaatakował. Zrobił nam zdjęcie, a potem wykręcił mi rękę.
- Spokojnie - odezwała się policjantka. - Każdy będzie miał swoją szansę. - Zwróciła się do partnera. - Spisz skargę pana Masona. Ja porozmawiam z tym dżentelmenem.

Odprowadziła go kilka kroków na bok i zatrzymała się.

- Jesteś tym Jackiem Tillem, który kiedyś był gliną?
- Tak - odpowiedział.

Wyjął dowód tożsamości i pokazał go jej, ale policjantka nawet nie spojrzała.

- Wydawało mi się, że cię poznaję. Byłam w hollywoodzkiej komendzie, kiedy ty pracowałeś w tamtejszym wydziale zabójstw. Nazywam się Becky Salamone. Nie możesz mnie pamiętać, więc nie udawaj.
- Miło cię poznać.
- Co tutaj zaszło?
- Od przejścia na emeryturę pracuję jako prywatny detektyw. Obserwuję panią Mason prawie od tygodnia. Ona

15

i jej mąż, George, zgłosili, że we włamaniu do ich domu przed dwoma laty skradziono im naszyjnik. Oto okólnik firmy ubezpieczeniowej na ten temat. - Rozłożył kartkę i podał policjantce.

Becky Salamone wzięła ją od niego.

- Szafiry i brylanty. Ładne.

- Taa - powiedział Till. - Firma McLaren Life and Casualty wypłaciła im trzysta pięćdziesiąt tysięcy odszkodowania. A ona ma je dzisiaj na sobie.

- O? - Salamone rozejrzała się. - Gdzie ona jest?

Detektyw spojrzał w stronę wejścia do hotelu.

- Pewnie weszła do środka. Zrobiłem zdjęcie, zdenerwowała się, a jej mąż ruszył na mnie, żeby odebrać film.

Najpierw chciał mi zapłacić, potem wyrwać aparat. Nie mogłem mu na to pozwolić. - Wyjął aparat. - Jest cyfrowy. Możesz sobie obejrzyć to zdjęcie. - Odwrócił aparat w taki sposób, żeby mogła obejrzyć Masonów stojących przy swoim samochodzie.

Salamone porównała obraz z fotografią na okólniku.

- Świetne ujęcie.

- Objąłem też auto, żeby widać było markę i tablicę rejestracyjną - wyjaśnił Till. - Tego modelu jeszcze nie produkowano, kiedy zniknął naszyjnik.

- Zatrzymajcie go! - krzyknął Mason od wejścia do hotelu. - Będę go skarżył.

Policjantka Salamone oddała Tillowi aparat oraz okólnik i podeszła do grupki przed hotelem, wzięła na kilka sekund swojego partnera na bok, coś mu szepnęła, po czym wróciła do pozostałych.

- Pani Mason. Gdzie jest pani Mason? Blondynka wysunęła się do przodu.

- Wszystko widziałam. Ten człowiek...

- Pani Mason, czy nie miała pani wcześniej na sobie naszyjnika? - przerwała jej policjantka.
- Nie rozumiem.

16

Till pokazał jej zdjęcie firmy ubezpieczeniowej.

- Tego naszyjnika.

Pani Mason zaczynała blednąć.

- Nie, nie miałam tego na sobie. Nie mam takiego naszyjnika. Co to ma wspólnego z atakiem na mojego męża?

To niedorzeczne!

Detektyw zwrócił się *do* innych osób, które brały wcześniej udział w hotelowym przyjęciu.

- Czy ktoś z państwa widział dzisiejszego wieczoru panią Mason w naszyjniku?

Wyglądało na to, że nie rozumieją pytania. Mieli miny, jakby mówił do nich w obcym języku. Till odwrócił się lewym bokiem do grupy i niemal niezauważalnie mrugnął do policjantki.

- Pewnie nie mamy wyboru. Będziecie musieli prze szukać ich wszystkich i oskarżyć tę osobę, która go przy sobie ma.

Salamone miała nieprzenikniony wyraz twarzy. Skinęła lekko głową.

- Niech nikt nie próbuje się oddalić! - zawołał Till do grupy. - Za chwilę zjawią się dodatkowe patrole, żeby zabrać wszystkich na posterunek, gdzie policjanci spiszą zeznania pod przysięgą i przeprowadzą przeszukania osobiste. Za

kilka godzin większość z państwa będzie już wolna.

Teraz wyglądali na oburzonych, ale jedna z kobiet zaczęła się trząść, wreszcie się rozplakała. Spojrzała na panią Mason.

- Przykro mi, Brendo, ale nie mogę tego zrobić. Nawet dla ciebie. - Otworzyła torebkę, wyjęła naszyjnik pani Mason i wręczyła go funkcjonariuszce, trzymając tak, jakby był jadowitym wężem.

Następnego ranka detektyw udał się do swojego biura. Prawie zawsze stawiał samochód w podziemnym garażu apartamentowca, w którym mieszkał, po wschodniej

17

stronie Laurel Canyon, i ruszał pieszo do swojego biura przy Ventura Boulevard. Odległość nie była większa niż pół mili, a on lubił porozglądać się z poziomu ulicy i przy okazji porozmyślać.

Tego ranka czuł się świetnie. Firma ubezpieczeniowa już zareagowała na wiadomość, że odzyskano naszyjnik. Zapłacą mu dość, by w tym roku jego agencji detektywistycznej udało się wyjść niemal na czysto, choć od początku roku minęło dopiero sześć miesięcy. A kiedy poprzedniego wieczoru wrócił do domu, odsłuchał pocztę głosową i usłyszał wiadomość od Dana Mulroneya, detektywa z hollywoodzkiej komendy, że skierował do niego klienta, który zapewne pojawi się dzisiaj w jego biurze. Dopiero drugi rok pracował jako prywatny detektyw, a już zarysowała się szansa, że osiągnie jakiś zysk.

Zatrzymał się przy stoisku z prasą na rogu i kupił poranny „Los Angeles Times”, włożył go pod lewą pachę i mając słońce prosto w plecy, ruszył

bulwarem. Zahaczywszy po drodze o Starbucksa po kubek kawy, znalazł się wreszcie w budynku, w którym miał biuro. Na parterze piętrowego pawilonu mieściły się duży antykwariat oraz trzy sklepy - z kobiecymi ubraniami, upominkami i okularami. Między antykami a damskimi strojami znajdowało się wąskie wejście, tuż za drzwiami, na ścianie wisiała gablotka z listą biur na piętrze.

Biuro Tilla było pierwsze z prawej strony: pokój z biurkiem, telefonem, dwiema szafami na akta, kanapą, a wszystko to kupione u handlarza używanym wyposażeniem biurowym przy Sherman Way. Po lewej stronie korytarza znajdowały się trzy biura, zajmowane przez trzech młodych ludzi o ziemistych cerach, którzy przesiadywał w nich do późna i o dziwnych porach, nieustannie zakładając nowe spółki produkcji telewizyjnej. Detektyw wszedł po schodach z gazetą i kawą i zobaczył wspartą o drzwi młodą kobietę.

18

Była drobną blondynką, włosy miała delikatne i lśniące jak u dziecka, zabrało mu jednak dłuższą chwilę, żeby stwierdzić, jak naprawdę wygląda, ponieważ twarz miała pokrytą sińcami i zniekształconą opuchlizną. Jej wygląd przypominał mu twarze niektórych kobiet będących ofiarami zabójstw, jakie zdarzało mu się oglądać. Na jego widok odepchnęła się od drzwi i chwyciła laskę, której wcześniej nie zauważył. Oparła się na niej, żeby zejść mu z drogi i umożliwić otwarcie drzwi.

- Dzień dobry - powiedział. - Czeka pani na mnie? Jestem Jack Till.

-Tak.

-Wobec tego zapraszam do środka. - Domyślał się, o co może chodzić.

Musiała ucierpieć w wypadku drogowym. Pewnie jest jakaś sprawa sądowa, a ona chce go wynająć, żeby sprawdził tę drugą stronę. Postawił kubek, gazetę położył na biurku i ręką wskazał kanapę. - Proszę się rozgościć.

Popatrzyła sceptycznie na mebel.

- Ma pan może zwyczajne krzesło? Taka kanapa nie za bardzo posłuży mojemu kręgosłupowi.

Kiedy brał spod ściany krzeselko z prostym oparciem, przysunęła się do biurka i z początku pomyślał, że zerka w leżące na wierzchu akta, po czym zauważył, że wygląda przez okno wychodzące na Ventura Boulevard. Widział, jak jej źrenice wykonują maleńkie nerwowe ruchy, skupiając się to na tej osobie, to na innej. Była przerażona.

Doszedł do wniosku, że nie było żadnego wypadku. Postawił krzesło przed biurkiem.

- Kto pani to zrobił?

Rozłożyła ręce, jakby mu pokazywała sukienkę, ale domyślił się, że gestem tym chce wskazać pokiereszowaną twarz, okaleczone ciało.

- Mężczyzna. Właściwie dwaj mężczyźni. Chcą mnie zabić.

19

-Kto?

- Nie wiem, kim są.
- Czego pani ode mnie oczekuje... ochrony? Wykrycia ich?
- Proszę pomóc mi uciec.

Sześć lat później Jack Till wciąż pamiętał ten moment w swoim biurze,

kiedy to po raz pierwszy zobaczył Wendy Harper. Wysłuchawszy jej opowieści, zareagował tak, jakby dalej był policjantem. Próbował namówić ją, by postąpiła rozsądnie, zwróciła się do policji i pozwoliła, by oni ją chronili. Nie dawała za wygraną, podając mu powód, dla którego jej jedyną szansą na przeżycie było zniknięcie i przeniesienie się gdzie indziej: była już przecież na policji po tym bestialskim pobiciu i tam właśnie poradzono jej, żeby odwiedziła Jacka Tilla. W końcu uległ. Nauczył ją wszystkiego, co powinna wiedzieć o policyjnych metodach odnajdywania uciekinierów, zakładając, że ten, kto będzie jej szukał, nie będzie w tym tak dobry jak zawodowcy. Kiedy jej widoczne obrażenia się zagoiły, a on skończył ją uczyć, zostawił ją przy wejściu na lotnisko w innym mieście.

Przez pierwszy rok się niepokoił, przeglądał gazety, szukając jakiejś wzmianki o niej, liczył na to, że przeczyta, iż znaleziono jej ciało. Minęło kolejne pięć lat i nie usłyszał więcej o Wendy Harper.

Miał nadzieję, że to milczenie oznacza jedno: udało jej się.

ROZDZIAŁ 3

- Zrobisz to? - spytała.
- Ty to zrobisz - odparł.

Paul i Sylvie Turnerowie szli Broxton Avenue z leniwym wdziękiem długonogich ptaków brodzących. Oboje byli wysocy i szczupli, trzymali się prosto. Sylvie była ładna, miała gładką skórę i długie do ramion ciemne włosy, które teraz błyszczały w słońcu późnego popołudnia. Oboje

założyli okulary przeciwsłoneczne, ubrani byli w spodnie khaki i ciemne, szyte na miarę marynarki. Kiedy przechodzili obok okna wystawowego księgarni, jedynie Paul zerknął, żeby zobaczyć ich odbicie w szkłe. Lubił bywać w Westwood, ponieważ większość przechodniów stanowili studenci z UCLA, którzy nie zwracali szczególnej uwagi na parę w średnim wieku. Na wprost przed nimi, nad skrzyżowaniem, górował budynek starego kina o nazwie Regent.

Rozmawiali, co typowe dla takich par, nie patrząc na siebie.

- Dlaczego chcesz, żebym ja to zrobiła? - spytała.
- Po prostu chcę. Jest twoja kolej i wydaje mi się, że dobrze się poczujesz, kiedy to zrobisz. Chodzi mi wyłącznie o ciebie.
- Nieprawda - odparła. - Lubisz patrzeć, kiedy to robię.
- Może i lubię.

Przeszli na drugą stronę ulicy i Paul kupił bilety na

21

film, który miał się zacząć za pięć minut. Młoda kobieta wzięła od nich bilety w drzwiach, przedarła je i oddała połówki Paulowi. Bez słowa Sylvie i Paul rozdzielili się w holu i udali do kinowych toalet. Sylvie zebrała włosy w koński ogon i ściągnęła gumką. Kiedy wrócili do holu, nie mieli ani okularów przeciwsłonecznych, ani marynarek. Zajęli się oglądaniem afiszów zapowiadających kolejne atrakcje.

Po kilku minutach otworzyły się drzwi jednej z sal kinowych i tłum złożony z jakichś stu osób, w większości par mniej więcej w tym samym wieku i o podobnym do Turnerów wyglądzie, wysypał się do holu, a stamtąd na ulicę. Paul i Sylvie poczekali, aż kilka pierwszych par znajdzie się na słońcu i zaczną wciskać guziki telefonów komórkowych albo

grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu kwitków parkingowych. Wtedy wmieszali się w główną część grupy. Trzymali się w środku aż do drugiej strony ulicy i do budynku parkingu, gdzie minęli czarne bmw, którym Paul przyjechał. Wsiedli natomiast do innego czarnego bmw, które zaparkowała tam Sylvie.

Na paragonach za bilety kinowe znajdował się numer karty kredytowej i czas transakcji. Za osiemnaście dolarów kupili sobie dwie godziny. Paul i Sylvie stali się ekspertami od naginania i kształtowania czasu na małą skalę. Paul włożył połówki biletów do portfela, a Sylvie wyjęła i podała mu kwit parkingowy.

Gdy Paul zatrzymał się przy budce parkingowego, odwróciła głowę w drugą stronę, choć wiedziała, że nie jest to konieczne. Później będzie tu inny parkingowy, taki, który jej nigdy wcześniej nie widział. Paul przejechał Wiltshire Boulevard i San Diego Freeway, dotarł do Santa Monica Freeway, opuścił ją zjazdem na Piątą Ulicę i zaparkował tam na wielopoziomowym parkingu. Wmieszali się w tłum przechodniów idących otwartą promenadą Piątej Ulicy w kierunku Santa Monica Pier, a kiedy doszli do

22

rogu, skręcili i poszli wzdłuż Ocean Avenue. Paul spojrzął drugi raz na zegarek i Sylvie dotknęła jego ramienia.

- Zaczynasz się nerwowo zachowywać - powiedziała cicho.
- Przepraszam.
- Nie szkodzi. Oglądaj ten piękny zachód słońca nad oceanem. Jest mnóstwo czasu, a jeśli nie przestaniesz zerkać na zegarek, ludzie zaczną ci się przyglądać z czystej ciekawości, po co ten pośpiech.

- Masz rację - odpowiedział. - Po prostu nadal nie jestem przekonany, że to najlepsze miejsce i najodpowiedniejsza pora.
- Najlepsze dla niego - odparła Sylvie. - To jedyna pora, kiedy możemy być pewni, że jest sam. Wszystko za nas sprawdzi. Ona mieszka tam na górze. Trzeci budynek, czwarty balkon od końca na trzecim piętrze. Widzisz?
- Otwarty. Może on ogląda ten sam zachód słońca przez te białe firaneczki - powiedział Paul. - Pomyślałaś o tym?
Uśmiechnęła się.
- Nie ogląda. To jest sypialnia. On tam jest, jest z nią i nie obchodzi go zachód słońca - tłumaczyła mu cierpliwie.
- Równie dobrze mógł już wyjść.
- Nigdy nie wychodzi przed zmrokiem.
- Ten jeden raz mógł wyjść.
- Nie, nigdy - powiedziała. - Musisz pamiętać, że nie chodzi o niego. Chodzi o nią. O jej reputację, bo przecież ma męża.
- Pewnie masz rację. On jest dżentelmenem.
- Ty jesteś dżentelmenem - powiedziała. Chwyciła jego rękę obiema dłońmi, przygarnęła do siebie i spojrzała mu w oczy. Próbowiła odgadnąć, czy zauważył, że ona wie, jak go korci, żeby spojrzeć na zegarek, i dlatego przytrzymuje mu rękę.
- Dziękuję. - Zerknął na słońce, które już dotykało oce-

23

anu na prawo od otwartej na południe zatoki. - Pewnie powinniśmy ruszać. On wyjdzie tylnym wyjściem.

Na płaskim horyzoncie rozdęte słońce wyglądało jak miękkie, rozlane żółtko.

Sylvie też spojrzała na słońce.

- Słusznie. Chyba już czas.
- Masz wszystko gotowe, żeby od razu zabrać się do rzeczy?
- Tak.
- Denerwujesz się?
- Tak. Zawsze. Nieważne który to faz.
- To wyjdźmy mu naprzeciw.

Oddalili się spacerkiem od oceanu, skręcili w uliczkę za rzędem apartamentowców stojących na zachód od mola. Szli powoli, zatrzymując się od czasu do czasu w mrocznych niszach i ocienionych miejscach, dokąd nie sięgało ostatnie światło szarzejącego nieba.

Oboje widzieli, jak wychodzi w półmroku z budynku, zatrzymuje się na chwilę na najniższym stopniu, po czym odwraca i rusza w ich stronę. Sylvie poczuła na plecach nacisk dłoni Paula, ten silny dotyk, jaki odczuwała, kiedy z nim tańczyła. Poddała mu się i postąpiła krok naprzód.

A potem była już sama.

Jimmy Pollard szedł z pochyloną głową, wpatrzony w nierówny, podziurawiony chodnik uliczki. Ludzie uparcie trzymali w mieście psy i zawsze znaleźli się tacy, którym nie chciało się stosować do zarządzeń i sprzątać po swoich pupilach. Wyprowadzali je na tylne uliczki, więc trzeba było patrzeć pod nogi.

Ta myśl wprowadziła Jimmy'ego w ten stan, niegdyś tak rzadki, a teraz niepokojąco częsty, kiedy wydawało mu się, że patrzy na siebie z góry, tak

jakby oglądał go jakiś obiektywny obserwator. Cała jego przeszłość rozciągała się za nim, prowadząc tutaj, do tego momentu.

24

Wymykał się o zmroku od kobiety tylnym wyjściem budynku i szedł zaułkiem. Była to pora, kiedy inni mężczyźni wracali prosto z pracy do domu, otwierali frontowe drzwi i witali kobiety, dla których pracowali, niektórzy nawet z lubością wciągnęli w nozdrza dochodzące z kuchni zapachy. A może był to obraz, jaki pozostał mu w pamięci z dzieciństwa. Może już nikt tak się nie zachowywał. Kobiety też większość dnia spędzały poza domem, bo przecież już nikt nie miał dzieci. A jeśli ktoś miał, to oddawał pod opiekę innym i mniej więcej o tej porze odbierał. Może cały świat skradał się samotnie w jakichś zaułkach. Tak to wygląda, powiedział do siebie. I tyle.

Jimmy miał żonę, troje dzieci i pracę. Z upływem lat oddalili się z Connie od siebie, jak para współlokatorów, którzy mają do siebie przeróżne pretensje. Jednak o Emmie, Benie i o Melissie myślał nieustannie. Czuł się szczęśliwy, zgnębiony i zagubiony, kiedy o nich myślał, wszystko to jednocześnie. Tak to wyglądało.

Usłyszał lekkie kroki na chodniku, spojrzał przed siebie w tym przyćmionym świetle i zobaczył sylwetkę kobiety - biodra, wąska talia, ramiona. Wciągnął powietrze... Connie? Przyszłaby tutaj?

Kobieta się zbliżała, przez chwilę bardziej widoczna, kiedy przecinała pasmo światła, które wcisnęło się w głęboką przerwę między dwoma domami. Nie. Nawet z tej odległości widział, że to nie Connie. Dzięki ci, Panie. Wiedział, że kiedyś dojdzie do konfrontacji, ale nie tutaj i nie teraz. Miał jeszcze czas. Jednak w chwili gdy to pomyślał, wiedział, że nie

wykorzysta tego czasu, nawet gdyby miało to być pięćdziesiąt lat. Nigdy już nie będzie wiernym mężem. Nigdy nie przerwie romansu, nie będzie szukał przebaczenia u Connie, przyznając się do winy. Szybko powtórzył sobie listę powodów, katalog, który obejmował dzieci, dom, posadę, pieniądze.

Niespodziewanie pojawiło się w tym katalogu coś no-

25

wego; pozycja zupełnie niezamierzenie klarowna: urok popołudni z Sally polegał na tym, że były one zakazane i sekretne.

Jimmy trzymał głowę opuszczoną, starając się, by kobieta w uliczce nie zobaczyła jego twarzy. Kobiety nie spacerują samotnie po zaułkach. Jeśli ta wyprowadzała psa, to on go nie zauważył. Prawdopodobnie to sąsiadka, która zeszła na dół, żeby wrzucić coś do pojemnika na śmieci. Mogła być jedną ze znajomych Sally, która zapamięta, że go tutaj widziała, i przy innej okazji mogłaby bez trudu go rozpoznać. Niemniej nie mógł się powstrzymać, żeby na nią nie spojrzeć.

Zerknął w górę i opuścił wzrok z jak najbardziej pozytywnym wrażeniem. Była wysoka... za wysoka dla niego, ale bardzo szczupła i pełna wdzięku, jak tancerka. Skoro było ją stać na mieszkanie przy plaży w Santa Monica, to była czymś więcej niż tancerką. Prawdopodobnie zabawową panią, mieszkającą z jakimś zamożnym facetem. Spojrzał raz jeszcze i stwierdził, że trudno mu oderwać od niej wzrok. Zaczął o niej myśleć. Nie była tak bardzo wysoka, tylko tak prosto się trzymała.

Był parę metrów od niej, kiedy ich oczy się spotkały, a on posłał jej pełen szacunku uśmiech.

-Witam - powiedział, odpowiednim, jak sądził, tonem, życzliwym i

zarazem niedbale uprzejmym, zdolnym uspokoić samotną kobietę napotkaną w zaułku.

Sięgnęła do torebki, zapewne by położyć dłoń na pojemniku z gazem pieprzowym, ale się uśmiechnęła. Czyżby figlarnie?

- Cześć, Jimmy - odezwała się Sylvie.

Otworzył usta ze zdumienia. Kto to taki? Wyjęła rękę z torebki.

Trzymała w niej pistolet. Wiedział, że nie ma czasu, by zawrócić, więc szedł dalej. Jeśli się go bała, to za kilka sekund zobaczy, że on nie ma złych zamiarów. Nastąpił błysk i huk, poczuł ból i zaczął biec. Przebiegł szybko-

26

ko obok niej. Ponownie usłyszał wystrzał, ale ciągle mógł się poruszać, zmuszać nogi do kolejnych kroków, zbliżać się do pasażu prowadzącego do głównej ulicy. Tam będą ludzie. Będzie mógł biec w ich stronę z wrzaskiem i zwrócić na siebie uwagę.

Z mroku przed nim wysunął się mężczyzna z wycelowanym pistoletem.

Już wiedział, że nigdy tam nie dotrze.

ROZDZIAŁ 4

Paul i Sylvie pojechali windą na siódme piętro wysokiego, szaro-białego budynku przy Wilshire Boulevard. Mieściły się tam biura prawników i księgowych oraz gabinety medyków różnych specjalności. Turnerowie stanęli z tyłu zatłoczonej windy, a kiedy dojechali na Swoje piętro, musieli

się z niej wysunąć bokiem, przy ścianie. Minęli jeszcze kilka osób w wyłożonym dywanem korytarzu i otworzyli drzwi z napisem DOLAN, NYQUISTIBERNE, KANCELARIA ADWOKACKA.

Poczekalnia była pusta. Za szybą, w okienku recepcji, siedziała kobieta w eleganckim szarym kostiumie. Obdarzyła wchodzących profesjonalnym uśmiechem.

- Państwo Turnerowie. Witam. - Zerknęła na terminarz spotkań i powiedziała: - Proszę wejść.

Nacisnęła przycisk i usłyszeli wyraźne stuknięcie, kiedy puścił rygiel dużych drewnianych drzwi. - Jest w Czwórcę - zwróciła się do Sylvie. Znaleźli drzwi z odpowiednim numerem i weszli do salki konferencyjnej. Na ścianach wisiały wiarygodnie wyglądające stare portrety, z naturalnego drewna, a długi stół otaczało dwanaście wyściełanych fotelików. W jednym z nich siedział Michael Densmore. Rzucało się w oczy, że mężczyzna jest próżny. Miał na sobie spodnie od grafitowego garnituru. Marynarkę zarzucił na oparcie obok, tak że w ramionach była wypełniona, a rękawy zwisały swobodnie, jak u bezgłowego stracha na wróble. Śnieżnobiałą koszulę z wykrochmalonym kołnierzy-

28

czykiem zdobił elegancki jedwabny krawat w dyskretny rzucik. Wstał, kiedy Sylvie weszła do pokoju. Chcąc zamaskować niewielki brzuch, bezskutecznie wciskał ciągle koszulę w spodnie. Jego uśmiech, choć młodzieńczy, ukazywał zmarszczki w kącikach oczu i na czole. Zamknął za nimi drzwi i opuścił dzwignikę zamka pod mosiężną gałką.

- Sylvie, wyglądasz ślicznie. - Chwycił jej rękę, a potem uściśnął dłoń Paula. - Cieszę się, że was widzę. - Usiadł, żeby ukryć brzuch pod

blatem. - Wszystko w porządku?

• Jasne - odpowiedziała Sylvie.

• Gładko poszło - potwierdził Paul. - Na pewno czytałeś w gazecie.

• Naturalnie. Po prostu chciałem usłyszeć to od was.

• Sympatyczna mała trzydziestkadwójka. Puk-puk--puk - skwitowała Sylvie.

Densmore podniósł rękę.

- Proszę, tylko bez szczegółów. Żadnych konkretów. Nie potrzebuję żadnych informacji. Reprezentuję wdowę i będę rozmawiał z policją. Nie chciałbym, żeby coś przypadkowo wymknęło mi się podczas rozmowy, czym sam mógłbym się obciążyć.

- Przepraszam - powiedziała Sylvie. - Zapomnij, że coś mówiłam.

Zgubiła go niewierność. Czy przypadkiem pani Pollard czegoś dla nas nie zostawiła?

• A owszem, mam to tutaj. - Densmore wyjął spod blatu aktówkę, otworzył ją i ujrzeli pliki banknotów.

• Pieniądze są czyste, zgadza się? - spytał Paul.

- To nie jest jej gotówka. Złożyłem czeki w banku, a pieniądze jak zawsze wzięłem z kilku swoich kont, nie ma więc możliwości, żeby jakieś banknoty były oznaczone czy coś w tym sensie. - Uśmiechnął się. - Dostanę swoją działkę, licząc sobie odpowiednio dużo za zajęcie się sprawami majątkowymi.

- Na pewno sobie poradzisz - zauważyła Sylvie.

29

• A co z nią? Może być jakiś problem? - spytał Paul. - Nie.

•Co jej powiedziałaś?

•Zwyczajowe ostrzeżenia. Wie, że jeśli ona i ja pójdziemy do więzienia, pozostają jeszcze jej dzieci, podobnie jak wy. A was nie zna.

•Doskonale. Robienie z tobą interesów to prawdziwa przyjemność. -

Paul wstał, wziął teczkę i wyciągnął rękę do Densmore'a.

Adwokat nie ruszył się z miejsca.

- Jedną chwileczkę. - Pchnął po blacie teczkę na akta

i otworzył ją tak, żeby widzieli dwa zestawy dokumentów

pochodzących z drukarki komputerowej. - Podpiszcie mi

je, dobrze? To duplikaty testamentów, które przygotowaliśmy przed

dwoma laty, z nową datą. Muszę mieć coś, co

włożę do szafy z aktami, żeby personel się nie zastanawiał,

po co tu przyszliście. A skoro już tutaj jesteście chciałbym

coś z wami obojgiem omówić, jeśli macie chwilkę. Co wy

na to?

Sylvie wzruszyła ramionami, otworzyła teczkę i złożyła podpis w jednym z zaznaczonych miejsc. Paul usiadł z powrotem i też podpisał.

Aktówkę trzymał na kolanach.

- Coś się szykuje i zastanawiałem się, czy chcielibyście

wziąć w tym udział. - Densmore otworzył leżącą obok pa

pierową teczkę i wyjął zdjęcie. - Chodzi o tę kobietę.

Sylvie wzięła fotografię i położyła na blacie.

•Ładna. Prawda, Paul?

•Czy ja wiem.

•Owszem, wiesz. Jest ładna.

- Tak, ale niespecjalnie. Na przykład nie tak jak ty.

Densmore w milczeniu obserwował parę. Sylvie Turner była dziesięć lat starsza od kobiety na zdjęciu. Ilekroć Densmore ją widział, stwierdzał, że jest atrakcyjna. Jednak w porównaniu z tamtą kobietą rysy Sylvie wydawały się

30

pospolite, a cera niedoskonała. Miała szczupłą twarz, nos i usta delikatnie wysunięte do przodu, a w oczach jakiś okrutny błysk, od którego człowiekowi robiło się nieprzyjemnie.

- Kto to? - spytała.

- Nazywa się Wendy Harper. Była współwłaścicielką restauracji Banque.
Znacie ten lokal?

-Banque? Jasne - odparł Paul. - Byliśmy tam kilka razy. Duża, piękna sala... to chyba był przedtem westybul banku... dobre jedzenie, dobra obsługa. Dajcie mi chwilę, a przypomnę sobie, jak się nazywa szef kuchni. Erie coś tam. Fuller?

- Zgadza się. Fuller.

- A niech to - prychnęła Sylvie. - Też sobie przypominałam, ale ty byłeś szybszy. - Popatrzyła groźnie na męża. -Paul zawsze ma nade mną przewagę w sprawach codziennych. Lepsza z niego kobieta ode mnie, nie sądzisz?

Skóra na twarzy Paula straciła elastyczność, a jego czarne oczy zmniejszyły się do kropeczek. Densmore zastanawiał się, czy ta kobieta wie, co robi. On sam nigdy by się nie odważył powiedzieć niczego, co mogłoby obrazić Paula Turnera. Spróbował ich jakoś przepchnąć przez tę niezręczną chwilę.

-Razem rozkręcali tę restaurację jakieś dziesięć lat temu. On był szefem kuchni, ona zajmowała się zarządzaniem. Lokal od razu zyskał popularność.

-1? - spytała Sylvie.

- Z tego, co wiem, łączyło ich uczucie. W pewnym momencie się skończyło. Miłość mija, ale biznes jest wieczny. Zerwali związek, lecz pozostali partnerami w interesach. Po jakichś czterech czy pięciu latach ona zniknęła.
- Bardzo dziwne - powiedziała Sylvie. - Wyobraźcie sobie jego zdumienie.
- Tak właśnie na to patrzyła policja sześć lat temu. Bo formalnie to ich partnerstwo było bardzo niewyszukane.

31

Umowę spisali własnoręcznie i podpisali w obecności notariusza. Wszystko mieli wspólne i jeśliby jedno umarło, to drugie przejmowało wszystko. Mieli dwie identyczne polisy ubezpieczenia na życie, w obydwu beneficjentem było to drugie. Rozsądniej byłoby jego ubezpieczyć na większą sumę, bo był szefem kuchni, ale tak nie zrobili, zapewne dlatego, że ubezpieczenie młodej kobiety jest tanie. W każdym razie ona zniknęła, on wziął pieniądze i restauracja przeszła na jego własność. Policja nie wykryła niczego.

-Dzięki Bogu za to, że zamówiłam w Banque tylko owoce morza - oznajmiła Sylvie.

Densmore był na tyle czujny, żeby roześmiać się razem z nimi.

-Sytuacja jest jednak bardziej skomplikowana -oświadczył po chwili. -
Mojemu klientowi zależało na jej śmierci. Próbował do niej doprowadzić

sześć lat temu. Nie udało mu się i kobieta znikła bez śladu. A on nadal chce ją zlikwidować.

- Teraz szuka kogoś, kto się tego podejmie? Mimo że nikt jej nie widział od sześciu lat? - spytał Paul.
- Poprosił mnie, żebym się tym zajął. Pieniądze byłyby niebagatelne. Od jakiegoś czasu to rozgryzam i doszedłem do wniosku, że największą szansę na wykonanie zadania macie wy.
- My? - zdziwiła się Sylvie.
- Tak - odpowiedział prawnik. - Jest sposób, żeby ją znaleźć, ale jeśli się to źle rozegra, będzie bardzo niebezpiecznie. Jesteście jedynymi ludźmi, w których mogę pokładać wiarę. Pozwólcie, że wam pokażę, od czego muszę zacząć. - Wstał, wyszedł na chwilę z pokoju i wrócił z nylonową torbą z dwiema rączkami, długą na jakiś metr. Postawił ją na stole.
- Co to? - spytała Sylvie. - Torba z rekwizytami do twoich sztuczek?

32

Densmore spojrział na nią i skinął głową.

- Chyba można tak to nazwać. - Otworzył torbę i pokazał im kij bejsbolowy oraz oddarty kawałek białego materiału z plamami zakrzepłej krwi.
- Mamy coś z tym zrobić? - spytał Paul.
- Zakopcie to. Potem czekamy kilka miesięcy i pozwalamy, żeby się pojawiło.

ROZDZIAŁ 5

SZEF KUCHNI OSKARŻONY O ZAMORDOWANIE

WSPÓLNICZKI

Jack Till siedział w swoim biurze i długo wpatrywał się w artykuł w gazecie; jego umysł odrzucał na bok nieistotne zdania, w poszukiwaniu tego jednego szczegółu, który wyjaśniałby, co skłoniło detektywa z wydziału zabójstw do aresztowania Erica Fullera, a prokuratora okręgowego do wniesienia oskarżenia. W artykule podano tylko, że Erie Fuller jest znanym kuchmistrem i kiedy Wendy, jego współniczka, sześć lat temu zniknęła, to on się wzbogacił.

Odłożył gazetę na biurko i broń do sejfu, pozamykał szafy na akta. Wrócił pieszo do swojego mieszkania przy Laurel Canyon, wsiadł w samochód i Hollywood Freeway pojechał do centrum.

Zostawił auto w podziemnym parkingu przy Spring Street i poszedł do biura prokuratora okręgowego, mieszczącego się przy West Tempie pod numerem 210. Dopiero kiedy mijał budynki sądu, uświadomił sobie, że powinien był najpierw zadzwonić, dowiedzieć się, którego z dziewięciuset trzydziestu ośmiu zastępców prokuratora okręgowego wyznaczono na oskarżyciela Erica Fullera, zadzwonić do niego i umówić się na spotkanie. Ale to mu nie przyszło do głowy, tak jak nie pomyślałby o uprzedzeniu lekarza, gdyby wiozł ofiarę ataku serca do szpitala. Ta wizyta miała określony cel i wymagała natychmiastowego poruszenia sedna sprawy, bez owijania w bawełnę.

34

Zamaszystym krokiem wszedł do głównej recepcji biura prokuratora okręgowego, odczekał swoje w kolejce, po czym rozłożył portfel przed kobietą za kontuarem. Z jednej strony widniał nieoficjalny dowód

tożsamości, z którego wynikało, że jest emerytowanym policjantem, a z drugiej jego licencja prywatnego detektywa.

- Nazywam się Jack Till - oświadczył. - Chciałbym wiedzieć, który z prokuratorów jest oskarżycielem Erica Fullera w sprawie o morderstwo. Mogłaby pani to sprawdzić?
- Sprawa karna przeciwko Ericowi Fullerowi z oskarżenia publicznego. Nie mam tego na liście - powiedziała. - Powiedział pan, że chodzi o zabójstwo? Jak się nazywała ofiara?
- Harper. Wendy A. Harper.

Kobieta popatrzyła na spis numerów, po czym wzięła słuchawkę i wybrała cztery cyfry.

- Tu Neli - powiedziała cicho. - Możesz mnie skierować do prokuratora, który zajmuje się zabójstwem Wendy Harper? Dzięki. - Zajrzała do notesu, po czym na kartce z bloczku napisała nazwisko oraz numer gabinetu i podała Jackowi. - Pewnie pan zna ten budynek, prawda?

- Tak, proszę pani. Dwadzieścia lat w policji. Bardzo dziękuję. - Przeszedł przez wykrywacz metalu i czekając na windę, rozszyfrowywał notkę. Prokurator Gordon coś tam. Nie. Gordon to było nazwisko. Linda Gordon. Pojechał na górę, a potem szedł korytarzem, mijając gabinety innych zastępców prokuratora okręgowego, pracujących nad innymi sprawami. Znał niektórych, ale każdego roku było takich coraz mniej, bo odchodzili na emeryturę albo przyjmowali oferty prywatnych kancelarii prawnych. Kiedy odnalazł właściwy pokój, okazało się, że drzwi są zamknięte, ale ponieważ w szparze pod nimi widać było światło i z wnętrza dochodził kobiecy głos, zapukał.

Chwilę później drzwi otworzyła młoda kobieta o dłu-

35

gich blond włosach, które wyglądały tak, jakby z natury były brązowe.

Spojrzała na niego zaskoczona. -Tak?

- Pani Linda Gordon?

-Tak.

Robiła wrażenie zniecierpliwionej. Zobaczył, że słuchawka była zdjęta z aparatu i leżała na blacie biurka. Till rozpoznał ten wyraz twarzy.

Oczekiwała, że wręczy jej wezwanie do sądu. Połowa toczących się spraw dotyczyła skazanych, którzy skarżyli prokuratorów i policjantów.

- Nazywam się Jack Till. Muszę z panią pomówić. Wiadzę, że rozmawiała pani przez telefon. Poczekam na ze wnątrz.

Popatrzyła na niego podejrzliwie.

- O co chodzi? Kim pan jest?

-Jestem prywatnym detektywem i mam ważne informacje na temat sprawy, w której oskarżonym jest Erie Fuller.

- Proszę chwilkę zaczekać. - Podeszła szybko do telefonu i podniosła słuchawkę. - Carl? Oddzwonię. Za dwie, trzy minuty. Obiecuję. - Odłożyła słuchawkę na miejsce. - Proszę wejść.

Till wszedł do niewielkiego, zagraconego gabinetu i rozejrzał się za czymś, na czym mógłby usiąść. Było tam jedno krzesło, ale wyglądało na to, że na stałe okupuje je stos akt. Dostrzegła jego wahanie i ruszyła w stronę krzesła, ale on uniósł rękę.

- Proszę sobie nie robić kłopotu. Zajmę pani tylko

chwilę. Przeglądałem gazetę. Przyszedłem powiedzieć, że zaszła pomyłka. Nie może pani oskarżać Erica Fullera ani zresztą nikogo innego o zamordowanie Wendy Harper.

Zjeżyła się.

- Czyżby?
- Nie może pani. Wendy Harper żyje.

36

Linda Gordon oparła się o ścianę za biurkiem ze skrzyżowanymi rękami.

- Proszę mówić.

Jack Till rozpoznał ten gest. Podświadomie się broniła... przed nim? Zaslaniała się przed tym, co mówił. Pozostało mu jedynie próbować.

- Nie macie ciała dlatego, że ona nadal z niego korzysta.
- Rozmawiał pan z policją?
- Jeszcze nie. Przyszedłem wprost tutaj.
- Cóż, to normalny sposób postępowania, kiedy ma się jakąś informację. Detektywem odpowiedzialnym jest sierżant Max Poliakoff w jednostce specjalnej wydziału zabójstw w Parker Center. Jeśli pan...
- Szkoliłem go, kiedy był w hollywoodzkim wydziale zabójstw.
- Szkoliłem? Jest pan policjantem?
- Emerytowanym.

-1 chce mi pan dać te dowody?

-Tak. Mogę najpierw pójść i pogadać z Poliakoffem, jeśli pani woli.

Przyglądała mu się chwilę, a on widział, że stara się myśleć do przodu.

- W porządku. Lepiej będzie, jak w tym miejscu panu

przerwę. Chcę nagrać wszystko, co pan mówi. Nie ma pan nic przeciwko?

-Nie.

Wyjęła z torebki mały kieszonkowy magnetofon, włożyła nową kasetę i przycisnęła guzik.

- Mówi Linda Gordon, zastępczyni prokuratora okręgowego.

Rozmawiam z człowiekiem, który przyszedł do mojego biura w środę, trzynastego maja. Mamy teraz godzinę ósmą pięćdziesiąt trzy rano. Jak się pan nazywa?

-John Robert Till.

- Proszę przeliterować.

37

•Te-i-el-el.

•Nie zeznaje pan pod przysięgą. Ale jako emerytowany policjant dobrze pan wie, że okłamywanie przedstawiciela wymiaru sprawiedliwości w sprawie o zabójstwo jest przestępstwem. Oczywiście zdaje pan sobie z tego sprawę?

•Oczywiście.

•Więc proszę powiedzieć, co ma pan do powiedzenia.

•Przyszedłem tutaj z poradą, by nie występowała pani z oskarżeniem Erica Fullera o zamordowanie Wendy Harper, bo wiem, że ona żyje.

•Skąd pan wie? Widział ją pan?

-Ostatnio nie. Widziałem ją sześć lat temu, po tym, kiedy ją ostatni raz widziano w Los Angeles.

•Więc był pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą?

- Bynajmniej. Ale byłem ostatnią, która widziała ją t u-t a j. Jestem prywatnym detektywem. Ona mnie wynajęła. Pewnej nocy, kiedy wracała ze swojej restauracji do domu, została zaatakowana przez jakiegoś mężczyznę. Ze sposobu, w jaki ją pobił, wynikało, że najpierw chciał ją okaleczyć, a potem zabić.
- Skąd pan może wiedzieć, jakie były jego zamiary?
- Użył kija bejsbolowego. Zaczął od nóg i ramion, potem uderzył w bok głowy, ale przeszkodził mu przyjazd dwóch samochodów i nie miał dość czasu na decydujący cios.

Till zauważył, że opis ten wywołał u Lindy Gordon odrazę, ale nie zamierzała tego po sobie pokazać. Postawiła magnetofon na biurku i wróciła do poprzedniej pozy, tej ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, odgradzona od niego biurkiem.

- Jaki był cel tego ataku?
- Uważam, że jej zamordowanie i wywołanie wrażenia, iż było to zabójstwo dokonane przez kogoś przypadkowego, kto tylko wykorzystał nadarzącą się okazję. Ktoś na nią czychał i ona o tym wiedziała.

38

- Kto to był?

- Powiedziała, że przyjaciel koleżanki, która czasami pracowała w jej restauracji, był według niej niebezpieczny.

- W jaki sposób?
- Ta kobieta powiedziała jej o nim kilka rzeczy, takich, które on jej zrobił.
- Dlaczego miałby czyhać na Wendy?

- Pewnego wieczoru Wendy była przed restauracją po jej zamknięciu. Zobaczyła faceta, który przyjechał po tę przyjaciółkę, i on zobaczył Wendy. Kilka dni później kobieta zniknęła. Nie przyszła więcej do pracy. Jej mieszkanie było puste. Wendy uważała, że nie żyje.
- Jak się nazywał tamten przyjaciel?
- Nie wiem.
- A kelnerka?
- Nie wiem.
- Jak to możliwe? Nie pytał pan?
 - Pytałem. Nie chciała mi podać nazwiska koleżanki, a nie wiedziała, jak się nazywał mężczyzna.
- I tyle? To wszystko? Odpuścił pan?
- Nie byłem już policjantem i nie miałem sposobu, żeby ją zmusić do mówienia. Przesłuchano ją w noc napadu i detektyw rozmawiał z nią potem, w szpitalu. Gdybym miał z miesiąc, może bym ją przekonał, że bezpieczniej dla niej byłoby powiedzieć mi coś więcej, ale wtedy ona była zbyt przerażona, żeby słuchać głosu rozsądku. Chciała natychmiast wyjechać z Los Angeles. Była przekonana, że jeśli zostanie tu dłużej i tamten mężczyzna ją znajdzie, to będzie po niej.
- Miała rację?
 - Szczerze mówiąc, nie wiem. Nie wiem, kim był facet jej koleżanki ani kim był ten wynajęty, który ją pobił. Zaproponowałem jej ochronę, załatwienie goryli albo stałą obserwację jej domu i restauracji. Jeśli jednak temu mężczyźnie bardzo zależało na tym, żeby ją...

- Więc co pan zrobił?

- Udzieliłem jej pomocy, jakiej chciała, takiej, na którą się godziła.

- To znaczy?

- Zawiozłem ją do hotelu w Solvang. Ukrywałem ją tam przez kilka dni.

Większość czasu spędziliśmy w jej pokoju, a ja wyjaśniałem, w jaki sposób zabrałbym się do szukania kogoś, kto nie chce być znaleziony.

- To znaczy?

- Zapoznałem ją z metodami, jakich użyliby zawodowcy, gdyby jej szukali. I nauczyłem ją, jak tych metod unikać.

- I co potem?

- Potem wyjechała.

- Tak po prostu. Wyjechała. Nigdy już pan jej nie zobaczył ani nie miał od niej wiadomości.

- Zgadza się. To była jedna z tych rzeczy, przed którymi ją przestrzegałem. Jeśli się człowiek kontaktuje z ludźmi, których znał, to go złapią. Nikomu nie wspomniała, że chce mnie wynająć, ale jeśli ktoś już ją obserwował, mógł to wiedzieć. Do Solvang na pewno nas nie śledzono. Jednak później potencjalny zabójca mógłby sprawdzać moją pocztę lub monitorować rozmowy telefoniczne i czekać, aż ona napisze albo zadzwoni.

Lindę Gordon drażnił ten rzeczowy i beznamiętny ton jego wypowiedzi.

- Pozwoli pan, że o coś zapytam. Jakie może mi pan podać dowody na to, że to wszystko się wydarzyło i że w ogóle pan ją kiedykolwiek spotkał?

- Starałem się o to, żeby żadnych nie było. Przechowywanie jakichkolwiek dowodów naraziłoby ją na niebezpieczeństwo. Nie

opowiadałbym teraz tego wszystkiego, gdyby ktoś nie został oskarżony o jej zamordowanie.

- Czy Erie Fuller wiedział, że ona zniknęła z własnej woli?

40

- Nie. Chciała, by uznał ją za zmarłą i żył sobie dalej. Czuła, że nie należy mu mówić. Uważała, że gdy pozna prawdę, zacznie jej szukać i w rezultacie doprowadzi do śmierci ich obojga.
- Myślałam, że go kochała. Tak nam to przedstawiano. Jestem pewna, że na tym się będzie opierać jego obrona. Mam uwierzyć, że ona mogła go tak po prostu zostawić?

Detektyw patrzył na nią, powoli tracąc optymizm. Tak naprawdę w ogóle nie słuchała tego, co mówił. Ona tylko formułowała argumenty przeciwko jego słowom.

- Byli już parą, kiedy przyjechali do Los Angeles. Razem chodzili do college'u i byli bliskimi przyjaciółmi. W różnych okresach ta przyjaźń przybierała różne formy. Mieszkali razem, byli zaręczeni, założyli wspólny interes. Kiedy uczucie w ich związku przygasło, nic innego się nie zmieniło. Wciąż byli dla siebie najbliższymi osobami i darzyli się zaufaniem. Pozostali współnikami, a restauracja przynosiła zyski.
- Na tyle wysokie, by on ją zabił i przejął jej połowę?
- Przyszedłem tutaj, żeby powiedzieć, że on jej nie zabił, że nikt jej nie zabił. Ja ją stąd wyprawilem.
- Może i tak. To był tamten jeden dzień, jeden moment w czasie.
Przyznaje pan, że nie może nic wiedzieć o tym, co się z nią działo po tamtym dniu sprzed sześciu lat. Zgadza się?
- Zgadza się. Nie widziałem jej. Nie próbowałem jej zobaczyć.

Nauczyłem ją, jak ma się nie dać namierzyć, i wysłałem stąd.

-I uważa pan, że tydzień pańskich lekcji był aż tak skuteczny? Że posłuchała pańskiej rady i że na zawsze już pozostanie w ukryciu?

- To nie takie proste. Nikt jej nie szukał co najmniej miesiąc od jej wyjazdu. Powiedziała Fullerowi, że wybierze się w podróż, żeby dojechać do siebie po tym bestialskim pobiciu, a nikogo innego nie obchodziło, gdzie ona jest.

41

Kiedy nie wróciła, próbował ją odnaleźć, wydzwanając do wspólnych przyjaciół i znajomych, ale nikt nie miał od niej żadnych wieści. Kiedy sprawą zajęła się policja, już nie bardzo było gdzie jej szukać.

- Pan to tak zaplanował?

-Tak. Nauczyłem ją tego, co sam umiałem, i to było dość na początek. Teraz tkwi już w tym sześć lat i pewnie wie na ten temat więcej ode mnie. To bardzo bystra kobieta.

Linda Gordon podeszła do biurka. Till zauważył, jak opuszcza na moment wzrok. Domyślił się, że nie chcąc mu przypominać o tym, że nagranie trwa, zerka tylko, czy jest jeszcze dość taśmy w magnetofonie.

Oparłszy się o biurko, rzekła:

-Pakuje się pan w poważne tarapaty, mówiąc mi to wszystko.

- Wiem.

-Jest pan zamieszany w oszustwo ubezpieczeniowe, pomógł pan komuś uzyskać fałszywą tożsamość i nie wiem co jeszcze. Był pan gliną. Wie pan, że zbierze się pokaźna lista.

•Miałem wybór. Przez następne trzydzieści lat mógłbym zasypiać ze świadomością, że to kolejna noc, jaką Erie Fuller spędzi w więzieniu,

albo kłaść się do łóżka, wiedząc, że temu zapobiegłem.

- Sam się pan naraził na więzienie.
- Nie zawsze mamy dobry wybór.
- Podejście prawdziwego stoika. Coś panu pokażę. - Obeszła biurko i z jednej z aktówek wyciągnęła kilka kolorowych fotografii, dwadzieścia pięć na trzydzieści centymetrów. Jedną z nich podała Tillowi.

Zobaczył białą podartą szmatę z ciemnymi plamami, rozciągniętą na laboratoryjnym stole. W rogu stołu umieszczono linijkę, żeby było wiadomo, w jakiej skali zrobiono zdjęcie.

42

- Co to?
- Kawałek jej bluzki, pokrwawiony. Podała mu inną fotografię.
- A to? - spytał.

- To kij, taki jak ten, o którym pan mówił, też z jej krwią. - Patrzyła na niego surowym wzrokiem. - Ciekawe, nie uważa pan?

- Skąd macie te rzeczy?
- Znalezione je w domu Erica Fullera.
- Gdzie... na werandzie?

- Nie - odpowiedziała. - Zakopane na podwórzu za domem w zardzewiałej metalowej skrzynce. Ulatniał się gaz z rury i firma gazownicza wykopała ją, szukając przecieku.
- Też dobrze.
- Co to znaczy?

- Że to podrzucono. Ta szmata może i kiedyś była bluzką i możliwe nawet, że miała ją na sobie Wendy Harper, kiedy ją zaatakowano. Zakładam, że macie raport z laboratorium, i wiadomo, że to jej krew.
- Przeszła badanie genetyczne na dziedziczność raka piersi kilka lat przed śmiercią. Nie ma wątpliwości, że ta próbka należy do niej, a to oznacza, że ona nie żyje. Mam wystarczającą ilość jej krwi na kawałku ubrania i na narzędziach zbrodni.
- Narzędziach? Liczba mnoga?
 - Był też nóż, który kiedyś należał do kompletu z kuchni Erika. Mamy dowód, że Erie kupił ten komplet osiem lat temu. Jestem pewna, że nim sprawa znajdzie się na wokandzie, czegoś podobnego dowiemy się o kiju bejs-bolowym.
- Dowody są sfabrykowane.
 - Nie wiem, czy mówi pan prawdę na temat tego, co pan zrobił lub czego nie zrobił - oświadczyła Linda Gordon. - Jeśli mówi pan prawdę i próbował pan pomóc jej

43

się ratować, to mogę panu tylko współczuć. Bo zdecydowanie wygląda mi na to, że mniej więcej w tym czasie, kiedy zniknęła, Erie Fuller ją dopadł. Nie widziano jej od sześciu lat. Jak mogłabym patrzeć na tę bluzkę i kij, z jej krwią na jednym i drugim, i nic nie robić?

ROZDZIAŁ 6

W drodze do samochodu Jack Till myślał o tym, dlaczego Linda Gordon nie musi mu wierzyć. Młoda, ambitna prokurator nie zrozumie, dlaczego stary gliniarz z wydziału zabójstw miałby pomóc Wendy Harper zniknąć i sześć lat później udać się do biura prokuratora, żeby się do tego przyznać. Na to Linda Gordon żyła jeszcze za krótko na tym świecie.

Wsiadł do auta, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer swojego starego biura przy Parker Center.

-Chciałbym rozmawiać z sierżantem Poliakoffem. Mówi Jack Till.

•Jack? - usłyszał po chwili głos Poliakoffa. -Aha.

•Jak leci?

•Z twojego głosu wnoszę, że już słyszałeś. Linda Gordon już dzwoniła?

•Taa. Chciała wiedzieć, czy jest z ciebie pozytywny bohater, czy czarny charakter. Zdecydowałeś się już na coś?

Till wyobrażał go sobie za starym, powyginanym stalowym biurkiem, które odziedziczył po jego przejściu na emeryturę. Poliakoff był trzy cale wyższy od Tilla, więc pewnie obniżył fotelik i siedział na brzegu, żeby zmieścić kolana pod biurkiem.

- Czy jak już powiedziałaś, że jestem najporządniejszy z porządnym, wzięła pod uwagę zrezygnowanie z wniesienia zarzutów?

45

•Przykro mi, Jack. Z tego, co widzę, szansa na to jest zerowa, chyba że Wendy Harper osobiście wmaszeruje do jej biura. Nie sądzi, żebyś kłamał, więc w zasadzie jesteś czysty. Uważa po prostu, że mylisz się, jeśli chodzi o to, co zaszło potem, kiedy ciebie nie było już w pobliżu.

•Musiałem cię spytać.

- Wiem. W tej chwili, zgadzam się z nią, ale jedno z nas na pewno czeka niespodzianka i to mogę być ja. Może będziemy wymieniali się informacjami na temat tropów, jak za dawnych czasów?
- Mógłbyś mi pomóc odnaleźć Harper?
 - Tego akurat nie mogę. Ten pomysł został już rozpatrzony. Obrona będzie ci musiała zapłacić, żebyś to zrobił.
- Kto jest adwokatem Fullera?
 - Jay Chernoff z kancelarii Fiske, Chernoff, Feine i Toole. Dam ci jego telefon.

Till zadzwonił pod podany numer, pojechał do Beverly Hills i zaparkował przy końcu Brighton, tuż za skrzyżowaniem z Little Santa Monica. Biura kancelarii mieściły się w niewielkim budynku z czerwonej cegły. Zerknąwszy na wiszący na ścianie wąskiego holu spis lokatorów, wszedł do windy pomiędzy wypolerowanymi mosiężnymi drzwiami i nacisnął guzik drugiego piętra.

W kancelarii, wykończonej drewnem klonowym i obwieszanej oprawionymi w ramki wycinkami gazet, panowała atmosfera sali sądowej. Zamierzał się przedstawić kobiecie siedzącej za biurkiem, która najwyraźniej kierowała tu ruchem, ale zanim do niej dotarł, w drzwiach za jej plecami pojawił się niski rudzielec w średnim wieku. Kręcone włosy miał przerzedzone na skroniach.

- Pan Till? Jestem Jay Chernoff - przedstawił się. Jack uścisnął jego wyciągniętą rękę.
- Dziękuję za przyjście - dodał prawnik.
- Dzięki, że zechciał mnie pan przyjąć.

Gdy weszli do gabinetu, prawnik przysunął spod ściany krzesło i wskazał Tillowi miejsce na kanapie.

- Powiedział pan, że ma informacje na temat morderstwa Wendy Harper - przeszedł od razu do sedna.

- Tak. Nie było żadnego morderstwa. Przyszedłem tutaj dlatego, że ona żyje.

-Żyje?

- Tak. - Till pokazał mu portfel z licencją prywatnego detektywa i dokumentem świadczącym, że jest emerytowanym policjantem. - Jakies sześć lat temu chciała zniknąć. Pomogłem jej w tym.

- O mój Boże, nie mogę uwierzyć! - Wyglądał na szczerze uradowanego. Nawet odchylił się do tyłu i roześmiał. - Powiedział pan już o tym policji?

- Kiedy przyszedłem dzisiaj do biura, zajrzałem do gazety i zobaczyłem, że wniesiono oskarżenie przeciwko Ericowi Fullerowi, więc od razu udałem się do biura prokuratora okręgowego i powiedziałem wszystko Lindzie Gordon. Właśnie od niej wracam.

- Co powiedziała?

- Nagrała moje zeznanie, a potem pokazała mi policyjne zdjęcia czegoś, co uważa za poplamiony krwią strzęp bluzki Wendy Harper i dwóch narzędzi zbrodni należących do pańskiego klienta. Jeszcze nie zdecydowała, czy mi wierzyć. Uważa, że jeśli nawet jej pomogłem, to wkrótce potem Fuller ją znalazł i zatłukł.

Adwokat wziął głęboki oddech i rozczarowany wypuścił powietrze.

- Powinienem był wiedzieć. Dlaczego pomógł pan Wendy Harper wyjechać z miasta?

- Ktoś ją bestialsko pobił. Ona uważała, że miało to związek z mężczyzną, z którym spotykała się jedna z jej kelnerki. Dziewczyna zniknęła i Wendy sądziła, że to on ją mógł zabić. Zainteresowała się tą sprawą i pewnej nocy, kiedy wróciła do domu, jakiś inny mężczyzna czekał na

47

nią z kijem bejsbolowym. Kiedy wypisano ją ze szpitala, przyszła do mnie.

- Oczywiście Erie powiedział mi o tej kelnerce i o napadzie, i o tym, że Wendy była w szpitalu. Przez te wszystkie lata był przekonany, że ten mężczyzna ponowił próbę i że ją zabił. Dlaczego Erie nie wiedział, że wyjechała z własnej woli?
- Tak chciała. Uważała, że on w żaden sposób nie może jej ochronić, ale że będzie się starał i w rezultacie sam zginie.
- Widziałem raport policyjny z tego napadu i nie było w nim nic o jakimś drugim mężczyźnie, który miał za tym stać. Dlaczego? - Frustracja Chernoffa zaczynała być coraz bardziej widoczna.

- Uważała, że postępuje właściwie. W pewnym sensie miała rację. Jeśli nie znała tego mężczyzny, policja nie miała kogo szukać, a czekanie dawało mu kolejną szansę, żeby ją zabić. Czowała, że jedynym wyjściem jest znaleźć się poza jego zasięgiem.

- Zatem ofiara żyje, a mój klient jest niewinny.

- Tak.

- A dowody na podwórku Erica? Ma pan jakąś teorię, jak się tam dostały?
- Facet, który ją napadł, miał kij bejsbolowy i widocznie oderwał jej

kawałek bluzki. Nie wiem, dlaczego zachował te rzeczy. Może miał ją zabić i użyć ich, żeby już wtedy zrobić Erica Fullera. Może je schował i przypomniał sobie o nich później. Według mnie, podrzuciono je tam w ostatnich kilku miesiącach... tylko na tyle dawno, żeby ziemia już wyglądała na nienaruszoną.

- Może pan jakoś udowodnić to, co pan zrobił?
- Nie. Sześć *lat* temu postarałem się nie zostawiać żadnych śladów, że kiedykolwiek miałem styczność z Wendy Harper. Przemieszczaliśmy się samochodem, na ogół późną nocą. Kiedy tylko mogłem, płaciłem gotówką. Pa-

48

ragony paliłem. Nie chciałem, żeby kiedyś ktoś przeszukał moje biuro i odnalazł papiery, z których wynikałoby, gdzie z nią pojechałem. Powiedziałem jej, jak zmienić nazwisko, ale dopilnowałem, żeby samemu go nie znać. Kiedy się rozstawaliśmy, nie pozwoliłem jej powiedzieć, dokąd się udaje.

Adwokat ściągnął usta i przez chwilę spoglądał w przestrzeń obok głowy Tilla.

- Co według pana powinniśmy zrobić? - zapytał.
- Linda Gordon ma dowody rzeczowe, a ja nie mam nic, żeby je odeprzeć. Z tego wynika, że wycofa oskarżenie tylko wtedy, kiedy Wendy Harper zjawi się w jej biurze.
- Sądzi pan, że byłaby skłonna wrócić?
- Myślę, że jeśli się dowie, jak wygląda sytuacja, będzie chciała ratować Erica Fullera. Sześć lat temu był jej bardzo bliski. Proszę jednak nie zapominać, że jedyną osobą, która mogła podrzucić dowody na

podwórku Fullera, był ten, kto je posiadał. Uważam, że człowiek, który chciał śmierci Wendy sześć lat temu, teraz próbuje ją wywabić z ukrycia i sprowadzić tutaj.

Chernoff miał zmartwioną minę.

- Nie możemy oczekiwać pomocy z biura prokuratora okręgowego. Oni starają się zbudować sprawę przeciwko Ericowi Fullerowi.
- Max Poliakoff, detektyw zajmujący się tą sprawą, to mój stary przyjaciel, ale nie jest w stanie mi pomóc. Musimy działać sami - oświadczył detektyw.
- Działać jak?
 - Dać jej znać, że Erie Fuller potrzebuje pomocy, i mieć nadzieję, że uda się nam zachować ją przy życiu, kiedy się tutaj zjawi.

ROZDZIAŁ 7

Po wyjściu z biura Chernoffa Till przeglądał kopie ogłoszeń. „Erie Fuller został oskarżony o zamordowanie Wendy Harper. Osoby mogące udzielić jakichkolwiek informacji w tej sprawie proszone są o kontakt z adwokatem pana Fullera, Jayem Chernoffem, Kancelaria Adwokacka Fiske, Chernoff, Feine i Toole, 3900 Brighton Way, Beverly Hills, CA 90210”.

Drugie ogłoszenie zawierało nazwisko Jacka, by dać jej do zrozumienia, że to nie jest pułapka. „Wendy Harper, Erie potrzebuje twojej pomocy po sześciu latach. Skontaktuj się z Jackiem w Agencji Detektywistycznej

Tilla, 11999 Ventura Boulevard, Studio City, CA 91604".

Trzecie ogłoszenie miało być od Erica. „Do Wendy Harper: Jestem oskarżony o zamordowanie ciebie. Proszę, odezwij się, bym mógł udowodnić, że żyjesz. Ucałowania. Erie". Adres będzie pamiętać, bo kiedyś ten dom był również jej domem. To ostatnie ogłoszenie było małym oszustwem, bo Erie jeszcze nic o nim nie wiedział.

Pozostawał problem, gdzie je umieścić. Sześć lat temu Till zauważył, że Wendy Harper jest jedną z tych osób, które czytają „New York Timesa” niezależnie od tego, gdzie akurat są, czy w Nowym Jorku, czy też w Solvang, w Kalifornii. Przez lata pracy widział już ze sto razy, że uciekinierzy rzadko zmieniają te swoje drobne przyzwyczajenia, które uznają za bezpieczne. Zatem za dwa dni ogłoszenia te zaczną się ukazywać w kolejnych wydaniach „New York Timesa”.

50

Drugim oczywistym wyborem wydawał mu się „Los Angeles Times”. Wendy Harper zaistniała kiedyś na kulinarnej scenie w tym mieście, a restauracja, której była współwłaścicielką, stała się teraz jeszcze bardziej popularna niż kiedyś. Till domyślał się, że ona od czasu do czasu sprawdza, co dzieje się z lokalem, albo też czyta o ludziach, których kiedyś знаła. Jay Chernoff zaproponował „Chicago Tribune”, gdyż była to duża gazeta regionalna dla centralnej części kraju. Ona i Erie chodzili do college'u w Wisconsin, zatem na Środkowym Zachodzie mogłaby się czuć na tyle dobrze, żeby tam osiąść.

Za dwa tygodnie ogłoszenia zaczną się także ukazywać w „Gourmet” i w „Sayeur”, na podstawie założenia, że być może ktoś, kto zarabiał na życie, prowadząc restaurację, nadal czytuje o jedzeniu. Till zapamiętał też,

że Wendy wspomniała o czymś, co przeczytała w „New Yorkerze”, więc dodał i to czasopismo do listy.

Te wszystkie ogłoszenia będą nieźle kosztować, ale detektyw namówił Chernoffa, żeby wliczył to w koszty obrony Erica Fullera. Jeśli za ich sprawą się nie udowodni, że Wendy Harper żyje, nie znajdzie się już żadna inna linia obrony.

Till przesiedział w biurze Chernoffa większą część dnia i teraz, kiedy zaczęła się już godzina szczytu, posuwał się bardzo wolno, najpierw na północ, a potem na wschód. Tego popołudnia musiał się jeszcze zatrzymać w jednym miejscu. Tęsknił za tą wizytą, a zarazem się jej obawiał. Jadąc tam, żałował, że nie odwiedza „Kwietnego Domu” z jakiegoś innego powodu.

Uważał, że Holly wymyśliła tę nazwę, bo właśnie tak działał jej umysł. Nie zawsze była radosna, bo jej życie nie było łatwe, ale cieszyły ją rzeczy dobre albo piękne. Nadawała im nazwy i lubiła pokazywać je innym.

„Kwietny Dom”, położony w południowej Pasadenie, był klasycznym kalifornijskim piętrowym domem z dużą

51

werandą od frontu i starym, dawno temu zaprowadzonym ogrodem, z niemodnymi już roślinami, takimi jak ładniczka i strzałkowiec grzechotkowy i jaskrawopomarańczowymi pnącymi różami na treliazu. Trawnik był wydeptany i zakurzony, jako że zawsze coś się na nim działo - siatka do badmintona rozpięta była od wiosny, a jeszcze wcześniej któreś z dzieci doszło do wniosku, że to dobre miejsce, żeby rzucać podkowami do celu. Till starał się pamiętać, żeby nie nazywać ich dziećmi, bo to irytowało Holly. Byli już dorośli. Holly miała dwadzieścia jeden lat,

potrafiła gotować i prowadzić samochód i od trzech lat prawie samodzielnie się utrzymywała. Uśmiechnął się do siebie. To był lepszy rezultat niż jego pierwsze trzy lata w zawodzie prywatnego detektywa.

Zawsze, kiedy odwiedzał „Kwietny Dom”, najpierw okrążał ten cały kwartał ulic, zawracał, żeby sprawdzić, czy go nie śledzą, a potem parkował auto w innym niż poprzednio miejscu, oddalonym co najmniej o jedną przecznicę, i stamtąd już szedł piechotą. Długo był gliną w wydziale zabójstw, a teraz często brał sprawy, w efekcie których różni ludzie byli na niego wściekli. Zawsze przerażała go myśl, że mógłby kogoś doprowadzić do „Kwietnego Domu”, i wiedział też, że od dzisiaj te środki ostrożności muszą stać się jeszcze bardziej wymyślne. Właśnie się postarał, żeby potencjalny zabójca poznał jego nazwisko. Ostatni raz zerknął za siebie, podszedł do werandy i zadzwonił. Mimo że Till oraz rodzice pięciorga pozostałych dzieci utworzyli fundusz powierniczy, który utrzymywał „Kwietny Dom”, od samego początku przyjęto, że miejsce to należy do dzieci, a rodzice są tu jedynie gośćmi.

Drzwi się otwały i zobaczył uśmiechniętą twarz Boba Driscolla.

- Cześć, Jack - przywitał go chłopak donośnym i radosnym głosem. -
Wchodź, Jack.

52

Otworzył drzwi na całą szerokość i Till poszedł za nim do salonu.

- Cześć, Bob. Jak leci?
- Świetnie. Po prostu świetnie. Mam inną pracę. Płacą dużo lepiej niż w myjni samochodowej. Pracuję w tym małym sklepie ze zdrową żywnością na Foothill o nazwie Darlene's Farm. Wpadnij tam kiedyś do nas. Oczywiście przyjechałeś odwiedzić Holly.

• Jasne. Jest gdzieś w pobliżu?

• Nie w tej chwili. Poszła z Marie kupić coś do jedzenia. I chyba z Nancy. Taa. Chyba we trzy wyszły. Holly, Marie, Nancy. Słuchaj! Założę się, że mógłbyś zostać na kolacji. Miały kupić coś, z czego zrobią jakąś włoską kolację.

• Nie, nie mogę, dziękuję. Wpadłem tylko na chwilę, żeby ją odwiedzić. Wiesz, że muszę zobaczyć, jak się ma moja córeczka.

- Ma się świetnie, Jack. Zobaczysz. - Chwilę siedział spokojnie. - A co u ciebie? Jak ty się masz?

• Chyba nie najgorzej. Z grubsza, tak jak zawsze. A co u twoich rodziców?

• Widziałem ich w zeszłym tygodniu. Starzeją się, ale ciągle są szczęśliwi.

Kiedy Till patrzył na Boba Driscolla, nie mógł się powstrzymać od zauważania poszczególnych cech, typowych dla osoby z zespołem Downa - tej zaokrąglonej głowy i przysadzistej sylwetki, nieco skośnych oczu i małego nosa. Wszyscy mieszkający tutaj młodzi ludzie byli bardziej podobni do siebie niż do swoich krewnych. Zupełnie jakby mieszkańcy „Kwietnego Domu” byli członkami tej samej rodziny. Zdawało się, że tych młodych ludzi łączy coś bardziej zasadniczego: zbiór postaw i manier, które przejmowali jedno od drugiego, oraz charakterystyczne spojrzenie na świat, dzięki któremu wydawali mu się jak mędrkujące, ale zupełnie niezepsute dzieci. Tyle że dziećmi już nie byli.

53

Rosę zdecydowała, że jeśli urodzi się chłopiec, dostanie na imię Christopher, a jeśli dziewczynka - Holly. Jej ginekolog nie widział

powodu, by zlecić badanie płynu owo-dniowego, jako że wszystko przebiegało dobrze, a Rosę była zdrowa i miała dwadzieścia cztery lata. Nie mogli wiedzieć, że pojawił się dodatkowy chromosom 21 i że Holly ma zespół Downa.

Nim minął rok, Rosę zostawiła ich oboje i Till sam urządzał Gwiazdkę dla swojej córeczki. Jej pierwsze urodziny, dziesiątego grudnia, spędzili spokojnie we dwoje i Holly spała już o siódmej, a on wtedy postanowił, że już nigdy więcej nie będą obchodzić żadnych uroczystości tak spokojnie i cicho. Kolejne urodziny i Gwiazdki *były* huczne i głośnie, a dom pełen gości. Odnotował z satysfakcją, że odkąd Holly zamieszkała w „Kwietnym Domu”, jej przyjęcia urodzinowe trwały długo, były hałaśliwe i powodowały bałagan.

Usłyszał samochód na podjeździe, a potem trzaśnięcie drzwi. Wstał i wyjrzał. Jego córka i dwie pozostałe dziewczyny śmiały się i paplały jak zwykle, po czym, jakby poczuła jego wzrok, Holly spojrzała w stronę domu.

- Tata!

Wyszedł na werandę.

- Cześć, Holly. Mogę pomóc zanieść zakupy?
- Jasne. Patrzyłam, czy Bob i Randy nie przyjdą nam pomóc, ale widzę, że się ukrywają i czekają, aż nie będzie nic do roboty.
- Tacy są mężczyźni - powiedział. - Ostrzegałem cię.
- Ty taki nie jesteś, Jack - powiedziała Marie.
- Bo Holly mnie wyćwiczyła.
- Cześć, Jack - przywitała go Nancy. - Kopę lat!
- Byłem tu w środę, Nancy.

- Wiem. Po prostu lubię to mówić.
- W porządku. - Wziął część zakupów, wszedł z dziewczętami do środka i postawił torby *na* blacie.

54

Kiedy już mieli wolne ręce, córka rzuciła mu się na szyję i jak zwykle uścisnęli się radośnie.

- Możesz zostać na kolację?
- Dzisiaj raczej nie. Właśnie zaczynam trudną sprawę i mam jeszcze kilka rzeczy do zrobienia. Ale dziękuję za zaproszenie. Wpadłem tylko, żeby z tobą chwilę pogadać.
- Naprawdę? Dlaczego?
- Bo lubię z tobą rozmawiać.
- To dlatego, że mnie kochasz - oznajmiła. - A to miłe.
- Wiem.
- No to chodź - powiedziała Holly. - Pospacerujemy i pogadamy.
- Dobrze.

Wyszli na werandę.

- Nie stercz tam, Bob! - krzyknęła w stronę otwartych na korytarz drzwi. - Możesz zagotować wodę, kiedy ja będę rozmawiać z tatą.

Bob wynurzył się z korytarza ani trochę niespieszony.

- Dobra.
- Jak wyglądają sprawy w tym tygodniu, Holly? - spytał Till, gdy mijali stare domy, które w kilku ostatnich latach przeszły renowację. - Wiem, że w zeszłym nie byłaś zadowolona.

-Lepiej. Praca jest sympatyczniejsza, odkąd wynajęłam Nancy. Zrobiłyśmy trochę porządków przed wiosenną wyprzedają. Może nawet wymalujemy ściany. Zastanawiamy się nad tym z panią Fournier.

- Brzmi to ambitnie.

Obejrzała się.

- Jesteśmy już na tyle daleko od domu, że możesz mówić. O co chodzi?
- O tę sprawę.
- Dzisiaj ją dostałeś?
- Ściśle rzecz biorąc, nie. Chodzi o coś, co wydarzyło

55

się sześć lat temu. Miałaś wtedy około piętnastu lat. Nie wiem, czy sobie przypominasz. Wyjechałem na ponad tydzień. Zostałaś wtedy z babcią. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Pamiętam, że kilka razy mieszkałam u babci. Zwykle dlatego, że miałaś jakąś panienkę i z nią spałaś.

Uśmiechnął się niewyraźnie. To też był fragment całości. Dla Holly nie było tematów, których się nie porusza.

- Możliwe - przyznał. - Ale to było coś innego. Zajęło mi przeszło tydzień. Chodziło o dziewczynę, pobitą i przerażoną. Wywiozłem ją stąd i nauczyłem, jak ma się ukrywać przed złymi ludźmi.
- To ładnie z twojej strony, tato. Ty jesteś najlepszy!
- No cóż, możliwe, że będę miał kłopoty z tego powodu. Dowiedziałem się, że niewinny człowiek, stary przyjaciel tej kobiety, jest oskarżony o jej zabicie. Musiałem więc pójść do biura prokuratora okręgowego i przyznać się, że to ja ją stąd wywiozłem i że ona mieszka gdzie indziej.

- Dlaczego?
- Żeby prokurator kazał policji go wypuścić.
 - Sam nie mogłeś tego powiedzieć policji? Znają cię przecież.
- Nie. To już za daleko zaszło. Będzie prawdziwy proces.
- No więc powiedziałeś i go uratowałeś. W czym więc problem?
- Z tego powodu być może sam będę musiał wyjechać. To, co zrobiłem, żeby uniemożliwić znalezienie tej dziewczyny, nie było tak całkiem zgodne z prawem. Pomogłem jej zdobyć fałszywy dokument tożsamości i tak dalej. Pomogłem jej kłamać.
- Pójdiesz do więzienia?
- Nie wiem.
- Kiedy będziesz wiedział?

56

- Posłanie mnie do więzienia zajęłoby dużo czasu. Musieliby postawić mi zarzuty, zorganizować proces, ja miałbym okazję powiedzieć sędziemu, dlaczego to zrobiłem, i pokazać, że nie miałem żadnych złych zamiarów i że nikomu nie wyrządziłem krzywdy.
- Więc pewnie nie powinieneś się jeszcze martwić.
 - Zgadza się. Może nigdy do tego nie dojdzie. Mówię ci o tym teraz, ponieważ taka była nasza umowa, nasz układ. Mówimy sobie o wszystkim, jak tylko się o tym dowiemy.
- Jak mam ci pomóc?
 - Na razie nie musisz. Może jeśli dostanę jakiś niewielki wyrok, przechowasz dla mnie parę rzeczy.
 - I jeszcze będę cię odwiedzała. I pisała długie listy.

- Dzięki, skarbie. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć i wymyślisz coś miłego.

Wyszli z za rogu i Till dojrzał „Kwietny Dom” w prześwicie między dwoma budynkami stojącymi na jego tyłach. Obserwował, jak Holly wpatruje się w dom, jakby podejmowała decyzję, co ma tam posadzić lub na jaki kolor pomalować ściany.

Zastanawiał się, co pomyślałaby jej matka, gdyby mogła ją teraz zobaczyć i usłyszeć. Widać było, że Holly ma zespół Downa, ale było w niej też piękno i siła. Żałował, że Rosę nie przewidziała możliwości połączenia tego wszystkiego w jednej osobie. Od dwudziestu lat mieszkała na Florydzie, ostatnie osiemnaście w drugim związku małżeńskim z doktorem Timothy Zyrnickiem. Zawsze wydawało mu się dziwne, że wyszła za lekarza. Nie miał pojęcia, czy doktor Zyrnick wie o Holly. W listach, które Till do niej pisał przez te lata - zazwyczaj jeden rocznie - nigdy o to nie zapytał, a w swoich odpowiedziach ona nie wspominała o relacjach z nowym mężem. Na początku Till załączał zdjęcia córki, ale kiedyś napisała, żeby tego więcej nie robił. Kilka lat później Rosę poprosiła, żeby

57

w ogóle przestał do niej pisać i pozwolił jej żyć nowym życiem, jakie sobie zbudowała. Dodała, że jeśli się z mężem przeprowadzą, to poda mu nowy adres na wypadek jakichś medycznych czy prawnych problemów. Od tamtej pory przeprowadzała się ze trzy razy do coraz bardziej wytwornych dzielnic w okolicy Naples na Florydzie. Nie miała więcej dzieci.

Kiedy wracali z Holly do jej domu, ogarnął go głęboki smutek. Miał

mnóstwo zajęć na ten wieczór, jednak z ogromną niechęcią myślał, że miałby tak wpaść do niej na dziesięć minut, zamienić szybko kilka słów i zaraz potem się ulotnić.

Popatrzyła na niego z przebiegłą miną.

- Wiesz, będzie spaghetti. Zawsze można wrzucić dodatkową porcję do wrzątku i ugościć jeszcze jedną osobę.

Objął córkę i przytulił.

-W porządku. Nie mogę się oprzeć takiej pokusie i z przyjemnością zostanę na kolacji.

ROZDZIAŁ 8

Till siedział w aucie na Vignes Street i obserwował oświetlony teren przed bramą aresztu hrabstwa. Mimo że było już po północy, z wąskich okien wielkiego betonowego budynku biło jasne światło, a co najmniej czterdzieści osób czekało w samochodach albo obok nich. Wyglądali jak ludzie w porcie czekający na przybicie statku. Były tam kobiety z małutkimi dziećmi, które powinny o tej porze spać, panie w podeszłym wieku, najwyraźniej czekające na synów lub córki. Po drugiej stronie ulicy stały trzy niskopodwoziowe, szerokie auta w landrynkowych kolorach i z mnóstwem chromu, zaparkowane zderzak w zderzak. Wysiedli z nich młodzi ludzie i chodzili w tę i z powrotem, rozmawiając i wymachując pokrytymi gęstym tatuażem rękoma. Z tej odległości Till nie był w stanie rozpoznać kolorów na tatuażach, ale wiedział, że jeśli znajdzie się trochę bliżej, to rozpozna, który gang reprezentują te symbole. Już wcześniej

widział je wszystkie na denatach i podejrzanych. Przyjaciół, na którego czekali, musiał być lubiany, żeby zasłużyć sobie na taką kawalkadę w drodze do domu.

Drzwi budynku otwały się i na teren przed bramą wypuszczono grupę osadzonych. Więzienie było przepełnione i brakowało personelu, strażnicy więc pozbywali się więźniów partiami.

Till, wysiadając z wozu, spostrzegł tego, na którego czekał: Erie Fuller był mężczyzną po trzydziestce, wyso-

59

kim jak on sam i miał włosy tak krótkie i jasne, że trudno było zauważyć, gdzie się zaczynają i gdzie kończą. Twarz miał czerwonawą i mimo młodego wieku trochę zmarszczek, jakby często mrużył oczy. Kiedy wyszedł z bramy, detektyw go zatrzymał.

- Witam, panie Fuller. Jestem Jack Till.
- Jay Chernoff mówił mi o panu. A w ogóle to gdzie on jest? Myślałem, że będzie tutaj.
- Powiedziałem mu, żeby został po tamtej stronie budynku, na wypadek gdyby czekali na pana reporterzy albo coś gorszego. Uzgodniliśmy, że to ja odwiozę pana do domu, bo chciałem z panem porozmawiać. Nie ma pan nic przeciwko?

Fuller spojrzał w głąb ciemnej ulicy. Pozostali zwolnieni powiadali do samochodów i odjechali.

- Chyba nie mam specjalnego wyboru.
- Wiem, że ma pan prawo być na mnie wściekły - zagaił detektyw, gdy wsiedli do auta.

Fuller spojrzał na niego.

- Jestem szczęśliwy, wiedząc, że Wendy żyje, i pewnie powinienem panu za to podziękować, no i że pan to teraz wyjawiał. Co nie oznacza, że pana lubię. Zabrał pan Wendy i pozwolił, żebym przez sześć lat uważał ją za martwą. Wendy była... jest... najważniejszą osobą w moim życiu. Odkąd zniknęła, myślałem o niej każdego dnia. Czasami żałowałem, że nie umarłem razem z nią. A tu jakieś dwadzieścia cztery godziny temu zostaję aresztowany, zaciągnięty tutaj i wrzucony do celi śmierdzącej moczem i wymiocinami, i oskarżony o to, że ją zamordowałem. Nie mogę się powstrzymać od myśli, że to pana zasługa.
- Staralem się ratować jej życie. Przykro mi, że pewne fragmenty całego planu sprowadziły na pana kłopoty. Kiedy tylko się dowiedziałem o oskarżeniu, natychmiast odwiedziłem biuro prokuratora okręgowego.
- Wiem, że nie chciał mnie pan skrzywdzić. Ale co ją

60

do tego przywiodło? Kochałem ją. Co ona sobie, do diabła, wyobrażała?

- Odniosłem wrażenie, że zerwaliście ze sobą.
- Zerwaliśmy? To określenie nie ma do nas zastosowania. Byliśmy ze sobą tak długo, że małżeństwo wydawało się czymś oczywistym. Kiedy doszliśmy do wniosku, że jednak nic z tego, przyznaliśmy, że od początku bardziej pociągali nas inni ludzie, ale nie wyobrażaliśmy sobie, jak moglibyśmy żyć bez siebie. Nie pogniewaliśmy się na siebie. To zupełnie nie w jej stylu, nie powiedzieć mi, co zamierza. Dlaczego mi nie powiedziała?
- Uważała, że jedynie w ten sposób może pana ochronić. Była przekonana, że jej czas tutaj dobiegł końca. Pański nie. Pomogła rozkręcić restaurację i zrobić z niej dochodowy interes, ale tak

naprawdę to pan był tu prawdziwą siłą napędową. Powiedziała mi, że nikt nie przychodzi do restauracji dlatego, iż w biurze siedzi absolwent wydziału zarządzania z dobrej uczelni.

- To nie powód, by kazać mi myśleć, że nie żyje.
- Sądziła, że będzie pan się starał ją chronić, może nawet dopaść ludzi, którzy chcieli ją skrzywdzić.
- To było głupie, zrobić coś takiego. Mogłem jej pomóc. Zamiast tego oskarżono mnie o jej zabicie.

Till odetchnął głęboko. Nie było już powodu, żeby coś ukrywać, a poza tym nie miał do tego prawa.

- Uważała, że kiedyś i tak musicie się rozejść. Bo ni gdy by pan nie znalazł kobiety, która by tolerowała w pańskim życiu kogoś takiego jak ona. Zresztą, gdyby ona była w pobliżu, nawet by pan nikogo nie szukał. To samo dotyczyło jej. Wyjechała ze względu na zagrożenie, ale nie tylko przed zabójcą musiała uciekać.

Erie Fuller milczał wychylony do przodu, z oczyma utkwionymi w deskę rozdzielczą. Wyglądało to tak, jakby miał się rzucić na Tilla. Twarz mu sczerwieniała, niemal opuchła, oczy się zaszklily.

61

- Nawet tego nie przemyślała i nie przygotowała - rzucił w końcu. - Zostawiła wszystko... swoją połowę restauracji, swoją połowę domu, wszystko, co razem stworzyliśmy.
- Uważała, że ma pan do tego większe prawo niż ona, a poza tym nie było sposobu, żeby to wszystko zatrzymać i zniknąć. Wiem, że dzisiaj jest pan na nią wściekły, ale powtarzam, że zależało jej na panu i

chciała być pewna, że jej kłopoty pana nie zniszczą.

Odchylił się na oparcie fotela, przymknął oczy i tarł czoło.

- Boże. Przepraszam. Po prostu to wszystko dzieje się naraz. Jeśli mam być szczerzy, boję się. Wypuszczono mnie za kaucją. Nie wycofano zarzutów. Nie chcę iść do więzienia na resztę życia. Jay powiedział mi o tych ogłoszeniach.

Nieustannie się zastanawiam, co będzie, jeśli Wendy ich nie zobaczy. A jeśli mieszka za granicą? Mogliby mnie skazać za morderstwo, a ona by nawet o tym nie wiedziała.

Mógłbym dostać karę śmierci.

Till przez kilka chwil prowadził w milczeniu.

- Między innymi dlatego chciałem z panem porozmawiać. Muszę wiedzieć wszystko, co tylko może mi pan po wiedzieć, żeby wykombinować, jak do niej dotrzeć.

- Nie wiem, co mógłbym powiedzieć. Kiedy zniknęła, dzwoniłem do każdego, kogo znaleźliśmy, przeszukałem nasz dom i restaurację, żeby znaleźć jakąś wskazówkę, dokąd mogła wyjechać.

- Czy nie wspominała nigdy jakiegoś miasta, w którym chciałyby kiedyś zamieszkać?
- Owszem. Los Angeles. Ona wybrała to miasto dla naszej restauracji.
- Czy jest jakieś miejsce, w którym chciała spędzić wakacje i dokąd nigdy nie pojechaliście?
- O Boże. To może być wszędzie. Kiedy byliśmy bardzo młodzi, mieliśmy za mało pieniędzy, żeby gdziekolwiek

Francji, ale głównie po to, żebym ja mógł poterminować w jakiejś znakomitej restauracji. Kiedy chodziliśmy do szkoły w Wisconsin, rozmawialiśmy o Tahiti zimą i o Górach Skalistych latem. Nigdy jednak to nie było na serio. Mogła pojechać wszędzie.

- Mówiłem jej - powiedział Till - że jeśli chce pozostać w ukryciu, to już nigdy więcej nie wolno jej się kontaktować z nikim, kogo wcześniej znała. Niełatwo jednak trzy mać się tej zasady. Jeśliby miała chwilę słabości i postanowiła z kimś pogadać, kogo by wybrała?

Fuller wzruszył ramionami.

- Tylko mnie.

-Tak właśnie myślałem. Również dlatego chciałem z panem rozmawiać bezzwłocznie, jeszcze tej nocy. Musi pan zrozumieć, że sześć lat temu ludzie tacy jak ja udzielili jej mnóstwa rozsądnych rad i próbowali ją odwieść od tego pomysłu, ale to ona miała rację... naprawdę komuś zależało na jej śmierci. Jediną osobą, która mogła podrzucić dowody wrabiające pana, jest ktoś, kto ją wówczas napadł. Usiłują ją teraz wywabić z ukrycia. Kiedy się pojawi, spróbują dopaść ją ponownie. Będą pana obserwować i jeśli miałyby im to pomóc w dotarciu do niej, to pana też zabiją.

Odwiózł Fullera do domu, który restaurator dzielił kiedyś z Wendy. Kiedy mężczyzna wysiadł, Till wręczył mu swoją firmową wizytówkę.

- Jeśli zadzwoni czy napisze, czy w jakikolwiek inny sposób spróbuje się z panem skontaktować, musi pan natychmiast dać mi znać. Jeśli zauważy pan, że jest obserwowany, przyjadę i sprawdzę to. Mogą to być po prostu gliny, ale jeśli byłby to ktoś inny, sprawię mu

niespodziankę.

- Dlaczego miałby pan dla mnie narażać życie?
- Może to nie panu pomagam, tylko jej.

Po tamtej nocy Till przez miesiąc wyczekiwał reakcji

63

Wendy na ogłoszenia, które z Jayem Chernoffem umieścili w dziennikach i czasopismach. Pod koniec tego miesiąca odwiedził „Kwietny Dom”, choć nie był to ten dzień tygodnia, w którym zazwyczaj tam przyjeżdżał. Pięć razy, w odstępach dziesięciominutowych, przejechał obok domu, postawił samochód na parkingu przy supermarkecie i przeszedł pieszo kilkaset metrów, baczniej niż zazwyczaj obserwując okolice, sprawdzając, czy nie zaszła w niej jakaś zmiana. Wieczorem zabrał córkę do kina, a potem odbył z nią długą, poważną rozmowę i odprowadził pod same drzwi.

Kiedy wrócił do domu, zadzwonił do Chernoffa.

- Jay, Wendy się nie zgłasza. Czas, żebym to ja po nią ruszył.

ROZDZIAŁ 9

Sylvie uwielbiała wieczory w studiu tańca. Fasada tego domu była zwodnicza. Jedno z najlepszych studiów tańca towarzyskiego w mieście, mające za sąsiedztwo sklep z armaturą łazienkową i kilka domów należących do klasy średniej, mieściło się na piętrze długiego drewnianego budynku z dwoma szeregami pokoi.

Dziś był wieczór tanga, a Paul był w tym wyjątkowo dobry. Osiem lat temu spędzili dwa miesiące w Buenos Aires, pobierając lekcje u znanej nauczycielki tego tańca, niejakej Gomez La Paz. Mierzyła niecały metr pięćdziesiąt, była koścista, i jak twierdzono, miała siedemdziesiąt kilka lat, lecz kroki pokazywała uczniom w czarnym trykocie, pantoflach na wysokich obcasach oraz szkarłatnej spódnicy. Nakładała grubą warstwę makijażu; usta malowała na krwistoczerwony kolor, powieki pokrywała ciemnym cieniem. Włosy miała ufarbowane na kruczoczarny kolor, a palce każdej dłoni zdobiły trzy iskrzące brylanty. Sylvie zawsze myślała, że zważywszy na wiek kobiety, te brylanty to niepowtarzalne zabytki. Kiedy señora Gomez La Paz mówiła, to jakby rozgryzała wypowiedzane słowa obnażonymi zębami. Chociaż Sylvie nie znała zbyt dobrze hiszpańskiego, zrozumiała, że señora powiedziała o niej, iż tańczy jak krowa. Paul skłamał na ten temat, ale Sylvie to nie przeszkadzało. W końcu tkwiło to w samym charakterze tańca. W tangu nie chodzi o czułości. Tancerze

65

cały czas trzymają się w ryzach, a sam taniec mówi o pożądaniu i zazdrości, i tłumionej nienawiści.

Dzięki temu doświadczeniu Sylvie i Paul cieszyli się uznaniem w studiu tańca. Ostatecznie ich mistrzynią była jedna z legendarnych choreografek w Buenos Aires, a nie jakiś przystojniaczek w Van Nuys, który uczył się tańczyć na fakultatywnych lekcjach w stanie Oklahoma.

Paul cofnął czarne bmw i zaparkował je przodem w stronę wyjazdu, z dala od pozostałych aut. Potem niespodziewanie przechylił się w stronę Sylvie i ją pocałował. Przysunęła się do niego, pozwalając, by pocałunek

trwał jak najdłużej. Był mocny i namiętny, niespecjalnie czuły. Potem Paul wysiadł i obszedłszy auto od tyłu, otworzył jej drzwi, a ona leciutko musnęła jego dłoń gestem pełnym wdzięku.

Ruszyła w stronę budynku, usłyszała za sobą trzaśnięcie drzwi, a potem odgłos szybkich długich kroków podążającego za nią Paula, aż poczuła jego rękę obejmującą ją w pasie. Już była podniecona, gotowa. Kiedy wspinali się po schodach, słyszała muzykę zza drzwi na końcu korytarza. Paul przyspieszył kroku, żeby otworzyć przed nią drzwi. Sylvie dokonywała *entree* z pełną świadomością. Kroczyła dumnie po wyfroterowanym parkiecie, a potem niedbale zarzuciła szal z czarnymi frędzlami na oparcie krzesła, wiedząc, że wszyscy obserwują ją i Paula, który troskliwie, a może nieco zaborczo, tkwi tuż przy niej. Był trochę od niej wyższy i kiedy stała obok niego, trzymała się prosto, podkreślając swój wzrost i wysmukłą sylwetkę. Na wieczory tanga ubierała się tak jak senora Gomez La Paz, wiedząc, że na niej ten strój wygląda elegancko i egzotycznie.

Omiotła wzrokiem pozostałych tancerzy, patrząc w lustrzaną ścianę, obok której Mindy wykonywała ćwiczenia rozciągające. Oparła właśnie jedną nogę na drążku i dotknęła czołem kolana. Podniosła blond głowę i błysnęła

66

ośniewająco białymi zębami, posyłając w lustro długie powitalne spojrzenie, jednak jej oczy nie wydawały się skupione na tym, na czym powinny. Sylvie lekko odwróciła głowę, podążając za trajektorią odbitego w lustrze spojrzenia Mindy i natrafiła wzrokiem na Paula. Postawiła prawą stopę na krześle, na którym wcześniej powiesiła szal, i oglądała

pantofelek, udając, że niczego nie zauważyła.

Mindy popełniła głupi błąd. Utrzymywała zgrabną figurkę, ponieważ za dnia musiała pracować jako instruktorka aerobiku. Miała uroczą okrągłą buźkę z szeroko osadzonymi błękitnymi oczyma oraz wybielone zęby i rozjaśnione włosy. Nie ulegało wątpliwości, że codziennie wzbudza zainteresowanie starszych, żonatych mężczyzn, niemniej zwrócenie uwagi na Paula było niefortunnym pomysłem. Mindy nie miała pojęcia, kim jest Paul. Ani Sylvie.

Paul był bardzo wąski w pasie, miał ładne rysy, gładką cerę oraz duże oczy z długimi rzęsami. Prawdopodobnie to jego wygląd pociągał Mindy. Była niczym owe nastolatki, które zadurzają się w śpiewających chłopcach wyglądających jak inne nastoletnie dziewczęta. Paul robił wrażenie potulnego i niegroźnego. Był tego typu mężczyzną, który wpuszcza do domu małe dziewczynki, kupuje od nich ciasteczka i jest dla nich uroczy. Ale miał też zupełnie inne cechy.

Na myśl o pomyłce Mindy na ustach Sylvie pojawił się lekki uśmiezek i jej zazdrość się ulotniła. Poczwała w trzewiach i kręgosłupie rozgrzewającą muzykę, postawiła stopę na parkiecie i sama wykonała kilka kroków. Paul rozpoznał je natychmiast, podchwycił i rozpoczęli układ, jakiego nauczyła ich senora Gomez La Paz.

Przyciągnęli uwagę kilku innych par, które stanęły nieopodal i patrzyły; kilka próbowało naśladować ich kroki. Paul objął Sylvie i zakręcił nią. Przez sekundę widziała,

67

jak Mindy udaje, że jest zaabsorbowana swoją rozgrzewką i nie zwraca na nich najmniejszej uwagi.

Sylvie zakręciła się w przeciwną stronę, dzięki czemu mogła ponownie rzucić okiem na podziwiających ją ludzi. Były tam głównie małżeństwa koło czterdziestki, jak sami Turnerowie, jedynie kilka osób było starszych. Wszyscy pobierali kiedyś lekcje tańca, a niektórzy mieli pewne doświadczenia z konkursów tanecznych, zatem była to grupa zaawansowana. Prowadzili interesy albo pracowali w wolnych zawodach i wiele z tych par nie przyjeżdżało razem, tylko każde z małżonków osobno swoim samochodem, pomimo że lekcja zaczynała się dopiero o wpół do dziewiątej wieczorem.

Punktualnie o tej porze Mindy wyłączyła muzykę.

- Dobry wieczór, señores i señoritas - zawołała. - Widzę, że wszyscy państwo pamiętali, że mamy dziś wieczór tanga, i naprawdę wczuli się w atmosferę. - Potoczyła wzrokiem po dwudziestoosobowej grupie, dając czas kobietom, by przyjrzały się sobie wzajemnie i krytycznym okiem oceniły stroje, w których przeważała czerń i czerwień, a całości dopełniały siatkowe pończochy. - Dzisiejszego wieczoru czeka nas dużo pracy, chcę bowiem wam pokazać trzy wspaniałe kroki, których dopiero co sama się nauczyłam. Oto pierwszy. Zaczniemy od kobiety. - Włączyła muzykę i odtańczyła powolny, majestatyczny pasaż, a kiedy muzyka dobiegła końca, wykonała obrót i skradającym się ruchem postąpiła do przodu. - Rozumiecie? Cztery kroki, w jednym ciągu. Potem piruet, a potem lwica rusza na łowy.

Powtórzyła to jeszcze trzykrotnie, a następnie obserwowała, jak kobiety z grupy trzykrotnie próbują to powtórzyć. Co jakiś czas podbiegała do którejś z nich, poprawiając pozę czy podnosząc wyżej któreś ramię.

Potem zademonstrowała partię męską i patrzyła, jak mężczyźni próbują

ją naśladować. Byli mniej przekonują-

68

cy od pań, a ich ruchy dawały Sylvie wyraźnie do zrozumienia, że wszyscy oni, poza Paulem, spędzają całe dni w biurze.

- A teraz - zawołała Mindy - łączymy jedno z drugim i tworzymy magię.

Rozległ się śmiech uznania i partnerzy, przywierając do siebie, ruszyli niepewnie na parkiet.

- A przy okazji - powiedziała Mindy - powinniśmy po witac państwa Turnerów. Ostatni miesiąc spędzili w Europie. Zawsze miło jest ich tu widzieć, szczególnie w wieczór tanga, bo są w tym tańcu naszymi ekspertami. Paul, czy zgodzisz się być moim partnerem przy tej demonstracji?

Paul uśmiechnął się od niechcienia, zerknął w oczy Sylvie, podszedł do Mindy i stanął obok niej. Objął jej ramiona i na chwilę zastygli naprzeciwko grupy. Odwróciła się do niego i prawą ręką chwyciła jego lewą dłoń. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że musi sięgnąć do odtwarzacza płyt i włączyć muzykę, i teatralnie odchyliła się do tyłu.

Na ten widok większość obecnych uśmiechnęła się albo zachichotała, Sylvie natomiast mocno zacisnęła szczęki. Nie przestała ich zaciskać, kiedy Paul i Mindy wykonywali ten krótki pasaż z nowymi krokami. Nie zatrzymali się od razu; Mindy z oczami wlepionymi w oczy Paula przetańczyła z nim, poruszając się przesadnie, jeszcze pięć kolejnych taktów.

Sylvie poczuła na barku delikatne pacnięcie, nie przypominające dotyku

ręki, tylko jakiegoś małego zwierzątka próbującego się wspiąć na jej ramię. Wzdrygnęła się i odwróciła z mimowolnym obrzydzeniem i wtedy zobaczyła uśmiechniętą twarz Granta Rollinsa. Wiedziała, że jest prawnikiem i mieszka w Tarzanie. Nie był zbyt wysoki, ale tęgi i zawsze kiedy zdejmował marynarkę, jego koszula pod pachami była mokra od potu.

69

- Phyllis coś się dziś spóźnia. Może przeciwiczymy to razem?

Oszołomiona Sylvie skinęła głową. Wyszła z Grantem Rollinsem na parkiet, żeby dołączyć do pozostałych, a kiedy zaczęła tańczyć, mężczyzna nadepnął jej na palce.

- Przepraszam - powiedział.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie i zobaczyła czubek jego głowy. Patrzył na swoje stopy.

Była boleśnie świadoma, że musi wyglądać z nim karykaturalnie. Przewyższała go o głowę. Wyprostowała sztywno ramiona, żeby trzymać go jak najdalej od siebie. Tańczył chropawo, nie w rytm, niewzruszony namiętną muzyką. Nienawidziła tego. Kiedy doszli do colgady, odchyliła się do tyłu lekko i niedbale, by nie ryzykować, że mały Grant jej nie utrzyma. Nie zamierzała wylądować na podłodze pod jego ciężkim cielskiem.

Wreszcie demonstracja dobiegła końca, a wraz z nią jej gehenna. Wrócił Paul i ze współczującą miną stanął obok niej. Ledwo mogła na niego patrzeć. Resztę ćwiczeń Mindy przetańczyła z Grantem. Był o cal wyższy do niej, więc wyglądali tylko jak ludzie z dwóch różnych pokoleń, a nie

jak stworzenia należące do dwóch różnych gatunków.

Muzyka umilkła i Mindy zademonstrowała kolejny krok, najpierw dla kobiet, potem dla mężczyzn. Kiedy już wszyscy umieli to powtórzyć, spytała:

- Sylvie, czy mogę jeszcze raz pożyczyć Paula do demonstracji?
- Nie. - Sylvie nie sądziła, że tak się odezwie, ale kiedy powiedziała, to z zapalczywą przekorą.
- Słucham? - Mindy wzięła jej odpowiedź za żart.
- Następnym razem, kiedy on będzie miał ochotę na seks, przyjdź mi pomóc. Wtedy będziesz sobie mogła z nim zatańczyć.

Mindy pobladła, tylko na policzkach wykwitła jej czerwona plama.

Roześmiała się, niezbyt przekonująco.

70

- Cóż za szczodra oferta. Niestety mam już chłopaka.
- To niech przyjdzie i zatańczy z tobą.

Czerwone plamy na policzkach Mindy rozrastały się, sięgając już prawie jej szyi.

- A więc, Grant. Teraz ty decydujesz.

Grant się zawahał, po czym podszedł do niej. Ujęła jego dłoń i przyjęła pozę do tańca.

- Gotowy? Raz-dwa.

Mindy kontynuowała demonstrację, trzymając Granta Rollinsa jak najdalej od siebie. Kiedy skończyła i kursanci zaczęli zajmować swoje miejsca, włączyła płytę i pozwoliła im tańczyć, jak chcieli, a sama wycofała się do najodleglejszego kąta sali i obserwowała ich w milczeniu. Zjawiała się zdyszana i zarumieniona Phyllis Rollins i Mindy przez kilka

minut pokazywała jej te dwa nowe kroki. Nie próbowała już uczyć obecnych trzeciego kroku i nie odezwała się do grupy aż do godziny dziesiątej, kiedy to wyłączyła muzykę.

- Byliście wspaniali, wszyscy - zawołała z fałszywym uśmiechem. - Świetnie chwyciliście nowe kroki! A teraz pamiętajcie. W przyszły wtorek będzie wieczór samby. Dobranoc. Jedźcie ostrożnie.

Przeszła wzdłuż lustrzanej ściany na tyły budynku, gdzie mieściła się garderoba i składzik, i zamknęła za sobą drzwi.

Kiedy ludzie zaczęli wychodzić, Paul nachylił się do Sylvie:

- Czy to było konieczne?

Sylvie stanęła przed nim z rękoma na biodrach.

- Byłam zmuszona tańczyć z trollem. Wyglądałam na wielką i niezdarną.

- To trwało tylko kilka chwil.
- Upokorzyła mnie, a ty jej pomogłeś.
- Popęłniła niewinny błąd.
- Gdyby był niewinny, to nie byłby błędem.

71

Wzięła z krzesła torebkę i szal i pozwoliła mu poprowadzić się do drzwi. Kiedy się przy nich znalazła, sprawdziła, czy reszta grupy jest już wystarczająco daleko. Wielu schodziło już po schodach, wsiadało do samochodów albo stało na ulicy i rozmawiało. Turnerowie zostali sami z Mindy. Sylvie zatrzymała się w drzwiach.

- Może zatłukę tę małą sukę.
- Genialny pomysł, absolutnie genialny!

Sylvie zauważyła, że Paul zaczyna być zły. Nie wiedziała, dlaczego jego gniew podnieca ją seksualnie, ale tak właśnie było. Przedtem była podekscytowana, tańcząc do przepełnionej namiętnością muzyki, potem czuła się całkowicie porzucona i osamotniona, a teraz skupiała na sobie całą jego uwagę, bez reszty. Jego oczy były w nią wpatrzone, jego myśli krążyły wokół niej.

- Jest teraz samiutka - zauważyła Sylvie.
- Dwadzieścia pięć osób wie, że tutaj jesteśmy i wychodzimy ostatni, a wszyscy widzieli twoją zazdrość. Obróciłaś to w żart, ale oni i tak wiedzieli. - Mówiąc to, trzymał ją za rękę, twarz miał tuż przy jej twarzy.

Uniosła głowę i pocałowała go.

- Masz rację. Kiepski pomysł. - Wyszła za drzwi, a on ruszył za nią.

Dopiero kiedy znaleźli się poza salą, usłyszała dźwięk swojego pagera. - O Boże! - mruknęła pod nosem i sięgnęła do torebki, grzebiąc w niej zapamiętane.

- Co jest?

- Pager. Wibruje mi w torebce. Ciekawe jak długo. - Odczytała numer telefonu wyświetlony na ekraniku. - Jedźmy do automatu.

Ruszyli pospiesznie korytarzem, wysokie obcasy Sylvie głośno postukiwały. W kilka chwil znaleźli się na dole i siedzieli w czarnym bmw.

Trzy minuty później Mindy wciąż stała z uchem przyłożonym do drzwi składziku, który był jednocześnie jej garderobą. Nim wyjdzie, chciała się upewnić, że wszyscy

kursanci odeszli. Tego wieczoru nie zniosłaby już ich widoku ani rozmów.

Nie zawracała sobie głowy roztrząsaniem tego nagłego przyływu niechęci. Po prostu czuła, że ma ich na jakiś czas dosyć. Po kilku kolejnych minutach ciszy wzięła torebkę i worek z kosTillmem do tańca, uchyliła drzwi i sprawdziła, czy wszyscy rzeczywiście już sobie poszli. Zewnętrzne drzwi sali były zablokowane i otwarte na oścież, a gorące powietrze wpadające do wnętrza stymulowało klimatyzację, tak że huczące wentylatory dmuchały lodowatym powietrzem na pusty parkiet.

Kilkaset metrów dalej Paul siedział w samochodzie z pracującym silnikiem, zerkając w lusterko wsteczne i patrząc przez przednią szybę, a Sylvie stała przed automatem telefonicznym przy stacji benzynowej. Nie musiał patrzeć bezpośrednio na nią, instynktownie wyczuwał, gdzie jest. Po chwili siedziała obok niego. Zatrzasnęła drzwi.

Minę miała zdziwioną i zamyśloną.

- No i co?

- Jack Till się ruszył. Densmore myśli, że wybiera się gdzieś po nią.

- Wreszcie - powiedział z uśmiechem, wrzucając bieg.

ROZDZIAŁ 10

Jack jechał ostro tej letniej nocy, prowadząc auto tak jak wtedy, kiedy był gliną, przekraczał ograniczenia szybkości tyle, ile było konieczne, żeby wyprzedzić ciężarówki, które też jechały z niedozwoloną szybkością, za to pozwalał się prześcigać przyszłym dawcom organów. Po lewej ręce miał bezkresną czerń oceanu, rozjaśnianą jedynie przez sterczące równym

rzędem w kanale oświetlone platformy wiertnicze. Po prawej ciągnęły się wysokie piaszczyste wzgórza, które w świetle dziennym zdawały się utrzymywać w całości jedynie dzięki nawłoci i polnym kwiatom, natomiast nocą wyglądały groźnie i ponuro. Ustawił klimatyzację na niską temperaturę i zimno pozwalało mu zachować czujność. Dwadzieścia minut później zaczął mijać zjazdy do Santa Barbara. Skręcił w Storke Road i drugim wylotem wjechał na Sandpit Road. Minął wejście na lotnisko i skręcił na parking pierwszej z firm wynajmujących samochody.

Wyjął walizkę z bagażnika i udając, że szuka jeszcze czegoś głębiej, zerkał na drogę, którą właśnie przebył, żeby sprawdzić, czy nie zobaczy reflektorów samochodowych. Kiedy uznał, że nikt go nie śledzi, zatrzasnął bagażnik i wszedł do długiego, niskiego budynku wypożyczalni.

Ważne, że zdążył na czas. Te wypożyczalnie zamykano dziesięć minut po przylocie ostatniego samolotu o jedenastej wieczorem. Podszedł do kontuaru i domyślił się, że zadowolenie malujące się na twarzy stojącego tam młode-

74

go człowieka, jest szczerze. W końcu siedział tu sam, i to na pewno przez całą zmianę.

Till pokazał mu swoją kartę klubową wypożyczalni samochodów i komplet kluczyków.

- Wynająłem auto w Los Angeles i chciałbym je zamienić na inny model - wyjaśnił.
- Jaki samochód pan sobie życzy? - spytał młody człowiek. -
Kompaktowy, duży czy luksusowy?
- A jakie macie z luksusowych? Cadillaki i lincolny? -spytał Till.

- Tak, proszę pana.
- Któreś są gotowe do jazdy?
- Tak, sądzę, że tak.
- Wezmę cadillaca.

Mężczyzna postukał w klawiaturę komputera i popatrzył w monitor, z półki pod kontuarem wyjął szybko druczek i zaznaczył miejsca, gdzie Till miał się podpisać, po czym poszedł do szarki po kluczyki.

- Proszę bardzo. Cadillac deville. Trzecie stanowisko od prawej strony w drugim rzędzie.
- Dzięki.

Till podszedł do auta, wrzucił walizkę do bagażnika i wyjechał na drogę. Był prywatnym detektywem już od siedmiu lat, a przedtem przez dwadzieścia policjantem, wiedział więc, że jego zadanie wymaga, by dał nurka, zniknął pod powierzchnią, a potem wynurzył się, wyglądając nieco inaczej. Musiał wtopić się w tło, niczym nie wyróżniać, znajdować się na uboczu. Najpierw jednak trzeba było się upewnić, że nikt go nie śledzi.

Na drodze do Santa Barbara panował duży ruch, jednak żaden samochód nie jechał wtedy za nim przez dłuższy czas. Od zjazdu z autostrady miał za sobą wyłącznie puszą szosę. Było to niepokojące, bo oczekiwał, że ktoś go będzie obserwować. Ten, kto doprowadził do oskarżenia Erica Fullera o zamordowanie Wendy Harper, zmusił też

75

Jacka Tilla do ujawnienia się. Powinni go mieć na oku od momentu, w którym jego nazwisko pojawiło się w tych ogłoszeniach.

Nie krył się specjalnie ze swoim wyjazdem z Los Angeles, bo chciał

zobaczyć, kto podąży za nim. Tej nocy dał im sposobność do pokazania się, tymczasem wciąż nie było po nich śladu. Zatrzymał się raz na kawę i drugi, żeby zmienić samochody, ale żadne inne auto się nie zatrzymało.

Skręcił w Hollister Avenue, po czym znowu zawrócił do Santa Barbara. Krążył po małych uliczkach, zatrzymywał się na kilka minut i czekał, ale żaden podejrzany samochód się nie pojawił. Wrócił na Hollister i jechał przed siebie. Aleja przeszła w State Street, doprowadzając go do biegnącej przez centrum miasta Figueroa Street. Zaparkował w pobliżu posterunku policji.

Wszedł frontowym wejściem i podszedł do kontuaru.

- Nazywam się Jack Till. Sierżant miał tu coś dla mnie zostawić.
- Czy mogę zobaczyć pański dokument tożsamości?

Wyjął z portfela swoją kartę z Wydziału Policji Los Angeles i pokazał kobiecie, umieszczając palec wskazujący na słowie „emerytowany”.

- Proszę ze mną - powiedziała, rzuciwszy okiem na zdjęcie i na jego twarz. Wyszła zza kontuaru, otworzyła wahadłowe drzwi i zawołała przez ramię do siedzącego przy biurku policjanta: - Zaraz wracam.

Till poszedł za nią do sali z pięcioma biurkami, gdzie pracowało kilku detektywów w cywilu. Zatrzymała się przy jednym z biurek, wzięła z niego dużą szarą kopertę i podała Tillowi.

- Powiedział, że może pan to sobie obejrzeć na miejscu, jeśli ma pan ochotę. Proszę skorzystać z jego biurka.

Till podziękował, usiadł i wyjął z koperty plik papierów. Na pierwszej kartce napisano „Southwest Airlines Lot 92,

odlot z Santa Barbara 7.05, przylot do San Francisco 8.35". Na każdej kartce umieszczono inny lot. Kohler zażądał list pasażerów wszystkich samolotów, które odleciały z Santa Barbara trzydziestego sierpnia przed sześciu laty.

Till znał Kohlera przelotnie. Był to jeden z młodych detektywów robiących karierę w wydziale i Till rozmawiał z nim tylko parę razy, ale pozostało mu pozytywne wrażenie. Pamiętał, że Kohler był postawnym mężczyzną, z otwartym wyrazem twarzy i miał opinię pracowitego. Kiedy zadzwonił do Poliakoffa, żeby go spytać o listy pasażerów, Max wspomniał, że Kohler pracuje w Santa Barbara i że prośba o listy pasażerów przychodząca od tamtejszego gliniarza nie wzbudzi większych wątpliwości. Till zdecydował się wykorzystać dawną znajomość.

Przeglądając teraz te listy, przypomniał sobie pytanie, jakie zadała mu Wendy Harper tego dnia, kiedy przyszła do jego biura. „Dlaczego odszedł pan z policji?”, spytała wtedy. „Z powodu pieniędzy”, odparł.

W rzeczywistości było zaś tak, że Till po prostu oderwał wzrok od ciała czternastoletniego chłopca, leżącego na ulicy w świetle przedświt, które niemal niezauważalnie rozjaśniało głęboki mrok nocy, pomyślał o tym, ile to ciał widział w podobnych okolicznościach, i doszedł do wniosku, że już pora. Nie powiedział tego Wendy Harper, pamiętał jednak, że kiedy o tym pomyślał, łatwiej mu było zrozumieć jej decyzję. Ona nie tylko uważała, że wyjazd z Los Angeles jest koniecznością, ale kiedy tylko zaczęła o tym myśleć, uświadomiła sobie, że już i tak przyszła na to pora. Ta część jej życia po prostu dobiegła końca.

Posortował listy pasażerów. Odłożył na bok wszystkie loty sprzed południa trzydziestego sierpnia, ponieważ tego dnia zostawił ją na lotnisku

w samo południe. Zbadał dokładnie późniejsze loty: trzy do San Francisco, trzy do Las Vegas, pięć do Los Angeles. Te trzeba było wziąć pod uwagę, jako że w każdym z tych portów lotniczych mo-

77

gła się przesiąść na samolot lecący w jakikolwiek zakątek świata. Gdyby miała przesiadkę, zostałaby na drugim poziomie, za punktami kontroli bezpieczeństwa, i nie schodziłaby do kas czy strefy bagażowej, gdzie było niebezpiecznie. Powiedział, że jeśli będzie musiała spędzić jakiś czas na lotnisku, powinna przeczekać w damskiej toalecie, ponieważ ludzie, których się obawia, prawie na pewno są mężczyznami.

Teraz jego problem polegał na tym, że nauczył ją różnych sposobów zdobywania fałszywych dowodów tożsamości, które tak naprawdę nie były fałszywe. Ludzie włączający się każdego popołudnia po MacArthur Park mogli dostarczyć nieźle wyglądające kalifornijskie prawo jazdy za dwieście dolców, ale takie prawo jazdy byłoby niedoskonałe dla kogoś, kto zamierzał przybrać nową tożsamość. Jej potrzebne były p r a w d z i w e dokumenty.

Jack pomógł jej uzyskać świadectwo ślubu. Potem pokazał, jak przerobić nazwisko męża, żeby dać mu - i sobie - nazwisko, jakie sobie wymyśliła. Prawie nikt nie podrabiał nazwisk na świadectwach ślubu, więc nie było żadnych trudności. Wystarczyło zabrać świadectwo ślubu i swoje prawo jazdy do wydziału komunikacji i zapłacić za nowe prawo jazdy z nazwiskiem po mężu. Gdy tylko się zainstalowała, mogła zamienić kalifornijskie prawo jazdy na nowe, wydane w innym stanie. Można było powtórzyć ten cały proces od początku i uzyskać prawo jazdy z innym, nowym nazwiskiem. Każdą sztuczkę da się rozwikłać, ale trudno było

sobie wyobrazić, by ktoś polujący na Wendy Harper był w stanie dotrzeć do jej nowej tożsamości ukrytej za dwoma stanami i trzema nazwiskami.

Sprawa numeru ubezpieczenia społecznego była równie łatwa. Musiała uzyskać swój prawdziwy akt urodzenia, zmienić nazwisko i datę urodzenia i wystąpić o numer dla nowo narodzonej córeczki o imieniu, które było

78

wariantem jej własnego imienia. Ponieważ na karcie nie ma daty urodzenia, mogła jej używać.

Kiedy już miała najważniejsze dokumenty, były setki sposobów umocnienia nowej tożsamości: otwarcie rachunku bankowego, wynajęcie mieszkania i płacenie przez miesiąc rachunków, a już byłaby nową osobą. Wyrobienie sobie karty bibliotecznej, członkostwo w klubie odnowy biologicznej i kilka innych łatwych do uzyskania kart zbudowałyby jej tożsamość. Nie musiała oszukiwać całego oddziału agentów FBI, tylko jakiegoś dzieciaka za ladą w Blockbuster Video czy panią, która pracowała na pół etatu w sklepie z upominkami.

Till ciągle widział zdumienie na jej twarzy.

- To takie łatwe?
- Kluczem jest nienarażanie się na odmowę.
- Jaką odmowę?
- Po prostu nie ubiega się gorączkowo o różne rzeczy. Czeka się, aż ktoś nas poprosi, i wtedy się zapisujemy. Reagujesz na listy zawierające formułkę „Przyjęcie w poczet członków gwarantowane”. Nie jest, ale im wszystkim zależy na zrobieniu z tobą interesu. Wybieraj ludzi, którzy chcą ci pomóc, żebyś ich oszukała.

-1 co potem? Mam się przyczaić i wychodzić jedynie nocą czy coś w tym sensie? Życ na pół gwizdka?

- Na początku tak to będzie wyglądało - wyjaśniał. -

Nie będzie to ani miłe, ani łatwe. Po jakimś czasie poczujesz się bezpiecznie na tyle, żeby zacząć przebywać wśród ludzi. Trzymaj się z dala od modnych restauracji i barów. Chodź tam, gdzie nikt cię nie będzie szukał... znajdź sobie pracę, która będzie cię trzymać gdzieś w ukryciu w ciągu dnia, uczęszczaj na wieczorowe kursy. Od pierwszego dnia musisz mieć gotową historię na temat własnej osoby i zawsze się jej pilnie trzymać. Kiedy już będziesz miała jakichś przyjaciół, oni pomogą ci zachować bezpieczeństwo. Będziesz chodzić w różne miejsca razem z nimi,

79

a nie samotnie, i dzięki temu będziesz inaczej postrzegana. Poznają cię ze swoimi przyjaciółmi i opowiedzą im twoją historię, a ci nowi ludzie uwierzą, bo usłyszą ją od nich, a nie od ciebie.

Dopilnował, żeby nie poznać nazwiska, jakie sobie wybrała do pierwszego sfalszowanego świadectwa ślubu, tak że teraz nie miał pojęcia, jakie nazwisko figurowało na bilecie lotniczym. Siedział na posterunku policji w Santa Barbara, przy cudzym biurku, i badał listy pasażerów samolotów odlatających pomiędzy 12.01 a 23.59. Rozpoczął od wykreślenia nazwisk mężczyzn i chłopców. To wyeliminowało ponad połowę pasażerów. Potem przejrzał listę ponownie, wyszukując nazwiska kobiet i dziewcząt, które siedziały obok ludzi o tych samych nazwiskach. To była kolejna jedna trzecia. Reszta należała do kobiet podróżujących samotnie.

Nie było żadnej Wendy. Spodziewał się jakiejś Wendy. Metoda, której ją nauczył, prowadziła do zmiany nazwiska przy ślubie, ona jednak pozostałaby Wendy. Kiedy kolejny raz przeglądał listy, zastanawiając się, czy nie przeoczył tego imienia, pomyślał o innej możliwości. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer Jaya Chernoffa.

- Cześć - powiedział. - Jak ma na drugie imię?

-Co?

- Przepraszam, że dzwonię po nocy. Ale nigdy nie sły-
szałem jej drugiego imienia, a nawet jeśli sły-
szałem, to go nie pamiętam.

-Występuje na niektórych dokumentach sądowych. Przynajmniej w
akcie oskarżenia. Poczekaj, pójde po teczkę. Ann, bez e na końcu -
odezwał się po przeszło minucie.

-A-en-en. Rozumiem. Dzięki, Jay. Postaram się jakiś czas nie zawracać
ci głowy.

- Gdzie jesteś?

- Przez telefon wolę tego raczej nie mówić, na wpa-

80

dek gdyby coś zainstalowali na twojej linii. Pozwólmy im się trochę
wysilić.

- W porządku. Zatem powodzenia.

- Dzięki.

Rozłączył się. Jeszcze zanim skończył rozmawiać, przesuwał palcem po
liście, szukając Ann. Wiedział, że miał wtedy rację. Będzie mogła używać
nazwiska, jakie umieściła na świadectwie ślubu, lecz w prawie jazdy
wciąż figuruje Wendy Ann Cośtam. Mogła mówić o sobie Ann i dalej

używać prawa jazdy jako dokumentu tożsamości potrzebnego, żeby znaleźć się na pokładzie samolotu. Mnóstwo ludzi nienawidzi imion, jakimi obdarzyli ich rodzice, więc używają drugiego imienia.

Znalazł trzy kobiety o imieniu Ann, które tego dnia wyleciały z Santa Barbara i podróżowały samotnie. Była tam Ann Mercer, która udała się do San Francisco. Była Ann Wiggett, która leciała do Los Angeles i Ann Dela-torre w samolocie do Las Vegas.

Próbował wczuć się w sposób rozumowania Wendy. Nazwisko Ann Wiggett brzmiało tak, jak Wendy Harper wyglądała. Była platynową blondynką, miała delikatne włosy i bardzo jasną karnację, taką skórę, która czasami robiła wrażenie przezroczystej. Mogła wyglądać na kobietę, której przodkowie nosili nazwiska takie jak Wiggett i Hems-dale. Ale czy Wendy wybrałaby dla siebie takie nazwisko?

Ann Mercer wydawało się dla Wendy Harper praktyczniejsze. Dość pospolite, niezaskakujące nazwisko miało tę samą długość co Harper, łatwo więc dawałoby się wpisać do dokumentów, które chciała przerobić.

Okręcił się z fotelikiem i spojrzał na siedzącego za sobą policjanta, młodego detektywa, który czytał coś, co z tej odległości wyglądało na raport z sekcji zwłok.

- Przepraszam - odezwał się. - Nazywam się Jack Till i jestem z Los Angeles. Kohler pomaga mi w pewnym śledztwie.

81

- Domyśliłem się. Jestem Dave Cota.
- Czy mógłbym skorzystać z waszej książki telefonicznej?
- Jasne. Leży tam na stole.

- Dzięki. - Till celowo nie mówił, że jest prywatnym detektywem. Stał przy stole i szybko przekartkował książkę. Zwyczajne książki telefoniczne od lat były bezużyteczne, ponieważ większość ludzi płaciła, żeby mieć zastrzeżone numery. On potrzebował specjalnej książki policyjnej, w której figurowali wszyscy. Zaczął od nazwiska Wiggett.

Były trzy numery, wszystkie na Howarda Wiggetta. Wybrał pierwszy i usłyszał głos mężczyzny, prawdopodobnie Howarda.

- Czy mogę mówić z panią Ann Wiggett? - spytał Till.

- Niestety - powiedział mężczyzna - pani Wiggett udała się już na spoczynek. Może ja będę mógł pomóc?

Till zdecydował się sprawdzić wszystko do końca.

- Dzwonię z United Airlines. Mam tutaj zapisane, że trzydziestego sierpnia, sześć lat temu, pani Wiggett leciała z Santa Barbara do Los Angeles. Czy nie zgubiono wtedy jej bagażu?

Mężczyzna zawahał się.

- Sześć lat? To sporo czasu. Odwiedzała wtedy rodziców w Nowym Jorku i samolot na ogół miał międzylądowanie w Los Angeles. Ale nie przypominam sobie, żeby zaginął jej bagaż. Czy może mi pan dać swój numer, żebym mógł jutro oddzwonić?

- Oczywiście - powiedział Till. - 800-555-0600. Zanotuję sobie, że już rozmawialiśmy. Dziękuję. - Rozłączył się.

Przeszedł do pań Mercer. Były cztery, w tym jedna Ann. Wybrał jej numer, a kiedy kobieta się odezwała, spytał:

- Czy rozmawiam z panią Ann Mercer? -Tak.

- Dzwonię z Southeast Airlines i chciałbym coś spraw-

82

dzić. Zrozumiem, jeśli nie będzie pani pamiętała. Czy trzydziestego sierpnia, sześć lat temu, leciała pani z Santa Barbara do San Francisco?

-Ojej. To dawno temu. Chwileczkę. Możliwe, że tak. Każdego lata latam tam kilkakrotnie. A o co chodzi?

- O nic szczególnego. Po prostu sprawdzamy nasz system rezerwacji, żeby dostosować go do systemu ochrony, a jako sprawdzianu używamy informacji dotyczącej starych lotów. Dziękuję za współpracę.

-Ale co...

Till przerwał połączenie. Zadzwoił do informacji dotyczącej numerów zamiejscowych i spytał o numer Ann Delatorre w Las Vegas. Włączyło się nagranie: „Przykro nam, ale ten numer jest zastrzeżony”.

Wstał, zebrał listy pasażerów i pomachał na do widzenia detektywowi Cota.

Był dumny z Wendy Harper. Świetnie się sprawiła.

ROZDZIAŁ 11

Sylvie Turner od dwóch godzin wpatrywała się w rozświetlony monitor swojego laptopa, obserwując linię jasno--niebieskich kropek ukazujących się na mapie w sposób łatwy do przewidzenia, i oczy zaczynały jej się już męczyć. Przymknęła je na chwilę, potem odwróciła wzrok, żeby popatrzeć na Paula. Wciąż, kiedy na niego patrzyła, czuła, że ma szczęście. Wysoki,

smukły i pełen wdzięku, a zarazem silny, był idealnym partnerem do tańca, a dla Sylvie taniec był odzwierciedleniem i namacalnym przejawem wszelkich złożonych relacji między mężczyzną i kobietą. Był flirtem, nieśmiałością, pochlebstwem i tkliwością, celebrowaniem, uczestnictwem, wymaganiem i uległością, a nawet braniem w posiadanie siłą. Taniec stanowił projekcję jej wszystkich uczuć i pozwalał je uzewnętrznić. To również zawdzięczała Paulowi. Taniec był czymś, co kiedyś utraciła, a co on przywrócił jej życiu.

Była dobrą tancerką na długo, zanim go poznała. Matka zaprowadziła ją na lekcje baletu, kiedy miała trzy lata, i chodziła na nie nieprzerwanie do szesnastego roku życia. Uwielbiała to, jednak dyscyplina była nieludzka, ćwiczenia zdawały się torturować ciało, a nie je kształtować. Baletki deformowały jej stopy, a do tego jeszcze ta kwestia wyglądu. Tancerz nie był osobą, lecz wymysłem, który wziął się z idei doskonałości. Nikt nigdy nie powiedział Sylvie, że nie będzie mogła być tancerką, jeśli będzie jadła, ale przecież nawet dla małego dziecka było oczywiste, że

84

jeść nie należy. Była tak chuda, że w wieku piętnastu lat jeszcze nie miesiączkowała.

Nie przejmowała się tym szczególnie. Właśnie dzięki smukłemu ciału i płaskiej piersi czuła się bardziej tancerką. Nieustannie ćwiczyła, trenowała, tańczyła. Zdążyła wykorzystać możliwości, jakie oferowały cztery kolejne szkoły baletowe, z których każda następna była dalej od domu. Przez niemal rok, codziennie po lekcjach, matka woziła ją z Van Nuys do Santa Monica, do kolejnej najlepszej szkoły baletowej, i tam Madame Bazetnikowa poddała swoje dziewczęta całorocznej ocenie.

Pierwsze dziewczęta, które wyszły z gabinetu Madame, uśmiechając się i popłakując jednocześnie, uściskały się i opadły z ulgą na krzesła. Madame była kobietą trudną. Tańczyła kiedyś w Związku Radzieckim, nie w teatrze Kirowa, ale w mniejszym zespole, w Mińsku. Jej kariera dobiegła końca w latach sześćdziesiątych, a kiedy zdecydowała się uciec na Zachód, była już zaledwie opiekunką zespołu w trasie po Norwegii i jej rząd nie zwracał sobie głowy taką stratą. Ostatecznie przeniosła się do Los Angeles, gdzie zyskała grono fanatycznych wielbicielek wśród zainteresowanych baletem mieszkanek tego miasta. W sędziwym wieku wyglądała tak, jak wyobrażano sobie nauczycielkę tańca klasycznego. Każdego roku zabierała zespół dwunastu dziewcząt ze swoich wszystkich klas i podczas bożonarodzeniowej przerwy jechała z nimi w trasę po Kalifornii z fragmentami *Jeziora łabędziego* i *Dziadka do orzechów*.

Kiedy już większość dziewcząt przewinęła się przez gabinet, Madame Bazetnikowa wezwała Sylvie. Wtedy już dziewczyna spodziewała się przydzielenia jej partii Odette w *Jeziorku łabędzim* albo Klary w *Dziadku do orzechów*. Wszystkie bowiem dziewczęta wyszły uszczęśliwione, ale żadna z nich nie oznajmiła, że zatańczy którąś z głównych partii. Madame Bazetnikowa powiedziała łagodnie:

85

- Wejź, Sylvie, usiądź koło mnie.

W tym momencie uczennica poczuła, że spełniły się jej nadzieje. Madame nigdy wcześniej nie zwracała się do niej tak miło, zresztą jak i do żadnej z ocenianych dziewcząt. Pogardę natomiast okazywała zwykłym uniesieniem brwi. Tym razem głos miała spokojny i matczyzny.

•Sylvie.

•Słucham, Madame.

•Jesteś poważną, pracowitą dziewczynką. Poznałaś labanotację, nauczyłaś się kroków i dużo ćwiczyłaś. - Milcząc, przyglądała się chwilę Sylvie. - Ile czasu poświęcasz dziennie w domu na ćwiczenia?

•Dwie godziny, czasem więcej.

•Jestem pewna, że często jest to więcej. Obserwowałam cię, więc wiem. A ty wiesz, że kiedy dziewczynka osiąga piętnasty rok życia, podejmuję w jej sprawie decyzję. Ty masz już ponad piętnaście lat, ale w twoim wypadku potrzebowałam więcej czasu. Teraz postanowiłam. Nigdy nie zostaniesz tancerką baletową. Nie ma w tym twojej winy. Staralaś się ze wszystkich sił, ale twoje ciało nie jest do tego stworzone. Nie masz tego wyglądu. Zostały z ciebie skóra i kości, a mimo to ciągle jest cię za dużo.

•Postaram się jeszcze bardziej - zaprotestowała. - Będę ćwiczyć. Przeszanę rosnąć i...

Madame jednak kręciła głową.

- To nie jest właściwe postępowanie. Przestań się wysilać. Tańcz dla przyjemności, dla samej radości, jaką daje taniec. Jedz albo nie jedz i zostań modelką. Ja znam świat tańca i powiadam ci, że dotarłaś już do kresu swoich możliwości.

•Czy mogę nadal uczęszczać na lekcje? -Nie.

•Dlaczego?

•Bo to by nas obie unieszczęśliwiło.

Sylvie powoli wyszła z gabinetu, powoli zdejmowała

baletki, powoli wkładała je do torby, cały czas mając nadzieję, że wydarzy się coś, co ją tu zatrzyma. Nic się nie wydarzyło. Wyszła na dwór, powłokła się do pobliskiego baru i z automatu zadzwoniła po matkę.

Przez kolejny rok nie robiła absolutnie nic poza chodzeniem do szkoły i odrabianiem lekcji. Jadła i rosła. Dość szybko przestała wyglądać na zagłodzone dziecko i nabrała kształtów. Wyrosła, zaczęła miesiączkować. Tak jakby rozżalenie i poczucie krzywdy przeobraziło ją w bardzo wysoką ładną kobietę.

Ponownie zerknęła na Paula. Prowadził w typowym dla siebie pełnym wdzięku agresywnym stylu, zmieniając pasy, wciskając się pomiędzy inne pojazdy, nigdy jednak nie denerwując swoimi manewrami innych kierowców, nie przyciągając uwagi policji, ponieważ jego płynny sposób jazdy zdawał się usprawiedliwiać szybkość, z jaką jeździł. Prowadził samochód tak, jak tańczył. Kiedy się spotkali, ona nie tańczyła już prawie od dziesięciu lat.

Ukończyła szkołę średnią w Van Nuys i dostała pracę recepcjonistki w firmie sprzedającej kafelki do łazienek i kuchni. Dalej chodziła ze swoim chłopakiem ze szkoły, Markiem Karshem. Była w nim zakochana, odkąd skończyła szesnaście lat. Mark Karsh miał czarne kręcone włosy i brązowe oczy, w których czaiła się inteligencja. Postanowił nie iść do college'u, ponieważ miał wujka, który był montażystą filmów. Gdy Mark ukończył szkołę, wujek, wykorzystując wieloletnie znajomości, załatwił mu pracę w firmie, która przygotowywała komputerowo efekty specjalne dla programów telewizyjnych. Po kilku dniach w pracy Mark nie mógł się otrząsnąć ze zdumienia: kazano mu bowiem zacząć od samego dołu ściśle

zhierarchizowanej struktury. Otrzymał szansę nabycia trudnych umiejętności technicznych i miał się sprawdzać, pracując ciężiej i dłużej, niż wynikałoby to z jego płacy.

Sylvie wysłuchiwała jego skarg, jak to pracodawcy

87

go wykorzystują. Gdyby umieli docenić jego rzeczywistą wartość, to już by awansował i rozpoczął prawdziwą karierę filmową. Tymczasem po kilku miesiącach ciągle jeszcze nie umiał sobie radzić z urządzeniami, nadąsał się i rozleniwił, więc go wyrzucono. Na randkach Sylvie płaciła za nich oboje, podczas gdy on bez skutku szukał nowej posady. Wreszcie przyjął pracę, którą Sylvie załatwiła mu w fabryce kafelków.

Pewnego wieczoru, rok od rozpoczęcia pracy w fabryce, Mark zaprosił Sylvie na kolację w Il Calamari. Powiedział, że chce coś uczcić i że to jest niespodzianka. Zawsze chciała tam pójść i długo czekała, aż Mark umówi się z nią na prawdziwą randkę, to znaczy zaprosi ją do restauracji, zawiezie tam i sam zapłaci. Przez całą kolację droczył się z nią i nie chciał nic zdradzić. Po kolacji odwiózł ją do jej mieszkania. Przychodziły jej do głowy możliwości jakichś świetnych nowych posad dla Marka, a kiedy się nie pilnowała, pojawiała się nawet wizja pierścionka dla niej.

Kiedy tylko znaleźli się w środku, powiedział, o co chodzi.

- Nie uwierzysz. Kiedy pracowałem w tamtym studiu obróbki cyfrowej obrazów, poznałem parę osób z branży. Między innymi Ala Molineriego. To dość znany facet w tym interesie. - Mark wykazywał się sporą pomysłowością w nieujawnianiu wszystkich szczegółów. - Nie należy do tych najważniejszych. Jest po prostu gościem z koneksjami. Napisał kilka scenariuszy, zrobił kilka montaży obrazu i dźwięku, był producentem

jednego czy dwóch filmów. Słyszał o moim wujku i przedstawił mnie kilku innym facetom, którzy mogą zrobić film. Spodobałem im się. A kiedy już rozmawialiśmy, pokazałem im też twoje zdjęcie.

Sylvie zatkało. On coś ukrywał - nie, nie coś, ukrywał całe mnóstwo rzeczy - a ona zaczęła się domyślać, co to takiego.

88

•Jakie zdjęcie?

•No cóż, na początku tylko to, które noszę w portfelu, a potem kilka innych. - Szybko zakończył ten temat i wrócił do swoich nowin. - Byli naprawdę zainteresowani. Chcą się z nami spotkać i zrobić film z nami.

- Co im pokazałeś?

Wzruszył ramionami.

•Nawet nie pamiętam. Zresztą, co za różnica? Nie słyszałaś, co powiedziałem? Zagramy w filmie.

•Pokazałeś im zdjęcia, które mi wtedy zrobiłeś. Te, których obiecałeś nikomu nie pokazywać. - Rozpłakała się.

Mark przewrócił oczami.

•Do końca życia będziemy tkwić od rana do wieczora w tej pieprzonej fabryce, chyba że coś zrobimy. Próbuję stworzyć nam jakąś przyszłość.

•Przecież to pornos!

•Jest tam scena miłosna. Prawie w każdym filmie jest taka jedna. To nie jest coś, czego byśmy nie robili z milion razy i czego miałbym się wstydzić przed innymi.

•To zrób to sam, z kimś innym.

- Chcą nas oboje, nie jedno. Oboje. Posłuchaj, tylko tam ze mną pojedź. Jutro wieczorem pójdziemy do restauracji, zjemy z nimi obiad i wysłuchamy, co mają do powiedzenia. To wszystko. Jeśli będziesz uważać, że to kiepski pomysł, powiemy: „Nie, dzięki”.

Spotkali się z dwojgiem producentów w kawiarni, w dzielnicy Reseda, która leżała niedaleko tej części Van Nuys, gdzie Sylvie dorastała. Okazali się nimi: niejaki Eddie Durant, mężczyzna koło czterdziestki, z brodą tak króciutką, że wyglądał, jakby zapomniał się ogolić, oraz niejaka Cherie Will. Siedzieli razem w boksie na tyłach sali, popijając kawę i przeglądając plik papierów wyjętych z leżącej obok otwartej aktówki.

Kiedy Sylvie i Mark do nich podeszli, Eddie Durant ani nie wstał, ani nie podał im ręki, natomiast Cherie Will

89

uśmiechnęła się i poprzez stół uścisnęła każdemu rękę. Sylvie nie uznała jej za szczególnie atrakcyjną, bo była dwa razy od niej starsza i miała zmarszczki na czole i, co dziwne, nad górną wargą. Wyglądała natomiast na wysportowaną i mogła się poszczycić jędrnymi, sterczącymi piersiami, umiejscowionymi nieco zbyt wysoko na klatce piersiowej.

- Cześć, skarbie - odezwała się do Sylvie, a do Marka zwracała się per „koleś”.

Sylvie była zafascynowana Cherie Will. Kobieta, zwracając się do niej, patrzyła jej prosto w oczy.

- Zamówcie sobie coś do jedzenia.

Gdy Sylvie i Mark jedli, kelnerka przyniosła Eddiemu i Cherie następną filiżankę kawy.

- Fabuła jest taka - oświadczył Eddie - że ty jesteś młodą mężatką, która

rano przed pracą kłóci się z mężem.

•Z Markiem?

•Nie. Jeszcze nie zdecydowaliśmy, kto nim będzie. Ale nie Mark, tylko jakiś inny facet mniej więcej w twoim wieku. Wściekasz się. Oboje idziecie do pracy. Ty pracujesz w biurze jako recepcjonistka.

•Owszem. Rzeczywiście tak jest.

•No to nie będzie szczególnie naciągane. Wchodzi ten posłaniec, grany przez Marka. Przynosi pudło papieru czy coś tam. Podoba ci się z wyglądu, więc proponujesz, że mu pokażesz, gdzie jest magazyn. Zabierasz go tam, zamykasz drzwi i uprawiasz z nim seks. Odgrywasz się na mężu i złość ci przechodzi.

•To stara, prosta historyjka, ale zawsze działa. - Cherie uśmiechnęła się. - Mężczyźni fantazjują, że piękna recepcjonistka będzie się z nimi pieprzyć w jakiejś pokojówce, a kobiety, że wezmą odwet na mężu, pieprząc się z ładnym posłańcem, który je doceni. Sama ze czterdzieści razy grałam w jakiejś wersji takiej historii.

•Ile byśmy zarobili? - zainteresował się Mark.

90

- Tysiąc dolarów dla każdego za jeden dzień zdjęć wy - odparł Eddie Durant. Uśmiechnął się. - Jeśli stwierdzicie, że wam ta praca odpowiada, i będziecie w niej do brzy, płaca wzrośnie. Dla ludzi, którzy potrafią to robić, jest mnóstwo pracy. Dolina San Fernando jest światową stolicą kina dla dorosłych. Około osiemdziesięciu procent wszystkich filmów dla dorosłych kręci się w promieniu czterech mil od tego miejsca.

Mark popatrzył na swoją dziewczynę, próbując odgadnąć jej myśli, ale mu się nie udało.

- Chyba musimy najpierw to obgadać.
- W porządku. Kręcimy pojutrze, punktualnie o ósmej rano. Dajcie znać jutro do południa. - Wyciągnął rękę do Marka i chłopak ją uściskał.

Kiedy szli do wyjścia, w drzwiach stanęły dwie kobiety, mające niewiele ponad dwadzieścia lat. Zatarasowały przejście, wyciągając szyje; najwyraźniej kogoś szukały. Przez chwilę Sylvie nie mogła powstrzymać zazdrości. Instynktownie przysunęła się do Marka i położyła rękę na jego dłoni, chociaż była na niego wściekła.

Kiedy byli już na dworze, obejrzała się i popatrzyła przez szybę. Zobaczyła, że dziewczęta dotarły do boksu, w którym siedziała para producentów. Mogła odczytać z warg Cherie Will „Cześć, skarbie”, wypowiedziane do obydwu, tyle że tym razem Eddie Durant uniósł się nieco, żeby uściskać im dłonie.

Później, spoglądając z perspektywy lat, Sylvie doszła do wniosku, że nie podjęła decyzji pod wpływem perswazji Marka. Była na niego zła i nie miała ochoty robić niczego radykalnego, żeby go zadowolić. Nie było to też nic, co powiedział Eddie Durant czy Cherie Will. Chodziło o te dwie dziewczyny.

Jedna była niewysoką blondynką o niebieskich oczach i figurze, na którą pasowały ciuchy w rozmiarze dwa, z ładnym biustem, wąziutką talią i idealnie zaokrągloną pupą.

91

Widok takich dziewczyn był zawsze dla Sylvie bolesny, bo sama wyglądała zupełnie inaczej. Ta druga była wysoka i wiotka jak Sylvie i to

doprowadziło ją do szału, bo dziewczyna zdawała się rywalizować z nią o to samo miejsce we wszechświecie. Kiedy patrzyła przez okno lokalu, uświadomiła sobie, że musi wziąć tę pracę, tylko dlatego że te dwie ją chciały.

Następnego dnia dręczyła Marka przez kilka godzin, zanim mu oświadczyła, że to zrobi. Po tych wszystkich latach wciąż miała w oczach jego obraz, minę człowieka, który trafił na żyłę złota. Był przekonany, że ten jeden nieprzyzwoity film spowoduje, że go odkryją. Musiał tylko zacisnąć zęby i szczerzyć się przez jeden dzień jako gwiazda porno, a potem już zostanie prawdziwą gwiazdą.

Trzeciego dnia stawili się do pracy o siódmej trzydzieści. Studio mieściło się w niewielkiej hali magazynowej, wyciszonej, żeby zlikwidować echo, i oświetlonej reflektorami. Cherie już na nich czekała.

- Musicie przejść testy.

Sylvie myślała, że chodzi o testy przed kamerą. Tymczasem wsiedli do samochodu Cherie, czarnego mercedesa z brudną skórzaną tapicerką i wyraźnymi oznakami zużycia. Mark siedział z przodu, a Sylvie z tyłu, sama. Producentka zawiozła ich do niewielkiego biura, które wyglądało na przychodnię.

•Co to za testy? - spytała Sylvie.

•Analiza krwi - odparła Cherie. - Jeśli chcesz pracować w tej branży, co trzydzieści dni musisz przejść test na obecność wirusów chorób przenoszonych drogą płciową.

Sylvie usiadła posłusznie na krześle, a pielęgniarka pobrała jej kilka fiolek krwi z żyły w zgięciu łokcia.

- Damy ci znać - oświadczyła enigmatycznie.

Kiedy pobrano krew Markowi, Cherie odwiozła ich z powrotem do magazynu.

Sylvie weszła do środka w momencie, kiedy Eddie

92

Durant kończył kręcenie sceny do innego filmu. Nie wiadomo dlaczego założyła, że będzie tam kilka osób w zamkniętym pomieszczeniu i może operator kamery. Tymczasem nie było tam żadnego pokoju, tylko kanapa i dwie prowizoryczne ściany, podtrzymywane drewnianymi żerdziami.

Jacyś mężczyźni operowali światłami i ustawiali kąt kamery, podczas gdy inni stali w małych grupkach, pili kawę i rozmawiali albo coś sobie notowali w scenariuszach i harmonogramach. Kiedy Eddie Durant zobaczył, że Cherie wprowadza Marka i Sylvie, zabrał ich oboje z planu do jakiegoś gościa po trzydziestce, z włosami tak kruczoczarnymi, że wyglądały na farbowane. To był Bill. Ubrany w dżinsy, T-shirt i sandały.

- Megan? - zawołał Bill i podeszła do nich jakaś paląca papierosa dwudziestokilkuletnia kobieta w dżinsach i koszulce z ogromnym Kubusiem Puchatkiem.

- No to mamy już najważniejsze postaci - oświadczyła Cherie. - Bill jest mężem Sylvie, a Megan dziewczyną męża. Harmonogram jest napięty, więc musimy brać się do roboty. Dziś rano Eddie będzie kręcił tutaj sceny z Billem i Megan. Zamiast tej scenografii z kanapą zrobimy salonik Megan. Sceny z Sylvie i Markiem nakręcę sama, w biurze firmy. Kiedy tam skończymy, wrócimy tutaj, żeby zrobić resztę w scenografii domu Billa i Sylvie. Wszyscy już wiedzą, o co chodzi?

Cherie zabrała Sylvie i Marka w róg hali zdjęciowej, gdzie jakaś znękana kobieta z nastroszonymi włosami na głowie zrobiła im makijaż,

spytała, jakie noszą rozmiary, i podała dwa wieszaki z ubraniami. Poszli za Cherie do biura firmy, gdzie wysoki, chudy mężczyzna o imieniu Daryl ustawił w recepcji dużą kamerę wideo na trójnogu, a u góry, tuż poza kadrem, umieścił obręcz z białym płótnem, które miało rozpraszać jaskrawe światło reflektorów. Sylvie włożyła strój recepcjonistki, spódniczkę uszytą na niższą kobietę i bluzkę uszytą dla tęższej. Zdążyła się na-

93

uczyć swoich kwestii i powtórzyć je, kiedy siedziała za ladą recepcjonistki, chociaż telefon dzwonił dwa razy i musiała go odebrać, i podać słuchawkę Cherie. Jej kwestia brzmiała: „Paczka? Proszę pójść za mną do magazynku, pokażę, gdzie ją położyć”. Potem Cherie wyłączyła telefon, a kamera zaczęła pracować. Były trzy ujęcia, jedno zbliżenie Sylvie, jedno Marka i jedno z obojgiem jednocześnie.

Kolejne ujęcia kręcili w magazynie. Cherie wyjaśniła, o co jej chodzi.

- No więc tak, Sylvie. Ty jesteś siłą napędową tej sceny. Jesteś wkurzona na swojego męża i zwabiłaś tutaj tego przystojniaka. Teraz musisz sprawić, by był zadowolony, że tu przyszedł.
- Jak chcesz, żeby to zrobiła?
- Chcę, by wyglądało to naturalnie. Prawdziwie. Wchodzisz, zamykasz drzwi na klucz, a potem robisz to, co trzeba. Jeśli będę chciała coś zmienić, powiem „Cięcie” i każę ci robić to inaczej.

Sylvie była przez dwanaście lat tancerką baletową. Przywykła do tego, że ludzie bacznie jej się przyglądają, nie jako osobie, ale jako ciału przybierającemu różne pozy, nie miała więc odczucia, że rozbieranie się to jakieś wielkie halo. Przez tamte wszystkie lata uczyła się poruszać w

pozycjach pięknych i wdzięcznych, a twarzą wyrażać coś, co niekoniecznie akurat odczuwała. I mniej więcej takich umiejętności aktorskich wymagano od niej tutaj.

Mark był jej chłopakiem i byli do siebie przyzwyczajeni. Jedyne, co ją wyprowadzało z równowagi, to Cherie, kiedy kazała im zmieniać pozycje, albo Daryl, operator kamery, pojawiający się w jej polu widzenia, żeby przypomnieć, że nie są tam sami. Kiedy Cherie doszła do wniosku, że nakręcili już dość taśmy, powiedziała: „Cięcie”. Potem wzięła Sylvie do swojego gabinetu i pozwoliła skorzystać z niego jak z garderoby.

94

-Masz talent, skarbie. To będzie dobry film... jak na tego rodzaju filmy... i teraz dostaniesz tyle pracy, ile będziesz chciała.

- Dzięki. - Sylvie była jeszcze zdyszana i nieco otumaniona, próbowała skoncentrować się na tym, co się wydarzyło i co ciągle się działo.
- To nie jest komplement - powiedziała Cherie. - Mówię ci, że będziesz bogata.

-Nie zaczekamy na Marka? - spytała Sylvie, kiedy wracały do hali.

-Nie. Nie będzie go w kilku następnych ujęciach, a harmonogram, jak mówiłam, mamy napięty.

Gdy Sylvie zobaczyła zmienioną scenografię oraz przygotowany przez dziewczynę od kosTillmów i makijażu szlafrok na wieszaku, zrozumiała. Scena z jej mężem, Billem, nie miała być jedynie kłótnią przy śniadaniu przed wyjściem obojga do pracy. Z nim też miała uprawiać seks.

Sylvie przemyślała sobie wszystko, kiedy usiadła i pozwoliła dziewczynie robić sobie makijaż. Patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Zerknęła kilkakrotnie na Billa, który rozmawiał na planie z Eddiem

Durantem. Mogła wstać i wyjść. Nikt by jej nie zatrzymywał i pewnie nikt nie miałby do niej pretensji. Była dwudziestoletnią dziewczyną, którą do czegoś namówiono. Nie było powodu, żeby brnąć w to dalej. W tym wszystkim chodziło przecież o ambicje Marka, nie jej. Były setki dziewcząt takich jak ona, tylko czekających na taką szansę.

- Sylvie? - zawołała do niej Cherie.

Patrzyła w lustro. W tym oświetleniu jej twarz była piękna. Nigdy jej skóra nie miała tyle blasku ani oczy nie były takie duże. Włosy połyskiwały. Wyglądała nadzwyczajnie.

- Sylvie!
- Idę. - Wstała i podeszła do grupy.

95

- Kiedy zaczynamy? - spytała Cherie.

Tego wieczoru zdjęcia skończyły się o dziewiątej i Sylvie wyszła na zewnątrz, żeby poszukać Marka. Jego auta nie było tam, gdzie, jak pamiętała, zaparkował. Poszła do biura i spotkała Lily, recepcjonistkę. Właśnie wychodziła z gabinetu, w którym Eddie Durant podpisywał czeki za ten dzień pracy. Lily przerzuciła je szybko i podała jeden Sylvie.

- Mark? Odjechał już kilka godzin temu. Gdzie mieszkasz? Mogę cię podrzucić.

Kiedy Sylvie dotarła do domu, czekała na telefon od Marka, ale bezskutecznie. O wpół do jedenastej spróbowała dodzwonić się do niego. Odebrał po kilku dzwonekach.

- Gdzie byłeś?
- A gdzie ty byłaś? Po swoich zdjęciach czekałem kilka godzin.
- Miałam kilka więcej ujęć do nakręcenia.

- Słyszałem.

W tym słowie zadźwięczał koniec. Doświadczenie tego dnia zmieniło jego plany. Nie zamierzał być gwiazdą. Nie był zadowolony, że znalazł się w tym studiu, ani z tego, że ją tam przyprowadził. Nie chciał jej więcej widzieć.

Zobaczyła na aparacie migające światełko, oznaczające, że ma inne połączenie.

- Jestem zmęczona - powiedziała Markowi. - Porozmawiamy kiedy indziej - dodała, wiedząc, że tego nie zrobi.

Wcisnęła pulsujący guzik, żeby odebrać drugą rozmowę.

-Sylvie, tu Eddie Durant. Właśnie przeglądaliśmy z Cherie dzisiejsze taśmy, żeby wnieść reżyserskie poprawki, i muszę ci powiedzieć, że nie mogliśmy oderwać od ciebie oczu. Wpisujemy cię w film, który zaczynamy kręcić pojutrze.

- Ojej, jeszcze się tak naprawdę nad tym nie zastanowiłam. Przed chwilą wróciłam do domu.

96

- Zapłacimy ci dwa tysiące, dwa razy tyle co poprzednio, za jeden dzień pracy.

- Mogę mieć chwilkę, żeby to przemyśleć?

-Jasne. Zadzwoń do mnie później. Będziemy tu siedzieć przy montowaniu co najmniej do pierwszej czy drugiej-

Tak wyglądał początek. W czwartek pojechała do studia i wysłuchała Cherie, która podała jej treść scenariusza w ciągu tych pięciu minut, jakie były potrzebne, by ją uczesać i zrobić makijaż. Resztę dnia spędziła, uprawiając seks z trzema różnymi mężczyznami, których wcześniej na

oczy nie widziała.

Przez następny miesiąc pracowała trzy dni w tygodniu. Powtarzała sobie, że powinna zadzwonić do fabryki kafelków i powiedzieć im, że znalazła inną pracę, ale tego nie zrobiła. Wolała nie mówić Marcie, kierownicze biura, kobiecie w średnim wieku, że gra w filmach. Martha od razu by się domyśliła, jakie to filmy, i zaczęłaby paplać. Sylvie nie chciała, żeby mężczyźni z firmy pobiegli do wypożyczalni i zaczęli szukać kasety z jej zdjęciem na pudełku. Fabryka była jej winna około trzystu dolarów, ale nie warto było zgłaszać się po ten czek.

Minęło prawie dwadzieścia lat i Sylvie czuła się teraz tak bardzo inaczej, że była w stanie odtworzyć jedynie niektóre z odczuć tamtej dziewczyny. Wiele twarzy wyblakło w jej pamięci. Kiedy patrzyła przez przednią szybę samochodu, myśląc o odległej przeszłości, coś nagle ją zaskoczyło. Zmienił się obraz na monitorze laptopa.

- Paul! To auto jest tuż przed nami. Nie porusza się.

Pomysł, żeby w taki sposób śledzić samochód detektywa, był dla niej prawdziwym objawieniem. Wiedziała, że firmy wynajmujące samochody instalują w nich GPS-y, żeby w razie czego dopaść klientów, którzy złamią warunki umowy, drastycznie przekraczając szybkość lub wyjeżdżając poza granice stanu. Paul poszedł do firmy, w któ-

97

rej Till wypożyczył auto, i dał tysiąc dolarów w gotówce mechanikowi, żeby ten go nauczył, w jaki sposób firma odnajduje zgubiony samochód. Po prostu łączyli się przez internet z serwisem kontrolującym globalny system nawigacji satelitarnej, wpisywali kod i mieli to, czego szukali, na monitorze własnego komputera. Kod samochodu Tilla kosztował kolejny

tysiąc.

Wyglądało na to, że Till stanął na parkingu u wylotu Castillo Street, w okolicy Santa Barbara Harbor. Paul wjechał na parking i szukał niebieskiego sedana, wolno posuwając się kolejnymi alejkami pomiędzy rzędami samochodów, jakby szukał miejsca. Sylvie zauważyła wóz Tilla.

- Tam. Tuż przy wjeździe.
- Widzę - powiedział Paul. Ustawił się w następnym rzędzie, tak żeby w każdej chwili ruszyć za Tillem i Wendy Harper, kiedy wsiądą do samochodu. - Idź sprawdzić nabrzeże i sklepy.

W ciągnących się wzdłuż nabrzeża sklepach sprzedawano kajaki w jaskrawych kolorach, skafandry do nurkowania albo kosztowne stroje dla ludzi, którzy lubią się włóczyć po nadmorskich kurortach. Sylvie sprawdziła każdy sklep po kolei. Nie zauważyła nikogo, kto choćby z daleka odrobinę przypominał Jacka Tilla. Wyszła na brzeg i zatrzymała się przy molo, gdzie rozładowywano łodzie rybackie. Były tam wielkie metalowe pierścienie służące do cumowania i wciągarka elektryczna, za pomocą której podnoszono ciężkie drewniane skrzynie z ciężarówek należących do firm pakujących ryby.

Zobaczyła znudzonego młodego człowieka, blondyna tak mocno opalonego, że białka jego oczu błyskały, jakby patrzył przez otwory wycięte w skórzanej masce. Siedział z tyłu jednej z ciężarówek, słuchał radia i czekał, aż przyplynie jakaś łódź. Sylvie przez chwilę rozważała możliwość, że na tej łodzi będzie Wendy Harper, ale odrzuciła ją. Poszła dalej i przyjrzała się stojącym rzędem łodziom

rybackim; na rufie każdej dostrzegła bęben z nawiniętą siecią. Niektóre

łodzi wyglądały na opuszczone, zniszczone i brudne, jakby od lat nie wypływały w morze, sądziła jednak, że to raczej świadczy o ich częstym używaniu. Możliwe, że Till odbierał Wendy Harper z któregoś z setki zakotwiczonych jachtów albo przy dalszych nabrzeżach, ale jeśli nawet tak było, to nie widziała ani śladu małej płaskodennej łódki, którą by tu płynęli. Wróciła do samochodu.

- Nie znalazłam go. Może spotyka się z nią na jakiejś łodzi. Obeszłam wszystko wokół. Mogą być na plaży, ale pomyślałam, że lepiej wrócić tutaj, żeby się koło mnie nie prześlizgnął czy coś takiego.
- Słusznie - powiedział Paul. - Po prostu poczekamy, a potem pojedziemy za nim.

Sylvie po raz dziesięciotysięczny zastanawiała się, kiedy Till się wreszcie pokaże i wsiądzie do samochodu, czy podniesie wzrok, zobaczy ją i rozpozna jej twarz z jednego z tych filmów, które nakręciła? Zdarzyło jej się to dwukrotnie w supermarketach i raz w banku, dwa lata temu, i strasznie ją to upokorzyło. Gdyby wydarzyło się to podczas pracy, mogliby wpaść. Miała ochotę powiedzieć Paulowi, o czym myśli, ale wiedziała, że lepiej tego nie robić. Wyjęła z torebki berettę, kalibru 9 mm, sprawdziła, czy magazynek jest pełny, wsunęła go z powrotem i kiedy wskoczył na miejsce, upewniła się, że pistolet jest zabezpieczony. Ułożyła wszystko w torebce tak, że tylko cieniutka chusteczka przykrywała broń.

- Cholera! - Paul uderzył ręką w kierownicę. - Jasna cholera!
- Co takiego? - Spojrzała przez przednią szybę i zobaczyła faceta z brzuszkiem, koło czterdziestki, ubranego w hawajską koszulę i szorty khaki. Otwierał drzwi wynajętego przez Tilla auta. Trzymał kluczyki z dyndającą białą plastikową kartą wypożyczalni. - Och, nie!

Zza rogu budynku z toaletami wyłoniła się matka z dziećmi w wieku około pięciu i ośmiu lat. Dzieci wsiadły do samochodu, a mama przyklęła i smarowała im buzie kremem przeciwsłonecznym.

- Jak to możliwe, że dopadliśmy nie ten samochód? -szepnęła Sylvie. - Jak to możliwe?
- To nie tak. Till musiał go zwrócić, a ci ludzie wypożyczyć.
- Ale jak to się stało?
- Proszę, przestań zadawać takie pytania. Musiał oddać samochód, kiedy zatrzymał się wczoraj przy lotnisku. Umyli go, zatankowali i wypożyczyli tym ludziom.

Patrzyli oboje, jak rodzice wsiadają, a potem ojciec ostrożnie wyjeżdża tyłem i skręca w Cabrillo Boulevard. Matka siedziała w fotelu bokiem. Wyglądało na to, że łagodnie zachęca dzieci, by popatrzyły na błękitny bezkres Pacyfiku, tymczasem dziewczynka walnęła pięścią brata, po czym wybuchła płaczem, udając, że to on jej przyłożył.

ROZDZIAŁ 12

Jack Till siedział wygodnie za kierownicą cadillaca i patrzył, jak kolejne kilometry drogi uciekają spod kół. Silny wiatr omiatający pustynię rozwiał nadzieje na jakąkolwiek chmurkę. Niebo było jednym niezmiennym, intensywnym błękitem, a promienie słoneczne odbijały się od najmniejszego kawałka metalu ostro jak błyski fleszy. Gdy zjechał z przełęczy w dół, do

Nevady, widział w oddali wiry powodowane przez burze pyłowe.

Powracał myślą do ostatnich dni przed wyjazdem Wendy Harper. Puszczając mimo uszu jej dobrowolne zwierzenia, bo nie chciał się przez przypadek domyślić, gdzie ona będzie, i nosić tę informację w głowie przez następne dwadzieścia lat.

Lecz jedno pytanie zadawał jej w kółko:

- Kim jest ten facet, którego widziałaś z kelnerką? Byłem kiedyś gliniarzem w wydziale zabójstw. Nadal znam prawie wszystkich z jednostki specjalnej i mnóstwo ludzi z komendy hollywoodzkiej. Jeśli ją zabił, możemy go dorwać. Zamkną go.
- Nie powiedziałam, że była kelnerką. I widziałam go z nią tylko raz, w nocy. On sam mi nic nie zrobił. Myślę, że kogoś wynajął, ale tamten tego nie powiedział. Nie odezwał się ani słowem.
- Znasz tożsamość zaginionej, może już nieżyjącej, możesz z grubsza opisać podejrzanego o morderstwo i przyjrzałaś się też dokładnie temu, kto cię zaatakował i praw-

101

dopodobnie dla niego pracuje. Można by skojarzyć tych dwóch ze sobą i obu przymknąć.

- Cały czas w szpitalu się nad tym zastanawiałam. Nie wiem dość, żeby go rozpoznać, nie mówiąc już o podstawie do aresztowania, tymczasem on uważa, że warto komuś zapłacić, żeby mnie zabić. Prędzej mnie zabraknie krwi niż jemu pieniędzy. Więc lepiej będzie, jak zniknę.
- Myślę, że wiesz o nim więcej, niż mówisz. Wystarczy jego imię. Mogę je przekazać ludziom z wydziału zabójstw bez ciągnięcia cię na policję.
- Na tym polega cały dowcip. Nie znam jego imienia. Nigdy mi go nie

powiedziała.

- To skąd wiesz, że on ma cokolwiek na sumieniu?

- Kiedy zobaczyłam go z nią na parkingu, starał się ukryć twarz.

Dziwnie się zachowywał, trzymał w cieniu budynku, który miał *za* sobą. Kiedy na niego patrzyłam, podszedł do auta coś w nim sprawdzić, ale nie otworzył drzwi, bo wtedy zapaliłyby się światła w środku. Rozumiesz? W ciągu dwóch czy trzech minut zauważyłam z setkę drobiazgów i już zdążyłam z sześćdziesiąt z nich zapomnieć. To wszystko zlało się w jakiś rodzaj intuicji, a intuicja to za mało. Jedyne, co mogę zrobić, to uciec.

- Wyjazd to ogromna, poważna zmiana - oświadczył Till. - Oznacza rezygnację z kariery i ze wszystkich ludzi, na których ci zależy.

Potem ona powiedziała coś, *co* go najbardziej zaskoczyło.

-W pewnym sensie może to i dobrze. Bo i tak moje życie jest... w stanie paraliżu.

- Więc ucieczka rozwiąże twoje osobiste problemy?

- Nie prosiłam się o to. - Uśmiechnęła się. - Jednym uderzeniem kija bejsbolowego złamano mi dwa żebra. Po prostu chcę powiedzieć, że kiedy się coś takiego wydarzy, odmienia to człowiekowi życie... pod każdym względem.

- Czyżbyś była jedną z tych kobiet, które kiedy zacho-

102

rują, uważają, że to dobrze, bo przy okazji tracą na wadze?

- Nie. Nie powiedziałam, że to zmiana na lepsze, a gdyby nawet, że byłaby tego warta. Wiem, że zamieniam stare problemy na nowe. Tłumaczę ci tylko, że nigdy bym nie miała odwagi porzucić

dotychczasowego życia, gdyby nie ścigało mnie coś wielkiego i straszego. Mam połowę udziałów w doskonale prosperującej restauracji i inwestorów, którzy błagają nas, żebyśmy otworzyli kolejne, w innych miejscach. Warta jest miliony, ale nie mogę jej sprzedać. Mam połowę domu wartego milion dolarów, którego też nie mogę sprzedać. Nawet nie mam prawdziwej profesji. Mój zawód to kierowanie Erikiem Fullerem, pilnowanie, żeby był produktywny, wypłacalny i żeby nie brakowało mu świeżych produktów spożywczych i bielizny stołowej.

- Chcesz go opuścić na zawsze?
- To najgorsza część planu, ale i tak powinnam to zrobić. Erie mnie już nie potrzebuje. Jest wspaniałym kuchmistrzem, a cały personel, złożony z ludzi, których wyszukaliśmy i wyszkoliliśmy, jest mu niezwykle oddany. Znają go teraz w całym kraju. Odniósł sukces. Jeśli nie wyjadę, pozbawię go szansy na ułożenie sobie prawdziwego życia osobistego. Jeśli zostanę, ja też ją stracę.

Jack Till przedzierał się przez mgłę minionego czasu i wydobywał z niej szczegóły. Powiedziała, że jej matka nie żyje. Ojca najwyraźniej nie było od lat jej dzieciństwa. Czy też nie żyje? Ona i Erie dorastali na północy stanu Nowy Jork. W Poughkeepsie. Chodzili do college'u... gdzie? W Wisconsin.

Z samego sposobu jej postępowania w sprawie nazwiska wynikało, że jest za bystra, żeby wrócić do miejsca, w którym się wychowała, lub tam, gdzie razem z Erikiem chodziła do college'u. Wiedziała, że są tam ludzie, którzy ją kiedyś dobrze znali - nauczyciele, sąsiedzi, przyjaciele

i rodzice przyjaciół, lekarze. Nawet gdyby mogła być pewna, że nikt taki już tam nie został, byli inni, którzy znali ją z widzenia albo ze słyszenia. Na pewno wolała trzymać się z dala od miast, w których wcześniej mieszkała.

Jadąc przez pustynię, usiłował ją sobie wyobrazić, wsłuchiwał się w jej głos zachowany w pamięci. Było to dziwne uczucie, bo pamiętał, że wtedy uzmysłowił sobie, jak bardzo go ta kobieta pociąga. I wtedy też powiedział sobie, że musi ukrywać to, co do niej czuje. Ona uciekała, żeby ratować życie, a on nie mógł jej towarzyszyć. Kiedy zniknęła, wracał do niej myślami, choć zawsze starał się je odsunąć, bo przynosiły poczucie straty. Jednak teraz myślenie o niej dawało mu niemal całkowitą pewność. Wendy Harper zmieniła nazwisko na Ann Delatorre i trzydziestego sierpnia, sześć lat temu, poleciała do Las Vegas.

Las Vegas było krzykliwe, wulgarne i ekstrawaganckie. Przepływała przez to miasto nie kończąca się rzeka ludzi, którzy uważali, że zasady rządzące wszechświatem właśnie mają się zmienić i tym razem to oni zgarną kupę forsy, a właściciele kasyn pójdą z torbami. Wendy Harper nie była hazardzistką. Większość pieniędzy zaoszczędziła i od lat pracowała siedem dni i sześć nocy na tydzień. Atmosfera Las Vegas nie pasowała do niczego, co Wendy Harper kiedykolwiek lubiła. Ale przecież po to do niego przyszła, żeby się nauczyć, jak przestać być Wendy Harper. Teraz była Ann Delatorre. Kto mógł wiedzieć, co lubi Ann Delatorre?

Kiedy Till zjechał z drogi numer 15 przy kompleksie Mandalay Bay, ogarnęło go zdumienie na widok panującego tam ruchu ulicznego. Dziesięć czy piętnaście lat temu on i Jimmy DeKuyper przyjechali tu kilka razy, żeby odebrać uciekinierów, których odsyłano do wydziału zabójstw

policji Los Angeles. Zawsze zjeżdżał w tym miejscu, żeby się przejechać handlowo-rozrywkowym bulwarem Strip, i nie przypominał sobie, żeby utknął w jakimś korku. Te-

104

raz przejechanie na Strip kilku przecznic było poważnym przedsięwzięciem. Postanowił zatrzymać się w hotelu i pozwolić, żeby zrobił to za niego taksówkarz.

Stanął przed MGM Grand i natychmiast pojawił się chłopak, żeby odstawić samochód na parking. Till wysiadł i poczuł się, jakby właśnie wszedł prosto do pieca. Gorący, suchy wiatr zdawał się wysysać wilgoć z jego skóry i wysuszać mu gałki oczne. Gdy wszedł do środka, musiał stanąć w kolejce - jakieś dwadzieścia pięć kobiet w szarych kostiumach, błyskawicznie meldowało hotelowych gości, a mimo to ludzi wciąż przybywało. Świadomie działał w sposób przypadkowy, podejmując decyzje w ostatniej chwili, pod wpływem impulsu, i teraz zastanawiał się, czy nie popełnił błędu. Kiedy jednak przyszła na niego kolej i oświadczył, że nie ma rezerwacji, recepcjonistka bez słowa wręczyła mu folder z kompletem kluczy w formie kart.

Zostawił walizkę w pokoju i zabrał się do pracy. Z telefonu do informacji już się dowiedział, że numer Ann Delatorre jest zastrzeżony, więc będzie musiał go uzyskać w inny sposób. Zadzwoił do biur związków zawodowych i do działów personalnych wszystkich dużych firm, jakie znalazł w książce telefonicznej. Kiedy nie trafił na żaden ślad, wrócił do książki i zaczął przeglądać reklamy miejscowych prywatnych detektywów.

Mnóstwo agencji robiło wrażenie niezwykle uczciwych i solidnych:

„Wszyscy nasi pracownicy to byli policjanci, z wszelkimi niezbędnymi licencjami i certyfikatami" albo „Biura w Nowym Jorku, Dallas i Chicago". Nie o to mu chodziło, więc szukał dalej. Znalazł agencję na piętrze domu, którego adres wskazywał, że może to być budynek mieszczący sklepiki. Małe, tanie ogłoszenie głosiło krótko:
WYKRYWANIE OSZUSTW, SPRAWY MAŁŻEŃSKIE, ŚCIAĞANIE DŁUGÓW.

Pojechał pod podany adres taksówką. Budynek stał

105

w tej części miasta, którą Till nazywał Dziennym Las Vegas. W oddali hotele strzelały w górę jak wskazujące niebo palce, ale w pobliżu stały tylko parterowe i jednopiętrowe pudełkowate budynki, otynkowane od frontu i z przyciemnionymi szybami. Pod adresem podanym w ogłoszeniu mieściła się klatka z taną odzieżą, gabinet tatuażu, miejsce przyjęć kręgarza, a w niewielkim oknie wystawowym polecano lekcje taekwondo. Na piętrze zobaczył drzwi z napisem Usługi Windykacyjne Lamar.

Otworzył drzwi, usłyszał brzęknięcie elektronicznego dzwonka i stanął przy kontuarze niewielkiej recepcji. Rozejrzał się i zobaczył trzy plastikowe ogrodowe krzeselka oraz stół z laminatowym blatem, na którym leżały magazyny motoryzacyjne sprzed roku. Po chwili w drzwiach pojawiła się czterdziestokilkuletnia kobieta o ognistoczerwonych włosach. Położyła dłonie na ladzie i Till zobaczył, że jej długie paznokcie pomalowane są na niebiesko i upstrzone białymi kwiatuskami.

- W czym mogę pomóc? - spytała bez cienia entuzjazmu.

Till wyjął swój dowód tożsamości.

- Nazywam się Jack Till. Jestem prywatnym detektywem z Los Angeles. Szukam byłej klientki. Chciałbym się dowiedzieć, czy mieszka w Nevadzie.

Wzruszyła ramionami.

- Znajdujemy takich, co dali nogę. Możemy się tym zająć.
- Nazywa się Ann Delatorre.
- Nie powiedział pan, że reprezentuje firmę, której jest winna pieniądze, ani że chce pan dostarczyć pieniądze, które firma jest jej dłużna, ani nic w ogóle. Są pewne reguły.
- O. Czyżbym zapomniał? Wynajęła mnie i nie zapłaciła. Jakie są wasze stawki?
- To zależy. Sprawdzenie, czy mamy ją tuż **pod** nosem,

106

kosztuje czterdzieści dolarów. Obejmuje to przeszukanie dwóch największych baz danych. Jeśli pan chce, żebyśmy odebrali należność za niego, to rozmawiamy już o większych sumach.

- Zacznę od tej łatwiejszej sprawy. Na początek chciałbym mieć adres i jeśli to możliwe, numer telefonu.
- W porządku. - Przesunęła w jego stronę bloczek papieru i długopis. - Proszę napisać nazwisko tej osoby. Płaci pan z góry i wraca za godzinę.
- Mogę poczekać tutaj - zaproponował, wykonawszy polecenie.
- Jak pan sobie życzy.

Po dziesięciu minutach wróciła z wypełnionym formularzem i położyła go na kontuarze.

-Bardzo proszę - rzuciła przez ramię, wracając do swojej pakamery.

Na kartce widniało nazwisko Ann Delatorre, adres domowy i numer ubezpieczenia społecznego. Pod wykonywanym zawodem napisano „Handel”, a pracodawcą była firma Karen's przy Paradise Road. Tillowi przyszło do głowy, że być może Wendy Harper znalazła sposób na zdobycie jeszcze jednej dodatkowej tożsamości. Mogła być sprzedawczynią Ann, ale także Karen, nieobecną właścicielką, która ją zatrudniła, płaciła pensję i sprawdziła jej dokumenty tożsamości.

- Dziękuję - powiedział, ale kobiety z niebieskimi paznokciami już nie było.

Wyjmując wizytówkę z numerem radiotaxi, zerknął na zegarek. Było jeszcze wcześniej, Karen's powinno być otwarte. Przywołał taksówkę, pojechał na Paradise Road i stwierdził, że pod podanym adresem jest centrum wynajmu skrytek pocztowych. Powtórzył sobie, że Wendy Harper przez sześć lat udawało się pozostać niewidoczną. Spodziewał się, że będzie w tym dobra.

ROZDZIAŁ 13

Sylvie zatrzymała się w przejściu między rzędami foteli i wślizgnąwszy się na miejsce przy oknie, podniosła oparcie, żeby nie odgradzało jej od Paula, który właśnie usiadł i zapiął pas. Zakołysała biodrami, żeby ich ciała się stykały. Spojrzał na nią i uśmiechnął się.

Obserwowanie, jak Paul łatwo przeskakuje pomiędzy skrajnymi aspektami swojej osobowości, było zawsze dla Sylvie interesującym

doświadczeniem. Za ledwie przed godziną rozmawiał z chłopakiem w wypożyczalni samochodów i uśmiechał się niemal tak samo ciepło jak teraz.

-W tej sytuacji byłbym naprawdę wdzięczny za pomoc. Jack jest moim najlepszym przyjacielem i na dodatek szwagrem. Musimy go jak najszybciej odnaleźć.

Chłopiec nie odwzajemnił ujmującego uśmiechu Paula. Odgrywał po prostu rolę bezdusznego urzędnika.

- Przykro mi, proszę pana. Przepisy firmy nie pozwalają nam na korzystanie z urządzenia do namierzania tylko dlatego, że ktoś o to prosi.
- Ale to jest sytuacja wyjątkowa. Matka mojej żony jest bardzo chora. Myślimy, że może dojść do najgorszego. Kochana staruszka chce zobaczyć Jacka. Korzystając z pomocy ludzi z waszej firmy w Los Angeles, trafiliśmy za nim do Santa Barbara. Wiemy, że tutaj dojechał i że oddał auto. Musimy się dowiedzieć, czy wypożyczył od was kolejne i nadal jest w mieście, czy też może wsiadł do samolotu. Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby taka informacja ko-

108

mukolwiek mogła zaszkodzić. Dobrze panu zapłacę za kłopot.

- Przykro mi, proszę pana.

-Ile dostajesz za dzień pracy? Dam ci tyle samo za odrobinę pomocy.

- Nie wiem, proszę pana. Płacą mi miesięcznie.
- W porządku. Więc tygodniówka, gotówką. Podziel swój czek przez cztery.
- Przykro mi, proszę pana. Przepisy. - Młody człowiek uniósł ręce i

wzruszył ramionami.

Paul błyskawicznie chwycił chłopaka za prawy nadgarstek, okręcił go i unieruchomił, wykręcając mu do tyłu rękę. Paul był równie szybki i pełen wdzięku w dziu-dżit-su jak w tańcu. Przygwoździł młodego człowieka do miejsca bez żadnego wysiłku. Chłopak zgiął się nad kontuarem, twarzą go niemal dotykał, oczy zaczęły mu łzawić, a potem przymknął z bólu powieki. Przechylnego na bok Paul wyprowadził z za lady.

-Daj mu, proszę, trzysta dolarów - powiedział do Sylvie.

-Jasne. - Otworzyła torebkę, wyjęła trzy banknoty, podniosła je do góry, niczym asystentka magika, złożyła na pół i wsunęła młodemu człowiekowi do kieszonki na piersi.

Mężczyzna zwiększył nieco nacisk i chłopak osunął się na kolano.

- Zrobię to. W porządku. Dosyć. Już dosyć.

Paul go puścił.

- Dziękuję. - Patrzył, jak chłopak wspiera się sprawną ręką o kolano, żeby wstać. Wykręconą przed chwilą rękę przyciskał do brzucha, jakby wisiała tam na niewidocznym temblaku. Wrócił za ladę i lewą ręką postukał w klawiaturę komputera. Paul zajrzał mu przez ramię, wziął z kontuaru długopis i na mapie zapisał kod namierzający samochód Tilla oraz numer rejestracyjny pojazdu.

109

- Ma białego cadillaca deville. Wóz stoi w Las Vegas na parkingu MGM Grand Hotel.
- Dziękuję. - Paul sięgnął do portfela i wcisnął dwie kolejne setki do banknotów w kieszeni chłopaka.

Teraz, w samolocie, Sylvie przytuliła się do męża, wyprostowała się i czekała na start.

- Lubię Las Vegas.
- Ja też. Szkoda, że jedziemy tam pracować.
- Nie szkodzi. I tak jest to ekscytujące. Uwielbiam być tam z tobą.

Mówiła prawdę. Paul odmienił jej życie w taki sposób, jak sobie to wyobrażała, kiedy była małą dziewczynką. Jej matka przeważnie była bez partnera, chociaż ciągle próbowała, flirtowała z mężczyznami w sklepach spożywczych i na szkolnych imprezach. Zapraszała kolegów z pracy na kolacje. Sylvie ciągle pamiętała, jak siedzi zakłopotana i milcząca, podczas gdy matka rozmawia z którymś z tych mężczyzn, tonem sztucznie ożywionym wyrzuca z siebie szybko słowa, w miarę upływu czasu jej głos staje się coraz bardziej spięty. Po jakimś czasie każdy z tych mężczyzn zawsze znalazł sposób, żeby się ulotnić. Żaden z nich nie wydawał się Sylvie szczególnie obiecujący, ale przy niejednej okazji widziała, że jej matka wcale nie jest kobietą głupią. Skoro więc tak bardzo jej zależało na związku z mężczyzną, to muszą oni mieć jakąś wartość.

Kiedy Sylvie usunięto ze świata baletu i wyrosła na zdrowiej wyglądającą dziewczynę, zaczęła podzielać zainteresowania matki, ale jej doświadczenia z chłopcami bywały rozczarowujące. Najpierw za szybko urosła. Chłopcy, którzy jej się podobali, byli o głowę niżsi od niej. Kiedyś, gdy podczas zabawy tanecznej czekała, aż jakiś chłopiec poprosi ją do tańca, zauważyła, że dwóch z nich rozmawia ze sobą, i z ruchu ust jednego odczytała słowo „dziwadło”. Obaj spojrzeli w jej kierunku. Nie zdążyła odwrócić oczu. W szkole ze strony chłopców doznała wy-

łącznie pogardy. Jednak codziennie po szkole pracowała w magazynie dużej apteki przy Sepulveda Boulevard i mężczyźni, którzy tam przychodzili, postrzegali ją zupełnie inaczej. Sądzi, że jest starsza i bardziej wyrobiona, niż rzeczywiście była. Już w pierwszym miesiącu dwóch dwudziestokilkuletnich mężczyzn chciało się z nią umówić.

W trzeciej klasie szkoły średniej poznała Marka. Był jednym z niewielu chłopców wyższych od niej i taki przystojny, że kiedy na niego zerkała ukradkiem, miała ochotę wyciągnąć rękę i go dotknąć. Kiedy wreszcie podszedł do niej, na szkolnym korytarzu, koło szafek, z trudem wykrztusiła parę słów. Uśmiechała się i rumieniła, ze wzrokiem przez większą część rozmowy wbitym w podłogę, ale zgodziła się pójść z nim do kina. Tydzień później zaprosił ją na prywatkę.

Balanga odbywała się w domu jego przyjaciela, którego nie znała; była zarazem zachwycona i bardzo niezadowolona. Podobało jej się, że występuje na imprezie z Markiem jako jego dziewczyna. Ale głośna muzyka była zwyczajnym łomotem, od którego bolały ją uszy, alkohol płynął strumieniami, a wszędzie snuły się kłęby żywicznego dymu z marihuany, od którego łzawiły jej oczy i który zdawał się kleić do jej włosów. Dziewczęta na przyjęciu należały do kręgu popularnych drugoklasistek, które mimo że o rok młodsze, spoglądały na Sylvie z góry. Tańczyła lepiej od nich, ale Mark nie lubił tańczyć, więc nawet nie miała okazji wywołać ich zazdrości.

Impreza ta jednak miała zaskakujący skutek: zauważyła, że w ciągu tygodnia jej pozycja zmieniła się zasadniczo. Dziewczęta, które wcześniej się do niej nie odzywały, nagle pojawiały się przy niej i narzekały na swoich chłopaków lub rywalki, co zresztą było jedynym tematem ich

rozmów. Na lekcjach wychowania fizycznego zawsze należała do tych, które chcą coś osiągnąć i robią kolejne

111

okrażenia na rozgrzanej słońcem bieżni, podczas gdy te popularne dziewczęta kryły się w cieniu i czesały sobie nawzajem włosy. Teraz to ona była jedną z dziewcząt w cieniu i siedziała pod drzewem, podczas gdy Charlotte McClellan zaplatała jej francuski warkocz.

Była niezmiernie wdzięczna Markowi za to, że tak odmienił jej życie, ale zaczęła się też zamartwiać i niepokoić, że któregoś dnia on zniknie i jej życie znowu będzie takie jak przedtem. Któregoś piątkowego wieczoru poczekala, aż znajdą się w samochodzie z dala od domu.

-Mark? - Chciała mówić dalej, ale nie wiedziała co. Otworzyła torebkę, żeby mógł zajrzeć do środka. - Kupiłam je dzisiaj. - Miała pudełko prezerwatyw. - Tak na wszelki wypadek, jeśli kiedyś będziemy chcieli.

Chciał. Pojechali na nową ulicę, z dopiero co położoną nawierzchnią, na północnym skraju doliny Fernando, tam gdzie styka się ona z górami. Białe-żółte belki kilku domów błyszcząły w świetle księżyca, a za ogrodzeniem z siatki leżały stosy sklejki i paki dachówek. Na końcu ulicy Mark zawrócił i ustawił auto przodem w kierunku drogi, a potem uprawiali seks.

Nie bardzo jej się to podobało. Na tylnym siedzeniu było ciasno i niewygodnie, nie spodziewała się też, że będzie bolało. Markowi jednak bardzo się podobało, więc doszła do wniosku, że podjęła niezłą decyzję. Mark teraz nie zostawi jej dla innej. Aż do końca szkoły była ustawiona. Siedząc na fotelu obok Marka w drodze powrotnej do Van Nuys, dziwiła się, że to takie łatwe.

Wszystko układało się dobrze do końca szkoły i przez to ostatnie lato, kiedy ci, którzy wybierali się na studia, powoli przecinali więzy łączące ich z resztą klasy, a potem jeszcze przez rok.

Tego dnia, gdy Mark wciągnął ją w tamten filmowy interes i ich związek dobiegł końca, chłopak zniknął z jej pola widzenia i z pamięci, podobnie jak praca w fabryce.

112

W niedługim czasie w studiu Cherie Will, zwanym Pokusy Mamuśki Cherie, zarabiała od czterech do sześciu tysięcy dolarów tygodniowo. Jedna z dziewcząt powiedziała, że może zarabiać jeszcze więcej, jak sprawi sobie telefon z numerem rozpoczynającym się na 1-900 i wtedy jej fani będą płacić za możliwość porozmawiania z nią. Nie miała nic przeciwko rozmowom. Kiedy telefon zadzwonił wieczorem, wyłączała dźwięk w telewizorze i rozmawiając, oglądała sobie nieme kino. Po kilku tygodniach chłopak tamtej dziewczyny przyszedł do niej i zrobił jej kilkadziesiąt rozbieranych zdjęć, po czym sprzedawał odbitki tym, Jctórzy do niej wydzwaniali.

Rok później pewien organizator występów estradowych zostawił dla niej wiadomość. Oddzwoniła i zgodziła się na spotkanie w restauracji w Burbank. Nazywał się parren McKee. Wyglądał zupełnie inaczej, niż go sobie wyobrażała. Przez telefon jego głos brzmiał podobnie do głosu pięćdziesięcioletniego kierowcy ciężarówki, którego знаła w fabryce płytek, tymczasem kiedy przyszła do restauracji, zobaczyła atrakcyjnego mężczyznę koło czterdziestki. Miał rudawe włosy, ze sterczącym nad czołem kosmykiem, oraz chłopięcy uśmiech, który się jej spodobał. Zaprowadził ją do boksu i zamówili drinki.

- Właśnie zdałaś mój test - oświadczył.

-Jaki?

- Dotyczy tego, czy miałbym ochotę zapłacić, żeby zo-
stać z tobą sam na sam.

-Co masz na myśli? - Sylvie już siedziała na brzegu krzesła, z paskiem
od torebki w ręku, gotowa zaraz odejść.

- W rzeczywistości wyglądasz nawet lepiej niż na fil-
mie. Masz takie szczególne walory, które bardzo niewielu
ludzi posiada, a do tego teraz stajesz się sławna. Musisz
znaleźć sposób, by maksymalnie wykorzystać te kilka lat,
kiedy jesteś u szczytu kariery.

113

- Och, nieźle mi idzie.

-Gwiazdy filmów dla dorosłych zarabiają całkiem przyzwoicie tylko
przez pewien czas. Ale kiedy osiągną pułap swoich możliwości, następuje
koniec ich kariery. Niektóre, jak Cherie Will, potrafią potem coś robić.
Odeszła z Eddiem Durantem i rozkręciła własny interes. Jest to równie
rzadkie jak w wypadku kierowcy wyścigowego zakładającego własną
fabrykę samochodów. Mało prawdopodobne, żeby ci się to udało.

•Nie byłabym taka pewna.

•Pamiętam, jak lata temu pracowałem z Cherie na planie. Kiedy reżyser
ustawił już scenę z innymi aktorami, ona zrywała się naga z łóżka,
stawała za kamerą i patrzyła przez obiektyw. Po tym, jak przez cały
dzień pieprzyło ją czterech czy pięciu facetów, przesiadywała do
późnej nocy z montażystami, żeby nauczyć się łączyć ze sobą po-
szczególne sceny.

- W porządku, jest bystrzejsza ode mnie. Więc co według ciebie powinnam robić?
- Chciałbym zorganizować ci trasę po najlepszych męskich klubach w dwunastu miastach naszego kraju.
- Rozbieranka? Nigdy tego nie robiłam i nie zamierzam robić. - Przesunęła się na krześle jeszcze odrobinę i wstała. - W każdym razie dzięki za ofertę.

• A jeśli zagwarantuję dziesięć tysięcy za wieczór? Przysiadła z powrotem na brzeżku krzesła.

• Za sam striptiz? Nic więcej?

- Zgadza się. Jesteś nie tylko dziewczyną, która zdejmuje ubranie, jesteś gwiazdą filmową. Nawet jeśli nigdy wcześniej o tobie nie słyszeli, powiedzenie czegoś takiego całkowicie zmienia sytuację.

Patrzyła na niego i słuchała. Ten głos wciąż stanowił dla niej zagadkę. Brzmiał jak głos starca, który całe życie palił cygara. Nie bardzo potrafiła podjąć decyzję co do niego samego, zgodziła się jednak, żeby sprawdził, co jest w stanie

114

zorganizować, po czym wróciła do domu. Kiedy znalazła się w swoim częściowo tylko umeblowanym mieszkanku, zaczęła się zastanawiać, dlaczego po prostu nie odprawiła go z kwitkiem. Nie miała ochoty rozbierać się w klubach striptizowych. Lubiła pieniądze, ale nie bardzo wiedziała dlaczego. W dalszym ciągu ubierała się niedrogo, a resztę zarobionych pieniędzy umieszczała na rachunkach bankowych. Wiedziała

jednak, że sumy rosną i że dolary są jedyną miarą biegnących dni czy upływającego życia.

Kiedy w następny poniedziałek poszła do pracy, powiedziała Cherie Will o propozycji Darrena McKee. Cherie przyglądała się jej przez chwilę.

- Nie wiem, co powiedzieć - oświadczyła w końcu. -Wiele dziewcząt występuje w klubach. To mnóstwo dodatkowej kasy, na dodatek większość w gotówce. Kiedy ja zaczęłam dostawać tego rodzaju oferty, korzystałam z nich przez rok czy dwa. Zrobiłam wtedy trzy trasy. Nienawidziłam tego nieustannego przenoszenia się z miejsca na miejsce, życia w warunkach, którym, co powinnaś wiedzieć, daleko do luksusu, nienawidziłam też klientów i hałasu, i dymu. Myślę, że teraz w takich miejscach nie wolno już palić. Reszta jednak na pewno wygląda tak samo... kilkuset napalonych, pijanych, śliniących się facetów przy stolikach, których próbujesz nie zauważać, wsłuchując się w rytm muzyki poprzez cały ten zgiełk. A w ogóle to umiesz tańczyć?
- Nie - skłamała Sylvie, sama nie wiedząc dlaczego.
- No cóż, pewnie możesz się nauczyć, tyle ile trzeba. Sedno sprawy tkwi w tym, żeby dostać pieniądze do ręki i dobrze je zainwestować. Kupić dom. Wejść w system ubezpieczeń emerytalnych, jeśli jeszcze tego nie zrobiłaś. Resztę lokować w akcjach i obligacjach. Dlatego jestem właścicielką studia filmowego z Eddiem Durantem, podczas gdy dziewczęta z moich czasów, o lepszych warunkach fizycznych i większych umiejętnościach aktorskich,

Pamiętaj tylko, żebym zawsze znała twój harmonogram.

Sylvie traktowała poważnie wszystko, co mówiła Che-rie, zatem i do tego podeszła poważnie. Już wcześniej oszczędzała pieniądze, teraz jednak zaczęła je inwestować. Pod koniec tygodnia McKee zadzwonił ponownie.

- Cześć, malutka - powiedział tym swoim dziwnym, skrzypiącym głosem. - Wszystko zorganizowałem. Robimy piętnaście miast w trzy tygodnie.

Zaczęli od klubu w San Diego. Pierwszego wieczoru przez szparę w kurtynie, przy zapalonym świetle, przyglądała się mężczyznom na sali. Nie zauważyła w nich nic straszego. Byli niczym. Nie mieli nic wspólnego z nią ani z tym, co miała robić. Kiedy wyszła na scenę, było zbyt ciemno, żeby mogła wyraźnie widzieć ich twarze. Zaczęła tańczyć. Oświetlał ją niebieski reflektor, a kiedy wykonywała taneczne ruchy ciałem, nie wyrażała nimi nic osobistego, nie było w nich ani trochę więcej z samej Sylvie niż wtedy, kiedy przybierała klasyczne baletowe pozy.

Pod koniec każdego wieczoru była zmęczona i spocona, ale mężczyźni za każdym razem obrzucali ją taką chmurą banknotów, że kiedy kończyła występ, zbierała je garściami i w garderobie układała w stosy. Darren McKee uparł się, żeby przez cały czas tkwić obok, i nie spuszczał z niej oka, a jeden z wykidajłów odprowadzał ich oboje do hotelu, żeby jej nie obrabowano.

Darren był dla niej lepszy, niż się mogła spodziewać. Nie odstępował jej i sam załatwiał sprawy związane z podróżowaniem, a nawet handryczył się z kierownictwem klubów. Sylvie podejrzewała, że miał złe doświadczenia z dziewczętami, które się spóźniały albo gubiły drogę, i że

nie chciał już do niczego takiego dopuścić. Rozmawiał z nią, wioząc ją samochodem z jednego miasta do drugiego, opowiadał zabawne historyjki o ludziach z branży

116

i o różnych osobach, na które natrafiał w hotelach. W restauracjach zamawiał dla niej zdrową żywność, a po posiłkach dawał witaminy. Brał pokój przylegający do jej pokoju i kazał wyłączać telewizor i gasić światło na tyle wcześnie, by przespała osiem godzin. Był człowiekiem silnym, na którym można było polegać, sprawującym nad wszystkim kontrolę, więc czuła się przy nim bezpieczna.

Teraz, po latach, Sylvie sądziła, że to, co się wydarzyło, było częściowo jej winą. Pojechała w tamtą trasę, ponieważ wcześniej wystąpiła w kilkudziesięciu filmach dla dorosłych, a celem tournée było rozbieranie się na scenie. W tej sytuacji idiotyzmem byłoby zamykanie drzwi przed Darrenem i chowanie się przed nim. Czułaby się zakłopotana, ubierając się tylko dlatego, że on jest w pobliżu.

Winą Darrena było zaś to, że skutecznie przejął kontrolę nad jej codziennym życiem. Nie myślała o tym, że ma tylko dwadzieścia lat i jest niemal dwa razy młodsza od niego. Nie patrzyła na niego jak na kogoś w wieku jej matki, zresztą on na takiego nie wyglądał. Myślała sobie tylko, że jest starszy i mądrzejszy, i uważała za logiczne, że to on wszystkim zawiaduje. Ciągle krążył pomiędzy ich pokojami, zajmował się jej strojami, wszystkim. Po kilku dniach tak się do tego przyzwyczaiła, że kiedy wszedł, jak ona właśnie wychodziła spod prysznic, nie zawracała sobie głowy ubieraniem, i wtedy on zaczął się z nią kochać. Przyjęła to w sposób naturalny, nie poświęcając tej zmianie w ich wzajemnych

stosunkach tyle uwagi, ile prawdopodobnie poświęciłaby rok wcześniej. Przyzwyczała się do mężczyzn, przyzwyczała do Darrena i uważała, że wszystko robi dla jej dobra, więc i to pewnie też.

Dzięki temu ich związek nabrał jednoznacznego charakteru i teraz wiedziała, jak ma się zachowywać: jak rozumieć jego dotyk, jak reagować na jego słowa i posunięcia. Nie byli szefem i pracownikiem czy gwiazdą i menadże-

117

rem, czy też tancerką i agentem. Byli po prostu mężczyzną i kobietą. Dobrze sobie radziła w tej roli. Nigdy przedtem nie podróżowała z mężczyzną, ale spodobało jej się to. Miło było mieszkać z kimś, kto zwraca na nią uwagę.

- Zarobiłaś mnóstwo kasy - powiedział na koniec trasy, kiedy zawrócili już w stronę Los Angeles.
 - Tak - odparła. - Dużo więcej, niż oczekiwałam.
 - Wydaje mi się, że kluby ci nie pasują.
 - Rzeczywiście - powiedziała. - Ale lubię z tobą podróżować, a poza tym jest to bezpieczniejsze niż praca dla Cherie i Eddiego w tej filmowej branży. Od samego rozbierania nie złapie się żadnej choroby.
 - Chcę, żebyś rzuciła tę filmową robotę. Szczególnie taką.
- Przyglądała mu się przez kilka sekund.
- Nie bardzo rozumiem. Dlaczego miałbyś mieć coś do powiedzenia w tej sprawie?
 - Bo cię kocham. Kiedy tylko wrócimy do domu, chcę, żebyś za mnie wyszła.

Sylvie patrzyła na Darrena i rozważała jego propozycję. Przyznała się w

duchu do uczucia, które cały czas odrzucała... do tego, że nienawidzi swojego życia. Były w nim momenty dające poczucie upokorzenia i krzywdy, i wywołujące wstręt, i wiedziała, że jeśli tylko będzie o tym myśleć, zapragnie w końcu śmierci. Dlatego nie myślała. Tamtego dnia, siedząc w samochodzie obok Darrena McKee, przypomniała sobie to wszystko.

- Tak - odpowiedziała. - Wyjdę za ciebie. - Kiedy analizowała tę chwilę po latach, doszła do wniosku, że była to ostatnia poważna decyzja, jaką kiedykolwiek musiała podjąć.

Samolot osiągnął swój pułap i pilot zaczął coś mówić do mikrofonu. Sylvie zerknęła na Paula, obdarzyła go króciutkim uśmiechem, lekkim uściskiem dłoni i spojrzała

118

w dół, na pasmo poszarpanych brązowych gór. Za kilka minut wylądują na lotnisku w Las Vegas. Wystarczy odnaleźć samochód Jacka Tilla i pojechać za nim do Wendy Harper. Kiedy ją kropną, być może Sylvie uda się namówić Paula na spędzenie tutaj kilku dni.

ROZDZIAŁ 14

Późnym popołudniem Jack wrócił taksówką z firmy wynajmującej skrytki pocztowe do MGM Grand i udał się do swojego pokoju. Wziął prysznic, przebrał się w świeże ubranie i wyjął z walizki części pistoletu.

Czarna beret-ta M92, kalibru 9 mm, była taka sama jak policyjna broń krótka, którą nosił, kiedy pracował w wydziale zabójstw. Rozmontował ją tak, że zamek, sprężynę powrotną, lufę, szkielet i naładowany magazynek mógł poutykać w różnych miejscach walizki. Teraz poukładał części na łóżku i złożył pistolet. Wybrał ten, bo akurat najbardziej pasował do roli, jaką miał odegrać. Solidny i praktyczny model, jaki cywile w rodzaju Wendy Harper tysiąc razy widywali u policjantów. Miał nadzieję, że widok tej broni da jej poczucie bezpieczeństwa.

Wiedział, że inaczej nie będzie skłonna się ruszyć. Zresztą kłopoty, przed jakimi uciekała, nie były wyimaginowane. Ludzie, którzy zakopali zakrwawiony kij bejsbo-lowy na podwórku jej najlepszego przyjaciela, próbowali wywabić ją z ukrycia.

Till wyłożył też na łóżko inne przedmioty, które przywiózł ze sobą. Świetnej jakości kobiecą perukę, wykonaną z prawdziwych ciemnych włosów, krótkich i falujących, w niczym nie przypominających długich blond włosów Wendy Harper. Była szczupła i niewysoka, więc pikowana kurtka pozornie doda jej paru kilogramów. Wybrał też dla niej okulary: jedne z ciemnymi szklami do jazdy

120

w samochodzie i drugie, przezroczyste, gdy znajdzie się w biurze prokuratora okręgowego i na komendzie policji. Till przewidywał, że będzie musiał ją zabrać w oba te miejsca. Zastępca prokuratora okręgowego, Linda Gordon, będzie bardzo nieufna i uprze się, by zdjąć odciski palców Wendy, sfotografować i sprawdzić jej tożsamość na wszystkie możliwe sposoby. Wiedział, że Wendy spotka się z wrogością i podejrzliwością i że musi ją na to przygotować. Natomiast to, że poza nim

nikt inny nie zamierza jej chronić w Los Angeles, zachowa na razie dla siebie.

Pogrzebał w walizce, odnalazł mały nadajnik na baterie, podłączył go do słuchawki i sprawdził, czy działa. Zamierzał zostawić go w mieszkaniu Ann Delatorre.

Schował pluskwę do kieszeni, a pistolet wsunął do kabury przy pasie, po lewej stronie, żeby po rozpięciu marynarki kobieta mogła go zobaczyć. Potem zebrał kilka prasowych artykułów na temat aresztowania Erka Fullera, włożył do koperty i zamknął walizkę.

Zszedł do kasyna, przedarł się przez tłum stojący przed ogromną szklaną gablota, w której rodzina lwów wylegiwała się na wyglądającym jak prawdziwy skalnym występie nad trawiastą wyżyną, wszedł do mieszczącego się z tyłu sklepu i kupił plan Las Vegas i okolic. Czekał, aż przyprowadzą mu samochód, studiował plan. Tylko kilka sekund zajęło mu wytyczenie trasy do domu Ann Delatorre, trzymał jednak głowę pochyloną znacznie dłużej, żeby przez ciemne okulary sprawdzić dokładnie teren wokół. Z wjazdu na parking widział okna San Remo Hotel, samochody i przechodniów na Tropicana Boulevard, a spoglądając w prawo, mógł zobaczyć nieustannie zakorkowany Strip. Mógł ogarnąć wzrokiem jakieś tysiąc osób, ale nie było sposobu, by dostrzec osobę obserwującą jego.

Pojechał Tropicana do Rainbow, z Charleston skręcił w prawo, w Jones Boulevard, a potem na północ, w Che-yenne Avenue, cały czas zwracając baczną uwagę na jadą-

ce za nim auta. Zatrzymał się na parkingu supermarketu spożywczego,

przez kilka minut obserwował przejeżdżające pojazdy, potem wszedł do sklepu i kupił wodę mineralną i kanapki na powrotną podróż do Los Angeles.

Jeszcze raz zlustrowawszy wzrokiem parking, wszedł znowu do auta i jeździł bez celu, sprawdzając, czy ktoś go nie śledzi, i czekając na nadejście nocy. Błękitno-różowe niebo przybrało barwę głębokiej purpury, podczas gdy rzeka rozbłyskujących świateł płynęła pośród widocznych ekranów telewizyjnych wielkości billboardów, na których rozmigotane filmy wideo ukazywały piękne kobiety, stoły zastawione potrawami i kieliszkami musującego szampana, a wszystko to razem odpędzało mrok.

Jack minął Cheyenne Avenue, potem zawrócił i zaparkował przed dużym budynkiem z mieszkaniami własnościowymi. Zniknął w nim i wyszedł z drugiej strony, obszedł cały kwartał i wrócił do samochodu. Uważał, że chcąc zgubić śledzących, nie wystarczy się za nimi rozglądać, ale należy doprowadzić ich do wyglądającego wiarygodnie fałszywego celu.

Kiedy upewnił się, że nikt go nie śledzi, przejechał przez miasto na południe. Wjechawszy w płaski krajobraz przedmieść, dotarł do Henderson, gdzie mieszkała Ann Delatorre. Przez całą drogę męczyła go myśl: możliwe, że Ann Delatorre to nie Wendy Harper. Wybrał właśnie ją spośród wszystkich kobiet, które trzydziestego sierpnia, sześć lat temu, wyleciały z Santa Barbara, ale to jeszcze nie oznaczało, że ma rację. Nie byłby to pierwszy raz, kiedy wywiódłszy logiczny wniosek z mocnych przesłanek, kompletnie się pomylił.

Dom stał przy szerokiej, ładnie zaprojektowanej ulicy, w rzędzie podobnych parterowych budynków. Każdy miał mały, dobrze utrzymany

trawnik od frontu i garaż na dwa samochody z boku. Minąwszy kilka domów, zorientował się, że zbudowano je w trzech stylach -

122

nomorskim, południowo-zachodnim i kolonialnym - na zmianę, tak że żaden z domów nie sąsiedował z drugim takim samym.

Odnalazł właściwy, powoli przejechał obok niego i przestudiował układ światła w oknach. Podmiejska ulica wydawała się mało prawdopodobnym miejscem zamieszkania dla tej Wendy Harper, którą poznał, i to go znów zaniepokoiło. Minęło sześć lat, odkąd Wendy widziała go ostatni raz. Możliwe, że go w ogóle nie rozpozna. Pojechał spory kawałek dalej, nim zawrócił. Jeśli ona nadal była nerwowa, ciągle zerkała z niepokojem na każdy przejeżdżający samochód, to powinien bardzo się starać, żeby jej nie przestraszyć. Wolałby ją telefonicznie uprzedzić, ale nie miał pewności, że ktoś nie monitoruje jego komórki. Zatrzymał auto w pobliżu domu i zadzwonił do drzwi frontowych. Usłyszał kroki.

Stał wyprostowany na schodkach, z twarzą wystawioną na światło, żeby mogła mu się przyjrzeć i rozpoznać. Drzwi uchyliły się lekko, potem rozległo się charakterystyczne stuknięcie. Najwyraźniej był tam wpuszczany w podłogę zamek i dodatkowy otwór dla stalowej zasuwki do zablokowania uchylonych drzwi. W kilkucentymetrowej szczelinie zobaczył czarnoskórą twarz.

- Czy mogę panu w czymś pomóc? - Pytanie kobiety było wyzwaniem, starannie sformułowaną, uprzejmą informacją, że nie jest zadowolona z widoku kogoś obcego na progu swojego domu.
- Owszem - odparł. - Nazywam się Jack Till i chciałbym porozmawiać z Ann Delatorre. Czy to właściwy adres?

Po chwili wahania skinęła głową.

- O co chodzi? - spytała. Teraz widział ją lepiej, kiedy przechylała głowę z jednej strony na drugą, żeby zobaczyć, czy ktoś z nim nie stoi. Miała około trzydziestki, ładną buzię i duże brązowe oczy.

123

- Jestem prywatnym detektywem, który pomógł jej kiedyś, sześć lat temu. Wiem, że zechce mnie zobaczyć.

• Przecież pana widzę - odparła kobieta. - To ja jestem Ann Delatorre.

• O. Bardzo przepraszam, że panią niepokoiłem. Szukałem kogoś innego. - Zrobił ruch, jakby zamierzał odejść, po czym znieruchomiał.

- Aha, jeszcze jedno. Czy w okolicy mieszka jakaś inna Ann Delatorre? Delatorre to nazwisko po mężu. Panieńskie brzmi Harper.

• Jestem jedyną, jaką znam. Dobranoc.

Zamknęła drzwi i usłyszał szcęk jednej zasuwki, a potem drugiej.

Skręcił za róg domu i szybko ruszył wzdłuż ściany. Kiedy doszedł do pierwszego okna, zajrzał do środka. Była to jadalnia, ale w głębi dojrzał drzwi frontowe, przy których wciąż stała *ta* kobieta i wyglądała przez wizjer. Cofnęła się, a Jack zgięty w pół prześlizgnął się pod ścianą. Zatrzymał się przy kolejnym oknie i ostrożnie zajrzał do wnętrza. Kuchnia.

Stała po drugiej stronie, przy blacie, i sięgała po słuchawkę telefonu. Wiedział, że może dzwonić na policję, by zgłosić, że ktoś się tutaj włóczy, ale musiał poczekać. Wcisnęła jedenaście cyfr: zamiejscowa. Pomacał w kieszeni i wyciągnął mały mikrofon, który przedtem miał nadzieję umieścić wewnątrz domu. Szukał jakiegoś otworu w murze i dostrzegł zaokrąglony metalowy daszek, który wystawał ze ściany, o szerokości

kilkunastu centymetrów, z metalową klapką. Z jego usytuowania, wysoko na tym kawałku kuchennego muru, gdzie nie było okna, domyślił się, że to końcówka okapu wentylacyjnego znad kuchenki. Rozejrzał się za czymś, na co mógłby się wspiąć, i zobaczył trzy wyposażone w kółka plastikowe pojemniki na śmieci. Przyciągnął najcięższy pod otwór wentylacyjny, stanął na nim, połączył cienkim przewodem słuchawkę z małym mikrofonem i wsunął go do przewodu wen-

124

tylacyjnego. Słyszał wyraźnie i głośno, jak kobieta krąży po kuchni. Słuchała czyjegoś głosu przez telefon. Wreszcie się odezwała.

-Powiedział dokładnie tak: „Nazywam się Jack Till i chciałbym porozmawiać z Ann Delatorre. Czy to właściwy adres?” - Znów słuchała. - Nie, nie od razu. Później, kiedy już odchodził. Spytał, czy znam w okolicy kogoś innego, kto nazywa się Delatorre. Powiedział, że to twoje nazwisko po mężu... że twoje panięskie nazwisko brzmi Harper.

Jack Till podniósł nadgarstek do oczu. Rozmowa odbyła się o 20.07. Był dwudziesty lipca.

- Jest wysoki - powiedziała kobieta. - W dobrej formie fizycznej. Nie wiem. Taa, może mieć czterdziestkę. Powiedział, że pomógł ci sześć lat temu. Pomógł? To znaczy, jeśli jest prawdziwy? Mówi prawdę?

Jack Till słyszał frustrację w głosie kobiety. Kiedy ona odłoży słuchawkę, ryzykownie będzie tu tkwić. Uniósł klapkę, delikatnie wyciągnął mikrofon i schował do kieszeni. Zszedł cicho z pojemnika na śmieci, odtoczył go na miejsce, wsiadł pośpiesznie do samochodu i pojechał w stronę hotelu.

W drodze powrotnej do Las Vegas miał kilka minut na zastanowienie

się. Gdy w otwierających się drzwiach zobaczył obcą kobietę, poczuł rozczarowanie. Dopiero chwilę później nastąpił szok, zrozumienie, że było to tak bolesne doznanie, bo miało charakter osobisty. Pozwolił sobie myśleć o Wendy Harper, wyobrażać ją sobie i przypominać jej głos, a zupełnie nie zdawał sobie sprawy, ile uczucia zainwestował w perspektywę ponownego jej ujrzenia. W jego myślach zawsze była kobietą, którą poznał w nieodpowiedni sposób, w nieodpowiednim czasie, była zmarnowaną szansą.

Może ten szok go otrzeźwił. Przecież powinien zobaczyć, co się dzieje, a nie to, co chciał, żeby się działo. W po-

125

koju popatrzył na wypełniony formularz dotyczący poszukiwanej Ann Delatorre i sprawdził numer konta oraz nazwę firmy telefonicznej, z której usług korzystała. Zadzwoił do działu rozliczeń.

- Dzwonię, bo chcę zrezygnować z usługi na rozmowy zamiejscowe. Przeprowadzamy się do innego miasta. Jeszcze nie mamy nowego adresu. Na początku zatrzymamy się w hotelu, więc nie ma jeszcze dokąd przenieść dotychczasowego numeru. Chciałbym jednak jak najszybciej otrzymać ostatni końcowy rachunek, żeby uregulować go przed wyjazdem. Kiedy mógłbym go dostać? Ojej, to wspaniale. Dzięki.

Nazajutrz ponownie pojechał do Henderson. Zauważył listonoszkę i kilkakrotnie przejechał obok niej, żeby sprawdzić, gdzie dotarła, aż wreszcie zobaczył ją w pobliżu domu Ann Delatorre. Sprawdził godzinę: 13.15. Spędził większą część dnia i wieczór na obserwacji domu, żeby zobaczyć, czy Wendy Harper się nie pojawiła, ale nie było najmniejszego śladu żadnego gościa. Jeździł tam znowu kolejne dwa ranki, nie zobaczył

jednak w okolicy żadnego obcego samochodu.

Trzeciego dnia, kwadrans po drugiej, wjechał na podjazd domu Ann Delatorre, podszedł do drzwi i udawał, że naciska dzwonek. Drugą ręką sięgnął szybko do skrzynki na listy, wyjął rachunek telefoniczny, o który sam poprosił, i włożywszy go do wewnętrznej kieszeni marynarki, wrócił do auta i odjechał.

Zaparkował przy Crown Pointę Promenadę, otworzył rachunek i przejrzał listę rozmów międzymiastowych. Dwudziestego lipca, o 20.07, Ann Delatorre zadzwoniła pod numer kierunkowy 415. Było to San Francisco. Zapisał numer w notesie, podał rachunek i wrzucił do kosza na śmieci w centrum handlowym. O wpół do dziewiątej wrócił do domu Ann Delatorre.

Ponownie zaparkował na podjeździe i zapukał do

126

drzwi. Tym razem drzwi otworzyły się gwałtownie na oścież i w progu stanęła Ann Delatorre z rewolwerem wymierzonym w jego pierś. Lufa była krótka, ale z jego punktu widzenia ziała wielkim otworem.

- To jeszcze raz ja. Jack Till. Jeśli pociągniesz za spust tego czegoś, strzępy mojego serca i płuc spryskają ci calutkie wejście.

-Wiem. Cieszę się, że ty też to wiesz. - Cofnęła się o trzy kroki. - Wejdz i zamknij drzwi.

Jack Till wpatrywał się w oczy kobiety. Nie był całkiem pewny, jak wygląda prawo w Nevadzie, ale w Kalifornii, jeśli obcy zostałby zastrzelony w domu kobiety, uznano by to najprawdopodobniej za obronę konieczną.

- Wiem, co myślisz - powiedziała. - Ale gdybym chciała cię zabić, nie byłoby istotne, czy znajdowałbyś się we wnętrzu domu czy na zewnątrz. Wyjechałabym z miasta.

Zrobił krok do przodu, nie spuszczać wzroku z jej oczu, a ona postąpiła kolejny krok do tyłu, żeby zachować między nimi tę samą odległość. Spojrzał na broń w jej ręku. Był w stanie dostrzec pomarszczone szare czubki naboju połyskujących niewyraźnie, przyczajonych w bębieniu.

Zamknął drzwi, a ona przesunęła broń tak, że teraz celowała w jakiś punkt na lewo od jego klatki piersiowej.

- Dziękuję - powiedział. - Bardzo mi się nie podobało, kiedy tak się cofałaś z tym czymś wymierzonym we mnie.
- Nadal mogę cię zabić.
- Teraz przynajmniej nie zrobisz tego niechcący.
- Tędy, do salonu. - Wskazała mu wolną ręką. - Siadaj na kanapie.

Usiadł, odchylił się do tyłu, ramiona wyciągnął do przodu i znieruchomiał. Chciał, żeby dobrze widziała jego ręce.

Ona usadowiła się w fotelu z dala od niego i oparła rewolwer na poręczu, by mieć go w pogotowiu.

127

- Powiedziałeś, że jesteś prywatnym detektywem. Dla kogo pracujesz?
- Dla siebie. Znalezienie jej okazało się konieczne, więc jej szukam.
- Chodzi ci o mnie?
- Nie. Ciebie nie znam. Szukam kobiety, która nazywała się Wendy Harper.

•Dlaczego?

•Przyszła do mnie, bo ktoś postanowił ją unieszkodliwić. Pomogłem jej zniknąć. Teraz mężczyznę, który był jej bardzo bliski, oskarżono o to, że ją zamordował.

•A co, jeśli ona nie żyje?

•Nie sądzę, byś mnie wpuściła i rozmawiała ze mną w ten sposób, gdyby nie żyła. Chcę ją zawiadomić, że Erie Fuller znalazł się w tarapatach z powodu tego, co zrobiliśmy.

•Czego od niej oczekujesz?

•Żeby wróciła ze mną do Los Angeles, by udowodnić prokuraturze okręgowej, że żyje. Wycofają oskarżenie i będzie mogła wrócić tam, gdzie jest teraz.

-Jeśli żyje. I jeśli będzie żyła, gdy to się skończy.

Jack Till skorzystał z taktyki, którą stosował jako detektyw wydziału zabójstw: starał się być przyjacielem rozumiejącym i umiejącym wybaczać.

-Posłuchaj, jestem po jej stronie. Zakładam, że jeśli wiesz cokolwiek o tym, co się stało, to o tym też już wiesz. Kiedyś udało mi się zachować ją przy życiu. I widzę, że ty też jesteś po jej stronie. Wiem, że się boisz, ale próbujesz ją ochraniać i robić to, co dla niej najlepsze. Ja też, tyle że ochranianie kogoś może być bardzo trudne i na dodatek niebezpieczne. Masz rację, że się martwisz. - Pokręcił powoli głową, jakby myślał o konkretnych zagrożeniach, o których ona jeszcze nic nie wiedziała.

•Mów dalej.

•Ten rewolwer to niezły pomysł. Ale on nie wystarczy.

Gdybyś zechciała współpracować ze mną w tej sprawie, myślę, że wszyscy bylibyśmy bezpieczniejsi. Wiem, że dzwoniłaś do kogoś tuż po moim odejściu przedwczoraj. Do Wendy?

- Do mojej matki.

W widoczny sposób okazał rozczarowanie.

- Nauczyłem ją, jak się ukrywać - powiedział po chwili. - Myślałem, że to zapewni jej bezpieczeństwo, ale zaszły pewne zmiany. Wygląda na to, że człowiek, przed którym wtedy uciekała, zapłacił ciężką forszę, żeby się jej pozbyć. A to oznacza najwyższej klasy zabójców. Dlaczego nie chcesz mi pomóc?
- Mam wobec niej dług wdzięczności.
- Więc powinnaś życzyć jej jak najlepiej.
 - Życzę. Nie jestem tylko pewna, czy wiem, co dla niej jest najlepsze, i czy ty to wiesz.
- Jak długo ją znasz?

Patrzyła na niego w milczeniu, zastanawiała się chwilę, po czym wzruszyła ramionami.

- W porządku. Nie ma powodu, żeby ci nie powiedzieć, więc powiem. Poznałam ją sześć lat temu. To musiało być jakieś dwa tygodnie po tym, jak zostawiłeś ją na lotnisku w Santa Barbara. Szłam korytarzem w domu, gdzie miałam wtedy mieszkanie. Płakałam, więc nie bardzo widziałam, dokąd idę, i kiedy wyszłam zza rogu, wpadłam na nią. Popatrzyłyśmy na siebie i zobaczyłam, że ona też płacze. Było to takie głupie, że stałyśmy tam, zastanawiając się chwilę nad sytuacją, a potem zaczęłyśmy się śmiać.

- Ona też tam mieszkała?
- Tak. To było okropne miejsce, cały dom zamieszkały przez przegranych i takich, którzy przed czymś uciekali. Stał kilka kilometrów na północ od miasta i lokatorzy nigdy ze sobą nie rozmawiali, ale po tym wydarzeniu my dwie się zaprzyjaźniłyśmy.
- A co ty tam robiłaś?

129

Zmrużyła na chwilę oczy, potem zmieniła zdanie i odpowiedziała.

- Kłopoty z chłopakiem.
- Jakiego rodzaju?
- Szukał mnie. Odeszłam. Chciał, żebym wróciła.
- Gdzie to było?

-W innym mieście. Nieważne, w którym, chyba że chcesz mi zaszkodzić. Ty powiesz, że nie, ale ja i tak nie zamierzam powiedzieć niczego, co dałoby ci jakąś przewagę. Poznałam go i poszłam z nim. Moja matka była religijna. Wystawiła moje wszystkie rzeczy przed dom, zamknęła na dobre drzwi i bramę. Zostałam z Howardem i było to ciężkie życie. Wiele ode mnie wymagał, a ja to robiłam. Gotowałam dla niego i jego przyjaciół i zajmowałam się domem. On sprzedawał kokę facetom, którzy podjeżdżali samochodami na jego róg. Ja trzymałam pieniądze i narkotyki, i broń. Widzisz, jeśli cię złapali, to nie sądzili jak dorosłego, jeśli nie miałaś szesnastu lat.

- On ci tak powiedział?
- Zgadza się.
- Powiedział ci też, że nie mogą cię zastrzelić?

- O tym nie mówił. Ale dobrze go oceniłeś. Taki był. On brał kasę, a mnie spotykały kłopoty.

- Jakie?

- Howard wdał się w wojnę z facetem, który sprzedawał mu towar. Nie był to ten rodzaj awantury, kiedy przyczajasz się na jakiś czas, a potem doprowadzasz do zgody. To był taki przypadek, kiedy nawet nie wpadasz do domu, żeby zabrać swoje ciuchy. Po prostu znikasz z miasta.

- Wtedy cię wysłał na ulicę?

Mięśnie jej twarzy nagle znieruchomiały, pozbawiając ją wszelkiego wyrazu.

- Tak. - Patrzyła na niego, szukając jakiejś konkretnej reakcji, z którą zapewne musiała się już wcześniej spotkać, ale najwyraźniej nic nie zauważyła. Zaczęła od nowa,

130

powoli. - Powiedział, że to tylko ten jeden raz, a potem będziemy już bezpieczni, a on na zawsze pozostanie mi wdzięczny. To było miasto, w którym nigdy wcześniej nie byliśmy i nikt mnie nie będzie znał i w ogóle, więc sprawa się skończy na tym jednym razie.

-I się skończyła?

-A jak myślisz?

- Myślę, że nie.

- Trwało to jakiś tydzień, aż mieliśmy dość pieniędzy, żeby się przenieść do innego miasta, większego. Ale Howardowi nie udawało się nawiązać kontaktów. Ten facet, który miał go ustawić w tamtym mieście, gdzieś zniknął. Musiał więc się ruszyć i wydawać pieniądze,

żeby poznać ludzi, którzy przedstawiliby go tym, którzy byli mu potrzebni. - Westchnęła. -1 pieniędzy zabrakło.

-1 znowu wysłał cię na ulicę. Skinęła głową.

- Teraz było inaczej. Za pierwszym razem wychodziliśmy oboje, a ja byłam wystrojona i wymalowana i jak zobaczyliśmy faceta, Howard mnie pytał, czy ten może być, a ja albo odpowiadałam: „Proszę, tylko nie ten”, albo: „Może być”. Jeśli się zgadzałam, pytał gościa, czy jest zainteresowany, i omawiali cenę. Potem podchodziłam do gości i zabierałam go do naszego pokoju. Howard szedł za nami i stał na zewnątrz, pilnując, żeby nie stało się nic złego. Tym razem zorganizował to inaczej. Kazał mi iść samej na ulicę, gdzie faceci przychodzili szukać dziewczyn. Nie chciałam tego robić. Było mi zimno. Bałam się tych mężczyzn i policji, i innych dziewcząt, które robiły wrażenie, jakby chciały mnie pobić albo przegnać. Howard twierdził, że jeśli pójdę tylko z takimi, którzy mają porządne samochody i są przyzwoicie ubrani, to będę bezpieczna. Odmówiłam kilku, a potem podjechał ten gość w jaguarze. Miał może sześćdziesiąt lat i ubrany był w czarną sportową marynarkę i granatowe dżinsy. Kiedy trzymał

131

kierownicę lewą ręką, rękaw mu się obsunął i zobaczyłam szykowny zegarek. Przechylił się, żeby porozmawiać ze mną przez otwarte okno po stronie pasażera. „Panienko?”, spytał. „Pracujesz dzisiaj?” Pamiętam, jaki był uprzejmy. Byłam zdumiona moim farterem. Mogłam wsiąść do auta i

przestać sterczeć na ulicy, i przez jakiś czas nie marznąć, i się nie bać. Tak mi ulżyło, że naprawdę poczułam do niego sympatię. Wsiadłam i pojechaliśmy do mojego mieszkania. Spodziewałam się, że Howard tam będzie, ale nigdzie go nie widziałam. Musiałam otworzyć drzwi kluczem i zapalić światło, żebyśmy mogli wejść. Okazało się później, że Howard tam był, wyglądał przez okno i czekał. Słyszał, jak nadchodzimy korytarzem, jak wyciągam klucz, żeby otworzyć drzwi, i schował się. Zamknęłam za nami drzwi na klucz i zajęłam się tym, co obiecałam temu gościowi. I nagle z szafy wypada Howard z nożem w ręce. Zagroził nim mężczyźnie, zabrał mu portfel, zegarek, kluczyki od wozu i zostawił związanego na miejscu. Wsadził mnie do samochodu i wyjechaliśmy do kolejnego miasta. Ogołocił auto ze wszystkiego i porzucił je na ulicy, przez kilka godzin używał kart, żeby kupić różne rzeczy, a gotówkę zatrzymał. Następnego wieczoru, kiedy wynajął pokój i wysłał mnie na ulicę, ruszyłam i tak szłam, nie zatrzymując się.

- Uciekłaś do Las Vegas?

- Nie od razu. Wyrwałam się tylko z tamtego miasta i dotarłam do innego. Dostałam pracę w sklepie z damskimi ubraniami. Po kilku miesiącach wracałam wieczorem do domu i zobaczyłam, że w moim mieszkaniu pali się światło. Zobaczyłam go w oknie, czekał na mnie. Był przekonany, że jestem na tyle głupia, że zaraz tam wejdę. Nie byłam.

- Czego chciał? Domyśliłaś się?

- Mnie. Czasami myślałam sobie, że chciał, żebym wróciła, a czasami myślałam, że dlatego się pokazał dopiero

po jakimś czasie, gdyż dobrze wiedział, że jak da mi kilka miesięcy, to zaoszczędzę sporo pieniędzy i będzie mógł mi je zabrać.

- Wygląda na to, że potem cię już nie odnalazł. Co się wydarzyło?
- Ann Delatorre. Zaprzyjaźniłyśmy się. Opowiedziałyśmy sobie wszystko. Po roku dała mi prezent.
- Nazwisko?
- Coś więcej niż tylko nazwisko. Życie. Mieszkała w tamtym mieszkaniu tylko kilka miesięcy. Kiedy ją poznałam, wpłaciła już zaliczkę na ten dom. Szykowała się, żeby w nim zamieszkać. Wzięła mnie ze sobą.
- Tak po prostu?
- Wiedziała, że potrzebuję takiego miejsca, gdzie on nie będzie mnie szukał. To jest dom Ann Delatorre. Obie wiedziałyśmy, że jeśli on pomyśli, że być może jestem w Nevadzie, to na pewno nie w takim podmiejskim osiedlu jak Henderson. Szukałby mnie w zakazanej dzielnicy miasta, gdzie mogłabym polować na klientów.
- Jak sobie radziłyście?
- Załatwiła sobie to nazwisko i używała go jakiś czas, kupiła ten dom i pozwoliła mi się wprowadzić. Rozkręciła sprzedaż wysyłkową końcówek markowych ubrań przez internet. Pracowałam z nią, zajmowałam się pakowaniem i wysyłką i spędzałam mnóstwo czasu w sieci. Nigdy nie mówiłyśmy, że tak będzie zawsze, żadna z nas. Jednak obie wiedziałyśmy, że być bezpieczną to być ukrytą i im dłużej będziemy mieszkać spokojnie w tej dzielnicy i prowadzić taki interes, tym mniejsze będzie prawdopodobieństwo, że ktoś nas odnajdzie.
- A potem ona po prostu odeszła, prawda?

- Sądysz, że by tego nie zrobiła?
- Wiem, że tak. Już raz to zrobiła.

-Myślę, że po prostu zaczęła się niepokoić, martwić, że nie dość wytrwale uciekała, nie dość daleko. Dała mi

133

wszystko: świadectwo urodzenia, karty kredytowe, akt własności tego domu, dokumenty dotyczące tego interesu. Wybrała pieniądze z konta i pomogła mi założyć inne konto, w innym banku, w którym już by mnie znano jako Ann Delatorre. Pojechała ze mną do Nowego Meksyku, żebym mogła złożyć wniosek o prawo jazdy z tym nowym nazwiskiem. Potem wyjechała.

- Gdzie jest teraz?
- Nie wiem.
- Dała ci swoje nazwisko. Wiesz, że ją też ktoś chce dopaść, prawda?
- Oczywiście. Opowiedziałyśmy sobie wszystko.

-A mimo to nazwisko zatrzymałaś... Ann Delatorre. To była część umowy, prawda? Mogłaś zatrzymać dom i interes sprzedaży wysyłkowej, ale wszystko musiało być nadal na nazwisko Ann Delatorre. Jesteś jej systemem wczesnego ostrzegania. Jeśli ktoś by do niej trafił, to najprawdopodobniej w taki sam sposób jak ja... prześledziwszy zmianę nazwiska, a potem odnajdując ten adres. Gdyby ktoś przyszedł tutaj, ostrzegłabyś ją.

- To nie tak. Żadna z nas nie wierzyła, że ktoś się pojawi.
- Nie chcę nikomu wyrządzić krzywdy. Próbuję jedynie uratować jej najlepszego przyjaciela przed procesem o zabójstwo.

Ann Delatorre popatrzyła na niego przekornie.

- On już nie jest jej najlepszym przyjacielem. Ja jestem.

-W takim razie pozwolisz mi z nią porozmawiać.

Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

- Na pewno wiesz, bo inaczej nie byłabyś w stanie jej ostrzec. Dlatego tutaj jesteś. Coś masz. Czy to tylko numer telefonu?

Ann Delatorre patrzyła na niego zdziwiona.

- Jesteś bystry, ale nie aż taki bystry.

134

-Nie?

- Jeśli ktoś będzie chciał dopaść ją tutaj, to albo mnie zabije, albo ja jego. Tak czy owak, znajdzie się to w gazetach, prawda? Wystarczy że ona raz dziennie wpisze do internetu Ann Delatorre, żeby sprawdzić, czy to imię i nazwisko nie pojawia się w wiadomościach.

Wpatrywał się w nią bacznie. Wciąż trzymała rewolwer na oparciu fotela. Nie celowała bliżej jego serca, ale też i nie dalej niż poprzednio.

•Nie zaufasz mi.

•Nie mogę.

•Teraz wstanę. - Wychylił się powoli do przodu i podniósł z kanapy, nie wykonując żadnych gwałtownych ani szybkich ruchów.

Ann Delatorre również wstała i wycofała się za fotel, tak żeby znajdował się pomiędzy nimi obojgiem.

-Jesteś dobrą przyjaciółką - powiedział, idąc ku drzwiom. - To widać.

Ale oprócz mnie szuka jej ktoś inny. Człowiek, który chce ją unieszkodliwić, wynajmuje ludzi, żeby za niego zabijali. To profesjoniści, więc nie przerwą poszukiwań, póki będzie im płacił. Wcześniej czy później wpadną na jej trop i dotrą tutaj. Bądź przygotowana na ich wizytę. - Otwierając drzwi, odwrócił się, żeby na nią spojrzeć. Nie przestawała w niego celować.

- Jestem - odparła.

ROZDZIAŁ 15

Była prawie dziesiąta wieczorem, kiedy Paul Turner podjechał wynajętym samochodem na róg ulicy, przy której mieszkała Ann Delatorre.

- Nie ma go. A dzisiaj był w tym domu już dwa razy - powiedział. - Założę się, że zorganizował to wszystko sześć lat temu. Jeśli kiedykolwiek musiałby się skontaktować z Wendy Harper, przyjechałby tutaj, a Ann Delatorre wiedziałaby, gdzie jej szukać.
- Ten Till jest niesamowity - oświadczyła Sylvie. - Nigdy nie zdradził się z tym, że w ogóle znał Wendy Harper, a co dopiero, że ją wyprawił w świat. I chciało mu się zorganizować to tak, żeby kobieta, o której nikt nigdy nie słyszał, odgrywała rolę pośredniczki.
- Wiesz, to równie dobrze mogło być miejsce spotkań. Nie możemy jednak zakładać, że tak było.
- Co robimy?

- To przypomina oglądanie magicznej sztuczki. Wpatrujesz się w rękę, która trzyma piłeczkę, i nie zauważasz nic poza nią. - Spojrzał na laptopa spoczywającego na kolanach Sylvie i obserwował pojawiające się na mapie niebieskie kropki. - Jedziemy za Tillem.

Ruszył na Boulder Highway prowadzącą do Las Vegas. Kiedy dojechał do miasta i skręcił w stronę Strip, zobaczył przed sobą jasne reflektory i maszyny budowlane. Trzykrotnie błyskawicznie zmieniał pas ruchu, to włączając się w sznur aut, to z niego wyjeżdżając. Potem skręcił na

136

chybił trafił. W Las Vegas roboty drogowe trwały nieprzerwanie, ciągle coś przebudowywano albo wymieniano. Tę ulicę akurat poszerzano, żeby umożliwić rozbudowę hotelu, i tego wieczoru wszystkie pasy poza jednym zajęte były przez wielkie żółte maszyny wylewające asfalt albo wzniesające ogromne tumany kurzu. Paul ani na chwilę nie tracił pewności ręki, kiedy gwałtownie skręcał, żeby coś ominąć.

Sylvie się nie martwiła, czy dogonią auto Tilla. Widziała błyszczące oczy Paula, kiedy patrzył przed siebie, wiedziała, że zarazem wybiega myślą do przodu. Opracowuje szczegóły.

- Potrzebne nam będą dwie trzydziestkiósemki, a także karabin. Niech leżą naładowane w zasięgu twojej ręki.
- W porządku. - Sylvie odpięła pas, uklękła na siedzeniu i zza foteli ostrożnie wyciągnęła kałasznikowa. Musiała trzymać go jak najniżej i zakrywać kurtką, bo przejeżdżający kierowcy ciężarówek i buldożerów mogli zajrzeć do wnętrza auta.

Sylvie lubiła trzydziestkiósemki, które wzięli od dostawcy Paula.

Rewolwery zawsze były proste, a różnice pomiędzy nimi w zasadzie

kosmetyczne. Natomiast karabinek miał groźny wygląd, jak czarna osa, składaną metalową osadę i uchwyt pistoletowy, dzięki czemu był na tyle krótki, że dawało się nim wywijać w samochodzie. Był rosyjskiej produkcji, więc niespilowane oznaczenia nic jej nie mówiły, a mechanizm spustowy robił wrażenie twardego, nieprzewidywalnego. Sprężynowo zatrzaskiwane ruchome części mogły przyciąć jej palce. Trzymała go ostrożnie pod kurtką i sięgnęła na podłogę za sobą po magazynek z amunicją.

- Mam go wprowadzić do komory tej giwery?
- Tak jest.
- Dobrze. Przynajmniej będziesz wiedział, że jest naładowana. - Wsunęła od spodu magazynek, po czym trzy-

137

mając za uchwyt, naciągnęła ładownik. Sprawdziła bezpiecznik i ustawiła karabinek pomiędzy swoim fotelem a drzwiami, lufą do góry, żeby przypadkowy wystrzał zrobił co najwyżej dziurę w dachu wynajętego samochodu. Potem sięgnęła do schowka i wyjęła *dwie* trzydziestki-ósemki, zachowując szczególną ostrożność, żeby nie zawadzić o nic gwintem na końcu luf. Sprawdziła oba bębny i położyła rewolwery na kolanach, pod kurtką, i czekała na Paula.

Kałasznikow bez trudu przebijał blachę samochodu, nie tracąc wiele ze swego impetu. Trzydziestkiósemki nie miały takiej siły przebicia, ale siały śmierć, kiedy strzelało się nimi przez szybę z niewielkiej odległości. Paul zapewne planuje dorwać Tilla i Wendy Harper, kiedy będą razem w aucie, i zabić oboje natychmiast, bez żadnych wstępów. On zawsze wiedział, czego chce i jak to osiągnąć. To była jedna z tych rzeczy, które w nim

uwielbiała.

Kiedy się poznali, była jeszcze żoną Darrena McKee. Po tylu latach nie była w stanie przypomnieć sobie, co wtedy czuła. Mąż był niższy od niej o pół głowy. Pamiętała, że kiedy go obejmowała, jego włosy łaskotały jej ucho. Pamiętała też, że jego wąsy ją kłuły, ale teraz nie były to już odczucia, tylko zwyczajna informacja. Nie potrafiła przywołać jego zapachu czy usłyszeć jego głosu albo poczuć jego dotyku. W jej myślach nie miał on już ani ciężaru, ani objętości.

Darren rozpieszczał ją i kontrolował. Pozwalał kupować stroje, jakie tylko zechciała, natomiast kiedy przyniosła je do domu, przyglądał się jej i jeśli ich nie aprobował, musiała odnosić je do sklepu. Układał jej codzienny harmonogram, w którym znalazło się miejsce na dwie godziny ćwiczeń i godzina na włosy i makijaż. Darren uważał, że dobrze jej zrobi wychodzenie z domu każdego popołudnia, zatem pomiędzy pierwszą i piątą mogła robić zakupy, spotykać się z przyjaciółmi czy chodzić na popoł-

138

dniówki. Miała telefon komórkowy, ale prawie wcale go nie używała. Darren dzwonił do niej kilka razy dziennie, żeby sprawdzić, czy wszystko idzie zgodnie z harmonogramem. Jeśli się spóźniała, dokonywał korekty, żeby dać jej więcej czasu.

Wielkim zaskoczeniem była dla niej sprawa pieniędzy. Wtedy Darren organizował już rozbierane objazdy z gwiazdami filmów dla dorosłych od jakichś piętnastu lat. Musiał mieć pieczę nad grupą swoich klientek - jedne były uzależnione od narkotyków, niektóre niezbyt rozgarnięte czy praktyczne, inne leniwe - wszystkie natomiast były świetne w

przyciąganiu męskiej publiczności. Darren występował w roli producenta. Klub mu płacił, zamawiając występy, a on płacił kobietom pensje. Zatem, zamiast brać dziesięć czy piętnaście procent, jak każdy menedżer, brał około sześćdziesięciu, a kobietom pozwalał bogacić się na napiwkach.

Zanim się dowiedziała, że Darren ma pieniądze, on namówił ją do podpisania umowy przedmałżeńskiej.

- Skarbie - powiedział. - To dla ochrony twoich pieniędzy i mojej dumy. Nie mogę pozwolić, żeby ludzie z branży uważali, że poślubiłem seksowną młodą gwiazdę, żeby korzystać z jej pieniędzy. To byłoby jak kastracja. Jeśli podpiszemy umowę, nasze aktywa będą rozdzielne. Mogę wtedy mówić, że utrzymuję swoją żonę i nie tknąłem ni centa z jej pieniędzy - oświadczył.

Podpisała. Wkrótce potem zorientowała się, w jaki sposób udało mu się zachować pieniądze pomimo trzech małżeństw. Nie przeszkadzało jej to.

Ostatecznie zaczęło jej przeszkadzać to, że miała dwadzieścia jeden lat, a on czterdzieści. Nudziła się. On był zajęty, miał prawdziwą obsesję na punkcie interesów, nie dzieliła z nim żadnych rozrywek. I wtedy, pewnego dnia, kiedy była w siłowni i skończyła właśnie ćwiczenia, jakie Darren jej zalecił, w drodze do szatni zobaczyła na tabli-

139

cy ogłoszeń kartkę: „KURS TAŃCA: TAŃCE TOWARZYSKIE”.

Drobnym drukiem dopisano, że zajęcia odbędą się w sali aerobiku w późniejszych godzinach jeszcze tego samego dnia, wobec czego została, żeby zajrzeć tam przez szklaną ścianę.

Kiedy usłyszała muzykę i zobaczyła, jak kobieta prowadząca zajęcia demonstruje taniec, zaczęła się poruszać w rytm muzyki, podświadomie

powtarzając kroki. Dostrzegła to instruktorka - która chwilę przedtem przedstawiła się jako Frań - i gestem przywołała ją na salę.

Na początku Sylvie nie zauważyła Paula. Weszła do sali z oczyma utkwionymi w instruktorce i wykonała kilka próbnych kroków samby, a zaraz potem on znalazł się przy niej i tańczyli razem. W taki naturalny sposób zostali partnerami na sali tanecznej. Kiedy zajęcia dobiegły końca, Paul zatrzymał się z nią na chwilę w tej wielkiej sali na zewnątrz, gdzie znajdowały się rowery treningowe i ruchoma bieżnia marki Nautilus, i wszystkie te wyspecjalizowane urządzenia do ćwiczenia poszczególnych części ciała. Wymienili się imionami i skróconymi wersjami życiorysu, jakie ludzie konstruują i noszą ze sobą niczym wizytówki. Kiedy powiedziała: „Muszę już iść”, a on odparł na pożegnanie: „Będę czekał na spotkanie z tobą w czwartek”, zauważyła, że biografia w kapsułce, jaką mu zaserwowała, jest wersją całkiem świeżo zaktualizowaną. Nie wspomniała, że ma męża.

W czwartek weszli po prostu, kiedy zakończyły się zajęcia aerobiku, i stanęli obok siebie, ale z dala od pozostałych kursantów, czekając na początek lekcji. Sylvie miała włosy upięte w kok, tak jak przez te wszystkie lata, gdy pobierała lekcje baletu. Frań, instruktorka tańca, była chudą weganką w średnim wieku; wcześniej uczyła wuefu. Poruszała się niczym antropolożka demonstrująca jakieś plemienne tańce. Wszystkie kroki wykonywała z techniczną precyzją, brakowało w tym jednak pasji i wdzięku.

140

Musiała wywoływać te brakujące cechy słowami, namawiać lepszych tancerzy, by je prezentowali, a najlepsi byli Sylvie i Paul. On należał do

tego typu mężczyzn, których Madame Bazetnikowa nazywała *un danseur noble*. Jednak nie dotyczyło to jego. Tak samo jak w balecie, chodziło o nią.

Kiedy tańczyła z Paulem, czuła, że staje się piękna, dzika i w jakimś sensie triumfująca. Po latach garbienia trzymała się teraz prosto, a i tak nie była taka wysoka jak on. Od szkoły średniej starała się wyglądać na mniejszą, żeby jej nie zauważano. Teraz chciała, by ją widziano i podziwiano. Czuła się lekka i pełna gracji, jakby mogła się unieść nad podłogą.

Kiedy muzyka dobiegła końca, Frań włożyła swój za duży sweter i wyszła, a pozostali kursanci poszli za jej przykładem. Natomiast Paul położył dłoń na krzyżu Sylvie z tym samym delikatnym naciskiem, jak robił to przez cały czas, odkąd zaczęły się ich wspólne tańce. Idąc, rozmawiali, głównie o tańcu, o tych jego częściach, które najbardziej lubili, nad którymi chcieli popracować i które chcieli udoskonalić. Jednak Sylvie nie myślała o słowach. Myślała o dużej męskiej dłoni na swoich plecach.

Zastanawiała się, co też on ma na myśli, trzymając ją tam, i co to oznacza, że ona na to pozwala i posłusznie idzie tam, dokąd on ją prowadzi, zamiast udać się do damskiej szatni, by się przebrać przed treningiem. Tymczasem on i poprowadził ją do swojego samochodu, otworzył drzwi od strony pasażera, po czym zawiózł do siebie. Po drodze rozmawiali o ruchu ulicznym, letnim upale, o domach przy jego ulicy, ale nie o tym, dokąd jadą. Mówiła sobie, że to nieco nedorzeczne, bo występowała przecież w tych filmach, a teraz czuje napięcie i subtelną dwuznaczność każdego słowa,

dotyku czy spojrzenia.

Pozwoliła zaprowadzić się do jego mieszkania, tak jak pozwalała prowadzić się w tańcu. Pozwoliła się rozebrać

141

i pierwszy raz w życiu poczuła stosowność sytuacji. Zawsze chciała, żeby tak to właśnie wyglądało. Później, kiedy już było po wszystkim, leżała kilka minut w łóżku Paula, po czym wstała, przeszła do salonu, pozbierała wszystkie części swojej garderoby z podłogi i ubrała się. W drodze powrotnej rozmawiali ze sobą jak przedtem, o ulubionych piosenkach i o lekcjach tańca.

Następnego czwartku wydarzyło się to samo i Sylvie uświadomiła sobie, że nie był to pojedynczy przypadek, odstępstwo od normy, któremu będą się potem milcząco i bez końca dziwić. Tak się tylko sama oszukiwała. Wkrótce okłamywała Darrena w sprawie opuszczonych treningów i w sprawie partnerów na lekcjach tańca. Czasami opisywała mu mężczyzn, którzy rzeczywiście uczestniczyli w kursie, a czasami, ponieważ kobiet było tam więcej niż mężczyzn, mówiła, że tego dnia tańczyła wyłącznie z kobietami.

Po kilku tygodniach przyznała się Paulowi, że jest mężatką.

- Widziałem ślad na palcu po zdjętej obrączce - oznajmił spokojnie.

Dwa miesiące później oświadczył: - Powinniśmy się pobrać. Czas, żebyś się rozwiodła. Powiedziała mu o umowie przedmałżeńskiej.

- Jeśli się z nim rozwiodę, będę miała niewiele pieniędzy... tylko tyle, ile udało mi się zaoszczędzić przed ślubem.

•Czy on ma dużo pieniędzy? -Tak.

•No to popełnił błąd.

•Dlaczego?

-Bo pozostawił ci tylko jeden sposób na odebranie swojej części.

Sylvie przemilczała te słowa. Nie spytała: „Co masz na myśli?” W ogóle się nie odezwała. Przez dwa miesiące my-

142

ślała o tym, co powiedział Paul. Wiedziała, że co najmniej po części mówił serio, bo powiedział to w taki sposób, w jaki niektórzy mężczyźni żartują... a tak naprawdę nie są to żarty, tylko pytania. Odkryła w sobie pewne uczucia, o które siebie nie podejrzewała. Miała do Darrena pretensję o to, że wykorzystał jej słaby moment i uczynił małżeństwo z nim alternatywą złej części jej życia. Zaczęła życzyć mu śmierci.

Tymczasem Paul sam zajął się jej mężem. Począł, aż Darren pojedzie w trasę z kilkoma kobietami, używającymi w ostatnich kilku filmach imion w rodzaju Ray-Lee i Kay-Lee. Wszystkie aktorki w filmach dla dorosłych lubiły grać w scenach z kobietami, bo było to o wiele łatwiejsze, mniej niebezpieczne i nie tak męczące jak prawdziwy seks. Te dwie rozpały chwilowo wyobraźnię tej części publiczności, która lubiła oglądać takie rzeczy.

Paul poleciał do Nowego Jorku, stamtąd pojechał samochodem do Filadelfii i czekał, aż Darren i kobiety tam dotrą. Wziął pokój w tym samym hotelu i poczekał na rano, kiedy kobiety udały się do hotelowego centrum odnowy biologicznej. Stał pod jego drzwiami z papierową torbą od artykułów spożywczych i zapukał. Kiedy Darren mu otworzył, wtargnął do środka i zamknął za sobą drzwi. W torbie Paula był rewolwer kalibru .32 z przymocowaną taśmą klejącą do lufy plastikową butelką, która miała tłumić dźwięk. Paul wystrzelił raz, w klatkę piersiową Darre-

na, potem stanął nad nim i wypalił mu w głowę. Wyszedł z bronią w torbie i zamknął drzwi. Jeśli ktoś usłyszał jakiś hałas, to nie zinterpretował go jako wystrzałów. Kobiety znalazły Darrena dwie godziny później, kiedy Paul był już na lotnisku i czekał na samolot do domu.

Tego ranka Sylvie obudził dzwonek u drzwi. Otworzyła i zobaczyła dwójkę policjantów. Ponieważ od zabójstwa Darrena minęły zaledwie cztery godziny, wizyta ta rozwiała raz na zawsze ewentualne podejrzenia jej bezpośrednio-

143

go udziału w zbrodni: żadnym samolotem nie dałoby się przylecieć ze Wschodniego Wybrzeża tak szybko.

Mimo to, kiedy Paul składał jej kondolencje przed pogrzebem, powiedział, że nie wolno im do siebie telefonować, pisać listów ani spotykać się ze sobą przez trzy miesiące, ponieważ policja często ma oko na członków rodziny ofiary morderstwa. Dziewięćdziesiąt dni później spotkali się, niby przypadkiem, w Ritz-Carlton Hotel w Chicago. Wrócili do Los Angeles każde innego dnia, Sylvie ponownie zaczęła uczęszczać na lekcje tańca i poświęcili dłuższy okres na udawanie zalotów.

Teraz obserwowała, jak Paul jeździ ulicami Las Vegas, i czuła oszałamiający dreszczyk podniecenia. Nic na świecie nie mogło być dla kobiety bardziej erotyczne niż towarzystwo mężczyzny, który żeby ją mieć, zabił jej męża. Po piętnastu latach wciąż pojawiała się to zapierające dech w piersi uczucie. Kiedy tak mu się przyglądała, zobaczyła, że jego twarz przybiera inny wyraz.

- O co chodzi?
- Spójrz.

W tym samym momencie ogromny, wymalowany w czerwone pasy odrzutowiec Southwest Airlines ześliznął się nad nimi na odległy pas startowy.

- Jest na lotnisku?
- Jego samochód jest na lotnisku. Myślę, że go zwrócił.
- To jak się dowiemy, dokąd się wybrał?

Paul skradał się w ciemności wzdłuż bocznej ściany domu Ann Delatorre, uważając, by jego buty nie chrzęściły. Na trawnikach nie było znaków firm ochroniarskich, przez okna nie widział żadnych nalepek ani panelu sterowania systemem alarmowym i wcale go to nie zdziwiło. Ludzie, którzy uciekali, nie życzyli sobie rozmów z policjantami reagującymi na fałszywe alarmy czy nawet na drobne włamania. Chcieli, by panował spokój i cisza. To

144

mu odpowiadało. Nie podobało mu się natomiast to, że wiele z tych osób nadrabiało te braki, trzymając w domu broń.

Wyjrzał zza rogu domu i zobaczył Sylvie czekającą przy tylnych drzwiach. W ciemności panującej za domem dostrzegł tylko, że prawe ramię ma opuszczone wzdłuż ciała, i wiedział, że trzyma przy udzie rewolwer, gdzie nie będzie go widać, jeśli zapali się światło. Przykręciła tłumiki do nagwintowanych luf obydwu trzydziestekósemek. Do tego typu roboty Paul lubił używać naboju małego kalibru i niewielkiej prędkości. Jeśli Ann Delatorre można przestraszyć bronią palną, to trzydziestkaósemka z tłumikiem wystraszy ją równie dobrze jak magnum kalibru .44, a jeśli nie, to i tak wystarczy, żeby ją zabić.

Sylvie dała mu ręką znak i Paul wycofał się na front domu. Szukał pokoju, w którym Ann Delatorre sypiała. Zajrzał do dwóch nieoświetlonych sypialni i zobaczył jedynie wygładzone narzuty oraz poduszki, bez żadnego zagłębienia. W końcu znalazł to, czego szukał. W trzeciej sypialni rolety były opuszczone, ale kiedy przyłożył oko do szpary przy framudze, był w stanie dojrzeć w łóżku kształt śpiącej osoby.

Stał kilka sekund nieruchomo i nasłuchiwał. Tutaj, na przedmieściach, w nocy panowała cisza. Wiedział, że przez Henderson przebiega droga 215, jednak była zbyt daleko od tego miejsca, żeby dało się usłyszeć samochody. Obszedł dom i stanął przy oknie jednej z nie używanych sypialni, tej, do której drzwi z korytarza były zamknięte. Było mniej prawdopodobne, że przypadkowe dźwięki, jakie mógł spowodować, dotrą stamtąd do uszu Ann Delatorre.

Używając diamentu, naciął w szybie małe półkole tuż przy zasuwce. Nakleił na nie kawałek srebrnej samoprzylepnej taśmy izolacyjnej, potem włożył skórkowe rękawiczki i raz walnął pięścią. Rozległo się tylko głucho ude-

145

rzenie i ciche pstryknięcie, kiedy półkolisty kawałek szyby wgniótł się i został przytrzymany przez taśmę. Ostrożnie zdjął taśmę razem z przyklejonym kawałkiem szkła, potem sięgnął do środka, otworzył zasuwkę i podniósł okno tak, by móc wsunąć głowę do wnętrza. Kiedy nie usłyszał nic poza szumem klimatyzacji, podniósł okno do samej góry i wdrapał się do środka. Przykucnął na podłodze, czekając, aż oczy przyzwyczają się do większego mroku. Paul zabił już kiedyś kilka osób we śnie, w ich własnych łóżkach, i bardzo mu się to spodobało. Ruszył

cichutko w stronę drzwi, stał kilka sekund nieruchomo, po czym przekreślił gałkę i pociągnął drzwi do siebie.

Nagły huk spowodował, że podskoczył zaskoczony, a błysk z lufy go oślepił. Instynktownie uskokczył w bok, więc znalazł się za ścianą i tam przykucnął. Usłyszał kroki oddalające się szybko od drzwi sypialni po drugiej stronie korytarza, minęły go i nim zdołał wyciągnąć broń, rozbrzmiewały już za rogiem.

Wychylił się zza futryny i wypalił, wiedział jednak, że ten strzał jest o całą sekundę spóźniony. Chodziło jedynie o pokonanie własnego paraliżu. Pobiegnął korytarzem, wiedząc, że jeśli ona tam czeka, żeby go zastrzelić, to miejscem, w które będzie celowała, będzie ten zakręt. Minał go pełnym pędem i wpadł w inne drzwi, celując w kolejny korytarz. Tymczasem zobaczył jedynie otwarte drzwi, a za nimi noc.

Wydostała się na zewnątrz. Popędził do drzwi na tyłach domu, gdzie usłyszał zgrzytliwy głos Sylvie.

- Rzuć broń. Teraz odwróć się i wracaj do środka.

W otwartych drzwiach zamajaczyła postać kobiety, a za nią wyższa sylwetka Sylvie. Weszły do środka. Sylvie zamknęła drzwi, a Paul zapalił światło.

Kobieta była czarnoskóra. Bosa, w szarych spodniach od dresu i białym T-shircie z napisem UNLV. Paul wpatrywał się w nią.

146

- Kim jesteś?
- Nazywam się Ann Delatorre.
- Gdzie jest Wendy Harper?
- A kto to taki?

Paul skoczył do przodu i wolną ręką wymierzył jej cios w żebra. Podejrzewał, że kilka z nich złamał, ponieważ kiedy kobieta spróbowała się wyprostować, widać było wyraźnie, że robi jej się słabo z bólu.

Paul chwycił ją za włosy i potrząsnął nią, potem szarpnął tak, że głową uderzyła w ścianę.

- Znasz ją. Przyznaj się.
- Znam.

Trzymając ciągle za włosy, poderwał jej głowę do góry, tak żeby musiała na niego patrzeć.

- Jeśli nam powiesz, gdzie ona jest, dam ci dziesięć tysięcy dolarów. Możesz sobie wsiąść do samolotu i polecieć na wakacje, a potem wrócić i nikt się nie dowie, skąd to wiedzieliśmy. I nigdy już nas nie zobaczysz.
- Nie wiem, gdzie ona jest.

Paul ponownie uderzył jej głową o ścianę, tym razem mocniej. Po tym uderzeniu kobieta osunęła się bezwładnie na podłogę. Odczekał kilka sekund, a kiedy zdawała się odzyskiwać przytomność, wymierzył jej kopniaka.

Sylvie zaczęła się niepokoić. Kobieta na podłodze odnosiła obrażenia, może doznawała trwałego okaleczenia, a mimo to nie wyglądała na przestraszoną.

- Nie zabij jej, bo nic nam nie powie - szepnęła.
- Panno Delatorre - odezwał się Paul. - Rozumiesz, co do ciebie mówię?
- Tak.
- Wobec tego zastanów się przez chwilę. Chcę czegoś

drobnego i prostego. Zapłacę ci za to. Jeśli mi nie powiesz,

sprawię ci ból. Nie odpowiadaj od razu, automatycznie.

Posłuchaj i pomyśl. - Odwrócił się do Sylvie. - Idź do kuchni i przynieś mi nóż rzeźnicki.

147

Sylvie pomaszerowała do kuchni. Nie chciała zapalać więcej świateł, ale ponieważ na blacie nie widziała żadnych noży, musiała zajrzeć do szufladek. Usłyszała chrapliwy krzyk... nie bólu, ale wściekłości i nienawiści. Ruszyła biegiem do korytarza.

Kiedy wynurzyła się z kuchni, przeraziła się. To ta kobieta wydawała z siebie ten dźwięk. Udało jej się przewrócić Paula, a teraz siedziała na nim okrakiem, drapała go i gryzła. Lewą ręką się od niej opędzał, podczas gdy prawą osłaniał twarz, ale nie mógł jej unieruchomić, a tymczasem ona bez przerwy próbowała złapać za jego rewolwer; a kiedy go od niej odsuwał, sięgała palcami do jego oczu.

Sylvie podbiegła do nich i przyłożyła lufę rewolweru do głowy kobiety.

- Przestań! Natychmiast przestań! - wrzasnęła, ale kobieta odwróciła się raptownie i z ogniem w oczach, niemalże z radością, chwyciła za jej rewolwer.

Sylvie wypaliła jej w głowę. Ciało kobiety opadło na Paula leżącego w tym wąskim korytarzu. Pchnął je, przewrócił się na bok i zrzucił z siebie.

- Cholera - powiedział, unosząc się z trudem. - No to mamy pieprzoną katastrofę.

Sylvie wpatrywała się w niego ze zgrozą. Krew zbry-zgała korytarz, kilka kropli sięgnęło nawet sufitu, ale większość wypłynęła z rany na szyję i klatkę piersiową Paula, tak że ubranie miał przemoczone. Na lewym policzku, przeoranim paznokciami, miał trzy długie zadrapania i znamię pod

prawym okiem. Odkleił koszulę od ciała, odpiął kilka guzików i przyjrzał się swojej skórze.

- O Boże, ona cię pogryzła!
- Taa. Gryzła, drapała, próbowała wydłubać oczy.
- To była jakaś wariatka.
 - Taa. Tylko odwróciłem na moment wzrok, kiedy szłaś do kuchni. Pewnie na to czekała. - Spojrzał na ciało kobiety. - Wielka szkoda, że ją kropnęłaś.

148

- Co takiego?
 - Bo to ona tego chciała, a nie ja. Sylvie, przecież wiedziałaś, że musimy ją mieć żywą, żeby odpowiedziała na nasze pytania.
 - A co innego mogłam zrobić? Robiła ci krzywdę.
 - Nieważne. Już po wszystkim. Nie ma sensu się spierać.
 - Ale co niby miałam zrobić?
 - Mogłaś postrzelić ją wszędzie, byle nie w głowę. Cierpiałaby i byłaby za słaba, żeby sprawiać kłopoty. Mogliśmy mieć ją żywą i zmusić do mówienia.
- Sylvie weszła do kuchni.
- Czekał. Dokąd idziesz?
 - Nie chcę myśleć o tobie jak o dupku. Zamierzam dać ci szansę, żebyś przestał nim być.
 - Słuchaj, nie czas teraz na to. Mamy tu sporo do przeszukania. Znajdź gumowe rękawiczki i zacznij, a ja tymczasem jej się stąd pozbędę.
 - Czego mam szukać?

- Wszystkiego, co by nam powiedziało, gdzie jest Wendy Harper...
kawałek biletu lotniczego, notes z adresami, list. Użyj wyobraźni.

Sylvie starała się zwalczyć poczucie, że potraktowano ją niesprawiedliwie. Uratowała mu życie, a on miał teraz pretensje. Otworzyła szafkę pod zlewem, znalazła pudełko z jednorazowymi gumowymi rękawiczkami i włożyła parę. Przeszukała szuflady i szafki, zostawiając je potem otwarte, żeby nie zaglądać dwa razy w to samo miejsce.

W drzwiach do korytarza zerknęła na Paula, tak by jej nie zauważył. Sprzątał... zawijał ciało w koc. Wróciła do swojej pracy. Niech się sam męczy. Chciała zrobić dla niego coś dobrego, zabijając ją, a on tego nie docenił. Niech sobie to teraz przemyśli.

Przeszukiwała dom, otwierając szuflady i szafy, grzebiąc w stosach złożonej bielizny, przesuwając na bok

149

puszki i butelki, żeby sprawdzić, czy coś jest za nimi schowane. Znalazła szufladę, w której trzymano stare rachunki, ale żaden z nich nie zawierał informacji, którą mogłaby wykorzystać. Obok komputera znalazła kartkę z wydrukiem nazwisk i adresów, ale pod nią leżała kolejna i jeszcze jedna, cały stos, dziesiątki kartek. Wyglądało to na listy klientów jakiegoś interesu.

Włączyła komputer i próbowała wejść do systemu, ale nie miała hasła. Zaczęła wpisywać słowa w rodzaju „Ann” i „Komputer Ann”, i „Sezamie, otwórz się”, kiedy zauważyła torebkę. Była to czerwona wobrażowa torebka od Coacha z paskiem na ramię i małym srebrnym zameczkiem, i pierwszą myślą Sylvie było, że jej się podoba, wypchnęła to jednak z

głowy i wzięła torebkę do ręki.

Zajrzała do środka i znalazła notes z adresami. Nie liczyła na to, że figuruje w nim zapis w postaci „Wendy Harper”, ale mógł zawierać hasło komputerowe czy coś innego, co mogło się przydać. Przejrzała każdą stroniczkę, ale nie było tam niczego, co mogłaby uznać za użyteczne. Znalazła telefon komórkowy Ann Delatorre, włączyła go więc i zaczęła przeglądać zapisane numery telefonów, a potem numery, na jakie ostatnio dzwoniła. Wszystkie były miejscowe.

Zajrzała do portfela. Było w nim kilka kart kredytowych, karta biblioteczna, kilka kart firm z okolic Las Ve-gas. Prawo jazdy wyglądało na autentyczne, ale nie było wystawione na Ann Delatorre, tylko na L. Ann Delatorre. Nie znalazła nic, co mogłoby być hasłem, ani adresów spoza miasta, jednak na samym dnie portfela natrafiła na coś, co spowodowało, że raptownie wstrzymała oddech. Była to drukowana karteczka, jakie producent umieszcza w portfelach. „W razie znalezienia proszę zawiadomić” i kobiecą ręką wpisany numer telefonu oraz jedno słowo „Nagroda”.

Sylvie spojrzała na numer telefonu stacjonarnego na

150

biurku. Zaczynał się od 702. Sprawdziła telefon komórkowy Ann Delatorre. Malutki ekranik również pokazywał numer zaczynający się od 702.

Rozumiała Ann Delatorre, w ogóle jej nie znając. Była kobietą absolutnie zdeterminowaną, by chronić Wendy Harper. Nigdy by nie zapisała jej numeru telefonu dla siebie. Zapamiętała go dawno temu i nigdy by nie zapomniała. Wiedziała, że nie zgubi portfela. Ale wiedziała,

że któregoś dnia mogą ją zabić. Policja, a przynajmniej ktoś, kto znajdzie jej ciało, przejrzy ten portfel. I zadzwoni pod ten numer. A z tamtej strony Wendy Harper dowie się, że Ann Delatorre nie żyje.

- Paul? - zawołała. - Jestem prawie pewna, że znalazłam właściwy numer telefonu. Kierunkowy 415. Czy to nie San Francisco?

ROZDZIAŁ 16

Był to zapewne ostatni lot tego wieczoru... a już na pewno ostatni do San Francisco. Numer zamiejscowy, pod który dzwoniła Ann Delatorre, miał kierunkowy 415, więc teraz Jack Till siedział w samolocie, spoglądając przez małe plastikowe okienko na oświetlony teren obsługi technicznej za pasami startowymi. Te mniej więcej dziesięć minut oczekiwania, aż wypełnią się miejsca obok niego, gwarantowało mu pewien rodzaj emocji na niskim poziomie. W samolotach Southwest każdy siadał gdzie chciał i podczas nocnych lotów zwykle było kilka wolnych foteli.

Zawsze obserwował, jak atrakcyjne kobiety idą przejściem, ściskając torebki oraz nadwymiarowy bagaż podręczny i przebiegle mrużąc duże, przejrzyste oczy, polują na najlepsze według nich miejsca. Czasami odczuwał chłodne rozbawienie, widząc, co wybrały. Rzadko było to miejsce obok niego.

Jack był wysoki, ale chudy i nie miał tego typu postury, która groziłaby, że łokciami i ramionami będzie naruszał przestrzeń sąsiada. Zawsze kiedy pracował - a podróż była pracą - nosił przyzwoitą sportową marynarkę i

wyprasowaną koszulę. Wiedział, że nie jest szpetny. Podejrzewał jednak, że wygląda na tego, kim jest: emerytowanego glinę, którego twarz nosi ślady wyczerpania.

Patrzył, jak oczy kolejnej kobiety wędrują zygzakiem z jednej strony przejścia na drugą, studiując twarze. Nad jego twarzą przeleciały szybko, nie dlatego, że się go bała,

152

przynajmniej nie w samolocie, ale prawdopodobnie dlatego, że nie czułaby się przy nim dość swobodnie. Przypuszczał, że to rezultat tych wszystkich lat chronienia ludzi takich jak ona, że nabrał wyglądu tych, przed którymi innych chronił. Nieważne. Nie zależało mu na niczym towarzystwie.

Jego matka poczułaby się obrażona w jego imieniu, ale ona była kobietą trudną, która regularnie się obrażała. Wyszła za jego ojca, opierając się na domysłach, jak w wypadku okazijnego kupna skrawka ziemi, kiedy się zakłada, że każdy kawałek planety może kryć coś cennego. Ray Till był już powołany do wojska i szedł na wojnę, kiedy go poznała, więc istniała realna możliwość, że szybko zostanie młodą wdową. Tymczasem kilka lat później Ray wrócił z Europy w randze kapitana, z trzema kolejnymi awansami wywalczonymi na polu bitwy i ze srebrną gwiazdą przyznaną za męstwo. Był spokojnym człowiekiem o niebieskich oczach, w których kryła się rzeczywista twardość, i może właśnie to ją pociągało. Został elektrykiem i podłączał prąd w całych osiedlach San Fernando Valley podczas boomu budowlanego, kiedy to wycinano rozległe gaje pomarańczowe i cytrynowe i palono drzewka w ogniskach, żeby zrobić miejsce na nowe domy.

Rodzicom Jacka powodziło się całkiem dobrze, jednak zdarzało się, że Helen Till niezbyt uprzejmie dawano do zrozumienia, iż jej mąż nie jest ani lekarzem, ani prawnikiem. Nawet zwykły kierownik niższego szczebla z branży filmowej miał wyższy status społeczny od właściciela przedsiębiorstwa świadczącego usługi elektryczne, nieważne ilu pracowników dziennie wysyłał ciężarówkami, by instalowali ludziom ogrzewanie basenów czy elektroniczne otwieranie bram.

Kiedy Jack postanowił pójść do akademii policyjnej, rodzice tego nie zrozumieli, bo nigdy nie podał im powodu swojej decyzji. Nie tyle ją zaakceptowali, ile się do niej

153

przyzwyczaili. Helen i Ray doczekali się tego, że ich syn został śledczym w stopniu sierżanta, prawdopodobieństwo, że ktoś będzie do niego strzelał, było więc nikłe. Jego matka miała zdecydowaną opinię na każdy temat.

Kiedy Jack przyprowadził dziewczynę o imieniu Karen, która przyjechała do domu z college'u, matka powitała ją ciepło, po czym się wycofała i udając, że jest zajęta nakrywaniem do stołu, obserwowała, jak Karen rozmawia z Rayem i Jackiem. Zaraz, zaraz, był tam ktoś jeszcze. Kto taki? Ciocia Nancy, młodsza siostra matki.

Jack przypomniał sobie, że widział, jak rozmawiają w kuchni i matka w typowy dla siebie sposób wrusza ramionami. Helen nie była kobietą, która na dłuższą chwilę mogłaby się znaleźć w stanie niepewności. Kiedy wruszała ramionami, nie oznaczało to: „Nie wiem”. Zawsze znaczyło: „Nie pojmuję, dlaczego nikt tego nie wie”.

Później Jack wyszedł z Karen. Rozmawiał z matką następnego dnia,

kiedy wpadł, żeby jej podziękować za wystawny obiad.

- No więc? Co sądzisz o Karen?
 - Jako o dziewczynie, z którą chodzisz, czy jako o kandydatce na gubernatora?

Sposób, w jaki to wyraziła, załatwił sprawę. Przeniosła jego uwagę z urody Karen i jej nadzwyczajnej dbałości o stroje i wygląd na skąpo i dziwnie wyposażony umysł.

Matka popatrzyła mu w oczy i po swoim wzruszyła ramionami.

-Jeśli kocha, to najmiłsza, najbardziej inteligentna dziewczyna w mieście zrobi wszystko, co potrafi największa dziwka. I nie będzie to udawane.

Lata później, kiedy żenił się z Rosę, nie korzystał z rad matki. Mimo to Helen polubiła i zaakceptowała jego wybrankę. Radosna, lubiąca się bawić Rosę była ślicznotką, której robiły się piegi od słońca, miała wygimnastykowa-

154

ne, zwinne ciało i tryskała energią. Nie przeszkadzało jej, że Jack jest policjantem. Patrząc na to z perspektywy czasu, doszedł do wniosku, że pewnie uważała pracę policyjną za rodzaj sportu, coś jak polowanie. To, jak wszystko się potoczyło, było równie zaskakujące dla matki Jacka, jak i dla niego samego. Zawsze wierzył, że gdyby ciężkie próby, jakie musieli przejść, były innego rodzaju - bankructwo czy przewlekła choroba zamiast tego problemu z Holly -może by to brzemień udźwignęła, może nawet wykazała heroizm. Ale z tym sobie nie poradziła. Uciekła od Jacka i Holly. Zostawiła wiadomość, że musi spędzić trochę czasu sama i wszystko przemyśleć i że skontaktuje się z nim natychmiast, jak tylko

będzie gotowa. Jej nowy adres poznał z papierów rozwodowych, które dostał pocztą.

Po Rosę była cała seria związków z kobietami, nigdy jednak go nie kusiło, żeby się ponownie ożenić. Po kilku nieporozumieniach i rozczarowaniach nabrał umiejętności rozpoznawania kobiet - głównie wdów i rozwódek -które lubiły męskie towarzystwo, ale nie bardziej były zainteresowane małżeństwem niż on sam.

Holly stanowiła ośrodek jego życia. Nie ukrywał jej przed kobietami, z którymi się wiązał, ale też nigdy pochopnie Holly z nimi nie poznawał i nie dał jej powodu, by mogła pomyśleć, że któraś z tych kobiet zostanie z nim dłużej. Rozpaczliwie chciał chronić córkę przed poczuciem straty. Teraz też myślał o Holly i zastanawiał się, co też porabia tego wieczoru. Było późno, więc wyobrażał sobie, że już śpi w pokoju, który dzieliła ze swoją przyjaciółką Nancy w „Kwietnym Domu”. Za kilka godzin znowu wstanie, będzie się krzątać po kuchni, przygotowując do kolejnego dnia w sklepie.

Poczuł niepokój. Spojrzał przez okienko wzdłuż pasa startowego, gdzie mógł dostrzec obłe kształty czterech innych samolotów ustawionych przy terminalu w pozycji załadunkowej. Widział światła hoteli i ciągnący się za nimi

155

mrok pustyni. Nagle pomyślał, że opuszczenie Henderson nie było właściwym posunięciem. Zbyt wielu rzeczy nie wiedział, zbyt wielu pytań nie zadał, zbyt wielu możliwości nie sprawdził. Wciąż martwiła go ta rozmowa telefoniczna Ann Delatorre z Wendy Harper po jego pierwszej wizycie. Słyszał, co mówiła Ann, ale co powiedziała Wendy? Czy nie

pozwołała Ann Delatorre powiedzieć mu, gdzie ona jest? Czy powiedziała jej, żeby koniecznie się go pozbyła?

Może Wendy słyszała, co się dzieje w Los Angeles, i sama się tam wybiera. To miałoby sens. Skoro przez ubiegłe sześć lat osiągnęła mistrzostwo w zabawie w chowanego, to mogła dojść do wniosku, że najlepiej będzie wykorzystać Jacka Tilla, pozwalając mu krążyć i zostawiać za sobą tropy prowadzące do miejsc, gdzie jej nie ma. Możliwe, że zamierzała wślizgnąć się do Los Angeles samotnie i niezauważona. Jeśli taki był jej plan, to on go teraz rozwala. Bo jest w samolocie, który zabierze go prosto do niej.

Nie mógł lecieć do San Francisco, nie wiedząc, czy jej pomaga, czy szkodzi. Jedyne rozwiązanie, żeby się tego dowiedzieć, była ponowna rozmowa z Ann Delatorre. Wstał, otworzył schowek nad głową i wyjął swój neseserek.

- Co pan robi?

Odwrócił głowę i zobaczył stewardesę.

- Wsiadam. Rozmyśliłem się. Możecie oddać moje miejsce komuś innemu.
- Dlaczego? Coś nie w porządku? Źle się pan czuje?
- Wszystko w porządku. Po prostu przypomniałem sobie, że muszę coś załatwić.
- Proszę pana, nie wiem, czy zwrócą panu za bilet.
- Nie szkodzi - odparł i przywołał na usta uspokajający uśmiech. - Nawiasem mówiąc, to mój jedyny bagaż, więc nie trzeba niczego wyciągać z ładowni.

Postanowiła uwierzyć, że nie jest ani terrorystą, ani

wariatem. Minęła go i poszła dalej przejściem, pod prąd ludzi wchodzących na pokład.

- Przepraszam bardzo. Przepraszam. - Szła parę kroków przed nim, torując mu drogę do przedniej części samolotu. Kiedy Jack wyszedł, powiedziała:

- Mam nadzieję, że wszystko się panu dobrze ułoży.

- Na pewno. Bardzo mi pani pomogła. Wielkie dzięki.

Przeszedł szybko do holu lotniska, stamtąd na ruchomy chodnik, odnalazł terminal bagażowy i przez tłum ludzi przepchnął się do kontuarów agencji wynajmujących samochody. Tym razem wybrał inną firmę, żeby zmylić tego, kto mógł go śledzić.

Wyjechał z McCarran Airport i drogą 215 ruszył do Henderson. W ten sposób wracał po własnych śladach, był jednak przekonany, że postępuje słusznie. Wiedział, że coś mu umknęło, kiedy rozmawiał z Ann Delatorre. Powiedziała, że jest najlepszą przyjaciółką Wendy Harper. Co zrobiłaby najlepsza przyjaciółka, gdyby Wendy znalazła się w niebezpieczeństwie? Może by do niej wyruszyła, a może ściągnęłaby Wendy z powrotem do Las Vegas. Może dlatego pozwoliła mu wejść i opowiedziała swoją historyjkę, żeby pozbyć się go jeszcze przed przyjazdem Wendy.

Jechał ulicą, przy której mieszkała Ann Delatorre, i przyglądał się samochodom zaparkowanym wzdłuż krawężnika, żeby stwierdzić, czy nie przybył jakiś, którego wcześniej nie widział. Nic takiego nie zauważył, mimo to minął jej dom, żeby poszukać jakichś innych zmian. Z tyłu domu dojrzał światło. Przejeżdżał wtedy kilkakrotnie nocą, ale nie widział, żeby paliło się tam światło.

Zaparkował w pewnej odległości od domu i podszedł od strony garażu, na który widok z domu był ograniczony. Zobaczył, że światło pada z korytarza między salonem a kuchnią. Wziął głęboki wdech i powoli, przez zęby, wypuścił powietrze. Najwyraźniej już wyjechała. Pojechała

157

spotkać się z Wendy Harper. Kiedy wcześniej obserwował ten dom, przekonał się, że Ann nie zostawia zapalonych świateł o tak późnej porze. Przypuszczał, że pewnie zapomniała je zgasić albo nastawiła regulator czasowy, ale w pośpiechu coś pomyliła i ten włączał i wyłączał je o niewłaściwych porach.

Poszedł na tyły domu, skąd padało światło, i zajrzał przez okienko w drzwiach. Wyjął telefon komórkowy i idąc wzdłuż muru do jakiegoś większego okna, wybierał 9-1-1.

Po kilku sekundach usłyszał kobiecy głos.

- Jaki jest charakter wypadku?
- Właśnie znalazłem martwą kobietę w domu pod numerem 93117 przy ulicy Valerio Springs w Henderson. Leży zawinięta w koc na podłodze w kuchni swojego domu. Nazywa się Ann Delatorre.
- Proszę o pańskie nazwisko. -Jack TUI.
- Jest pan pewien, że kobieta nie żyje?
- Widzę, że strzelono jej prosto w głowę.

ROZDZIAŁ 17

Było już po dziesiątej rano. Ann Donnelly nie miała odwagi, żeby ponownie wybrać numer w Henderson. Ann Delatorre powiedziała, że zadzwoni rano, ale się nie odezwała. Ann Donnelly od początku podejrzewała, że mężczyzna, który przyszedł do domu w Henderson, nie był Jackiem Tillem. Sześć lat temu, kiedy mężczyzna uczył ją, jak zniknąć, powiedział, że nie chce wiedzieć, dokąd się wybiera ani pod jakim nazwiskiem.

- Wiesz, co to jest sekret?

- Powiedz mi.

- To coś, co wie tylko jedna osoba. Przekazanie tego komuś innemu to jak próba podania garści wody przyjacielowi. Większość przecieknie między palcami.

- Dlatego nie chcesz wiedzieć? Tobie przecież nie przecieknie.

-Jeśli ludzie, którzy na ciebie czyhają, dowiedzieli się o mnie, będą mnie obserwować. Będą czekać, aż któreś z nas spróbuje nawiązać kontakt. To nie ty ani nie ja wyjawimy sekret. Zrobi to ta pusta przestrzeń pomiędzy nami.

- Mówisz tak, jakbyś nigdy nie był gliną.

- Właśnie wtedy się tego dowiedziałem. Schwytałem kilka osób, obserwując ich przyjaciół i krewnych. Więcej niż kilka. Trzeba być bardzo szczególnym człowiekiem, żeby zerwać wszelkie kontakty, bo jest to wbrew instynktowi. Większości ludzi, którym coś takiego przychodzi bez trudu, wolałabyś nie znać.

159

Pamiętała swoją odpowiedź.

- Są pewni ludzie, których brak będzie dla mnie trudny do zniesienia.

Codziennie będę myślała o Ericu. Będzie mi brakowało przyjaciół z college'u w Wisconsin i wszystkich tych, którzy razem z nami tworzyli restaurację.

- Ciągle jeszcze możesz wrócić do Los Angeles i pomóc policji w znalezieniu tych facetów. Nawet jeśli później się namyślisz, też będziesz mogła wrócić do domu.
- Raczej nie wrócę. - Skąd to wiedziała? Może uznała, że nic nie powinno zależeć od innych ludzi... od ich decyzji, oceny jej uczuć, myśli i możliwości? Postanowiła działać i ma to być jej samodzielna decyzja.

Po tamtej rozmowie popatrzyła na Jacka Tilla i doznała dziwnej pokusy. Nawet teraz, po sześciu latach, wciąż pamiętała tamto zaskoczenie. Nie pasowali do siebie, tworzyliby zupełnie niedobraną parę. Był starszy od niej, patrzył na świat spod lekko przymkniętych powiek, jakby sennie, ale jego oczy miały w sobie smutek i mądrość. Był wysoki, chudy i silny, o wąskich stopach i dłoniach. Co dziwne, właśnie te dłonie dodawały mu uroku, bo nie były szerokie i niezgrabne jak dłonie gliniarza. Długie i szczupłe palce poruszały się z wdziękiem i precyzją palców pianisty. Obserwowanie ich w ruchu, kiedy Jack coś robił - pisał, brał do ręki klucz czy wybierał numer telefonu - ukazywało inteligencję, która je prowadziła.

Przyglądała mu się, kiedy byli na plaży i udawali parę turystów. Może udając parę, sami się prosili o rozbudzenie tamtych uczuć. Tak wiele z tego, co dzieje się pomiędzy ludźmi w zwyczajnym życiu, narzucone bywa przez ich role, a przecież role to udawanie. Tak właśnie funkcjonują lekarze i ministrowie i - owszem - policjanci. Zatem kiepskim pomysłem jest sprawdzanie, ile miłości wywołują te dwie przeciwległe role, jakie

istoty ludzkie próbują odgrywać, dobierając się w pary. Ona jednak już wiedziała, że czasami miłość przychodzi właśnie w taki sposób. Ludzie tak długo udają, aż uwierzą.

160

Przysunęła się do Jacka, objęła go za szyję i pocałowała w policzek. Nie opuszczała przez chwilę ramion, z twarzą uniesioną na wypadek, gdyby on zechciał odwrócić do niej swoją, objąć ją i też pocałować. To by zupełnie wystarczyło, żeby ją mieć... czy wtedy, czy kiedykolwiek potem. Jednak on wolał nie odczytać właściwie tego pocałunku, żeby zachować swoje czyste sumienie albo jej godność. Łatwo mu było tak się zachować. Była wylewna i całowała w policzek wszystkich - mężczyzn, kobiety, starych i młodych - kiedy pojawiali się na przyjęciu, a co tu mówić o kimś, kto ratował jej życie. Kiedyś w restauracji Erie powiedział, że stanowi zagrożenie dla zdrowia, skoro jednego wieczoru całuje pięćdziesięcioro klientów, przenosząc zarazki z jednego na drugiego.

Jack udał wtedy, że nie rozumie jej intencji, później jednak powiedział coś, z czego wynikało, że dobrze zrozumiał.

- To jest właśnie ten straszny fragment - oświadczył. - Wykonałaś skok nad przepaścią i twoje stopy nie sięgnęły jeszcze drugiego jej skraju. Powoduje to uczucie osamotnienia i rozpacz. Wkrótce znajdziesz się w nowym miejscu, z nowymi ludźmi i poczujesz się lepiej.

Nie wiedział jednak - nie widział tego, bo mu nie pozwoliła - że ona już to uwzględniła. Chciała zaangażować się w związek z Jackiem, żeby nadać zerwaniu z dawnym życiem ostateczny charakter. Czegoś takiego Wendy Harper nigdy by nie zrobiła i właśnie on pomógłby jej przestać być tamtą Wendy Harper.

Przypuszczała, że nauczył się odporności, będąc policjantem. Gliniarze są przyzwyczajeni do oglądania kobiet w takich chwilach ich życia, kiedy są najsłabsze i przerażone. Wtedy wielki, silny mężczyzna, który złożył przysięgę, że będzie ich bronił, staje się pragnieniem powstałym w jakimś prymitywnym zakątku mózgu. Dla osoby takiej jak Jack było to nieco zbyt łatwe.

161

Pamiętała sytuację, kilka godzin później, kiedy zatrzymał samochód tuż przed lotniskiem w Santa Barbara i siedział z nią tam przez chwilę. Pocałowała go wtedy drugi raz, ale pozostał sztywny i drętwy.

- Dzięki za uratowanie życia, Jack - powiedziała. Czy rzeczywiście dodała wtedy: - Jeśli będziesz potrzebował przyjaciela czy jeśli kiedykolwiek będę mogła cokolwiek dla ciebie zrobić... - czy tylko to sobie wyobraziła? Tak, wypowiedziała te słowa. Nie będzie żadnej rzeczywistości, jeśli nie powie sobie prawdy. Zwyczajnie mu się na rzucała.

Jego reakcją były słowa:

- Uważaj na siebie. Gdybyś mnie potrzebowała, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Jeśli ktoś zadzwoni albo zacznie cię szukać, pamiętaj, że ja nie wiem, gdzie jesteś. To na pewno nie będę ja.

Nie miała wyboru.

- Nigdy cię nie zapomnę. - Wsiadła z auta, wzięła walizkę z kilkoma starannie wybranymi rzeczami i torbę na ramię, w której miała siedemdziesiąt tysięcy dolarów

w gotówce, i pomachała do niego ostatni raz. Potem weszła do terminalu i wsiadła do samolotu.

Teraz, kiedy Ann Donnelly znowu się pakowała przed wyjazdem, była tak samo przerażona jak wtedy. Czuła się, jakby jej ruchy miały jakiś nierzeczywisty charakter. Patrzyła na własne dłonie, jak automatycznie wykonują różne czynności. Sięgnęła do szafy i wybrała tylko użyteczne ubrania, resztę pominęła. Przyszło jej do głowy, że robi właśnie to, czego nauczył ją Jack.

Ann Delatorre już powinna była do niej zadzwonić. Bała się. Człowiek, którego Ann opisała, przypominał trochę Jacka, ale przecież on nigdy by jej nie szukał. Przyjaciółka powinna już była zadzwonić. Tak się umówiły. Mogła z tego wyciągnąć jeden wniosek: Ann Delatorre nie żyje. Nie, nie Ann Delatorre. To imię i nazwisko były

162

wymyślone. A ona zasługiwała na to, żeby myśleć o niej pod jej prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Nazywała się Louanda Rowan.

Ann Donnelly skończyła pakowanie i dotarło do niej, że znowu płacze. Płakała nad Louandą z przerwami przez wiele godzin, teraz jednak musiała odzyskać nad sobą kontrolę. Zamknęła walizkę, zatrzasnęła zamek i rozejrzała się. Sypialnia była przytulna i zaciszna. Duże podwójne łóżko z orzechowym wezgłowiem, przykryte narzutą w starym stylu, dawało poczucie spokoju i bezpieczeństwa. Ciężko jej było porzucić ten pokój.

Kiedy uciekła z Los Angeles, szukała szansy wymyślenia nowej i lepszej siebie. Przez jakiś czas pracowała nad tym, by stać się Ann Delatorre, po czym doszła do wniosku, że potrzebna jej jest jeszcze jedna,

dodatkowa warstwa odgradzająca ją od przeszłości. Wpadła na pomysł oddania Louandzie Rowan wymyślonej przez siebie tożsamości oraz interesu, który założyła, i domu, który kupiła. Była to okazja odwdzięczenia się Louandzie za jej przyjaźń i pomoc. Był to także sposób na to, by twarda, nieustraszona Louanda stanęła pomiędzy nią i jej kłopotami. Teraz musiała przyjąć to do wiadomości i pogodzić się z tym. Zaprzyjaźniła się z kobietą, która była w nędzy i rozpacz, użyła jej jako zastępczyni - dublerki - i naraziła na straszne niebezpieczeństwo. Nigdy nie sądziła, że to niebezpieczeństwo okaże się rzeczywiste, ale tak się stało. Teraz, kiedy mijały kolejne minuty, nabierała coraz większej pewności, że Louanda nie żyje i że zginęła, usiłując ją chronić.

Usiłując. To słowo wprowadzało kolejne problemy. Gdyby Louanda została ranna albo musiała uciekać, zadzwoniłaby tutaj i powiedziała, że potrzebuje pomocy. Ale jeśli dopadnięto ją w Henderson i nie zdołała ukryć nazwiska i adresu przyjaciółki przed prześladowcami, wtedy czekanie na jej telefon było marnowaniem czasu potrzebnego na ucieczkę.

163

Ann jeszcze raz wolnym krokiem przeszła przez cały dom. Po drodze w roztargnieniu poprawiała różne rzeczy. Wyprostowała orientalny dywan w salonie, potem stopą wygładziła frędzle po obu jego końcach. Zebrała czasopisma ze stolika i ułożyła je w równy stos, podniosła plastikową wywrotkę z lalką Barbie w środku, zaniósła do pokoju dzieciennego i odstawiła na półkę. Spojrzała na zegarek. Było po jedenastej. Dała Louandzie cały czas, na jaki ją było stać. Wzięła walizkę i poszła w stronę tylnych drzwi.

Doznała odczucia, jakby się nagle przebudziła. Kiedy już się ruszyła,

zaczynało być oczywiste, że czekanie tutaj na swojego kata jest szaleństwem. Wyszła na dwór, rozejrzała się, sprawdzając, czy na ulicy nie dzieje się nic, co byłoby odstępstwem od normy, i zamknąwszy drzwi na klucz, weszła do garażu bocznymi drzwiami i włożyła walizkę do bagażnika beżowego nissana maksima. Gdy wycofywała auto na podjazd, raz jeszcze jej wzrok padł na płaskie pudełko z flancami truskawek, które kupiła trzy dni temu, jeszcze przed telefonem od Louandy, i które nie doczekały się sadzenia. Pilotem zamknęła drzwi garażu.

Ruszyła, skręciła parę razy na wypadek, gdyby ktoś już zdążył się pojawić i zaczął ją śledzić, i kiedy znalazła się na ładnej ulicy z rozłożystymi drzewami, stanęła w cieniu. Wybrała numer w telefonie komórkowym i czekała.

Odezwał się Dennis, ale natychmiast poznała, że to nagranie.

- Mówi Dennis Donnelly. Chwilowo jestem nieuchwytny, proszę jednak zostawić wiadomość, a oddzwonię, kiedy tylko będę mógł.
- Den, mówi Ann. Przykro mi, ale to, o czym mówiłam, że może się zdarzyć, właśnie się zdarzyło. Zostawiłam dzieci... wiesz, gdzie je zostawiłam, więc nie powiem tego przez telefon. Powiedziałam im, że wyjeżdżam na długo w interesach, i tego się trzymajmy. Nie dodawaj żadnych

164

innych szczegółów. Bo tylko zaczną się wykluczać. Pod żadnym pozorem nie zabieraj dzieci do domu. Ty też się tam nie pokazuj. Powiedz swoim wspólnikom, zaraz po otrzymaniu tej wiadomości, że coś się wydarzyło i musisz wyjechać. Zabierz dzieci i ruszaj. Na pewno pamiętasz, że wszystko, co przygotowałam na taką ewentualność, jest w bagażniku

twojego wozu. Całuję. - Wyłączyła telefon i włożyła go z powrotem do torebki. Płakała tak rozpaczliwie, że dłuższą chwilę zajęło jej otarcie łez na tyle, żeby móc się obejrzeć i upewnić, że nikt jej nie śledzi.

ROZDZIAŁ 18

Jack Till, wysiadłszy z samolotu w San Francisco, ruszył do wypożyczalni samochodów. Czekał na kluczyki, co chwilę odwracał głowę i obserwował przepływający za plecami tłum ludzi, szukając w nim jakiejś stałej, kogoś, kto nie znika z pola widzenia.

Jego poszukiwania Wendy Harper, teraz, kiedy Ann Delatorre nie żyła, musiały wyglądać inaczej. Nie mógł zostać w Henderson, żeby poczekać na ekipę z laboratorium kryminalistycznego i na wyniki sekcji, ale widział już wystarczająco wiele ciał, żeby wiedzieć, że kobietę przed śmiercią skatowano. Prawdopodobnie napastnik chciał wyciągnąć od niej informację. Skończyło się to strzałem w bok głowy... wystarczająco blisko, żeby przypalić odrobinę włosów. Miał nadzieję, że strzał był rezultatem wściekłości i frustracji, że nie dało jej się zmusić do mówienia.

Kąt strzału oznaczał kolejne złe wieści: krew na ścianie korytarza i ślad z prawej strony jej czoła wskazywały, że osoba, która się nad nią pastwiła, użyła prawej ręki, żeby uderzać jej głową o ścianę. Strzał w lewą stronę tyłu głowy oznaczał, że ten, kto strzelał, trzymał broń w lewej ręce. Dla Tilla zwiększało to stopień prawdopodobieństwa, że w tym zabójstwie brały udział dwie osoby.

Zanim się udał do wynajętego samochodu, musiał pójść do biura

odbioru bagażu po broń zamkniętą w specjalnym futerale. Dzień wcześniej pewnie by go w ogóle

166

nie otwierał, jednak teraz wszystko uległo zmianie. Teraz, kiedy zabito Ann Delatorre, wiedział, że zagrożenie nie jest ani teoretyczne, ani odległe. Wyjechał z lotniska na autostradę numer 101, opuścił ją najbliższym wyjazdem i stanął na pierwszym wielkim parkingu, obok sklepu sieci sprzedaży hurtowej Costco. Otworzył futerał, załadował broń i włożył ją do kabury, którą przypiął do pasa.

Wjechał do San Francisco pod koniec porannego szczytu. Jeszcze z Las Vegas zadzwonił do Maksa Poliakoffa, żeby na podstawie numeru telefonu Wendy Harper uzyskać jej adres w San Rafael. Miał nadzieję dotrzeć pod ten adres, zanim kobieta uda się do pracy czy gdziekolwiek indziej, ale było już po jedenastej, więc prawdopodobnie i tak się zdążył z nią rozminąć.

Przejechał przez Golden Gate Bridge do San Rafael. Kiedy dostał adres, w hotelu w Las Vegas wszedł na stronę dotyczącą nieruchomości, gdzie znalazł nazwisko prawnego właściciela i opis posiadłości. Dom kupiono przed czterema laty. Miał cztery sypialnie, cztery łazienki i basen, był przestronny i stał na pólakrowej działce.

Wyglądało na to, że szczęście dopisało Wendy Harper. Najwyraźniej miała kiepski start w Las Vegas, gdzie ugrzęzła w nędznym domu wśród ludzi, którzy w zasadzie byli lokatorami tymczasowymi i uciekinierami. Miała szczęście, spotykając kobietę, którą przemianowała na Ann Delatorre, ale jej fart polegał głównie na tym, że nie natrafiła na nikogo, kto chciałby ją skrzywdzić albo postarał się dowiedzieć, jak opłacalne

byłoby wydanie jej.

Till przemierzał ulice San Rafael, szukając właściwej tabliczki. Z informacji o nieruchomościach wynikało, że dom należy do Dennisa Donnelly'ego. Till podziwiał to posunięcie. Wendy Harper zmieniła się w Ann Donnelly, przystąpiła do przetargu o ten dom, wymyśliła męża, zbyt zajętego, żeby przyjść podpisać papiery, więc musiała je mu zanieść i potwierdzić u notariusza. Czy może po pro-

167

stu kupiła dom na jedno nazwisko i przeniosła własność na inne, żeby właścicielem był jej nieistniejący mąż.

Znalazł ulicę i przejechał obok domu, wyćwiczonym okiem sprawdzając wszystko bez używania pedału hamulca, a potem analizując w myślach zarejestrowany obraz. Dom był długi i niski, z mnóstwem elementów wykonanych z kosztownych gatunków drewna wzdłuż okapów, przy oknach i drzwiach frontowych. Duże detale z naturalnego drewna nadawały temu miejscu charakter gdzieś pomiędzy klasycznym stylem kalifornijskim a japońskim. Ten rodzaj architektury charakteryzował jej wspólny dom z Erikiem Fullerem i część stanowiącą przedłużenie ich restauracji. Pamiętał, że stoliki stały nie tylko w sali jadalnej, we wnętrzu, ale dalej wysypywały się poza otwartą szklaną ścianę na kamienne patio z kępami karłowatych roślin zimozielonych. Tamto było w Los Angeles, gdzie kiepska pogoda jest w zasadzie pojęciem teoretycznym, a słońce świeci trzysta pięćdziesiąt dni w roku. Podejrzał, że tutaj, w rejonie Zatoki, deszcz i zimny wiatr nie były niczym nadzwyczajnym i że drzwi do domów są znacznie solidniejsze.

Zauważył też na trawniku dwie tabliczki i jedną na bramie, z napisem

NATIONAL PACIFIC SECURITY - INTERWENCJE Z UŻYCIEM
BRONI. Zatrzymał samochód za rogiem i zadzwonił pod 4-1-1.

- Jakie miasto?
 - San Rafael.
 - Proszę mówić.
 - Czy macie numer National Pacific Security? Nastąpiła chwila ciszy.
 - Nie mamy numeru w San Rafael. Nie ma też w Marin. Ani w San Francisco. Nie ma w Oakland. Proszę spróbować San Jose.
 - Bardzo dziękuję. - Rozłączył się.
- Gdyby istniała firma ochroniarska, która reaguje, kiedy

168

włącza się alarm, to na pewno miałyby gdzieś w okolicy swoje biuro. Tabliczki były fałszywkami, takimi, jakich ludzie używają, żeby ostrzec włamywaczy, że dom wyposażony jest w alarm, podczas kiedy naprawdę go tam nie ma. Wszystko, co robiła Wendy Harper, wskazywało na to, że nieustająco wzbogacała wiedzę na temat tego, jak pozostać w ukryciu. Wystawienie takich tabliczek dawało jej prawie taką samą ochronę jak prawdziwy system alarmowy.

Zadzwonił do drzwi. Nikt nie otworzył, w środku nie słyszał żadnego ruchu, gdy więc jeszcze dwa razy nacisnął dzwonek bez rezultatu, poszedł na tyły domu. Był tam wysoki drewniany parkan, który biegł od domu do garażu. Przełożył górą rękę, wymacał zasuwkę i otworzył furtkę. Odczekał kilka sekund, szukając wzrokiem śladów psa.

Psa nie było. Zdziwił się. Wendy wydawała mu się osobą, która

uznałaby psa za tanią inwestycję w zabezpieczenie. Ruszył kamiennym chodnikiem, rzucił okiem w stronę basenu i odczuł jej obecność - zobaczył tam krajobraz z mnóstwem kamieni i utworzonymi sztucznie wodospadami, które przypominały ogródki na zewnątrz restauracji w Los Angeles.

Podszedł do szklanych przesuwanych drzwi na tyłach domu i zajrzał do środka. Zobaczył fortepian, na nim oprawione w ramki fotografie i jeszcze kilka więcej na gzymsie nad kominkiem. Wytężył wzrok w nadziei, że uda mu się zobaczyć zdjęcie właścicielki domu. Widział kilka zdjęć jakiegoś mężczyzny i małych dzieci, ale żadnego z kobietą. Przypuszczał, że już sam brak jej zdjęć potwierdza, iż jest to dom Wendy. Na pewno potrafiła zdobyć fotografie jakiegoś mężczyzny i dzieci, żeby figurowały tu i ówdzie, jeszcze bardziej upodabniając ją do innych kobiet w jej wieku.

Dojrzał coś jeszcze i poczuł, jak oddech mu przyspiesza

169

i napinają się mięśnie. Ramka z odgiętą, sterczącą podpórką leżała płasko. Szkło położono obok. Ktoś wyjął fotografię. Till rozpaczliwie nie chciał znaleźć rozbitej szyby w oknie czy wyważonych drzwi. Jeśli wszystko pozostało nienaruszone, to istniała szansa, że może zabrała to zdjęcie ze sobą.

Jednak zobaczył je natychmiast, kiedy skręcił za róg: wybite okno do głównej sypialni. Ramę podniesiono i tak pozostawiono. Podszedł bliżej, jego wzrok automatycznie pobiegł ku łóżku, a potem ku podłodze. Nie było ciała. Żeby nie zmazać ewentualnych odcisków palców, przez chusteczkę dotknął zewnętrznej krawędzi okna, popchnął je wyżej, przekroczył parapet i wszedł do pokoju. Wyjął broń i ostrożnie posuwał się do przodu, nasłuchując dźwięków, które świadczyłyby o tym, że

napastnicy nadal są w domu.

Może jego wyobrażeniu o Ann Delatorre brak było realizmu. Może jednak nie była w stanie wytrzymać bicia i dała zabójcom ten adres. Przechodził z pokoju do pokoju, patrząc i nasłuchując. Dzieci było dwoje. Jedno, spoglądające na niego ze zdjęcia, miało około siedmiu lat, a drugie około pięciu. Był też mężczyzna... nie tylko nazwisko na akcie własności, ale prawdziwy mężczyzna, który zostawił buty na podłodze, którego marynarki wisiały w szafie, a koszule leżały w koszu na rzeczy do prania.

Dzieci miały taki sam rodzaj wiotkich blond włosów jak Wendy Harper sześć lat temu, ale miały za dużo lat, żeby mogły być jej biologicznym potomstwem. Przejrzał kolekcję zdjęć na fortepianie i znalazł fotkę szerokiej plaży z wielkimi skałami w tle, z klęczącą Wendy, przytulającą te dzieci i uśmiechniętą. Biologiczne czy nie, były jej. Znalazł też wyraźne zdjęcie mężczyzny stojącego przed beżowym nissanem maksima, nie więcej niż rocznym.

To był wstrząs dla Tilla. Kiedy uświadomił sobie, że istnieje prawdziwy Dennis Donnelly, poczuł w żołądku

170

niespodziewany ciężar. Próbował mówić sobie, że to, co on zrobił sześć lat temu, doprowadziło ją do tego przyjemnego miejsca i dało jej życie ze wspaniałą rodziną. Na próżno. Sześć lat temu Till nie chciał wykorzystać zdesperowanej kobiety. Nie chciał też narażać bezpieczeństwa swojej córki Holly, przyprowadzając do domu kobietę, która była celem morderców. Powtarzał sobie wtedy, że Wendy Harper jest klientką. Sześć lat temu w najlepszej wierze nie pozwolił jej dostrzec, jak bardzo go pociąga, i od tamtej pory żałował tego tysiące razy.

Wiedział, że dała mu mnóstwo powodów, żeby się nią nie przejmować. Miała wiedzę na temat prawdopodobnego morderstwa, ale nie zdradziła nikomu, kim był morderca ani nawet jego ofiara. Wygłosił jej rutynową przemowę byłego policjanta na temat obowiązku wobec miejscowej społeczności, jakim jest usunięcie z jej grona zabójcy. Powiedział jej, że jeśli on zabije kolejną kobietę, to część winy spadnie na nią.

Wysłuchała, zgodziła się z jego uwagami, ale nie powiedziała niczego, co mógłby wykorzystać. Upierała się, że nie zna nazwiska mężczyzny i nie potrafi go nawet dobrze opisać. W końcu Jack uznał, że ma prawo wyjechać z miasta, i przyznał, że jeśli tego nie zrobi, to na pewno zginie. Nie uczyniła nic, by ściągnąć na siebie takie kłopoty, i miała prawo uciec przed niebezpieczeństwem.

Till przyglądał się bacznie mężczyźnie na fotografii, Dennisowi Donnelly'emu. Był młody... jakieś trzydzieści jeden czy dwa lata, ale miał mocne szczęki, otwartą twarz, robiącą wrażenie dobrodusznej i miłej. Nie mógł się zdecydować, czy wolałby, żeby Donnelly wyglądał na brzydala czy głupka, ale doszedł do wniosku, że jednak nie. Chciał, by Wendy się powiodło, miała szczęśliwe życie, i podejrzewał, że ten mężczyzna jest częścią tego, czego jej życzył.

Obejrzał resztę domu; pusta ramka była jedynym śla-

171

dem, że coś ruszono. Wiedział, że zabrali fotografię, by pomogła im w poszukiwaniach. Niczego nie przestawiał, a nawet nie dotknął, i opuścił dom tą samą drogą, którą do niego wszedł.

Myśliwi dotarli tutaj przed nim, ale Wendy Harper już nie znaleźli... i wciąż żyła.

ROZDZIAŁ 19

- Przykro mi, ale pan Till jest nieobecny. Tu biuro zleceń. Czy chciałaby pani zostawić wiadomość?
- Wiadomo może, kiedy się pojawi? - Ann Donnelly starała się opanować panikę pobrzmiewającą w jej głosie. Już prawie południe. Może wyszedł na lunch.
- Przykro mi, ale nie. W tej chwili wykonuje zadanie poza miastem. Wzięła kilka głębokich wdechów, ani na moment nie przestając myśleć.
- Nazywam się Wendy Harper. Usiłował się ze mną skontaktować.
- Rzeczywiście. - Głos kobiety zabrzmiał inaczej, jakby się właśnie przebudziła. - Zostawił numer telefonu komórkowego, gdyby się pani odezwała. Ma pani coś do pisania?

-Tak.

- Proszę pisać. - Kobieta wyrecytowała cyfry numeru.
- Zapisałam. Dziękuję. Od razu spróbuję. - Odwiesiła słuchawkę automatu telefonicznego i oddaliła się od ceglanego frontonu sklepu 7-Eleven. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo niepokoi ją, że jest tak dobrze widoczna na tle tej ściany. Jack nauczył ją, że automaty są najbezpieczniejsze, ale stanie w takim odkrytym miejscu wyprowadziło ją z równowagi.

Wsiadła do samochodu i ruszyła. Bała się zatrzymać i w trakcie jazdy wystukiwała numer na telefonie komórkowym.

Sygnał odezwał się raz, drugi raz, a ona czekała, wstrzymując oddech. Potem usłyszała:

-Taa?

Rozpoznała jego głos po tym krótkim dźwięku i wydało jej się, że wszystkie związane z Jackiem uczucia niespodziewanie opanowują jej świadomość. Ten głos oznaczał siłę, bezpieczeństwo, nadzieję.

- Tu Wendy. Słyszałam, że mnie szukasz. Czy rzeczywiście?
- Tak. Posłuchaj. Musimy natychmiast się spotkać. Nie zbliżaj się do swojego domu. Ci, którzy na ciebie polują, już tam byli.
- O Boże! Domyśliłam się, że teraz kolej na to. Wyniosłam się stamtąd ledwie pół godziny temu.
- Masz samochód?
- Siedzę w nim.

- Możesz się gdzieś ze mną spotkać? -Tak.
- Powiedz gdzie.
- Pier 39. Mogę tam być za pół godziny.
- Będę czekał.

Jack Till był już na Golden Gate Bridge, zatem dotarcie do Pier 39 zabrało mu tylko dwadzieścia minut autostradą i nadbrzeżną Embarcadero. Zaparkował na dostępnym dla ogółu parkingu i dołączył do tłumu turystów podążających ze sklepów z pamiątkami na drugą stronę ulicy, w stronę mola. Zbliżył się do grupki ludzi wysiadających z autokarów wycieczkowych w pobliżu budynków, gdzie sprzedawano bilety na statki do Alcatraz i bilety wstępu do oceanarium.

Starannie sprawdzał upływ czasu. Przyjechał nawet szybciej, niż się spodziewał, musiał więc znaleźć odpowiedni punkt obserwacyjny. Wszedł na Pier 39, gdzie na dwóch poziomach znajdowały się sklepy i restauracje, niewiele różniące się od zatłoczonych miejsc w jakimkolwiek

174

centrum handlowym, tyle że za oknami widać było lśniący rozfalowany ocean. Ruszył po drewnianych schodach na piętro, zatrzymał się i oparłszy o balustradę, ogarniał wzrokiem szeroki betonowy wjazd oraz parkingi przy ulicy. Na jednym ze zdjęć w tamtym domu zauważył beżowego nissana maksimę i na taki samochód miał oko.

Pięć minut później zobaczył go we wjeździe na parking. W fotelu kierowcy siedziała kobieta, nie zdążył jednak zauważyć jej twarzy, bo od razu skręciła w pierwszą alejkę i zniknęła mu z oczu. Zszedł po schodach i ruszył w stronę parkingu, po czym zobaczył, że ona idzie mu naprzeciw. Szła szybko, poruszała się niemal truchtem, trzymając ręką pasek zawieszony na ramieniu dużej torebki.

Natychmiast sobie przypomniał, że kiedy widział ją ostatni raz, ciągle wyraźnie kuląła, a to utykanie było rezultatem jednego z ciosów, wymierzonego w biodro. Teraz szła pewnym i płynnym krokiem, a nie biegła jedynie dlatego, że nie chciała zwracać na siebie uwagi. Włosy miała wciąż długie i jasne, tak jak sześć lat wcześniej. Jej widok wywołał nagłą falę dawnych uczuć, które musiał zdusić w sobie, kiedy widział ją ostatni raz. Oparł się pokusie, żeby wybiec jej na spotkanie, zamiast tego tkwił wśród tłumu w pobliżu sklepów. Oderwał od niej wzrok i przeniósł na ulicę, parking, przestrzeń poza nią, wypatrując kogoś, kto się jej przygląda, czy też kogoś, kogo już wcześniej widział. Nie zobaczył nic

podejrzanego, jednak był świadomy tego, że tłum, który skrywał Wendy przed oczyma innych, równie dobrze może osłaniać jej nieprzyjaciół.

Pozwolił, żeby zbliżyła się do niego, i wtedy powiedział cicho:

- Miń mnie i idź do pierwszego sklepu na górnym poziomie, i tam na mnie zaczekaj.

Odczekał kolejne dwie minuty, żeby sprawdzić, czy ktoś za nią nie poszedł, ale nie zobaczył nikogo. Nikt też, z tych, których miał przed oczyma, nie wykonywał żad-

175

nych dziwnych ruchów. Kiedy się już ostatecznie upewnił, ruszył schodami na górę i wszedł do sklepu. Podeszła do niego bez chwili zwłoki.

- Cześć - powiedziała cicho.
- Cześć. Idziemy. - Wykorzystując to, że może patrzeć na wszystko z góry, Till raz jeszcze sprawdził, czy nic się nie zmieniło. - Nikt cię nie śledził?
- Chyba musiałabym zauważyć. Opuściłam dom, zatrzymałam się na kilka minut na pobliskiej ulicy, pojechałam do 7-Eleven, jakiś kilometr czy dwa od mojego domu, i z automatu zadzwoniłam do twojego biura. Potem odjechałam i zadzwoniłam na twoją komórkę, i przyjechałam tutaj.
- Dlaczego wcześniej się nie odezwałaś? Nie widziałaś ogłoszeń?
- Ogłoszeń? Jakich ogłoszeń? Wiedziałam tylko, że ktoś przyjechał do Henderson, żeby mnie odszukać, ale pomyślałam sobie, że to nie możesz być ty. Powiedziałaś, że nigdy tego nie zrobisz.
- Cóż, sytuacja się zmieniła. Teraz musimy się upewnić, czy uda nam się niepostrzeżenie dotrzeć do Los Angeles.

- Do Los Angeles?
- Nie rozumiesz? Przecież o to właśnie chodzi.

Twarz miała tak przestraszona, że wyglądała na chorą, przerażenie chwyciło ją w swoje macki i zatrzymało w miejscu, jakby nie mogła w ogóle poruszyć nogami.

- Słyszałam, na czym polega problem. Zgodziłam się z tobą spotkać. Nie powiedziałam, że wrócę do Los Angeles.

- Wendy. - Ujął ją delikatnie za ramię.

Popatrzyła na niego pełnym rozpaczki wzrokiem.

- Jeśli zrobimy to tak, jak trzeba, nie zobaczy cię nikt poza zastępcą prokuratora okręgowego i glinami. Nie zajmie to dłużej niż jeden dzień
- obiecał.
- Ja po prostu nie pojmuję, dlaczego w ogóle mam to zrobić.

176

- Bo jak tego nie zrobisz, Erie Fuller zostanie prawdopodobnie skazany za zabicie cię i pocięcie na kawałki kuchennym nożem. Musimy po prostu udowodnić, że żyjesz, i to wszystko.
- Dlaczego ktokolwiek miałby uważać, że on mi coś zrobił? Nadal nie widzę w tym żadnej logiki. Nie było mnie całe sześć lat.
- Nie chcę wdawać się w długie dyskusje na ten temat -oświadczył, nie odrywając od niej wzroku - podczas gdy ci ludzie deptają nam po piętach. Spotkałem się z adwokatem Erica i rozmawiałem z zastępcą prokuratora okręgowego. To oskarżenie, jakie zbudowano przeciwko niemu, nie jest zbyt mocne, ale widywałem ludzi skazanych na słabszych podstawach.

- Więc ktoś go wrabia.
- Oczywiście.
- Skoro o tym wiesz, powstrzymaj to.
- Właśnie to robię.
- W inny sposób.
- Nie ma innego sposobu.
- Jak to możliwe?
 - Już powiedziałem zastępcy prokuratora okręgowego, co się wydarzyło... wszystko: jak cię poznałem, dokąd cię zabrałem, dlaczego wyjechałaś. Ona nie...

-Ona? O Chryste!

- Tak jest. Sądzę, że ona chce właśnie wykorzystać okazję, żeby pomścić te wszystkie młode kobiety znalezione na wpół zagrzebane na jakichś polach.

- To ładnie z jej strony. Powiedz jej tylko, że jeszcze do nich nie należę.

-Powiedziałem. Musisz dowieść tego osobiście. Zawsze ci zależało na Ericu. Kiedyś był dla ciebie najważniejszą osobą na świecie.

- O to właśnie chodzi. Już nie jest. Kiedy wyjechałam, zostawiłam mu wszystko, czego pragnął, i sprawa skoń-

177

czona. Teraz mam najprawdziwszą na świecie rodzinę. Jestem matką dwojga małych dzieci. W tej chwili ich ojciec wywozi je z miasta, żeby mogły przeżyć. Nie rozumiesz? To o nich przede wszystkim muszę się troszczyć, a nie o Erica Fullera.

- Wyjechali?

-Tak.

- Więc zrobiłaś dla nich, co mogłaś. Pozostała jeszcze jedna rzecz do zrobienia.
- Wiem. Wiem, o co chodzi. I ktoś mógłby spytać: „Czemu ona się waha?” Ale to nie takie proste. Mam małe dzieci, męża. Nikt nie może mi powiedzieć, że Erica na pewno skaza. Gdyby go uniewinnili, nie stałaby mu się krzywda. Gdyby go skazali, wtedy dopiero bym się mogła zjawić i pokazać, że żyję. Ty pytasz: „Po co niepotrzebnie narażać go na proces o morderstwo?” A ja pytam: „Dlaczego narażać moją rodzinę na niebezpieczeństwo? Dlaczego wywracać do góry nogami ich życie, dawać im fałszywą tożsamość, zmuszać do porzucenia domu i łamać mojemu mężowi karierę zawodową, jeśli Erica i tak uda się oczyścić z zarzutów?”
- Bo to m y do tego doprowadziliśmy, ty i ja, i naszym obowiązkiem jest zrobić to, co możemy, żeby zapobiec złym konsekwencjom. Erie jest niewinną ofiarą.
- To zupełnie inna sprawa. - Teraz wyglądała już na zdesperowaną, jakby walczyła z zalewającą ją kipiela. -Mówisz, że go wrobiono. No dobrze, kto według ciebie to zrobił? Ten człowiek, który mnie nie dobił sześć lat temu. Nie mógł mnie znaleźć, więc teraz wykoncypował, jak mnie wywabić z ukrycia. Jak możesz wymagać ode mnie, żebym to zrobiła?
- Większość zła już się stała. Myśliwi byli w twoim domu. Zabrali zdjęcia... myślę, że jedno było twoje, ale zdziwiłbym się, gdyby nie wzięli kilku, żeby ułatwić sobie rozpoznanie twojego męża i dzieci. Nieważne, co się

stanie, będziesz musiała się trzymać z dala od tego domu. Uratujesz Erica czy nie, będziesz musiała się ukrywać razem z rodziną. Jest szansa, że tym razem mogłabyś znaleźć się w zorganizowanym przez władze programie ochrony świadków. Jeśli nie, to na pewno ja ci pomogę.

Widział, że ona go prawie nie słucha. Nie chciała dopuścić do siebie świadomości, że życie, jakie sobie stworzyła w San Rafael, dobiegło końca.

- Jesteś pewien, że znaleźli już mój dom? -Tak.
- Jak to możliwe?

Milczał i czekał. Ona zdawała się przesuwać wzrokiem po budynkach, molu, pasie wody w pobliżu przystani, skąd statki zabierały pasażerów do Alcatraz, jakby nigdy wcześniej tych miejsc nie widziała.

- Nie powiedziałeś ani słowa o Ann Delatorre - odezwała się w końcu.
- Ty też nie.
- Czy jest tak, jak myślę?
- Wyglądało na to, że walczyła. Pewno w ogóle nie widziała broni i koniec nastąpił szybko.

Ann Donnelly miała mocno zaciśnięte powieki, kręciła głową, jakby zaprzeczając, ale nie płakała.

- Wiesz, co musisz zrobić - powiedział detektyw, kiedy otworzyła oczy.

Ruszyła przed siebie. Jack szedł z nią w stronę parkingu, a kiedy skręcił w kierunku swojego samochodu, ona skręciła razem z nim.

ROZDZIAŁ 20

- Uważasz, że jest ładniejsza ode mnie, prawda? - spytała Sylvie.

Paul spojrział na nią, potem ponownie w boczne lusterko, przyciskiem ustawiając jego nachylenie tak, by nie stracić z oczu mężczyzny i kobiety.

- Nie jest.
- Przypatrujesz się jej.
- Nigdy przedtem jej nie widziałem. Chcę się dobrze przyjrzeć.
- Zawsze podobają ci się te drobne kobietki o kształtach dziewczynek, a wszyscy mężczyźni lubią blondynki.
- Nie biorę udziału w tej konkurencji. I nie wszyscy mężczyźni lubią blondynki. Nawet nie wszyscy mężczyźni lubią kobiety.
- To jest myśl, co? - Sylvie roześmiała się. - Ale ty nadal lubisz kobiety, prawda?

Oderwał oczy od lusterka.

- To bardzo dziwna uwaga.
- Nie moja. Twoja.

Spojrział na Sylvie. Siedziała bokiem w fotelu pasażera wynajętego suwa, w dużej odległości od niego, plecami oparta o drzwi, zwrócona do niego twarzą, jakby szykowała się do odparcia ataku.

- Staram się mieć tę kobietę na oku - tłumaczył jej z przesadną cierpliwością - ponieważ Densmore płaci nam okrągłą sumkę za jej sprzątnięcie, a nie dlatego, że

180

jestem nią osobiście zainteresowany. Usiłuję zapewnić nam taką sytuację, żeby można było ją zabić i nie dać się złapać. - Ponownie spojrział w

lusterko i nie zobaczył nic, wobec czego spróbował w innych, wreszcie odwrócił się w fotelu.

Zobaczył ich znów, jak szli przejściem pomiędzy rzędami samochodów. Wendy Harper wzięła z nissana walizkę i szła za Tillem. Następne sekundy były decydujące. Paul musiał zobaczyć samochód, do którego wsiada, i się upewnić, że to ten sam wóz, który już widział, a nie jakiś nowy, który Till tam podrzucił. Wykręcił szyję, ale zniknęli mu z pola widzenia za jakimś suvem, który był jeszcze większy od jego wozu. Till był zawodowcem. Paul nie mógł ryzykować i podjechać bliżej, by detektyw zobaczył jego twarz, ale nie mógł też pozwolić, żeby tamten odjechał i zniknął mu z oczu.

- Przepraszam.

-Hm?

-Powiedziałam przepraszam. Żebyś nie musiał siedzieć w milczeniu i przez następne kilka godzin nie odzywać się do mnie, jakbym zrobiła coś karygodnego.

- W porządku. Nie uważam, byś musiała przeproszać, ale przeprosiny przyjmuję. Cholera. Muszę przyjrzeć się autu, do którego wsiadają, a nie mogę pozwolić, żeby on nas zobaczył.
- A może tak podjechać z tyłu, żeby nie mógł się wycofać, i wtedy otworzyć ogień?
- Żeby z tysiąc osób się rozejrzało i nas zobaczyło.
- O to właśnie chodzi. Tam, gdzie jest tysiąc osób, to jakby nikogo nie było. Będą setki sprzecznych opowieści, a połowa z tych ludzi zobaczy, jak ktoś inny odjeżdża, i będą mówili, że to właśnie tamci.
- Może to i prawda, ale równie dobrze moglibyśmy ich zastrzelić i

utknąć na tym parkingu za kimś, kto nie może wyjechać. - Paul zaczął się irytować. Przekręcił kluczyk

181

w *stacyjce* i zapalił silnik, zaczął cofać samochód, po czym wzdrygnął się zaskoczony natrętnie głośnym klaksonem za sobą.

Wcisnął hamulec, samochód stanął z szarpnięciem i za-kołysał się. Gdy odwrócił głowę, zobaczył parę nastolatków, chłopca za kierownicą auta i dziewczynę, którzy przejeżdżając obok, wbili w niego wściekły wzrok.

Kiedy Paul zaczął ponownie się wycofywać, myślał o tych dwojgu. Równie dobrze mogli poczekać chwilę, aż on wyjedzie, ale najwyraźniej naładowani byli agresywnością, stającą się ostatnio epidemią. Te dzieciaki nie zdawały sobie sprawy, jak blisko grobu stąpają. Nawet sam Paul nie wiedział, jakiej jeszcze potrzebował prowokacji, żeby zapomnieć o ostrożności, której tak się domagał od Sylvie, i wpakować kulę w każdą z tych głów. Wyprowadził wielkiego suwa spomiędzy sąsiednich samochodów i ruszył w stronę wyjazdu z parkingu za samochodem nastolatków. Przez ich małe auto widział koniec alejki, gdzie Jack Till otwierał właśnie przed Wendy Harper drzwi beżowego lincolna.

- Są tam - powiedziała Sylvie.

Jej zbędna uwaga uchybiała jego przytomności umysłu. Przecież ich widział. To, że Sylvie się tu znajdowała i mogła ich widzieć, było całkowicie jego zasługą. Kiedy włamali się oboje do domu Wendy Harper i stwierdzili, że jest opuszczony, Sylvie założyła, że umkną stamtąd, zanim ktokolwiek odkryje włamanie. To Paul się uparł, żeby zaparkować kawałek dalej i obserwować dom. Przekonał się, że miał rację, kiedy pierwszą osobą, jaka się *tam* pojawiła, był Jack Till. A potem zdołał

niezauważony dojechać za nim aż do Pier 39. Korciło go, żeby jej o tym przypomnieć, ale się powstrzymał.

- Teraz dopiero się wszystko zaczyna - oświadczył. -

Udało nam się go nie zgubić, aż ją dla nas wyszukał i jeszcze żadne z nich *nas* nie *zauważyło*. To doskonale.

182

- Zgadza się - powiedziała Sylvie.

- Skoncentruj się tylko na tym, żeby dobrze widzieć ich auto, zobaczyć tablicę rejestracyjną i zorientować się, dokąd jadą. Będziemy musieli wyjechać z parkingu przed nimi i poczekać, aż nas miną.

- Dobrze.

- Nie spuszczaaj oczu z Tilla. To zawodowiec, więc na pewno ma jakiś konkretny plan.

- Powiedziałam: dobrze.

- Co z tobą?

-Nie wiem. Może to dlatego, że traktujesz mnie jak śmiecia?

- A niby kiedy tak było?

- No cóż, zobaczymy. Odkąd tylko pojechaliśmy do Ve-gas, bez przerwy mnie sztorcujesz.

-Nieprawda. Po prostu chcę, żebyśmy oboje skupili się na robocie. Ja mam większe doświadczenie, to może i udzielam więcej wskazówek. I tyle.

- Byłeś dla mnie podły, kiedy zastrzeliłam tę czarną kobietę. Usłyszałam zamieszanie, pobiegłam i zobaczyłam, jak cię gryzie, drapie i chce ci wydłubać oczy, więc to zro

biłam. To wszystko. I od tamtego czasu bezustannie ranisz moje uczucia. Czy to dlatego, że kobieta chciała ci dopieprzyć, a ja byłam tego świadkiem? Czy może dlatego, że kobieta cię uratowała?

Umysł Paula przeskakiwał od uszczypliwości jej oskarżenia do czystego rozbawienia, jakie wywoływał kompletny brak racjonalności w jej słowach.

- Chciałem ją przestraszyć, nie zabić - oświadczył, kiedy udało mu się na moment uspokoić.
- Przestraszyłeś ją, bez dwóch zdań.
- Gdyby chodziło mi o jej ukatrupienie, sam bym to zrobił. Miałem broń. Wiedziałaś o tym.
- Ja wiedziałam i ona też wiedziała. Nie chciałam, żeby dostała ją w łapy i kropnęła nas oboje.

183

- W porządku - powiedział. - Strzeliłaś, bo nie wierzyłaś, że utrzymam ją dostatecznie długo przy życiu, żeby zmusić do mówienia. Więc musiałem przez godzinę sprzątać, a potem kolejną godzinę rozbierać dom na kawałki, żeby znaleźć to, co przecież mogła nam powiedzieć.
- Jesteśmy tutaj dzięki temu, że ja znalazłam ten numer telefonu.
- Tak, jesteśmy tutaj... jakąś godzinę za późno, żeby zaskoczyć ją przy pakowaniu i zabić, nim Till do niej dotrze. Tamte dwie dodatkowe godziny w Henderson mogą być znaczące, prawda?
- Aha, no to teraz w końcu rozumiem.

Było to zmaganie o klarowność sytuacji. Ich spory zawsze tak wyglądały, gniew związany z walką zmuszał oboje do ujawnienia uraz,

które wcześniej ukrywali, ale jak już je wyciągnęli, to używali jak amunicji. Wyczucie sytuacji mówiło mu, że kłótnia już dociera do sedna i że wkrótce się dowie, o co w tym wszystkim chodzi.

- Niby co rozumiesz?

- Nie byłeś zbyt czuły od wyjazdu z domu. Czy jesteś po prostu zły na mnie za to, że ją zastrzeliłam, czy tracisz zainteresowanie?

- Nie tracę zainteresowania. Jestem z tobą przez cały czas, prawda? Może w tym właśnie tkwi problem.

- Nie chodzi o to, czy jesteśmy obok siebie. Mam na myśli... no wiesz.

- Seks? - Paula zawsze zdumiewało, że to słowo tak trudno jej przechodzi przez gardło, zważywszy na jej przeszłość.

- Tak. Jesteś taki zimny i obcy. Przestałam cię interesować.

- Nieustannie pracujemy. Interesujesz mnie, ale ciągle coś się dzieje. Jak nie jesteśmy w samolocie, to siedzimy w samochodzie. - Oderwał oczy od pojazdów przed nimi, które posuwały się powoli do wyjazdu. - Kocham cię. Nie

184

zapominaj nigdy, jaki trud sobie zadaliśmy, żeby być razem. Tak bardzo cię pragnąłem.

- Pragnąłem?

- Pragnę.

Zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała delikatnie w policzek.

- Zabijmy ich już teraz i weźmy sobie pokój w hotelu.

Usłyszeli za sobą klakson i Paul zerknął w lusterko

wsteczne. Tym razem była to kobieta w średnim wieku, która zauważyła,

że zostawił trochę wolnej przestrzeni pomiędzy swoim zderzakiem i bagażnikiem samochodu nastolatków.

- Tylko nie spuszczaaj z oka ich samochodu - powie
dział.

Dręczyły go oskarżenia Sylvie, że nie radził sobie z tamtą kobietą w Henderson. Zabijając ją, odebrała mu szansę obrony przed oskarżeniem o słabość. Właśnie już miał ją unieszkodliwić, kiedy Sylvie wpadła rozhisteryzowana i ją zastrzeliła. Znał wiele sposobów na obezwładnienie mniejszego przeciwnika. Uprawiał sztuki walki, odkąd był nastolatkiem.

Jako chłopiec nie widział przed sobą żadnego celu. Wydawało mu się, że ta siła, która utrzymywała większość ludzi na jakiejś ścieżce życiowej, na niego w ogóle nie działała. Wszyscy wokół, nawet jego bracia i siostry, mieli pewne wyobrażenie, do którego dorastali, jakiś szablon, w który starali się wpasować.

Paul umiał utrzymywać równowagę, kontrolować i koordynować ruchy, więc pomyślał, że może okazać się dobry w sporcie, ale bardzo trudno mu było znaleźć odpowiednią dla siebie dyscyplinę. Był wysoki i chudy, więc koszykówka wydawała się pewną możliwością, stwierdził jednak, że niezliczone godziny spędzone na wrzucaniu piłki do kosza, kozłowaniu i ponownym rzucaniu, które robiły z innych chłopców dobrych graczy, jego śmiertelnie

185

nudzą. Próbował futbolu, ale odczuwał to jako karę za jakiś zakazany czyn, którego nie miał nawet przyjemności popełnić. Potem odkrył zajęcia karate w salce po drodze ze szkoły do domu. W karate mógł wykorzystać swoje wszystkie atuty - duży zasięg, wysoko wymierzone kopnięcia,

znakomitą koordynację ruchów, rozpierającą go energię i tkwiącą w nim złość.

Był już chłopcem niebezpiecznym, nim skończył piętnaście lat. Nie kolegował się z innymi uczniami, ale kiedy szedł korytarzem, rozcinał tłum przed sobą niczym lodo-łamacz, parł naprzód, nie zbaczał, odrzucał na bok każdego, kto go nie zauważył, a tych, którzy zauważyli, zmuszał do ustępowania z drogi. Któregoś popołudnia jakiś popchnięty chłopak odpowiedział tym samym, mocno. Paul zrobił obrót, zgodnie z kierunkiem tego pchnięcia, uchwycił ramię ucznia i złamał je, po czym zadał całą serię szybkich ciosów, pozostawiając na korytarzu krwawiącego i nieprzytomnego chłopca.

Tego wieczora, kiedy jego matka wróciła z pracy, zjawiała się policja i zabrała Paula na posterunek. Zadali mu dużo pytań, a potem zamknęli na noc. Matka poszła na policję, żeby go stamtąd wydostać, jednak policjanci nie wiedzieli jeszcze, jak poważne będą oskarżenia, więc się ociągali. Ostatecznie wysłano go na trzydzieści dni do poprawczaka w górach. Właśnie tam otrzymał swoje pierwsze płatne zlecenie.

Po zaledwie dwóch tygodniach pobytu w zakładzie miał już za sobą cztery zwycięskie bójki i wtedy przyszło do niego trzech chłopaków z North Valley i przedstawiło swój problem. Rozprowadzali na ulicy marihuanę dla diler. Mieli na pieńku z chłopakami, którzy pracowali dla konkurencyjnego handlarza, i jeden z nich wpadł na pomysł, żeby obrabować dom własnego pracodawcy i zrzucić winę na rywali. Kłopot tkwił w tym, że kiedy włamali się do tamtego domu, zobaczył ich sąsiad. Diler, dla któ-

regu pracowali, był człowiekiem groźnym. W odległych zakątkach lasów państwowych miał kilka plantacji pilnowanych przez małe grupki uzbrojonych ludzi. Za każdym razem, kiedy uprawy dojrzały, zbierali je, pakowali w worki i wynosili stamtąd na piechotę. Wśród tych ludzi ich pracodawca miał mnóstwo takich, którym mógł kazać zabić chłopców, gdyby się tylko dowiedział, co zrobili. Musieli więc pozbyć się tego sąsiada, zanim ten zobaczy ich ponownie i rozpozna, ale przez jeszcze co najmniej dwa miesiące mieli przebywać w tym zakładzie dla młodych przestępców.

Wiedzieli, że Paul wychodzi za dwa tygodnie. Byli skłonni powiedzieć mu, gdzie schowali broń, i zapłacić tysiąc dolarów każdy za uśmiercenie sąsiada szefa. Paul wyraził zgodę. Kiedy tylko go zwolniono, udał się pod *wskazany adres*, odnalazł pistolet, poszedł do *domu* mężczyzny i zastrzelił go podczas snu. Wreszcie Paul odkrył swoją dyscyplinę sportu.

Wykonywał płatne zlecenia przez wiele lat, zanim poznał Sylvie. Nie podejrzewał, że ona będzie kiedykolwiek podważać jego kompetencje, by zyskać kilka punktów w jakimś głupim sporze. Zmusił się do zachowania spokoju. Nikt nigdy nie powiedział, że kobiety walczą uczciwie, i nikt nigdy nie szukał ich towarzystwa dlatego, że postępują logicznie.

Z tyłu znowu rozległ się klakson, tym razem trąbił długo i głośno.

ROZDZIAŁ 21

Jack Till okręcił się w fotelu, żeby zobaczyć, o co chodzi z tym trąbieniem, ale zorientował się tylko, że dźwięk rozlega się gdzieś za nim.

Tymczasem jakiś samochód zatrzymał się, żeby go wypuścić i zająć jego miejsce. Niepokoił go prowadzący chłopak, w czarnej bejsbolowej czapce, bo zamiast patrzeć przed siebie, rozmawiał ze swoją dziewczyną, ale mimo to Till wycofał się i odjechał.

Opuścił parking i pojechał na zachód, oddalając się od portu. Chciał znaleźć się na autostradzie biegnącej na południe jeszcze przed godziną szczytu. Wiedział, jak ważne jest szybkie tempo działania w wypadku świadka takiego jak Wendy Harper. Gdyby nastąpiły jakieś opóźnienia albo przeszkody, zaczęłyby rozważać zmianę decyzji. Obserwował ją bacznie, za każdym razem, kiedy musiał stanąć na światłach czy czekać w korku, i zauważał nerwowe zachowania, jakich się obawiał: spoglądanie przez okno na znajome budynki, kciuk przesuwany w tę i z powrotem po klamce drzwi. San Francisco wciąż było jej domem. Jeszcze nie wyjechał z tego miasta. Mogła otworzyć drzwi za każdym razem, kiedy się zatrzymywał, wyslizgnąć z auta i dobrze wiedziałyby, gdzie się obrócić.

- Nie denerwuj się - uspokajał ją. - Podjęłaś właściwą decyzję.
- Podjęto ją za mnie.
- No i dobrze. Nie musisz się zastanawiać, czy dobrze zrobiłaś.

188

- Zastanawiam się raczej nad tym, dlaczego nie przywiozłeś kamery wideo i nie nagrałeś mnie, jak składam oświadczenie, trzymając w ręku aktualną gazetę czy coś w tym sensie. Mógłbyś nawet pobrać krew do testu DNA.
- Myślałem o tym - odparł. - Wiemy, że w laboratorium kryminalistyki mają próbki twojej krwi. Zastępczyni prokuratora okręgowego by protestowała, ale myślę, że Jay Chernoff, adwokat Erica, mógłby

wykorzystać to w sądzie.

•To dlaczego tak nie zrobiłeś?

•Bo zanim do ciebie dotarłem i mogłem z tobą porozmawiać, Ann Delatorre już nie żyła, a jej zabójcy dostali się do twojego domu. Nie było więc tajemnicy, którą należałoby chronić. Pozostało tylko wywiezienie cię z miasta.

Jej zniecierpliwiona mina dała Tillowi do zrozumienia, że sama już o tym pomyślała, i wysłuchiwanie, jak on powtarza jej własne myśli, nie wpływa na nią kojąco.

•Widzisz ten budynek w głębi Geary, w stronę Market?

•Ten duży szary?

•Nie. Ten brązowy, wyglądający na stylowy. Mój mąż tam pracuje. Jego gabinet jest na trzecim piętrze, z tej strony. Widzę jego okno.

•Co to za firma?

-Pan-World Technical Commerce. Najpierw była to spółka handlowa sprowadzająca napędy twardego dysku i inne towary z Azji, teraz jednak większość pieniędzy zarabia dział finansowy.

- Wygląda mi to na dobrą posadę.

-Jest jednym z właścicieli. Wspólników. Stworzenie tego poważnego przedsiębiorstwa zabrało mu dziesięć lat. Zaczęli od pracy w domu, w Oakland. Czuję się okropnie, że przeze mnie to wszystko straci.

Kiedy czekali na zmianę świateł, Till widział, jaki ma-

189

gnetyczny wpływ wywiera na nią ten budynek. Odczuwała ogromną chęć, żeby wyskoczyć z auta i wbiec do jego wnętrza. Wiedział, że odwrócenie jej uwagi jest niemożliwe, więc spróbował zmusić ją do mówienia.

-Może namówimy współników, żeby wykupili jego udziały.

-To się raczej nie uda. Kiedy tylko się zorientują, że musi się wycofać, to udziela mu kolejnej lekcji w prowadzeniu interesów. Będą zwlekali tak długo, aż odejdzie i zostawi im swoją część.

•Zrobiliby coś takiego?

•Tak myślę, ale może jestem bardziej cyniczna i pesymistyczna niż większość ludzi.

•Coś ci powiem. Postaram się zatrudnić do tej sprawy jakiś prawdziwy talent prawniczy i będę służył za pośrednika. Możemy sprzedać jego udziały w tym interesie, twój dom i wasze samochody. Mogę zebrać te wszystkie pieniądze i przez kolejnych pośredników przekazać je wam, kiedy już uzyskacie nową tożsamość.

Uśmiechnęła się.

•Zapomniałam. Masz talent do tego.

•Do czego?

•Do przekonywania ludzi, że wszystko będzie dobrze. Byłbyś świetnym generałem wysyłającym żołnierzy na misje samobójcze i tym podobne. To kant.

•Nie poproszę, żebyś zrobiła coś, czego sam bym nie zrobił.

Pokręciła głową.

- To ty przeskakujesz nad przepaścią i odwracasz się do reszty z nas, wołając: „No dalej. Dacie radę!” Tyle że my nie damy rady. Albo większość z nas nie da rady.

Światła się zmieniły i tylko jedna taksówka sterczała na skrzyżowaniu, blokując ruch. Jack Till przyspieszył, po czym skręcił ostro kierownicę i przejechał na lewy pas, omijając ją w ostatniej chwili. Jechał dalej Pine

Street, po

190

czym skręcił w Van Ness, żeby nią dojechać do drogi numer 101.

- Jedziemy na lotnisko?
- Jeszcze nie wiem.
- Dlaczego?
 - Nie widziałem, żeby ktoś nas śledził. Jeśli tak jest, to prawdopodobnie zakładają, że polecimy samolotem.

-I?

-I będą na nas czekać na lotnisku, wobec czego tam nie pojedziemy.

- Przecież kiedyś mi powiedziałaś, że lotniska są naj
bardziej bezpieczne. Jak mogliby nam coś zrobić przy tej
całej ochronie?

-System jest nastawiony na wykrywanie przedmiotów, które mogłyby
wybuchnąć, albo ludzi, którzy chcieliby strzelać do tłumu. Jest mnóstwo
innych sposobów, które pozwolą zabić ważącą pięćdziesiąt parę kilo
kobietę i się oddalić.

- Jezu! - wykrzyknęła. - Nie mogę uwierzyć, że po sześciu latach znowu
w tym tkwię... że uciekam, jak tamtego pierwszego dnia.
- Jeśli masz mi do powiedzenia coś nowego, to z rozkoszą tego
wysłucham.
- Miałam sześć lat, żeby się nad tym zastanawiać, ale wiesz co? Nie
robiłam tego. Żyłam codziennymi sprawami i myślałam o tym, co
muszę robić każdego kolejnego dnia. Po paru tygodniach poznałam
Louandę i...
- Louanda? Czy to Ann Delatorre?

•Tak. Naprawdę nazywała się Louanda Rowan. Myślę, że bez niej nie dotarłabym tak daleko.

-Bardzo mi przykro w związku z nią. Gdyby tylko udało mi się przekonać ją, żeby mi pomogła, nadal by żyła. Ktoś ją odnalazł po moim odejściu.

- To nie twoja wina. Nawet nie wiedziałeś o jej istnieniu. Gdybym to ja otworzyła drzwi, tak jak się tego spo-

191

dziewałeś, nigdy by się to nie wydarzyło. To ja doprowadziłam do jej śmierci. Ja ją tam umieściłam. - Łzy wypełniły jej oczy i zaczęły spływać po policzkach. Otarła je wyjętą z torebki chusteczką higieniczną.

- Możesz mi wierzyć, że zadręczanie się nie zostawia człowiekowi wiele czasu na nic innego - powiedział.

- Masz w tym spore doświadczenie?

-Dostateczne. - Till prowadził ostro, jak gliniarz na służbie, poruszając się jakiś czas jednym pasem, zbliżając coraz bardziej do pojazdów jadących przed nim, po czym szybko zmieniał pas.

Bezustannie spoglądał w lusterka, usiłując zobaczyć, czy jakiś kierowca nie powtarza jego manewrów, żeby nie stracić go z oczu.

- Jak się czujesz? - spytał po kilku minutach.

- Niespecjalnie. Jestem tak przerażona, że z trudem odycham,

-Powinniśmy się bać, ale tylko tyle, żeby zachować czujność i wykonywać różne drobne czynności, które wykonywać możemy.

Wykorzystuj swój strach. Spoglądaj co jakiś czas przez tylną szybę, żeby sprawdzić, czy to samo auto po raz trzeci z rzędu nie znajduje się za nami.

I mów do mnie, to mi pomoże zachować czujność. Powiedz mi, co sądzisz o wydarzeniach sprzed sześciu lat.

- Wydaje mi się, że przez te sześć lat część z tego rozgryzłam. Nie tę najważniejszą... o człowieku, który zabija ludzi i w ogóle. Jedynie tę osobistą część, to, co dotyczy mnie, mnie, mnie. Więc nie warto tego wyrażać na głos.
 - Owszem, warto. Chciałbym to usłyszeć.
 - Dlaczego?
 - Ponieważ twoje życie... i moje... może od tego zależeć. Możemy jechać szybko i starać się nie rzucać w oczy, ale to nie powstrzyma zabójców Louandy przed zabiciem ciebie.
 - Nie wiem, co ci powiedzieć.
- Jack nie odezwał się.

192

- Dlaczego nic nie mówisz? - spytała po dłuższej chwili.
 - Czy tamten suv z tyłu nie wygląda ci znajomo? Ten ciemny. Jakiś czas temu zbliżył się do nas, potem jakby zwolnił, a teraz znowu się pojawił.
- Popatrzyła przez tylną szybę.
- Nie wiem. Dla mnie wszystkie wyglądają tak samo.
 - Nie chciałbym panikować, ale mam wobec niego pewne podejrzenia. Używałaś kiedyś broni palnej? Otworzyła szeroko oczy.
 - Raczej nie. W każdym razie nie tak, jak myślisz. Kiedy byłam na obozie, uczyli nas strzelania. I raz wystrzeliłam z pistoletu przyjaciółki.
 - Oto nasz problem. Jeśli ludzie w tym aucie to zabójcy, podjadą od

twojej strony, lekko z tyłu. Pierwsze strzały trafią w ciebie. Potem ruszą do przodu, żeby dosięgnąć mnie.

- Co możemy zrobić?

Sięgnął do pasa i wyjął pistolet.

- Tu jest bezpiecznik. Kiedy ci powiem, przestaw go kciukiem, trzymając palec z dala od kabłąka wokół spustu. Chwyć mocno obiema rękoma, wyceluj przez okno. Wystrzel cztery razy w ich przednią szybę... dwa razy w strzelającego, dwa razy w kierowcę.

- Co? - Była wstrząśnięta. - Zastrzelić ich?

- Jeśli kogoś trafisz, będzie po wszystkim. Jeśli ich tylko wystraszysz, to może uda mi się oddalić i ich zgubić.

Gdy ciemny pojazd trochę się do nich zbliżył, zerknął na znaki drogowe i skręcił w najbliższy wyjazd z autostrady, potem w prawo i zatrzymał się na parkingu - jak się okazało, należącym do sieci Home Depot. Parking wypełniony był samochodami. Till zatrzymał się na końcu pierwszej alejki i obejrzał, żeby sprawdzić ulicę prowadzącą od zjazdu z autostrady. Odczekał chwilę, ale nie zauważył, by suv zjechał za nim.

- Co teraz? - spytała Wendy Harper.

193

• Pewnie możesz mi oddać broń. - Wziął pistolet, włożył do kabury i przykrył połą marynarki. Znowu wyjrzał na ulicę. - To droga na lotnisko, prawda?

• Jedna z dróg. Lotnisko jest w tamtym kierunku, kilka mil stąd. Trzeba jechać równolegle do sto jedynek.

• Więc może to być kolejna okazja, żeby wprowadzić trochę zamętu w

naszych tropach. Chciałbym zwrócić ten samochód i wziąć inny.

- Upierasz się, żeby nie lecieć?
- Kiedy wsiądziesz do samolotu, ludzie wiedzą dokładnie, dokąd się wybierasz, i znają godzinę przylotu. Jeśli pojedziemy samochodem, będą się starać nas trzymać i wtedy mamy szansę ich sobie obejrzeć.

ROZDZIAŁ 22

Paul wysiadł z czarnego suwa, obszedł go i otworzył drzwi Sylvie.

Kiedy patrzył, jak rozkołysanym ruchem wysuwa i prostuje długie nogi, a potem ześlizguje się z fotela, lekko zeskakując na ziemię, jego nastawienie do niej natychmiast się poprawiło. Był wściekły i zaciskał szczęki przez większość czasu, odkąd Sylvie zastrzeliła Ann De-latorre, a podłe, niczym nie uzasadnione uwagi, na jakie sobie pozwoliła na parkingu przy molo, jeszcze pogorszyły sytuację. Była głupia i dziecinna, zupełnie niezdolna do skupienia się na czymkolwiek poza sobą samą. Jednak na widok tych długich nóg i pełnego wdzięku zeskoku na chodnik jego gniew się ulotnił.

Paul był esteta. Inni by powiedzieli, że jego reakcja nie była estetyczna, lecz seksualna, ale to świadczyłoby jedynie, że ci ludzie nie mają pojęcia, o czym mówią. Nie rozumieją, że te dwie rzeczy są tożsame: są reakcją ludzkiego umysłu na piękno.

Zerknął w stronę budynku wypożyczalni samochodów i wziął Sylvie pod rękę przekonany, że stosuje właściwą strategię. Jack Till zjechał z autostrady kilka kilometrów przed lotniskiem. Lubił robić sztuczki w pobliżu lotnisk, czasami zwracając samochód i wsiadając do samolotu, a

czasami zamieniając samochód na inny. Tak czy owak, wypożyczalnia samochodów przy lotnisku to miejsce, w którym Till znajdzie się tego popołudnia.

- Dlaczego się tu zatrzymujemy? - spytała Sylvie.

195

-Musimy zamienić ten samochód na inny. - Wyjął z auta obie nieduże walizki i zatrzasnął tylne drzwi.

•Dlaczego?

•To sprawa taktyki. Jak w szachach. Myślę, że mógł nas zauważyć. Jeśli nawet nie uznał, że trzeba się tym pojazdem szczególnie przejmować, to na pewno go widział, więc teraz jest dobry moment do zmiany. Poza tym zablokujemy jego kolejny ruch.

•Jaki ruch?

-Samochód wypożyczył tutaj. Zjechał z autostrady kilka mil dalej, więc jesteśmy przed nim. Ale on jest w drodze tutaj, żeby zwrócić swój samochód. Albo go tu zostawi i dostanie się do samolotu lecącego do Los Angeles, w co wątpię... albo wynajmie inny samochód.

-I?

-Nadal będzie się rozglądał za czarnym suvem, a my będziemy wiedzieli, jak wygląda jego nowy samochód.

Paul wszedł do budynku wypożyczalni. Przy ladzie wyjął kluczyki do auta i jego papiery.

- Chciałbym zamienić ten wóz na coś mniejszego - powiedział do młodej kobiety za kontuarem.

Przypominała Beth, dziewczynę, z którą spotykał się dwadzieścia lat wcześniej. Miała takie same rudawe włosy, jasną cerę i niebieskie oczy.

Mogła być jej bliską krewną. Żałował, że nie może czegoś powiedzieć. Sylvie była zbyt drażliwa, żeby mógł podzielić się z nią niewinnym spostrzeżeniem dotyczącym innych kobiet. Wystarczyło, że zwrócił uwagę na jakąś, i gotowa była ją uśmiercić.

Kiedy patrzył, jak odwraca się, aby wstukać jakąś informację do komputera, odczuwał pokusę, by się do niej odezwać; ale z Beth spotykał się pod własnym nazwiskiem, więc nie mógł tego zrobić. Zresztą Sylvie stała niedaleko, przy regale z prasą, obok drzwi, czekając, kiedy beżowy lincoln Tilla podjedzie do wypożyczalni samochodów.

Zazdrość Sylvie była nedorzeczna; stała się dla niej

196

sposobem wyparcia ze świadomości, że rzeczywiście robiła to, co on widział na własne oczy, w około pięćdziesięciu filmach z co najmniej setką mężczyzn. Kiedy ją spotkał pierwszy raz, udawał, że jej nie rozpoznaje, i nie pozwolił, żeby temat filmów pornograficznych pojawił się kiedykolwiek w ich rozmowach. Czekał cierpliwie, a kiedy ona zebrała się na odwagę, żeby delikatnie i stopniowo opowiedzieć mu o swojej dwuletniej karierze, przyniósł z garażu karton i pokazał, że miał nagrania jej wszystkich filmów. Powiedział tylko tyle, że wie i że niczego to nie zmienia. Sylvie doszła do wniosku, że to zupełnie niezwykle oświadczenie jest całkowicie zgodne z prawdą.

Prawda zaś była taka, że to właśnie ta intrygująca kariera filmowa dodawała Sylvie atrakcyjności. Było mu natomiast dużo trudniej rozmawiać o własnej profesji. Przez jakiś czas próbował jej wmówić, że jest przedsiębiorcą, który zarobił sporo pieniędzy na sprzedaniu rozkręcającego się właśnie interesu internetowego, potem udawał

konsultanta, który często wyjeżdża w podróże służbowe, żeby doradzać klientom.

W tamtym okresie większość zleceń otrzymywał za pośrednictwem Bobby'ego Moski, barmana z restauracji Palazzo di Conti w La Brea. Bywali tam znani ludzie, po części dlatego, że kuchnia była dobra i podawano tradycyjne potrawy z południa Włoch, ale też dlatego, że lokal cieszył się szczególną reputacją. Opowiadano, że jest wysuniętą daleko placówką rodziny Balacontano, która pojawiła się na Zachodzie w interesach. Inna plotka głosiła, że dawniej cichym właścicielem restauracji był sam Bugsy Siegel, a kiedy go zastrzelono w bungalowie na drugim końcu miasta, lokal dostał się ludziom, którzy byli tylko podstawionymi właścicielami.

Pewnego wieczora zadzwonił jego telefon. Sylvie odebrała i podała mu słuchawkę. Po zakończeniu podniósł wzrok i zobaczył ją w drzwiach.

197

- Wiem - oświadczyła.

Paul odchylił się w fotelu i splótł ręce na brzuchu.

- Co wiesz?

-Wiem, kim jest Bobby. Wiem, czym zarabiasz na życie.

Paul skinął głową, nie spuszczając z niej oka.

•Zabiłeś Darrena, żeby mnie mieć. Przecież musiałeś się domyślać, że tyle przynajmniej wiem. Kiedy przyszła tu policja, powiedzieli mi, że była to profesjonalna egzekucja. I po tylu miesiącach wspólnego życia jak mogłabym nie wiedzieć?

•Więc co teraz?

•Pytasz mnie, co zamierzam w związku z tym zrobić?

- Nie, pytam, jakie masz w związku z tym odczucia.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i ukryła twarz na jego piersi, a potem go pocałowała, gorąco.

- Kocham cię.

Tego wieczora wyszedł późno, żeby wykonać zlecenie, w sprawie którego dzwonił Bobby. Kiedy wrócił do domu, czekała na niego.

- Jak poszło? - spytała. - Opowiedz mi o wszystkim, po kolei.

• Po co? - zapytał. - Dlaczego miałabyś o tym słuchać?

• A jak inaczej się nauczę?

Kiedy teraz patrzył na nią, wybaczał jej wszystkie kłótnie i idiotyczne odruchy obronne, i brak pewności siebie. Była wszystkim, czego mógł chcieć. Gdyby tylko udało mu się utrzymać ją w tym przekonaniu, wszystko byłoby znośniejsze. Usłyszał za sobą głos pracownika wypożyczalni i odwrócił się.

Wziął kluczyki i popatrzył na przywieszki. Czekał na niego niebieski czterodrzwiowy ford. Może być, pomyślał. Ani trochę nie przypomina poprzedniego auta.

- Dziękuję - rzucił.

Kiedy wkładał walizki do bagażnika, ucieszył się, widząc, że mechanik zdążył już zabrać suwa na tyły budynku, żeby go przejrzeć i umyć. Wsiedli z Sylvie do samochodu.

• Wypatrywałaś beżowego samochodu Tilla?

• Oczywiście. Jest tylko jedna droga, którą można podjechać i zwrócić wypożyczone auto. Odkąd tu jesteśmy, przyjechało czternaście samochodów. Dwa były beżowe albo brązowe, ale żaden z nich nie pojechał na parking wypożyczalni Cheapcars i w żadnym nie było

Tilla ani tamtej dziewczyny.

- Bystra z ciebie obserwatorka.

Przypomniał sobie, że w myślach nazwał ją głupią, ale przecież Sylvie nie brakowało inteligencji. Potrafiła dokonywać ocen i obliczeń, nie angażując do tego głównych części mózgu, a potem oznajmiać rezultat, jakby był oczywisty.

Poczuł, jak wzbiera w nim fala uczucia do niej. Nigdy nie będzie w stanie oddzielić obrazu, jaki miał przed oczyma, od uczuć czy myśli. Była piękna, dlatego pociągająca i dlatego jej pragnął. To jej piękno, wcale nie perfekcyjne - Sylvie nigdy nie byłaby nieskazitelnym trupem - miało wieloraki charakter, przejawiało się bowiem w wyrazie jej ust i oczu, i sposobie poruszania.

Paul rozumiał swoją fascynację tą kobietą, natomiast zupełnie nie pojmował, dlaczego wpadał w skrajność i czasami tak się na nią wściekał. To oznaczało jakąś niepewność w postrzeganiu jej. Czuł się z tym nieswojo. Rozejrzał się na obie strony i wyjechał z parkingu.

- Oto i on - oświadczyła Sylvie.

Beżowy lincoln town car pojawił się nagle w lusterku wstecznym. Paul zwolnił i zobaczył, jak lincoln wjeżdża na parking wypożyczalni Cheapcars.

- Pospiesz się! Musisz zrobić całą pętlę, objechać terminale i wrócić tu na czas - niepokoila się Sylvie.
- Zdążę - odparł. - Uspokój się. - Dodał gazu, skręcił

199

za róg, niewidoczny teraz od strony parkingów wypożyczalni, i pomknął w stronę lotniska. Minął terminale, manewrując cierpliwie pomiędzy

wahadłowo kursującymi autobusami, samochodami osobowymi i taksówkami bagażowymi. Trzymał się lewego pasa, żeby znów się znaleźć przy wypożyczalniach samochodów. Gdy już miał dobry widok na parking Cheapcars, wtedy zatrzymał wóz i czekał. Przyglądał się, jak człowiek z serwisu wychodzi, żeby zająć się beżowym lincolnem, jak sięga do stacyjki, żeby zapuścić silnik i sprawdzić wskaźniki.

Nagle kątem oka spostrzegł jakiś ruch. Był tak zaskoczony, że aż podskoczył. Podniósł wzrok i zobaczył, jak maska policyjnego wozu patrolowego rośnie i wypełnia jego lusterko wsteczne.

Zauważył, że policjant nie włączył migających czerwonych i niebieskich świateł. Wysiadł natomiast z radiowozu, co oznaczało, że na razie nie zamierza zgłaszać zatrzymania do centrali. Pojawił się przy oknie Paula. Nie przekroczył jeszcze trzydziestki, miał puciołowatą chłopięcą twarz, która nie bardzo pasowała do szczupłej sylwetki, oraz czarne włosy, które zaczynały się tak nisko nad czołem, że przypominały czapkę z włóczki. Jego tors tworzył równą prostą linię, co wskazywało, że ma na sobie kamizelkę kuloodporną.

Paul patrzył przed siebie. To była właśnie jedna z tych rzeczy, do których nie mógł dopuścić. Wszystko zrobił jak trzeba, postępował cierpliwie w sytuacjach, w których osoba mniej inteligentna wykonałaby jakiś przedwczesny, podyktowany nagłym impulsem ruch, który zaalarmowałby Jacka Tilla. Teraz, kiedy detektyw spotkał się wreszcie z Wendy Harper, ten cherubinkowaty gliniarz pojawia się tutaj, żeby wszystko popsuć. Na metalowym identyfikatorze, na prawej kieszeni munduru, Paul odczytał nazwisko: Rodeno.

Policjant oparł się o samochód i pochylił, żeby móc ich widzieć.

- Dzień dobry państwu.
- Dzień dobry - odparł Paul.

Kątem oka zobaczył, jak Sylvie obdarza policjanta nieco zbyt szerokim uśmiechem. Jej głos pobrzmiwał fałszywą melodyjnością.

- Witamy, panie władzo.

Paul zdusił irytację. Próbowwała przejąć kontrolę nad sytuacją w sposób, w jaki zawsze osiągała swoje, i dobrze. Każdy policjant zareaguje na przyjazny uśmiech ładnej kobiety, nawet jeśli jest piętnaście lat od niego starsza. Paul zauważył, że napięcie ramion policjanta nieco zelżało, kiedy nachylił się do nich.

- Macie kłopot z samochodem?
 - Nie - odparł Paul. - Niezupełnie. Właśnie wypożyczyłem to auto i wyjechałem z parkingu, ale musiałem się zatrzymać, żeby ustawić fotele i trochę lepiej zapoznać się ze sterowaniem dodatkowymi funkcjami, zanim ostatecznie wyruszę na autostradę.
 - To należy zrobić przed wyjazdem z parkingu. Z której agencji jest ten samochód?
 - Miracle Rent-a-Car. - Paul znów patrzył przed siebie. Widział, jak Jack Till i Wendy Harper wychodzą z biura. Czas mijał, uciekał stosowny moment.
- Mogę zobaczyć papiery z wypożyczalni?

Paul jeszcze nie zdążył ich odłożyć, wyjął więc je natychmiast z kieszeni w drzwiach. Przy wynajęciu auta użył nazwiska William Porter. Przypuszczał, że po tym spotkaniu będzie ono zupełnie bezwartościowe.

- Jasne. - Wsunął je błyskawicznie przez okno, prak

tycznie prosto w twarz Rodeno. - Proszę.

Policjanta zaskoczył ten szybki ruch. Wziął papiery i wyprostował się.

- Rzecz w tym, że nie jest to miejsce, gdzie można parkować i ustawiać coś w aucie. To strefa objęta zakazem zatrzymywania. Powinien był pan objechać pętlę i wrócić na

201

parking wypożyczalni albo zjechać z pętli na ulicę, gdzie wolno się zatrzymywać. Tam mógł pan ustawić wszystko, co jest konieczne do bezpiecznej jazdy.

- Przepraszam — powiedział Paul. - Nie zdawałem sobie sprawy, że tutaj nie wolno się zatrzymywać. Musiałem przegapić znak. - Wszystko, co się wokół działo, docierało do niego niezwykle intensywnie. Auto niemal niewyczuwalnie drgnęło, kiedy Sylvie napięła mięśnie grzbietu, żeby odrobinę zmienić pozycję. Wiedział, że ona patrzy na Tilla i Wendy. Przy parkingu Cheapcars zobaczył lotniskowy wahadłowy autobus z otwartymi drzwiami. Wsiadało do niego kilkoro pasażerów, którzy najwyraźniej zwrócili przed chwilą samochody do wypożyczalni. Paul wyteżył wzrok, żeby zobaczyć, czy Till i Wendy Harper są wśród nich. Cierpiał katusze. Czy oni wybierają się na terminal?

- Poproszę prawo jazdy.

Paul odwrócił głowę do funkcjonariusza Rodeno.

- Proszę posłuchać. Przecież nie blokowałem ruchu ani nie łamałem żadnych przepisów. Właśnie miałem odjeżdżać, kiedy pan się pojawił.

- Poproszę pańskie prawo jazdy - powtórzył policjant.

Paul westchnął i wyjął portfel. Wykorzystał prawo jazdy na nazwisko

Porter, żeby wypożyczyć samochód, więc miał je ciągle na wierzchu w przegródce portfela, pod przezroczystym plastikiem. Wysunął i podał policjantowi.

Było w porządku. Zaczął od kupienia dwa lata temu fałszywego ze stanu Arkansas, wystawionego na Williama Portera, i użył go jako dowodu tożsamości, żeby ubiegać się o kalifornijskie prawo jazdy. Kiedy pomyślał o tych wszystkich zabiegach, jakie podejmował, jego irytacja wyraźnie rosła. Policjant obejrzał dokument, a potem przyjrzał się twarzy Paula. Po chwili odwrócił się i ruszył do swojego wozu. Zamierzał sprawdzić Williama Portera.

Paul znowu poczuł, jak Sylvie wykonuje mały ruch

202

i zaraz potem wkłada mu do ręki rewolwer. Wyczuł, że tłumik jest już przykręcony do lufy. Wsunął broń pod sportową marynarkę, przytrzymał ramieniem i poszedł za funkcjonariuszem Rodeno. Policjant siedział za kierownicą, drzwi zostawił otwarte, i spoglądał na prawo jazdy. Sięgnął po mikrofon krótkofalówki. Paul podszedł do drzwi radiowozu, własnym ciałem zasłaniając widok ewentualnemu obserwatorowi, wyciągnął broń spod pachy i strzelił. Rozległ się dźwięk przypominający fuknięcie, głowa policjanta szarpnęła się w bok, po czym opadła, a za nią pochyliło się i oparło na kierownicy całe ciało. Paul sięgnął do wnętrza auta i przewrócił górną część ciała Rodena na fotel pasażera, wsiadł i zamknął drzwi, a potem nogami zepchnął resztę ciała na prawą stronę. Silnik ciągle pracował na luzie, wrzucił więc bieg i odjechał.

Ustawił sobie odpowiednio lusterko wsteczne i zobaczył, że Sylvie rusza wypożyczonym samochodem za nim. Rozejrzał się w poszukiwaniu

świadków, ale nie zauważył, by ktokolwiek spoglądał w ich kierunku. Najwyraźniej nikt nie widział, jak zakończyła się interwencja drogowa policjanta, a przynajmniej nikt nie podejrzewał zabójstwa. Zastrzelenie policjanta i odjazd stamtąd zabrały mu nie więcej niż parę sekund.

Zamiast raz jeszcze objeżdżać terminale, Paul wjechał na autostradę, po czym opuścił ją pierwszym wyjazdem i zatrzymał się na parkingu przed sklepem sieci Sears. Chwilę zajęło mu pozbieranie z podłogi prawa jazdy Williama Portera i papierów z wypożyczalni, wytarcie klamek i kierownicy. W tym czasie Sylvie podjechała i zatrzymała się obok. Przesiadł się do ich samochodu i siedział w milczeniu, podczas kiedy Sylvie wyjeżdżała z parkingu.

- O co chodzi? - spytała.
- Nadal nie mogę uwierzyć, że to się stało. Zauważyłaś, czy oni pojechali na lotnisko?
- Nie wsiedli do tego autobusu.

203

- Wobec tego gdzie są?
- Wypożyczyli inne auto, tak jak my. To też jest lincoln town car, tyle że grafitowy. Mam numer rejestracyjny, wsiedali do niego, kiedy odjeżdżałam. W parę minut ich dogonimy.

ROZDZIAŁ 23

Jack Till prowadził grafitowego Hncolna, lawirując między

samochodami w gęstym ruchu panującym wokół lotniska, po czym wjechał na sto jedynek w kierunku zachodnim, niespokojnie zerkając w lusterka.

- Co się dzieje? - spytała Ann Donnelly. - Coś zauważyłeś?
- Nic, co by wyraźnie odstawało od reszty. Nadszedł taki moment, kiedy moglibyśmy się już ostatecznie urwać. Jeśli nie będzie problemów teraz, to nie będzie ich później. - Ponownie spojrzął w lusterko, włączając się do ruchu na autostradzie. - Tam, przy wypożyczalni, gliniarz zatrzymał kogoś, żeby wlepić mu mandat. Może mieliśmy szczęście i przy okazji odstraszył tego, kto nas śledził.
- Mam nadzieję, że nie było tam nikogo do odstraszenia.
- Muszę założyć, że jeśli ci ludzie byli tego popołudnia w San Rafael, to teraz są gdzieś w pobliżu.

Zmarszczyła brwi.

- Jeśli ich zgubimy, dogonią nas w Los Angeles, prawda...? Albo polecą tam samolotem i na nas zaczekają? To mnie właśnie najbardziej dręczy. Wracam do nich i oni o tym wiedzą.
- Chciałbym powiedzieć, że się mylisz. Ale nie mogę. Musimy ich sprowokować do ujawnienia się.
- A jak mamy tego dokonać?
 - Będziemy im maksymalnie utrudniać odnalezienie

205

nas i starać się dostrzec tego, kto za nami węższy. Od czasu do czasu zjedziemy z tej drogi i sprawdzimy, kto jedzie za nami.

- To wszystko, co możemy zrobić?

- Chyba że dasz mi jakąś informację, dzięki której mógłbym wymyślić coś jeszcze.

Wyprostowała się.

- Nie wiem, co masz na myśli.
 - Przed laty zastanawialiśmy się, kto mógł próbować cię zabić. Wtedy powiedziałaś, że nie wiesz.
- Chcesz powiedzieć, że mi nie uwierzyłeś?
- Sińce i kulejąca noga były prawdziwe.
- To o co ci chodzi?
 - To było dawno temu. Może były jakieś szczegóły, których wtedy nie zauważyłaś, a później pojawiły się w twojej pamięci... zbiegi okoliczności czy niezwykle zdarzenia. Może ludzie coś mówili, do czego wtedy nie przywiązywałaś wagi.
 - Po wyjeździe z rozmysłem podjęłam decyzję, że nie spędzę życia na rozpatrywaniu tego. Myślałam o przyszłości, jak ją sobie wyobrażam i co powinnam zrobić, żeby się ziściła.
 - To teraz z rozmysłem podejmij decyzję, żeby sobie przypomnieć.

Pomyśl.

- O czym?
 - Spróbuj przywołać to, co wtedy widziałaś i słyszałaś, jakieś wrażenia. Czy przypomniałaś sobie cokolwiek, co było związane z tym napadem, w tym czasie, jaki od niego upłynął?
 - Nie. Powiedziałam policji wszystko, dwukrotnie, a potem tobie. Nieznajomy mężczyzna czekał na mnie, kiedy wróciłam do domu z restauracji, i uderzył mnie kijem bejsbolowym. Kiedy nadjechały jakieś samochody, uciekł.

- Czy rozpoznałabyś go, gdybyś go znowu zobaczyła?
- Nie wiem. Myślę, że tuż potem tak. Kiedy pojawiły

206

się tamte auta, ich reflektory na moment go oświetliły. Ale ja wtedy byłam półprzytomna z powodu wstrząśnienia mózgu, a sześć lat to kawał czasu.

Mógł się bardzo zmienić. - Zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła nią w

kolano. - Po co mnie teraz o to wszystko pytasz? Nie widzisz, jak się boję?

- Jasne, że się boisz. - Znow popatrzył we wszystkie lusterka. - Z własnego doświadczenia wiem, że najbardziej pomaga, kiedy się coś w związku z tym robi.
- Co na przykład? Próbuje się wyciągnąć z pamięci to, co wydarzyło się w ciemnościach sześć lat temu?
- Nie w tej chwili. - Zasiał myśl, więc czas było wycofać się i pozwolić jej pomyśleć. - Na razie skup się na tym, czy ktoś nas nie śledzi. Za godzinę czy dwie się ściemni. Jeśli ktoś za nami jedzie, chciałbym to wiedzieć, zanim kierowcy zaczną włączać reflektory. Dobrze będzie, jak sporządzimy sobie rejestr tego, co mamy za sobą, żebyś wiedziała, na co mieć oko: biały pick-up, zielony volkswagen garbus, szare volvo, niebieski ford, czerwony cherokee.

Spojrzała przez tylną szybę.

- Widzę je.
- Czasami, kiedy ludzie cię śledzą, robią to w zespole. Przez jakiś czas masz za sobą czarnego suva. Potem ten znika i więcej już o nim nie myślisz. Pojawia się natomiast zielone auto. Nigdy wcześniej go nie widziałaś. Trzymało się daleko z tyłu, jego kierowca nawet nie musiał

cię widzieć. Nie musiał, bo facet w czarnym wozie był z nim w kontakcie telefonicznym. Teraz to o n będzie cię śledził. Może za pół godziny się zmienią. Zespół przemienny. Tak to robiliśmy, kiedy byłem gliną.

•Próbujesz odwrócić moją uwagę, prawda?

-Nie, nie próbuję. Nadal ci zależy, żeby cię nie złapali, prawda? Jeśli będziemy czujni, będziemy mieć przewagę.

- W porządku. Przynajmniej coś będę robić. - Odwró-

207

ciła się bokiem w fotelu i oparłszy o drzwi, zaczęła obserwować.

Till zerknął na nią, po czym odwrócił wzrok, a w jego umyśle raptownie pojawiły się różne niezwiązane z obecną sytuacją obserwacje. Przez te sześć lat stała się jeszcze bardziej atrakcyjna. Spojrzenie jej oczu było zdecydowane i mądre, rysy subtelne, a zarazem wyraziste. Podejrzewał, że kiedy zostawiał ją na lotnisku w Santa Barbara, opuchlizna jeszcze nie do końca zeszła jej z twarzy.

Coś więcej zmieniło się od tamtego ostatniego spotkania, ale być może ta zmiana dotyczyła jego samego. Przed laty była ładną młodą kobietą, skrzywdzoną i przerażoną, która potrzebowała jego pomocy. Mógł wtedy sobie powiedzieć, że ciągle się nie otrząsnęła z szoku i że zapewne i tak niczego nie zauważyła.

Tym razem Till widział, że go okłamuje. Wiedziała coś, czego nie chciała powiedzieć sześć lat temu i czego wciąż nie była skłonna wyjawić.

ROZDZIAŁ 24

Ściemniało się i wszystkie samochody miały włączone światła. Sylvie siedziała tuż przy Paulu, dotknęła jego policzka, a potem położyła mu dłoń na udzie.

•Nic ci nie jest?

•Co? Jasne, że nie. Czemu?

•Kiedy się kogoś w ten sposób zabije, to zawsze skacze adrenalina... łomocze serce, człowiek się poci, czuje radość, że żyje... potem jednak ten dobry nastrój ustępuje. Ja zawsze jestem wtedy zmęczona.

•Nie jestem zmęczony - odparł. - Po prostu próbuję robić pięć rzeczy naraz. Musimy słuchać radia, żeby wiedzieć, czy policja zaczyna szukać radiowozu. Nie mogę spuścić oka z samochodu Tilla, a jednocześnie trzymać się na tyle daleko, żeby nas nie zauważył. Muszę patrzeć na drogę przed sobą, żeby w nikogo nie uderzyć, i na drogę za nami, na wypadek gdyby policja jednak nas goniła.

Przesunęła dłoń w górę jego uda.

- To na razie tylko cztery. Chcesz mieć jeszcze jedną, żeby nie brakowało ci do pięciu?

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

Odsunęła się.

- Przepraszam - powiedział. - Nie złość się. Próbuję jedynie... - Zamilkł. - Wiesz co? Może i masz rację. Może to rzeczywiście opóźniona reakcja na tego gliniarza. Nie miałem wcale zamiaru tego robić, w ogóle tego

209

nie planowałem. Wyrósł jak spod ziemi z tą swoją twarzą gotowego do pomocy harcerzyka i postawił mnie przed wyborem: albo pozwolę mu

sprawdzić przez radio moje prawo jazdy, albo go stuknę. Możliwe, że to on wprowadził mnie w kiepski nastrój. Nie chcę się odgrywać na tobie, jestem po prostu bardzo zaabsorbowany sytuacją. Wzruszyła ramionami.

- Chciałam ci tylko poprawić humor. Poszukam lepszej stacji.
- Dzięki. Dochodzi wpół i dobrze byłoby wiedzieć, jeśli ktoś zidentyfikował ten samochód.

Sylvie przytrzymała przycisk i pozwoliła, żeby radio znalazło najbliższy mocny sygnał, a potem wysłuchiwała reklamy o jakimś tam „ogromnym centrum sprzedaży samochodów”; w końcu nadano serwis informacyjny. Nie wspomniano o ich wypożyczonym aucie ani nawet o zabitym policjancie. No i proszę, minęło tyle godzin i wyglądało na to, że nikt jeszcze nie zajrzał do zaparkowanego wozu policyjnego.

Sylvie była pod wrażeniem wyczucia czasu Paula. Zabicie policjanta minutę wcześniej byłoby głupie: wtedy jeszcze była szansa, że sobie pójdzie. Zabicie go dziesięć sekund później byłoby spóźnione.

Zaczęła się uśmiechać, ale coś ją powstrzymało. Paul nie zachowywał się w stosunku do niej należycie. Wcześniej tego dnia sprowokowała go do rozważenia tej kwestii, ale nie czuła się jeszcze usatysfakcjonowana. Przyjęła wyjaśnienie na temat jego chłodu i obcości, ale tylko tymczasowo. To były tylko słowa, a teraz znowu miała to samo wrażenie. Czy jego pojednawcze słowa były prawdziwsze niż jej wrażenie? Kochała go, przez wszystkie te lata była mu oddana, a on ją teraz odrzucał, wykluczał.

Zabolało ją to. Miała przeszło czterdzieści lat. Pierwszy raz zobaczyła zmianę w swoim wyglądzie - na gorsze - kiedy miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Przedtem

każda zmiana była na lepsze. Wtedy zaś pojawiła się owa drobna różnica w fakturze jej cery. Nie zauważyła jeszcze żadnych zmarszczek, jedynie mniejszą elastyczność skóry wokół oczu i na czole.

Odebrała to jako delikatne, łagodne ostrzeżenie, że pewne rzeczy się po prostu dzieją. Była wtedy żoną Dar-rena i w ogóle mu o tym nie wspomniała. Jedyne, co pozostało, to spróbować kremami i balsamami przywrócić dawny stan. Pomyślała, że może to rezultat zbyt intensywnych ćwiczeń na siłowni i gorącego prysznicza po nich. Powietrze w Los Angeles było takie suche, może używała zbyt ostrego mydła.

Potem zaczęła winić Cherie Will. Tuż przed odejściem Sylvie grała w całej serii filmów, które Cherie postanowiła kręcić na powietrzu. Jeden, jak zapamiętała, był o pikniku, a drugi o kowbojach - chłopcach i dziewczynach. Sylvie się wtedy strasznie spiekła na słońcu, a to najbardziej szkodzi skórze. Cherie mówiła wszystkim, że kręci tyle filmów na ranczo, bo aktorzy wyglądają o wiele lepiej w naturalnym oświetleniu. Prawda zaś była taka, że kupiła sobie to ranczo i obciążała własną firmę należnościami za wynajmowanie plenerów, co pozwalało jej tę posiadłość spłacać. Jedyne, czego potrzebowała do scenografii, to obrusiki w kratkę na piknik i dwie bele siana do scen z kowbojami. Cherie zapewniała ją wtedy, że makijaż chroni przed oparzeniem słonecznym.

Działo się to, kiedy Sylvie miała jakieś dwadzieścia czy dwadzieścia jeden lat. Kiedy zdążyła się tak zestarzeć? Zawsze wyglądała ładnie i bardzo młodo, ale teraz czas ją najwyraźniej dogania. Taniec i ćwiczenia długo odpędzały mijające lata, ale teraz, pomimo tej całej pracy, zauważyła, że przybyła jej odrobina tłuszczu na pośladkach. Może nawet brzuch stawał się mniej jędrny.

Obserwowała Paula kątem oka. Czuł do niej urazę. Pozornie wynikała ona z tego, że go zirytowała albo popełni-

211

ła jakiś błąd czy coś takiego, w rzeczywistości jednak brała się stąd, że ona się zaniedbała. Kiedy kobieta jest mniej atrakcyjna, staje się mniej szanowana, mniej pożądana, mniej potrzebna. Przez ostatnie kilka tygodni dawał jej to wyraźnie odczuć.

Zaczął się w niej rodzić podejrzenie. Podczas kiedy ona z wiekiem stawała się coraz mniej pociągająca, Paul z upływem lat był coraz bardziej atrakcyjny. Wciąż miał szczupłe i jędrne ciało. Te dodatkowe lata uszlachetniły jego skórę. Wypukłe mięśnie ramion i nóg zmieniały się w żyłastą szczupłość. Gęste, ciemne włosy przyprószone były na skroniach siwizną. Wyglądał na człowieka dystyngowanego i zahartowanego. U niej siwy włos oznaczał skazę, był dowodem, że młody wygląd jest szalbierstwem.

Na pewno ją zdradza. Próbowала wymyślić z kim i kiedy. Mogła to być ta szczeniara Mindy, instruktorka tańca. Co najmniej rok flirtowała z Paulem, a ostatnio otwarcie próbowała wtargnąć pomiędzy nich, wykorzystując Paula jako swojego partnera, niemal drugiego instruktora. Mogła to być zresztą każda kobieta albo wręcz wiele kobiet. Nie złapała go po fakcie, nawet nie wiedziała, czy rzeczywiście już zaczął ją zdradzać. Oddalał się od niej uczuciowo, a to poważna sprawa.

Jak Paul może być taki nielojalny? Znała odpowiedź na to pytanie. Będzie się uważał za usprawiedliwionego... to zostało załatwione z góry. Nie miało się liczyć, że Sylvie przez piętnaście lat była mu całkowicie wierna, dzieliła z nim trudy i niebezpieczeństwa... w sensie dosłownym

zabijała dla niego. Będzie przekonany, że z racji tych dwóch lat jej życia, kiedy była młoda i naiwna, nie ma do niczego prawa. Nie będzie się liczyło, że przestała kręcić te filmy cztery lata przedtem, zanim go poznała, i że była już wtedy szanowaną małżonką. Ona po prostu nie miała prawa do zazdrości.

212

Zastanawianie się nad uzasadnieniem postępowania Paula było bez znaczenia. Samo uzasadnienie nie miało znaczenia. Przecież on zrobi to, co zechce. Już robi. Ona się starzała i to wystarczyło. Kiedy Paul wyszuka sobie i przesłucha odpowiednio dużo kobiet, które mogłyby przejąć jej rolę, wymieni ją na którąś z nich.

Sunęli ciemną autostradą, a Sylvie znów na niego zerkała. Miał taki mocny, atrakcyjny profil. Wargi leciutko uniesione w kącikach i łukowate brwi nadawały jego twarzy szczególny wyraz, wyglądał na idealnego partnera. Zawsze uderzało ją, że to wyraz twarzy tancerza flamenco, niebezpiecznego w sprawach dotyczących seksu... zazdrosnego, agresywnego, może nawet na krawędzi przemocy.

Aż jej dech zaparło. Zaczęła powoli oddychać, żeby się uspokoić. Obrzuciła go kolejnym ukradkowym spojrzeniem. Paul to nie jakiś tam otyły, rozlazły dyrektor. Czy on mógłby wystąpić o rozwód, a potem czekać spokojnie przez pół roku, aż prawnicy Sylvie oskubią go z pieniędzy?

Jeśli Paul ma jej dosyć, to ona ma problem.

- Kocham cię, Paul.

-Co?

-Myślałam właśnie o tym, jak Ważne w moim życiu było to, że cię

spotkałam. Nawet gdyby miało się to wszystko teraz skończyć, nie żałowałabym niczego.

Przyglądała mu się badawczo. Był szczerze zdziwiony, ale nie odważał się okazać zadowolenia, jakby spodziewał się jakiegoś nieprzyjemnego ciągu dalszego.

- Skąd takie myśli?

- Nie wiem. Pewnie z samego przebywania tu z tobą.

Tak sobie pomyślałam, że różne rzeczy w życiu... nawet te, które wydają się trwałe... bywają tymczasowe.

Zerknął na nią rozbawiony.

- Czyżbyś chciała się uwolnić ode mnie?

Roześmiała się krótko, bez przekonania.

213

-Oczywiście, że nie. Właśnie powiedziałam, że cię Kocham. Skoro jednak wspomniałeś o uwalnianiu, chyba to tego również dotyczy. Jeśli sobie postanowiłeś, że kiedyś mnie zostawisz, to za bardzo cię Kocham, żeby ci to utrudniać. - Wsłuchiwała się we własny głos, pilnując, żeby kłamstwo zabrzmiało przekonująco, nie była jednak pewna, jak jej to wyszło. Sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

•O co ci chodzi?

•No bo wiesz, jak to jest. Te wszystkie porzucane kobiety uważają, że muszą zemścić się w sądzie i puścić swoich mężów w skarpetkach. Słyszałam, jak przy lunchu w restauracji ze śmiechem opowiadały, ile udało im się wyszarpnąć, jak jakieś harpie czy ktoś taki. Plotkują o byłym mężu i o nowej kobiecie i próbują im szkodzić na wszystkie sposoby. - Cały czas nie odrywała od niego oczu. - Przecież wiesz.

Donoszą do skarbowki, że ukrywa dochody czy coś takiego. - Zmusiła się do nadania swojemu głosowi łagodnego tonu. - Chcę, byś wiedział, że nie jestem taka jak one. Jeśli wolałbyś kogoś młodszego, a ja przestałam być dla ciebie atrakcyjna, nie będę cię za to karać.

- Aha. O to chodzi - powiedział znużony i zły. - Nie miałem pojęcia, o czym mówisz. Pewnie powinienem, ale nie zgadłem. Nigdy nie powiedziałem, że nie jesteś atrakcyjna czy że chciałbym kogoś młodszego.

-Nie. Proszę, nie wściekaj się. Nie chcę się kłócić. Wręcz przeciwnie. Staram się powiedzieć ci, że myślałam o tobie wieloaspektowo. I tym, co najmocniej odczuwam, jest wdzięczność. Było mi z tobą fantastycznie. Tyle się nauczyłam... nawet tego. To przecież ty mnie nauczyłeś, że decyzje należy podejmować z góry.

- W porządku. - Głos miał zdławiony, jakby hamował gniew. Reagował tak, jakby sens jej słów był zupełnie odmienny.

Wzięła oddech, żeby coś odrzec, ale się powstrzymała.

214

W ten sposób tylko się pograżała. Wypuściła powietrze i milcząco wpatrywała się w tylne światła samochodów.auta wchodziły właśnie w długi, łagodny zakręt i dzięki temu widziała je lepiej. Reflektory samochodu bezpośrednio przed nią świeciły w bok kolejnego i była w stanie rozpoznać głowę kierowcy.

- Tam. To Jack Till - oznajmiła. Odwróciła się i przez tylną szybę patrzyła na układ reflektorów za ich samochodem. Kiedy ich auto znalazło się na tym długim łuku,

reflektory samochodów za nimi były skierowane w lewo i mogła sobie te auta lepiej obejrzeć. Wydawało się, że nie ma w tej grupie nikogo, po kim należałoby się spodziewać kłopotów. Był tam przesadnie zdobiony biały SUV ze złotymi elementami karoserii, Volvo kombi i dwa japońskie auta, za małe, żeby używała ich policja. Ponownie spojrzała do przodu. - Nie sądzę, by któryś z tych wozów został wysłany za nami, i żaden nie wygląda na taki, który służyłby Tillowi za wsparcie. Właśnie coś takiego bym zrobiła na jego miejscu. Wzięłabym drugie auto z glinami, tak na wszelki wypadek.

-To nie jest prezydencka kawalkada - oświadczył Paul. - A Till nie jest już gliniarzem. Po prostu stara się przemycić ją do Los Angeles i mu się to nie uda.

Patrzyła na skoncentrowaną minę Paula, na jego oczy przenoszące się z lusterka wstecznego na autostradę przed nimi i z powrotem. Doszła do wniosku, że na razie nic jej nie grozi. Paul był wybitnym strategiem i dobrze wiedział, że obecnie jego największą przewagą nad przeciwnikiem jest Sylvie. Z nią miał dwa razy większą siłę ognia, drugą parę oczu i rąk oraz dodatkowy mózg.

- No dobra, zaczyna się - powiedział Paul. - Zjeżdża z autostrady, tamtym wyjazdem.
- Najwyższy czas. Już zaczynałam się zastanawiać, czy ci ludzie w ogóle nie muszą siusiać. - Sylvie wyjęła z torebki tłumik i przykręciła go do lufy rewolweru.

- Przygotuj się.

Pohamowała impuls, żeby odpowiedzieć: „A myślisz, że niby co robię?”

Zamiast tego powiedziała tylko:

- Podaj mi drugi rewolwer.

Wyjął go z kieszeni w drzwiach i podał jej. Wzięła z torebki drugi tłumik, przykręciła, potem wysunęła magazynek i przyjrzała mu się.

- Nie załadowałeś ponownie po tamtym gliniarzu.

Wyglądał na lekko zdziwionego, ale był zajęty utrzymaniem właściwej prędkości i odległości od auta Tilla podczas zjazdu z autostrady. Sylvie widziała, że trzyma się jak najdalej, byle tylko zauważyć, w którą stronę Till skęci, zanim mu zniknie z oczu. Samochód detektywa skęcił w lewo i przejechał pod wiaduktem.

Potrzebowała czasu, a było go coraz mniej. Trzymała oba rewolwery na kolanach, po jednym w każdej ręce. Zastanawiała się, czy nie byłoby najmądrzej poczekać, aż Paul zjedzie z autostrady i zwolni, i wtedy strzelić mu w prawą skroń. Mogłaby wcisnąć mu rewolwer do prawej dłoni i odejść. Potem poleciałyby samolotem do domu i czekała na wizytę spokojnych, pełnych szacunku funkcjonariuszy policji. Łzy byłyby prawdziwe. I tu właśnie tkwił problem.

Nie, zdecydowała. Nie podejmie działania teraz, żeby powstrzymać go przed działaniem później. Dopóki jest zajęty pracą, nie zrobi jej krzywdy. Sprawdziła bezpiecznik i podała mu rewolwer.

- W komorze jest nabój.
- Świetnie. Dzięki. Myślisz lepiej ode mnie.
- Niegorszy komplement. - Przechyliła się i delikatnie dotknęła jego policzka wilgotnymi ustami, po czym wyprostowała się i ponownie

wbiła wzrok w przednią szybę.

Paul jechał za samochodem Tilla w sporej odległości; tylne światła tamtego były tak daleko, że zlewały się w jed-

216

ną czerwoną plamę. Samochód skręcił na podjazd dużego hotelu usytuowanego na zboczu wzgórza. Paul podjechał do dystrybutora na pobliskiej stacji benzynowej, ale nie wysiadał z auta; obserwował z niego parking hotelowy.

- Zatrzymuje się przed restauracją hotelową - oświadczył Paul.

Jack stanął obok samochodu, przeciągnął się i powyginał na boki. Sylvie widziała, że stoi na straży, o czym świadczyła jego rozpięta marynarka i broń w zasięgu ręki, podczas gdy Wendy Harper ruszała w stronę wejścia.

Kiedy oboje zniknęli w restauracji, Paul wszedł do budynku stacji benzynowej i zapłacił za paliwo nastoletniemu chłopcu w środku. Potem wrócił do auta i zaczął napełniać bak.

Sylvie nacisnęła przycisk, żeby opuścić szybę w oknie.

- Czemu robisz to teraz?

Wzruszył ramionami.

- Kiedy z nimi skończymy, nie zamierzam zatrzymywać się po paliwo. Pokręciła głową, udając dezaprobatę.

- Mam nadzieję, że nie wyszczerzyłeś się do monitorującej to miejsce kamery, bo zamierzam wejść do tej restauracji i tam, na miejscu ją załatwić.
- O? A nie chcesz najpierw zjeść kolacji?
- Nie tutaj. Jakbyś się nie zatrzymał po benzynę, na pewno już bym ją

dopadła.

- Nie bądź taka gorliwa. - Nie był pewien, w jakiej mierze jej niecierpliwość wynika z tego, że chce mieć już robotę za sobą, a w jakiej z tego, że chce zabić kobietę młodszą i ładniejszą od siebie. Rozległo się pstryknięcie w końcówce węża. Spojrzał na sumę, dotknął ekranu, by zaznaczyć, że nie chce paragonu, i wsiadł do samochodu. - Chcę to zrobić dobrze, więc musimy być ostrożni. - Włączył silnik i spojrzawszy na wskaźnik paliwa, wyjechał na ulicę i wje-

217

chał na parking pomiędzy hotelem i restauracją. Znalazł miejsce daleko od auta Tilla.

- Jesteś pewna, że możesz ją sprzątnąć sama?
- Jeśli potem mnie stamtąd wydostaniesz.
- W porządku. Dopadniesz ją w toalecie. Jeśli Till wykona jakiś ruch po twoim wyjściu, zastrzelę go. A potem, w zamieszaniu, wydostaniemy się z innymi na zewnątrz.
- Dobrze. Chodźmy, zanim się zacznę denerwować. -Idąc w kierunku restauracji, Sylvie wzięła dla uspokojenia kilka głębokich wdechów. Widziała ludzi siedzących przy stolikach od frontu, ale nie było wśród nich Jacka ani Wen-dy. Nie zdziwiło jej, że nie chcą siedzieć przy oświetlonym oknie. Najprawdopodobniej ta Harper od sześciu lat nie kręciła się w pobliżu okien. Sylvie podeszła do drzwi frontowych, czując narastające podniecenie.

Przed wejściem nie miała czasu na wahanie, poczuła bowiem po swojej prawej stronie ruch powietrza, kiedy Paul wyciągał rękę, by otworzyć przed nią drzwi. Ta jego bliskość dodała jej pewności siebie. Była to ta

dawna, nie-wysłowioną pewność, jaką czuła, kiedy razem tańczyli, wiedza o tym, w jakim położeniu znajduje się jego ciało w stosunku do jej ciała.

Nad drzwiami wisiała tabliczka udająca drewno z napisem „PROSZĘ SIĘ USADOWIĆ”. Przesunęła wzrokiem po wnętrzu. Detektyw i Wendy siedzieli na końcu sali po lewej stronie, skręciła więc szybko w prawo, żeby znaleźć stolik jak najdalej od nich. Wsunęła się do boksu przy dużym oknie wychodzącym na hotel i parking. Widziała stąd nawet stację benzynową, na której brali paliwo.

Paul usiadł naprzeciwko. Zauważyła, jak skupia wzrok na tej części sali, gdzie siedzą Till i Wendy. Wpatrywał się zbyt długo, aż zaczęła się denerwować i wreszcie odwrócił wzrok. Wtedy Sylvie opuściła głowę i udawała, że czyta menu, podczas gdy w rzeczywistości oglądała uważnie salę. Wzdłuż ściany z tyłu ciągnął się bar, za nim znajdo-

218

wała się kuchnia. Między Sylvie a końcem kontuaru, gdzie zaczynał się korytarz prowadzący do toalet i automatów telefonicznych, było jakieś dwadzieścia metrów otwartej przestrzeni. Oszacowała, że Wendy nie ma do toalety dalej niż połowę tej odległości.

Gdy Wendy się podniesie i ruszy do toalety, Sylvie wejdzie tam za nią, strzeli jej w głowę z rewolweru z tłumikiem, odwróci się i przejdzie z powrotem do drzwi frontowych, gdzie będzie na nią czekał Paul. Wszystko przebiegnie dobrze, jeśli tylko Wendy nie zobaczy broni i nie zdąży wrzasnąć.

Przyjrzała się bacznie ludziom siedzącym przy barze. Po wszystkim będzie musiała przejść obok nich. Zazwyczaj, kiedy dzieje się coś złego w miejscu publicznym, ludzie stoją z otwartymi ustami, niezdolni się

poruszyć czy choćby pomyśleć. Czasami jednak zdarza się, że ktoś rozumie, co się dzieje, i natychmiast reaguje. Nie mogła dopuścić, żeby w drodze do wyjścia któryś z tych czterech postawnych mężczyzn przy barze wyciągnął rękę i ją zatrzymał. Będzie musiała trzymać rewolwer w pogotowiu, w prawej ręce, ponieważ stołki barowe będzie miała po lewej. Broń musi być niewidoczna. Uznała, że najbardziej naturalnie będzie nieść ją pod przerzuconym przez rękę żakietem.

Wendy Harper odgarnęła włosy i wstała.

- Ruszyła się - szepnęła Sylvie. - Gotów?

Sylvie wyslizgnęła się z boksu i trzymając torebkę i żakiet tak, by prawą rękę mieć wolną, zrobiła krok do przodu, Paul jednak błyskawicznie pociągnął ją na ławę po swojej stronie stolika. Uśmiechał się, jakby się z nią droczył, zbliżając twarz do jej policzka.

- Spójrz. Na zewnątrz, na parkingu. Ostrożnie - wyszeptał.

Wychyliła się lekko w prawo, by zobaczyć, co się dzieje. Za ich wypożyczonym samochodem stał radio-

219

wóz. Siedzący w środku policjant trzymał mikrofon przy ustach.

- Co robimy?

-Musimy stąd zniknąć, zanim pojawi się ich więcej. Widocznie dostali numer rejestracyjny naszego wozu. -Jak?

- Czy to ważne? Ktoś widział, co się stało przy lotnisku.
- Pytałam, jak mamy stąd zniknąć.
- Przez hotel.

Spojrzała w stronę stolika Tilla, ale Paul popchnął ją biodrem.

- Wstań i idź. Już.

Ruszyła do drzwi. Otworzył je przed nią i poprowadził ją wzdłuż frontowej ściany restauracji, do głównego budynku hotelowego.

Paul znów przytrzymał drzwi, wślizgnęła się do środka i odwróciła głowę w jego stronę, kiedy pojawił się u jej boku. Wszystkie ich ruchy były składne i dobrze znane. Nie byli jakimiś zdenerwowanymi, miotającymi się niezdarnie ludźmi, unikającymi spotkania z policjantami. Posuwistym krokiem wspaniale zgranej pary tancerzy wracali do swojego hotelu po wspólnej kolacji. Zmusiła się, żeby niepokój przeistoczył się w podniecenie. Kroczyła po posadzce u boku Paula, świadoma narastającego za jej plecami niebezpieczeństwa. Samochody już wyruszyły na wezwanie tego policjanta.

Paul przeprowadził ją pod łukowatym przejściem i korytarzem doszli do wyjścia ewakuacyjnego. Uchylił drzwi i wyjrzał, po czym gestem przywołał Sylvie.

Zobaczyła policyjne samochody nadjeżdżające od strony autostrady. Trzy, każdy z obracającymi się i migającymi światłami na dachu. Paul położył jej dłonie na ramionach.

- Zostań tutaj - wyszeptał. - Jeśli przyjdą tu gliny, rozmawiaj z nimi głośno. Jeśli będą mi zagrażać, otwórz

220

ogień. Poczekam chwilę, żeby ludzie w pokojach zdążyli zobaczyć te migające światła. - Stał nieruchomo, zerknął na zegarek, a potem klepnął ją w ramię. - Już czas.

Ruszył z powrotem korytarzem, nasłuchując przy każdych drzwiach. Był wczesny wieczór i wyglądało na to, że w kilku pierwszych pokojach

nikogo nie ma. Wreszcie zapukał do jednego z nich. Sylvie usłyszała czyjś stłumiony głos.

- Policja. Otwierać - powiedział Paul. W ręku trzymał portfel, przesunął nim szybko przed wizjerem.

Drzwi się uchyliły, a Paul popchnął je do wnętrza.

- Co jest, do diabła? - odezwał się jakiś męski głos, po czym Sylvie usłyszała stłumiony odgłos wystrzału z broni męża.

Drzwi się zamknęły.

Przez dłuższą chwilę nic się nie działo. W końcu Paul wystawił głowę i skinął na nią. Pokój wydał jej się pusty, jednak po chwili dostrzegła wystające zza łóżka gołe stopy mężczyzny. Podeszła bliżej i zobaczyła ciało. Wielkie jak cielsko morsa, ogromne i obłe, jakby wyrzucone z morza prosto na podłogę.

- Pomóż mi znaleźć kluczyki do jego auta. Szybko.

Błyski policyjnych świateł wpadały przez szparę pomiędzy zasłonami, zsunęła je więc szczelnie, po czym zaczęła przeglądać stos brudnych ubrań na dnie szafy, podczas gdy Paul przeszukiwał szuflady komody, szafek, toaletki, biurka.

Podniosła wzrok, żeby przejrzeć kieszenie garderoby, i zauważyła, że nie cała należy do nieżyjącego mężczyzny.

- Paul - zaczęła.

W tej chwili ktoś po drugiej stronie drzwi próbował przekręcić gałkę.

- Cholera! - mruknął.

Sylvie pokręciła głową i wskazała mu drzwi do łazien-

ki. Paul schował się tam. Zarzuciła sobie torebkę na lewe ramię i ułożyła w niej rewolwer tak, żeby móc szybko po niego sięgnąć. Potem otworzyła drzwi na korytarz.

Mniej więcej pięćdziesięcioletnia kobieta trzymała w rękach karton z pizzą i sześciopak piwa, a z jej palców zwisał komplet kluczyków.

- Ray? - powiedziała. - O mój Boże! Czyżbym pomyliła pokoje?
- Nie, proszę pani. Proszę wejść. - Sylvie delikatnie zamknęła za nią drzwi i została tam, żeby kobieta musiała patrzeć w jej stronę, a nie w stronę łóżka. - Jestem z policji. Czy pani jest żoną Raya?
- Tak. Widziałam na zewnątrz te wszystkie wasze samochody. Co się dzieje?
- Szukamy uciekinierów. Czy mogę zobaczyć pani prawo jazdy?

Kobieta postawiła pizzę i piwo na komodzie i otworzyła torebkę, żeby wyjąć portfel. Drżącą dłonią wysunęła prawo jazdy z plastikowej okładki.

Sylvie podniosła dokument do góry, żeby porównać zdjęcie z twarzą kobiety. Robiła wrażenie usatysfakcjonowanej, ale nie skończyła na tym.

- Państwa samochód. Proszę mi powiedzieć, jaka to marka i model?
- Zielona toyota. Ta zaparkowana tuż przy wejściu.
- To są do niej kluczyki?

Kobieta podniosła je, a Sylvie razem z prawem jazdy położyła je na łóżku.

- Dziękuję pani. A teraz proszę się obrócić i wyciągnąć rękę na boki.

Kobieta odwróciła się i uniosła ramiona w absurdalnej pozie, jakby rozkładała skrzydła do latania. Sylvie wyjęła rewolwer i strzeliła jej raz w tył głowy, i ciało osunęło się na podłogę.

- Sylvie? - Paul wyszedł z łazienki.

222

- Tak, Paul - odpowiedziała czystym, wyraźnym głosem, po czym wzięła z łóżka prawo jazdy i kluczyki. - To zielona toyota zaparkowana tuż przy wejściu.

Paul skinął głową, otworzył drzwi, żeby puścić Sylvie przodem, i powiesiwszy tabliczkę NIE PRZESZKADZAĆ na gałce, rękawem wytarł z niej odciski swoich palców.

Wyszli na parking. Stały tam cztery policyjne radiowozy, a kilku policjantów zebrało się wokół niebieskiego auta, które wypożyczyli w San Francisco. Policjanci spojrzeli na Sylvie i Paula, kiedy ci szli w stronę zielonej toyoty. I w tym momencie Sylvie zobaczyła inną zieloną toyotę w następnym rzędzie samochodów. Nacisnęła guzik pilota wiszącego na jednym kółku z kluczykami i patrzyła, jak w jej wnętrzu zapala się światełko i rozlega dźwięk wyskakujących przycisków w drzwiach. Kiedy znaleźli się przy aucie, Paul otworzył jej drzwi. Zdążyła jeszcze zauważyć, jak policjanci z powrotem kierują uwagę na wypożyczony niebieski samochód.

Paul wsiadł, a ona podała mu kluczyki. Kiedy znaleźli się na drodze, roześmiał się.

Sylvie też się zaśmiała, ale po chwili się zorientowała, że cała drży. Ustępujące napięcie wywołało u niej zawrót głowy. Paul skręcił na parking restauracji, którą dopiero co opuścili.

- Co ty wyprawiasz?
- Oni ciągle tam są - odparł. - Widzisz? Tam stoi samochód Tilla.
- Nie musimy się stąd zmywać?

- Nie przed nimi. Aż do końca doby hotelowej, czyli do jutra, to auto jest czyste i nie mamy się czego obawiać.

ROZDZIAŁ 25

Jack Till wypił kolejny łyk kawy i rozejrzał się po klientach restauracji. Wszyscy wyglądali na zmęczonych całodzienną jazdą. Niektórzy pewnie zatrzymali się w hotelu po drugiej stronie parkingu, jednak wielu z nich wkrótce po zapłaceniu rachunku wyruszy w dalszą drogę. Wiedziony doświadczeniem wybrał czterech czy pięciu, których mógłby wziąć pod uwagę jako potencjalnych zabójców. Wpatrzył się w ich twarze w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby świadczyć o ich zainteresowaniu Ann Donnelly, oraz przyjrzał ubraniom, szukając miejsc, gdzie mogliby ukrywać broń.

- Bardzo się zmieniłam?

To pytanie go zaskoczyło. Popatrzył na nią.

- Nie. Nie widzę po tobie upływu lat. Niewiele też zrobiłaś, żeby swój wygląd zmienić.
- Owszem, robiłam, na samym początku. Zrezygnowałam z soczewek kontaktowych i nosiłam okulary, przezroczyste szkła na wieczór, przyciemniane na dzień. Włosy krótkie i ciemne. Inaczej się ubierałam. W Las Vegas leżałam przy basenie, żeby się opalić.
- Kiedy przestałaś się niepokoić?
 - Nigdy. Po prostu inaczej sobie z tym radziłam. Mieszkałam już w

Royal Palm Pałace wiele miesięcy, kiedy zaniedbałam farbowanie włosów i Louanda zauważyła odrosły. Wtedy już jednak wszyscy znali mnie jako Ann Delatorre. Nie pojawił się nikt, kto by szukał Wendy Harper.

224

Nikt nigdy nie napędził mi strachu. Więc kiedy przeprowadziłyśmy się do Henderson, powoli pozwalałam sobie coraz bardziej wyglądać jak dawniej. Wzruszył ramionami.

- Skąd mogłaś wiedzieć, że nie było zagrożenia?
- Co masz na myśli?
- Powiedziałaś mi, że nie mogłaś rozpoznać przyjaciela tej kelnerki i że ten z kijem bejsbolowym był wynajętym zbirem. Jak byś się zorientowała, gdyby znaleźli się blisko ciebie?

Wyglądała na poirytowaną.

- Pewnie bym się nie zorientowała. Może po prostu ciężko mi było ciągle się wszystkich bać.

Till spojrzał na zegarek. Było po ósmej. -Jestem gotów ruszać dalej.

- Dobrze - odparła. - Ja też pewnie jestem gotowa.
- Nie wychodź sama. Poczekaj, aż zapłacę.

Ann Donnelly stała kilka kroków za nim, kiedy płacił za kolację przy kasie. Jack wykorzystał tę chwilę, żeby raz jeszcze rozejrzeć się po sali. Przesunął wzrokiem po wszystkich twarzach, kiedy tu weszli, teraz zaś ponownie się przekonał, że nikt z obecnych nie wygląda złowieszczo.

Kiedy poszli ku wyjściu, otworzył szklane drzwi i pierwszy wyszedł na zewnątrz, żeby się rozejrzeć.

- Poczekaj - rzucił. - Widzę policyjne radiowozy. Ciekawe, co się dzieje.
 - To nie może dotyczyć nas.
- Kiedy szli do samochodu, podał jej kluczyki.
- Podjedź przez parking do hotelu.
 - Po co?
 - Po prostu zrób to. Zatrzymaj się przy najdalej stojącym aucie i wypuść mnie. Nie wyłączaj silnika.

Gdy się zatrzymała, podszedł do policjanta, który najwyraźniej tam dowodził, łysego czterdziestopięcioletnie-

225

go mężczyzny w czarnej nylonowej kurtce i wysokich czarnych butach. Ann opuściła szybę po swojej stronie, by usłyszeć, co mówią, ale rozmowa była zbyt cicha i krótka. Usłyszała tylko, jak Jack mówi „Powodzenia”, i po chwili długimi krokami zbliżył się do samochodu.

- Ruszajmy w stronę autostrady - powiedział, wsiadając.

-1 co? - spytała.

- To dobry moment, żeby się stąd wyrwać. Za kilka minut zrobi się tutaj tłoczno. Ten niebieski samochód, który oglądali, był użyty przez jakiegoś faceta, który kilka godzin temu zabił policjanta w pobliżu lotniska w San Francisco.
- Więc nie ma to nic wspólnego z nami?
- Może mieć. Byliśmy przy lotnisku mniej więcej w tym czasie, a teraz jesteśmy tutaj. Sierżant powiedział, że nikt nie widział, jak ten samochód przyjechał, ale silnik jeszcze nie ostygł.

- Co zrobimy?
 - Pojedziemy dalej. - Till rozsiadł się wygodnie w fotelu, skrzyżował ramiona na piersi i wyglądał na odprężonego.
Przyspieszyła, wjechała na autostradę i ustawiła się na drugim pasie.
 - Przypuszczam, że kiedy będzie po wszystkim, będę musiała do tego wrócić, prawda?
- Wrócić do czego?
 - Przycinania i farbowania włosów, noszenia wszędzie ciemnych okularów i kapeluszy.
 - Spoglądasz na całą tę sytuację od złej strony - odparł. - Jeśli dasz mi coś więcej, co mógłbym wykorzystać, to wówczas może ci ludzie będą musieli się martwić, że ich dopadną, a nie ty.
 - Mówiłam ci. Za mało widziałam, za mało słyszałam, za mało wiem.

226

- Staraj się sobie przypomnieć.
 - To nie kwestia pamięci. Po prostu nie ma niczego, co mogłabym sobie przypomnieć.
 - Wobec tego, dopóki ci faceci nie wpadną za coś innego, ty i twój mąż będziecie musieli pozostać niewidzialni.
 - Z tym już koniec - rzuciła szybko, ale spokojnie, bez emocji.

W pewnej chwili Till nie był pewien, czy dobrze usłyszał. Był przyzwyczajony, że tego rodzaju oświadczeniom towarzyszyły emocje, a nawet pewna fałszywie brzmiąca brawura, więc czekał na coś takiego. W końcu zapytał:

-Twoje małżeństwo? Koniec z twoim małżeństwem?

-Tak musi być. Nie sądziłam, że to się wydarzy, bo inaczej nigdy bym za Dennisa nie wyszła. - Teraz w jej głosie usłyszałam głęboki smutek. - Nie chciałam tego zrobić dzieciom.

- To dlaczego robisz?

Zignorowała to pytanie i kontynuowała, jakby mówiła do siebie.

- Kiedy byłam mała i moja matka odeszła, powiedziałam sobie, że nigdy nie zrobię czegoś takiego swojej córce. I teraz w odpowiedzi na tamtą obietnicę słyszę donośne „Czyżby?” Nie będzie to dla nich łatwe. Wiem. Nawet taka kiepska matka jak ja jest lepsza od żadnej.
- Nie musisz już teraz podejmować decyzji.
- Decyzja została już podjęta, Jack. Zanim jeszcze pobraliśmy się z Dennisem.
- Jak do tego doszło?
- Kiedy poznałam Dennisa, miał już dzieci. Ich matka kilka lat wcześniej zginęła w wypadku samochodowym. Spotykaliśmy się przez jakiś czas, aż pewnego dnia poprosił, żebym za niego wyszła. Obawiałam się, że do tego dojdzie. Kiedy zaproponował mi małżeństwo, wszystko się zmieniło. Musiałam się zgodzić za niego wyjść albo z nim zerwać.

227

- Podejmowałam trudną decyzję.
- Nie byłam na to gotowa. Wiedziałam tylko, w jaki sposób doprowadzić do podjęcia decyzji. Zaprosiłam go na wycieczkę do Las Vegas i zabrałam do Henderson. Razem z Louandą usiedliśmy w salonie domu, który kupiłam. Przedstawiłam ją jako Ann Delatorre i wyjaśniłam mu, jak nią została. Powiedziałam mu wszystko. Potem we troje spędziliśmy kilka dni, rozmawiając o tym. Od czasu do czasu

wysyłałam Dennisa, żeby kupił coś do jedzenia, i wtedy rozmawiałyśmy tylko we dwie. Louanda mówiła mi, co sądzi o Dennisie i o ślubie.

-1 co sądziła?

- Bardzo chciała mnie chronić. To my dwie strzegłyśmy wzajemnie swoich tajemnic. Byłyśmy... chciałam powiedzieć „jak siostry”, ale tak nie było, bo byłyśmy zupełnie różne. Raczej jak dwaj mężczyźni, którzy razem walczyli na wojnie. Każda z nas była już na zawsze częścią życia drugiej. Uważała, że nie powinnam wychodzić za Dennisa. Kiedy jej powiedziałam, że tak czy owak skłaniam się ku temu, zmusiła mnie do rozmowy o sprawach, których prawdopodobnie sama nigdy bym nie poruszyła.

- To znaczy?

- Takich, jak i co będzie, jeśli kiedyś po ślubie zabójcy po mnie przyjdą. Jak ochronić dzieci? Rozważałyśmy wszystkie możliwości.

- No i co wymyśliłyście na wypadek, gdyby doszło do dzisiejszej sytuacji... ty jesteś mężatką, z dziećmi, a zabójcy się na ciebie czają? Oderwała oczy od drogi i spojrzała na niego.

- Nie mogłam przecież siedzieć spokojnie w San Rafael i po prostu na nich czekać. Mój mąż i dzieci nie mogli tam zostać, ponieważ tych ludzi stać na to, by ich porwać i czekać, aż sama do nich przyjdę, albo zwyczajnie ich zabić. A ja nie mogłabym uciec, zabierając ich wszystkich ze sobą, całą czteroosobową rodziną. Wiedziałam o tym wtedy...

wiadomości. Poczyniłam pewne przygotowania. Czy raczej dokonaliśmy tego wszyscy troje - Zmrużyła oczy, jej twarz skurczyła się od bólu.

Widział, że teraz popłyną łzy, a ona nie da rady ich powstrzymać.

- O cholera! - powiedziała. - O cholera!

Chciał, żeby się rozplakała. Chciał zdruzgotać to powierzchowne opanowanie, które przez lata wyszlifowała do perfekcji, jeśli miał doprowadzić do tego, żeby mu cokolwiek powiedziała, musiał jednak być cierpliwy, bo inaczej ona stawi mu opór.

- Może była to zła decyzja, złe rozwiązanie.
- Nie, nie była.

Powoli opanowała szloch, podczas gdy Till czekał. Oglądał się ciągle na światła reflektorów za nimi, zastanawiając się, czy któreś należą do śledzącego ich samochodu.

- Opracowaliśmy plan - mówiła dalej. - Po prostu już dużo wcześniej, zanim go przygotowałam, nabrałam przekonania, że nigdy nie będzie potrzebny. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- To było jak przygotowywanie planów na wypadek wojny jądrowej czy czegoś takiego. Wiadomo, że człowiek odpowiedzialny ma zawsze jakiś plan na wszelki wypadek, ale ten mały plan jest tylko na wpół poważny, bo się go nie czuje. Zagrożenie nie jest realne. Nigdy nie wpakowałabym ich w taką sytuację, gdybym sądziła, że ten plan okaże się potrzebny.

Till obserwował, jak zwalcza kolejną falę łez. Widział jej oczy, twarz w błyskach reflektorów jadących na północ pojazdów.

-Przygotowałaś dla nich jakieś miejsce, bezpieczne schronienie,

prawda?

- Tak. Czy mogłam wymagać, by Dennis zabrał dzieci

229

i wszystko zrobił sam? On nie wie nic o zmienianiu tożsamości, ukrywaniu się i podobnych sprawach. Dopadliby go w jeden dzień i dzieci by zginęły. Więc z góry wszystko przygotowałam.

-Pojechaliście gdzieś we dwójkę i przygotowaliście miejsce, w którym mieliście żyć?

- We dwójkę, owszem. Ale nie z Dennisem.
- Jasne, że nie. Musiałaś to być ty i Louanda.

-Tak naprawdę to głównie ona. Znalazłyśmy dom. W Pensylwanii, jakieś czterdzieści pięć kilometrów od Filadelfii. Kupiłyśmy małą farmę. Właściwie jest to skrawek czegoś większego, ale właściciel zmarł, jego dzieci musiały spłacić jakieś długi, żeby reszta pozostała nie-obciążona, więc ten kawałek sprzedano nam. To tylko jakieś pięć akrów i dom. Właśnie teraz Dennis tam jedzie.

Till chciał ją zmusić do ponownego przyjrzenia się każdej podjętej decyzji.

- Współczuję mu - oświadczył. - Niełatwo zabrać dwoje dzieci na drugi koniec kraju, do domu, który przez lata stał pusty.
- Nie stał pusty.
- Jakaś kobieta. Jest tam jakaś kobieta.
- Oczywiście, że tak. - Płakała coraz rozpaczliwiej.
- Kto? Niania?
- Musimy rozmawiać o wszystkich szczegółach?

- Kim ona jest?
- Kimś, kogo znała Louanda.
- A ty? Ty też ją znałaś?
- Poznałam ją. Spędziłam z nią jakiś czas w Filadelfii, a kilkakrotnie ona odwiedziła nas w San Rafael, tak że gdyby coś rzeczywiście się stało, nie byłaby osobą obcą. -Obdarzyła Jacka spojrzeniem bliskim nienawiści. - To ty mnie tego wszystkiego nauczyłaś. Ty kazałaś mi się upewnić, że pomyślałam o wszystkim, na wszystko się przygotowałam. „Nie dawaj nigdy więcej jak dwa kroki do wnętrza domu, jeśli nie wiesz jeszcze, gdzie znajduje się tylne wyjście". Tak mówiłaś. Więc to robiłam. Robiłam to sto razy, na sto sposobów, a to był jeden z nich. Oczywiście, że jest kobieta. Bez niej ten plan byłby sztuczny.

230

trza domu, jeśli nie wiesz jeszcze, gdzie znajduje się tylne wyjście". Tak mówiłaś. Więc to robiłam. Robiłam to sto razy, na sto sposobów, a to był jeden z nich. Oczywiście, że jest kobieta. Bez niej ten plan byłby sztuczny.

- Ale kto to taki?
- Znały się z Louandą od lat. Jest kilka lat młodsza ode mnie i nawet trochę do mnie podobna. Z początku Louandą sobie z tego podobieństwa żartowała, zanim przestało to być zabawne. Dennis może zabrać dzieci na farmę, nie podając nikomu swojego prawdziwego nazwiska. A tam, na miejscu, Iris zajmie się wszystkim.
- Wszystkim?
- Zajmie się dziećmi. Domem. Będzie im gotować. Dopilnuje, żeby zostały zapisane do miejscowej szkoły i chodziły do niej codziennie, czysto ubrane i z drugim śniadaniem.
- A za kogo mają uważać ją ludzie?

- Dokumenty są na Donalda, Lindę i Timothy'ego Welsha. Są też w tym domu papiery na Kathy Welsh.

Till milczał. Patrzył na autostradę uciekającą za samochodem, wypatrując świateł, które tkwią tam za długo. Jego doświadczenie śledczego mówiło, że powinien teraz ją przycisnąć, spróbować dowiedzieć się czegoś więcej, zmusić do odsłonięcia kolejnej warstwy półprawd. Odkrył jej pierwsze czułe miejsce i teraz musiał drążyć dalej. Tyle że był to też jego czuły punkt.

Zapanowało milczenie. Ann Donnelly patrzyła przed siebie. Kiedy znowu się odezwała, było to tak, jakby głośno myślała.

- Miała ciężkie życie, nawet według kryteriów Louan-dy. Louanda przysięgała, że niezależnie od sytuacji Iris będzie dobra dla dzieci. Po tym, jak spędziłyśmy razem trochę czasu, byłam przekonana, że to prawda, a to było najważniejsze. Dzieci ją znają i lubią.
- Co sądził Dennis o tym układzie?

231

- Będzie zadowolony.
- Tak powiedział?
 - Powiedział, że się dostosuje. Wie, że życie jego dzieci zależy od tego, czy będzie postępował zgodnie z tym planem.
- Są rzeczy, których nie mówisz. Jakie?
 - Nie wiem jakie. Chcesz wiedzieć, co to za uczucie, kiedy odchodzisz i oddajesz własne życie innej kobiecie? Podłe. Naprawdę podłe. W tej chwili moja rodzina zmierza tam, gdzie ja nigdy nie pojedę. Straciłam ją.

Till starał się skupić myśli na sposobie wydostania od niej kolejnych szczegółów. Jednak przez cały czas myślał o tym, jak by to było, gdyby musiał na zawsze zostawić Holly. Pamiętał z ostatniego spotkania, jak córka patrzy na niego z uśmiechem, a potem odwraca się, by wejść do „Kwietnego Domu”. Ciężko mu było to znieść.

- Powiedziałem ci już, że dziś nie musisz podejmować żadnych poważnych decyzji.
- A ja ci powiedziałam, że to już skończone. Od początku był to układ, od tego dnia, kiedy w Henderson pierwszy raz powiedziałam mu prawdę. Jeśli chciał mnie poślubić, musiał przystać na ten plan. Dotrzyma słowa. Ona zrobi resztę.
- Ona nie jest tylko osobą zatrudnioną, prawda? I nie jest tylko opiekunką dzieci.

-Nie.

• On wie?

- Nie. Tak. Jest po prostu mężczyzną... dobrym, miłym, zwyczajnym facetem, zajęтым swoimi interesami i wypełniającym wolny czas golfem i oglądaniem sportu. I dziećmi. Uwielbia je. Nie musi odkryć złoża ropy, żeby uznać dzień za udany.

• To po co wynajęłaś tę Iris?

-Wynajęłaś? Chyba rzeczywiście, w pewnym sensie. Ale trudno byłoby powiedzieć, że w grę wchodziły pie-

232

niądze. Wystarczyło, że pokazałam życie, jakie sobie zbudowałam, kobiecie, której marnie się żyło, i powiedziałam: „Jeśli kiedyś coś mi się przydarzy, czy zechcesz je przejąć?” Oczywiście, że się zgodziła.

Kilkakrotnie w ciągu roku rozmawialiśmy przez telefon i ja pytałam: „Nadal refleksjonujesz?”, a ona odpowiadała: „Jasne”.

- Dennisa ona satysfakcjonowała?

- Powiedziała ci, że będzie zadowolony.

- Tak powiedział? Spiorunowała go wzrokiem.

- Podczas mniej więcej miesiąca, jaki spędzała z nami przy każdej wizycie, wiele razy urządzałam to tak, że za bierałam gdzieś dzieci na dzień czy dwa i zostawiałam Dennisa z nią w domu, żeby sprawdzić, jak im się ze sobą układa, czy są zgodni w różnych sprawach. Potem wracałam i rozmawiałam z każdym z osobna.

- Co się stało, kiedy cię zdradził?

Rzuciła mu kolejne wściekłe spojrzenie.

- Skoro jesteś taki mądry, by się tego domyślić, to nie możesz być taki głupi, by nie wiedzieć, że mogłam się tego spodziewać. Louanda, Iris i ja wzięłyśmy pod uwagę tę możliwość podczas naszych wypraw do Filadelfii. Louanda uważała, że jestem niemądra, pozwalając na tyle mężowi, skoro powód ku temu może nigdy nie zaistnieć.

- A Iris?

- Ona wtedy nie była pewna, czego chce. Poznała już Dennisa i przyznała, że ją pociąga. Obawiała się, że mogę zrobić z wiernego męża, męża niewiernego i moje uczucia do niego już nigdy nie będą takie same.

- Ale ją przekonałaś?

- Nie. Nie. Nie przekonałam. Dopilnowałam tylko, by oni wszyscy mieli szansę poznać się nawzajem... Iris, dzieci, Dennis... i na ile mogłam,

nie wtrącałam się. Nie pojmujesz dlaczego?

233

- Może ty mi powiesz?
 - Każde z nich twierdziło, że zabójcy nigdy się nie pojawią. Cóż, pojawili się, czyli to ja miałam rację.
- Ale jaką to miało zaletę?
 - Dla mnie? Żadnej. Nie wtedy. Ani w ogóle nigdy. To wszystko dla dzieci.
- Przy pomocy Iris masz nad wszystkim kontrolę.
 - Nie. Wcale tego nie chcę. Chcę tylko mieć pewność, że za kilka dni moja rodzina zacznie wszystko od nowa w miłym miejscu, daleko stąd, i że będzie ich czworo: dwoje dzieci, ojciec, matka. Nikogo nie brakuje, pojmujesz? Nikt, za pomocą zwykłego poszukiwania czy puszczania w obieg jakiegoś kłamstewka, się nie dowie, że ojciec oraz dzieci w stosownym wieku pojawili się konkretnego dnia i kupili sobie dom. To jest czteroosobowa rodzina, właściciele tej nieruchomości od czterech lat. Żadna z kobiet, jakie będą się spotykały z tą rodziną, nie zobaczy w niej wolnego miejsca, w które postanowi się wcisnąć. Nie muszę się martwić, że Zła Czarownica z Zachodu dopadnie te dzieci.
 - Jednak nie za bardzo się martwisz o swojego męża. Dlaczego?
- Jest dorosły. Sam musi się o siebie zatroszczyć.
- Coś ukrywasz, robisz uniki. Nie zależy ci na nim?
- Będzie mi go brakowało. Jasne. To miły człowiek.
 - Nie powiedziałaś, że go kochasz. Kochałaś go kiedyś?
 - Byłam samotna. Brakowało mi związku z mężczyzną. Lubię

mężczyzn. Lubię poczucie bezpieczeństwa i mieć przy sobie kogoś, kto podniesie ciężar i sięgnie na najwyższą półkę. Dennis zapraszał mnie na randki i spodobaliśmy się sobie.

- To za mało.

- W porządku. Zatem sama prawda. Dennis był ojcem z dwojgiem małych dzieci. Niezbyt sobie z tym radził i nie

234

miał czasu się nauczyć, ale się starał. Miał w sobie siłę, żeby bardzo się starać, dzień po dniu. To mi się podobało. Widziałam, że i on, i dzieci mnie potrzebują, to przemawiało do mnie najbardziej. Kiedy byłam młodą dziewczyną, zawsze chętnie opiekowałam się dziećmi. Uwielbiałam dzieci... może dlatego, że byłam jedynaczką... i całkiem dobrze sobie radziłam. Kiedy poznałam Dennisa, minął właśnie rok, podczas którego nie robiłam nic innego, tylko myślałam o sobie i chowałam się przed wszystkimi. Potrzebny był mi ktoś, kto mnie potrzebuje, więc kiedy zobaczyłam ich troje, chętnie zrobiłam, co należało. A to w końcu oznaczało ślub.

- Gdybyś tylko mogła przypomnieć sobie coś, co doprowadziłoby nas do człowieka, który kazał cię zabić, mogłabyś wrócić - powiedział Till, starannie dobierając słowa.

- Gdybym mogła, dawno już bym to zrobiła.

Detektyw zauważył, że jakiś samochód powoli, ale nieustannie się do nich zbliża. Za każdym razem, kiedy tylko światła jego reflektorów stawały się widoczne w lusterku wstecznym, zwalniał. Wpuszczał przed siebie inny pojazd, a potem kolejny.

-Ten się zbliżył na tyle, żeby nam się przyjrzeć -oświadczył Till.

- Co mam robić?

- Jedź dalej z tą samą szybkością, ale nikogo nie wyprzedzaj. Opuścimy autostradę najbliższym wyjazdem. Nie zwalniam, przygotowując się do tego, i nie wrzucam kierunkowskazu. Kiedy się znajdziemy na wysokości zjazdu, po prostu zjedź z autostrady. Na dole skręć w prawo. Zatrzymaj się na pierwszym parking, nieważne jakim. Jeśli będzie tam budynek, stań za nim i zgaś światła. Chcę sprawdzić, czy ktoś nas śledzi.
- Co zamierzasz zrobić, jeśli to są ludzie, którzy zabili Louandę?

235

-Dobrze im się przyjrzeć. Byłbym zachwycony, gdybym mógł ich dorwać, ale teraz naszą główną troską jest dowieźć cię bezpiecznie do Los Angeles.

- Za chwilę wyjazd. Osiemset metrów.
- Dobrze. - Przez kilka sekund patrzył na szybkościomierz. - W porządku. Utrzymuj tę szybkość. Nic nie może zdradzić twoich zamiarów.
- Czteryście metrów.

Obejrzał się i patrząc wzdłuż linii światła reflektorów, próbował zlokalizować te, które chciał mieć na oku.

- Utrzymuj tę szybkość.

-Już.

Wyjazd prowadził w dość lekką pochyłość. Ich prędkość była zbyt duża i Ann musiała zahamować ostro na końcu zjazdu, żeby skręcić w prawo. Till miał wzrok wbity w drogę za nimi, kiedy samochód wykonywał drugi skręt w prawo i wjeżdżał na parking.

Parking należał do restauracji szybkiej obsługi w stylu lat

pięćdziesiątych, bodajże o nazwie „Dobre Jedzenie Dobre Czasy”. Ann skręciła za budynek i stanęła za nim.

- Poczekaj tutaj.

Till wyskoczył z auta i truchtem pobiegł wzdłuż bocznej ściany budynku, żeby wyrzeć z za niej. Przejeżdżało mnóstwo samochodów i każdy z nich mógł zjechać z autostrady w czasie, kiedy był za tym budynkiem. Dwa auta podjechały pod centrum handlowo-usługowe tuż za restauracją i oba zatrzymały się przy pralni samoobsługowej. Z pierwszego wysiadła kobieta z koszem pełnym bielizny. Drugie pojechało kawałek dalej i zatrzymało się przy stacji benzynowej.

Ann siedziała w samochodzie z pracującym silnikiem. Opuściła szybę, żeby móc coś słyszeć, ale jedynym dźwiękiem był szum niewidocznych pojazdów i odleglejszy, sporadyczny jęk ciężarówki sunącej biegnącą wyżej autostradą.

236

Po dłuższym czasie wrócił Jack, oparł się o dach auta przy jej oknie.

- Nawet jeśli zjechali z autostrady za nami, to ja ich nie zobaczyłem.

Wsiadł do samochodu, wyjął telefon komórkowy i wybrał numer.

Sygnal rozległ się kilka razy, zanim ktoś odebrał.

•Jay? - spytał. - Taa. Wiem, że jest późno. Chciałem cię złapać, zanim pójdziesz spać. Mam ją ze sobą. - Nastąpiła chwila przerwy. - Soledad. Jakies dwie godziny na południe od San Francisco. Dojeżdżamy. - Słuchał kilka sekund, po czym powiedział: - Powinniśmy dotrzeć w nocy. Chcę ją rano przyprowadzić do twojego biura. Stamtąd to tylko króciutka przejażdżka do prokuratora okręgowego. Możesz tam być

około siódmej rano, żeby nas wpuścić? -Słuchał przez chwilę. - Dzięki. Aha, Jay. Nikomu nie mów o naszym przyjeździe, nawet swojemu ulubionemu gliniarzowi czy najlepszemu przyjacielowi z biura prokuratora. - Znowu słuchał. - Wiem, że nie jesteś głupi, ale musiałem to powiedzieć. Dzięki. - Odłożył telefon.

- Kto to był?
- Adwokat Erica. Zajmuje się tym wszystkim ze mną. Prosił, żeby ci przekazać, że jest wdzięczny za twój przyjazd.
- A Erie? Rozmawiałeś z nim?
- Byłem tam, kiedy wypuścili go za kaucją. Cieszył się, kiedy usłyszał, że żyjesz, ale nie wie, że do ciebie dotarłem. Jay zachowa to w tajemnicy, dopóki tam się nie znajdziesz.
- Zobaczę się z nim?
- Nie wiem. Jeśli chcesz, to coś zorganizujemy.
- Może to nie jest najlepszy pomysł. Zastanowię się.
- Pozwolisz, że teraz ja poprowadzę?
- W porządku.

Kiedy wysiadła i zaczęła obchodzić samochód, żeby

237

zająć fotel pasażera, od strony frontu budynku rozległ się ryk silnika. Ann schyliła się instynktownie i przykucnęła przed maską samochodu. Till wysiadł z auta i zostawił dla niej otwarte drzwi. Nie zatrzymał się, tylko podszedł do następnego samochodu w rzędzie i stanął przy nim bokiem, z ręką pod połą marynarki.

Zapisały opony, samochód wjechał na parking, minął ich, zatrzymał

się gwałtownie i zakołysał na amortyzatorach. Otworzyły się wszystkie drzwi i wysiadły cztery młode dziewczyny, śmiejąc się głośno. Chwilę później zapiszczały opony kolejnego samochodu, który skręcił na parking i zatrzymał się obok pierwszego. Z tego wysiadło trzech chłopców.

Jack podprowadził Ann do drzwi auta, zatrzasnął je, kiedy wsiadła. W tej samej chwili usłyszał, jak po drugiej stronie budynku ożywił się silnik i jakiś samochód szybko opuścił parking.

Till usiadł za kierownicą i wyprowadził auto na skraj parkingu. Zobaczył na ulicy znak, tak umieszczony, żeby był widoczny dla kierowców, którzy zjeżdżali ze sto jedyńki. Było na nim G15, a pod spodem King City, 12. Skręcił z parkingu w prawo.

- Dlaczego jedziesz tędy?
- Jeśli ktoś nas śledzi, to już czas, żeby się pokazał.

ROZDZIAŁ 26

- Nie wierzę! - zawołała Sylvie. - Wsiadła z samochodu, stała tak, że idealnie ją widziałam, a nie mogłam jej kropnąć.
- Nie można zaczynać strzelaniny na oczach dzieciaków z dwóch samochodów. Musimy dopaść ich gdzieś, gdzie nie ma świadków.
- Wiem o tym, Paul.

Nawet na nią nie spojrział. Oczy miał utkwione w lusterku wstecznym. Wyczuła, że popełniła błąd.

- Tam - rzucił. - Schowaj się.

Zsunęła się z fotela, tak że jej głowa znalazła się poniżej okna. Paul przechylił się nisko w jej stronę, żeby też pozostać niewidocznym. Po kilku sekundach wyprostował się, zapiął pas i wyjechał sprzed pralni, gdzie parkował, na ulicę.

-Coś takiego - oświadczył. - Myślałem, że skręci w drugą stronę, żeby wrócić na autostradę.

- Cóż, najwyraźniej nie wraca. Którędy on chce jechać?
- Bocznymi drogami. Przygotuj się, bo może trafimy na taki odcinek, że uda nam się ich zdjąć przed King City.

Sylvie ściągnęła włosy w koński ogonek, żeby nie fruwały, jak otworzy okno. Wyjęła rewolwer z torebki i położyła sobie na kolanach, a potem rozpoczęła przygotowania.

To głupie zlecenie zaczęło zamieniać się w sprawdzian wytrzymałości. Ona była rozdrażniona, a Paul milczący i zamknięty w sobie. To sprawa chwilowa, zaledwie kilka

239

niemiłych dni. Może zaraz uda jej się zakończyć tę robotę. Musi mieć tylko przez chwilę czystą pozycję strzelecką i będzie po wszystkim. Paul odjedzie, znajdzie miejsce, w którym pozbędzie się samochodu, a potem zabierze ją do domu.

Przysunęła się blisko do niego i wpatrzyła w tablicę rozdzielczą.

- Myślisz, że możesz ich tutaj złapać?

-Mamy dwanaście minut, może tylko dziesięć, jeśli chcemy ich dogonić na tym odcinku drogi. Miejmy nadzieję, że przed nami jest pusto i ciemno.

Paul robił wrażenie zaabsorbowanego prowadzeniem pojazdu, chęcią wydostania się poza poświatę rzucaną przez stacje benzynowe i latarnie

uliczne i znalezienia się na ciemnych, pozamiejskich terenach. Minęli kilka domów, coraz bardziej rozrzuconych, każdy kolejny nieco mniejszy od poprzedniego, aż wreszcie przejechali obok kilku takich, które miały ściany z poszarzałych, zniszczonych dech i okna lata temu pozbawione szyb. Ziemię w tej części stanu podzielono kiedyś na małe farmy, teraz natomiast farmy były ogromne i wszystkie należały do korporacji, a nie do indywidualnych właścicieli.

Sylvie spoglądała przed siebie, na czerwone tylne światła samochodu, a potem do tyłu, szukając świateł reflektorów na drodze za nimi.

- Wygląda na to, że za nami nikogo nie ma.

Paul nie zareagował. Patrzył wprost przed siebie i nie zauważyła, żeby przyspieszył.

Broń trzymała tak, jak ją nauczył, z palcem wskazującym przy kabłąku spustu i kciukiem na kurku. Nieustannie go przestawiała.

- Skarbie, chciałabym ich zdjąć na tej drodze. Jestem gotowa zrobić to teraz.

-Ja też, ale nie chcę, żeby widzieli, jak się zbliżamy. Muszę jakiś czas trzymać się z daleka, kiedy droga jest

240

prosta, a złapać ich tam, gdzie jest kręto i nie będą nas widzieć.

- Daj spokój. Kiedy ich dogonimy, to będą martwi i nie będzie ważne, czy nas widzieli.
- Przyspieszą.
- To może doprowadzić do tego, że stracą panowanie nad samochodem i zginą.
- Nam też to się może przydarzyć.

•Z ufnością powierzam ci swoje życie. Już wcześniej to robiłam.

Paul odwrócił się, żeby na nią spojrzeć, minę miał rozbawioną, nie dlatego że wierzył w to pochlebstwo, ale że mu przypadło do gustu.

-No dobrze. Spróbujemy.

Poczuła, że samochód zaczyna nabierać szybkości, i wcisnęła plecy w oparcie. Kiedy auto pokonało niewielkie wzniesienie, na chwilę niemal zawisło w powietrzu, wznosząc się na amortyzatorach i ponownie na nich osiadając. Kiedy natrafiali na większe zagłębienie, samochód przeskakiwał przez nie i wpadał na wznoszącą się część. Sylvie widziała przerywaną żółtą linię pośrodku jezdni, z każdą sekundą jej odcinki robiły się coraz krótsze i coraz szybciej umykały do tyłu, aż wreszcie niemal połączyły się w jedną ciągłą linię.

Zobaczyła, jak samochód Tilla wchodzi w zakręt w lewo, i ucieszyła się, że namówiła Paula do wykonania tego ruchu. Złożyło się bowiem dla niego wręcz idealnie: mógł zbliżyć się do nich nie widziany na łuku i praktycznie spaść na nich znienacka.

- Jestem gotowa - oświadczyła.

Paul, ścinając zakręt, lewymi kołami wyjechał poza oś jezdni. Sylvie czuła, jak siła odśrodkowa usiłuje wypchnąć auto na zewnątrz, na czarne skupiska drzew po prawej stronie. Pas zacisnął się na jej ciele, nie pozwalając ześlizgiwać się na drzwi.

241

Wjechali już głęboko w zakręt, kiedy Sylvie zobaczyła przed nimi oświetlone drzewa.

- Ktoś jedzie z przeciwka.

Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, kiedy zobaczyła na wprost

zbliżające się reflektory, które w następnej chwili przemknęły tuż obok, i usłyszała ryk klaksonu; jego ton był, zgodnie z efektem Dopplera, coraz wyższy w miarę oddalania się od siebie obu rozpędzonych pojazdów.

- Boże! - wymamrotała.

Zakręt wydał jej się teraz dużo ostrzejszy, ale po chwili już z niego wyszli i jechali po prostej. Tylne światła samochodu Tilla były przed nimi, odległe zaledwie o kilka metrów.

- Po prostu ślicznie, kochanie - powiedziała.

Paul zbliżał się coraz bardziej do jadącego przed nimi pojazdu.

- Wszystko gotowe?
- Tak. Powiedz tylko kiedy.
 - Zmuszę go, żeby zjechał na prawy pas i mnie przepuścił. Kiedy tylko się z nim zrównamy, strzelaj Tillowi w głowę.

-OK.

Przyciskiem w podłokietniku na drzwiach opuściła szybę. Pęd powietrza, które dostało się do środka, był niewiarygodnie silny, owiewał jej prawy policzek i nie pozwalał trzymać otwartych szeroko oczu. Bezustannie mrugała, potem uniosła lewe ramię, żeby się przed nim osłonić. Odwróciła głowę, by sprawdzić, jak ten gwałtowny podmuch wpływa na Paula.

Jego króciutkie włosy fruwały szaleńczo jak podczas huraganu.

Widziała jego zaciśnięte szczęki, obie dłonie wczepione w kierownicę, i czuła, że auto ciągle przyspiesza.

Paul zamigał długimi światłami, dając do zrozumienia kierowcy przed sobą, że chce go wyprzedzić, ale Till nie zjeżdżał na prawy pas.

- On wie - oświadczył Paul.

-Co?

-On wie. Nie przepuszcza mnie. Pozwoliłby się wyprzedzić jak każdy zwyczajny człowiek, gdyby nie wiedział, że chcemy ich dorwać.

- Zamierzasz się wycofać?

-Już nie możemy. Widział ten samochód. Musielibyśmy się go pozbyć, a jesteśmy bardzo daleko od domu, Spróbuję się zbliżyć, ale będziesz strzelać z gorszej pozycji. Nadzieja w tym, że i tak go trafisz albo że on popełni jakiś błąd.

Sylvie wystawiła rewolwer za okno i oparła rękę o drzwi, jednak przy tej szybkości każda najmniejsza nierówność drogi podbijała jej ramię do góry. Dwukrotnie, kiedy jej ręka opadała, to drzwi akurat podfrwały do góry i uderzały ją w łokieć. Omal nie wypuściła broni z ręki. Kiedy już miała go na muszce, rewolwer podskakiwał i postać Tilla znikła jej z oczu.

- Jeszcze trochę bliżej - poprosiła.

Paul wciąż przyspieszał i Sylvie wydawało się, że testuje samochód, zwiększając co jakiś czas szybkość i trzymając się jej przez kilka sekund, jakby chciał sprawdzić, czy koła nie zaczną bić albo czy silnik się nie przegrzeje. Zjechał na przeciwległy pas ruchu, żeby dać Sylvie lepszy kąt. Wyprostowała ramię, wymierzyła i wypaliła. Strzał podrzucił jej ramię do góry, walcząc z wiatrem, ściągnęła je i wypaliła raz jeszcze.

Tym razem tylna szyba tamtego samochodu zrobiła się mleczna, po czym wyleciała z ramy, niczym lodowa kurtyna opadła na bagażnik i zsunęła się na jezdnię. Kawałki szkła, połyskując w świetle reflektorów samochodu Paula i Sylvie, pofrunęły w powietrze i ze stukotem spadły na

jego maskę i przednią szybę. Sylvie cofnęła się, żeby jakiś odłamek jej nie trafił.

- Strzelaj dalej.

243

Wychyliła się znowu i wycelowwała, wreszcie widząc wyraźnie obydwie zagłówki. Mierzyła w ten po lewej stronie, gdzie znajdowała się głowa Jacka, i wypaliła dwukrotnie, a potem jeszcze posłała serię czterech strzałów. Nie mogła wiedzieć, ile z jej strzałów w ogóle trafiło w auto Tilla, ale zobaczyła dwie dziury w bagażniku oraz białą plamę w górnym lewym rogu przedniej szyby z nie-rozpryskowego szkła.

Wrzuciła pusty magazynek do torebki, podczas gdy Paul wracał na swój pas ruchu. Jadący z przeciwka samochód, potem jeszcze kolejne dwa przemknęły obok.

Raptem auto Tilla gwałtownie zjechało w lewo, jakby kierowca nie był w stanie trzymać go prosto. Przejechał na przeciwległy pas ruchu.

- Patrz! - powiedział Paul. - Musiałś go trafić.

Samochód przeciął lewy przeciwległy pas i pod kątem zjechał z szosy. Sunąc przez pobocze, poderwał w powietrze żwir i wzbił obłok kurzu, co utrudniło Sylvie widzenie. Nasłuchiwała odgłosu rozbijanego pojazdu, potem poszukała wzrokiem tylnych świateł. Kiedy je wreszcie odnalazła, były daleko w polu, podskakując szaleńczo w ciemnościach.

Paul skręcił i przeciął drogę aż do pobocza po lewej stronie.

- Nie, nie zamierzasz chyba... - zaczęła Sylvie, ale on już był na poboczu i podążał za autem Tilla.

Kiedy zjechali z drogi, Sylvie słyszała szuranie zielska o podwozie i

progi pojazdu. Samochód wjechał w koleinę i podskakiwał, celując reflektorami najpierw w niebo, potem w ziemię. Widziała, że suną zarośniętym chwastami polem. Po obu stronach panował nieprzenikniony mrok, ale przed nimi, w świetle reflektorów, sterczały suche żółtobrazowe zielska i po chwastach zgniecionych kołami i przygiętych podwoziem dokładnie było widać, którądy przejechał Jack Till.

244

- Nie jestem pewna, czy go w ogóle trafiłam - odezwała się Sylvie. -
Możliwe, że nie. Nadal jest w stanie prowadzić.

- Próbuj dalej.

Z wielkim trudem oparła się podskokom samochodu, wyjęła z torebki pełny magazynek i włożyła do rewolweru. Wystawiła broń za okno, chwyciła prawy łokieć lewą dłonią, żeby mniej podskakiwał, i wystrzeliła.

Tym razem była pewna, że strzał poszedł za wysoko. Spróbowała ponownie, ale poprawka wypadła za nisko. Teraz było o wiele trudniej celować niż na drodze. Obydwa pojazdy podskakiwały i kołysały się na boki, wciąż jednak jechały z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę.

- Dopędź go. Zbliź się - powiedziała. - Musimy być bliżej.

Paul mocował się z kierownicą. Poczula, że auto odrobinę przyspiesza. Następny podskok uniósł ją z fotela i zabolalo ją w klatce piersiowej, kiedy pas bezpieczeństwa się zacisnął.

Samochód Tilla dotarł do końca płaskiej połaci i podskakując, zjeżdżał po pochyłości, po czym ruszył pod górę stokiem wzgórza. Sylvie zauważyła, że musiało tam być kiedyś pastwisko, ponownie przejęte teraz

przez miejscowe zarośla, wiecznie zielone dęby i wiechcie traw. W kilku miejscach zobaczyła prześwitujące skały i wtedy samochód Tilla dotarł do szczytu i zniknął.

Paul dotoczył się do skraju pola i stanął.

- O co chodzi?
- Nie możemy tam jechać.
- On pojechał.
- Ściąga nas w stronę lasu, gdzie znajdzie osłonę, a ja niczego nie będę widział. To zasadzka. Przyczai się w odpowiednim miejscu, wyceluje broń i poczeka, aż się będziemy zbliżali z szybkością ośmiu kilometrów na godzi-

245

nę. Poza tym, jeśli rozwalimy sobie koło albo coś innego i tu utkniemy, to już będzie po nas.

Odczuła ulgę. Wyczuła, że jej pozycja będzie mocniejsza, jeśli nie pokaże, że się z tym zgadza, a jedynie mu ustępuje.

- Dobrze.

Mężczyznom tak naprawdę nie zależy na konsensusie. Chcą tylko posłuszeństwa.

Paul powoli zawrócił szerokim łukiem, aż reflektory oświetliły wygniecioną w chwastach drogę. Sylvie widziała ją w świetle reflektorów. Dalej wszystko ginęło w ciemnościach. Till odciągnął ich daleko od szosy.

- Jesteś cała?

- Tak.

Wypożyczone przez detektywa auto stało przechylone na jedną stronę w

korycie wyschniętego strumienia. Słysząc było tylko szmer wyciekającej spod pojazdu strużki, która wijąc się, znikła w ciemnościach pomiędzy kamieniami. Ann doszła do wniosku, że to zapewne z pękniętej chłodnicy.

Jack wyłączył światła, pchnął drzwi, pokonując ciężenie, aż się zatrzymały, i podciągając się do góry, wydostał się na zewnątrz. Obszedł auto i dotarł do drzwi Ann.

-Wysiadaj. Musimy oddalić się od auta. - Otworzył drzwi, sięgnął głębiej i odpiął jej pas, po czym przytrzymał ją, żeby zbyt szybko się nie wyślizgnęła.

Wspięli się oboje na drugi brzeg strumienia. W świetle księżyca Till widział, że tutaj roślinność jest wyższa niż na otwartym terenie.

Poprowadził ją ku gęstwinie kawałek w dół łożyska strumienia.

- Tutaj poczekamy, aż nas dogonią - oświadczył cicho.

Ann usiadła przy gęstych krzakach. Przyjrzała się liściom i pomyślała, że to pewno młode dębki walczą o przestrzeń i światło na obrzeżu strumienia. Nawet po

246

ciemku była w stanie stwierdzić, że tył samochodu jest zniszczony. Poza brakiem tylnej szyby i dziurami po pociskach w bagażniku jedna strona była cała powgniatana i porysowana, a koło skręcone pod dziwnym kątem po uderzeniu o głaz, kiedy auto wylądowało w wyschniętym korycie potoku.

Czekali długo, w milczeniu i bezruchu. W końcu Ann zaczęła bardziej odczuwać niewygodę niż strach. Miała ochotę położyć się na posłaniu z liści, tam gdzie siedziała, ale mrok był wystarczająco gęsty, by mogła wyobrazić sobie węże i jadowite pająki. Kiedy już te wyobrażone pająki

zmieniły się w skorpiony, Jack dotknął jej ramienia.

- Chyba się tu nie zjawia - wyszeptał.

-Nie?

-Nie. Potrzebna nam policja, ale nie ma sensu stąd dzwonić. Znalezienie nas zabrałoby im wiele godzin. Ruszajmy w stronę drogi, stamtąd zadzwonimy.

- Dobrze. Mam wziąć swoją walizkę?

-Nie. Jak się stąd wydostaniemy, odzyskamy nasze rzeczy, kiedy odholują auto.

Ruszyli. Till poprowadził ją kawałek dalej w dół strumienia, do miejsca, w którym płaskie dno było szerokie, a ściany wznosiły się łagodnie, i stamtąd wydostali się na puste pole.

- Miałaś rację - przyznała. - Wygląda na to, że odjechali.
- Tak. Rezultat jest średnio zadowolający. Bo miałem nadzieję, że to, co przydarzyło się naszemu wypożyczonemu samochodowi, spotka też ich pojazd.
- Założę się, że teraz zachodzisz w głowę, jak to możliwe, że dajesz się wplątać w takie sprawy.
- Nie. Wiem, dlaczego tak jest.
- Dlaczego?

Nie odpowiedział, bo trzymał już przy uchu telefon komórkowy.

247

- Tak. Nazywam się Jack Till. Kilka minut temu dwoje ludzi w samochodzie zmusiło mnie do zjechania z drogi G15. Kilkakrotnie do mnie strzelali i trafili w moje wypożyczone auto. Jechali zieloną toyotą, jakimś nowym modelem, z tych większych, prawdopodobnie Camry albo

Avalon. - Słuchał przez chwilę. - Moja znajoma i ja utknęliśmy tutaj, ale nie odnieśliśmy żadnych obrażeń. Nie potrafię podać precyzyjnie miejsca, ale jest to wielkie pole zielska po wschodniej stronie drogi, mniej więcej w połowie odległości pomiędzy Soledad i King City. Idziemy pieszo od wyschniętego potoku, gdzie utkwiał nasz pojazd. Za kilka minut będziemy przy drodze i zaczniemy się rozglądać za radiowozem. Możecie poprosić, żeby włączyli migające światła? Chcę mieć pewność, że samochód, jaki zatrzymam, nie będzie tym, który mnie ściga. Dzięki.

Till rozłączył się i szedł dalej.

-Niedługo na drodze pojawią się policjanci. Pewnie już tam będą, zanim dojdziemy.

Pomyślał o tym, o co spytała go Ann... dlaczego wplątywał się w takie sprawy. Powiedział jej prawdę. Rzeczywiście wiedział dlaczego, a był to sekret, z którym już żył tak długo i na którego temat tak długo kłamał, że stał się częścią jego samego. Przestał już o nim myśleć, chyba że mu coś o nim przypomniało.

Till ukończył historię na UCLA i nie miał pracy, znalazł tymczasowe zajęcie jako sprzedawca w sklepie alkoholowym, a wieczorami dorabiał jako kelner. Tydzień po tym, jak ze wspólnego mieszkania wyprowadzili się jego koledzy ze studiów, znalazł sobie lokum w Hollywood, gdzie w starszych domach czynsze były niższe.

Dwóch młodych policjantów, Johnny i Jose, mniej więcej raz na tydzień odwiedzało jego sklep z alkoholem. Sklepek znajdował się na ich regularnej trasie, jako że w pobliżu kręciło się kilku obwiesiów, służących im za

informatorów, a tacy nie chcieli, żeby widziano, jak rozmawiają na ulicy z glinami. Czasami, kiedy czekali, gawędzili z Tillem.

- Jesteś bystrym chłopakiem, Jack - powiedział jeden z nich któregoś dnia późną jesienią. - Powinieneś zostać gliną.
- Nie ja. - Jack się roześmiał. - Jestem z tych, co to wolą miłość od walki.

Później przypomniał sobie swoje słowa, bo tego właśnie wieczoru dostrzegła go pewna dziewczyna. Był w Cobra Club, stał w tłumie, który przesunął się płynną falą w kierunku baru, kiedy ona po prostu pojawiła się tuż przy nim. Zerknął w dół i najpierw zauważył długie, ciemne włosy, a potem utkwione w siebie spojrzenie ciemnych oczu. Miał tyle przytomności umysłu, żeby się uśmiechnąć i ułatwić trudną sytuację. Ona odpowiedziała uśmiechem.

- Cześć - odezwała się. - Czy my się znamy?
- Nie. Ale chciałbym, żeby tak było. Mogę postawić ci drinka?
- Jasne. Białe wino.

Poznali się tak szybko i w taki prosty sposób, jak to się zazwyczaj dzieje, kiedy dwoje ludzi chce się poznać. Stała z nim i rozmawiała, kiedy czekali na swoją kolej przy barze. Powiedziała, że nigdy wcześniej nie była w tym klubie, ale że jej się tutaj podoba, a on odparł, że usłyszał o nim rok wcześniej, ale jakoś nigdy tutaj nie trafił. Trzy razy z tłumu wynurzali się jacyś mężczyźni, żeby poprosić ją do tańca, ale ona odmawiała, dodając uśmiech w nieco zgaszonej wersji. Zastanawiał się, czy powinien ich odganiać, jednak obawiał się, że to mogłoby skończyć się awanturą, która by ją jedynie odstraszyła.

Kupił drinki i próbowali tańczyć na zatłoczonym parkiecie, potem

oddalali się coraz dalej od muzyki, aż wreszcie byli w stanie się nawzajem słyszeć. Powiedział, że nazywa się Jack Till, a ona, że ma na imię Nicole. Wiedział,

249

że wyjdą razem, i ona też to wiedziała, zastanawiał się zatem, dlaczego nie chciała, by poznał jej nazwisko.

O wpół do drugiej zaproponowała, żeby pojechał swoim wozem za nią do jej domu. Zaparkował bardzo blisko Cobra Club. Kiedy tam przyjechał po pracy, o wpół do dwunastej, akurat jakiś samochód wyjeżdżał z tego pierwszorzędnego miejsca, więc natychmiast je zajął. Podwiózł ją do jej auta i zanim wysiadła, pocałowali się. Patrzył, jak podchodzi do swojej małej czerwonej hondy civic, i nie mógł się nadziwić, że spotkało go takie szczęście. Była nadzwyczaj atrakcyjna, a wyglądało na to, że z punktu przypadli sobie do gustu. Był świadom, że kobiety często w kilka sekund podejmują ostateczne decyzje dotyczące mężczyzn, wciąż jednak zastanawiało go, co ją w nim pociąga. Jadąc za nią na wschód Hollywood Boulevard, a potem na północ uliczkami wijącymi się pośród wzgórz, miał złe przeczucia. Była dla niego za ładna. Dlaczego spośród tych wszystkich mężczyzn wybrała właśnie jego?

Czyżby założyła się z przyjaciółką, że szybciej od niej poderwie faceta? Nie. Coś takiego robią mężczyźni, nie kobiety. Czy zobaczyła w klubie kogoś, kogo koniecznie chciała uniknąć? Może to był któryś z tych facetów, przystawiających się do niej, kiedy była z nim przy barze?

Nicole przyjechała przed dom, w którym miała mieszkanie, wjechała na podjazd i czekała, aż podniesie się zaporą, żeby mogła wjechać na swoje miejsce do garażu pod budynkiem. Till zatrzymał się przy chodniku po

drugiej stronie ulicy i patrzył. Trochę się spodziewał, że ona pójdzie na górę wewnętrzną klatką schodową i zamknie drzwi na klucz. Tymczasem dziewczyna przeszła przez jezdnię i stanęła obok jego auta, czekając, aż wysiadzie, a kiedy to zrobił, wzięła go za rękę.

- Nie widziałam twojego auta za sobą - powiedziała. - Bałam się, że cię zgubiłam na którymś z tych zakrętów.

250

- Nie zgubiłaś, ale jeśli miałaś taką nadzieję, to nie poczuję się urażony.
- Przecież cię zaprosiłam.
- Ale po drodze mogłaś się rozmyślić.
- Musisz z tym skończyć.
- Z czym?
 - Sugerowaniem, że tak naprawdę mam na myśli **coś** przeciwnego, niż mówię.
- Przepraszam.

Jack wszedł za nią do budynku, potem szli na górę schodami wyłożonymi chodnikiem, aż znaleźli się w jej mieszkaniu. Było nowsze, czystsze i większe niż jego. Miała prawdziwy salon z odpowiednim umeblowaniem i obrazami na ścianach jak szanujący się dorośli, a nie zbieraninę przedmiotów z wyprzedaży garażowej i wątpliwej jakości okazjnie kupione meble, jak te w jego kawalerce. Kilka minut później odkrył też, że ma pościel i poduszki dopasowane kolorystycznie do narzuty na łóżko. Potem już niewiele widział z wystroju wnętrza, ponieważ całą uwagę poświęcał dziewczynie. Było już bardzo późno, kiedy oświadczyła:

-Jack, musisz niestety już iść. Potrzebuję trochę snu przed pójściem do pracy.

Zapamiętał jej numer telefonu i adres, a potem, wychodząc, odczytał na skrzynce pocztowej imię i nazwisko: Nicole Kelleher. Wsiadł do auta i ruszył. Kiedy zjeżdżał ze wzgórz do Hollywood, tą samą trasą, którą tam pojechał, zdziwiło go, że ktoś jedzie za nim, wybierając te same zakręty.

Na początku zignorował jego obecność, potem jednak zaczął się zastanawiać, czy Nicole nie usiłuje go dogonić, bo coś u niej przez pomyłkę zostawił. Zatrzymał się przy krawężniku, nie wyłączył silnika i świateł, i patrzył w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy ten drugi samochód go wyprzedzi. Nie wyprzedził. Po prostu zatrzymał się

251

kawałek dalej i wyłączył światła. Jack ruszył ponownie i tamten samochód też. Jack poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie. Dla sprawdzenia skręcił w lewo, oddalając się od trasy wiodącej do Hollywood. Tamten go nie opuszczał.

Wykonał całą serię zakrętów, w świetle latarni na skrzyżowaniach starając się przyjrzeć samochodowi. Doszedł do wniosku, że to roczne bmw z jedną osobą w środku. Było już po czwartej rano i stało się oczywiste, że obecność tamtego auta nie jest przypadkowa. Z tego, co wiedział, ktoś, kogo stać na bmw, nie musi obrabowywać Jacka Tilla, jednak nie dałby za to głowy. Obserwował zachowanie kierowcy i w końcu ograniczył wszystkie możliwości do jednej: kierowca chciał się dowiedzieć, gdzie on mieszka. Till skręcił jeszcze parę razy, przeciął Hollywood Boulevard w kierunku południowym i jechał dalej. Wyobraził sobie odpowiednie miejsce do zatrzymania i zaczął się za takim rozglądać.

W końcu, po kolejnym kwadransie jazdy, skręcił raptownie w ciemną ulicę, a potem we wjazd prowadzący do rampy przeładunkowej jakiejś firmy. Siedzące go auto minęło wjazd i Till zobaczył, że kierowca rozgląda się za nim. Był to biały mężczyzna mniej więcej w jego wieku, ubrany w żółtą kurtkę z kapturem. Till wycofał się szybko z podjazdu, ale zamiast skręcić w przeciwną stronę, pojechał za bmw.

Auto zatrzymało się nagle pośrodku ulicy. Kiedy Till się zbliżył, żeby je wyminąć, mężczyzna skręcił w lewo, żeby zablokować mu przejazd. Jack spróbował wyminąć go z prawej, ale tamten też skręcił w prawo, ponownie stając mu na drodze. Wyskoczył z samochodu i ruszył biegiem w stronę Tilla. W świetle reflektorów Jack zobaczył, że mężczyzna trzyma coś w prawej ręce, nie miał jednak czasu, żeby stwierdzić co to takiego. Mężczyzna zamachnął się i uderzył w boczną szybę jego samochodu.

Roztrza-

252

skała się, a szkło osypało się na klatkę piersiową i kolana Jacka. Napastnik podniósł ramię, biorąc kolejny zamach, natomiast Till pchnął z całej siły swoje drzwi i wyskoczył z auta. Usłyszał jęk i zobaczył, jak mężczyzna zatacza się do tyłu. W ręku trzymał młotek ciesielski z łapą do wyciągania gwoździ.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - spytał Till. - Przecież ja cię nawet nie znam.
- Taa, ale ja znam ciebie, dupku! - rzucił mężczyzna. Twarz wykrzywił w nienawistnym grymasie, wyszczerzył wściekle zęby i zmrużył oczy.
- Byłeś z Nicole.
- A co ci do tego? Jesteś jej byłym chłopakiem czy co?

Mężczyzna rzucił się na niego, biorąc szeroki zamach.

Till zrobił unik, tak że mężczyzna stracił równowagę i przez moment był bezbronny. Till wymierzył mu mocny cios w sam środek twarzy, trafiając w nos i górną szczękę. Napastnik zatoczył się do tyłu i wylądował na jezdni.

- Zostaw młotek na ziemi, to pogadamy - powiedział

Till.

Mężczyzna wstał i ponownie ruszył do ataku, ale Jack zrobił unik i trafił go w chwili, kiedy przelatywał obok niego. Impet, z jakim mężczyzna nadbiegał, zwiększył siłę uderzenia, tak że Jack odczuł je w całym ramieniu aż do barku. Rozluźnił się na moment, przekonany, że walka dobiegła końca, i szczerze go zaskoczyło, kiedy napastnik błyskawicznie doszedł do siebie. Powinien był paść na ziemię, tymczasem okręcił się tylko wokół własnej osi, ponownie zamachnął młotkiem i tym razem nie chybił.

Młotek trafił Tilla w bok, tuż poniżej żeber. Na szczęście przekręcił się w ręce mężczyzny i cios wywołał więcej bólu niż szkody. Till błyskawicznie stanął do napastnika przodem, a kiedy jego ciało zareagowało obronnie, tym razem nie było w tym umiaru. Oszalały z bólu i wściekłości ruszył do ataku. Uderzył przeciwnika w tym samym momencie, kiedy tamten chciał poprawić ułożenie trzonka

253

w dłoni, i wytrącił mu młotek. Kiedy mężczyzna sięgnął po narzędzie, Till zarzucił go serią czterech czy pięciu ciosów, jeden za drugim, tak że tamten nie mógł pochwycić młotka. Jack nie poprzestał na tym, obalił przeciwnika, rzucił się na niego i uderzył go jeszcze trzy razy. Za każdym

razem głowa mężczyzny odbijała się od nawierzchni jezdni. Till nie spuszczał z niego wzroku i czekał na jego kolejne posunięcie, kolejny podstęp, z prawą ręką uniesioną w pogotowiu.

Tym razem jednak mężczyzna się nie poruszył. Oczy miał zamknięte, usta zakrwawione, nos złamany i przekrzywiony. Jego twarz rozpląszczyła się, bezwładnie-obwisła, jakby jej mięśnie oklapły. Wyglądał na nieprzytomnego. Till wstał, cofnął się o krok, czekając na kolejną sztuczkę leżącego: kopniaka, który spowoduje, że się potknie i przewróci, wyciągnięcie jakiejś innej broni, nagłe zerwanie się i atak. Żadnego ruchu. Kopnął go w nogę. Żadnej reakcji, nawet powieka mu nie drgnęła. Mężczyzna miał lekko przekrzywioną głowę. I bardzo dobrze. Niech sobie sukinsyn poleży nieprzytomny, pomyślał Till. Ocknie się za parę minut i wtedy dotrze do niego, że zachował się jak idiota.

Podniósł młotek, wszedł do auta, zawrócił i pojechał tą samą drogą, którą przyjechał. Tuż przed pierwszym skrzyżowaniem na zachód, w stronę Hollywood, spojrzął w lusterko wsteczne. Mężczyzna leżał na jezdni tak, jak go zostawił, a za nim, na środku ulicy, stał jego samochód.

Till skręcił i pojechał dalej.

Kilka godzin później, kiedy zadzwonił budzik, wstał i przed pójściem do pracy włączył telewizor. Usłyszał głos reportera: „We wczesnych godzinach rannych Stevena Winslowa z La Canada pobito ze skutkiem śmiertelnym w spokojnej okolicy niedaleko centrum miasta. Policja informuje, że ciało dwudziestosześcioletka znaleziono o siódmej rano na Pilcher Avenue. Podejrzewa się, że jego śmierć

kradzież samochodu. Ulicę wybrano nieprzypadkowo, ponieważ znajduje się w dzielnicy przemysłowej, gdzie firmy są przez wiele godzin na dobę zamknięte i częściowo zasłonięte halami zdjęciowymi niewielkiego studia filmowego. Nikt nie słyszał krzyków ofiary. Policja prosi wszystkich, którzy mogą mieć jakąkolwiek informację na temat tej zbrodni, oraz tych, którzy widzieli pana Winslowa ubiegłego wieczoru, o skontaktowanie się z komendą policji Rampart".

Till przypomniał sobie moment, kiedy z podniesioną pięścią stał nad Stevenem Winslowem i czekał na jego najmniejszy ruch. W tamtej chwili był gotów go zabić... pozbył się wszelkich skrupułów. Pomyślał, że wtedy Win-slow zapewne już i tak nie żył, ale to niczego nie zmieniało.

Zadzwoił do sklepu, że jest chory, i oglądał telewizję, dopóki napływały informacje na ten temat, po czym wyszedł, żeby kupić popołudniówkę. Czytał o tej zbrodni i czekał, kiedy policja zapuka do jego drzwi. Nie miał wątpliwości co do tego, jak potoczą się jego losy. Szyba w jego samochodzie była wybita. Dłonie miał podrapane, a na kostkach prawej dłoni głębokie rozcięcie w miejscu, którym trafił w zęby Winslowa. Na podłodze jego auta leżał zabrany z ulicy młotek. Kiedy policjanci zaczną rozpytywać, dowiedzą się, że w nocnym klubie poderwał dziewczynę Winslowa i spędził u niej noc. Ponownie obejrzą miejsce przestępstwa i dojdą do wniosku, że Winslow zginął podczas bójki. Z kim innym mógłby walczyć i o co innego? Nicole im powie, co zaszło między nią a Jackiem, i poda jego nazwisko.

Przez cały dzień czekał na pojawienie się policji. Nazajutrz poszedł do pracy, a kiedy wrócił do domu, przeczytał w „Timesie”, że przesłuchano narzeczoną Winslowa, Nicole Kelleher, lat dwadzieścia jeden.

Powiedziała, że nie ma pojęcia, jak mogło dojść do takiej tragedii, ponieważ

255

Winslow był jednym z tych ludzi, co to nie mają żadnych wrogów: „Wszyscy go uwielbiali”. Mieli się pobrać za rok, ale jeszcze nie ustalili dokładnej daty. Chodzili ze sobą już prawie trzy lata, ale zaręczyli się dopiero cztery tygodnie wcześniej.

Mimo że dręczony poczuciem winy i wyrzutami sumienia z powodu tego, co zrobił, Till nie mógł się oprzeć analizowaniu wieczoru, kiedy spotkał Nicole, i tamtego wrażenia, że coś jest nie tak. Kiedy przyjrzał się zdjęciu dziewczyny zamieszczonemu w gazecie i przeczytał oświadczenia reporterów, uzmysłowił sobie co to takiego.

Ona dobrze wiedziała, że Steven ją szpieguje. Till nie był pewien, co właściwie kombinowała, ale zdawała sobie sprawę z tego, że jest obserwowana, i dlatego zainscenizowała zawarcie tej znajomości. Kiedy teraz się nad tym zastanawiał, zachowywała się tak, jakby chciała być pewna, że Steven ją obserwuje i podąża ich śladem.

Wszystkie drobiazgi, które wtedy intrygowały Jacka, nabrały teraz sensu, poczynając od tego, że w Cobra Club wybrała właśnie jego. Nie był tego typu mężczyzną, którego taka dziewczyna by podrywała. Ona stanowiła raczej przynętę dla byłych królów bali maturalnych i spędzających wakacje w domu chłopców z Princeton. Till miał dwadzieścia dwa lata, był wysoki i chudy, i jego twarz nosiła już ślady kilku bójek. Nie pasował do niej jako partner na letnią noc. Natomiast idealnie nadawał się na przeciwnika dla kogoś takiego jak Steven.

Zdecydowanie chciała, żeby ją widziano. W klubie podeszła do Tilla

pośrodku parkietu i stała tam w pełnym świetle, długo z nim rozmawiając, choć w tym czasie przyciągała do siebie innych mężczyzn, których odprowadzała z kwitkiem. Kiedy wyszli razem, ostentacyjnie wsiadła do jego wozu przed wejściem do klubu i kazała się podwieźć ten kawałek do miejsca, w którym stał jej samochód, zamiast po prostu dać się odprowadzić. Zanim wysiadła

256

z auta, pocałowała go i przypomniał sobie, że uchyliła drzwi, żeby światło wewnątrz samochodu paliło się, kiedy to robiła.

Poprosiła, żeby pojechał za nią swoim samochodem. Jechała powoli i czekała na światłach, żeby bez trudu mógł za nią nadążyć i - co teraz wiedział - żeby Steven mógł nadążyć. Zaparkowała na swoim miejscu garażowym, a potem wyszła i stanęła pośrodku ulicy, jakby chodziło jej o to, żeby ją widziano. Przypomniał sobie, jak niemal spojrzała w głąb ulicy ukradkiem. Prawdopodobnie sprawdzała, czy pojawił się samochód Stevena i czy stoi tam z wygaszonymi światłami.

Nicole Kelleher i Steven Winslow odmienili jego życie. Zabicie Stevena Winslowa wywołało u Tilla poczucie, że musi wstąpić do jakiejś służby publicznej. Nicole Kelleher spowodowała, że postanowił zostać prowadzącym śledztwa policjantem.

Wiele lat później, kiedy już pracował w wydziale zabójstw, zajrzał do raportów śledczych z tamtego czasu, dotyczących sprawy śmierci Winslowa. Otworzył skoroszyt i zobaczył, jak niewiele w nim jest - żadnych rozmów z naocznymi świadkami, żadnych motywów, podejrzanych, nawet wiarygodnego czasu śmierci. Przyczyną zgonu był uraz wywołany uderzeniem w tył głowy. Jack Till ze zdumieniem przeczytał, że

krwiew znaleziona na miejscu wydarzenia należała tylko do Stevena Winslowa, a przecież dobrze pamiętał własne krwawiące ręce. Było oczywiste, że choć technicy pobrali próbki w różnych miejscach, to nie trafili akurat na krople krwi należącej do Tilla. Od tamtych czasów dużo się zmieniło i na miejscu przestępstwa zawsze gorączkowo poszukuje się materiału genetycznego, wówczas jednak pobierano jedynie próbki krwi i oznaczano ich grupę.

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytał zapisy z przesłuchania Nicole Kelleher. Ukazała się w nich policjantom

257

jako zboląca niedoszła małżonka. Miała spotkać się ze Stevenem w południe tamtego dnia. On powiedział, że poszukają wspólnie prezentu dla niej, i domyślała się, że chce ją zabrać do jubilera, by wybrała sobie pierścionek zaręczynowy. Taka z nich była para. Steven nigdy nie kupiłby pierścionka wcześniej, by wsunąć go jej na palec, kiedy przyjmie jego oświadczyzny. W takich rodzinach pierścionek stanowił życiową inwestycję i kosztował dużo pieniędzy, zatem kupowanie go było poważnym przedsięwzięciem.

Ojciec Winslowa, Steven senior, był właścicielem firmy sprzedającej odzież ochronną dla ludzi mających do czynienia z substancjami toksycznymi i powodziło mu się dobrze. Jego syn, Steven junior, miał przejąć interes, kiedy ojciec przejdzie na emeryturę. Nikt z rodziny nie miał nic znaczącego do powiedzenia na temat znajomych Stevena, jego zajęć czy zwyczajów. Śledczy odnotowali też, że Stevena oskarżono o napad na jakąś kobietę, kiedy miał siedemnaście lat, ale oskarżenie wycofano, kiedy ofiara rozmyśliła się i odmówiła składania zeznań. Dla

Tilla było oczywiste, że ojciec Stevena jej za to zapłacił. Odnotowano też dwa mandaty za przekroczenie szybkości, dwa zakłócenia porządku oraz prowadzenie pojazdu pod wpływem alkoholu. Ojciec utrzymywał, że to wszystko rezultat dobrego nastroju, że Steven był dla niego nieustającym powodem do dumy i że Nicole zawsze będzie uważana za członka rodziny Winslowów.

W tamtym czasie Till zdążył już pobrać kilka lekcji na temat ludzkich zachowań, zatem oskarżenie o napaść, a także powtarzające się zakłócanie porządku dały mu nieco do myślenia. Nicole chciała wtedy, żeby Steven natknął się na Jacka Tilla, gdyż Steven brał się do rękoczynów, kiedy mu się coś u niej nie podobało.

Till zamknął skoroszyt, zwrócił do archiwum z zamkniętymi sprawami i nigdy więcej do niego nie zajrzał.

258

Jack Till i Ann Donnelly przemierzali zapuszczone pole, idąc w stronę szosy. On miał długie nogi, szedł o krok przed nią, zakładając, że łatwiej iść gęsiego po śladach wygniecionych przez koła samochodu, niż walczyć z wysokim zielskiem.

- Byłeś kiedyś żonaty? - spytała.
- Ostatnio nie.
- Co to znaczy?
- Nie byłem w tym dobry.
- Nie sędzę, by była to kwestia umiejętności. Uważam, że chodzi raczej o odczuwany pociąg i więź. Te sprawy nie wymagają żadnych umiejętności.

Milcząc, zrobiła kilka kolejnych kroków i Jack Till zaczął sądzić, że na

razie jego odpowiedzi ją usatysfakcjonowały. Poczul ulgę. Zawsze trzymał w tajemnicy historię odejścia Rose, bo uważał, że musi chronić Holly. Ta historia należała do niej, nie do niego.

-Więc, tak naprawdę, dlaczego postanowiłeś przyjechać i ściągnąć mnie z powrotem?

- Dlatego że Erica Fullera aresztowano za zamordowanie ciebie. Może czułem się jakoś za to odpowiedzialny.

-I może czujesz jakąś więź ze mną.

- Może. Może uważam, że ty i ja wspólnie dzielimy odpowiedzialność - przyznał.

Zobaczyli przed sobą światła, Jack Till zamachał rękoma i truchtem ruszył w stronę drogi. Po chwili samochód policyjny się zatrzymał, a jasny, ruchomy reflektor omiótł pole i odnalazł jego postać. Trzymając ręce z dala od ciała, lekko odwrócił się do Ann.

- Pokaż mu, że nie masz nic w rękach. Nie chcę, by mieli jakiegokolwiek wątpliwości, kto jest, a kto nie jest czarnym charakterem.

Kilka godzin później Till stał obok drzewa na brzegu koryta wyschniętego strumienia i przyglądał się, jak po-

259

teżna ciężarówka holownicza ciągnie pod górę wypożyczone przez niego auto. Lina kołowrotu napięła się, a on patrzył, jak hak się przesuwa i drapie spód auta, ale było to zupełnie nieważne. Czyjeś ubezpieczenie zapłaci za nowy samochód. Z szyb nie zostało wiele, przód przekrzywił się w prawo, a bagażnik i tył samochodu podziurawione były pociskami.

Odwrócił się, kiedy starszy z policjantów podszedł do niego. Till widział, że jego partner wciąż siedzi obok Ann Donnelly w radiowozie.

- No cóż, ona potwierdziła tę twoją szaloną opowieść we wszystkich szczegółach. To na pewno bardziej zaskoczyło mnie niż ciebie.
- Mnie może tylko odrobinę - przyznał Till. - Było to dla niej dość stresujące.
- Sprawdziłem cię w policji Los Angeles - powiedział policjant. - Wygląda na to, że powinienem cię tylko spytać, w czym moglibyśmy pomóc.

Till spojrzał na niego.

- Próbowałem dowieźć ją do biura prokuratora okręgowego w Los Angeles w taki sposób, żeby jej nikt nie zauważył, ale nie wyszło. Byłbym więc zobowiązany, gdybyście zrobili dla mnie kilka rzeczy.
- Mianowicie?
 - Zdejmijcie jej odciski palców i zróbcie zdjęcia... en face i z profilu powinno wystarczyć. Dzięki temu, gdyby z jakiegoś powodu nam się nie udało, to przynajmniej nie skażą Erica Fullera za jej zabicie.
 - Z przyjemnością to zrobimy - oświadczył policjant. -Powiedz tylko, dokąd mam je wysłać.
- Daj mi swój notes, to ci zapiszę.

Policjant podał mu mały notes i długopis, a Till, pisząc, mówił.

- Sierżant Max Poliakoff, wydział zabójstw. Daję ci jego numer i adres w Parker Center.

260

Policjant odebrał notes i oświetlił go latarką.

- Masz dobrą pamięć.
- Niespecjalnie. Wcześniej to biurko należało do mnie. -Till spojrzął w stronę radiowozu, w którym Ann wciąż siedziała z tym drugim funkcjonariuszem, po czym odwrócił głowę, żeby nie mogła nic odczytać z jego warg. - Jest jeszcze coś, co możecie zrobić. Podwieźcie mnie tam, gdzie będę mógł wypożyczyć kolejny samochód. Muszę zaszyć się z nią w jakimś ustronnym miejscu na dzień czy dwa, a potem, kiedy uznam, że moment jest stosowny, zabiorę ją do Los Angeles. I będę wdzięczny, jeśli nikt nie zapisze sobie, dokąd się udajemy. Człowiek, który wynajął tych ludzi, nie zrezygnuje, dopóki ona żyje.

ROZDZIAŁ 27

Sylvie prowadziła samochód po długiej, stromej, krętej pochyłości, wyprzedzając ciężarówki powolnie wspinające się ku Los Angeles. Nawet w mroku przedświtku była w stanie wyczuć zmianę klimatu. Na dole rozciągało się Camarillo, do którego docierało chłodne i wilgotne powietrze znad oceanu, jednak tu, na górze, gdzie leżało Thousand Oaks, powietrze było suche i nagrzane wczorajszym słońcem. Wiedziała, że gdyby się zatrzymała i dotknęła dłonią jezdni, poczułaby ciepło. Kiedy mijiała zielony znak wyznaczający granicę hrabstwa Los Angeles, wjechała w niewidzialną ścianę frustracji. Ponieśli porażkę.

- Domyślam się, że nie chcesz zajeżdzać tym samochodem pod dom. Pozbędziemy się go gdzieś, zanim wstanie słońce?

- We właściwym czasie - odparł. - Zakładam, że doba hotelowa w hotelu, przed którego zabraliśmy to auto, kończy się w południe. Obsługa pojawi się w tamtym pokoju i znajdzie ciała mniej więcej o dwunastej trzydzieści. Więc na razie nie musimy się spieszyć.
 - Skoro tak mówisz. - Minęła wieczny korek przy wjeździe na San Diego Freeway i skręciła w zjazd na Van Nuys Boulevard.
 - Stań przy tym centrum handlowym, żebym mógł wysiąść.
- Sylvie zatrzymała się przed narożnikiem na końcu bu-

262

dynku i została w aucie, udając, że sprawdza coś na mapie drogowej, podczas gdy Paul pokonał pieszo te kilka przecznic do ich domu i wrócił czarnym bmw. Podeszedł do żony i podał jej kluczyki.

- Ja poprowadzę ten, a ty jedź za mną.

Wyprowadził skradzione auto na autostradę 170, stamtąd na autostradę Simi i wreszcie na Little Tujunga Road. Wjechał pomiędzy suche wzgórza i zatrzymał się przy szerokiej mijance, a Sylvie stanęła za nim.

Wyczuwała już ów szczególny charakter powietrza, kiedy niebo jeszcze się nie rozjaśnia, ale zaczyna gubić ciemność. Wysiadła z bmw, wzięła szmaty i płyn do mycia, które Paul zabrał z domu, i podeszła do skradzionego wozu.

Rozpylili płyn i wytarli klamki, rączki i przyciski, bagażnik i maskę silnika, metalowe i plastikowe powierzchnie wnętrza. Pracowali sprawnie i szybko, bo już nieraz wspólnie to robili. Nie zajęło im to więcej niż pięć minut. Paul wyjął z bagażnika bmw gaśnicę, otworzył drzwi skradzionego auta po stronie pasażera i dokładnie pokrył całe wnętrze pianą, żeby zniszczyć ewentualne odciski palców, jakie mogli przeoczyć. Wrzucił

dźwignię na luz, po czym popchnął auto na krawędź mijanki. Stoczyło się ze stromego zbocza w gęste krzaki na dole. Z góry samochód był prawie niewidoczny i nie odróżniał się od jakiegokolwiek innego auta porzuconego w którejś z rozpadlin w pobliżu Los Angeles. Wyglądał, jakby tkwił tam od lat.

Kilka minut później z szybkością stu dziesięciu kilometrów na godzinę jechali autostradą Simi w kierunku domu. Świtało, kiedy wjeżdżali na podjazd domu, który Sylvie odziedziczyła po Darrenie McKee, i do garażu.

W milczeniu weszli do domu i zamknęli za sobą drzwi. Sylvie bardzo podobało się w małżeństwie to, że w takich właśnie chwilach, kiedy oboje byli wyczerpani, rozczarowani i brudni, nie trzeba było się silić na rozmowę. Dwoje ludzi stanu wolnego uważałoby, że muszą wypełnić prze-

263

strzeń błyskotliwą, nieszczerą paplaniną. Sylvie zatrzymała się przy drzwiach frontowych, zerknęła do pudełka, które umieściła pod szczeliną do wrzucania poczty, ale nie dostrzegła niczego, co warte byłoby obejrzenia. W sypialni zrzuciła z siebie ubranie i wzięwszy szlafrok, poszła do łazienki. Kątem oka zobaczyła, że Paul robi podobnie, a potem usłyszała, jak idzie korytarzem do łazienki gościnnej i zamyka drzwi.

Weszła pod prysznic i puściła wodę. Zazwyczaj stała nieruchomo i pozwalała się omywać płynącemu strumieniowi, dzisiaj natomiast nastawiła temperaturę na nieco wyższą niż zwykle, namydliła się dokładnie i wyszorowała. Umyła też włosy, po czym wyszła z kabiny prysznicowej, napuściła wody do wanny i zanurzyła się w niej. Kiedy

poczuła się oczyszczona z przeżyć minionych kilku dni, wytarła się wielkim puszystym ręcznikiem i wróciła do sypialni.

Paul zostawił opuszczone rolety i zaciągnięte kotary, w pokoju panował więc półmrok i chłód. Możliwe, że włączył klimatyzację. Leżał w łóżku plecami do niej. Zdjęła szlafrok i wślizgnęła się pod przykrycie obok niego. Ułożyła się blisko, ale go nie dotknęła. Zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, pokój wciąż był pogrążony w ciemności. Przekręciła się na drugi bok, żeby zerknąć na radio z budzikiem. Czerwone cyferki pokazywały 1.22. Sięgnęła za siebie, żeby dotknąć pustki w miejscu, gdzie powinien być Paul. Leżała, powoli się rozbudzając. Poczowała zapach kawy. Usłyszała delikatny dźwięk z drugiego końca domu, który pozwolił jej zlokalizować męża. Wstała i poszła do łazienki umyć zęby.

Mijając duże lustro, zerknęła na swoje odbicie, po czym cofnąwszy się o krok, spojrzała ponownie. Na ogół widziała tylko niedoskonałości, dzisiaj natomiast uznała, że dobrze wygląda naga. Umyła zęby, potem zaczęła szczotkować włosy przed wielkim lustrem zamiast, jak zazwy-

264

czaj, przy małym, do makijażu. Nie miała co prawda dwudziestu pięciu lat, ale była przekonana, że wygląda lepiej niż większość trzydziestolatek. Spryskała twarz wodą i delikatnie osuszyła, podeszła do lusterka i nałożyła dzienny makijaż, zwracając szczególną uwagę na oczy, ponieważ dopiero co wstała z łóżka. Wyglądała jeszcze lepiej. Wyglądała wspaniale.

Postanowiła jeszcze bardziej wzmocnić efekt. Czemu nie? Podkreśliła oczy ołówkiem, nałożyła tusz na rzęsy i musnęła cieniem powieki. Potem poszła do garderoby i przejrzała szuflady z bielizną, aż znalazła to, co odpowiadało jej wyobrażeniu. Włożyła półprzezroczystą skąpą koszulkę z

czarnej koronki, lekko unoszącą i podkreślającą piersi. Obróciła się przed lustrem, przyglądając się sobie krytycznie. Koronka sięgała do miejsca, w którym kończą się nogi, a zaczynają pośladki, nie całkiem je jednak zasłaniając.

Zbyt dużo czasu spędzili w samochodzie, uganiając się za tą idiotką i jej prywatnym detektywem. Przyszedł czas, żeby przypomnieć Paulowi, że nie jest jego byle partnerem, jakimś tam mężczyzną, zwykłym kumplem. Jest jego żoną. Rzuciła jeszcze jedno ostatnie spojrzenie w lustro, opuściła garderobę i pozwoliła się poprowadzić zmysłom. Paul siedział w kuchni i czyścił broń.

Zatrzymała się w salonie, żeby mógł ją dostrzec kątem oka, po czym poszła w stronę dużej skórzanej kanapy stojącej pod przeciwległą ścianą, naprzeciwko szafy bibliotecznej. Odsunął z szurnięciem krzesło, wstał, słyszała jego kroki na kuchennej posadzce, potem w jadalni i wreszcie na dywanie salonu. Stała odwrócona do niego tyłem, udając, że nic nie słyszy.

- A niech mnie - odezwał się.

Obejrzała się przez ramię, uśmiechnęła i lekko, żartobliwie pokręciła biodrami.

- Och, panie Turner - powiedziała, naśladowując sposób

265

mówienia panienci z Południa. - Co też pan sobie wyobraża?

Miała wrażenie, że przyfrunął, bezszelestnie bowiem i w mgnieniu oka znalazł się przy niej i otoczył ją ramionami. Cieszyło ją, że wywiera na nim takie wrażenie. Zaczął się z nią kochać. Nigdy nie był to akt rutynowy czy pośpieszny, ale tym razem Paul był obehwładniający. Chwilami czuł, łagodny, potem stawał się gorliwy i namiętny, prawie agresywny, i wtedy

czuła się mała i słaba. Nie oznaczało to, że bierze ją wbrew jej woli, ale raczej że jej wola nie ma z tym nic wspólnego, ponieważ jeśli tak to odczuwała, to przecież mógł spowodować, że miałaby ochotę na wszystko.

Potem leżała nieruchomo, pozwalając mięśniom się rozluźnić i sercu zwolnić tempo. Otworzyła oczy i przypomniała sobie z lekkim zaskoczeniem, że nawet nie opuścili salonu. Paul leżał na boku, oparty na łokciu, i przyglądał jej się.

- Co robiłeś, zanim tu weszłam i ci przerwałam? - zapytała.
- Czyściłem karabiny. Te dwie trzystaósemki, które kupiliśmy rok temu w Karolinie.
- Zupełnie o nich zapomniałam. Teraz pamiętam, że ustawiliśmy im celowniki na strzelnicy, a potem już nigdy nie użyliśmy. Rzeczywiście trzeba je było czyścić?
- Prawdę mówiąc, nie. Ale miałem przynajmniej jakieś zajęcie, kiedy spałaś. Cieszę się, że postanowiłaś wstać. - Na jego ustach pojawił się władczy uśmiezek zadowolonego posiadacza.

Wybaczyła mu ten uśmiech, pomimo że należało jej się uznanie i nie miała wdzięczność za to, co się przed chwilą wydarzyło. To właśnie, doszła do wniosku, był kolejny aspekt długotrwałych małżeństw. Kiedy lata temu odnaleźli się pierwszy raz, nie umiała odczytać tego uśmiechu, nie dostrzegала, że podziw mieszał się z władczą dumą i samozadowoleniem.

Wstała i przeszła do sypialnej części domu. Wrzuciła

kusą koszulkę do kosza z rzeczami wymagającymi delikatnego prania i

weszła pod prysznic. Najpierw nuciła, potem podśpiewywała cicho, bo była szczęśliwa.

Kiedy wyszła spod prysznic, włożyła wygodne dżinsy i T-shirt. Poszła do kuchni i nalała sobie filiżankę kawy. Paul składał właśnie drugi karabin i teraz zrozumiała, dlaczego zapomniała, że kupił tę parę. Mieli z Paulem co najmniej dwie inne pary zbudowane na podstawie Modelu 7 Remingtona, wszystkie z matowymi, szarymi korpusami z materiału syntetycznego, nieodbijającego światła i nie-przyjmującego odcisków palców. Były dwa kalibru .30-06 i identyczne dwudziestkidwójki, mogli więc ćwiczyć do woli, nie wydając masy pieniędzy na amunicję dużej mocy, która mało że ogłuszała, to jeszcze powodowała taki odrzut, że Sylvie miała posiniaczony i obolały bark.

Starali się ćwiczyć jak najwięcej. Myśl o tym przypomniła jej, że kiedy zeszli się z Paulem, zwykła nazywać to „próbą przed występem”, a on się z niej wtedy śmiał. Patrzyła teraz, jak bierze te dwa karabiny i niesie do gościnnej sypialni, którą wykorzystał na swój gabinet, żeby zamknąć je w specjalnym sejfie na broń. Sylvie wiedziała, że irytuje go pewnymi rzeczami, jednak Paul prawie nigdy o tym nie wspominał. Możliwe, że to właśnie powodowało u niej napady pospolitego lęku: dostrzegała w jego twarzy i ruchach oznaki irytacji, ale ponieważ nie mówił, o co mu chodzi, nie wiedziała, co powinna w sobie zmienić. Mogło to dotyczyć czegokolwiek w niej - czy nawet wszystkiego - nastawiła się więc obronnie.

Kiedy Paul wrócił do kuchni, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała.

- A więc, co mam ci zrobić na śniadanie?
- Nic. Zabiorę cię gdzieś.

- Nie, dzięki. Chcę trochę побыć we własnym domu i powygrzewać się w błogiej domowej atmosferze. Co powiesz na jajka na boczku?

267

Wzruszył ramionami.

- Brzmi nieźle.

Wyjęła z lodówki jajka, masło i boczek, podczas kiedy on sprzątał ze stołu swoje wyciory, kawałki irchy oliwą do broni, gałgany i zaczął nakrywać do śniadania.

Rozbiła jajka na patelnię i obejrzała się na Paula.

- Zanim mi odpowiesz, chciałabym, żebyś chwilę pomyślał, dobrze?
- Dobrze.
- Czy koniecznie musimy zainkasować te pieniądze za Wendy Harper?
- Tak. Raczej musimy - odparł po chwili.
- Raczej?

-Zdecydowanie tak. To kupa forsy. Dużo wydajemy, więc musimy dużo zarabiać. A poza tym wykonujemy tę robotę dla Michaela Densmore'a. Był dla nas najlepszym źródłem zleceń przez ostatnie siedem czy osiem lat.

- To prawda, ale zastanów się nad tym chwilę. - Podniosła fachowo jajka łyżką i zsunęła na talerz bez naruszenia żółtek. - Czy nie możemy obejść się bez tych pieniędzy? Dom jest już nasz, bez żadnych obciążeń. Za płaciliśmy gotówką za obydwa samochody. Oboje mamy oszczędności z czasów, zanim się poznaliśmy. Są też pieniądze, które oszczędziliśmy wspólnie, i wszystko, co

Darren zostawił mi jakieś piętnaście lat temu, prawda?

-Taa.

- To chyba w sumie sporo.
- Oczywiście. Moglibyśmy się teraz wycofać i prawdopodobnie żyć bardzo wygodnie do końca naszych dni. -Uśmiechnął się. - Czy raczej moich, bo tylko to powinno mnie obchodzić.
- Jesteś naprawdę uroczy. - Jego grzanka wyskoczyła, więc wyjęła ją z tostera, położyła na talerzu i postawiła go przed nim.
- Mówiąc poważnie, finansowo jesteście pewnie zabez-

268

pieczeni, jeśli któreś z nas nie zachoruje albo nie nastąpi jakiś nieprzewidywalny kataklizm czy coś w tym sensie. Mamy dochody z inwestowania, które od lat ponownie inwestujemy. Jeśli masz dość pracy, to chętnie zakończę działalność po wykonaniu tego zlecenia.

- Dlaczego nie przed? Dlaczego nie dzisiaj?
- Bo je przyjęliśmy. Skoro już spotkaliśmy się z pośrednikiem i wysłuchaliśmy całej historii, jesteście w to zaangażowani. Mamy zobowiązania. Za dużo wiemy, żeby po prostu odejść.
- Densmore nas zna. Wie, że nikomu nic nie powiemy. Rozwaliliśmy tę czarnoskórą dziewczynę i gliniarza na południe od San Francisco i tę parę w hotelu. Gdybyśmy się z czymkolwiek wygadali, on być może dostałby dziesięć lat, ale my bez wątplenia karę śmierci. To jest jego zabezpieczenie.
- Z jego punktu widzenia wygląda to zupełnie inaczej. Skoro spieszyliśmy robotę, to powinniśmy po sobie posprzątać.
- Czy nie możemy chociaż spróbować pogadać z Den-smore'em?
- Zastanówmy się, nim to zrobimy. Bo co, jeśli się uprze, że mamy

doprowadzić sprawę do końca? Możliwe przecież, że go zrazimy do siebie, a i tak będziemy musieli dokończyć robotę. I nie zapominaj, że on jest tylko prawnikiem, pośrednikiem. Nie wiemy absolutnie nic o rzeczywistym zleceniodawcy. Tamten klient mógłby sobie pomyśleć, że na nas nie można polegać, i zaczęlibyśmy mu wadzić.

- Skoro nic o nim nie wiemy, nie możemy mu nijak zaszkodzić - odparła.
- A skoro on nas nie zna, nie może nam nic zrobić. Co by mu przeszkadzało wynająć kogoś innego?
- Musiałby się znaleźć taki ktoś, kto może rzucić robotę i natychmiast zabrać się do tej sprawy. Na dodatek byłaby

269

to osoba, która nigdy nie widziała ani Wendy Harper, ani Jacka Tilla. A trzeba to zrobić teraz, w ciągu jednego czy dwóch dni, kiedy ta kobieta jest na widoku. Przecież wystarczy, że spotka się z prokuratorem okręgowym, i może zniknąć na zawsze.

- W porządku - powiedziała Sylvie. - Jest nam całkiem obojętne, czy ona przeżyje czy nie, zgadza się? Robimy to dla pieniędzy. Wynajęto nas, bo jesteśmy profesjonalistami.
- Jasne.
- Powiedzmy więc uprzejmie, że prawdopodobnie zostaliśmy zauważeni, zabiliśmy też kilka postronnych osób i według naszej profesjonalnej opinii dla klienta będzie lepiej, jeśli skończy to ktoś inny. A jeśli Densmore poczuje się zawiedziony, oświadczymy, że nam przykro, ale sami najlepiej wiemy, jak postąpić. Jeśli jego klient się wkurzy, to też powiemy, że jest nam z tego powodu przykro. Densmore nie może nam nic zrobić. A gdyby jego klient mógł, toby nas nie wynajmował. Jak

tylko z tym skończymy, pakujemy się i jedziemy do Hiszpanii. Poćwiczyc flamenco. Od lat o tym mówimy. Teraz jest tam szczyt sezonu turystycznego, ale za parę tygodni będzie po sezonie, a wrzesień jest tutaj upalny jak cholera. Wrócimy, jak już ktoś inny dopadnie Wendy Harper.

- Hiszpania brzmi nieźle - powiedział Paul. - Gdy tylko usłyszeliśmy, że Jack Till szykuje się do wyjazdu z Los Angeles, cała ta sprawa stała się cholernym utrapieniem. Mam jej powyżej uszu.
- Też tak uważam. Bałam się ci powiedzieć, jak mam tego dosyć. Tak się cieszę, że ty też.
- W tej sprawie się zgadzamy, ale to nadal nie uwalnia nas od tej roboty. Daliśmy słowo człowiekowi, z którym pracujemy od ośmiu lat. Wycofanie się teraz to nie jest drobiazg.
- Jeśli nasze wzajemne stosunki są cokolwiek warte, to powinniśmy móc mu szczerze powiedzieć, co się dzieje.

270

To bystry gość. Może dostrzec w tym pewną logikę i powiedzieć, że czas, byśmy się wycofali.

- To prawda - przyznał Paul.
- Mam dzwonić do Densmore'a?
- Chwileczkę. Nadal tylko to rozważamy.
- O. - Odwróciła się i włożyła patelnię do zmywarki. Oszukiwała się, pozwalała sobie uwierzyć, że on bierze jej pomysły poważnie, ale oczywiście tak nie było. Nie uważał jej za osobę równą sobie. Po tych wszystkich latach była nadal tylko kobietą, z którą się pieprzył.

Wprawiał ją tylko w dobry nastrój, udając, że rozważa jej niemądre sugestie.

- Chyba masz rację - oświadczył Paul. - Nie znoszę rezygnować z czegokolwiek, ale ta sprawa po prostu nam nie leży. Densmore lubi, żeby się z nim konsultować. Zadzwońmy do niego i posłuchajmy, co sądzi.

Odwróciła się i przyglądała bacznie jego twarzy. Patrzył w filiżankę z kawą. Potem ją podniósł i spojrzał z boku na jej brzeg. Zobaczył ślad pomadki i zorientował się, że przez pomyłkę wziął jej filiżankę, po czym wstał, żeby wziąć z blatu swoją. Jego zachowanie świadczyło o tym, że zupełnie nie zauważa jej zdenerwowania. Wyglądał prostodusznie, jak jakieś duże zwierzę.

- Ty chcesz rozmawiać? - zapytała.
- Nieważne, które z nas będzie mówiło. Zdecyduj.
- Ja się połączę, ty rozmawiaj.
- Zgoda.

Wybrała numer biura Densmore'a. Kiedy zgłosiła się recepcjonistka, powiedziała:

- Dzień dobry. Mam na linii Paula Turnera. Proszę go połączyć z panem Densmore'em. - Jej głos profesjonalnej asystentki wprowadził recepcjonistkę w nerwowy stan.

Paul uśmiechnął się do niej, kiedy podawała mu słuchawkę. Odczekał chwilę, po czym powiedział:

- Michael, tu Paul. Czy to ta bezpieczna linia? Świet-

właśnie dlatego dzwonię. - Zamilkł na chwilę. - Jesteś pewien, że mogę mówić? W porządku. Wynikło parę komplikacji. Żeby się dowiedzieć, gdzie ona mieszka, musieliśmy zabić jej przyjaciółkę w Henderson, w Nevadzie. A kiedy już ją odnaleźliśmy i mieliśmy na oku, w pobliżu lotniska w San Francisco zatrzymał nas jakiś gliniarz. Prowadziłem auto z fałszywym dowodem tożsamości, więc jego też musiałem zastrzelić. Paul zamilkł i słuchał przez chwilę.

- Potem - mówił dalej - jakieś dwie godziny jazdy na południe stąd już braliśmy się do wykonania ostatecznego ruchu. Mieliśmy ją i Tilla w restauracji i Sylvie miała iść do damskiej toalety, żeby ją stuknąć, kiedy jakiś inny gliniarz zauważył nasz samochód na parkingu. Widziałem, jak wzywa przez radio wsparcie. Musieliśmy się wślizgnąć do hotelu stojącego po sąsiedzku, podstępem dostać do jednego z pokoi i kropnąć jakieś małżeństwo, żeby zabrać ich auto. - Przerwał i słuchał przez kilka sekund, po czym puścił oko do Sylvie. - Nie. To nas nie powstrzymało. Po jechaliśmy za Jackiem i Wendy i próbowaliśmy dopaść ich kawałek na północ od King City. Wiesz, gdzie to jest? Podjechałem z tyłu, a Sylvie opróżniła w ich wóz cały magazynek... wywaliła im tylną szybę, a Till zjechał z drogi na pole.

Paul objął Sylvie ramieniem i trzymał słuchawkę tak, żeby słyszała słowa Densmore'a.

- Nie pojechaliście za nim?
- Pojechaliśmy. Prawie kilometr przez zielska w ciemnościach. Potem on wjechał na zarośnięty drzewami teren po drugiej stronie wzgórza,

skąd mógł obserwować, jak nadjeżdżamy. Przygotowywał zasadzkę. Facet jest emerytowanym gliną. Nie można zakładać, że ktoś taki nie potrafi się bronić.

Paul stał i słuchał, na jego twarzy pojawił się wyraz znużenia. Potem zaczął chodzić w tę i z powrotem.

272

- Jestem pewien, że wykorzystaliśmy wszystkie nasze atuty, Michael. Ktoś zapisał numer rejestracyjny naszego wozu, kiedy zastrzeliliśmy tamtego policjanta. Ludzie widzieli, jak go wypożyczaliśmy. Może nawet mają to na taśmie z kamer monitoringu. Till miał mnóstwo okazji, żeby nas sobie obejrzeć, kiedy zaatakowaliśmy. Wie, za kim się rozglądać. Staraliśmy się jak jasna cholera, ale od tej chwili nic, co zrobimy, nie będzie dla niego zaskoczeniem. Nie weźmiemy ani centa za nasze dotychczasowe wysiłki i będziemy kwita. - Przestał mówić i chodzić, już tylko słuchał.

Zerknął na Sylvie i już wiedziała. Było to przelotne, króciutkie przesunięcie wzroku po jej twarzy, ale powiedziało wszystko. Takim spojrzeniem mimowolnie obrzuca się osobę, która jest niewygodnym świadkiem rozmowy telefonicznej.

Wiedziała, że Michael Densmore mówił właśnie coś, na co Paul nie był przygotowany. Paul zaszarżował aż na sam szczyt wzgórza, ale teraz sychano go powoli na miejsce, z którego rozpoczął. Widziała, że Densmore sięga po coraz poważniejsze argumenty. Paul starał się je odeprzeć.

-To nie jest problem większych pieniędzy, Michael. Chodzi o to, że ryzyko stało się większe dla nas niż dla kogoś, kogo nie widziano. -

Słuchał przez chwilę. - Cena nie gra roli. Chcemy się wycofać. Dzisiaj. Nie ma sensu krążyć wokół, jeśli nie możemy zbliżyć się na tyle, żeby wykonać zlecenie.

Zamilkł i Sylvie wydawało się, że teraz wysłuchuje pochlebstw.

-Dzięki, Michael. Miło słyszeć coś takiego. Ale... -Densmore mu przerwał, a on czekał, potem spróbował się włączyć. - Nam też się z tobą świetnie pracowało. - Mówił głośniej, starając się przegadać Densmore'a, ale Sylvie wiedziała, że to mu się nie uda. - Właśnie ci powiedziałem, że ryzyko... dla nas, dla każdego, kto w tym siedzi...

273

jest teraz ogromne, a będzie narastać, im dłużej będziemy w to zaangażowani.

Paul znowu chodził w tę i z powrotem i Sylvie znów wychwyciła tamto spojrzenie. Postanowiła nie patrzeć, jak go upokarzają. Zostawiła go w kuchni i przez salon przeszła do drugiego skrzydła domu. Nie było powodu, żeby tam tkwić. Już i tak wszystko wiedziała.

Z łóżka słyszała tylko dalekie dudnienie męskiego głosu, bez żadnych słów. Kiedy rozmowa dobiegła końca, rozległ się odgłos ciężkich kroków, kiedy krążył po domu, żeby sprawdzić, gdzie jest. Wiedziała, że ją odnalazł, ponieważ kroki urwały się na kilka sekund w korytarzu przed drzwiami sypialni, po czym znowu się oddaliły. Wstała z łóżka i poszła do sypialni gościnniej.

Wyjmował z szafy dwie walizki. Zobaczyła, że sejf na broń jest znowu otwarty i że tamte dwa remingtony odstawił na stojak.

- Jedziemy gdzieś? - spytała.
- Tak.

Miała ochotę zachowywać się tak, jakby wiedziała, że zabiera ją do Hiszpanii, by musiał się przyznać do porażki. Ale powstrzymała się od okrucieństwa.

- Nie pozwoli nam się wycofać, co?
- Nie pozwoli. Użył i kija, i marchewki.
- Jak wygląda marchewka?
 - Stawka za zlikwidowanie Wendy Harper została podwojona.
- A kij?
- No cóż, klient zna nasze nazwiska.
 - Więc Densmore skłamał. Twierdził, że nigdy nie zdradził żadnemu klientowi, kim jesteśmy.
 - Powiedział, że to przypadek szczególny. Że nie dało się tego uniknąć i że ten klient nigdy nie okazałby się taki niemądry, by powiedzieć o nas policji czy w ogóle komukolwiek.

274

- To nie jest kij. Więc o co chodzi naprawdę?
- Klient ma władzę. Jego ludzie od sześciu lat bez przerwy się rozglądali. Teraz, kiedy użyliśmy tej zakrwawionej koszuli i kija bejsbolowego, żeby wywabić ją z ukrycia, on nie ma już żadnej innej możliwości znalezienia jej. Wykorzystaliśmy tę jedyną szansę. Densmore uważa, że jeżeli nam się nie uda... nie mówiąc już o wycofaniu się... klient sprzątnie i jego, i nas.

ROZDZIAŁ 28

Było już popołudnie, kiedy Jack Till się przebudził. Nie otwierał oczu, próbując się zorientować w sytuacji. Wiedział, że leży w hotelowym łóżku w Morro Bay. Przyjechał tu w nocy z King City i znalazł hotel położony na niskim występie skalnym ponad portem. Nocny recepcjonista znalazł wolne miejsca dla dwojga zmęczonych podróżnych, szczególnie takich, którzy skłonni byli zapłacić wakacyjne stawki za luksusowy dwupokojowy apartament, i to na co najmniej trzy doby. Jack wyszedł jeszcze, żeby zaparkować wypożyczony właśnie samochód na tyłach hotelu, gdzie byłby niewidoczny z ulicy. Tym razem wybrał niebieskiego buicka park avenue, który nie przypominał samochodów wcześniej przez niego używanych. Przystawianie wozu dało mu okazję, by objechać parking i omieść reflektorami otoczenie, żeby sprawdzić, czy w którymś z zaparkowanych aut nie tkwią jacyś ludzie.

Kiedy wrócił do pokoju, Ann przystawiała krzesło do otwartych drzwi pomiędzy obydwojma pokojami.

- Cokolwiek się jeszcze wydarzy, jeśli już mam umierać, to wolę, żebyś o tym wiedział - oznajmiła.
- Nic nam nie będzie. Jesteśmy daleko od miejsca, w którym nas zgubili.
- Till zamknął na klucz i łańcuch zewnętrzne drzwi obu pokoi i zastawił je krzesłami, żeby dać sobie dodatkową sekundę, gdyby któreś się otworzyły.

Ann usiadła na swoim łóżku i obserwowała jego poczynania bez komentarza, ale najwyraźniej nie czerpiąc

276

z tego widoku szczególnej pociechy. Pistolet w kaburze Jack położył na nocnym stoliku. Potem, zanim się rozebrał i położył, zgasił światło w

swoim pokoju. Przez jakiś czas słyszał, jak Ann się porusza, a na suficie koloru twarozku widział migotliwą, siną poświatę jej telewizora.

Zamknął oczy i pozwolił, żeby jego umysł odtworzył kolejno wypadki dnia, od chwili gdy przed południem dotarł do domu Ann Donnelly w San Rafael, poprzez widok nieustannie rosnących reflektorów w lusterku wstecznym, a potem te strzały. Znów widział, jak tamten kierowca gwałtownie skręca w lewo, próbując się z nim zrównać, i pamiętał, jak go nie przepuszczał, starając się trzymać cały czas przed nim. Jego ciało ponownie doświadczało tamtej szybkości, wrażenia, jakby unosił się nad fotelem za każdym razem, kiedy auto przeskakiwało szczyt pagórka i opadało, a w uszach miał przeraźliwy huk pocisku wpadającego przez tylną szybę i brzęk rozpryskującego się szkła.

Jechał zygzakiem, zajeżdżając drogę tamtemu, usiłując odgadywać jego zamiary, reagować w porę, zachowując przy tym kontrolę nad pojazdem. I potem nastąpiła cała seria strzałów, niektóre brzmiały głośniejsze niż inne, wzmocnione dźwiękiem przebijanej pokrywy bagażnika. Wszystko odbywało się tak szybko, że działał zupełnie automatycznie i nie zastanawiał się nad przebiegiem wydarzeń aż do tej chwili, ileś godzin później, kiedy już leżał w łóżku. Pamiętał, jak w przedniej szybie zobaczył dziurę po pocisku, otoczoną aureolą spękanego szkła, tuż ponad poziomem jego wzroku, odrobinę na lewo, świadomy, że ten nabój musiał minąć jego głowę o centymetry. Ten widok zmusił go do natychmiastowej reakcji i dlatego pozwolił, by auto pofrunęło prosto w pole, jako że drogą uciec się nie dało i strzały stawały się nazbyt bliskie.

- Nie mogę tam zasnąć - usłyszał.

Otworzył oczy i z trudem dojrzał jej postać stojącą przy

jego łóżku. Miała na sobie spodnie od pizamy i za dużego T-shirta.

- Dlaczego?

- Bo dzisiaj straciłam najlepszą przyjaciółkę, porzuciłam dzieci, męża, dom, swoje nazwisko, a potem do mnie strzelano i wylądowałam w rozpadlinie.

Till przesunął się na drugą połowę szerokiego łóżka i podniósł przykrycie, żeby ją wpuścić.

- To wystarczający powód.

Położyła się i oparła głowę na poduszce.

- Przepraszam. Odzwyczaiłam się spać sama.

- Byłaś trzy lata mężatką?

- Prawie cztery. - Milczała chwilę i Till już myślał, że zasypia, kiedy znów się odezwała: - To nie tak długo. Ale wystarczająco, żeby przyzwyczać się do złudzenia, że będzie to trwać wiecznie.

- Że się już nigdy nie będzie spało samotnie?

- Człowiek uważa, że już nigdy nie będzie musiał leżeć samotnie nocą w ciemnym pokoju. Oczywiście, to nie okazuje się prawdą. Ludzie wyjeżdżają w podróże służbowe czy inne. Wtedy odkrywasz, że... przypadkowo albo celowo... leżysz z twarzą na poduszce tamtego człowieka, wyczuwając jego zapach.

- Więc go kochałaś. Kiedy przedtem o tym mówiłaś, można było odnieść wrażenie, że nie.

- Sama nie wiem. Trudno powiedzieć, o co tak naprawdę chodzi w związku dwojga ludzi, poza tym, że nie chcą być samotni.

Niepotrzebna jest szalona, romantyczna miłość. Wystarczy wiedzieć, że wolisz być z daną osobą i jej wszystkimi wadami, niż pędzić życie w samotności. I nawet nie musisz tego czuć przez większość dnia, codziennie. Wystarczy, że pomyślisz o tym za każdym razem, kiedy jesteś zdecydowany wystąpić o rozwód, i rezygnujesz z tego. Jeśli taka jest miłość, to kochałam Dennisa.

- Brzmi to dość ponuro.

278

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Musiałam się kamuflować, żyłam jako ktoś, kim nie byłam, zapomniałeś? Wiedziałam, że osoba, którą wymyśliłam, będzie bezpieczniejsza jako mężatka niż kobieta samotna. Jeśli całe twoje życie jest kłamstwem, dlaczego wytyczać granice przed jeszcze jednym, skoro daje ci ono dodatkowe zabezpieczenie? Kiedy kobieta wychodzi za mąż, nie tylko zyskuje większego, silniejszego współtowarzysza, który będzie się starał ją chronić, ale bierze również jego nazwisko, całą historię jego życia, rozciąga się na nią zaufanie, jakim go obdarzają, i wiarygodność, jaką się cieszy, lojalność przyjaciół, którzy przysięgną, że ona jest postacią autentyczną. I nie okłamywałam Dennisa. Wszystkich innych w San Rafael tak, ale nie jego.
- Dlaczego sądziłaś, że mógłby cię ochronić przed facetami, którzy na ciebie polowali? Powiedziałaś, na co ma uważać, opisałaś mu ich?
- Moim kamuflażem było być żoną Dennisa Donnelly'ego. Łatwiej utrzymać się w roli, jeśli znajdujesz coś, co lubisz. Wiedziałam, że Dennis mnie kocha, a dla kobiety to liczy się najbardziej. Lubię go. Może i żałuję, że za niego wyszłam, ale jestem mu wdzięczna. Teraz

jest po wszystkim.

Tillowi chodziło o informacje na temat zabójców, a nie jej męża. Jej odpowiedź zaskoczyła go.

- Jesteś pewna? - spytał.
- Boże, gdybym nie była tego pewna przed dniem dzisiejszym, to teraz już na pewno.
- Bo cię odnaleźli?

Odwróciła się do niego. Widział, jak słabe światło z zegara odbija się w jej dużych oczach.

- Gdybym była z Dennisem, kiedy mnie znaleźli, było by po mnie. Żyję, bo byłam z tobą. I on żyje, a dzieci nie straciły ojca.

Zerknął na świecące w ciemności czerwone cyfry.

279

- Jest kwadrans po czwartej rano tej pierwszej nocy po tym, jak odkryłaś, że znalazłaś się w kłopotach. Dzisiaj nasz los wisiał na włosku. Może powinnaś odłożyć zastanawianie się nad wielkimi sprawami do czasu, aż ochłoniesz.
- Może.
- Dobranoc. - Odwrócił się od niej i zamknął oczy. Po kilku sekundach poczuł, jak ona się do niego przysuwa, dotyka jego pleców.
- Jack? - Taa?
- Dziękuję, że pozwoliłeś mi spać w twoim łóżku.
- Proszę bardzo. - Leżał i patrzył w ciemność. Jej głos dobiegł z bardzo bliska, tuż zza karku, i czuł, że zwinęła się w kłębek za jego plecami.

Sądziła zapewne, że on w ogóle nie czuje jej dotyku, a właśnie ten dotyk był najznaczniejszym zjawiskiem w tym pokoju. Zacisnął mocno powieki, zmuszając się do tego, żeby o niej nie myśleć i pozwolić swojemu zmęczonemu, niespokojnemu umysłowi odpocząć, i jak to często zdarzało mu się nocą, pomyślał o Holly, śpiącej spokojnie w „Kwietnym Domu”.

Nie był to już ranek, kiedy się obudził. Usiadł i uświadomił sobie, że już pewnie od kilku godzin docierały do niego odgłosy dnia, bo po raz kolejny usłyszał, jak ktoś przechodzi korytarzem obok drzwi jego pokoju. Spojrzał na zegar stojący na nocnym stoliku. Cyfry pokazywały 2.20.

Ann wciąż spała. Wstał cichutko, wziął ze stolika telefon komórkowy i wszedł do jej pokoju, zamknął za sobą drzwi i uchylił zasłony. Popołudnie było pogodne, ludzie szli w stronę portu. Dalej, za nabrzeżem, restauracjami i sklepami, kilkaset metrów od brzegu, z wody wyrastała pękata Morro Rock, nad którą krążyły białe ptaki, sadowiły się na jej szczycie i z wysokości kilku metrów nurkowały do wody. Zastanawiał się, jak by to było tu mieszkać, z tą charakterystyczną strukturą górującą nad wszystkim

280

i robiącą wrażenie wszechobecnej, gdziekolwiek zwrócić spojrzenie.

Otworzył telefon komórkowy i wybrał numer. Po chwili usłyszał „Halo”.

- Cześć, skarbie.
- Cześć, tato. Sprawdzasz mnie?
- Pewnie tak. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko.
- Skąd. Gdzie jesteś? Westchnął.

- W hotelu. -Sam?
- Sprawdzasz mnie?
- Pewnie tak. Masz coś przeciwko temu?
 - Skąd. W tej chwili jestem sam. Tęskniłem za tobą i chciałem usłyszeć twój głos i powiedzieć, że cię kocham. I dlatego dzwonię. Kocham cię.
 - Ja też cię kocham. Czy już wiesz, kiedy wracasz do domu?
 - Za kilka dni. Sprawy układają się z grubsza tak, jak przewidywałem, więc mam nadzieję, że przyjadę przed weekendem. Zadzwoń jeszcze i dam ci znać.
- Świetnie.
 - Holly, pamiętasz, co przed wyjazdem powiedziałem o tej robocie?
- Nie wiem.
 - Powiedziałem, że to robota, przy której ludzie będą wiedzieli, kim jestem. Pamiętasz?
- Atak. To.
- Mam nadzieję, że robisz wszystko tak, jak powiedziałem.
 - Robię. Jedyne miejsca, gdzie bywam, to praca i dom. W sklepie przestałam nosić plakietkę z moim imieniem. Noszę taką, co należała do dziewczyny, która odeszła. Jest na niej napisane „Louise”. - Roześmiała się. - Wszyscy ciągle mówią do mnie Louise.
- Masz oczy szeroko otwarte?

281

- Tak. Żadnych obcych, żadnych samochodów zaparkowanych obok pracy czy obok domu. Bobby, Marie i ja wychodzimy do pracy razem i

wracamy razem. Kiedy budzę się w nocy, sprawdzam, czy coś mnie nie obudziło.

- To dobrze. Nie przestawaj być czujna.
- Hej, wiesz co? Pani Fournier na mnie czeka. Mamy przynieść farbę do pomalowania ścian z tyłu sklepu i nie mogę kazać jej zbyt długo czekać.
- Och, przepraszam. Lepiej już biegnij. Miło mi było z tobą pogawędzić.
- Mnie też. Tato? - Tak?
- Nie zamartwiaj się. Tutaj wszyscy się o mnie troszczą.
- Dobrze. Wracaj do pracy. Całusy. - Pa.

Rozłączył się i siedział w pokoju Ann, wpatrując się poprzez szparę w zasłonach w ocean. Kiedy był policjantem, zawsze unikał sytuacji, które mogłyby zagrozić bezpieczeństwu Holly. W tej chwili może miał jeszcze mniejszy powód do zmartwienia. Holly nie mieszkała z nim od trzech lat, a telefon w „Kwietnym Domu” nie był na jej nazwisko. Swoją dom sprzedał, kiedy przeszedł na emeryturę.

Nauczył się żyć ze stałym zatroskaniem o Holly. Spuszczenie jej z oczu było aktem zaufania i pewności, czego nie odczuwał, kiedy miała cztery lata, tak samo jak teraz. Za każdym razem, kiedy nie miał jej w polu widzenia, jego umysł wypełniały obrazy Holly nieostrożnej, zdezorientowanej czy krzywdzonej.

- Dzień dobry - usłyszał.

Odwrócił się i zobaczył Ann w drzwiach łączących dwa pokoje.

- Cześć. - Poczł nagłą pustkę w żołądku, obawę, że być może pozwolił, by umknęło coś cennego i ważnego. Powiedział sobie, że byłoby to nie na miejscu i nieetyczne

zalecać się do niej ubiegłej nocy, teraz jednak miał okrop-

282

ne podejrzenie, że ona dawała mu na to przyzwolenie. Wyglądała powabnie, mrużąc oczy w promieniach słońca wpadających przez uchyloną zasłonę i przeczesując długimi cienkimi palcami jasne włosy.

- Też się dopiero obudziłeś?

-Tak. - Ponownie wyjrzał przez okno. - Właśnie sprawdzałem, czy ktoś nie stoi na tej skale i nie obserwuje naszego pokoju przez lornetkę czy coś w tym sensie.

Podeszła bliżej, dotykając go ciałem, kiedy odrobinę szerzej rozchyłała zasłony.

-Jasna cholera. Nie widziałam tego wczoraj. - Roześmiała się. - Jak to możliwe, że nie zauważyłam czegoś tak ogromnego.

Wzruszył ramionami.

- Było ciemno. Poza tym wjechałem do miasta od strony lądu.

Rozłożyła ramiona, wyciągnęła je przed siebie, pochyliła się, a potem wygięła w łuk jak kotka. Poczuł, jak pustka w jego żołądku zmienia się w żal, i odwrócił wzrok. Chyba zauważyła, że poczuł się nieszczęśliwy. Czy odgadła też jego myśli?

- Weźmy prysznic i ubierzmy się - powiedział. - Znajdziemy sobie jakieś miejsce na zjedzenie... zaraz, którą to mamy godzinę? Lunchu, to dobra pora na lunch.
- Wspaniale. Umieram z głodu.

Wrócił do siebie i zamknął za sobą drzwi między pokojami, ale nie zdążył zrobić dwóch kroków, kiedy ponownie się otworzyły. Spojrzała

przepraszająco.

- Jack, czy nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby pozostały otwarte?

Dostają gęziej skórki, kiedy się zamykają.

- Żaden problem. - Jasne, że się bała, i nie był to niedorzeczny lęk przed ciemnością, ale rzeczywisty strach przed prawdziwym niebezpieczeństwem. Myślała, że on ma na to lekarstwo, a może sam jest tym lekarstwem.

Jednak strach to nie czułość.

283

ROZDZIAŁ 29

Jack zabrał Ann do małej restauracyjki o białych drewnianych ścianach w porcie. Pod wpływem silniejszego od morskiego powietrza zapachu jedzenia poczuli jeszcze większy głód. Mówił o sprawach obojętnych, co działało na nią uspokajająco. Chwalił jedzenie i widoki Morro Bay, wspominał inne odwiedzane tu przez turystów miejsca -Cambrię, San Simeon, Pismo Beach. Przez cały czas obserwował jej twarz, zastanawiając się, co jeszcze powinien zrobić, żeby opowiedziała mu te fragmenty historii, które przed nim ukrywała.

Kiedy wyglądało na to, że się trochę ożywiła, powiedział:

- Chodźmy na spacer. - Przyglądał się jej przez jakiś czas, kiedy oglądała wystawy sklepów, w których sprzedawano stroje plażowe i egzotyczne muszle. Była spokojna, a ponieważ jej wzrok nie skupiał się dłużej na

niczym, doszedł do wniosku, że już czas. Kiedy dotarli do plaży i nikt nie mógł usłyszeć tego, co mówią, spytał: - O czym myślisz... o swoim strachu?

- Tak. I nie. Nadal jestem tak przerażona, że zerkam na odbicia w szybach wystaw, żeby sprawdzić, czy ktoś się za nami skrada. Jednak tak naprawdę staram się trzymać mocno rzeczywistości i nie popadać w histerię.
- Wyglądasz na całkiem spokojną.
- Robię sobie przegląd wszystkiego po kolei i stwierdzam, że mnóstwo rzeczy zrobiłam niewłaściwie, źle zin-

284

terpretowałam albo zlekceważyłam, nie mogę natomiast dogrzebać się do niczego, co zrobiłam dobrze.

- Sporo rzeczy zrobiłaś dobrze, bo inaczej już od sześciu lat byś nie żyła.
- Chodzi mi o okres wcześniejszy. Myślałam o samym początku.
- Powiedz mi o tym początku. Co to było?
- Zaczęło się od pewnej dziewczyny, niejkiej OHvii

Kent. Była pierwszą kelnerką, jaką zatrudniłam w Banque, jeszcze przed otwarciem lokalu. Była świetna. I piękna. Miała długie, ciemne włosy i błękitne oczy, i figurę do pozazdroszczenia. Miała też cięty dowcip, co wynikało zapewne z tego, że faceci nieustannie się do niej przystawiali, a ona musiała odprawiać ich w taki sposób, żeby nie ranić ich uczuć. Lubiła ludzi i oni to czuli, kiedy z nią rozmawiali, ale była też szybka i kompetentna, więc nie zauważali, jak nimi manewruje, żeby jak najszybciej zamawiali i zwalniali stolik dla kolejnych klientów.

- Ile miała lat, kiedy ją zabito?

- Nie zabito jej. To nie ta. Spytałeś, od czego zaczęły się kłopoty, a zaczęły się od niej.

Poprowadził ją wzdłuż brzegu.

•Pójdźmy w stronę skały. Jest na końcu długiego cypla, więc zdążysz mi opowiedzieć po drodze.

•Dobrze.

•Mieliście wtedy z Erikiem mniej więcej po dwadzieścia trzy lata.

-Dwadzieścia pięć. Olivia miała dwadzieścia jeden. Pamiętam to, bo kiedy starała się o tę pracę, przyniosła rekomendacje od dwóch ostatnich pracodawców, dwa lata pracy w jednej i rok w innej restauracji w Cleveland, kiedy była w college'u. Dwadzieścia jeden lat oznaczało, że może podawać alkohol, co było bardzo istotne.

- W porządku. Mieliście z Erikiem po dwadzieścia pięć lat, a ona dwadzieścia jeden.

285

-Tak. Cały personel był młody. Wtedy Erie był już świetnym kucharzem. Wcześnie rozwiniętym talentem. Nikt nie zostaje szefem kuchni trzygwiazdkowego lokalu po siedmiu latach pracy w kuchni, z czego część w niepełnym wymiarze godzin. To nie dość czasu spędzonego w kuchni, nie dość nauki, za mało próbowania potraw, psucia ich i przygotowywania od nowa. On był jednak bardzo dobry. Wypracował menu z dwunastu dań głównych, z pewnymi odmianami, wszystkie wyśmienite. Wymyślił także sześć przystawek, na które składały się pięknie ułożone na talerzu niewielkie porcyjki drogich komponentów. Dzięki temu pomocnik, który kilkakrotnie przyglądał się, jak to zrobić, mógł potem przygotowywać je

sam. Po jakimś czasie, w razie natłoku gości, nawet ja sama potrafiłam je przyrządzić.

- Powiedziałaś, że wszyscy byli młodzi. Jacy byli ci po zostali?

-Tacy jak my. Do stolików podawały wyłącznie kobiety, w moim wieku albo młodsze. Na początku było ich sześć, wszystkie z pewnym doświadczeniem. Wybrałam te, które rozumiałam, i wyglądało na to, że one rozumieją mnie. Jeszcze sześć miesięcy przed otwarciem sama byłam kelnerką i jeszcze nie poznikały mi z rąk odciski i blizny po poparzeniach i nie przestały boleć przeciążone nadgarstki. Z początku w ogóle nie zauważyłam, że są takie do siebie podobne. Teraz jednak wiem, jaka wtedy byłam niedoświadczona i dlatego potrafiłam oceniać tylko ludzi podobnych do siebie.

- Byłaś kelnerką jeszcze sześć miesięcy przed otwarciem Banque?
- To było jedno z moich zajęć. Za dnia, od piątej rano, zanim otwierali rynki nowojorskie, pracowałam jako makler giełdowy. O trzeciej wracałam do domu, potem, od piątej do dziesiątej, pracowałam w restauracji Bernard's, w hotelu Biltmore. Erie też miał mnóstwo posad. Był sze-

286

fem kuchni w Desiree. Pisał też artykuły o potrawach do kilku czasopism dla smakoszy oraz prowadził usługi.

- Jakie usługi?

-Przychodzili do Desiree różni ludzie i prosili, żeby przyrządzał im coś na prywatne przyjęcia... głównie ludzie ze studiów filmowych. To mu pomogło zbierać sobie przyszłą klientelę. Jeśli ci ludzie urządzali

przyjęcie, to chcieli, by wszyscy goście wiedzieli, że dań nie przygotowała byle firma cateringowa, tylko sam szef kuchni Desiree. Znajomość z właściwymi ludźmi była ważna przy rozkręcaniu samodzielnej działalności. Myślę, że prawie wszystkich przez nas zatrudnionych poznaliśmy wcześniej w restauracjach, w których pracowaliśmy, i na początku większość klientów to byli ludzie, którzy znali nas z poprzedniej pracy. Naturalnie, sprawą najważniejszą były pieniądze. Odkładaliśmy wszystko... moje napiwki, honoraria Erica za artykuły i wszelkie dodatkowe zarobki, nawet pieniądze, jakie rodzina przysyłała mu z domu w ramach urodzinowych prezentów. Nie wydawaliśmy niczego. Do restauracji chodziliśmy wyłącznie po czeki za pracę. W piątki, w porze lunchu, lokowałam pieniądze z tych czeków w banku, a o czwartej większość była już zainwestowana, więc nas nie kusilo, żeby je tknąć. Potem przychodził weekend i pracowaliśmy przez cały dzień aż do późnej nocy, więc i tak nie byłoby kiedy ich wydać.

- To wszystko dla restauracji?

-Kiedy się zaczyna, należy być przygotowanym na kilka lat strat. -

Uśmiechnęła się. - Z góry wszystko wyliczyłam. Pieniądze i możliwości kredytowe miały nam się skończyć dwudziestego szóstego kwietnia. Przez jakiś czas nazywaliśmy nasz lokal Le Vingt-six Avril.

•Jak przetrwaliście ten kwiecień?

•Psim swędem, a także dzięki ofiarnej pomocy innych. Wszyscy, którzy dla nas pracowali, zgodzili się na płacę niższą niż w poprzednich miejscach pracy. Dzielili

były młode i nie wstydziły się wyciągać dużych napiwków od klientów. Za każdym razem, kiedy mieliśmy niespodziewany zysk... przyjęcia weselne czy jakieś towarzyskie spotkania... pomagało nam to przetrwać kolejny tydzień czy dwa.

- Kiedy Banque wyszedł na prostą?

-Zaczęliśmy nieźle, a potem stale się rozwijaliśmy.

Istotne było to, że Erie miał sporą grupę zwolenników. Pojawiło się trochę artykułów i recenzji i potem trzeba było wytrwać, i nie obniżać poziomu.

- Najwyraźniej się to wam udało.

- Wszyscy ciężko pracowali. Trzeba pilnować jakości potraw, kiedy ledwie nadąża się z ich przygotowaniem, utrzymać przyjazną atmosferę i niezawodność obsługi w sytuacji, kiedy przez całą zmianę personel praktycznie wbiega do kuchni i z niej wybiega. Każda znana restauracja zaczynała od tego, że jej właściciele prosili personel, by dawał z siebie wszystko, by ją rozkręcić, po czym nigdy nie dzielili się uzyskanym bogactwem. Jeśli jesteś bystry, zaczynasz dzielić się z innymi już po pierwszym udanym tygodniu. Tak właśnie zrobiliśmy.
- Więc udało wam się zachować przyjazne nastawienie personelu.
- Śmiechu warte. - Pokręciła głową. - Banque był w ogóle zbyt przyjazny. Mieliśmy to wspaniałe miejsce, którego regularnymi klientami byli nasi przyjaciele i co najmniej ze dwa razy podczas jednego wieczoru pojawiała się jakaś znana osobistość. Było to wspaniałe uczucie, a na dodatek zaczęły napływać pieniądze. Barmani, kelnerki i cały personel kuchenny to byli młodzi, nie obciążeni rodzinami ludzie, którzy mogli pracować do późna. Tu już nie chodziło tylko o to, że dobrze im się ze sobą pracuje. Restauracja zaczęła być

miejszem, w którym toczyło się ich życie osobiste. Po kilku miesiącach trudno się było połapać, kto

288

jest z kim, a jeszcze pojawiali się przyjaciele i przyjaciółki z zewnątrz, którzy mieszały się z tą całą gromadą.

- Z czego wynika, że wszyscy pracownicy byli bardzo towarzyscy. A ty?

-Ja miałam oko na wyniki tego wszystkiego... tylko ja zresztą. To właśnie było przedmiotem moich studiów w college'u i dlatego zarządzanie tym miejscem było moim jedynym wkładem. Próbowałam utrzymać wszystkich w ryzach.

•A Erie?

•Nie wiem, czy widziałeś kiedyś świetnego kucharza przy pracy, ale trudno to opisać. On był nastawiony tylko na jedno. Miał pod kontrolą wszystko, co się działo za tymi kuchennymi drzwiami. Kiedy goto wał, w jego głowie tykało siedem czy osiem minutników jednocześnie. Gdyby w kuchni znalazła się jakaś jedna nowa molekula, wiedziałby o tym. Nieustannie spocony, krążył od palnika do palnika, od stołu z metalowym blatem do miski. Rozmawialiśmy o tym kojarzeniu się w pary, jednak kwestie dotyczące życia społeczności restauracyjnej były moim problemem, nie jego. „Kto zaniedbał swoje obowiązki?” - pytał. „Nikt”, odpowiadałam. „To i czym tu się martwić?” -mówił.

•Więc oboje czuliście się trochę jak outsiderzy?

•Erie i ja znajdowaliśmy się w centrum wszystkiego, ale nie byliśmy tego częścią. Zatrudniliśmy ludzi, których uważaliśmy za miłych, a skończyło się na tym, że mieliśmy młodych ludzi, którzy siebie

nawzajem uznali za miłych. Atmosfera była naładowana. Gdyby istniało coś takiego jak licznik feromonów, toby się pewnie przepalił.

- Uważam, że podjęłaś właściwą decyzję. Należy trzymać się z dala od osobistego życia innych, chyba że nas sami poproszą o radę.
- No cóż, w każdym razie - zaczęła i popatrzyła przez chwilę w dal. -
Takie było miejsce, taka atmosfera. Prze-

289

bywaliśmy tam siedem dni w tygodniu i ciężko pracowaliśmy. Nawet kiedy restauracja była zamknięta, ciągle ktoś przychodził, dostarczał towar albo coś reperował, sprzątał czy uzupełniał zapasy. Zawsze coś się tam działo, toczyło jakieś życie. Byliśmy otoczeni ludźmi. Interes szedł jak zaczarowany. Zarabialiśmy tyle, że w ciągu jednego roku spłaciłam pożyczki, jakie zaciągnęliśmy na uruchomienie lokalu. Kiedy prowadziłam renegocjacje, żeby leasing zamienić na własność budynku, właściciel był skłonny wziąć na siebie koszty hipoteczne. Trzeciego roku osiągnęliśmy takie dochody, że mogliśmy z Erikiem kupić dom, wpłacając wielką zaliczkę. Mniej więcej w tym czasie poprosił, żebym za niego wyszła. To był początek końca.

- Bo się nie zgodziłaś?

-Zgodziłam się. Było to zaskoczenie, ale nie w tym sensie, jaki mógłbyś sobie wyobrazić. Kiedy mnie poprosił, uzmysłowiłam sobie, że rzeczywiście nie jesteśmy małżeństwem. Coś w stylu: „Aha. Faktycznie. Nie jesteśmy oficjalnie ze sobą związani, prawda?” Tego rodzaju szczegóły na ogół należały do moich obowiązków... pilnowanie, żeby wszystko było zgodne z prawem, żebyśmy byli wypłacalni i zabezpieczeni. Wiedziałam, że małżeństwo stanowi niezbędną tego część,

jak ubezpieczenie od odpowiedzialności cywilnej i od pożaru czy pozwolenie na prowadzenie działalności gospodarczej. Była to więc czynność, której wykonanie zaniedbałam.

- Dziewczęta zawsze planują swoje śluby. Jak sądzisz, dlaczego ty w ogóle o tym nie myślałaś?
- Tak, pewnie właśnie dlatego. Oczywiście nie pozwoliłam sobie na tego rodzaju podejrzenia. Nie chciałam wnikać w to, co czułam w związku ze swoimi rodzicami czy tym, co pokazali mi w związku z małżeństwem. A jeszcze bardziej nie chciałam zagłębiać się w myślenie o Ericu i rozpatrywanie tego, co do niego czuję... albo też nie czuję. Był dla mnie jak krewny, jedyny krewny.

290

- Pamiętam, jak mówiłaś, że twoja matka umarła, kiedy byłaś mała. A ojciec? Był artystą, prawda?

Ściągnęła brwi i pokręciła głową.

- Tak. Kiedy matka od niego odeszła, przez jakiś tydzień nawet nie zauważył, że mnie też zostawiła, bo jego atelier było zawsze pełne kobiet... modelek, artystek, mar-szandek, nabywczyń... i jedna z nich się mną zajęła. Miała na imię Margaret i była bogatą kobietą, która chciała się nauczyć malować tak jak Moss Harper. Uświadomienie sobie, że to niemożliwe, zabrało jej kilka lat i w końcu też odeszła.
- Moss Harper? Nie zdawałem sobie sprawy, że to twój ojciec.
- Wielki Moss Harper. Kiedy Margaret odeszła, zabrała mnie ze sobą. Zamieszkałam w jej domu w Poughkeepsie i to właśnie ona mnie wychowała.
- Tak po prostu? Nikt nie podpisywał żadnych papierów?

- Tak się postępuje jedynie wtedy, kiedy istnieje możliwość nieporozumień. Jemu zaś wydawało się, że zajmowanie się dziećmi to obowiązek najbliższej kobiety, więc kiedy odeszła, uważał za rzecz zupełnie naturalną, że zabrała mnie ze sobą.
- Utrzymywałaś z nim kontakty?
 - Widziałam go raz, spędziłam z nim dwa dni, kiedy byłam w college'u. Pojechałam do jego atelier w Nowym Jorku. Było to jak wizyta u kogoś, kto ofiarował ci swój organ. Pretekstem do takiej wizyty jest podziękowanie dawcy, jednak moim prawdziwym motywem była ciekawość, wynikająca raczej z egotyzmu niż zainteresowania jego osobą. Obejrzałam sobie jeden z czynników, jakie złożyły się na tę wspaniałą dwudziestojednoletnią mnie. Tak naprawdę nie było między nami żadnej więzi. Ja go zupełnie nie obchodziłam i nawet ta moja ciekawość nie została odwzajemniona. Widział z milion dwudziestojed-

291

noletnich dziewcząt i nie zrobiłam na nim wrażenia szczególnie interesującej. - Szła piaszczystą ścieżką na cyplu, prowadzącą do górującej nad otoczeniem skały. - Nie, ojciec nie był mi bliski. Po śmierci Margaret jedynie Erie był kimś takim.

- Dlatego zgodziłaś się za niego wyjść?

- Oczywiście. Uznaliśmy, że to, iż dotąd się nie pobraliśmy, to tylko drobne, zabawne przeoczenie. Nie celebrowaliśmy zaręczyn, nawet nie wspomnieliśmy o nich w restauracji. Zauważyłam coś, o czym wcześniej nie wiedziałam. Życie bez ślubu było w porządku, bo i tak jedni zakładali, że jesteśmy małżeństwem, a inni sądzili, że i tak będziemy, tyle że na razie

z jakichś praktycznych względów nim nie jesteśmy. Mówienie komukolwiek, że zamierzamy się pobrać, osłabiłoby moją pozycję, ponieważ to Erie był osobą niezastąpioną, nie ja. Dopóki wydawaliśmy się ze sobą trwale związani, miałam autorytet. Gdyby okazało się, że jestem jedynie dziewczyną szefa z małżeńskimi planami, sytuacja całkowicie by się odmieniła. Nastąpiłby czas, w którym on byłby do złowienia.

Jack Till zastanawiał się, dlaczego w swojej relacji wybierała właśnie te szczegóły, ale ponieważ widział, że dokonuje wyboru, czekał.

- Stało się to pewnym problemem. Wiedziałałam, że za tym, co działo się w jakimś sensie automatycznie... w całym tym mówieniu „Kocham cię” we właściwych momentach, a co słyszało się jak „Na zdrowie”, czy „Nie ma za co” zamiast „Ciągle o tobie myślę i kiedy cię widzę, robi mi się od tego miękko w kolanach”, czegoś brakuje. Myślę, że oboje to czuliśmy, ale nie chcieliśmy się do tego przyznać nawet przed sobą.
- Co mu powiedziałaś?
- Nic. Co mogłam powiedzieć?
- A Erie?
- Teraz zbliżamy się do tej smutnej części. Przynajmniej

292

mnie robi się smutno, kiedy to sobie przypominam. Może lituję się nad sobą, bo moje życie to jeden wielki kłopot.

- Mogę je ułatwić, jeśli tylko podasz mi jakąś konkretną informację na temat ludzi, którzy chcą cię wykończyć, albo tej zabitej dziewczyny. Wszystko mogłoby pomóc. Choćby jej imię.
- Właśnie do tego się zbliżam. Dzisiaj odkrywam, że potrafię o tym

mówić jedynie wtedy, kiedy najpierw wokół tego pokrażę. Jak już wydepczę wszystkie chwasty, mogę przejść do sedna. Tym, co się wydarzyło potem, była Oli via.

- Aha, tak. Olivia.
- Tak. Zaczęłam od OHvii Kent, więc zatoczyłam pełne koło, odbyłam całą tę drogę wokół prawdy. - Wzięła głęboki oddech i wypuściła powietrze. - Erie zdradzał mnie z Olivią.
- Przykro mi. To na pewno było bolesne. - Musiał zachować ostrożność, reagować prosto i ze współczuciem. Gdyby wyczuła jakiś fałszywy ton, zaczęłaby widzieć w nim manipulatora i zamknęła się w sobie.
- Chodź mi więcej o to, o czym wspomniałam wcześniej. Przebywał w atmosferze, która przypominała rozciągniętą w czasie powolną orgię, taką, w której ludzie zmieniają partnerów co kilka miesięcy, zaliczając kolejne ruchy w ciągu kilku lat. Zawsze były tam znaczące spojrzenia i flirty, zawsze jakieś podteksty. Na początku Olivia Kent była jedyną osobą, która wiedziała, że Erie i ja postanowiliśmy się pobrać, zrozumiała, że jest to dla niej dobra okazja.

Till postanowił cierpliwie wysłuchać wszystkiego, co ona zechciała mu opowiedzieć, mając nadzieję, że w końcu usłyszy to, czego chciałby się dowiedzieć.

-Okazja do romansu z Erikiem czy zajęcia na stałe twojego miejsca?

- Trudno mi powiedzieć, co sobie myślała. Była z nami

293

długo i lubiła Erica. Możliwe, że przez cały ten czas beznadziejnie się w nim podkochiwała, a tu nagle się orientuje, że nie jest to całkiem beznadziejne... że dopiero stała się beznadziejna i że musi działać

natychmiast. To mogło być nawet coś więcej niż zadurzenie. Bywają też kobiety, które czerpią podniecie z uwodzenia mężczyzn tuż przed ich ślubem, i może ona do nich należała. Byłam jej szefową prawie cztery lata i może przez ten czas jej niechęć do mnie narastała. Może było to wszystko razem w różnych proporcjach, bo ludzie są zbyt skomplikowani, by robić coś z jednego powodu.

- Zatem skorzystała z okazji.
- Zgadza się. Erie się oświadczył, ja powiedziałam tak i ustaliliśmy termin za pół roku. Chcieliśmy, żeby odbyło się to tuż po Nowym Roku, gdy jest najspokojniej. To dało OHvii mnóstwo czasu na działanie, jednak ona nie zwlekała z rozpoczęciem tego romansu. Wykonała pierwszy ruch i Erie się nie zawahał.
- Skąd się dowiedziałas, że spotyka się z OHvią?
 - Domyśliłam się, że coś jest nie tak. Mówi się, że kobieta zawsze wie, ale to nieprawda. Nie wiemy. Erie zachowywał się mniej więcej tak samo. Olivia natomiast się zmieniła.
- Pod jakim względem?
 - Zrobiła się chłodna i oschła. Rozpoznałam ten rodzaj zachowania. Czasami, kiedy ktoś robi coś, by cię zranić, musi sam siebie przekonać, że na to zasługujesz. Tak było z OHvią i ze mną, i wkrótce zaczęłam podejrzewać, co może być tego powodem. Pewnej nocy, po pracy, pojechałam pod dom, w którym Olivia miała mieszkanie, zaparkowałam i czekałam. Już po kilku minutach zjawili się oboje w samochodzie Erica. Weszli do środka, a jakąś godzinę później Erie wyszedł. Oskarżyciel nie ma nic więcej do dodania.
- Powiedziałas mu, że wiesz?

-Zawróciłam samochodem, żeby nie musieć przejeżdżać obok niego, a potem pojechałam najszybciej jak mogłam, by znaleźć się w domu przed nim. Musiałam to sobie przemyśleć. Z początku czułam się okropnie zraniona i wściekła. Potem zauważyłam, że wcale nie mam ochoty z nim zrywać. Nie nienawidziłam go. W pewien dziwny sposób rozumiałam go i mu współczułam.

- Więc nie zrobiłaś zupełnie nic?

- Olivia miała chłopaka, z którym na zmianę spotykała się i zrywała. Na imię miał David.

- Aha. Seks jako akt zemsty.

- Niezupełnie. Dopadłam go któregoś wieczoru sam na sam i go pocałowałam, sądząc, że jestem gotowa posunąć się dalej. Ale kiedy on oddał mi pocałunek, okazało się, że wcale nie jestem gotowa, więc tego nie zrobiłam. Powiedziałam: „Przepraszam cię, Davidzie, ale właśnie uzmysłowiłam sobie, dlaczego to robię i że nie jest to ani dobry powód, ani dobry pomysł”. Był miły i wyrozumiały. Niestety, nie trzymał buzi na kłódkę. To też stanowiło część tej klaustrofobicznej atmosfery, jaka tam panowała: każdy wyjawiał każdemu sekrety, nie opuszczając intymnych szczegółów. On miał takie poufne relacje z najlepszą przyjaciółką Olivii, Kit, więc jej właśnie się zwierzył.

- Kit od Katherine?

- Możliwe. Albo od Kathleen czy Kateriny, czy od setki innych imion. Po prostu nazywano ją Kit.

- Była jedną z kelnerek?

- Czasami podawała do stolików. Jednak przede wszystkim była

przyjaciółką OHvii. Kiedy Olivia była już u nas od kilku miesięcy, zjawiła się Kit. Wyglądała uderzająco z tymi jaskraworudymi włosami, jedynie odrobinę podfarbowanymi, dla subtelnego przyciemnienia i nadania im połysku, i z tymi wielkimi zielonymi oczyma. Miała piegi, ale świetnie sobie radziła z makijażem i jej skóra wyglądała na gładką i białą, jeśli nie liczyć rumieńców pod

295

kośćmi policzkowymi. Przychodziła i siadała przy barze, czasami w towarzystwie jednej czy dwóch innych dziewcząt, i czekała na Ołivię. Kiedy była z jakimś mężczyzną, zjadała z nim czasem kolację. W którymś momencie zaczęła zastępować przyjaciółkę. Olivia przyszła do mnie i spytała, czy byłoby to możliwe, gdyż ona musiała jechać do Ohio z jakichś rodzinnych powodów. Za pierwszym razem miałam wątpliwości, ale potem już nie. Najwyraźniej Kit pracowała już przedtem w dobrej restauracji i nauczyła się profesjonalnego zachowania. Była szybka, pracowita i kompetentna. Znała na pamięć menu Banque i mogła doradzać klientom. Potem wracała Olivia, a Kit ponownie pełniła tę swoją rolę ozdoby baru. Kiedy nie zastępowała OHvii, zachowywała się jak bogata panienka, której nie chce się nawet zrobić wysiłku, żeby się upić. Może zresztą była zamożna. Układ był taki, że cały czas płacimy OHvii. Nie wiem, jak się umówiły w sprawie napiwków Kit, bo w Banque były one większe od płacy. - Wendy zerknęła na Jacka, a on się domyślił, że sprawdza, czy on już wie.

- To właśnie ona? - spytał.
- To właśnie ona.
- Jesteś pewna, że nigdy nie znalazła się na twojej liście płac?

- Całkowicie pewna.
- Szkoda. Numer ubezpieczenia społecznego bardzo by nam pomógł. Nawet pełne imię i nazwisko. - Musiał wyciągnąć z niej to, co było dla niego ważne, ale zarazem nie chciał jej odwieść od wspomnień. Powinna dalej ciągnąć swoją opowieść. - Więc Kit powiedziała swojej najlepszej przyjaciółce OHvii, że flirtowałaś z Davidem.
- Więcej. W tamtym czasie byłam bardzo przejęta tą sytuacją.

Wyplakiwałam się przed Davidem i o wiele za dużo mówiłam.

Powiedziałam mu, że Erie zadaje się z Oli-vią i że doprowadza mnie to do szaleństwa i dlatego tak się wygłupiłam.

296

-1 on powiedział Kit, a Kit powiedziała OHvii.

- Kit powiedziała OHvii, że wiem o niej i moim narzeczonym, że szaleję z zazdrości i że przespałam się z jej chłopakiem, Davidem.
- Naprawdę?
- Tak. Postanowiła zemścić się na mnie za coś, czego zresztą nie zrobiłam.
- Rozgniewało cię to?
- Niespecjalnie. Tak naprawdę to było zabawne, bo tylko David i ja wiedzieliśmy, jak to rzeczywiście wyglądało. Ja wszystkiemu zaprzeczałam, a ludzie zakładali, że i tak bym zaprzeczała, niezależnie od tego, co się wydarzyło. On też zaprzeczał, ale oczywiście Olivia mu nie wierzyła. -Przez chwilę miała zadowolony, tęskny wyraz twarzy.
- Potem zaprzyjaźniłyśmy się z Kit. - Wyglądało na to, że coś sobie przypominała, bo się poprawiła. - W pewnym sensie. Ona wciąż była przede wszystkim przyjaciółką Oli-vii, ja zresztą też, ale miałyśmy

wspólną tajemnicę, o której Olivia nic nie wiedziała.

- Chwileczkę. Ciągłe przyjaźniłaś się z Olivią?
 - Nie od razu. Wtedy jeszcze jej nie cierpiałam. Olivia powiedziała Ericowi, że wiem o nich. Pewnej nocy wyjechałam z restauracji i zauważyłam, że Erie pojechał za mną do domu. Widziałam, jak się szykuje do wyjścia, ale założyłam, że wybiera się do OHvii. Tymczasem wjechał na nasz podjazd tuż po mnie. Usiedliśmy w salonie naszego nowego domu, który razem kupiliśmy i urządziliśmy, i rozmawialiśmy o tym, dlaczego nie powinniśmy się pobierać i co mamy zrobić z tą kłopotliwą sytuacją.
 - Czy to była kłótnia, czy byliście na to zbyt zasmuceni? - Nie mógł zapomnieć rozstania ze swoją żoną, Rosę, kiedy to wrócił do domu i po prostu znalazł jej kartkę informującą go, że wyjeżdża na jakiś czas i które z przyjaciół zgodziło się zaopiekować Holly do jego powrotu z pracy.
 - Rozmawialiśmy długo i oboje płakaliśmy, i obejmo-

297

waliśmy się, potem otworzyliśmy butelkę wyśmienitego koniaku, który trzymaliśmy na jakąś szczególnie ważną okazję, i spiliśmy się, i płakaliśmy, i znowu się tuliliśmy do siebie. Nie sądzę, byśmy podjęli jakąkolwiek decyzję poza wzajemnym oświadczeniem sobie, że nie jesteśmy w sobie zakochani. Ciągłe mieliśmy Banque. Każde z nas mogłoby porzucić tę restaurację, gdyby zrobiła klapę, tymczasem odniosła ogromny, niesamowity sukces. Nazwaliśmy ją Banque, bo mieściła się w budynku dawnego banku, jednak po czterech latach ona sama mogła być prawdziwym bankiem. Lokal nabrał takiej wartości, że żadne z nas nie

byłoby w stanie wykupić tego drugiego, a poza tym wszystko było zadłużone. Kupiliśmy ten budynek, więc był obciążony długiem hipotecznym. Kupiliśmy nasz nowy dom i też mieliśmy dług hipoteczny. Odejście Erica nie wchodziło w rachubę, bo to on był najważniejszy i przyciągał ludzi. Nigdy formalnie nie rozdzieliliśmy naszych udziałów w tym przedsięwzięciu, po prostu uznaliśmy, że jest wspólne. Zatem wszystko się zmieniło, a nic nie wyglądało inaczej.

- Masz na myśli to, że zostałam i w domu, i w restauracji? - Zbliżała się do tej części, którą zachowywała dotąd w tajemnicy, więc Till jedynie delikatnie zachęcał ją do mówienia.
- Tak. Erie przeniósł się do drugiej pod względem wielkości sypialni. I tak zresztą na ogół nie przychodził do domu, a kiedy już wracał, to o takiej porze, kiedy ja zbierałam się do wstawania. Naturalnie, wciąż pracowaliśmy w restauracji, ale nie razem. Moje zajęcia w ogromnej części były pracą dzienną... przyjmowanie dostaw, sporządzanie bilansów, wystawianie rachunków, sporządzanie list płac i rozliczanie podatków, nadzór nad dziennym personelem. Kiedy przychodził Erie, szedł prosto do kuchni. Czasami wchodził nawet drzwiami dla dostawców, tymi od tyłu, przy spiżarni. Możliwe, że nawet pracowaliśmy lepiej niż

298

przedtem... a już na pewno ja, bo nie miałam nic innego. A potem dramatyzm naszej sytuacji jakby się powoli ulatniał. To zdumiewające, do czego można się przyzwyczaić, jeśli człowiek jest tylko na tyle zajęty, żeby mieć przez cały czas umysł zwrócony na zewnątrz. Restauracja kwitła, pieniądze wpływały, a dni mijały. Upłynęło niewiele czasu, a znowu

staliśmy się sobie z Erikiem bliscy. Wciąż byliśmy współnikami i najlepszymi przyjaciółmi.

- Erie poświęcał czas OHvii. A jak wyglądało twoje życie towarzyskie?
- Po pracy wychodziłam z Kit, a kiedy Erie i Olivia zerwali ze sobą, ją też brałyśmy. Chodziłyśmy do nocnych klubów. Tańczyłyśmy, piłyśmy, dobrze się bawiłyśmy. Umówiłam się z kilkoma zupełnie nieodpowiednimi mężczyznami, jednak na ogół chodziłam się bawić z dziewczętami. Powiedziałam ci już, jak te dwie wyglądały. Wspaniale było znajdować się w ich towarzystwie. Wchodziłyśmy do klubu i mężczyźni po prostu do nich przyciągało, jakby nie mogli się powstrzymać. Przez pięć miesięcy każda noc była sylwestrem. I to ja nie miałam ochoty wracać do domu i wsuwałam didżejowi parę setek, żeby muzyka grała dłużej. Potem Kit spotkała pewnego mężczyznę i przestała bawić się z nami.
- Czy to cię powstrzymało?
- Nie. Dalej wychodziłam, czasami z OHvią, a czasami z innymi znajomymi kobietami. Chodziłam na przyjęcia. Cały ten okres widzę jak przez mgłę, częściowo dlatego, że pierwszy raz w życiu sporo piłam, a częściowo dlatego, że żyłam w przyspieszonym tempie, próbując cofnąć się o kilka lat i teraz przeżyć te, które zmarnowałam na Eri-ca. Chciałam być tam, gdzie rozbrzmiewa głośna muzyka.
- Miałaś jakieś plany na przyszłość? Co wtedy myślałaś?
- Od chwili, kiedy zeszedliśmy się z Erikiem, planowałam wszystko po kolei, wykańczałam się, żeby osiągnąć pewne cele i zbudować nasze życie na najlepszych, najsolidniej-

szych i najbardziej przewidywalnych podstawach. Kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, mogłam ci powiedzieć, co będę robiła w wieku czterdziestu jeden czy sześćdziesięciu jeden lat. Kiedy do mnie dotarło, że to było szalone, spróbowałam wypracować sobie nową strategię. Pamiętam tamten dzień, w którym postanowiłam wyjść za Eri-ca. Byłam wtedy z Olivią i wpadłyśmy właśnie na Kit.

- Gdzie?

-W Darkest Peru, w bok od Bulwaru Zachodzącego Słońca. Byłam tam z OHwią i może jeszcze jedną dziewczyną z Banąe. Nie widziałyśmy Kit od dobrego miesiąca. Weszłyśmy do toalety i tam ją zobaczyłyśmy, stała przed lustrem i poprawiała makijaż. Od razu ją zauważyłam. Kto inny mógłby mieć takie włosy? Wyglądała na uszczęśliwioną, że nas widzi. Powiedziała, że jest ze swoim chłopakiem. Właśnie zamierzali wyjść i on na nią czeka, ale chciałyby, żebyśmy go poznały. Wyszłyśmy z toalety i zaprowadziła nas do swojego stolika. Stało przy nim pięć krzeseł, ale siedział tylko jeden młody facet ze szklanką coli. Był dużym mężczyzną, ubranym w ciemną sportową marynarkę, która wyglądała na zbyt ciasną, bo była z cienkiej letniej tkaniny i uwydatniała jego bicepsy. Zobaczył nas z daleka i wstał. Uważałam, że jest przystojny, jeśliby nie zwracać uwagi na ten byczy kark. Trykotowa koszulka pod marynarką też nie wprawiała w zachwyt. Uśmiechnęłam się do niego, ale nie odwzajemnił uśmiechu, a Kit nawet nas sobie nie przedstawiła. Zapytała go jedynie: „Gdzie on jest?” Powiedziała to dość gniewnym tonem, bo czuła się wobec nas zażenowana. Zorientowałam się, że ten facet to goryl. Odpowiedział: „Wyszedł do samochodu. Musiał załatwić parę telefonów. Chodźmy”. W każdym razie coś w tym sensie. Widziałam, że kazano mu poczekać na Kit

i przyprowadzić ją, kiedy wyjdzie z toalety. Kit zawahała się, położyła dłoń na biodrze i zmarszczyła brwi. Po czym najwyraźniej z jakichś powo-

300

dów doszła do wniosku, że nie będzie stawiała sprawy na ostrzu noża. Powiedziała do nas: „Cóż, musi bardzo mu się spieszyć. Zorganizuję jakieś spotkanie, kiedy nie będzie odgrywał cholernego ważniaka”. W każdym razie posłusznie poszła z tym ochroniarzem. Till wiedział, że Ann dochodzi do sedna.

- Jakie wrażenie wywarł na tobie ten ochroniarz? Bałaś się go?
- Nie. W Banque mieliśmy wielu klientów ze świata rozrywki, więc byłam przyzwyczajona do takich postaci. Od czasów filmu niemego goryle byli niby wyposażenie dodatkowe dla ludzi Hollywoodu. I często zabierano ich do nocnych klubów. Bo w tych miejscach panowała pewnego rodzaju niegrzeczna atmosfera i oni tam pasowali.
- Co się wydarzyło po tamtej nocy?
 - Nawet o tym więcej nie myślałam. Ostatecznie nic się nie stało, po prostu nie doszło do jakiegoś spotkania. Zajął mnie zupełnie inna sprawa i tamto wyleciało mi z głowy.
- Jaka sprawa?
 - Błąd, jaki popełniłam. Związałam się z jednym z właścicieli galerii sztuki. Galerii, która wieszała obrazy na ścianach w Banque. Miał na imię Matthew. W tamtej chwili szukałam czegoś, co przewróci wszystko do góry nogami, więc koniecznie potrzebna mi była jakaś podnieta. To nią nie było.
 - Czym się skończył wasz związek? - Till wyczuwał, że jest w tym okresie jej życia coś, co ona uważała za przyczynę swoich problemów.

Słyszał tę litanie usprawiedliwień: nadmiar alkoholu, odwracanie uwagi, nieudane związki.

- Wiem, że nie ma nic zaskakującego w tym, co powiem, ale wszystko, co dotyczy sztuki, pachnie odrobinę oszustwem.

Till przyglądał się jej bacznie.

- A dokładnie jak wyglądało to oszustwo w wypadku

301

Matthew? Czy miało to coś wspólnego z tym, że jesteś córką Mossa Harpera?

- Ojej. Ktoś ci to powiedział czy też sam to sobie wykombinowałaś?
- Po prostu zgadłem.
- Poszłam na wernisaż do jego galerii. Matthew czarował obecnych, starając się coś sprzedać. Wśród gości było kilku artystów, którzy zjawili się dlatego, że Matthew był w tej dziedzinie osobą wpływową i mógł im pomóc, jednak publika składała się głównie z bogaczy. Uważali, że kupowanie dzieł sztuki jest szansą, by stać się częścią tego towarzystwa pomimo braku talentu, osobowości czy atrakcyjności. W pewnym momencie zauważyłam, że stoję obok bardzo wysokiego, pyzatego jegomościa, który pił i jadł, nie przerywając mówienia, a wyglądał jak zepsuty syn rzymskiego cesarza. Gapił się na mnie, jakby znał jakąś moją wstydliwą tajemnicę. Wreszcie nachylił się nade mną nieprzyjemnie blisko i wyszeptał do ucha: „Matthew mówi, że jest pani córką Mossa Harpera. To prawda?” To była jedna z tych chwil, kiedy kilkanaście różnych rzeczy, które dotąd zdawały się jedynie odrobinę na swoim miejscu, nagle pasuje do całej układanki. Nigdy nie powiedziałam Matthew, kim był mój ojciec. Ten temat w ogóle nie zaistniał.

Tymczasem Matthew używał mnie dla podniesienia statusu.

Stanowiłam ciekawostkę.

- Co zrobiłaś?

- Rzuciłam go i wpadłam w wir pracy. Dla mnie restauracja straciła swój urok tamtej nocy, kiedy przyłapałam Eri-ca na niewierności, ale nie miałam nic innego, czym mogłabym się zająć. Znałam się tylko na restauracjach. Erie był tak naprawdę jedyną osobą, z którą potrafiłam rozmawiać. Wszystko, co miałam, było powiązane z Banque. Więc zostałam. Jedyne zmiany, jakich dokonałam, to te bezpośrednio po zerwaniu zaręczyn z Erikiem. Podzieliłam długoterminowe lokaty bankowe na trzy części... jego,

302

moją i restauracyjną... i przestałam inwestować w restaurację. Każdemu z nas obojga wypłacałam pod koniec tygodnia połowę zysku netto. Zatem od tamtego czasu miałam stale narastające fundusze, większość ciągle w gotówce, którą trzymałam w kasie pancерnej w piwnicy naszego domu. Nie było w tym szczęścia, ale był to jakiś sposób na życie. Potem, pewnego wieczora na początku sierpnia, pierwszy raz go zobaczyłam i wszystko zaczęło się zmieniać.

- Mówisz o przyjacielu Kit?

Skinęła głową.

Till czekał, ale ona milczała.

- Masz rację, że się boisz. Jednak jedynym sposobem, żeby to zakończyć, jest przywołać i powiedzieć wszystko, i starać się wygrzebać z pamięci te rzeczy, których dotąd sobie nie przypomniałaś.

Uszła kawałek żwirową ścieżką. Nad nimi krążyły mewy z tej wysokiej skały.

- Restauracja była pełna przez cały wieczór. Erie lubił za mykać kuchnię o dziesiątej trzydzieści albo jedenastej, ale wtedy kucharzył aż do pierwszej. Chwilę później poszłam do baru i zobaczyłam tam Kit, na jej ulubionym miejscu, rozmawiającą z mężczyznami, jak zawsze. Już dawno jej nie widziałam. Może widziałam ją raz po tamtym spotkaniu w Darkest Peru, ale jeśli nawet, to nie rozmawialiśmy wtedy... uściskałyśmy się tylko i każda ruszyła w swoją stronę. Tym razem jednak usiadłam obok i gawędziłyśmy chwilę. Pamiętam, jak powiedziała, że niewiele wychodzi, bo jej przyjaciel wynajął letni dom na plaży, więc wyprawa do Banque wymaga za dużo wysiłku. Rzuciłam na to coś w rodzaju: „Powinnaś go zmusić, żeby częściej cię tu za bierał”. A ona mi wtedy powiedziała, że przyjechała tu sama, kiedy nie było go w domu, i stąd zadzwoniła do niego, więc może on wpadnie później. Tak to wyglądało. Ktoś mnie odwołał, musiałam ją zostawić.

303

- Widziałaś ją jeszcze tego wieczoru?
- Tylko z daleka. Tamtej nocy w lokalu panował nastrój jak na ogromnym cocktail party. Każdy miał ci do opowiedzenia jakąś historię albo chciał przedstawić przyjaciela, albo ktoś inny chciał ci się przypomnieć czy coś w tym sensie. Możliwe, że rozglądałam się później za nią i widziałam, że zajęta jest rozmową. Poszłam do kuchni,

żeby sprawdzić, czy Erie i jego załoga już skończyli i poszli.

Pomocnicy kelnerów, pomywacze i sprzątacze jeszcze tam byli, ale Erie i kucharze już wyszli. Stałam tam chwilę, gawędząc, nie spiesząc się, a potem tylnym wyjściem poszłam do samochodu. Za dnia, jeszcze przed pojawieniem się chłopców od odstawiania aut, stawałam zawsze na samym końcu parkingu. Przez ten czas, kiedy zwlekałam z wyjściem, restauracja już prawie opustoszała i zostało tylko parę aut. Kiedy szłam, przyjechał jakiś samochód. Pomyślałam, że to dziwne, bo było już tak późno, ale potem spojrzałam i doszłam do wniosku, że to limuzyna, która po kogoś przyjechała. Był to duży amerykański samochód, taki jak te, które wynajmowałam wczoraj, żeby mnie zawieźć do Los Angeles. Wjechał na parking i zatrzymał się, potem ustawił się przodem do wyjazdu i zgasił światła, silnik jednak wciąż pracował i widziałam zielone światełka na tablicy rozdzielczej. Otworzyły się drzwi z tyłu, wysiadł jakiś mężczyzna i po prostu tam stał.

- Jak wyglądał?

- Jak to mężczyzna. Około metra siedemdziesięciu wzrostu. Biały, dobrze po trzydziestce.

- Zamknij oczy i pomyśl o nim. Wyobraź sobie, że znowu go widzisz.

Czy czujesz coś w związku z jego osobą... niepokój, może strach?

- Nie. Irytację. Miałam już dość tej restauracyjnej atmosfery i nie chodzi o to, że musiałam jakoś przebrnąć przez ten miniony rok, po zerwaniu zaręczyn, miałam już dość tego konkretnego wieczoru. Tymczasem on, kiedy

tak sterczał nonszalancko obok swojej prowadzonej przez szofera,

częściowo blokującej wyjazd limuzyny, ucieleśniał wszystko, co najgorsze w Los Angeles.

- Więc wpatrywałaś się w niego i czułaś złość.
- Tak. Ubrany był w dzinsy i marynarkę, która, co mogłam stwierdzić nawet z daleka i w panującym półmroku, była doskonałej jakości, bo tak świetnie na nim leżała. Miał ciemne włosy, krótko ostrzyżone. Był szczupły, zgrabny i od razu wiedziałam, że ma osobistego trenera i żywieniowca, i co tam jeszcze, ale nie sprawiał wrażenia człowieka młodego. Zachowywał się jak ktoś starszy, trochę dziwaczny i niecierpliwy. Na początku było to jedynie coś w jego postawie, która była zarazem niedbała i wyrażająca wściekłość.
- Gdzieś patrzył? Na ciebie?
- Nie. Jeszcze nie. Widział mnie, ale stanowiłam dla niego jedynie fragment otoczenia. Spoglądał w stronę re-stauracji. Z miejsca, w którym stał, widział zapewne frontowe drzwi, a już na pewno narożnik budynku, zza którego wychodzili ludzie w drodze do swoich aut.
- Więc mogłaś zobaczyć jego twarz. Jak wyglądała?
- Właśnie między innymi wyraz jego twarzy nasunął mi podejrzenie, że nie jest taki młody, na jakiego wygląda. Widziałam to w sposobie, w jaki skóra okrywa kości twarzy. Nie było tam podkładu tłuszczu, więc skóra wydawała się cieńsza, jak to bywa u ludzi w średnim wieku. Był gładko ogolony, jakby nieco sztucznie opalony, choć szczerze mówiąc, nie wiem, na jakiej podstawie tak uważałam. Widzę go teraz, jak spogląda w kierunku drzwi frontowych, jak czeka.
- Powiedz mi wszystko, co zauważyłaś, wszystko, co sobie wtedy pomyślałaś.

-Otworzyły się drzwi frontowe restauracji... usłyszałam głosy, może chłopców sprzątających ze stolików w pobliżu wejścia, trzask zbieranych talerzy i przez ten mo-

305

ment, kiedy padało więcej światła, widziałam trochę lepiej jego twarz. Z ulicy dobiegł czyjś śmiech. Usłyszałam jakąś kobietę, potem jeszcze jedną, kilka niższych głosów. Grupa osób poszła w drugą stronę chodnikiem, więc ich nie widziałam. Tylko jedna wyszła zza rogu budynku i przecięła parking: Kit. Podeszła do mężczyzny z czarnego samochodu, powolnym, spacerowym krokiem, jakby się z nim przekomarzała. Wziął ją za ramię. Ale wiesz, to nie było nic przyjemnego. Ścisnął jej rękę, i po sposobie, w jaki ją trzymała, odgiętą od ciała, domyślałam się, że czuje ból. Ona jednak nie próbowała się wyrwać. Po prostu tam stała, tak jak dziecko, które coś przeszkrobało i rodzic je karci, przytrzymując za rękę. Stała ze spuszczonej oczyma i słuchała. Mówił coś do niej cichym głosem, z ustami bardzo blisko jej ucha. Nie podnosił głosu, ale mówił, otwierając szeroko usta, i po tym widziałam, że jest rozgniewany.

- Odpowiadała coś?

- Nie. Tylko patrzyła w dół, czekała, aż skończy, i wtedy ją uderzył.

Zaskoczyło ją to tak samo jak mnie, bo uderzenie pojawiło się dosłownie znikąd. Trzymał ją lewą ręką, tymczasem prawa się uniosła i wymierzyła jej policzek. Upuściła torebkę i przyłożyła dłoń do policzka, co go chyba jeszcze bardziej rozwścieczyło. Krzyknęłam: „Hej!” i ruszyłam w jej stronę. Zobaczyła mnie i zawołała: „Wszystko w porządku, Wendy. Nic mi nie jest”. Mężczyzna otworzył tylne drzwi limuzyny i wepchnął ją do środka, a potem na moment odwrócił się w

moją stronę. Ochroniarz, ten sam, którego już wcześniej widziałam, podniósł jej torebkę, znalazł w niej kluczyki od samochodu, truchtem ruszył do jej auta, wsiadł i wyjechał z parkingu. Przyjaciel Kit wsiadł do limuzyny i ruszyli za nim.

Till słuchał jej słów, jej tonu, jej zawahań, starając się wykryć miejsca, w których była niepewna, i te, gdzie coś opuszczała.

306

- Co zrobiłaś?

-Wróciłam do restauracji i zadzwoniłam na policję. Powiedziałam im, kim jestem i co się wydarzyło, a oni zaczęli zadawać mi pytania, na które nie znałam odpowiedzi. Nie znałam tego mężczyzny, nie wiedziałam, gdzie mieszka. Nie znałam adresu Kit. Wiedziałam jedynie, że jej nazwisko brzmi Stoddard. Nie zapisałam numeru rejestracyjnego samochodu. Posłałam kogoś po OHwie, ale ona już poszła do domu. Policja powiedziała, że przyślą radiowóz, więc się rozłączyłam. Zadzwoniłam do OHvii i powiedziałam, co się stało. Głos miała przestraszony, ale ona też nie знаła nazwiska tego mężczyzny. Kiedy przyjechali policjanci, co najmniej pół godziny później, musiałam im od nowa opowiadać całe zdarzenie, żeby usłyszeć na koniec, że niewiele mogą zrobić. Przekazali przez radio innym policjantom, by mieli oko na czarną limuzynę wiozącą mężczyznę z rudowłosą kobietą. Pojechałam więc do domu i próbowałam zasnąć.

- Zadzwoniłaś do nich nazajutrz, żeby sprawdzić, czy czegoś nie wiedzą?

- Tak. Skończyło się tym, że musiałam trzeci raz opowiedzieć całą historię, bo najwyraźniej gliniarz na dyżurze jeszcze jej nie słyszał.

Powiedział, że sprawdzi, czy ktoś czegoś nie odkrył, i że jeśli będzie coś nowego, zadzwoni do restauracji.

- Rozumiem, że nie zadzwonił.
- Nie. Ja zadzwoniłam ponownie do OHvii. Było około dziesiątej, kiedy się pojawiła i obgadałyśmy sytuację. Dzwoniła już z dziesięć razy do Kit, ale nikt nie odpowiadał. W końcu zabrała mnie do jej mieszkania w starej, ozdobionej Tillkami kamienicy w bok od ulicy Franklina. Wiesz, to jeden z tych domów z lat dwudziestych, z wysokimi, wąskimi drzwiami i mnóstwem łuków, tyle że ten nie został wyremontowany, jedynie pomalowany i jakoś połatany. Pamiętam, że nazwisko na skrzyn-

307

ce pocztowej nie należało do Kit. Olivia powiedziała, że do poprzedniej lokatorki, która się wyprowadziła, i właściciel podniósłby czynsz, gdyby o tym wiedział. Dzwoniłyśmy i pukałyśmy do drzwi, ale nie było jej w domu. Żadna z nas nie miała klucza, więc z początku nie miałyśmy jak wejść, ale zamek nie wyglądał na skomplikowany, więc Olivia wsunęła kartę kredytową pomiędzy drzwi i framugę i otworzyła. W środku było kurzu z co najmniej miesiąca i pachniało stęchlizną. Jedzenie w lodówce było nieświeże, a połowa roślin uschła. Zajrzałam do szafy i było tam mnóstwo ubrań, ale nie zobaczyłam tego, w którym widziałam ją poprzedniego wieczoru. Próbowaliśmy sobie przypomnieć z OHwią jej inne ulubione stroje i żadnego z nich w szafie nie było.

- Co według ciebie to oznaczało?
- Że wprowadziła się do faceta. To zresztą wynikało z rozmowy z nią. Wobec tego czekałyśmy. Nic się nie działo. Po kilku dniach

dzwonienia i zostawiania informacji w poczcie głosowej pojechałyśmy tam ponownie. Dostałyśmy się do mieszkania w taki sam sposób jak poprzednio. Ledwie otworzyłyśmy drzwi, od razu wiedziałam, że coś się zmieniło. Ten zapach.

•Jaki zapach?

•Proszku do czyszczenia. Z chlorem. I płynu do mycia szyb z amoniakiem, i jeszcze ten sosnowy zapach jakiegoś środka do mycia podłóg. To wszystko wymieszane ze sobą w czterech niewielkich pomieszczeniach. Rety, ależ tam było czysto. Zniknęły wszystkie rzeczy Kit, a całe mieszkanie wyszorowano. Nigdzie nie został nawet skrawek papieru. Wiem, bo się rozejrzałam, zresztą nie było niczego, na czym lub pod czym mógłby leżeć. Meble, które, czego Olivia była pewna, stanowiły wyposażenie tego mieszkania, też zniknęły. Nie zostało absolutnie nic. Jedynymi przedmiotami, jakie tam się znajdowały, były puszki z białą farbą, wałek, pędzel i niebieska plastikowa płachta.

308

•Widziałaś jakieś plamy czy ślady, które próbowano pokryć farbą?

•Nic. Ta farba w puszkach przestraszyła Olivię, bo pomyślała, że pewnie ktoś ją zostawił i poszedł po drabinę. Bała się, że wróci lada moment.

-Ary?

-Cóż, nie ma nic bardziej zaraźliwego od strachu. Zmuszał mnie on do ucieczki, a jednocześnie miałam wielką ochotę sprawdzić, czy ekipa sprzątaczy czegoś nie przegapiła. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie jest to kamienica, w której często zdarza się takie sprzątanie. Przy

głównym wejściu leżał stos starych egzemplarzy „LA Weekly”. Korytarzy od dawna nie malowano. Ostatecznie tylko dlatego mogliśmy sobie obejrzeć to mieszkanie, że zamek był zbyt tandetny, by nas dwie powstrzymać choćby przez dziesięć sekund. Zmusiłam Olivię, żeby mi pomogła przeszukać dosłownie wszystko: szufladki w kuchni, szafki, puste miejsca za dolnymi szufladkami, gdzie czasem coś wpada. Niczego nie zostawiono. Poszliśmy na tyły budynku, żeby zobaczyć, czy nie ma tam jakiejś rzucającej się w oczy kupy śmieci.

- Dlaczego byłaś taka skrupulatna?

- Bo to wielkie sprzątanie zupełnie nie pasowało do Kit. Olivia w kółko to powtarzała. Kit należała do tego typu osób, które nigdy nie odbierają zastawu za sprzątnięcie mieszkania. Jak coś jej nie odpowiadało, to po prostu odchodziła, zostawiając to, czego akurat nie potrzebowała.

Pomyślałam, że może przestała płacić czynsz i gospodarz wyrzucił wszystko, żeby zwolnić miejsce dla kolejnego lokatora.

- Brzmi sensownie. I co?

-Nic. Byliśmy w tym mieszkaniu ledwie tydzień wcześniej, więc szukałyśmy w śmieciach znajomych rzeczy: ubrań, które zostawiła w szafie, doniczek po zwiędłych roślinach, kalendarzyka na magnes z drzwi lodów-

309

ki. Nie znalazłyśmy ani jednej z tych rzeczy. Wróciłam do budynku, żeby pogadać z zarządcą. Nie był właścicielem. Podobnie jak wielu innych, był aktorem, który spędzał większość czasu na otwartych castingach albo na kursach. Zarządzanie takim budynkiem nie wymagało wielkiego wysiłku, a opłacało połowę jego własnego czynszu. Znał Kit z widzenia, ale myślał

o niej jako o Carolyn Styles, bo takie nazwisko było na skrzynce pocztowej i na umowie wynajmu. Była tam już, kiedy on się wprowadził, a nic nie słyszał o żadnym podnajmowaniu. Podał mi nazwisko i numer telefonu właściciela. Okazał się nim bardzo miły biznesmen z Korei. Nie miał nowego adresu Carolyn Styles, miał natomiast jej poprzedni adres oraz referencje od jej poprzednich gospodarzy.

- Dobra jesteś. Właśnie coś takiego robiłem ze sto razy.
- Cóż, mam nadzieję, że miałaś więcej szczęścia ode mnie. Bo po tych wszystkich rozmowach z osobami, które znały Kit, uzyskałam tyle: Kit Stoddard nie było jej prawdziwym imieniem i nazwiskiem. Wymyśliła je z agentką od castingów, niejaką Marti Cole, następnego dnia po przyjeździe do Los Angeles. Chciała być aktorką, więc musiała mieć coś takiego jak Kit Stoddard. Carolyn Styles poznała w biurze tej agentki.
- Też fałszywe nazwisko?
- Jasne.
- Wygląda na to, że agentka jechała według książki telefonicznej... STO, STY.
- Nie, ponieważ żadnego z tych nazwisk nie było w żadnej książce. Odnalazłam tę Marti Cole. Rzuciła swój interes i pracowała jako asystentka dyrektora od castingów w Southern Star Pictures. Powiedziała, że zamknęła biuro, bo nie było jej stać na ubezpieczenie zdrowotne... i to jej uświadomiło, że sobie nie radzi. Od dwóch lat nie widziała ani Kit, ani Carolyn Styles i już nie pamiętała, jak się naprawdę nazywały.

- W tym miejscu dałaś za wygraną?
 - Nie. Miałam poczucie, że muszę wiedzieć, czy u niej wszystko w porządku. Każdego wieczoru w restauracji rozmawiałam z ludźmi. Przeglądałam księgę rezerwacji, wyszukując nazwiska ludzi, którzy znali kiedyś Kit. Nocą zaglądałam do baru, sprawdzając, czy pojawił się ktoś, z kim ją tam widywałam. Pytałam ich o wszystko, co mi tylko przyszło na myśl. Jej prawdziwe nazwisko, skąd pochodziła, o jakikolwiek adres czy numer telefonu, cokolwiek na temat jej przyjaciela. Czy kiedyś miała jakąś konkretną pracę. Najbardziej zależało mi na tym, żeby spotkać kogoś, kto widział ją tamtego dnia albo w ogóle kiedykolwiek od tamtej nocy na parkingu.
- Dowiedziałaś się czegoś?
 - Niewiele. Wyglądało na to, że wszyscy pozostawali z Kit w takich samych stosunkach jak Olivia. Poznali ją w klubie albo w restauracji, albo na przyjęciu. Zawsze sądzili, że jest czyjąś serdeczną przyjaciółką, a potem, kiedy rozmawiałam z tą drugą osobą, okazywało się, że ta też niewiele o niej wie. Kiloro wiedziało, że chciała zostać aktorką, ale nikt nie pamiętał, by w czymś zagrała. Niektórzy myśleli, że jest modelką. Znałam pewnego fotografa, niejakiego Jimmy'ego Shannona. Zadzwoiłam do niego, a on polecił jednej ze swoich asystentek sprawdzić w agencjach. W żadnej nigdy o niej nie słyszano, a w Stowarzyszeniu Aktorów Filmowych już wcześniej sprawdziłam sama. Mimo całej tej pracy nie znalazłam nikogo, kto powiedziałby mi więcej niż Olivia tamtego pierwszego dnia.
- A co Olivia robiła przez ten czas? Pomagała ci?
 - Na początku tak. Spędziłyśmy nawet wiele dni, razem jeżdżąc po

nadmorskich miastach wypoczynkowych od Ventura do Newport, zaglądając do domków na plaży, apartamentowców z własnościowymi i wynajmowanymi mieszkaniami. Rozglądałyśmy się za jej rudymi włosami

311

albo za jego czarnym samochodem. Oczywiście było to zadanie niewykonalne. A potem Oli via odeszła.

- Odeszła?
- Tak. Wyjechała.
- Dlaczego? Powiedziała?
 - Cóż, Olivia wciąż pracowała w Banque. Sprawa z Edkiem dobiegła końca. David, jej dawny chłopak, ciągle był nią zainteresowany, ale nie miał poważnych zamiarów. Lubił po prostu od czasu do czasu się z nią przespać. Zaczęła dokuczać jej panująca w restauracji atmosfera, podobnie zresztą jak mnie. A poza tym bała się. Już tego pierwszego wieczoru zaczęłyśmy nasze starania z poczuciem, że historia Kit nie będzie miała szczęśliwego zakończenia. Z czasem byliśmy o tym coraz bardziej przekonane. Ponownie udałyśmy się na policję, ale domyślasz się, jak daleko nas to zaprowadziło.
 - Jasne. Ładna młoda kobieta przyjechała do Los Angeles w nadziei, że zostanie aktorką. Zmieniła nazwisko, spotykała się z bogatymi mężczyznami, a potem się wyprowadziła i pozostawiła za sobą wysprzątane mieszkanie.
 - No cóż, nie można powiedzieć, żeby policja się specjalnie przejęła. To źle wpłynęło na OHwię.
 - W jaki sposób?

-Coraz bardziej się bała. Żałowała, że zostawiła te wszystkie wiadomości w poczcie głosowej Kit. Uważała, że jej facet nas dorwie i wykończy, żeby zamknąć nam usta.

- Czy powiedziała o tym innym ludziom albo przedsięwzięła jakieś środki ostrożności?
- Zawsze spoglądała przez ramię za siebie, nigdy też nie wychodziła sama z restauracji. Potem, pewnego wieczoru, kiedy spodziewałam się jej w pracy, zadzwoniła. Powiedziała, że dzwoni z lotniska. Wyjeżdżała, bo zmęczył ją ten nieustanny lęk.

312

- Czy przyszło ci do głowy, że może zmuszono ją, by do ciebie zadzwoniła i powiedziała, że wyjeżdża?
- Oczywiście. Wtedy już sama miałam podobną paranoję jak ona. Słyszałam jednak w tle zapowiedzi lotów... bełkot o wchodzeniu na pokład i niepozostawianiu bagażu bez opieki. Głos miała spokojny, może nawet zadowolony w związku z tym, że wyjeżdża. Więc doszłam do wniosku, że nic jej nie jest.
- W porządku. Zatem zostałaś sama.

-Zgadza się. Nawet gorzej. Erie miał wtedy trzecią przyjaciółkę, więc nie było go nigdzie pod ręką, żebym mogła z nim pogadać. Tygodnie mojego prywatnego śledztwa i dopytywania się o Kit trzymały mnie z dala od restauracji. Zaczęłam mieć uczucie, że cały ten klimat, charakterystyczny dla Banque, przestał istnieć. Nie chodziło o to, że Kit, która stała się moją przyjaciółką, oraz Olivia, która była z nami od samego początku, zniknęły. Zauważyłam po prostu, że to, co się działo, nie było prawdziwe. Każdy był aktorem albo modelem. Przez cały czas

podawaliśmy gościom potrawy do stolików i trunki przy barze, jednak wszyscy udawaliśmy, że to nie dzieje się naprawdę. Przez jakiś czas Erie i ja byliśmy przed tym zabezpieczeni, bo mieliśmy naszą własną fantazję. Dla Erica ona ciągle działała, był prawdziwym kuchmistrem, ale mnie to już nie dotyczyło. Nie będąc z nim, pozostałam po prostu dwudziestodziewięcioletnią kobietą, od dziesięciu lat pracującą osiemnaście godzin na dobę, zajmującą się sprawami, które nigdy nie staną się łatwiejsze ani nie dadzą mi żadnej życiowej szansy.

Zbliżała się do tego wieczoru, kiedy ją zaatakowano, i Till chciał, żeby do tego miejsca dotarła, czuł jednak, że ona opuszcza coś z tego, co się wydarzyło.

- Zrobiłaś coś w tej sprawie?

- Co masz na myśli?

- Sprawdzenie rynku pracy, zastanowienie się nad

313

przeniesieniem do innego miasta czy telefon do przyjaciół w innej części kraju.

- Nie zdążyłam. Ledwie tydzień później wróciłam do domu z restauracji, a tam czekał na mnie ten człowiek z kijem bejsbolowym.

- I nigdy wcześniej go nie widziałaś? Nie odpowiedziała od razu, odwróciła na chwilę wzrok.

- Widziałam go. Kłamałam w tej sprawie. To ten goryl, który czekał wtedy przy stoliku w klubie, kiedy spotkałam Kit.

Till musiał uważać, żeby nie okazać entuzjazmu z powodu jej wyznania

ani nie zdradzić, że już z pierwotnego opisu domyślał się, że napastnikiem mógł być tamten ochroniarz. Wreszcie zaczęła mówić prawdę.

- Mówił coś?
- Ja się odezwałam. Spytałam, o co chodzi. On milczał.
- A potem?
 - Zaczął mi wymierzać ciosy, po czym go odstraszone. Przyjechał Erie, a tuż za nim drugi samochód. Sądzę, że udało mi się przeżyć, bo były to dwa samochody naraz. Mogło się wydawać, że jest więcej aut i wiele osób.
- Kto przyjechał tym drugim samochodem?

-To chyba najlepszy dowcip. Po prostu najświeższa panienska Erica. Przyjechała do restauracji, żeby na noc pojechać z nim do domu, tyle że potrzebny był jej na rano własny samochód. Uratowała mi życie. Już zadano mi kilka uderzeń i leżałam na ziemi. Wiedziałam, że nie będę w stanie uciekać ani walczyć. I nagle, ni stąd, ni zowąd, pojawiły się te światła reflektorów i napastnik uciekł.

Poszła przodem w stronę skały i teraz byli już u jej podnóża, ona jednak trzymała się kilka kroków przed nim, więc Till nie mógł z nią rozmawiać, ponieważ w pobliżu kręcili się turyści. Ich rozmowa jeszcze się nie skończyła, została jedynie przerwana na jakiś czas i oboje o tym wie-

314

dzieli. Dokonała już pierwszego kluczowego wyznania: kłamała, mówiąc, że nie wie nic o napastniku. Teraz Till musiał koniecznie utrzymać jej zaufanie do siebie i znaleźć sposób, by opowiedziała mu resztę.

Kontynuował ten spacer, a popołudnie spędził, towarzysząc jej w sklepach. Przez cały dzień bacznie ją obserwował, czekając na moment,

kiedy podejmie przerwana rozmowę, ale tego nie zrobiła. Raz, kiedy szli ulicą z dala od innych przechodniów, odezwał się:

-Ann?

- Już nie jestem Ann.

- A kim jesteś?

- Nie mam w tej chwili wyboru. Muszę być Wendy. Kiedy udawała, że robi zakupy, by powstrzymać go od

dalszego wypytywania, Till wykorzystał ten czas na przemyślenie innych aspektów problemu. Musiał *utrzymać* ją przy życiu. Kiedy wrócili do hotelu, poczekał, aż ona znajdzie się w swoim pokoju, i wyciągnął telefon komórkowy. Wybrał numer, który tak dobrze znał, i rzucił:

- Poproszę sierżanta Poliakoffa.

ROZDZIAŁ 30

W gęstym ruchu na autostradzie Paul włókł się wypożyczonym samochodem w kierunku grupy wysokich budynków centrum. Była dopiero czwarta, ale wyglądało na to, że godzina szczytu ciągle zaczyna się coraz wcześniej i wcześniej. Odwrócił wzrok od jezdni przed autem i spojrzał na Sylvie. Była dzisiaj bardzo spokojna. Miał nadzieję, że nie spiera się z nim, ponieważ rozumie jego trudne położenie, a nie rozmyśla sobie o tym, jak bardzo ją rozczarował. Był niemal pewien, że zachowuje sobie w pamięci pełną listę jego przewinień i w myślach wy-próbowuje różne warianty wytknięcia ich, by ostatecznie użyć tego, który sprawi mu najwięcej bólu. Paul potrafił -zresztą bez najmniejszego trudu -

lekceważyć opinię większości ludzi, jednak wobec Sylvie pod tym względem był bezbronny. Po piętnastu latach najbardziej intymnego związku z kobietą trudno mężczyźnie powiedzieć sobie, że ona niewiele o nim wie.

Spróbował skierować jej myśli na inne tory, zmusić ją, by wróciła do chwili obecnej, celów, jakie mieli przed sobą.

- Przynajmniej mogliśmy zatrzymać się w domu i trochę przespać. Jesteśmy wypoczęci i gotowi. To jeszcze może okazać się dość łatwe.
- Nie przejmuj się. Nie mam do ciebie pretensji. Nadal będziesz mnie mógł bzykać.

Roześmiał się, bardziej z ulgą niż rozbawiony. Sylvie

316

potrafiła w nieprzyjemnie wnikliwy sposób komentować niedorzeczności związku mężczyzny i kobiety. Spróbował podnieść temperaturę uczuć.

-No cóż, i tak mi przykro. Nie robię tego z własnej ochoty. Wolałbym wieść cię na lotnisko i wsiąść z tobą do samolotu lecącego do Madrytu... tego Air France/Delta, który odlatuje mniej więcej w porze kolacji.

Milcząc, wpatrywała się w niego.

- Wiem.
- Może zrobimy to natychmiast po zakończeniu roboty.
- Może będziemy musieli.
- Nie martw się. Sytuacja może nie jest dobra, ale my jesteśmy dobrzy.
- Zrobię, co w mojej mocy - oświadczyła, ostrożnie dobierając słowa - żeby cała ta sprawa zakończyła się tak, jak powinna. Potem jednak musimy uważać, na co się godzimy... i dla kogo.

- Będziemy. To jest przypadek szczególny. Densmore...
- On rnie właśnie martwi - rzuciła ostro. - Wiem, dlaczego znaleźliśmy się w sytuacji, w której musimy skończyć dla niego tę robotę. Ale nie wolno zapominać, że nie powiedział nam prawdy.
- Płaci nam dwa razy więcej, niż pierwotnie uzgodniliśmy.
- Zmusza nas, żebyśmy zrobili coś, czego nie chcemy zrobić. - Znowu wlepiła oczy w Paula. - Prawda? Mam rację?

Paul dostrzegł pułapkę i był niemalże wdzięczny, że zastawiła ją tak otwarcie, pozwalając mu ją dostrzec.

- No cóż, taa.
- Nie zamierzam być sługuską Densmore'a.
- Kiedy wykonamy to zlecenie i odbierzemy honorarium, będzie to ostatnia rzecz, jaką dla niego robiliśmy.
- Mam nadzieję.
- Tak będzie - obiecał. Po jej tonie wiedział, że sobie to dobrze zapamięta i zmusi go do dotrzymania słowa.

317

Szkoda mu było stracić Densmore'a, który przez osiem lat był idealnym pośrednikiem. Densmore stał między nimi a klientami, odbierał od nich pieniądze i utrzymywał w takim strachu, że nikt nigdy nie wygadał się policji. Wielka szkoda, ale Sylvie ma rację. Densmore zaczął sobie za dużo wyobrazać. Tym razem powiedział klientowi, kim oni są. Tłumaczył się, że to taki klient, który nigdy, w żadnych okolicznościach nic policji nie powie. Tymczasem w obowiązującej od lat umowie nie było słowa o tym, że klient nic nie powie, tylko że klient nie może nic powiedzieć, bo nic nie

wie.

Paul jechał Tempie Street, minął wyglądający jak forteca gmach katedry Our Lady of the Angels i budynek Sądu Najwyższego. Widział też błyszczące krzywizny nierdzewnej stali Disney Concert Hall.

- Dobra. Oto i on - oświadczył. - Budynek, do którego się zbliżamy, to właśnie numer 210 przy West Tempie. Biuro zastępcy prokuratora generalnego, zajmującego się tą sprawą, mieści się na górze, my jednak musimy się dokładnie przyjrzeć wejściom i oknom.
- Właśnie to robię. - Sylvie przyglądała się bacznie wszystkiemu, co miała w zasięgu oka, siedząc w samochodzie. Trudno było ocenić system zabezpieczenia tego rodzaju budynku, ponieważ wraz z całym sąsiedztwem tworzył kompleks sądowy. W budynkach roiło się od woźnych sądowych, szeryfów federalnych i zastępców szeryfów. Na wszystkich korytarzach strażnicy pilnowali, by nikt nie wszedł do środka uzbrojony, ale na pewno byli też inni ludzie należący do ochrony, których nie było widać. Największe niebezpieczeństwo wynikało z tego, że w zwykły dzień przychodziło tu w sprawach służbowych bardzo wielu uzbrojonych policjantów, mnóstwo z nich w cywilu. Budynek przesunął się za oknem auta i Paul skręcił za najbliższy róg.

Sylvie widziała odległy o przecznicę dwudziestopiętro-

318

wy biały prostopadłościan hotelu New Otani. Wyróżniał się spośród innych wieżowców centrum miasta. W takim miejscu niełatwo było działać. Za dnia panował tam ożywiony ruch i mnóstwo przechodniów kręciło się wokół budynków sądowych, katedry, Muzeum Sztuki Współ-

czesnej, Disney Concert Hall oraz na placu przed Dorothy Chandler Pavilion. Natomiast godzinę po zakończeniu wieczornych imprez kulturalnych okolica się wyludniała. Wnętrza dużych hoteli - Biltmore, Bonaventure, Otani - tętniły życiem, które nie przenosiło się na otaczające je ulice. Ludzie zostawiali samochody w garażach podziemnych albo na wielopoziomowych parkingach, tak że mało kto parkował na ulicy. Nie było tu wielu stałych mieszkańców. Zbudowano kilka nowych apartamentowców i było dużo gadania o adaptacji pomieszczeń w starych budynkach, ale na razie nie zauważyła, żeby coś takiego powstało.

Siedziała w milczeniu, kiedy Paul podjeżdżał pod wejście New Otani. Pojawił się portier z wózkiem, na który włożył ich bagaże, a kolejny pracownik odprowadził samochód. Weszła z Paulem do środka i usiadła na kanapie w holu, a on poszedł odebrać klucze z recepcji.

Sylvie wcześniej zarezerwowała pokój, wykorzystując swój najlepszy głos sekretarki, i uzyskała specjalną stawkę dla prawników. Strona internetowa gwarantowała pokoje w odległości paru kroków od sądów stanowych i federalnych, zapewniając funkcjonalne miejsce do pracy oraz sale sztabowe wyposażone w stoły konferencyjne, faksy, terminale komputerowe, kopiarki i niszczarki. Dzisiaj Paul był mecenasem Peterem Harkinem, a Sylvie jego małżonką, Sarah Harkin. Przyjechali z Charlotte w Karolinie Północnej. Peter miał włosy dystyngowanie przyprószone siwizną i stosowne wąsiki, a blond włosy Sarah, były w odcieniu akurat takim, by mogły uchodzić za dzieło natury, a niekoniecznie efekt zabiegów fryzjerskich.

wprowadzały w błąd, bo większość kamer monitorujących umieszczona była wysoko. Już teraz czuła, że jej blond peruka jest ciasna i niewygodna. Przypomniało jej to film nakręcony przez Cherie Will, zatytułowany „Pośród blondynek”. Sylvie i trzy inne aktorki grały cheerleaderki, które przyjechały z Teksasu do Pasadeny z okazji rozgrywek futbolowych Rose Bowl i przegapiły autobus swojej drużyny. Ona i dwie inne dziewczyny musiały występować w blond perukach i było to dla niej okropne. Kiedy już Cherie miała jakiś pomysł na film, to nawet jeśli trzeba byłoby rozjechać aktorów ciężarówką, nie miałyby to dla niej znaczenia, byle tylko zrobiono to szybko i tanio.

Sylvie wypełniała czas, rozglądając się po westybulu. Był bardzo przestronny, z mnóstwem zakamarków i antresolą, wszystko w kolorze beżowym. W saloniku z długim marmurowym kontuarem stały stoliki i krzesła, a na jego końcach wystrzeliwały w górę jaskrawoczerwone kwietne aranżacje.

Paul odszedł od recepcji i Sylvie poszła z nim do windy.

- Jakies problemy z pokojem? - spytała.

Pokręcił przecząco głową. Dołączył do nich boy hotelowy i z dalszą rozmową musieli jakiś czas poczekać. Przy rezerwacji Sylvie zażyczyła sobie, by pokój wychodził na północ i był położony na tyle wysoko, żeby można z niego było oglądać panoramę miasta. Nie ośmieliła się podać bardziej szczegółowych wymagań. W hotelu było przeszło czterysta pokoi, więc co najmniej osiemdziesiąt z nich odpowiadało ich potrzebom.

Pojechali na piętnaste piętro. Szli za boyem ze wzrokiem wbitym w dywanową wykładzinę, jakby pilnowali, żeby ich bagaż nie spadł z wózka. Dzięki temu ich twarze były niewidoczne dla kamer

monitorujących korytarz. Kiedy doszli do drzwi właściwego pokoju, portier otwo-

320

rzył je, a oni musieli jeszcze się poddać standardowemu rytuałowi oprowadzania po pomieszczeniach. Ale kiedy zaczął recytować listę hotelowych usług, Paul włożył mu w rękę banknot.

- Dzięki, byliśmy już tutaj - powiedział.

Mężczyzna wyszedł.

Sylvie zamknęła drzwi na klucz, stała przy nich i nasłuchiwała. Kiedy usłyszała, jak kółka wózka zjeżdżają z wykładziny na podłogę przy windzie, zdjęła blond perukę, siatkę i potrząsnęła głową, żeby jej własne włosy mogły się swobodnie rozsypać.

•Ojej - mruknęła. - Tylko dotknij mojego karku. Paul posłusznie dotknął.

•Spocony. - Pocałował ją w to miejsce.

Przeszedł ją dreszcz. Zawsze miała wrażliwą na dotyk skórę na karku, wręcz czułą. Znowu zaskoczyła ją intensywność tego doznania. Pocierała dłonią to miejsce, obserwując, jak Paul kładzie na łóżku dwie ciężkie walizki. Poczekala, aż je otworzy, po czym wyjęła złożone ubrania, żeby mu nie przeszkadzały, kiedy będzie wyciągał części dwóch karabinów. Złożył pierwszy. Zdecydował się użyć remingtonów, które wczoraj wyczyścił. Paul zawsze powtarzał, że trzystaósemka to kaliber z wydanym przez sam rząd świadectwem zdolności uśmiercania ludzi, bo przecież używają ich snajperzy FBI. Ona i Paul zamierzali przeszyć tylko jednym nabojem ciało jednej małej kobiety.

Paul na stoliku przy oknie zamontował przenośny teleskop. Przyłożył

oko do okularu.

- Prawie idealnie - oświadczył. - Widzę krawężnik, chodnik, frontowe schody, drzwi i po trzydzieści metrów terenu z obu stron. Mogę zajrzeć do okien. Popatrz.

Podeszła do stolika i zajęła jego miejsce.

- Wspaniały widok. Jakiś facet siedzi na ławce przy stanku autobusowego i widzę kurze łapki na jego twarzy. - Zamilkła. - Oj. Już nie. Zakłada okulary przeciw-

321

słoneczne. - Wyprostowała się i podeszła do okna, żeby zobaczyć to samo bez powiększenia.

- Jak się cofniesz trochę od okna, to cię będzie trudniej zobaczyć.

Wycofała się. Oczywiście miał rację, ale żałowała, że się odezwał. Ta potrzeba zaznaczania swojego autorytetu tkwiąca w mężczyznach, obstawania przy swoim, instruowania, doprowadzała człowieka do szału. Podeszła do łóżka, rozłożyła te parę rzeczy do ubrania, jakie ze sobą zabrali, i powiesiła je w szafie. Potem wzięła jeden z karabinów, podniosła do ramienia i spojrzała przez lunetę na budynek Prokuratury Okręgowej. Luneta była nowym modelem Weavera V16 Classic, z soczewką o regulowanej zdolności powiększania od cztero- do szesnastokrotnej. Nastawiła krzyż celowniczy na frontowe wejście i doszła do wniosku, że luneta jest w sam raz odpowiednia na strzał z takiej dużej odległości.

Paul był zajęty montowaniem lunety noktowizyjnej na drugim karabinie. Była ona trudniejsza w użyciu, przy celowaniu, i w dodatku wszystko miało zieloną poświatę. Użyją jej jedynie wtedy, jeśli dziewczyna pojawi się nocą, bo niby dlaczego miałyby tego nie zrobić?

Byłoby niemądrze z jej strony przyjechać o innej porze i postąpiłaby głupio, nie używając jakiegoś przebrania. Jeśli przywiezie ją policja, to będą się z nią obchodzić jak ze świadkiem chronionym. Zjawi się w towarzystwie trzech rosyłych gliniarzy, wszyscy ubrani w kamizelki kuloodporne i w zbyt obszerne kurtki. Otoczą ją i pospiesznie wprowadzą do budynku.

Przygotowania Paula były pedantyczne, po części dlatego, że starał się pokonać fatum, które zdawało się wisieć nad tym zleceniem.

Skrupulatność była również racjonalną reakcją na ryzykowne miejsce i porę zabójstwa. Sylvie bawiła się lunetą, spoglądając na spokojną ulicę tak odległą od niej. Ustawiła krzyż celowniczy na mężczyznę

322

siedzącego na przystanku, ale nadjechał autobus i zasłonił cel. Bok autobusu zdobiła jakaś reklama, przesunęła więc celownik na przedni ząb ukazanej tam w półleżącej pozie modelki.

- Nadchodzi dwunasty sierpnia, zaraz spadnie rój Perseidów - powiedziała na głos. - Bum. - Autobus odjechał, a mężczyzna wciąż tam tkwił, siedział na ławce jak przedtem. Był postawny, szeroki w barach i z zaczątkami brzucha. Podniósł gazetę i wyglądało na to, że ją czyta. Obserwując go, jeździła krzyżem celowniczym po jego ciele, umieściła go na małym metalowym nosku jego okularów przeciwsłonecznych, potem na nosie i wreszcie na czole. Oglądając go z tak wysoka, wprost nie mogła oderwać oczu od trójkątka włosów zarastających środek jego czoła. Włosy kończyły się ostrym szpicem, po którego bokach błyszczały łysiejące skronie, odbijając słoneczne promienie późnego popołudnia.

- Czy ten facet na ławce nie wygląda ci na gliniarza?
- Ten w sportowej kurtce? - spytał Paul.
- Tak. Widzisz go?

Paul dokonał drobniautkiej korekty teleskopu.

- Za pomocą tego urządzenia mogę czytać w jego myślach. Taa. -
Przyglądał się mężczyźnie jeszcze przez kilka sekund. - Może być. To
znaczy, co by inaczej tutaj robił? Tacy jak on faceci nie jeżdżą
autobusami, tylko swoimi samochodami.
- Może mu nie wolno - podsunęła Sylvie. - Siedzi tuż przed biurem
prokuratora okręgowego. A może zabrano mu prawo jazdy za jazdę po
pijaku.
- Nie mam pojęcia - powiedział Paul. - Chodź tutaj i obserwuj go przez
teleskop.

Położyła karabin na kanapie i podeszła do stolika przy oknie. Przyłożyła
oko do okularu.

- Co robisz? - zapytała.
- Chcę mieć wszystko gotowe. Widzisz coś na nim?

323

Krótkofalówkę albo kurtkę odstającą tam, gdzie nie powinna?

- A może wielką złotą odznakę? - zadrwiła. - Niczego takiego nie widzę.
Nie nosi kamizelki kuloodpornej, bo widzę jego bandzioch. Żadnej
słuchaweczki w uchu.
- Sprawdź buty.
- Dobry pomysł. - Przesadziła z opuszczeniem instrumentu i gość
zniknął. Uniosła troszkę teleskop i przyjrzała się uważnie obuwiu

mężczyzny. - To chyba nie są buty policyjne. Bardziej przypominają twoje półbuty.

-Więc to pewnie nie glina. Kosztowały mnie trzysta dolców.

•Nic nie powiedziałaś.

•Przeoczenie.

•Jasne. Kiedy ja wydaję tak dużo na swoje, zachowujesz się, jakby cię pchnięto nożem.

•Te są lecznicze. Chronią przed zapaleniem powięzi podeszwy i zapobiegają bolesności mięśni piszczelowych.

•Jesteś gotowy?

•Oba karabiny są ustawione i załadowane. Jeśli ten facet na dole to czujka i oni pojawią się już teraz, to przynajmniej będziemy mieć cel jak na dłoni. Miej na niego oko. Jeśli cokolwiek zrobi, może to być sygnałem dla nich, że wszystko w porządku i mają wchodzić.

•Patrzy na zegarek. Teraz się podnosi. Idzie. - Milczała przez kilka sekund. - Poza tym nic się nie dzieje. To pewnie fałszywy alarm.

•Świetnie. Możesz jeszcze przez chwilę trzymać wartę? Chcę przygotować resztę.

•Jasne.

Usiadła przy stoliku i obserwowała fronton budynku. Była świadoma, że Paul kręci się na obrzeżach jej pola widzenia, wyjmując z walizek dwa policyjne mundury. Położył je na łóżku i sprawdził. Nad lewą kieszenią każdego z nich przypięta była odznaka, plakietka z nazwiskiem

324

nad prawą. Przy każdym położył czarny skórzany pas służbowy. Mundury

razem z kajdankami, puszkami aerozolu pieprzowego, magazynkami z amunicją i bronią krótką wyglądały pokaźnie. Czarne buty postawił na podłodze przy nogach łóżka. Paul był dużo porządniejszy od niej. Już dawno przestała udawać, że jest równie porządna jak on, i od tamtej pory koncentrowała się na zabieraniu mu sprzed nosa swoich rzeczy.

- Jest drugi - oznajmiła.
- Co takiego?
 - Gość, którego obserwowaliśmy, poszedł sobie. Teraz na tym samym miejscu jest inny. Też ma sportową marynarkę i krawat. Ten nie siedzi. Stoi.
 - Niech zobaczę. - Paul stanął nad nią, a ona odchyliła się od stolika, żeby mógł spojrzeć przez teleskop. - Dziwne. Ten też nie wygląda na takiego, co to czeka na autobus. Idzie teraz w stronę narożnika budynku. Teraz tam stoi.
 - Nie sądzisz, że to może mieć coś wspólnego z bezpieczeństwem narodowym... ochroną budynków sądowych przed terrorystami?
 - Mam cholerną nadzieję, że nie, ale to możliwe. - Patrzył przez teleskop. - Popilnuję przez jakiś czas tego faceta. Możesz sobie odpocząć.

Przez resztę dnia jedno z nich siedziało zawsze przy stoliku obok okna, wpatrując się w wejście do budynku Prokuratury Okręgowej. Zmieniali się co dwie godziny. Za każdym razem, kiedy Sylvie wracała do okna, widziała jednego z tych dwóch mężczyzn w sportowych marynarkach.

Mężczyźni ci nie pełnili służby dłużej niż godzinę, nie siedzieli w miejscu, tylko się kręcili po okolicy i dlatego nie mogła ich natychmiast odnaleźć. Zaczęła się bawić tym wypatrywaniem. Czasami mężczyzna był

za jednym lub drugim narożnikiem budynku, akurat w takiej odległości, by móc się odwrócić i udawać, że w ogóle się nie

325

wpatruje w Tempie Street. Raz jej się zgubił, odnalazła go jednak dziesięć minut później po przeciwnej stronie ulicy, jak wychodził z innego budynku, zza szklanych drzwi, skąd obserwował ulicę.

O szóstej włożyła perukę i strój Sarah Harkin i w restauracji przy tej samej ulicy kupiła obiad na wynos. W hotelu było pięć dobrych restauracji, ale nie chcąc przyciągać uwagi zbyt wielu gości i personelu, zjechała windą znajdującą się na tyłach budynku. Kiedy wróciła, poszła schodami na drugie piętro i stamtąd dopiero pojechała na górę windą.

Podczas pierwszej wieczornej zmiany rzadko używała lunety noktowizyjnej. Po kilku minutach zielona poświata wywoływała u niej ból głowy, poza tym wiedziała, że nie jest jej ona potrzebna. Nie mogła przecież przegapić podjeżdżającego pod budynek samochodu i wysiadających z niego pasażerów.

Pory odpoczynku były jeszcze gorsze od okresów czuwania. Paul wpadł w swój milczący nastrój, co całkowicie pozbawiało ją jego towarzystwa, a nie włączała telewizora, by w jego świetle sylwetka Paula nie stała się widoczna. Zresztą miała zmęczone oczy. O dziesiątej mąż przedłużył zmiany do trzech godzin, więc mogła się przespać.

Większość łóżka była zajęta przez mundury, położyła się więc na skraju. Ciemność i cisza natychmiast ją uśpiły. O pierwszej Paul potrząsnął nią łagodnie. W końcu otworzyła oczy.

- Mam nadzieję, że to robota na jedną dobę - powiedziała.
- Tylko się mocno staraj. Obudź mnie o czwartej, chyba że coś się

wydarzy. Jeśli stwierdzisz, że oczy ci się zamykają, ściągnij mnie.

- W porządku. Już się chyba rozbudziłam. Gdzie są ci dwaj faceci? -
Postawiła stopy na podłodze i przeciągnęła się.

326

- Nie wiem. Chyba w budynku albo w samochodzie
gdzieś w pobliżu.

Sylvie starała się walczyć z sennością, szukając przez jakiś czas tych dwóch mężczyzn, a potem za pomocą lunety noktowizyjnej zaglądając do wnętrz przejeżdżających aut. Jedynymi pieszymi na tej ulicy było dwóch bezdomnych z wózkami sklepowymi. Sylvie przyszło do głowy, że to też mogą być policjanci, na nocnej zmianie. Wykorzystała lunetę, żeby im się bacznie przyjrzeć, ale do żadnego konkretnego wniosku nie doszła.

Odziani byli w kilka warstw ubrań, co miało ich chronić przed nocnym chłodem, więc nie dało się stwierdzić, czy kryją pod nimi broń. Nie zobaczyła poza tym nikogo, kto by ją zainteresował, a o czwartej obudziła Paula i poszła spać.

Kiedy obudziła się ponownie, w pokoju wciąż panował półmrok. Paul otworzył okno i uświadomiła sobie, że właśnie ten dźwięk ją obudził. Przyłożył karabin do barku.

- Co się dzieje? - spytała.
- Samochód. Wstawaj.

Sylvie odrzuciła narzutę i chwyciwszy drugi karabin, podbiegła do niego. Kiedy spała, Paul zdjął lunetę noktowizyjną i zamontował drugą szesnastkę Weavera. Sylvie podniosła karabin do góry, otworzyła szeroko oczy, żeby się pozbyć resztek snu, i utkwiała wzrok w celowniku.

Do czerwonego krawężnika przed budynkiem podjechał czarny suv.

Otworło się dwoje drzwi po przeciwnej od nich stronie pojazdu. Sylvie wycelowała w punkt tuż za tylnymi drzwiami, skąd za chwilę miał się ktoś wynurzyć.

- Nie strzelaj.

Coś było nie tak... słyszała to w jego głosie. Spojrzała poza obszar obejmowany przez lunetę i zobaczyła biegnące postaci. Zbliżały się do suwa. Nastawiła celownik na jedną z nich.

- To ten gość z wczoraj. Ten z ławki na przystanku autobusowym!

327

Patrzyła, jak biegnący mężczyzna sięga pod kurtkę. Kiedy wyciągnął rękę, trzymał w niej broń. Z samochodu otworzono ogień, ale trafiła go inna seria, wypuszczona przez kogoś z tyłu, i rzuciła twarzą na jezdnię. Leżał z rozrzuconymi ramionami, a na betonie, obok jego głowy, tworzyła się kałuża krwi.

Rozległy się kolejne strzały. Sylvie przesunęła lufę karabinu w lewo, ale Paul chwycił ją za rękę.

- Odłóż to. Musimy iść!

Położyła karabin na stoliku, oczy wciąż miała utkwione w scenę rozgrywającą się na dole. Drugi z mężczyzn, których obserwowała wczoraj, leżał na chodniku. Trzy furgonetki - biała, niebieska, czarna - bez żadnego oznakowania podjechały szybko i wysypali się z nich mężczyźni oraz kobiety w czarnych nylonowych kurtkach. Jedni przyklękli przy leżących mężczyznach, inni mówili coś przez krótkofalówki. Kilka metrów dalej pojawiło się dwóch mundurowych policjantów, którzy rzucili na jezdnię flary, żeby skierować ruch uliczny w bok.

- Widziałeś dziewczynę?
 - Nie sądzę, żeby tam była. - Paul w ogóle już nie patrzył, co się dzieje. Składał nóżki teleskopu i wkładał go do futerału. - To była zasadzka. Chcieli nas zwabić. Pomóż mi pozbierać sprzęt.
- Ale kim byli ci dwaj, których zastrzelono?
 - Myślę, że oni mieli to samo zadanie co my. Ktoś postanowił się zabezpieczyć, wynajmując drugi zespół.
- Nie uprzedzając nas o tym?

Widziała, że Paul się koncentruje i stara zachować spokojny głos.

 - Pewnie nie trzeba było dzwonić do Densmore'a i próbować się wycofać.
- Chcesz powiedzieć, że to moja wina?
 - Nie mówię, że to czyjkolwiek wina. Próbuję ci tylko powiedzieć, dlaczego musimy się stąd zabierać. Skoro

328

policjanci sprzątnęli tych dwóch, to na pewno byli na tyle bystrzy, żeby sprawdzić okna wychodzące na to wejście. Idziemy. -Jak?

- Zgodnie z pierwotnym planem.

Przebrał się błyskawicznie w policyjny mundur, a ona poszła za jego przykładem. Gdy tylko włożyła mundur i zapięła pas, wcisnęła wszystkie ubrania oraz rekwizyty Harkinów do brezentowej torby. Poprawiła pościel i wygładziła narzutę na łóżku, rozejrzała się ostatni raz, żeby się upewnić, czy niczego nie zostawili. Zdołali dotrzeć do klatki schodowej, nikogo po drodze nie spotykając. Znieśli wszystko dwa piętra niżej i zostawili puste walizki na podeście. Teraz Sylvie miała na ramieniu dużą, czarną torbę

podróżną i oboje trzymali w ręku karabiny snajperskie. Paul szedł przodem, schodami w dół, gotów unikać odpowiedzi na ewentualne pytania w wypadku spotkania z idącymi na górę policjantami albo otworzyć ogień.

Bardzo szybko znaleźli się na parterze. Byli blisko tyłów budynku, Paul więc zdecydował się pójść korytarzem, przy którym mieściły się sale konferencyjne, aż do wyjścia awaryjnego. Pchnął drzwi i wyszedł akurat w momencie, kiedy z bocznej ulicy wyłoniły się dwa policyjne radiowozy, podjechały i stanęły. Wokół roило się od mundurowych policjantów, zajmujących takie pozycje, żeby zagrozić ze wszystkich stron miejsce przestępstwa.

Kiedy dwa policyjne wozy ustawiały się maska w maskę, żeby zastawić ulicę, Paul i Sylvie przeszli obok, z karabinami w rękach. Kierowca jednego z wozów zerknął na nich z zaciekawieniem, ale Sylvie wskazała ręką na kilkupiętrowy parking, na którym kiedyś, kiedy wezwano ją na członka ławy przysięgłych, postawiła samochód.

- Idziemy na tamten parking. Dobrze stamtąd widać Tempie.

329

Policjant skinął głową, a oni pobiegli dalej truchtem. Kiedy wsiedli do samochodu, który zostawili tam dzień wcześniej, i Paul wyjeżdżał na ulicę, Sylvie spytała:

- Wiesz, czyja to wina, prawda?
- Taa - odparł. - Chyba wiem.

ROZDZIAŁ 31

-Twój pomysł przyniósł nam trochę niespodzianek, Jack - powiedział Poliakoff. - Prawdę mówiąc, plan zadziałał aż za dobrze. Przeszedł do historii koło czwartej rano.

Till zbliżył telefon komórkowy do ust i mówił przyciszonym głosem, bo nie chciał, żeby Wendy go słyszała z drugiego pokoju.

- Co się wydarzyło?

-W nocy wysłaliśmy wyspecjalizowaną jednostkę do budynków stojących po południowej stronie Tempie Street w pobliżu Prokuratury Okręgowej, tak jak zasugerowałeś. Wzięliśmy dwa czarne suvy, takie, jakimi przewożą więźniów do sądu. Kiedy stanęły przy krawężniku i otworzono drzwi, z zaparkowanych po dwu stronach ulicy samochodów wysiadło dwóch facetów z wyraźnym zamiarem zabicia policjantki z drugiego pojazdu. Zauważyli ich funkcjonariusze z brygady antyterrorystycznej, więc tamci zdążyli jedynie wyciągnąć broń.

•Nikommu nic się nie stało?

•Nikommu, z wyjątkiem tych dwóch. Chętnie byśmy zadali im parę pytań, ale obaj zginęli na miejscu.

•Znacie już ich tożsamość?

-Jeszcze nie. Kiedy facet ma przy sobie trzy prawa jazdy, to tak jakby nie miał żadnego. Z ciała zdjęto odciski palców, więc pewnie już niedługo będziemy mieli ich nazwiska.

331

- Mogę ci tylko podziękować za to, co zrobiłeś - oświadczył Till. - Gdybym tam zajechał i próbował wprowadzić ją do środka, to już by było po nas.

-I to jest zwycięstwo. Czy teraz, kiedy już pozbyliśmy się tych dwóch,

zamierzasz dzisiaj sprowadzić swoją klientkę do prokuratury?

- Dam ci znać, kiedy podejmę decyzję. - Podniósł wzrok i zobaczył Wendy Harper stojącą w otwartych drzwiach pomiędzy pokojami.

- Dobrze - zgodził się Poliakoff.

- Jeszcze raz ci dziękuję. Mam wobec ciebie dług. - Till zakończył rozmowę i włożył telefon do kieszeni.

- O co chodziło? - spytała Wendy.

-Dobre wieści. Poprosiłem przyjaciela, który nadal pracuje w policji, żeby sprawdził, co by się stało, gdybyśmy podjechali pod biuro prokuratora okręgowego i próbowali wejść do środka.

-I co się stało?

- Dwóch facetów ze spluwami wysiadło z zaparkowanych samochodów. Obydwu zabito.

- O mój Boże! Czy komuś innemu coś się stało?

- Nie. Policjanci nie oberwali.

Podeszła bliżej, aż stanęła tuż nad nim i spoglądała mu prosto w oczy.

- Nie powiedziałaś mi.

- Czego?

- Że planujesz coś takiego.

- To nie była moja operacja, tylko Maksa Poliakoffa. Powiedział mi o jej wyniku dopiero teraz, a od wielu godzin jest już po wszystkim.

Przyjrzała mu się bacznie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Z tego samego powodu, dla którego on mnie nie powiedział. Dopóki nie zjawili się ci dwaj faceci, nie było o czym mówić.

- Myślisz, że to ci sami, którzy zabili Louandę?
 - Wszystko by na to wskazywało, ale pewności mieć nie można. Może w jej domu w Nevadzie znaleziono jakieś odciski czy ślady krwi, które powiążą ich z tamtą zbrodnią. Mogliśmy sami w jakimś momencie ich widzieć. Może znajdowali się gdzieś w tłumie czy na jakimś skrzyżowaniu, czy zresztą gdziekolwiek, i przypomnimy sobie ich twarze. Ale kiedy nas ścigali, nie miałem okazji im się przyjrzeć. A ty?
 - Nie. Widziałam ich samochód i widziałam w nim dwie głowy. - Usiadła obok niego na łóżku. - To moja wina. Nie powinnam była wyjeżdżać z Los Angeles. Byłam taka przerażona. Nienawidziłam tego uczucia i uznałam to za sposób, by się go pozbyć. Zaczęłam prawidłowo, od próby odnalezienia Kit Stoddard. Ale kiedy mnie zaatakowano, wszystko się zmieniło. Ja się zmieniłam. Doszłam do wniosku, że dość już zrobiłam przez pamięć o Kit. Bo wtedy tak już o niej myślałam... I wierzyłam, że jeśli tylko uda mi się wyjechać i przez jakiś czas trzymać z dala, to ten facet przestanie mnie szukać. Myślałam, że jeśli będę siedziała cicho, to pomyśli, że nic mu z mojej strony nie grozi, i dojdzie do wniosku, że można dać mi spokój. Więc wyjechałam.
- Posłuchaj, Ann. Ja...
 - Wendy.
 - Co?
 - Wendy. Już ci mówiłam, że nie mogę być dłużej Ann Donnelly. Wczoraj, wyjeżdżając, zrezygnowałam z tego. Używanie teraz tego imienia na pewno mi nie pomaga. Może jedynie zwrócić uwagę kogoś,

kto jeszcze tego nie wie, na ludzi o takim samym nazwisku, którzy są ze mną powiązani. A to oznacza dla nich niebezpieczeństwo.

- Mniejsze niż wczoraj.
- Czy to oznacza, że jest już po wszystkim? Jedziemy teraz do Los Angeles?

333

- Raczej nie.
- Czemu nie? Jeśli policja zastrzeliła mężczyzn, którzy nas śledzili, to czym się jeszcze martwisz?
- Raczej jestem ostrożny. Nie zamierzam płynąć z prądem wydarzeń. Kiedy próbujesz kogoś przechytrzyć, nie możesz sobie pozwolić na jednolity rytm zachowań. Wyjechaliśmy z San Francisco, oni zaatakowali nas po drodze. Zgubiliśmy ich, pojechali do Los Angeles, żeby na nas zaczekać. Zastawiliśmy na nich zasadzkę i dwóch dostaliśmy. I co teraz? Logicznym, niemal nieuchronnym posunięciem jest pojechać teraz, dzisiaj, do Los Angeles.
- Więc unikasz tego, co przewidywalne.
- Nie wykonuję ruchów, które aż się proszą o wykonanie, bo właśnie tego wymaga wspomniany rytm. Co robi teraz człowiek, który zabił Kit Stoddard?
- Nie wiem.
- Szamocze się, próbuje znaleźć ludzi, którzy zastąpią tych zabitych. A to jest ryzykowne. Niektórzy z wykonujących ten rodzaj roboty są już w kłopotliwej sytuacji. Ich telefony mogą być na podsłuchu albo uważają, że lepiej nie brać tego zlecenia, a zamiast tego zasłużyć się, donosząc

na niego. Prawdopodobnie musi wyjść poza krąg dotychczasowych znajomych. Wystarczy, że raz się przeliczy... porozmawia z kimś, kogo obdarzy zaufaniem, i popełni błąd. Dzisiaj mu się bardzo spieszy, bo jest przekonany, że to my wykonujemy ruch.

- To dość szczegółowy obraz kogoś, kogo w ogóle nie znasz.
- Szczegóły nie są tu nawet istotne. Każdą kolejną minutą, w której nas nie dopada, oznacza, że policja może zdążyć dopaść jego. Policjanci usiłują się dowiedzieć, kim byli zabici. Kiedy ustalą ich tożsamość, przeszukają ich domy i samochody, porozmawiają z ludźmi, którzy ich znali. Różne sprawy wychodzą na jaw, kiedy policja zaczyna się czemuś bacznie przyglądać.

334

- Więc my nie robimy nic?
- Daję mu czas na to, żeby opuścił go fart i zaczął popełniać błędy, i czas na to, by ktoś go zdradził. Jeśli tylko pojawi się jego nazwisko, będziemy mieli zdjęcie, a ty go zidentyfikujesz.
- Nie wiem, czy to pomoże. Nawet jeśli jestem przekonana, że to dawny przyjaciel Kit, to nie potrafię udowodnić, że on stoi za tym wszystkim.

- Nastąpiły pewne zmiany. Sześć lat temu ty miałaś teorię, że być może Kit padła ofiarą morderstwa. Tym razem mamy morderstwa i możemy udowodnić, że do nich doszło. Tym razem, jeśli odkryjemy, kim jest ten facet, to on będzie miał problem.

Położyła mu dłoń na ramieniu i z czułością je ścisnęła.

- Jesteś niesamowity, Jack. Sprawiasz, że wszystko zda je się dobrze układać. Dodajesz mi sił. - Wstała i przeszła do swojego pokoju.

Jack siedział na łóżku z zamkniętymi oczami. Zabrzmiało to prawie tak, jakby mówiła, że jej na nim zależy. Była piękna i to sprawiało, że nie wiedział, jak interpretować jej słowa. Równie dobrze mogła mu delikatnie dawać do zrozumienia, że wie, iż on nią manipuluje. Wiedziała, że był śledczym w wydziale zabójstw i że całe życie zawodowe zajmował się nakłanianiem innych, żeby powiedzieli to, czego powiedzieć nie chcieli.

O szóstej, kiedy rozmawiał znowu z Poliakoffem, weszła do jego pokoju. Usiadła w fotelu przy oknie i czekała na koniec rozmowy.

- Jakież nowiny? - spytała.

- Kilka. Ustalono tożsamość tych dwóch mężczyzn, którzy na nas czekali. Ich odciski znajdowały się w krajowej bazie przestępców. Jeden to Ralph albo Raphael De-Loza, zależnie od tego, którą kartotekę policyjną się czyta, lat trzydzieści jeden. Ten drugi to Martin Osterwald, lat dwadzieścia dziewięć. Słyszałaś któreś z tych nazwisk?

335

- Nie.

- Tak przypuszczałem. To najwyraźniej nie ten rodzaj towarzystwa, które pojawia się w Banque. Ale i tak obejrzymy sobie zdjęcia, bo może gdzieś ich widzieliśmy.
- W porządku. Jak już tam dotrzemy, możemy to zrobić. Nie jesteś przypadkiem głodny?
- Chyba tak.
- Chcesz pójść na kolację? Zapraszam.

Zawahał się. Oboje wiedzieli, że cokolwiek się wydarzy, ona najprawdopodobniej znowu wyruszy w drogę, budując sobie kolejną fałszywą tożsamość i żyjąc z gotówki, jaką udało jej się wziąć ze sobą, aż

się gdzieś znowu zadomowi. Nie chciał, żeby za cokolwiek płaciła, nie umiał jednak jej powstrzymać, nie raniąc przy okazji jej uczuć.

- Jeśli liczysz na to, że w ostatniej chwili zjawi się ktoś ciekawszy, z kim wolałbyś pójść, to zrozumiem - zażartowała.
- Nie, czekałem na twoją propozycję. Od lunchu musiała minąć co najmniej godzina czy dwie.
- Jesteś człowiekiem o niewiarygodnej wręcz samodyscyplinie, jeśli chodzi o słowa.
- Dokąd chciałabyś pójść? Do jakiego typu lokalu?
- Dawno już straciłam orientację w tej kwestii, ale w czasopiśmie dla turystów zobaczyłam wzmiankę o restauracji, o której słyszałam. I podobały mi się zdjęcia. - Podała mu kartkę z hotelowego bloczku z wypisaną nazwą Ai-mee's i z adresem.
- Mieli tam numer telefonu?
- Już do nich zadzwoniłam i zarezerwowałam stolik na nazwisko Harvey. Ty jesteś owym Haryeyem, jak należy przypuszczać. Teraz weź prysznic i przebierz się. Mógłby się pan też ogolić, panie Harvey.
- Biała muszka i frak?
- Czysta koszula wystarczy. Nie powali to dziewczyny na kolana, więc musisz zadowolić się mną. Do zobacze-

336

nia za pół godziny. - Weszła do swojego pokoju. Po chwili usłyszał szum wody z prysznicza.

Podszedł do szafy, żeby sprawdzić, jakie ma możliwości. Wisiała tam świeża sportowa marynarka. Zajrzał do walizki i stwierdził, że ma jeszcze

dwie czyste koszule z długim rękawem. Wziął prysznic i ogolił się dwukrotnie. Zrobił, co mógł, by wyglądać schludnie i atrakcyjnie.

Po raz ostatni przejrzał się w lustrze. Zawsze go zaskakiwało, że już nie wygląda tak, jak się czuje. Najwyraźniej wyglądał na tego, kim był: mężczyznę po czterdziestce, który zarabiał na utrzymanie, nosząc broń. Oczy miały zimne i czujne spojrzenie, a zmarszczki w ich kącikach i na czole przestały już być cienkimi liniami, stając się bruzdami.

Usłyszał, że Wendy wchodzi do pokoju, podszedł więc do drzwi łazienki i wyjrzał. Miała na sobie prostą, idealnie leżącą czarną sukienkę koktajlową, przy której jej jasna cera była porcelanowa.

- Wyglądasz wspaniale.
- Dziękuję. - Dygnęła krótko i pospiesznie.

Wyszedł z łazienki i włożył sportową marynarkę. Spojrzał w lustro, poprawił mankiety i kołnierzyk, potem poruszył ramionami, żeby marynarka ułożyła się dobrze na pistolecie. Zerknął na odbicie Wendy w lustrze.

- A mówiąc ściśle, wyglądasz pięknie.
- Ponowne dzięki. Ty wyglądasz zdecydowanie jak człowiek.
- To już jakiś postęp. Nie mogę uwierzyć, że kiedy wrzucałaś rzeczy do walizki, żeby wyjechać z miasta, wzięłaś taką sukienkę.

Popatrzyła na nią chwilę.

- Dziwne, jak funkcjonuje nasz mózg. Nie sądziłam, że kiedykolwiek będę musiała raz jeszcze z takiego powodu się pakować, a mimo to przez cały czas wiedziałam, co ze sobą wezmę.

- W walizce, której nie miałaś pakować?
 - Tak. Miałam w głowie wszystko, co zabiorę i gdzie każda z tych rzeczy leży. Czy ma to jakiś sens?
- Pewnie tak. Wiedziałaś, co dobrze wygląda.
 - Nie wiem, czy o to chodziło. Raczej o rzeczy, w których poczuję się silniejsza, będę w stanie iść tu i tam. Może coś przypominało mi, że muszę być gotowa do drogi. Mała czarna wizytowa sukienka nie zajmuje prawie wcale miejsca.

Otworzył drzwi na korytarz, oparł się o nie i przytrzymał, spoglądając w jedną i drugą stronę. Ich oczy spotkały się na moment i uświadomił sobie, że ona zauważyła to jego przezorne zachowanie. Odezwał się, żeby porozmawiać na inny temat.

- Powiedziałaś, że wybrałaś tę restaurację częściowo pod wpływem zdjęć. Co na nich było?

Uśmiechnęła się.

- Potrawy wyglądały wiarygodnie.
- Wiarygodnie?

- Tak. No wiesz... nie pokazywano trzech wyfraczonych kelnerów i seksownej hostessy z uśmiechem stawiających gigantyczne pieczone żeberka i rekordowo wielkiego homara na stoliku dla dwojga. Było natomiast zdjęcie ładnej sali, niewielkiego dzwonka grillowanego halibuta i kieliszka wina. Wierzę, że kiedy tam wejdziemy, to otrzymamy coś, co nie będzie daleko odbiegało od tego, co widać na tym zdjęciu.

Zanim otworzył przed nią drzwi frontowe, przez kilka sekund lustrował przez szybę parking, ona jednak nie skomentowała tego ani słowem. Poprowadził ją do niebieskiego cadillaca.

- Skąd wzięłeś to auto?
 - Z tego samego miejsca co to poprzednie. Zanim poszliśmy na spacer, zadzwoniłem do agencji i ich pracownik przyprowadził mi ten samochód, a zabrał tamten.

338

- Dlaczego?
 - Bo mogłem to zrobić. - Otworzył jej drzwi. Zatrzymała się.
 - Czy to kiepski pomysł? - zapytała.
 - Wyjście na kolację? -Tak.
 - Nie sądzę. Z tym że ciebie nie widziano przez sześć lat, a mnie owszem. To ja mam wiedzieć? - Wskazał jej ręką fotel i Wendy wsiadła. Obszedł auto, powoli, upewniając się, że rozejrzał się dokładnie i na wszystkie strony po otoczeniu, po czym usiadł za kierownicą i zapuścił silnik. - Żadnego wybuchu.

- Na razie.

Wyjął kartkę, którą mu wcześniej dała, i ponownie zerknął na adres.

- Pojeźdź prosto tą ulicą i na światłach skreć w prawo -powiedziała.
- Znasz te okolice?
- Przy reklamie była mapka.

Po drodze udzielała mu dalszych wskazówek. W ciemnościach panujących na drogach, kiedy już wyjechali z centrum Morro Bay, poczuli się anonimowo i bezpiecznie. Restauracja stała obok terenu rekreacyjnego i Till niechcący ją minął. Zawrócił. Ucieszył się, że kiedy jechał z powrotem, nie zobaczył żadnych zbliżających się z przeciwka reflektorów.

Restauracja mieściła się w długim, białym budynku z szaro obramowanymi drzwiami i oknami. Podjechali na skraj parkingu. Na mosiężnej tabliczce przy drzwiach widniał napis „Aimee's”.

- Czy wygląda tak samo jak na zdjęciu? - spytał, kiedy podchodzili do witającej ich hostessy.
- Tak samo.

Gdy pojawił się kelner, Wendy zamówiła martini dla obojga.

339

- Skąd wiesz, że lubię martini? - zdziwił się.
- Mogłabym powiedzieć coś dowcipnego albo nieuprzejmego, ale powiem ci prawdę. Pamiętam to sprzed sześciu lat, kiedy tkwiliśmy w tamtym hotelu.

Kelner szybko podał im drinki. Till podniósł zimny kieliszek.

- Za lepsze jedzenie - oświadczył.

Stuknęła swoim kieliszkiem o jego kieliszek.

- Za starych przyjaciół. - Malutkimi łyżkami popijała trunek. - Ojej. Zapomniałam, jakie to smaczne. Nie piłam alkoholu od prawie pięciu lat.
- Dlaczego?
- Nie wiem. Najpierw trzymałam się z dala od restauracji, z oczywistych powodów. A tym bardziej od nocnych klubów. A potem, kiedy ma się małe dzieci, zapomina się o czymś takim jak martini.

Tillowi restauracja się podobała, wcale nie ze względów estetycznych.

Sala była jasna, miała jedno wejście, przy barze nie było takich miejsc, gdzie mógłby niespodziewanie ktoś usiąść i nie być na widoku. Wszystkie okna znajdowały się po przeciwnej stronie niż ulica, ściana ze szkła

wychodziła na pole golfowe, które ciągnęło się w dal i nikało w ciemnościach. Gdzieś w oddali zobaczył błysk odbitego światła księżycowego, domyślił się więc, że musi tam być jezioro. Ktoś mógł z daleka obserwować restaurację, ale było to bardzo mało prawdopodobne.

Ze sposobu, w jaki Wendy czytała menu, domyślał się, że potrafi wyczytać tam więcej niż on.

- Ciekawe. - Palcem wskazała jedną z linijek. - To powinno być dobre, jeśli ktoś lubi sałatki na ciepło, a chociaż bardzo jestem ciekawa, jak przygotowują tutaj tego tajsco--francuskiego kurczaka, to nabrałam ochoty na paellę.
- Zamów jedno, a ja wezmę drugie.
- Dzięki. Uwielbiam mężczyzn, którzy chwytają takie grubo ciosane aluzje.

340

- Reaguję jedynie wtedy, kiedy mówisz powoli i pa trzysz prosto na mnie.

Kiedy przyniesiono im oba zamówione dania, podzielili się nimi.

- To ciekawa wariacja sosu, jaki Sybil Weitz stosowała w chicagowskim Veritable - oświadczyła Wendy po spróbowaniu kurczaka. - Ciekawe, czy ta Aimee tam pracowała. - Potem spróbowowała paelli. - O, ta kobieta jest naprawdę dobra. Czego tu nie ma... małże, krewetki, homar, omułki, chorizo, wieprzowina, kurczak, wszystko zaprawione szafranem, niczego nie brakuje... a wcale nie jest łatwo przyrządzić tę potrawę właściwie, bo każdy składnik przygotowuje się osobno i przyprawia inaczej.
- Myślałem, że nie obchodzą cię sprawy kulinarne.

- Teraz już nie. Jednak człowiek nie zapomina wszystkiego, co wiedział.
- Wydaje się, że dzisiejszego wieczoru masz do wszystkiego bardziej pozytywne nastawienie.
- Zauważyłeś.
 - Wczorajszy dzień był koszmary. Domyślałam się, że dobrze jest przestać się bać.
 - Rzeczywiście - przyznała. - Powiedziałabym, że warunkiem niezbędnym i koniecznym jest... nie czuć bezpośredniego zagrożenia. Musisz jednak pamiętać, że nauczyłam się żyć z poczuciem niepewności... podobnie jak ty.
 - Przepraszam. Nie powinienem się dopytywać o źródło dobrego nastroju. Bo ci go popsuję.
 - Nie ma za co przeproszać. Cieszę się, że mnie na tyle bacznie obserwujesz, by to zauważyć, i że o tym wspomniałeś, bo zmusza mnie to do pewnego wyznania.
- Wyznania?
 - Tak. Uśmiechałam się do siebie, ponieważ jest właśnie tak, jak w mojej fantazji, którą sobie snułam przez sześć lat.
 - Coś podobnego. Wobec tego jestem zachwycony, że

341

mogę być przy tym stoliku i to widzieć. - Rozejrzał się po sali, jakby na nowo ją doceniając.

- To ty jesteś zasadniczą częścią owej fantazji.
- Naprawdę?
 - Tak. - Upiła łyk martini, ale nie opuściła kieliszka, tylko przyglądała

mu się bacznie ponad jego krawędzią. -Człowiek nie wyobraża sobie, że spędza piękny wieczór samotnie. Musi go z kimś dzielić.

Napotkał jej spojrzenie i zrozumiał.

Jedli niespiesznie, sięgając sobie wzajemnie do talerzy. Podszedł kelner, żeby sprzątnąć stół, przyniósł kawę i kartę deserów, po czym wrócił z jagodowym ciastem i sorbetem, a wszystkie jego ruchy były niespieszne i pełne uprzejmości.

Kiedy dzielili się deserem i pili kawę, Till miał czas, by zastanowić się nad tym, co właśnie zamierzał. Na pewno skomplikuje to sytuację, jest niemądre i do tego nieetyczne. Przeczekał zawily rytuał z małym skórzanym etui. Kiedy Wendy zapłaciła rachunek gotówką, skinął z zadowoleniem głową.

- Dzięki za cudowną kolację.

Poszli do samochodu i Till otworzył jej drzwi, ale nie wsiadła od razu. Objęła go i pocałowała. Jej pocałunek był na początku delikatnym, nieśmiałym muśnięciem, ale kiedy go odwzajemnił, stał się gorący. Po chwili oderwała się od Jacka, pochyliła głowę i dała nura do wnętrza auta.

Obszedł samochód od tyłu i usiadł za kierownicą.

- To była miła niespodzianka.
- Było bardzo miło. Ale to nie była niespodzianka.
- Co masz na myśli? - Till ruszył powoli w kierunku wyjazdu z parkingu.

- Nie jesteśmy nastolatkami, Jack. Oboje wiedzieliśmy, jak będzie wyglądał ten pocałunek. Zbyt długo żyjemy, żeby nie umieć go sobie dokładnie wyobrazić. Przepra-

tylko cię zobaczyłam.

Till zatrzymał się na końcu podjazdu i rozejrzał, zanim wyjechał na ulicę.

- Jesteś strasznie milczący - powiedziała Wendy.
- Myślę.
- Myślisz o mnie. -Tak.

Till wrócił do centrum Morro Bay i dalej nad ocean, dwukrotnie zawracał, żeby się upewnić, że od wyjazdu z restauracji nikt ich nie śledzi, i w końcu stanął na hotelowym parkingu. Poszli na pierwsze piętro pieszo. Kazał jej poczekać na klatce schodowej, podczas gdy sam sprawdzał, czy nie odwiedzili ich nieproszeni goście.

Kiedy się upewnił, że jest bezpiecznie, podszedł do drzwi i je otworzył. Natychmiast znalazła się w jego ramionach. Nie miała całkowitej racji, jeśli chodzi o wyobraźnię. Ona była taka, jak się spodziewał - piękna, blada, delikatna, pachnąca - ale wyobraźnia nie powiedziała mu, co będzie czuł. Nie było pomiędzy nimi najmniejszego wahania, ponieważ tę decyzję podjęto sześć lat temu i chociaż oboje się jej wyparli, pragnienie pozostało. Teraz jakby zyskali drugą szansę, by dokonać właściwego wyboru, by przeżyć wyobrażenia, jakie pojawiały się w ich umysłach, towarzysząc przez te lata gorzkiemu żalowi i tęsknocie.

Leżeli potem, ona wsparła głowę na jego ramieniu, a on gładził jej nagie plecy, przesuając ręką od barku w dół, do wąskiej talii i wzdłuż krągłości biodra. Westchnęła.

- Dużo czasu nam zajęło, żeby się tutaj znaleźć. Cieszę się, że mogę przestać czekać i się zastanawiać.
- Ja też się cieszę.

- Tyle o tobie myślałam, kiedy zostawiłeś mnie na lotnisku. Nie chodzi mi o tamten dzień. Chodzi o to, że od tamtego dnia aż do dzisiaj.

343

- Byłaś okaleczona, samotna i przerażona. To **naturalna** reakcja.

Oparła się na łokciu i spojrzała na niego.

- Nie pomniejszaj tego. To nie słabość ani kaprys.

- Przepraszam - powiedział. - Ja też mnóstwo o tobie myślałem. Zastanawiałem się, gdzie jesteś, co robisz.

- Kilkakrotnie wybierałam twój numer. Dwa razy nawet spakowałam walizkę.

- Co cię powstrzymało?

- Takie rzeczy, które teraz wydają mi się głupie. Na początku wciąż się bałam. Potem nie chciałam, by ktoś pomyślał, że jestem nieudacznicą, która nie potrafi sama przetrwać miesiąca... głównie ty, bo to ty mnie uczyłeś i pomogłeś zniknąć. Powiedziałam sobie, że jeśli wytrzymam jakiś rok, to nabierzesz o mnie dobrego zdania. Po roku wydawało mi się, że to za krótko. Po dwóch latach było już za długo. Zaczęłam podejrzewać, że tylko sobie wyobrażałam, byś mógł coś do mnie czuć. Żadne z nas nie powiedziało ani słowa. Myślałam, że jeśli zjawię się niespodziewanie w twoim biurze, powiesz zapewne: „A tak. Pamiętam twój przypadek. Przeniosłaś się. Jak ci poszło?” Stałabym tam z walizką, nie mając dokąd pójść, i zaczęła płakać. Potem wyszłam za Dennisa Donnelly'ego i już nie miałam prawa się u ciebie pojawić.

Till leżał niepewny, czy ma powiedzieć to, o czym myśli, ale ona wiedziała, że to pytanie wisi w powietrzu.

- Wszystko w porządku, Jack. Dennis wiedział z góry. Ann Donnelly była kryjówką, a kiedy przestała nią być, sprawa się skończyła. - Przytuliła go i leżała bez ruchu. - Gdybyśmy ty i ja byli bardzo młodzi, albo jedno z nas naprawdę naiwne, powiedziałabym, że to małżeństwo nie było prawdziwe albo że Dennis był tak złym człowiekiem, że ono w zasadzie w ogóle się nie liczy. Ale to miły, zwyczajny człowiek, a małżeństwo zapewne było równie prawdziwe jak większość takich związków. Opowiadali-

344

śmy sobie dowcipy, oszczędzaliśmy na starość i uprawialiśmy seks. Jediną różnicą była nasza świadomość, że to może się nagle skończyć. I właśnie się skończyło.

- Skończyło się wczoraj czy dzisiejszego wieczoru?
- Rozszyfrowałeś mnie. Koniec nastąpił dzisiaj.
 - Chyba już za późno, żebym powiedział, że nie chciałem wyrządzić mu krzywdy.
- Chcesz mnie oddać?
- Nie.
- Nie potraktowałam nikogo tak dobrze, jak chciałam... z nim włącznie... ale wyjawiałam mu prawdę. Powiedziałam mu nawet o tobie. Nie wymieniłam twojego nazwiska, ale powiedziałam, że koniec może nastąpić tylko z dwóch powodów: albo przyjdą po mnie zabójcy, albo będziesz to ty.
- Od tamtego pierwszego dnia sześć lat temu chciałem, żeby to się zdarzyło. Nie wiem jednak, co ma być potem.

- Ja też nie wiem. W pewnym sensie dałam sobie już spokój z tego rodzaju przewidywaniem. - Pocałowała go, przerzuciła mu nogę przez brzuch i ułożyła się na jego ciele. Zamknęła oczy i wydała głębokie westchnienie. Znowu się kochali, tym razem powoli i łagodnie, czerpiąc z siebie wzajemnie radość bez owej szalonej niepewności sprzed kilku godzin.

Było już po dziesiątej, kiedy leżeli w leniwym milczeniu. Usiadła raptownie.

- Coś się stało? - spytał.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą chciałam powiedzieć.

- Co takiego?

- Ma na imię Scott.

- Kto?

- Przyjaciel Kit. Ma na imię Scott. Tamtej nocy słyszałam, jak Kit wymawia to imię.

ROZDZIAŁ 32

Michael Densmore wyszedł z biura z teczką w ręku. Było późno - po dziesiątej - on jednak miał marynarkę zapiętą na środkowy guzik i prosto ułożony krawat. W sprawach własnego wyglądu był bardzo zdyscyplinowany, nawet kiedy tylko zjeżdżał windą na poziom garażu, gdzie na zarezerwowanym miejscu czekał jego samochód. Przez lata przekonał się, że nawet jeśli jedyną napotkaną osobą jest jakaś pracująca

do późna młoda sekretarka czy dozorca z nocnej zmiany, jego wygląd daje mu pewną przewagę. Było dla wszystkich jasne, że on jest tu szefem, nie tylko dlatego, że ma eleganckie ubranie, ale ponieważ pewne standardy zachowuje również po godzinach urzędowania. Kiedy znajdował się w swoim gabinecie, telefonował czy czytał akta, zawsze wieszał marynarkę na wieszaku, na drzwiach - a przynajmniej na krześle - żeby się nie pogniotła, wkładał ją natomiast, zanim pozwolił sekretarce wpuścić kogoś nieznanego. Na dole, w mercedesie, miał miękko wyłożony wieszak, dopasowany stylem do wnętrza auta. Na czas jazdy powiesi na nim marynarkę.

Był odnoszącym sukcesy, zamożnym człowiekiem i chciał na takiego wyglądać. Powodziło mu się wyśmienicie, odkąd został współnikiem w kancelarii Dolan, Nyquist i Berne. Zaoszczędził pieniądze i stopniowo poszerzył ofertę usług, tak że jego dochód nieustannie rósł. Zaczął jako obrońca w sprawach kryminalnych, specjalizujący się w przestępstwach popełnianych przez urzędników. Potem

346

klienci zaczęli mu płacić za rolę negocjatora albo konsultanta w kilku delikatnych transakcjach, które, by stać się opłacalne, wymagały prawniczych poprawek. Kilkakrotnie oznaczało to przygotowanie dokumentów dla spółek z ograniczoną odpowiedzialnością, w których nie występowało nazwisko jednego ze współników, bo mogłoby ono wzbudzić niepożądane zainteresowanie. Przy kilku transakcjach uzyskano niezbędne pozwolenia, dzięki jego osobistym staraniom i kilku kopertom wypełnionym studolarówkami. Potem zaczął organizować spotkania, poznając ludzi, którzy mieli pomysły, z tymi, którzy mieli pieniądze do

zainwestowania. Wkrótce tworzył grupy inwestorów, którzy nie potrafiliby wyjaśnić, skąd pochodzi ich kapitał, a którzy chcieli osiągać zyski bez zapisywania gdziekolwiek swoich nazwisk. Teraz zarabiał znacznie więcej pieniędzy, załatwiając swoim klientom podobne sprawy, niż broniąc ich w sądzie.

Densmore był w zasadzie zadowolony ze swojego publicznego wizerunku, natomiast pewne fragmenty jego prywatnego życia były wstrząsające i poniżej oczekiwań. Zbliżał się właśnie do finału swojego czwartego małżeństwa, a ten czas zawsze działał na niego zniechęcająco i przygnębiająco. Prawnicy dowiadują się wiele o nieprzyjemnych zakamarkach ludzkiej psychiki, nie istnieje jednak nic, co uzupełniłoby tak dobrze ich wiedzę, jak rozwód.

Podatność na rozwody była niczym alergia na użądlenie pszczoły. Pierwsze dwa zerwania nieszczególnie bolały. Trzecie było bardzo bolesne, ponieważ miał o wiele więcej do stracenia i doświadczył wstrząsu. Nie miał pojęcia, jak przetrwa czwarte.

Obecną żonę, Grace, poznał pięć lat wcześniej, gdy jego trzecie małżeństwo wkroczyło w fazę wojny podjazdowej. Trzecia żona, Chris, zaczęła przysparzać kłopotu, węszyła, przeglądała jego kwity i dokumenty finansowe. Opła-

347

cała adwokatów i prywatnych detektywów, by wniknęli w rozmiar i kształt jego majątku, celem przygotowania dla niej podstaw do zmasowanego ataku.

Grace wpadła mu w oko, kiedy przybył na dotyczącą artretyzmu imprezę dobroczynną w Beverly Hills Hotel, i nagle rozwód stał się

sprawą nie cierpiącą zwłoki. Starał się przyspieszyć sfinalizowanie sprawy. Zgodził się na kilka z jej nedorzecznych żądań, żeby tylko zakończyć procedury, ale polityka ustępstw okazała się strategią niemądrą. Chris i jej prawnicy stali się jeszcze bardziej zachłanni i dociekliwi. Po kilku miesiącach ich wścibstwo i szpiclo-wanie zaniepokoiło kilku jego najtrudniejszych klientów.

Densmore udał się do domu, na spotkanie z Chris, która już wówczas wiedziała, że spędza każdą noc z Grace w Peninsula Hotel, i przestała z nim rozmawiać. Kiedy przyjechał, wielkodusznie wysłuchał długiej, nie mającej wiele wspólnego z sytuacją przemowy o tym, jakim to był złym mężem. Potem delikatnie i ostrożnie przystąpił do rzeczy.

-Jak wiesz, jestem adwokatem specjalizującym się w obronie ludzi, których oskarżono o działalność przestępczą. Wielu z tych klientów to ludzie niewinni. Inni, w jakimś momencie, popełnili poważne błędy, a ja muszę ich poprowadzić przez zawilóści systemu prawnego. Według prawa moje ustalenia z nimi są poufne i nie mogą służyć za materiał dowodowy. Twoje wtykanie nosa w moje sprawy zawodowe, celem poszukiwania ukrytych pieniędzy, denerwuje niektórych bardzo ważnych klientów.

- Wiesz co, Michael? Doszłam do wniosku, że gównu mnie obchodzą twoje problemy. Moi detektywi już odkryli cztery czy pięć kont, o których przez roztargnienie zapomniałeś wspomnieć w naszym porozumieniu rozwodowym. A moi prawnicy informują mnie, że mogę ci sprawić ogromne kłopoty.

348

- Jeśli twoi ludzie uważają, że coś takiego znaleźli, to się grubo mylą - odparł. - Rachunki bankowe, które w ogóle do mnie nie należą,

czasami są na moje nazwisko, ponieważ mam pełnomocnictwa albo też trzymam fundusze w depozycie. Nie należą do mnie.

- Gówno prawda!

- Posłuchaj, Chris. Nigdy nie opowiadałem ci o szczegółach mojej praktyki prawniczej, więc musisz mi zaufać. Jeśli stracę tych klientów, obniży to wartość mojej praktyki i wartość moich osobistych aktywów. To oznacza, że ja stracę połowę i ty również.

- Zaufać ci? - Przybrała trudną do opisaną minę, będącą mieszaniną obrzydzenia i szpetoty. - Ufałam, że mnie nie upokorzysz.

Kiedy zobaczył wyraz jej twarzy, stracił niemal wszelką nadzieję, nie śmiał jednak się poddać.

- Nie upokorzyłem cię, Chris. Skoro trzeba cholernego detektywa, żeby się o tym dowiedzieć, to oznacza, że jestem dyskretny.

- Nie dość dyskretny, wierz mi.

- Chris, powodem, dla którego tutaj przyszedłem, jest to, że kilku znaczących klientów jest poirytowanych. Co gorsza, każdy z nich może popaść w paranoję, wściec się i bronić przed szperaniem w ich sprawach. Każdy jest gotów zareagować w bardzo nieprzyjemny sposób.

- Grozisz mi? - Jej oczy zmieniły się w szparki.

- Nie, nie grozę, Chris, oni grożą. Ja tylko usiłuję zapobiec pieprzonej katastrofie, a wygląda na to, że ty nie słuchasz głosu rozsądku.

- Koniec dyskusji. - Chris wstała, odwróciła się i pomaszerowała do sypialni. Kiedy za nią poszedł, zobaczył, że w drzwiach zamontowano zamek.

Dwa dni później jej adwokata, Alvina Holsteina, znaleziono martwego.

Jego biuro kompletnie opróżniono. Akta, komputery, dyski, taśmy, nawet notesy załadowa-

349

no w nocy na ciężarówkę i wywieziono. Fragmenty ciała prywatnego detektywa, którego Chris wynajęła, przez tydzień zbierano wzdłuż międzystanowej piętnastki, pomiędzy Barstow i Baker.

Chris wpadła w histerię. Groziła, że powie policji, jakoby to Densmore załatwił, żeby jeden z jego klientów zabił jej adwokata i detektywa, ale zwrócił jej uwagę na to, że jego obrona prawdopodobnie pochłonie większość ich wspólnych aktywów.

Wysiadł z windy na poziomie B-1 i poszedł w stronę swojego miejsca parkingowego. Myślał teraz o Grace. Zapewne okaże się jeszcze trudniejsza od Chris. Jej tłać się wrogość nie osiągnęła jeszcze wybuchowego stadium, ale już widział, że ten czas nadchodzi. Obecnie miał znacznie więcej pieniędzy i ona o tym wiedziała.

Niespodziewanie poczuł na sobie czyjeś ręce. Próbował odwrócić się twarzą do mężczyzny, ale mocny uścisk mu na to nie pozwolił. A potem zza zaparkowanego przed nim suwa wyszła Sylvie Turner i wysunęła prawą rękę z kieszeni, na tyle tylko, żeby mógł zobaczyć, że ma broń.

Uśmiechnął się do niej z ulgą, chociaż uścisk nie zelżał i sprawiał mu ból.

- Sylvie. Jak się masz?
- Jedziesz z nami.
- Próbowałem się z wami skontaktować.
- Wsiadaj do wozu. - Tym razem to Paul się odezwał, popychając go w stronę tylnej części samochodu.

- Świetny pomysł - rzucił Densmore, który zaczął się pocić i mimo uśmiechu oczy biegały mu jak oszalałe, niezdolne zatrzymać się na jednym punkcie. Zauważył, że szyby są przyciemniane, a tablica rejestracyjna ma prawie nieprzezroczystą plastikową osłonę. Ludzie tacy jak Turnerowie używali takich, żeby nie można było odczytać numerów rejestracyjnych na taśmach z kamer monitorin-

350

gu. Nie mógł przestać mówić, musiał utrzymywać przyjacielską atmosferę. - Lubię prowadzić osobiste rozmowy podczas jazdy.

Usłyszał dźwięk zwalnianej blokady i otworzył drzwi za fotelem kierowcy. Paul wsiadł za nim.

Sylvie zajęła miejsce za kierownicą i ruszyła. Pojazd już znajdował się w ruchu, kiedy Densmore zauważył puste miejsce po klamce. Postarali się, żeby nie mógł otworzyć drzwi od wewnątrz.

- To prawdziwa przyjemność pracować z profesjonalistami, którzy rozumieją niebezpieczeństwo płynące z podsłuchu. Tak usilnie starałem się z wami skontaktować, gdyż usłyszałem coś, co mnie zaniepokoiło.
- Co takiego? - Głos Sylvie brzmiał obojętnie, nie było w nim śladu zainteresowania. Jakby słyszał Grace.
- No cóż, kilka dni temu powiedziałem wam przez telefon, że klient się coraz bardziej niecierpliwi i oczekuje natychmiastowych rezultatów. Teraz, jak rozumiem, podążył do celu, omijając nas. - Densmore był zadowolony ze sposobu, w jaki to sformułował, ponieważ, jeśli „rozumiał”, oznaczało to, że usłyszał jedynie od kogoś jakąś aluzję i nie dowiedział się niczego bezpośrednio.

Paul jednakże też wyłowił to słowo i wcale mu się ono nie spodobało.

- Rozumiesz, tak?
- Tak. Jest to coś, co zawsze klientom odradzam. Jeśli chcecie pomocy, udzielenie wam jej, ale musicie całkowicie zdać się na mnie. To właśnie im mówię. A jeśli okaże się rzeczą niezbędną wynajęcie specjalistów, konsultantów czy ekspertów, to ja ich znajdę, wynajmę i będę się z nimi kontaktować. Tak właśnie musi być. Jeśli chcecie załatwić problem sami, proszę bardzo, mogę jedynie życzyć wam pomyślności. Ale jeśli chcecie, bym się tym zajął, wówczas ja decyduję o wszystkim.
- Był pewien, że zdołał już ułagodzić ich złość. Wygłosivszy już tyle mów do ławy

351

przysięgłych, zorientował się, że dostatecznie duża liczba słów pozwala przepchnąć słuchających przez coś nieprzyjemnego. Najważniejsze było gadać i nie pozwolić, by ich uwaga skupiła się na jednej małej informacji i by się jej kurczowo trzymali.

- Nie mówisz na temat - oświadczyła Sylvie. - Chcemy usłyszeć to, co tak bardzo chciałeś powiedzieć nam, a nie temu klientowi.
- Chciałem wam powiedzieć, że on zabrał się do rzeczy, pomijając mnie. Wynajął dwóch ludzi, żeby zlikwidowali Wendy Harper. To jest już złe samo w sobie. Ale jest jeszcze gorzej. Tym dwóm, których wynajął, powiedziano, że Till będzie musiał przywieźć Wendy Harper do biura prokuratora okręgowego, żeby cofnięto oskarżenie. Więc się ustawili na zewnątrz budynku i czekali. Ubiegłej nocy otworzyli ogień do nieoznaczonego pojazdu policyjnego z rezultatem, jakiego można było się spodziewać. Obydwu zastrzelono na miejscu. Tak się cieszę, że was

widzę. Naprawdę obawiałem się, że mogliście być w pobliżu i mogli was zgarnąć, kiedy przeczesywali okolicę.

-1 co zrobiłeś, żeby się z nami skontaktować i nas ostrzec?

- Dzwoniłem do was do domu. Przez ostatni dzień czy dwa zadzwoniłem ze dwadzieścia razy. Nigdy was nie zastałem.
- Spróbowałeś chociaż zostawić wiadomość?
- Oczywiście, że nie. Gdyby policja znalazła w waszym telefonie tego rodzaju wiadomość, mielibyście problemy. Ci dwaj mężczyźni polowali na Wendy Harper i wy też. Policji wystarczyłoby jedno nagranie rozmowy telefonicznej, by udowodnić, że jesteście częścią spisku. Skoro policja zabiła tych dwóch podczas próby wypełniania tego samego zlecenia, wy bylibyście oskarżeni o morderstwo. Jako wasz adwokat nie bardzo widzę, jak moglibyśmy odeprzeć to oskarżenie.

352

- Czy nie przyszło ci do głowy zostawić wiadomość, że to my mamy do ciebie zadzwonić?

Tego wieczoru zawodowa umiejętność Densmore'a polegająca na wyrzucaniu z siebie słów i zaciemnieniu sprawy zdawała się nie przynosić pożądaných rezultatów. Paul i Sylvie nie przyjmowali niczego z tego, co mówił.

- To byłoby jeszcze gorsze. Nie dałoby wam absolutnie żadnej informacji, a zmusiłoby do wydzwaniania do mnie. Przez ostatnie dwa dni przebywałem w sądzie, więc musielibyście czekać całymi godzinami. W rezultacie moglibyście zostawić wiadomość, która by was obciążyla. A ja chciałem jedynie powiedzieć to, co właśnie

powiedziałem: możliwe, że jakiś inny zespół wejdzie wam w drogę.

Możliwe. Ostatecznie tak się nie stało.

- Czyżby? - spytał Paul.
- Chcesz powiedzieć, że coś się stało?

Densmore się pocił. Wyglądało na to, że ma za mało tlenu, i zakręciło mu się w głowie. Spojrzał w oczy Paula i przypomniał sobie artykuł, który kiedyś czytał. Ciało migdałowate, część mózgu, w trakcie ewolucji uzyskało zdolność wykrywania oznak lęku u drugiego człowieka. Ciało migdałowate Paula musi być nadmiernie rozwinięte i wyćwiczone do robienia właśnie czegoś takiego... prawdopodobnie dzięki temu uwielbiał zabijanie. Dla niego to uczucie nie było wyczuwaniem strachu drugiego człowieka, było jego smakowaniem. Paul na pewno wiedział, że Densmore się boi, i dlatego przestał go słuchać.

- Coś się stało - oświadczył Paul. - Zainstalowaliśmy się w pokoju z oknami wychodzącymi na budynek prokuratury okręgowej.

Zauważyliśmy tych dwóch facetów już po pięciu minutach i przez całą noc ich obserwowaliśmy. Myśleliśmy, że to gliny.

- No to w czym problem, skoro tak łatwo ich spostrzeżliście?

Paul sięgnął po broń tak szybko, że Densmore miał

353

wrażenie, jakby cały czas trzymał ją pod ręką. Wprowadził nabój do komory i wykonał drobny ruch nadgarstkiem, celując prosto w brzuch Densmore'a. Wyobraźnia prawnika uzyskała niemalże boski wymiar. Widział, jak to będzie, kiedy nabój przedziurawi skórę, przebije ścianę mięśni i przeorze tkanki organów wewnętrznych, w jednej chwili zamieniając je w krwawą miazgę, po czym wyjdzie na zewnątrz. Miał

przeczucie bólu: uderzenie, nabój błyskawicznie przedzierający się przez jego ciało, piekący ból.

- Jeśli się zastanawiasz, czy się boję, to owszem, boję się.

Sylvie roześmiała się bezlitośnie.

- Masz wiele powodów, żeby się bać.

Densmore odkrył w sobie zaskakujące pokłady nienawiści do Sylvie. Do tej pory sądził, że ma do niej słabość.

- Powiedziałaś swojemu klientowi, kim jesteśmy - oświadczył Paul. - Zdradziłaś nas, prawda?

-Ja...

- Zanim odpowiesz, pomyśl. Jeśli otworzysz ponownie usta i wypłynie z nich potok gówna, nie żyjesz.
- Zrobiłbyś mi to? Po ośmiu latach?
- Zwłaszcza po ośmiu latach - powiedziała Sylvie. - Odpowiedz mi.
- Musiałem powiedzieć temu klientowi, kim jesteście. Nie chodziło o to, byście poczuli się zagrożeni. To była szczególna sytuacja... wyjątkowo kłopotliwa. Powiedział mi, że chce, bym wynajął zespół do zlikwidowania Wendy Harper. Musieli to być najlepsi fachowcy, najlepsi z najlepszych. Zaoferował wysoką sumę, ale powiedział, że musi być was pewien, zanim transakcja zostanie zawarta. Musiał wiedzieć, że nie biorę sobie ogromnego honorarium i nie odpalam parze członków gangu motocyklowego po tysiąc dolców. Więc się zgodziłem. To była przemyślana, biznesowa decyzja. Ten klient to nie był facet od pralni

chemicznej z Doliny, którego wkurzył właściciel mini-marketu. Był moim klientem od lat, człowiekiem wpływowym, i znał sposób na zwabienie Wendy Harper z powrotem do Los Angeles. Raz więc uczyniłem ten wyjątek. Powinienem najpierw porozmawiać z wami? Z perspektywy czasu wydaje się, że tak. Wiedziałem jednak, że jeśli to zrobię, będzie mnóstwo rozmów i głębokich namysłów i że ostatecznie dojdziecie do tego samego wniosku co ja. Wiedziałem, że jest to właściwa decyzja dla wszystkich... dla klienta, dla was, dla mnie.

-Jednak głównie dla ciebie, co? - Sylvie roześmiała się.

Densmore zaczął teraz skupiać uwagę na Sylvie, a ogromną część jego świadomości zalewała nienawiść. Paul Turner mierzył mu w brzuch i jemu powinien poświęcać uwagę... zapobiec przyciśnięciu spustu. Ale pogardliwy ton Sylvie doprowadzał go do furii.

-Dla nas wszystkich - oświadczył. - Od początku byłem w tej sprawie waszym adwokatem. Otrzymałem bardzo hojną ofertę i wybrałem was do wykonania tego zlecenia zamiast kogoś innego. Wzbogaciłem jeszcze tę ofertę, wyliczając wasze zdolności i osiągnięcia. Później, kiedy przy pierwszej próbie nie skończyliście zadania, postawiło mnie to w złym świetle i naraziło na potencjalne niebezpieczeństwo. Czy winiłem was i sprzedałem klientowi? Nie. Tłumaczyłem was i podniosłem stawkę, zaofero wałem wam więcej pieniędzy za zakończenie sprawy.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego uważasz, że powiedzenie o nas swojemu klientowi było dla ciebie właściwą decyzją - powiedziała Sylvie.
- Mogło przecież doprowadzić do twojej śmierci.

Densmore rozpoznał w jej głosie złowieszcze rozbawienie, jakie słyszał jedynie w głosach zabójców mówiących o swoich ofiarach. Był

śmiertelnie przerażony. Jak los mógł rzucić go na łaskę tej lubiącej przemoc dziwki? Dla-

355

czego Michael Densmore, wyśmienity adwokat, nie mógł poradzić sobie z manipulowaniem kobietą, która kiedyś pozwalała pieprzyć się na każdy możliwy sposób setkom mężczyzn, wierząc, że pomoże jej to zostać gwiazdą filmową? Odwrócił od niej wzrok.

- Bądź rozsądny, Paul. Pracowałem z wami przez osiem lat. Żaden z klientów, których dla was załatwiłem, nigdy nic o was nie wiedział, nie mógłby wypowiedzieć jednego obciążającego was słowa. Przyznaję, popełniłem błąd. Co mógłbym teraz zrobić, żeby go naprawić?

Paul robił wrażenie niepewnego.

- Na początek mógłbyś wyrównać szale. Powiedziałeś klientowi o nas. Kim jest ten klient?

Zaledwie kilka godzin wcześniej Densmore w ogóle nie rozważałby ewentualności udzielenia odpowiedzi na to pytanie i nawet teraz pewnie by tego nie zrobił, gdyby rozmawiał tylko z Paulem. Słyszał jednakże Sylvie i wiedział, że sytuacja przedstawia się gorzej, niż podejrzewał. Gdyby Paul się wahał, Sylvie zachęci go do naciśnięcia spustu.

W chwili potrzebnej do wzięcia oddechu ułożył już sobie plan na kilka następnych miesięcy. Rozdzielili Paula z Sylvie. Będzie to wymagało ostrożności, bo ona dysponuje zwierzęcą wręcz przebiegłością, której wcześniej nie dostrzegł, ale jego strategia wydawała się oczywista. Podsunie Paulowi inną kobietę. A Paul nigdy nie zaryzykuje wszczęcia sprawy rozwodowej. Sylvie była na to zbyt szalona, istniało

prawdopodobieństwo, że powie coś, co obciąży ich oboje. Może nawet spróbować go zabić, jeśli zastąpi ją inną. Więc Paul musi ją zabić.

Densmore już nie mógł się tego doczekać.

Teraz trzeba było mówić jak najszybciej.

- Jasne, Paul. To Scott Schelling.
- Czym się zajmuje? - To znowu Sylvie.

Miał ochotę ją zignorować, zwracać się tylko do Paula,

356

ale nie mógł sobie pozwolić, by któreś z jej pytań zawisło w powietrzu, bo bał się, że mogłoby to zostać uznane za odmowę odpowiedzi. Nie mógł też sobie pozwolić, by wyczuła jego nienawiść.

- Jest prezesem Crosswinds Records.
 - Urzędniczna od muzyki? - wykrzyknęła Sylvie. - Wydałeś nas jakiemuś nędznemu sprzedawcy płyt.

- Nie mam poczucia, że was wydałem, a on nie jest sprzedawcą płyt. Ma zaledwie czterdziestkę i już mówi się o nim jako o kandydacie na prezesa zarządu Aggregate Electronics Industries, kiedy Ray Klein przejdzie na emeryturę. A to oznacza filmy, telewizję, kablówki i Bóg wie co jeszcze. Scott Schelling to człowiek znaczący i z każdym dniem coraz bardziej potężny.

- No cóż, ja o nim nigdy nie słyszałam.

Densmore musiał zacisnąć zęby, żeby nie rzucić jakiejś sarkastycznej uwagi.

- Scott zawsze był powściągliwy, co przyczyniło się do jego sukcesu. Przemysł rozrywkowy tworzą szaleńcy i biurokraci. Jeśli jesteś bystry, chcesz się znaleźć nie po tej stronie, gdzie są artyści, ale pośród członków

struktur biurokratycznych. Piosenkarze i aktorzy pojawiają się i znikają, ale urzędnicy są zawsze. On to wie. Trwał na stanowisku i z dala od jupiterów. Myślę, że dlatego właśnie teraz tak bardzo zależy mu na zakończeniu sprawy Wendy Harper, gdyż jest świadomy, że zbliża się do takiego punktu, kiedy przestanie już być niewidoczny. Władza i pieniądze dają rozgłos.

- Dlaczego człowiek tego formatu byłby na tyle głupi, żeby zabijać swoją przyjaciółkę?
- Nie wiem. Nigdy mi nie powiedział, co się wydarzyło. Sześć lat temu nikt o nim nie słyszał i nikt się nim nie interesował. Był menedżerem artystów trzeciej kategorii w czwartorzędnej firmie. Od tamtej pory Aggregate Electronics kupiło Crosswinds i zwolniło prezesa. Potem za-

357

stępca prezesa otrzymał ratującą twarz ofertę od jakiejś innej firmy i oto mamy młodego Scotta Schellinga, zgodnie z regułą, ostatni będą pierwszymi. Tyle że on nie był ostatni. Miał powiązania z pewnymi kręgami przemysłu muzycznego. Mówię o artystach wywodzących się z ulicznych gangów i więzień. Crosswinds przynosi ogromne zyski.

- Scott Schelling - powiedział Paul.

-Tak. To, co robimy, to wymazywanie śladów młodzieńczego wybryku zamożnego człowieka, który będzie tylko jeszcze zamożniejszy. Zdobywa władzę nad ludźmi. Może sześć lat temu nieco przesadził z jakąś dziewczyną. Wendy Harper jest ostatnią osobą, która o tym wie, i on jest skłonny zapłacić każdą sumę, żeby skończyć z tym zagrożeniem. A ja gwarantuję, że w przyszłości będzie miał tego samego rodzaju problemy. Mężczyźni jego pokroju zawsze je mają. I wtedy możecie być pewni, że

zgłoszę się do was, żebyście rozwiązali jego problem.

- Ciekawe - oświadczył Paul.

- Owszem, ciekawe - powtórzyła Sylvie. - Ciekawe, że podałeś nasze nazwiska człowiekowi, który lubi mieć władzę nad ludźmi i który otacza się zbirami. Wielkie dzięki.

Densmore wstrzymał oddech. Kiedy on mówił, ona zdążyła dojechać autostradą Golden State już niemal do podnóża wzgórz. Przejechali pod wielkim znakiem z napisem „14-Antelope Valley Freeway”. Densmore popełnił tyle błędów. Nie musiał siedzieć tak długo w swoim biurze. Nie miał po prostu ochoty wracać do domu i mieć do czynienia z jawną wrogością Grace. Wszyscy już dawno wyszli. Szczerze mówiąc, mógł opłacić goryli... takich zbirów, których Sylvie zdawała się obawiać. Teraz wiozła go w góry. Nienawidził jej. Czuł dla niej taką pogardę, że aż go to ogłupiało. Musiał zwrócić się do Paula.

- Paul, pomyśl o tym. Ty i ja mieliśmy doskonale funkcjonujący układ. Robiliśmy grube pieniądze. Dobrze nam się żyło.

358

- Nieźle.

- I tym razem, kiedy sprawy nie poszły gładko, czy ja kwestionowałem twoją kompetencję albo cię obrażałem? Nie. Zaproponowałem czterokrotnie...

Densmore za późno spostrzegł wyraz twarzy Paula. Paul najwyraźniej nie podzielił się z nią tą informacją. Zamknął usta, ale już i tak padło za dużo słów.

W niewielkiej przestrzeni rozległ się ogłuszający huk wystrzału,

spełniając przeczucia Densmore'a: nabój przewiercił mu brzuch. Zgiął się w pół, nawet nie w reakcji na ból, ale tak jakby nabój zmusił mięśnie do skurczu. Potem poczuł z tyłu czaszki dotknięcie gorącej lufy broni Paula.

Nastała ciemność.

ROZDZIAŁ 33

Till obudził się i spojrzął na zegar przy łóżku. Była siódma rano. Wciągnął powoli powietrze i poczuł na poduszce zapach Wendy po czym odwrócił się twarzą do niej. Jej odprężona snem twarz była teraz gładka i spokojna.

Wziął telefon komórkowy wymknął się do drugiego pokoju, stamtąd do łazienki, zamknął za sobą drzwi i zadzwonił do Maksa Poliakoffa. Zgłosiła się poczta głosowa.

- Max - powiedział. - Mówi Till. Człowiek, który poluje na Wendy, nazywa się Scott. Nie wiem, czy to jego imię czy nazwisko. W każdym razie wiesz tyle co ja. Odezwę się później.

Zadzwonił na numer Holly ale jej telefon był wyłączony.

- To ja - powiedział - ranny ptaszek, twój ojciec. Całuję cię. I życzę wspaniałego dnia. - Rozłączył się i wyjrzał przez okno w pokoju Wendy. Jak zwykle, chodniki i ścieżka prowadząca w stronę skały roiły się od turystów... mężczyźni w workowatych szortach i kobiety w nietwarzowych kapeluszach. Przyjrzał się im i uznał, że nie dzieje się nic

podejrzanego, wobec czego ponownie zaciągnął zasłony.

Wchodząc do swojego pokoju, zobaczył, że Wendy ma oczy otwarte i patrzy prosto na niego. Uśmiechnął się.

- Świetnie - powiedziała.
- Co świetnie?
- Nie zmarszczyłeś brwi na mój widok i nie pomyślałeś: „Co też ja, do diabła, zrobiłem?”

360

- Nie chciałem cię budzić. Przepraszam, jeśli narobiłem hałasu.
- Nie narobiłeś hałasu - odparła. - Ale już czas, żebym wstała i do czegoś się wzięła. Energia mnie dziś rozpiera.
- Dlaczego? Co się stało?
- Wiesz, co się stało. - Uśmiechnęła się. - Przestań udawać, że coś z twoją głową było nie tak czy coś w tym sensie. - Wstała, zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła się do niego.

Długo stali, obejmując się i całując. W końcu lekko cofnął głowę.

-Jesteś w stanie odbyć tę resztę podróży do Los Angeles? Bo ja myślę, że czas doprowadzić do końca to, co zaczęliśmy.

Stali jeszcze kilka sekund przytuleni, a potem Wendy powiedziała:

- Chyba masz rację. Zróbmy to.

Zajęli się pakowaniem, wzięli prysznic i ubrali się. To milczenie miało zupełnie nowy charakter. Była w nim pewna intymność wynikająca z tego, że spali ze sobą, ale była tam też odrobina lęku. Pakując walizkę, Jack myślał o jeździe do Los Angeles i o człowieku, który nazywał się Scott.

Zaskoczył go dzwoniący na nocnym stoliku telefon. Pomyślał, że pewnie Wendy zamówiła budzenie. Podniósł słuchawkę.

-Tak?

- Pan Till?

-Tak.

- Tu Rob Sheffield z biura wypożyczalni samochodów Cheapcars w San Luis Obispo. Przepraszam bardzo, że niepokoję, ale wiem od policji, że pan się tutaj zatrzymał, i gdyby zechciał pan poświęcić mi kilka minut, to mogli byśmy załatwić sprawę raportu dotyczącego wypadku, jakiemu uległ samochód wypożyczony przez pana w San Francisco.

361

- A ma pan już raport policyjny? - spytał Till.
- Ten raport wpłynął do biura w San Francisco i w tej chwili nie mam jego kopii. Byłem poza biurem, kiedy do mnie zadzwoniono, a teraz jestem w holu na dole i pomyślałem sobie, że być może zejdzie pan i porozmawia ze mną przez kilka minut.
- Dobrze. Zaraz zejdę. - Till rozłączył się. Wendy stanęła w drzwiach łączących pokoje.
- Kto to był?
- Na dole jest facet, który chce ze mną porozmawiać. Jedną chwilkę. - Podszedł do biurka, na którym zostawił swoje rzeczy, i odnalazł papiery dotyczące wypożyczonego auta. Wybrał podany tam numer. - Dzień dobry - powiedział. - Nazywam się Jack Till. Jestem państwa klientem i zastanawiam się, czy macie państwo w swoim biurze

niejakiego pana Sheffielda. Tak? Jest dzisiaj w biurze? Nie, nic ważnego. Dziękuję. Złapię go później.

- Coś nie tak?

- Środki ostrożności. Tamtej nocy policjant obiecał, że nie zapisze, gdzie się zatrzymamy. Może zapomniał poinformować o tym swojego partnera. Na parterze, przy końcu korytarza, jest sala treningowa. No wiesz... elektryczne[^] bieżnie, ławki do podnoszenia ciężarów i taki tam sprzęt. Zobaczyłem to miejsce, kiedy przedwczoraj wchodziłem tylnymi drzwiami. Idź tam i czekaj na mnie.

Skinęła głową.

- Dobrze. Mamy kłopoty?

- Przykro mi. Kolejne środki ostrożności. Skoro nie chodzi tutaj o ciebie, to nie ma powodu, żeby w ogóle się o tobie dowiedział. Potem po ciebie przyjdę.

- Oczywiście - powiedziała.

Otworzył drzwi i ruszyli korytarzem do klatki schodowej. Zeszli na parter, a on zaprowadził ją pod drzwi sali, zajrzał przez małe okienko, żeby zobaczyć, kto jest w środku, i wpuścił ją tam.

362

- Nikogo tu nie ma. Za chwilę wrócę.

- W porządku.

Pobiegł na górę, potem korytarzem do windy i zjechał do holu. Kiedy wysiadł z windy, zobaczył czekającego na niego mężczyznę. Był wysoki, około czterdziestoletni, ubrany w szarą sportową marynarkę, białą koszulę i czerwony krawat. Wyglądał jak były sportowiec z liceum, który już miał słabe kolana i początki brzucha i prawdopodobnie za parę lat ulegnie

atakowi serca.

Mężczyzna podszedł do niego i wyciągnął rękę.

- Pan Till? Rob Sheffield. Dziękuję, że zechciał mi pan poświęcić czas.

Till uścisnął mu rękę.

• Żaden problem. Co mamy zrobić?

• Pan mi opowie, co się stało z autem, ja wrócę do biura i wypełnię formularze, a firma zajmie się oceną stanu wozu i odesłaniem go do warsztatu.

• W porządku. A tak przy okazji, skąd pan wiedział, gdzie mnie znaleźć? Sheffield uśmiechnął się.

- Chyba z papierów dotyczących wypożyczenia wozu.

Till się nie uśmiechał.

• Nie wiedziałem, gdzie się zatrzymam, kiedy wynajmowałem samochód.

• Więc musiałem to wziąć z raportu policyjnego. Naprawdę nie wiem. Byłem poza biurem, kiedy do mnie zadzwoniono i poproszono, żebym tu wstąpił. Może później znajdę tę informację dla pana. - Z kieszeni marynarki wyjął mały notes i pióro. - Czy na początek zechciałby pan odpowiedzieć na kilka krótkich pytań? Pierwsze, pełne imię i nazwisko.

• John Robert Till.

- 1 samochód. Jaka marka i model, jeśli pan pamięta? Till wstał.

- Mam papiery z wypożyczalni na górze. Zaraz wrócę.

363

Sheffield podniósł rękę.

- To nie jest konieczne. Ja tylko...

Jednak Till szybkim krokiem zmierzał w stronę wind i nic by go nie zatrzymało. Widział, że jedna jest pusta i ma otwarte drzwi, wmaszerował do niej, nacisnął guzik i pojechał na piętro.

Ruszył pospiesznie korytarzem, zatrzymał się przed drzwiami do swojego pokoju i jego podejrzenia się potwierdziły. Drewno przy zamku było wyżłobione i sprasowane, jakby ktoś wyważał drzwi łomem. Delikatnie je pchnął, cicho wszedł do środka i potem ostrożnie zajrzał do pokoju Wendy. Nie zobaczył nikogo, a ich walizki były tam, gdzie je zostawili, najwyraźniej w ogóle nieruszone. Nie interesowały intruza. Chodziło mu o Wendy.

Till chwycił walizki, pomknął korytarzem do klatki schodowej i zbiegł na parter. Postawił walizki, podszedł do drzwi sali treningowej i zajrzał do środka przez okienko, ale nie zobaczył Wendy. Zobaczył natomiast niskiego, krępego mężczyznę po trzydziestce w granatowym garniturze i krawacie. Szedł przez salę w stronę szatni. Till patrzył, jak tamten podchodzi do drzwi z napisem „Panie”, otwiera je i wchodzi do środka. x

Till przebiegł przez salę ćwiczeń, otworzył drzwi do damskiej szatni, wślizgnął się do środka, przytrzymał drzwi i powoli, cicho je przymknął. Gdzieś zza rogu dochodził go dźwięk kapiącej wody.

Czekał.

Kiedy usłyszał stukot twardych podeszew na płytkach posadzki, ruszył w tamtym kierunku. Zobaczył dwa rzędy niebieskich szafek, a przed nimi drewniane ławki. Kiedy spoglądał wzdłuż nich, usłyszał za sobą słaby

szmer. Odwrócił się i zobaczył, jak uzbrojona w krótki żelazny łom ręka tamtego mężczyzny opada na jego głowę.

Till zdążył się uchylić i łom tylko otarł się o prawy bark. Szybkim lewym sierpowym trafił napastnika w nos, a po-

364

tern wymierzył potężny cios w brzuch. Mężczyzna zgiął się wpół i upuścił z łoskotem łom, lewą ręką chwytając za rozkwaszony nos.

Till widział, że tamten chce niezauważenie sięgnąć prawą ręką pod marynarkę. Przykucnął, chwycił łom i zamachnął się. Trafił przeciwnika w lewą gołąb i widział, jak pod tamtym ugięła się noga. Zamachnął się drugi raz i trafił go w ramię w chwili, kiedy tamten wyciągał już pistolet. Uderzenie odrzuciło rękę napastnika w bok, ale nie wypuścił broni. Tym razem Till wymierzył cios w głowę.

Mężczyzna osunął się na bok i znieruchomiał. Till wyjął mu z ręki pistolet, włożył sobie do kieszeni, głęboko odetchnął i normalnym głosem, który w pustej szatni zabrzmiał całkiem głośno, powiedział:

- Wendy? To ja, Jack. Wendy!

Usłyszał metaliczny szcęk po drugiej stronie pierwszego rzędu szafek i kiedy je okrążył, zobaczył, jak jedna z nich się uchyla. Podeszedł bliżej a z szafki bokiem wysunęła się Wendy.

- Jack! Wydawało mi się, że słyszę... - zaczęła, kiedy go zobaczyła.
- Dobrze słyszałaś. Idziemy! Jest co najmniej jeszcze jeden.
- Dokąd idziemy?
- Do samochodu.

Włożył pistolet za pas, gdzie zakrywała go poła marynarki, wybiegli stamtąd i ruszyli korytarzem do klatki schodowej, gdzie zostawił walizki.

Wskazał ręką jej bagaż. - Weź tylko to, co uważasz za niezbędne, bo je tu zostawiamy.

Uklękła, otworzyła walizkę, sięgnęła po gruby plik banknotów i włożyła go do torebki. Jack wyjął ze swojej pistolet, wsunął do niego magazynek, a potem popchnął obie walizki w ciemną przestrzeń pod schodami.

365

Podał swoją broń Wendy. W jej małej dłoni pistolet wyglądał na duży i ciężki.

- Włóż go do torebki. Niech leży na samym wierzchu, żebyś łatwo mogła po niego sięgnąć.
- Chcesz powiedzieć, że mam do kogoś strzelać?
- Mam nadzieję, że nie. Jak dotąd jest jeden człowiek... wysoki, w szarej sportowej marynarce i czerwonym krawacie. Próbował zająć mnie rozmową, podczas kiedy ten drugi miał zająć się tobą. Ale może być ich więcej. - Wyjął pistolet, który odebrał napastnikowi w szatni, sprawdził magazynek i ponownie wsadził go sobie za pasek. - Teraz musimy stąd wyjść, dotrzeć do samochodu i odjechać. Gotowa?

Wendy skinęła głową.

Poszli do tylnego wyjścia i Till zatrzymał się, żeby wyjrzeć przez szklane drzwi. Widział swojego wypożyczonego niebieskiego cadillaca na parkingu, kilkadziesiąt metrów od nich. Był ranek i większość aut, jakie otaczały jego samochód wczorajszego wieczoru, odjechała.

- Ten wysoki facet jest w holu. Jeśli spojrzysz przez szklane frontowe drzwi, to zobaczysz nasze auto. Pójdę teraz w kierunku wozu. Ty wyjdź na zewnątrz i tuż przy murze prześlizgnij się na sam koniec budynku. Bądź gotowa

wsiąść, jeśli uda mi się dotrzeć do wozu. Jeśli coś się wydarzy, znikaj stąd, a ja cię później odnajdę.

-To dość marny sposób na zapoczątkowanie związku - oświadczyła.

- Po wizycie w biurze prokuratora okręgowego udamy się wprost do gabinetu psychologa. - Pociągnął ją ze sobą na zewnątrz, a potem energicznym krokiem ruszył w stronę niebieskiego cadillaca.

Wendy zaczęła posuwać się powoli wzdłuż budynku w stronę narożnika, ciągle jednak zerkąła w kierunku Jacka, żeby sprawdzić, jak mu idzie.

Zobaczyła, jak podchodzi do auta z kluczykiem w le-

366

wej ręce, i wiedziała, że prawą pozostawia wolną, by móc sięgnąć po broń. Na ten widok zbliżyła torebkę do twarzy i udawała, że w niej grzebie. Pistolet, który przedtem ją przerażał, teraz dodał jej otuchy. Jej oczy zwrócone były na Jacka.

Otworzył drzwi i wsiadając, spojrział w stronę wejścia do hotelu. W poprzek parkingu jechał duży beżowy samochód i zobaczyła, że jest w nim dwoje ludzi. Kierowca wyglądał na mężczyznę opisanego przez Jacka, ten drugi był niższy i ciemniejszy. Jechali w kierunku Wendy.

Odwróciła się i przyspieszyła kroku. Usłyszała, jak silnik samochodu wchodzi na wyższe obroty. Przekonana, że będą próbowali ją przejechać, spojrzała przez ramię, żeby ocenić, ile czasu jej zostało, podbiegła do pierwszego rzędu samochodów i przykucnęła pomiędzy nimi. Auto z dwoma mężczyznami przemknęło obok, potem przyspieszyło i zawróciło z taką szybkością, że aż nim zarzuciło.

Cadillac Tilla zatoczył szerokie półkole, żeby znaleźć się na końcu rzędu

samochodów, wjechał w alejkę i zatrzymał przy Wendy. Jack wysiadł i z bronią w ręku stanął przy otwartych drzwiach, obserwując, jak dwaj mężczyźni w beżowym samochodzie wyjeżdżają na ulicę i oddalają się z dużą szybkością. Wsiadł z powrotem do samochodu i przechylił się, żeby otworzyć drzwi pasażera. Kiedy się w nim znalazła, Till nacisnął pedał gazu tak, że nagłe przyspieszenie wbiło ją w oparcie fotela. Wyjechał z parkingu na ulicę pod kątem, dzięki czemu nie stracił kontroli nad pojazdem, mimo to wpadł na przeciwległy pas ruchu, a potem z rykiem silnika pogonił za beżowym samochodem.

Wyciągnął telefon komórkowy i widziała, jak kciukiem wybiera 911.

- Nazywam się John R. Till - powiedział. - Jestem prywatnym detektywem. Dwóch mężczyzn właśnie zjawilo

367

się w hotelu Seawall, żeby porwać i zabić moją klientkę, która jest głównym świadkiem w prowadzonej w Los Angeles sprawie o morderstwo.

Wendy usłyszała głos kobiety z drugiej strony:

- Proszę pana? Będzie pan musiał...
- Pędzą na wschód drogą numer czterdzieści jeden beżowym sedanem, prawdopodobnie szewroletem. Jeden jest niski i krępy, ma ciemne włosy i granatowy garnitur. Drugi jest wyższy, ma ponad metr osiemdziesiąt, ubrany jest w szarą sportową marynarkę, czerwony krawat, grafitowe spodnie. Są uzbrojeni i niebezpieczni.

Wyłączył się, po czym ponownie włączył kciukiem telefon. Ten numer miał zapisany w komórce.

- Z Maksymem Poliakoffem proszę. Jack Till. Max? Mam

kolejną sytuację wyjątkową. Jestem na czterdziestce je dynce, jadę na wschód, ścigam dwóch facetów, którzy dopiero co próbowali zabić Wendy w hotelu Seawall. Szczęście nie bardzo mi dopisuje. Nie widzę ich. Właśnie poinformowałem o tym policję w Morro Bay. Czy możesz do nich zadzwonić i powiedzieć to, co trzeba? - Słuchał przez chwilę. - Dzięki. - Poliakoff znowu coś mówił. - W porządku - skwitował Jack. - Muszę teraz skupić się na prowadzeniu. Pogadamy później.

Wendy uniosła się w fotelu i wpatrywała przed siebie.

- Ciągle ich nie widzę.

Till wzruszył ramionami.

- Za bardzo się oddalili. - Pozwolił, żeby auto zwolniło, po czym zjechał na pobocze i zawrócił.
- Co robisz?
- Nie uda nam się zbliżyć na tyle, żeby ich zobaczyć. Czas zabrać cię do Los Angeles.

ROZDZIAŁ 34

Scott Schelling, leżąc, napiął mięśnie, żeby wycisnąć ciężar; ramiona mu drgały, kiedy prostował je w łokciach i wypychał sztangę do góry.

- Jeszcze trzy, wytrzymaj jeszcze trzy. - Dale, jego osobisty trener, krzyczał mu do ucha. - Trzy. Dwa. Jeden.

Schelling utrzymał ciężar w powietrzu nad swoją twarzą, a przed jego

oczami pojawiły się dwie wielkie dłonie, następnie grube, owłosione ramiona i brunatnozielony T-shirt, po czym Dale nakierował ciężką sztangę na podpórki z tyłu ławy.

- Nieźle, Scott. Całkiem nieźle. Mamy jeszcze czas na szybką przebieżkę.

Scott Schelling usiadł z opuszczonymi bezwładnie ramionami i spojrzał na zegar wiszący na ścianie sali ćwiczeń.

- Nie sądzę. Za kilka minut mam spotkanie. Ale pobiegam wieczorem, kiedy wrócę, a potem popływam.
- Mam nadzieję, że znajdziesz na to czas, Scotty. - Dale zmrużył oczy. - Jesteś teraz w odpowiedniej formie i musisz pilnować, by twoje serce codziennie pompowało krew, żebyś mógł przejść na kolejny poziom.

Schelling popatrzył na niego i skinął głową z fałszywą powagą. Łatwo było okłamywać Dale'a. Zapłacił kiedyś za jego sprawdzenie i odkrył, że facet rzeczywiście był w piechocie morskiej i rzeczywiście przybył do Kalifornii jako instruktor wychowania fizycznego rekrutów w bazie

369

Twenty-Nine Palms. Jego lewe ramię zdobił charakterystyczny dla marines tatuaż przedstawiający kulę ziemską połączoną z orłem i kotwicą. Miał szczeciniaste, białe, krótko przystrzyżone włosy i obcesowy, wyzywający sposób bycia. Schelling wiedział jednak, że zarówno tatuaż, jak i fryzurę sprawił sobie jakiś rok czy dwa po odejściu z piechoty morskiej, kiedy starał się założyć własny trenerski interes. Ludzie, którzy mieli pieniądze, uważali, że potrzebny im jest jakiś tępy osiłek, który będzie na nich wywrzaskiwał, jakby szli na wojnę, a nie jedynie próbowali pozbyć się pięciu funtów obwisłego cielska.

Scott Schelling wziął ręcznik ze stosu i wytarł pot z twarzy i karku.

- Wobec tego do jutra.

- Jasne, Scotty. Będę tutaj o szóstej. Bądź gotów do pracy. - Podeszedł do drzwi, gdzie zostawił torbę, i wyszedł na korytarz.

Schelling patrzył, jak spogląda na swój skomplikowany wojskowy zegarek, włącza telefon komórkowy i idzie wzdłuż szklanej ściany do wyjścia. Po paru chwilach wsiądzie do samochodu i pojedzie na kolejne spotkanie.

Schelling wszedł do kabiny prysznicowej, ustawił od[^] powiednio wszystkie dysze i przez kilka minut stał, podczas gdy omywała go tryskająca z czterech stron gorąca woda. Potem wyszedł, wytarł się dwoma kolejnymi ręcznikami i przeszedł przez sypialnię do garderoby, wielkiego kwadratowego pomieszczenia, gdzie wzdłuż dwóch ścian wisiały garnitury, a pod pozostałymi dwiema stały komódki z szufladami. Zobaczył, że Kimberly, jego sekretarka, wybrała mu już ubranie i położyła na długiej tapicerowanej ławie zajmującej środek pomieszczenia. Był daltonistą, ale bez trudu dostrzegł, że krawat i chusteczka różnią się od siebie, i wiedział, że ich kolory, jak i kolor wybranej przez nią koszuli, są tego dnia krzykiem mody w Los Angeles. Buty odpowiednio lśniły i nie umknęło

370

jego uwadze, że skarpetkom i bieliznie nadano w praniu właściwą miękkość.

- Kimberly - powiedział bez podnoszenia głosu.

Kobieta odeszła od biurka w jego sypialni i weszła do garderoby. Miała na głowie słuchawki z mikrofonem, co oznaczało, że

właśnie rozmawia z Tiffany w biurze. Trzymała podkładkę z kartkami papieru i robiła notatki, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, że Scott jest nagi.

- Mam tu Scotta - rzuciła do Tiffany. A do niego: - Zaczęli się schodzić niektórzy uczestnicy spotkania. Jest już Cjentin, Ali i Tara.
- Zajmij się nimi najlepiej, jak potrafisz, Tiffany - odezwał się Schelling, zupełnie jakby mówił do telefonu. Kimberly powtórzyła słowo w słowo to, co powiedział. - Czy są już w mojej salce konferencyjnej?
- Jeszcze nie.

Schellingowi podobał się sposób, w jaki Kimberly i Tiffany sprzęgały się, tworząc jeden umysł. Przekazywały sobie informacje i wzajemnie wypytywały, przewidując, co on zechce wiedzieć. Nie było w nich ani trochę arogancji. Żadna z nich nigdy nie odpowiadała na pytanie „nie”. Ich „jeszcze nie” było o krok od „tak”.

- Umieść ich więc w moim gabinecie, na kanapach. Na głośnij mnie, żebym mógł coś do nich powiedzieć, kiedy będziesz podawać im drinki.

Kimberly powtarzała jego słowa, odczepiając telefon od paska. Ubierał się, a kiedy Tiffany miała już wszystko gotowe, Kimberly odłączyła przewód od słuchawki w uchu i podała telefon Scottowi.

Odezwał się gładkim i lekkim głosem.

-Tara, Ali, Quentin. Bardzo dziękuję za uprzejmość, jaką było tak punktualne pojawienie się w moim biurze. Przepraszam, że nie ma mnie tam, by powitać was osobiście, coś mnie niespodziewanie zatrzymało, ale jestem już

w drodze. Tiffany wręczy wam egzemplarze opracowanego przeze mnie harmonogramu rozpowszechniania płyt. Proszę porównać go z planami, za które jesteście odpowiedzialni, i postępami w waszych pracach. Jeśli są jakieś niezgodności, chcę o nich usłyszeć. Byłbym wdzięczny za wyjaśnienie, o co chodzi, tym osobom, które dopiero do was dołączą, tak by wszyscy byli gotowi, kiedy tam dotrę. Dziękuję.

Podał telefon Kimberly i włożył spodnie. Dziewczyna ponownie podłączyła telefon, przypięła go sobie do paska, po czym znów posłuchała Tiffany i zrobiła notatki. Po chwili odezwała się:

- Dobrze to przyjęli. Oswajają się z sytuacją, że znaleźli się tam przed innymi. Teraz studiują harmonogram i dokonują wymian, żeby przyspieszyć rozpowszechnianie tych, które są już gotowe, a zatrzymać inne.
- Świetnie. Miej na nich oko. Co jeszcze?
 - Świetnie. Miej na nich oko - przekazała Kimberly. -Jutro wieczorem masz przyjęcie u Raya Kleina w jego domu w Santa Fe - zwróciła się do Scotta.
- Pamiętam.
 - Limuzyna zabierze cię stąd na lotnisko o czwartej po południu. Po przyjeździe zatrzymujesz się w swoim hotelu, Eldorado. Przyjęcie zaczyna się o ósmej. Twoim prezentem dla pani Klein jest stara mapa, wykonana przez Hermana Molla w roku tysiąc siedemset dziewiętnastym. Pokazuje Nowy Meksyk, włącznie z Santa Fe, a Kalifornia przedstawiona jest na niej jako wyspa.
- Ile mnie to kosztowało?
 - Dwadzieścia siedem tysięcy, ale przynajmniej nie musisz się

przejmować, kiedy będzie się nią chwaliła. Jej pochodzenie jest pewne i legalne, a to nieczęsto da się powiedzieć o naprawdę rzadkich mapach. Jest odpowiednio zapakowana do wysyłki i znajdzie się tam jutro o piątej po południu, żeby mieli czas ją odpakować i podzwonić

372

w parę miejsc, by sprawdzić, jak bardzo mają być za nią wdzięczni.

- Co jeszcze?

-Masz spotkania o trzeciej i piątej z grupami Codę sto osiemdziesiąt siedem i Nine-One-One Bang. Fryzjer i manikiurzystka zamówieni są do twojego biura na siedemnastą czterdzieści pięć. Szkice na okładki płyt, które mają się ukazać w przyszłym miesiącu, są już na twoim biurku, więc pomiędzy spotkaniami możesz je przejrzeć. Także liczby dotyczące tygodniowej sprzedaży i propozycje przyszłotygodniowych budżetów na reklamę.

- W porządku. Puść taśmę demonstracyjną Codę w holu, kiedy będą na mnie czekali, żeby wszyscy ją usłyszeli, zanim się pojawię.

Włożył buty, zawiązał krawat i wdział marynarkę. Kimberly stała obok i powtarzała jeszcze jak echo „zanim się pojawię”, podczas gdy jej dłonie wygładzały mu marynarkę na ramionach i poprawiały z tyłu kołnierzyk koszuli, żeby krawat się pod nim nie zwijał. Przeszli razem przez główną sypialnię.

- Pan Densmore jeszcze nie odpowiedział na telefon. Jego asystentka mówi, że szef jest w sądzie, ale ona go chyba kryje.
- Kiedy się odezwie, przełącz rozmowę na moją komórkę - powiedział Schelling.

W czasie całej tej rozmowy szli długim korytarzem, przecięli ogromny dwukondygnacyjny salon i mieszczący się na parterze gabinet Kimberly, aż znaleźli się przy samochodzie stojącym na brukowanym, łukowatym podejździe przed głównym wejściem. Zza domu przybiegł jego pies King, domagając się pieszczot. Scott podrapał go raz pod brodą, a Kimberly przytrzymała za obrożę, żeby przypadkiem jakiś włos z jego sierści nie przyczepił się do garnituru jej szefa.

Carl stał przy samochodzie. Otworzył Schellingowi

373

drzwi i trzymał je, czekając, aż Kimberly wsiądzie, ale ona pokręciła głową, wobec czego je zamknął i usiadł za kierownicą.

Schelling wyglądał przez okno, kiedy Carl wrzucił bieg. Kimberly znowu mówiła do mikrofonu i patrzyła na szefa pustymi, niewidzącymi oczyma. Samochód ruszył w stronę bramy i Carl wcisnął guzik pilota, żeby ją otworzyć.

Scott był zadowolony z Kimberly i Tiffany. Wspólnie wykonywały doskonałą robotę, jednak nie trzymałby ich przy sobie tylko dlatego, że w mig wszystko chwycyły i tak kompetentnie zarządzały wszystkim. Musiały spełniać jeszcze jedną funkcję, dekoracyjną. Tkwił bowiem w branży, w której tych, którzy nie idą z duchem czasu, czeka śmierć zawodowa.

Te dwie asystentki włączył do jednego ze swoich eksperymentów. Z Tiffany uprawiał seks raz, rok po tym, jak zaczęła u niego pracować. Był późny wieczór, wszyscy już wyszli i biuro było zamknięte. Był to akt z kategorii *droit de seigneur*: on po prostu rościł sobie do niej prawo jako do członka swojego personelu. Potem zostawił ją w spokoju. Chciał, żeby się zastanawiała, czy to się jeszcze kiedyś powtórzy, a potem, dlaczego się nie

powtórzyło. Wiedział, że w tej chwili dziewczyna próbuje zgadnąć, która sytuacja byłaby korzystniejsza dla niej i jak to osiągnąć.

Z Kimberly postanowił postępować inaczej. Odkąd tylko się pojawiła, traktował ją jak bezpłatną służącą, może nawet jak przedmiot. Nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, ani na to, co może sobie myśleć. Dzisiaj, podobnie jak przez kilka poprzednich miesięcy, wezwał ją do garderoby, kiedy był jeszcze całkiem nagi, jakby była jego kamerdynerem, i w trakcie ubierania rozpoczął z nią pracę. Wiedział, że obie asystentki codziennie, przez cały dzień, rozmawiają ze sobą.

Wiedział też, że obie dorabiają do swoich dochodów

374

i przygotowują sobie podstawy do awansu, dzieląc się informacjami o jego harmonogramie i istotnych sprawach dotyczących działalności zawodowej z jego szefem, Rayem Kleinem, prezesem zarządu Aggregate Industries. Nie przeszkadzało mu to, bo dawało jeszcze dwie dodatkowe możliwości wciskania Kleinowi tego, co chciał, żeby do jego uszu dotarło.

- Carl, jak wygląda sytuacja z Densmore'em? - spytał, kiedy samochód sunął już ulicą w stronę Bulwaru Zachodzącego Słońca.
- Ci dwaj faceci wynajęci, by zasadzić się przed biurem prokuratora okręgowego, mieli jaja większe od mózgów.
- Tyle już wiem. - Schelling nie życzył sobie, by mówiono mu coś, o czym już wiedział.
- Przepraszam, Scotty. Kaprilow i Stevens mają dziś pod obserwacją jego dom i biuro. Mercedes stał na swoim miejscu w garażu biura, zanim tam dotarli i silnik nie był ciepły. Jego żona jest w domu i wygląda na to, że nic szczególnego nie robi. Nie pakuje się, żeby

uciekać i spotkać się z nim w Brazylii czy coś w tym sensie. Jeszcze nawet nie wyszła z domu.

- Coś świadczy o wizycie policji w domu czy w biurze?
- Jeszcze nie.
- Daj mi natychmiast znać, jeśli zdarzy się coś takiego.
- Ma się rozumieć.

-Świetnie się sprawiasz, Carl. - Shelling na długo przed wyjściem z domu postanowił, że to powie. Carl nie sprawiał się świetnie, ale kilkoma słowami zachęty można było spowodować, że bardziej się starał i działał sprytniej, a kiedy czuł się niedoceniany, wpadał w ponury nastrój. Płacił mu bardzo dobrze, ale żadna suma nie jest wystarczająca, by zapewnić sobie bezwzględną lojalność kogoś takiego jak Carl. Dlatego tak ważne było, żeby Carl widział swój najlepszy interes tam właśnie, gdzie Scott Schelling. W celu utrzymania silnej więzi Schelling czasami wdawał

375

się z nim we wspominki o tym, co kiedyś wspólnie robili, ale dzisiaj jakoś nie miał na to ochoty.

W dawnych czasach Carl często przeszukiwał modne bary i kluby, żeby znaleźć kobiety dla Scotta. Schelling był młodym człowiekiem na stanowisku w firmie muzycznej, krótko po szkole biznesu. Zdążył już odkryć, że jest w stanie zarobić zaskakująco duże pieniądze w przemyśle muzycznym, nie odnosił jednak większych sukcesów, jeśli chodzi o kobiety.

Pewnego dnia, koło północy, Carl postarał się nawiązać znajomość z siedzącą przy barze w Gazebo Kit Stoddard i zaraz potem zatelefonował do Scotta. Schelling właśnie wybierał się na przyjęcie związane z jego

pracą, ale miał już wystarczające doświadczenie z Carlem, by wiedzieć, że kiedy on dzwoni, warto się pofatygować i pojawić. By zyskać na czasie, czekając na szefa, Carl nawiązał rozmowę z Kit. Był muskularnym, atletycznie zbudowanym dwudziestoparoletnim mężczyzną z burzą czarnych, falujących włosów, wyraźnymi, jak rzeźbionymi rysami i opalenizną wprost z solarium. Scott nigdy w życiu nie spotkał mężczyzny z takim wyglądem, który byłby obdarzony inteligencją. Jakieś niejasne prawo genetyki nie pozwalało, by ktoś łączył wszelkie zalety.

Carl zabawiał swoim paplaniem Kit i jej towarzyszkę. Schelling przy innych okazjach dość się go nasłuchał, by wiedzieć, że na pewno powiedział: „Jesteście aktorkami, prawda? Domyślałem się tego. Skąd wiem? To widać, ten blask. Kobieta albo to ma, albo nie ma, a wy macie jak najbardziej. A poza tym, jakie jest prawdopodobieństwo, by trzy tak zachwycające kobiety były razem, jeśli nie grają razem albo nie są trojaczkami. Nie jesteście trojaczkami, zgadza się? Czy czuję się rozczarowany? Nie. Przyznam, że trojaczki to takie marzenie, ale mam tyle innych, które muszę najpierw spełnić. Dopiero pracuję nad czymś, co obiecałem sobie jako czternastolatek. W każdym razie

376

bądźmy szczerzy. Nie możemy się ze sobą równać. Kobieta taka jak każda z was zasługuje na to, by być z mężczyzną, który może kupować jej różne rzeczy i zabierać do różnych miejsc. Z jakim? Na przykład z moim szefem. Ma ledwie trzydziestkę i jest multimilionerem. Działa w przemyśle muzycznym”.

W tamtych czasach Scott nie czuł się dość swobodnie przy nawiązywaniu znajomości z kobietami. Był drob-nokościsty, wąski w

ramionach i nosił okulary z grubymi szklami. Miał nowojorski akcent i na tyle długo przebywał poza tym miastem, by wiedzieć, że kobietom z reszty świata wydaje się to podejrzanе.

Za każdym razem, kiedy Carlowi udawało się skojarzyć go z kolejną kobietą, do następnego czeku dodawał mu premię. Kiedy tak siedział teraz w aucie i myślał o tym wszystkim, przypominał sobie, że Nancy Russo i Carol Peters, dwie dziewczyny przed Kit, wzbogaciły jego ochroniarza o dziesięć tysięcy dolarów każda. Tamtego roku Carl zarobił tymi premiami co najmniej pięćdziesiąt tysięcy dolarów. Wyglądało jednak na to, że młody człowiek czerpie z tych usług coś więcej niż tylko pieniądze. Schellingowi przyszło do głowy, że Carl pośrednio odczuwa seksualne pobudzenie jako ten, który uwodzi je pierwszy.

Tamtego wieczoru, kiedy Scott wkroczył do Gazebo, był świadom wagi pierwszego wrażenia. Miał na sobie ciemny garnitur od Armaniego, który po poprawkach leżał idealnie, ręcznie wykonane włoskie półbuty i swojego najdroższego roleksa. Żadna kobieta, która na niego spojrzała, nie dostrzegła przedwczesnego przygarbienia. Widziała garnitur. Nie zauważała matowych brych włosów, które na czubku głowy już się zaczęły przerzedzać i mimo strzyżenia za dwieście dolarów wciąż zachowywały się niesfornie. Widziała warte dwieście dolarów zabiegi fryzjera.

377

Schelling przyglądał się siedzącej przy barze Kit Stoddard, patrzył, jak wdzięcznym ruchem podnosi dłoń o długich palcach i dotyka błyszczących rudych włosów, odsuwa ich kosmyk sprzed oczu, nie po to, by lepiej go widzieć, ale by on mógł widzieć te oczy i dodać do ogólnej

oceny jej osoby. Scott zaprosił ją na przyjęcie, na które się wybierał. Wzruszyła ramionami, popatrzyła na swoje dwie przyjaciółki i wyraziła zgodę.

Zabrał ją do Hollywood Hills, na przyjęcie w nowym domu, który Mechanismo kupił sobie za honorarium uzyskane po podpisaniu umowy z firmą nagraniową Bullet-proof Records. Scott prowadził Kit przez tę zbudowaną w tokańskim stylu willę, patrzył na przedmioty, jakie wszyscy młodzi muzycy kupowali tamtego roku: ogromny telewizor z płaskim ekranem, wypełnione słoną wodą akwarium z parą rekinów, kilka kiepskich portretów przedstawiających ich samych. Przeszli przez szeroką werandę i biegnącymi coraz szerzej schodami zeszli na trawnik, gdzie Artie Bains z Bulletproof Records właśnie usiłował kumplować się z artystami. Scott podszedł do niego i spytał:

- Kiedy wysyłasz go w trasę?
 - Nowy album nie jest jeszcze gotowy - odparł Bains. -Ale zrobię to jeszcze tego tygodnia, w którym się ukaze. On nie myśli nawet o jeden dzień do przodu, więc nic mu nie mów.
- Zawodowa uprzejmość - zgodził się Scott.
 - Wyjaśnię mu to za kilka dni, kiedy wytrzeźwieje, i wtedy zaczniemy ustalać terminy. Zadzwoń do ciebie i może uda się uniknąć konfliktów. - Zobaczył Kit Stoddard i wyciągnął rękę. - Jestem Artie Bains z Bulletproof. Na pewno bym zapamiętał, gdyby Scotty miał kiedykolwiek tak piękną jak pani przyjaciółkę.
- Dziękuję. - Kit nigdy wcześniej nie słyszała o Artiem Bainsie, ale bez wątpienia słyszała o Bulletproof Records.

Scott wyprowadził ją poza zasięg rąk Bainsa.

- Powodzenia z tym tournee - rzucił na odchodnym.

Bains zrozumiał jego słowa. Nie były groźbą, jedynie zwróceniem uwagi na to, że właśnie podzielił się ze Scottem informacją, którą ten, gdyby zechciał, mógłby wykorzystać, żeby w najbliższych dniach utrudnić mu życie.

Kit widziała to przyjęcie tak, jak Scott chciał. Przedstawił ją członkom Los Federales i The Scheme; z obydwoma grupami miał podpisaną umowę. W damskiej toalecie poznała Marshę Steele, a potem przyglądała się, jak dziewczyna bierze gitarę i daje improwizowany koncert złożony z dwóch piosenek z jej kolejnego albumu. Około drugiej trzydzieści przed dom zajechała limuzyna i Little Nancy wykonała entree obwieszona tyłoma brylantami, że aż ją przytłaczały. Zanim zniknęła pośród gości, zatrzymała się i uściskała Scotta Schellinga.

Później, kiedy w drodze do podstawionego na podjeździe samochodu mijali ludzi przy stołach szwedzkich i tych kręcących się wokół trzech barków, Kit oświadczyła:

- To niesamowite, że można zarabiać tyle pieniędzy.
- Mechanismo jest nie tylko spłukany - odparł jej towarzysz - ale jego długi już przewyższają to wszystko, co w życiu zarobił. Tyle że jeszcze nic o tym nie wie.
- Naprawdę? Po jednej płycie?
 - Jest dobry. Jeśli nie obniży lotów, to kiedyś z tych długów wybrnie. Ale będzie musiał ciągle być w trasie, a jego druga płyta musi być przebojowa.
- Dlaczego ma długi?

- Bo jest nowy w tej branży. Jeszcze nie poznał różnicy pomiędzy pieniędzmi i kredytem, a nie było w interesie Artiego mu ją pokazać. Myślę, że jego honorarium wyniosło dwa miliony. Jakiś milion zaliczki dał za ten dom, co oznacza, że winien jest bankowi około dziesięciu. Jeśli dostał dwa, to tej reszty i tak zażąda urząd skarbowy, i to

379

już na wczoraj. Mnóstwo wydał na samochody, biżuterię, przyjęcia. Jutro czy pojutrze Artie usiądzie z nim, podo-daje liczby i wyjaśni, jak funkcjonują pieniądze. Potem mu powie, co musi zrobić, żeby dostać więcej.

- Ty też to robisz? -Co?

- Wpędzasz ich w długi, żeby mieć nad nimi władzę?

- Oczywiście, że nie. Kiedy tylko widzę, że coś takiego może nastąpić, staram się temu zapobiec. Jestem w tej branży, bo kocham muzykę i chcę odkrywać wspaniałych artystów i pomagać im tworzyć. A przy okazji oni zarabiają pieniądze i firma, dla której pracuję, też zarabia.

Już po kilku takich przyjęciach od ludzi, jakich tam spotykała, Kit zaczęła wysłuchiwać uwag na temat swojego przyjaciela. Powtarzała mu je ze zmartwioną miną, jakby przynosiła mu wieści, które mogą go zranić.

- Scotty, uważam, że powinieneś pozwolić się poznać większej liczbie ludzi i pokazać, jaki naprawdę jesteś, a nie zachowywać się wyniośle, jakbyś był nieobecny. Słyszałam, jak ktoś nazwał cię dziś wieczór Księciem Ciemności.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Jeśli twoi konkurenci mówią, że jesteś najgorszy, to znaczy, że jesteś najlepszy.

Scott zadurzył się w Kit. Uważał ją za swoją dziewczynę i okazywał jej hojność. Pozwalał kupować drogie stroje w butikach przy Montana Avenue i płacić jego kartą kredytową. Codziennie wychodził do pracy o wpół do szóstej rano i aż do ósmej wieczorem, albo jeszcze dłużej, pozostawiał jej do dyspozycji swój wielki luksusowy dom. Zabierał ją na najlepsze przyjęcia w mieście.

Ostatecznie jednak ich związek zaczął tracić świeżość. Kit mówiła, że się nudzi i że tęskni za swoimi przyjaciółkami. On nie chciał oglądać jej przyjaciółek i nie pozwalał jej jeździć samochodem do klubów. Kazał Carlowi odwo-

380

zić ją do restauracji, w której zgodziła się umawiać z przyjaciółkami, a potem odbierać ją stamtąd w umówionym miejscu i o umówionej godzinie. Scott nie życzył sobie, by wszyscy jej przyjaciele, rodzina oraz znajomi wdarli się w jego życie. On chciał tylko ją... te długie rude włosy, białą skórę, miękkie usta. Chciał oglądać siebie z czeluści tych zielonych oczu i czuć, że jest doceniany, podziwiany, podniecający.

Zaczęli sobie docinać krótkimi, lodowatymi, sarkastycznymi uwagami, często w ogóle nie odpieranymi przez to drugie. Pewnego wieczoru wrócił z pracy, ciesząc się myślą, że pójdą gdzieś na kolację, i zastał ją w sypialni na przygotowaniach do wspólnego wypadu z przyjaciółkami. Powstrzymał się od komentarzy, bo nie chciał rzucić jakiejś gniewnej powodowanej zazdrością uwagi, której by natychmiast pożałował. Dostrzegła jego ponury nastrój i oświadczyła, że się dąsa. Wiedział, że jeśli się odezwie,

ona zacznie umyślnie go drażnić, na co on wpadnie w złość, poszedł więc popływać w basenie, a Carl odwiózł ją na spotkanie.

Podczas jej nieobecności poczuł, że zżera go samotność i tęsknota. Zawsze był wobec niej łagodny i cierpliwy, teraz jednak odczuwał zupełnie coś innego. Zaczął chodzić w tę i z powrotem. O drugiej nad ranem czekał na nią przy drzwiach, wpuścił ją i przekręcił klucz w zamku, ściągnął z niej ubranie i wziął ją w holu. Po wszystkim ona długo całowała go bez słów, a potem poszli do łóżka i zasnęli objęci.

Od tamtej pory za każdym razem, kiedy wyszła bez niego, czekał i myślał o niej, dopóki się nie zjawiała. Kochał się z nią na dywanie w sypialni albo na kanapie w pokoju telewizyjnym, albo na wielkim tapicerowanym fotelu przy drzwiach.

Podobała jej się ta gra - tak na niego działała, że nie potrafił opanować podniecenia, miała nad nim moc, która sprawiała, że czekał na nią przy drzwiach, wyglądał przez

381

okno i nasłuchiwał. On natomiast myślał o Kit w trakcie dnia, łapał się na tym, że marzy o niej podczas spotkań czy kiedy słucha fragmentów płyty, próbując podjąć decyzję na temat losów jakiegoś piosenkarza.

Pewnej nocy wydarzyło się coś niepokojącego. Ze spotkania z koleżankami wróciła o wiele później niż zazwyczaj. Kiedy weszła do sypialni, zdarł z niej brutalnie ubranie. Opierała się, a on chwycił jedwabny krawat, który powiesił na gałce komódki, związał nim jej ręce z tyłu, po czym pchnął na łóżko i wziął siłą. Po jej ruchach i dźwiękach, jakie wydawała, domyślił się, że jest bardziej podniecona niż kiedykolwiek. Potem leżeli chwilę nieruchomo, a ona powiedziała:

- Rozwiąż mi ręce, Scott.

Z surowego, lodowatego tonu jej głosu wywnioskował, że jest teraz w poważnym nastroju. Rozwiązał węzeł, a ona usiadła twarzą do niego.

- To się nie ma prawa powtórzyć.

Najpierw pomyślał, że ją źle zrozumiał - przecież niemożliwe, żeby jej się to nie podobało i nie chciała tego więcej - ale kiedy w słabym świetle księżycy przyjrzał się uważniej jej twarzy, wiedział, o co chodzi. Nie była zła. Była przerażona, bo zaczęła dostrzegać to, co on już zdążył zauważyć: za każdym razem uprawiany przez nich seks nabierał coraz ostrzejszego, coraz bardziej gwałtownego charakteru.

- To już zaszło za daleko - dodała.
- W porządku. Więcej już tego nie zrobimy.
 - Nie chodzi o krawat. To się staje zbyt brutalne. Sprawia mi ból.
- Podobało ci się.
- To nie jest dla nas dobre. Ani dla mnie, ani dla ciebie.
 - To następnym razem zrobimy coś innego. Będziemy delikatni i powolni. Weźmiemy długą gorącą kąpiel, a ja ci zrobię masaż.

382

- Uważam, że powinnam sobie pójść.
- Jest prawie trzecia. Dokąd miałybyś iść?
 - Do domu. Mam mieszkanie, zapomniałeś? Chcę wrócić do swojego łóżka i zasnąć. Myślę, że powinniśmy od siebie odpocząć.
 - Daj spokój, Kit. Przecież nic się nie stało. To tylko taka zabawa i według norm większości ludzi całkiem cywilizowana.
- Muszę mieć czas na zastanowienie.

Leżał na plecach i wpatrywał się w sufit, podczas gdy ona krążyła między garderobą a łazienką, ubierając się. Bardzo szybko uświadomił sobie, że ona działa w pośpiechu, jakby nie mogła się doczekać, kiedy od niego ucieknie. Nie mówiła, że z nim zrywa, ale Scott wiedział, że tak właśnie jest. Kiedy tylko się ubierze, popędzi schodami na dół, wsiądzie do samochodu i odjedzie. Kiedy znajdzie się daleko od tego domu, z dala od niego, dostępna jedynie przez telefon, kiedy nie będzie mógł po nią sięgnąć, a ona nie będzie musiała patrzeć mu w oczy, jej ton się zmieni. Może nawet nie będzie odbierała jego telefonów.

Próbował zachować spokój i przyzwyczajać się do myśli, że ona już do niego nie należy. Oddychał głęboko i koncentrował się na tym, żeby rozluźnić napięte mięśnie. Już się ubrała. Weszła do sypialni i zatrzymała się.

- Zadzwonię.

Leżał nieruchomo, obezwładniony smutkiem. Kłamała. Nigdy do niego nie zadzwoni, nigdy się nie odezwie. Był dla niej taki dobry, taki szczodry. Ona prawdopodobnie od samego początku chciała go wykorzystać, skorzystać z jego wpływów, kontaktów, dojść. Kiedy przechodziła obok, usiadł.

- Kit, zaczekaj!
- Idę. Nie mam ochoty rozmawiać.

Coś do tej pory nieświadomionego obudziło się w nim. Wskoczył nagi z łóżka i ruszył w jej stronę. Z całym im-

383

petem wpadł na nią i przewrócił na podłogę. Wyrwał pasek ze spodni, które leżały na podłodze, tam gdzie je zostawił, owinał go wokół jej szyi,

przełożył przez sprzączkę i tak trzymał.

Nagle usłyszał dzwonek telefonu komórkowego Carla i oprzytomniał. Podniósł wzrok i mrużąc oczy, spojrział w ostre słoneczne światło. Brakowało mu tchu, pocił się w klimatyzowanym wnętrzu samochodu. Kit naprawdę nie żyła. On rzeczywiście ją zabił.

- Taa? - odezwał się Carl. I po chwili: - Scotty?

-Co?

- Właśnie znaleźli ciało Densmore'a. Dziś rano, na polu w pobliżu Santa Clarita. - Trzymał tego, kto dzwonił, na linii i czekał, jadąc w niewielkim ruchu Bulwarem Zachodzącego Słońca w kierunku zakrętu w Canyon przy Crescent Heights.

Z tylnej kanapy limuzyny Scott Schelling wpatrywał się w okno.

- Jasna cholera! To mamy problem. Kto pilnuje biura prokuratora okręgowego?
- Możemy przesunąć Kaprilowa i Stevensa. Żaden z nich tak naprawdę nie nadaje się na...
- Dobrze. Albo nie. Powiedz tylko Stevensowi, żeby na razie obserwował wejście do budynku. Niech nic nie robi. Ma zadzwonić natychmiast, jak zobaczy Wendy.

Słuchał, jak Carl powtarza jego słowa rozmówcy, a potem się rozłącza.

- A jeśli chodzi o tę pierwszą parę strzelców - powie dział Scott. - O Turnerów. Skontaktuj się z nimi i niech wiedzą, że nic się nie zmieniło i kontrakt stoi. Lepiej, żeby nie spanikowali tylko dlatego, że nie ma już Densmore'a. Nadal chcemy, żeby unieszkodliwili Wendy.

Carl poczuł się świetnie. Zawsze zdumiewał go sposób, w jaki szef ruszał do akcji. Ciało Densmore'a dopiero co

384

osunęło się na ziemię. Kiedy Scott o tym usłyszał? Przed dziesięcioma sekundami? A już przedsięwziął działania, żeby zaprowadzić porządek i ustalić łączność, ustanowić nowy system dowodzenia i spowodować, by wszyscy czuli się bezpieczni. Chyba już po raz pięćdziesiąty żałował, że nie jest młodszy i bystrzejszy - może odrobinę bardziej ambitny - by móc się nauczyć od mistrza, jak osiągać sukces. Choć te lekcje na pewno były więcej warte niż wszystkie tytuły naukowe szkół biznesu na świecie, Carl wiedział, że nigdy ich nie wykorzysta.

- Carl?

-Tak?

- Kiedy będziesz z nimi rozmawiał, nie zapominaj, że to prawdopodobnie oni załatwili Densmore'a. Postaraj się, by nie czuli skrępowania. Musimy wreszcie zakończyć tę sprawę Wendy Harper.

ROZDZIAŁ 35

Pakując w sypialni walizki, Sylvie słyszała, jak Paul zbiera różne rzeczy w kuchni, salonie i w gabinecie. Paul był świetny w dobieraniu sobie ubrań, podobnie jak inni mężczyźni o narcystycznym charakterze. Wybierał ubrania, które podkreślały jego wysoki wzrost oraz szczupłą sylwetkę:

spodnie wyraźnie zaznaczające stan o wąskich nogawkach, obcisłe trykotowe koszulki, koszule w pionowe paski, sportowe marynarki, które nosił zapięte na wszystkie guziki, żeby uwydatnić wąskie biodra.

Po dochodzących do niej odgłosach domyśliła się, że wyciąga pieniądze z różnych miejsc, w których przechowywał gotówkę. Używanie kart kredytowych, poza sytuacjami absolutnie koniecznymi, było głupotą, zatem gdy tylko wylądują, zaczną używać fałszywych nazwisk i w miarę potrzeb wymieniać po trochu dolary na euro. Całkowitej anonimowości nie da się utrzymać, ale nie ma powodu dopuszczać do siebie amatorów i nieudaczników. Rano Paul zadzwonił do banku, by poinformować, że w najbliższych miesiącach mogą zechcieć dokonać elektronicznego transferu pieniędzy do jakiegoś zagranicznego banku. Zawsze najlepiej jest wszystko dobrze zawczasu przygotować i poznać aktualne procedury, nim człowiek znajdzie się na drugim końcu świata i stamtąd zacznie prowadzić telefoniczne rozmowy z pracownikami swojego banku.

Sylvie w pierwszej chwili miała kłopot z podjęciem decyzji, co zapakować na taki długi wyjazd.

386

-Są dwie walizki, siedemdziesiąt pięć na sześćdziesiąt centymetrów. Jeśli coś się do nich nie zmieści, zostaje. Zrobimy zakupy tam i będziemy się ubierać jak miejscowi - oświadczył jej wtedy Paul.

Uwielbiała tę jego umiejętność pokrzepiania. Mówił cicho, spokojnie, kładąc mocne, czułe dłonie na jej ramionach, unieruchamiał, osadzał ją w miejscu i uspokajał, tak jak wyśmienity jeździec uspokaja płochliwego konia. Potem już nawet nie rozumiała, dlaczego się tak denerwowała. Przecież to oczywiste, że nie musieli zabierać wszystkiego ze swoich szaf.

Mogli sobie kupić wszystko, co chcieli, już po wyjeździe z kraju.

Niedorzecznie było się przejmować i gorączkować: Densmore nie żył. To ostatecznie zakończyło tę głupią robotę, której w ogóle nie powinni byli przyjmować. Pojadą na miłe wakacje, przedłużą je do kilku miesięcy, a potem, kiedy wszyscy już zapomną o Wendy Harper i Ericu Fullerze, wrócą do domu.

Od dawna wiedziała, że Densmore jest niebezpieczny, ponieważ tak bardzo się starał uchodzić za osobę, która nie wygląda na niebezpieczną. Miał manierę cichego i ugrzecznionego mówienia, która musiała być fałszywa. Podejrzewała, że jeśli uzyska nad nimi zbyt dużą władzę, pokaże im się z zupełnie innej strony.

Zrobiła w myślach przegląd wszystkiego, co umieściła w walizce, by się upewnić, że jak najlepiej wykorzystała przydzielony jej czas i przestrzeń. Następnie zamknęła walizki, podniosła na próbę swoją, potem Paula. Obie były ciężkie, ale w razie potrzeby mogła ponieść każdą z nich, a Paul udźwignie obie. Raz jeszcze zajrzała do środka i przekonała się, że zapakowała ubrania odpowiednie na późne lato w Europie. A potem usiadła na łóżku, żeby pomyśleć, czy o czymś nie zapomniała.

Usłyszała kroki Paula w korytarzu i do jej myśli wkradł się lekki niepokój. Ubiegłej nocy Michael Densmore po-

387

wiedział: „Zapłaciłem czterokrotnie...” W tym momencie Paul pociągnął za spust i go zabił. Odniosła wrażenie, że Densmore zamierzał powiedzieć: „Zapłaciłem czterokrotnie więcej, niż było pierwotnie ustalone”. Dwa dni wcześniej Paul powiedział jej, że Densmore zaproponował podwójne, a nie poczwórne honorarium. Odsłuchiwała sobie w pamięci tę rozmowę, z

tonu Densmore'a starając się domyślić, jak mogłaby wyglądać reszta tego zdania. Kiedy ponownie powtórzyła je sobie w głowie, doszła do wniosku, że źle je zapamiętała. Densmore powiedział: „Zaproponowałem czterokrotnie...” To było ważne: zaproponowałem, nie zapłaciłem.

Bardzo możliwe, że Densmore, ogłupiały z przerażenia, po prostu się przejęczył, mówiąc „czterokrotnie” zamiast „podwójnie”. Możliwe też, że wystraszony, tak niezgrabnie próbował jeszcze raz podwoić swoją ofertę, żeby zadośćuczynić za swoją nielojalność. Densmore zaprzeczył, jakoby wynajął konkurencyjny zespół, ale ona nie miała wątpliwości, że to zrobił, i im więcej obwinał o to klienta, tym bardziej się upewniała. Propozycja podwojenia zapłaty w tym momencie nie byłaby złą strategią. Ale to był właśnie ten moment, w którym Paul go zastrzelił. Musiała teraz uwzględnić możliwość, że Paul go zabił, by w obecności Sylvie się nie wygadał, jak rzeczywiście wyglądała ta transakcja. Czy Paul zamierzał zabrać połowę honorarium tylko dla siebie?

Problem był delikatny i nieprzyjemny. Udali się do tamtego garażu, nie ustalwszy wcześniej, czy zabiją Michaela Densmore'a. W skrytości ducha Sylvie miała nadzieję, że tak właśnie się stanie, ale udawała, że zgadza się z Paulem, kiedy ten powiedział: „Zabierzemy go w jakieś ustronne miejsce, zadamy kilka dociekliwych pytań i zobaczymy, co odpowie”. Sylvie obawiała się Densmore[^]. Wydawało się, że Paul tego nie dostrzega, ale Densmore zbyt jej nadskakiwał, i to w niestosowny sposób:

388

otwierał przed nią drzwi, ale nie zostawiał dość miejsca, by mogła przejść, nie ocierając się o niego; zbyt blisko nachylał się nad nią, kiedy odsuwał jej krzesło. Robił wrażenie uprzejmego i pełnego szacunku, kiedy wszyscy

razem rozmawiali o interesach, i ustępował jej, jakby uważał ją za równą Paulowi. Wystarczyło jednak, by Paul wyszedł z pokoju czy choćby na kilka sekund spoglądał w inną stronę, oczy Densmore'a natychmiast się zmieniały. Otwarcie i bezczelnie gapił się na jej ciało albo ze złośliwym uśmiechem spoglądał w oczy. Nigdy jednak nie zrobił nic tak ostentacyjnego, co pozwoliłoby jej zwrócić uwagę na jego zachowanie Paulowi.

Nie była tak do końca pewna, jak wyglądałaby reakcja jej męża, gdyby mu coś powiedziała. Wiedziała, że wypytywałby ją o szczegóły. Obawiała się, że gdyby próbowała wyjaśnić, powiedziałyby z przekąsem: „SyWie, nagle zaczęłaś się wstydzić, kiedy mężczyźni tak na ciebie patrzą? Ty, gwiazda *Rancza Miodowego Miesiąca*?

Była ostrożna, wiedziała, że ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzyła, to znaleźć się w mocy Michaela Densmore'a. Ubiegłej nocy chciała go zabić, ale sposób, w jaki uśmiercił go Paul, w takim pośpiechu, jakby chciał zamknąć mu usta, zmuszał do myślenia.

Załóżmy, że Densmore rzeczywiście zaoferował w rozmowie telefonicznej przed kilkoma dniami więcej pieniędzy, niż Paul ujawnił. To też mogło nie mieć znaczenia. Paul mógł utrzymywać tę sumę w tajemnicy, żeby później zrobić jej niespodziankę. Tak czy owak, były to pieniądze jedynie hipotetyczne: nie sprzątnęli Wendy Harper, więc zapłata im się nie należała.

Niemniej Sylvie nie była tym wszystkim usatysfakcjonowana. Może Paul dostał zaliczkę i nic jej nie powiedział. Może zażądał więcej po nieudanej akcji na północy. Może już od dawna Paul chowa przed nią pieniądze, a Densmore o tym wiedział i szedł mu na rękę. Wtedy sposób,

w jaki na nią patrzył w swoim biurze, nabrałby całkowicie innego - niekoniecznie lepszego - znaczenia. Poruszyła się i skrzypnięcie podłogi pod stopą przestraszyło ją. Uchwyciła swoje odbicie w lustrze toaletki.

Ku swojemu przerażeniu zobaczyła kobietę, która weszła w wiek średni. Miała zmarszczki, piersi zaczynające obwisać, choć ćwiczyła niestrudzenie, by zachować sprawne mięśnie. Jasne, że Paul ukrywał przed nią pieniądze, by mieć czym płacić za romanse młodszym kobietom. Dobre hotele były drogie, nawet jeśli korzystał z nich jedynie przez trzy godziny w środku dnia.

Sylvie poczuła złość na samą siebie, upokorzenie. Musiała czymś się zająć przez kilka następnych minut, żeby uniknąć Paula. Rozejrzała się, jej wzrok padł na drzwi łazienki, wbiegła tam i puściła wodę do wielkiej wanny. Nie bardzo wiedziała, dlaczego to robi, poza tym że była to taka dobrze znana, prosta czynność, mogła być tu sama a dźwięk płynącej wody niósł pewną prywatność.

Dzwonek do drzwi. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś się u nich zjawił. Zakręciła wodę, wróciła do sypialni i wyjrzała przez okno, żeby sprawdzić, czy na podwórku nie ma policjantów. Nie było. Widziała basen, drzewa, mur na tyłach posesji. Otworzyła szafę i wyjęła stos czystych ręczników, z szafki nocnej zabrała pistolet, włożyła między dwa górne i poszła do salonu.

Kiedy tam weszła, zobaczyła, jak Paul wybiega z kuchni, wkładając pistolet za pasek z tyłu spodni i zakrywając go połą koszuli. Machnął ręką w kierunku drzwi i wykonał gest, jakby przekręcał gałkę. Skinęła głową i podeszła do drzwi frontowych, akurat gdy dzwonek ponownie się ode-

zwał. Wyjrzała przez wizjer i zobaczyła jakiegoś mężczyznę.

- Kto tam? - zawołała.

- Nazywam się Carl Zacca, pani Turner. Reprezentuję człowieka, który kontaktował się z państwem za pośrednictwem pana Densmore'a.

390

Sylvie odwróciła się do Paula.

- Jasna cholera! - wyszeptała.

- Musimy go wpuścić - powiedział Paul. - Wie, że jesteśmy w domu.

Popatrzyła na niego piorunującym wzrokiem i pokręciła głową, Paul jednak przemknął obok niej, otworzył drzwi i cofnął się o krok.

Mężczyzna stojący w drzwiach był przystojny, miał gęste, czarne włosy i szczerzy uśmiech. Wyciągnął rękę.

- Carl Zacca, panie Turner. Naprawdę bardzo mi przykro, że państwa niepokoję, ale czy mógłbym wejść do środka?

Paul cofnął się.

- Proszę.

Kiedy Carl Zacca minął próg, Paul zamasywił zamknął drzwi. Jedną rękę trzymał z tyłu, na broni za paskiem.

- Proszę usiąść - rzucił Paul.

Mężczyzna usiadł na białej kanapie zwrócony twarzą do środka pokoju. Sylvie natomiast trzymała rękę na pistolecie pod ręcznikiem i obmyślała, jak strzelić przez oparcie kanapy, żeby go szybko uśmiercić.

Zupełnie jakby myślał o tym samym, Zacca odwrócił głowę i spojrzał na nią przez ramię.

- Witam, panie Zacca - powiedziała.

- Carl. Proszę mi mówić Carl. I cała ta broń nie jest potrzebna. Przychodzę jako przyjaciel.
- Świetnie - odezwał się Paul. - Powiedz nam jeszcze raz. Dla kogo pracujesz? Jak on się nazywa?
- Scott Schelling - odpowiedział Carl bez chwili wahania. Uśmiechnął się i patrzył, jak Paul i Sylvie wymieniają spojrzenia. - Przyszedłem tutaj, bo... nie wiem, może już o tym słyszeliście... Michael Densmore nie żyje. Wiedzieliście o tym?
- Nie - odparł Paul. - Co się stało?

391

Wyraz twarzy Paula Turnera udziela odpowiedzi na to pytanie, pomyślał Carl. To oni go załatwili.

- Nie wiem. Jak słyszałem, ktoś go zastrzelił. Kiedy tylko się o tym dowiedzieliśmy, pan Schelling przysłał mnie tutaj, żeby nawiązać z państwem kontakt. Densmore po wiedział, że wolicie nie pracować bezpośrednio z klientami, ale nie bardzo wiedzieliśmy, co innego moglibyśmy zrobić. Nasz pośrednik nie żyje, a znajdujemy się w sytuacji kryzysowej. Mam nadzieję, że nie macie nic przeciwko temu.

Spojrzał na Sylvie, ale milczała. Nie cofnęła ręki spomiędzy ręczników. Spojrzał na Paula.

- Nie - oświadczył Paul.
- Świetnie, bo liczy się każda minuta. Czas, w jakim Wendy Harper znajdzie się na widoku, będzie bardzo krótki. Ona jest niczym królik. Dopiero co widzieliśmy, jak wyskakuje z kryjówki, ale ona nie tkwi w miejscu, tylko biegnie do kolejnej króliczej nory. Jak jej się uda tam

dotrzeć, będzie po nas.

-Doceniamy, że wybrałeś się aż tutaj - powiedział Paul - i jesteśmy pełni uznania za to, że nie próbowałeś nas okłamywać, jeśli chodzi o twojego pracodawcę. Jednak wy, chłopcy, wykorzystaliście już prawo wyboru, kiedy wynajęliście dwóch amatorów, żeby przejęli nasze zlecenie. Widzieliśmy, jak ci dwaj umierają, w celownikach naszych karabinów, czekając na szansę strzału.

- To nie my ich wynajęliśmy, tylko Densmore.

Paul ponownie zerknął na Sylvie. Zachowywała czujność, jej kamienna twarz nie wyrażała żadnych uczuć ani myśli.

- Kiedy nas zastąpiono - mówił Paul - wróciliśmy do domu. Wypadliśmy z gry. Nie zapłacono nam, więc nic wam nie jesteśmy dłużni.
- Rozumiem, dlaczego tak sobie pomyśleliście, ale jestem tu właśnie po to, żeby was uspokoić. Możecie doprowadzić sprawę do końca.

392

- Wypadliśmy z gry.
- Więc chcielibyśmy, byście do niej powrócili.
- Co oferujecie?
 - Paul. - Usłyszał głos Sylvie, a kątem oka widział, że ona kręci głową, jednak zignorował to.
- Zapłacimy wszystko, co obiecał Densmore.
- Densmore nie żyje.

Carl przez chwilę przyglądał się bacznie Paulowi. Zobaczył, że jego spojrzenie nie jest spojrzeniem człowieka blefującego.

- Odnoszę wrażenie - powiedział - że niewłaściwie to rozpoczęliśmy. Ja

staram się tylko nawiązać otwartą współpracę, która pozwoli na skuteczne załatwienie sprawy. Mój szef nie chciał, byście się martwili, kiedy usłyszycie, że Densmore nie żyje. Nie rezygnujemy i nadal jesteśmy zainteresowani. Dostaniecie zapłatę. Dotrzymamy umowy.

- Jedyną umowę zawarliśmy z Densmore'em - oświadczył Paul. - Skoro on nie żyje, umowy nie ma.

Carl zastanawiał się, co takiego musiał zrobić w swoim wcześniejszym życiu, żeby znaleźć się w Van Nuys pomiędzy dwojgiem uzbrojonych zawodowych zabójców.

- Powiem tak. Podajcie mi sumę, która wprowadzi was z powrotem do gry, a ja zadzwonię do szefa i sprawdzę, czy jest ona dla niego do przyjęcia.
- Milion dolarów. - To był głos Sylvie... liczba rzucona pośpiesznie, jak na aukcji.

Obaj mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na nią. Patrzyła na nich wyzywająco, pozwalając, by jej słowa wisiały w powietrzu.

- Nie bardzo rozumiem - odezwał się Carl. - Czy to żart?
- Nie - odparła Sylvie. - Od samego początku nie było to typowe zlecenie. Od momentu, w którym podrzuciliśmy kij bejsbolowy i tę zakrwawioną szmatę na podwór-

393

ku Erica Fullera, wszyscy, którzy się liczą, wiedzieli, że wywabiamy Wendy Harper z ukrycia, żeby ją zabić. Teraz gliny też już to wiedzą. Czekają, aż ktoś znowu spróbuje ją sprzątnąć. Skoro uważasz, że ty możesz to zrobić, to bardzo proszę, weź tę robotę.

Carl Zacca spojrział na Paula Turnera.

- Sięgnę teraz do kieszeni po telefon, dobra?

- Dobra.

Carl powoli włożył prawą rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. Jego dłoń, niemal bezwiednie, dotknęła kolby pistoletu. Upewnianie się, że tam jest, było niczym dotykanie amuletu. Wyjął rękę, przełożył telefon do lewej ręki, ale nie zmieniał pozycji: siedział na krawędzi kanapy, lekko wychylony do przodu, tak żeby marynarka odsta-wała od ciała i łatwiej mu było sięgnąć do tej wewnętrznej kieszeni. Wcisnął przycisk, żeby wybrać numer Scotta, po czym przyłożył telefon do ucha.

- Tu Carl - odezwał się po kilku sekundach. - Spotkałem dwoje naszych przyjaciół i właśnie sobie miło gawędzimy, z tym że oni chcą więcej pieniędzy i muszę przedstawić ci ich propozycję. Czy można to zrobić teraz?

- Czy ta suma to rozbój w biały dzień? -Tak.

- Odpowiadaj tylko tak lub nie. Czy chodzi o milion? -Tak.

- Rozejrzyj się dobrze wokół siebie. Wypatrz wszystkie zabezpieczenia, jak stoją meble, jaki jest system alarmowy i tak dalej. Chcę, żebyś zaraz po wyjściu stamtąd mógł mi to wszystko wyrysować z pamięci. Możesz to zrobić?

-Uhm.

- W porządku. Dam ci więc trochę czasu na rozejrzenie się. Podaj telefon Paulowi Turnerowi.

- Tak jest. - Wyciągnął telefon do Paula. - Chciałby porozmawiać.

- Ze mną?
- Tak. Czeka.

Paul wziął telefon. Carl zauważył, że on też przyłożył aparat do lewego ucha. Jego prawa ręka przesunęła się ku tyłowi koszuli.

- Tu Turner.
 - Paul, tu Scott Schelling. Słyszałem wiele dobrego o tobie i twojej małżonce. Naprawdę wysłałem do was mojego przyjaciela Carla po to, żebyście nie czuli się porzuceni i zdani tylko na siebie. Chcemy was z nami. Jesteście jedynymi osobami, które ją widziały w ciągu ubiegłych sześciu lat, a nikogo innego i tak już teraz nie znajdę. Za trzy czy cztery godziny ona będzie w Los Angeles. Carl mówi, że będzie to więcej kosztowało. Ile?
 - Milion zielonych.
 - To mnóstwo pieniędzy.
 - Mnóstwo pieniędzy jest j e d y n y m powodem, dla którego można to zrobić.
 - Zapewne. Jednak zebranie w krótkim czasie takiej sumy w gotówce nie jest sprawą łatwą.
- Jeśli chcesz to sobie odpuścić albo wziąć kogoś innego, żeby zrobił to taniej, to my nigdy nie ujawnimy niczego, co o tej sprawie wiemy. Ale jeśli chcesz nas, tyle to właśnie będzie kosztowało... w gotówce, od razu po wykonaniu zlecenia.
- W porządku. Cena jest wysoka, ale rozumiem. Przygotuję pieniądze. Możecie się brać do pracy.
 - W takim razie wchodzimy.
 - Paul! - To był głos Sylvie.

Odwrócił raptownie głowę, spojrzął na mężczyznę na kanapie, potem na nią, ale najwyraźniej nie ostrzegła go przed żadnym niebezpieczeństwem.

- Co jest? - rzucił. Połączenie telefoniczne zostało przerwane.
- Musimy porozmawiać. - Sylvie była wściekła.

395

- Możemy porozmawiać w trakcie przygotowań. Trzeba ją unieszkodliwić jeszcze dzisiaj. - Rzucił telefon Carlo wi. - Miło było, Carl, ale czas ucieka.

Mężczyzna schował komórkę i wstał.

- No cóż, zobaczę się z wami później, już z waszymi pieniędzmi. Dokonaliście niesamowitej transakcji.

- To się okaże. - Paul poszedł za nim do drzwi, zamknął je i przekręcił klucz.

- Paul, czyś ty zmysły postradał?

- Cii.

Wyglądał przez wizjer, w ręce trzymał pistolet, gotowy do wypalenia przez drzwi.

Po kilku sekundach usłyszeli warkot silnika. Wtedy odwrócił się do niej.

- Odjechał. A ja nie postradałem zmysłów i ty też nie. Świetny pomysł z tym milionem dolarów. To przynajmniej pozwoliło, żeby wszystko się, że tak powiem, wykrystalizowało. - Uścisnął ją, pocałował w policzek i ruszył pospiesznie do sypialni, a ona pognąła za nim.
- Co ty, do diabła, wyprawiasz?
- Podałaś cenę, a on ją przyjął.
- Ale to było tylko...

- Genialne.

- Chyba nie sądzisz, żeby ten facet od muzyki chciał dać nam milion dolarów?

- Nie, nie sądzę.

-To co w takim razie robisz? Jesteśmy spakowani. Mamy rezerwację. Już mogło nas tu nie być.

-I nie będzie. Tyle że polecimy do Europy kilka dni później, to wszystko. Zapakuj paszporty i włóż do walizek pieniądze, które zebrałem. Kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach, wrzuciłem je do lodówki.

- Co ty opowiadasz? Nie możemy teraz wyjechać. -

W jej głosie pobrzmiwała frustracja. - Dopiero co przyjąłem zlecenie.

396

- Nie mówię o ucieczce. Robotę wykonamy. Zgarniemy ten milion zielonych.

- Ja to powiedziałam tylko po to, żeby sobie poszedł. A tamten się zgodził jedynie dlatego, że planuje, by po wszystkim ktoś nas sprzątnął.

Paul położył dłonie na ramionach Sylvie i patrzył jej w oczy, jakby próbował ją zahipnotyzować.

- Pomyśl o tym facecie, Sylvie. Kiedyś popełnił błąd. I co zrobił?

Spędził następne sześć lat, usiłując odnaleźć kobietę, która o tym wie, mimo że pary z ust nie puściła. On ma fioła na punkcie przezorności.

- To mało pocieszające. To mnie kurewsko przeraża. Bo nas też się pozbędzie.

Paul się uśmiechnął.

- Wiem, że nie zamierza nam zapłacić. Równie dobrze mogłem zażądać New Jersey, a on by się zgodził. Ale jest wystarczająco bystry, by wiedzieć, że jakiegokolwiek środki ostrożności przedsięwzięcie, jest możliwe, że kiedy już załatwimy Wendy, znajdzie się z nami sam na sam. Wie, że jeśli zjawimy się po zapłatę, a on nie wręczy nam walizki pieniędzy, to będzie trupem. Więc, jak sądzisz, co zamierza zrobić?

ROZDZIAŁ 36

W jasnym słońcu popołudnia Jack Till jechał autostradą Golden State na południe, trzymając się lewej strony, z daleka od wielkich ciężarówek, ciągników z naczepami, jadących prawym pasem z północnej Kalifornii i Orego-nu do Los Angeles. Na długich podjazdach ich kierowcy wrzucali niski bieg i ciągniki powoli pięły się w górę, ciężar ich naczep powodował przegrzewanie silników, a skrzynie biegów i wały napędowe aż wyły z wysiłku. Od czasu do czasu jakaś mniej obciążona ciężarówka przejeżdżała na sąsiedni pas, zabierając się do wyprzedzania, i Till musiał gwałtownie skręcać, żeby ją ominąć. Poliakoff nie zadzwonił, żeby go powiadomić o złapaniu tamtych dwóch mężczyzn z Morro Bay, a to oznaczało, że mogą być za nim i tak jak on przekraczać dozwoloną prędkość.

Odwracał głowę, udając, że zerka w prawe lusterko, w rzeczywistości jednak patrzył na profil Wendy. Chciał zapewnić jej bezpieczeństwo.

- Myślisz, że jutro o tej porze będziemy jeszcze żyli? -spytała.
- Taki jest plan.
- Było tyle śmierci, tyle straty w takim krótkim czasie. Zastanawiasz się nad takimi sprawami? Czy pomyślałeś kiedyś, że może najlepiej byłoby nic nie robić?
- Czasami. Kiedy byłem gliną w wydziale zabójstw, miałem na ogół odwrotny problem. Było ciało, zazwyczaj kogoś, kto nie był ani postawny, ani silny, ani bogaty, nic

398

z tych rzeczy. Ktoś chciał czegoś, co ta osoba posiadała, albo wdał się z nią w kłótnię i tak się wściekł, że ją zabił. A ja się rozglądałem w poszukiwaniu owej ogromnej struktury złożonej z prawa i zdrowego rozsądku, która, jak nauczono mnie wierzyć, tymi sprawami się zajmie, i dochodziłem do wniosku, że to jest jedno wielkie oszustwo. Ta struktura nie istnieje. Byłem tylko ja. To ciało było osobą, a ja byłem jego jedynym adwokatem. Więc próbowałem coś zrobić.

-Tak się właśnie czułam w sprawie Kit, ale teraz Louanda umarła przeze mnie.

- Nie przez ciebie. Przez tego Scotta. Ty jesteś ofiarą, która przeżyła.

Gdyby Till był w stanie połączyć to imię, opis samochodu oraz nową informację o Kit Stoddard i na tej podstawie uzyskać pełną identyfikację jego tożsamości, wówczas sześćioletnia gehenna Wendy dobiegłaby końca. Till wiedział, że kiedy zniknie zagrożenie, Wendy ujrzy wszystko w innym świetle. Już wcześniej miewał zadurzone w sobie klientki. Najprawdopodobniej przeprowadzi z nim spokojną, taktowną rozmowę o tym, jaki to on zawsze będzie dla niej ważny i jak się cieszy, że się

poznali. A potem wsiądzie do samolotu, który zabierze ją z powrotem do San Rafael.

Till obserwował uważnie drogę i jechał szybko. Wybrał jazdę autostradą Golden State, uznając, że potencjalni myśliwi poczynią pewne założenia: Ponieważ całą drogę z San Rafael przebył sto jedyneką, to po prostu na nią wróci, a może wyjedzie z Morro Bay autostradą Pacific Coast, bo jest bliżej, a na sto jedynekę wjedzie w San Luis Obispo albo w Arroyo Grande, albo w Orcutt. Tymczasem on pojechał w głąb lądu, do autostrady Golden State. Było to posunięcie hazardowe, bo teraz, w razie pościgu, nie miał możliwości zmiany trasy.

Za każdym razem, kiedy spoglądał w lusterko wstecz-

399

ne i widział zbliżający się samochód, przyspieszał na tyle, żeby dać sobie więcej czasu i dokładnie mu się przyjrzeć. I za każdym razem zauważał coś, co przekonywało go, że to po prostu człowiek jadący za szybko: nie ten rodzaj samochodu, nie ta twarz za przednią szybą.

Minął wyjazdy do Bakersfield. Jadąc, starał się wybiegać myślą jak najdalej do przodu. Przystudiował w głowie pozostały odcinek autostrady, ulice za nią, i wybrał trasę, którą bezpiecznie dowiezie Wendy do celu. Prowadził lewą ręką i nagle poczuł, jak jej mała dłoń wsuwa się w jego prawą i na niej zaciska. Uczucie, jakiego doznał, przypomniało mu o Holly. Była teraz w pracy i prawdopodobnie kiedy Till dojedzie do Los Angeles, będzie miała popołudniową przerwę. Może wtedy do niej zadzwoni.

- Boję się - powiedziała Wendy.
- Nie masz się czego wstydzić. Zrobię co w mojej mocy, żeby nic ci się

nie stało.

- Może tak jest lepiej. Może lepiej jest umrzeć, niż tkwić w ukryciu, żyć imitacją życia, z fałszywą tożsamością.
- Było tak strasznie?
- Nie na co dzień. To właśnie stanowiło element tego problemu. Po roku moim największym lękiem nie było to, że mnie złapią. Wręcz przeciwnie. Że tak się nie stanie. Że dożyję sześćdziesiątki i nagle uświadomię sobie, że zmarnowałam szansę na prawdziwe życie. Będę idealnie bezpieczna. Pozwolę jedynie, by życie mijало mnie obok, czekając, by ktoś mi powiedział, że mogę wyjść.
- Wendy...

-Wiem. Po tym wszystkim znowu będę musiała się ukrywać. To jest tylko jeden dzień, ale to jest mój dzień. Muszę coś zrobić.

Utrzymywał dużą prędkość i ucieszyła go bliskość Grapevine, długiego podjazdu do leżącej na wysokości ponad tysiąca dwustu metrów przełęczy Tejon. Cadillac wyposażony był w silnik o bardzo dużej mocy, co pozwa-

400

łało mu wjeżdżać pod górę bez zwalniania i miał nadzieję, że tamci nie będą tacy szybcy.

Zanim pokonał kolejne odcinki trasy, przećwiczył je dokładnie w głowie. Przeniósł się z autostrady Golden State na Hollywood, tuż za Osborne Street, zjechał z niej przy Victory, Laurel Canyon Boulevard pojechał do Burbank Boulevard, skręcił w prawo, w Woodman Avenue, i dotarł do dzielnicy Sherman Oaks. Znaleźli się na spokojnej uliczce z jednorodzinnymi domami po obydwu stronach.

- Co to? - spytała Wendy. - Co my tutaj robimy?

- Idziemy tam. - Till wskazał jej jeden z domów. Był niewielki, bladożółty w stylu kolonialnym, oszalowany i z okiennicami, w otoczeniu innych ładnych domów ze starannie utrzymanymi ogródkami. Przejechał powoli obok, żeby odczytać numer posesji, a potem skręcił za rogiem, objechał kawałek kwartału i zatrzymał się w cieniu pokrytego purpurowymi kwiatami drzewa jakarandy.
- Cierpliwości. Muszę wykonać dwa szybkie telefony. -Wybrał numer na swojej komórce. - Cześć. To ja. Tam, gdzie ustaliliśmy. Tak. Byłbym zobowiązany, gdybyś mógł się natychmiast tu zjawić. Dzięki, Max. - Rozłączył się i wybrał kolejny numer. - Jay? To ja. Jestem już. Gotów? Świetnie. - Odłożył telefon.
- Co teraz?
 - Teraz znowu ruszamy i za pół godziny wracamy. Jeśli cokolwiek w otoczeniu będzie wyglądało inaczej, nie zatrzymamy się. Jeśli nie, kończymy sprawę.
- Chcesz powiedzieć, że spotkanie jest tutaj?
 - Zgadza się. Po tym, jak tamci dwaj mężczyźni zaatakowali samochód przed budynkiem biura prokuratora okręgowego, udało mi się uzyskać ich zgodę na inny plan. Ten mały żółty dom z okiennicami należy do Lindy Gordon.
- Kto to taki?
 - Zastępczyni prokuratora okręgowego, oskarżająca Erica Fullera o pozbawienie cię życia.

401

- Już się nie mogę doczekać spotkania z nią.

Till wyjechał z plątaniny uliczek na Ventura Boulevard i ruszył powoli

na wschód.

-Ventura Boulevard - powiedziała Wendy. Zawsze chciałam, żebyśmy otworzyli drugi lokal Banque w Dolinie, gdzieś tutaj.

- Co ci w tym przeszkodziło?

- Na początku oczywiście brak pieniędzy. A jak mogliśmy sobie na to pozwolić, nic już nie budowaliśmy. Nasz związek się rozpadał i wyciągaliśmy z interesu pieniądze, zamiast je reinwestować. Smutne, jak się sprawy kończą, prawda?

- Nie wszystko bywa miłe.

- Nie. Ale jeśli nawet coś jest w większości złe, to kiedy się kończy, człowiek myśli sobie: „Cóż, na tym koniec. Już się nigdy nie znajdę w tym punkcie". Ta część naszego życia dobiega końca i nie da się jej odzyskać. Nie ma powtórek.

- Pewnie nie.

Till zobaczył kawiarnię sieci Starbucks w Studio City, skręcił i zaparkował w bocznej uliczce. Weszli do środka, kupili kawę w kubkach i wrócili do auta. Jack przez cały czas obserwował otoczenie, jednak przy stolikach na zewnątrz siedzieli tylko młodzi ludzie i rozmawiali pochyleni nad kawą, podczas gdy ich psy wylegiwały się obok. Przechodnie na tej ulicy składali się w większości z matek i niań pchających wózki spacerowe, z ludzi uprawiających jogging lub niosących zakupy.

Till wrócił na Ventura i patrzył w lusterka, by się upewnić, że nie przegapił nikogo, kto mógł za nimi podążać, po czym pojechał na Sherman Oaks.

-Rozejrzyj się - powiedział. - Najmniejsza różnica może się okazać ważna.

Kiedy podjeżdżali do domu Lindy Gordon, Wendy powiedziała:

402

- Na podjeździe stoi jakiś samochód. I jeszcze jeden przed domem. Wcześniej go tam nie było. Widzisz? Wygląda na policyjny.
- To Poliakoff. A czerwony saab po drugiej stronie należy do Jaya Chernoffa. Wygląda na to, że nikogo już nie brakuje.

Objechał raz jeszcze cały kwartał, ale nie dostrzegł żadnych zmian.

Kiedy znalazł się ponownie przed domem, zaparkował i podeszli do drzwi frontowych. Till trzymał się blisko Wendy, by zasłaniać ją własnym ciałem. Poliakoff otworzył im drzwi i omiół wzrokiem ulicę. Zamknął drzwi natychmiast, jak tylko znaleźli się w środku, i podszedł do okna od frontu, żeby zobaczyć, czy nic się nie szykuje.

-Jeśli można powiedzieć, że istnieje jakiś właściwy moment na przedstawianie się sobie - oświadczył Jack Till - to myślę, że właśnie nadszedł. To jest właśnie Wendy Harper.

Poliakoff odszedł od okna i uścisnął dłoń Wendy.

-Jestem sierżant Poliakoff. Bardzo mi miło panią poznać. Dzięki, że zechciała się pani pojawić. - Potem uścisnął rękę Tilla, o wiele mocniej. - Cześć, Jack. - Odwrócił się i wskazał mężczyznę po trzydziestce o jasnych włosach. - To jest funkcjonariusz Tim Fallon, z laboratorium kryminalistycznego.

Fallon mamrotał do Wendy coś o tym, jak się cieszy, kiedy Jack zobaczył w drzwiach do kuchni Jaya Chernoffa z Lindą Gordon.

- To jest Jay Chernoff - powiedział - adwokat Erica, a ta pani to nasza gospodyni, zastępczyni prokuratora okręgowego, Linda Gordon.

Pani domu od momentu pojawienia się w drzwiach nie odrywała wzroku od Wendy. Teraz skinęła głową, ale się nie uśmiechnęła.

- Dzień dobry.

403

- Miło cię widzieć, Jack. - Chernoff ruszył do przodu, żeby uścisnąć rękę Wendy. - I pannę Harper. Jestem za szczycony, że mogę panią poznać.

Oczy Lindy Gordon się zwężyły, gdy zwróciła się do niego:

- Zabieramy się do rzeczy?

-Zaczynajmy, jeśli wszyscy gotowi - powiedział adwokat głośno, po czym spojrzał na Wendy. - Musimy panią prosić o współpracę, byśmy mogli ustalić w sposób pewny i oficjalny, że jest pani rzeczywiście tą osobą, za którą Jack panią uważa.

- Oczywiście - powiedziała Wendy. - Co mam zrobić?

- Funkcjonariusz Fallon jest tutaj obecny, bo jest ekspertem od zbierania i interpretacji dowodów. On zajmie się kolejnym etapem tego postępowania.

Fallon wziął dużą teczkę i metalową skrzynkę na narzędzia i podszedł do Wendy.

- Zaczniemy od kilku zdjęć głowy, jeśli pani pozwoli.

- W porządku.

- Niezależnie od tego, czy wygląda pani podobnie jak przed sześciu laty, czy inaczej, wyniki pomiarów biometrycznych będą takie same. Oczy będą tak samo od siebie odległe, będą miały takie same plamki i tak dalej.

- Rozumiem.

Fallon czuł się nieswojo, pracując pod okiem tylu osób, i dlatego wykonywał każdą czynność z przesadną starannością. Poprosił Wendy, żeby stanęła na tle pustej, białej ściany, potem aparatem cyfrowym wykonał cztery zdjęcia en face i cztery z profilu. Przyłożył miarkę do ściany obok niej, po czym mruknął: „Ten sam wzrost”, najwyraźniej do siebie. Rozłożył sprzęt do pobierania odcisków palców na kuchennym blacie i zdjął jej odciski na kartę. Potem usiadł z Wendy przy kuchennym stole i pobrał trzy małe fiolki krwi i dwa wymazy z wnętrza ust. Kiedy skończył, zapakował wszystkie próbki.

404

-1 co? - spytał Chernoff. - Kiedy otrzymamy wyniki, żebyśmy mogli uzyskać oficjalne oświadczenie z biura prokuratora okręgowego, potwierdzające to, co widzimy na własne oczy?

-Ustalenie tożsamości powinno trwać krócej niż zazwyczaj - odparł Fallon. - Nasi specjaliści od odcisków mają wielomiesięczne zaległości. Ale panna Harper od sześciu lat znajduje się w systemie federalnym jako osoba zaginiona i Komputerowy System Identyfikacji Odcisków FBI prawdopodobnie może dokonać porównania za pośrednictwem internetu choćby dzisiaj. Próbki DNA zostaną wysłane do dwóch oddzielnych laboratoriów, które już na wcześniejszym etapie śledztwa analizowały inne próbki DNA panny Harper. Krajowy Indeks DNA też posiada te próbki i stamtąd być może szybciej otrzymamy informację. Pewną odpowiedź będziemy mieć w ciągu dwóch tygodni.

-Zrobił pan zdjęcia - powiedział Chernoff. - Kiedy mogą zostać przeanalizowane?

- Choćby zaraz, jeśli pan tego sobie życzy.

- To proszę to zrobić.

Fallon wyjął z teczki laptop, włączył go, podłączył do niego aparat cyfrowy i przeniósł zdjęcia na twardy dysk. Wendy podeszła do Lindy Gordon.

- Naprawdę jestem Wendy Harper. Kobieta ledwo odwróciła do niej głowę.
- Zobaczymy - rzuciła.

Tillowi, który obserwował tę wymianę zdań, przyszło na myśl, że dla Lindy Gordon oświadczenie Wendy miałoby większą moc, gdyby kobiety nie wyglądały tak podobnie. Obie były po trzydziestce, mniej więcej tych samych kształtów, obie były blondynkami.

Na ekranie komputera Fallona zachodziły zmiany.

- A więc. To zdjęcie zrobiono w Wydziale Ruchu Drogowego, kiedy ostatni raz, sześć lat temu, odnawiała pra-

405

wo jazdy, a tutaj jest zdjęcie zrobione cztery lata wcześniej, kiedy się przeprowadziła do Kalifornii.

-Na Boga, tylko popatrzcie! - oświadczył Chernoff triumfalnie. Palcem wskazał ekran, a potem Wendy Harper.

Linda Gordon milczała.

Fallon robił dalej swoje, jakby niczego nie słyszał.

- Umieszczam pierwsze zdjęcie, które dzisiaj zrobiłem, obok ostatniego zdjęcia z Wydziału Ruchu. Teraz nakładam jedno na drugie. Widzimy od razu, że ogólny kształt jest identyczny. Widzimy, że odległość od podbródka do czubka głowy jest taka sama, oczy i nos są tej samej wielkości i znajdują się w tych samych miejscach. Pomiary o bardziej

naukowym charakterze oraz stosowne porównania wykonamy w laboratorium.

- Dajcie spokój - powiedział Chernoff. - Trzeba by być ślepym, żeby nie widzieć, że to ta sama osoba. - Odwrócił się do Lindy Gordon. - Nie może pani wycofać oskarżenia na podstawie tych zdjęć?

- Pańskiego klienta zwolniono za kaucją następnego dnia po aresztowaniu - oświadczyła. - Czekanie na uzyskanie pewności co do dowodów nie przysporzy mu cierpień.

-Ale jest jawną niesprawiedliwością. Erica Fullera oskarżono o zabicie kobiety, która stoi tutaj przed nami. Jaki sens miałyby przedłużanie tego stanu?

- Ona w y g l ą d a jak Wendy Harper. Wszyscy to zobaczyliśmy w chwili, kiedy weszła do tego pokoju. Czy sądzi pan, że gdyby ktoś chciał nas oszukać, to sprowadziłby kogoś, kto n i e wygląda jak Wendy Harper?

- Ja j e s t e m Wendy Harper. Kto byłby tak szalony, żeby mnie udawać? Ludzie usilnie starają się mnie zabić.

Linda Gordon zwróciła się bezpośrednio do Wendy.

- Sądzi pani, że może tu sobie wejść, oświadczyć, że jest Wendy Harper, a cały wymiar sprawiedliwości na tychmiast postąpi zgodnie z jej życzeniem? Cóż, to nie ta-

406

kie proste. System działa we własnym rytmie, kiedy już ma wszystkie dowody. Kiedy usłyszymy, co eksperci FBI mają do powiedzenia na temat odcisków palców i DNA, będziemy wiedzieli, kim pani jest.

- To nie w porządku - wtrącił się Till. - Wendy Harper przyjechała tutaj z

własnej woli, ponieważ pani powiedziała, że jej obecność będzie jedynym dowodem na to, że nie została zamordowana. Zapewniła mnie pani, że jeśli ona podejmie to ryzyko, oskarżenie zostanie wycofane.

• Czy ktoś jej obiecał, że zajmie to dziesięć minut?

• Erica Fullera wrobiono w morderstwo jedynie po to, żeby ściągnąć ją do Los Angeles. Z każdą minutą jej pobytu tutaj niebezpieczeństwo narasta. - Zwrócił się do Fallo-na. - Co jeszcze możemy panu dać?

- Myślę, że mam wszystko, czego potrzebuję.

Till spojrzał na Lindę Gordon.

• W tej sytuacji zabiorę stąd pannę Harper i pewnego dnia wszyscy wysłuchamy sobie oficjalnie tego, co już i tak wiemy.

• Proszę nie opuszczać Los Angeles - powiedziała kobieta. - I dopilnować, żeby moje biuro cały czas dokładnie wiedziało gdzie pani przebywa.

• Co takiego? - zdumiała się Wendy.

• Słyszała mnie pani. Jeśli pani nie jest Wendy Harper, to wówczas to, co pani właśnie zrobiła, zostanie potraktowane jako utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, na początek. Pan Till będzie współoskarżonym. Jeśli jest pani Wendy Harper, to są inne sprawy, o których musi pani porozmawiać z policją. Z tego, co wiemy, zataiła pani informacje o zabójstwie, do jakiego mogło dojść sześć lat temu. Można też oskarżyć panią o kradzież, w związku z bezpodstawnymi roszczeniami z ubezpieczenia na życie. Traktuję to wszystko nieformalnie, bo przyjechała pani z własnej woli. Ale proszę mnie nie prowokować.

• Bardzo przepraszam - wtrącił się Chernoff. - Skoro

sprawa jeszcze nie jest wyjaśniona, możemy coś do niej dodać. Niech nikt na razie nie odchodzi.

- W porządku, Jay - powiedział Till. - O co chodzi?
- Dajcie mi tylko kilka chwil. - Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer. - No dobra. Można zaparkować przed moim autem i wchodzić tutaj. Czekamy.

Linda Gordon wbiła wzrok w Chernoffa.

- Co pan wyprawia? To nie pora na tego rodzaju sztuczki, jakie demonstruje pan na sali sądowej. Wszyscy mamy inne sprawy na głowie.
- Nic ważniejszego od tej - odparł Chernoff.
- To niedorzeczne - oświadczyła prokurator. - Pański klient nie siedzi w celi otoczony przez psychopatów. Przebywa w swoim bardzo kosztownym domu albo w swojej słynnej restauracji.
- Jego reputacja jest rzeczą bezcenną, a o aresztowaniu rozpisywała się cała prasa. Zasluguje, by uwolniono go od zarzutów najszybciej jak to możliwe.

Z drugiej strony ulicy dobiegł ich odgłos opon ocierających się o krawężnik, potem trzaśnięcie drzwi, jednych, a po nich kolejnych. Poliakoff uchylił zasłonę, żeby wyjrzeć przez okno od frontu, po czym podszedł do drzwi i otworzył je.

Pierwsza pojawiła się w nich ładna kobieta, około trzydziestoletnia, z długimi ciemnymi włosami i niebieskimi oczyma.

- Wendy! - Podbiegła do Wendy Harper i zarzuciła jej ramiona na szyję.
- Gdzie się podziewałaś?

•Olivia - powiedziała Wendy. - Wróciłaś tylko po to?

•Nie - odparła Olivia. - Wróciłam już trzy lata temu. Nadal pracuję w Banque.

Od drzwi zbliżył się do nich mężczyzna.

- Wendy, jak dobrze znów cię widzieć. - Teraz on ją uściskał, choć w tym geście widoczne było zakłopotanie. - Wszyscy baliśmy się, że nie żyjesz.

408

•Ciebie też miło widzieć, Davidzie - powiedziała Wendy. - Ty też jesteś nadal w restauracji?

•Nie - odpowiedział. - Jedyne od czasu do czasu, kiedy ktoś zachoruje. Dostaję pracę jako aktor. Pobraliśmy się z Olivią.

Olivia zamachała lewą dłonią, a Wendy powiedziała:

•Ojej, co za brylant!

•David dostał reklamę linii lotniczej. Jest uroczym pilotem.

Till patrzył na Wendy, kiedy w drzwiach pojawiła się trzecia osoba, na której widok jej oczy zaczęły wypełniać się łzami.

- Erie!

Podszedł do niej wstrząśnięty, na jego twarzy widoczne było zmęczenie.

•Czy ja też mogę liczyć na jeden z takich uścisków? - spytał.

•Nikt by mnie nie powstrzymał. - Zarzuciła mu ramiona na szyję i stali przytuleni. - Tak mi ciebie brakowało. - Po kilku sekundach odchyliła się, żeby mu się przyjrzeć. - Nieźle wyglądasz jak na skazańca.

•Dzięki Bogu, że wróciłaś - powiedział. - Słyszałem, przez co musiałaś przejść, żeby tu dotrzeć. Dlaczego w ogóle wyjechałaś?

- Byłam taka przerażona i musiałam to zrobić. Nigdy by mi do głowy nie przyszło, że mogą cię oskarżyć o zamordowanie mnie. - Jej oczy przesunęły się powoli na Jacka Tilla. - Wróciłam, ponieważ cały ten koszmar musi się wreszcie skończyć. - Przytuliła go jeszcze chwilę, a potem odsunęli się od siebie.
- Zamierza mi pan powiedzieć, jaki jest cel tego wszystkiego? - spytała Chernoffa prokurator.
- Pisemne zeznania - odparł adwokat. - Pani i ja, sierżant Poliakoff i funkcjonariusz Fallon możemy udać się do kuchni i przyjąć oficjalne oświadczenia. - Zwrócił

409

się do przybyłych. - Zakładam, że możecie zeznać pod groźbą krzywoprzysięstwa, że ta kobieta jest tą sama Wendy Harper, jaką znaliście sześć lat temu?

- Oczywiście - powiedziała Olivia. - Mijmy to już z głowy, żebyśmy mogli nadrobić stracony czas i pogadać.

- Nie widzę sensu w przyjmowaniu czyichkolwiek zeznań - oświadczyła prokurator. - Za dwa tygodnie będziemy mieli niepodważalne dowody naukowe i świadkowie będą zupełnie nieistotni.
- Nie wzbraniała się pani - oświadczył Jack Till - przed przyjęciem ode mnie oficjalnego oświadczenia, kiedy pierwszy raz do pani przyszedłem. Zresztą nie ma to żadnego znaczenia, czy pani przyjmie ich oficjalne zeznania. Sierżant Poliakoff jest detektywem odpowiedzialnym za śledztwo w sprawie morderstwa. Może przesłuchiwać, kogo zechce, nagrywać zeznania na taśmę czy robić notatki.

- Przyszedł pan do mnie i z własnej woli zaoferował swoje oświadczenie, więc je przyjąłem - powiedziała Linda Gordon. - Ale to już nie jest sprawa, w której liczy się opinia świadków. Albo ona jest Wendy Harper, albo nie jest.

Poliakoff podjął decyzję.

- Tim, zrób po kilka zdjęć wszystkich obecnych.

- A to po co? - spytała Linda Gordon.

- Później pomoże mi to ustalić ich tożsamość.

Odwróciła się i zmierzyła wzrokiem Chernoffa, który, co było dla niego zupełnie nietypowe, milczał.

- Zamierza mnie pan wezwać przed oblicze sędziego, prawda? Odebrać ode mnie przysięgę i zmusić, bym powiedziała, że wszyscy ci ludzie nawzajem się rozpoznali.
- Nie chciałbym wykonywać żadnych teatralnych gestów.
- Czy naprawdę nie rozumie pan, dlaczego uważam, że najlepiej będzie poczekać na dowody naukowe?

410

- Naprawdę nie rozumiem.

- W porządku. Wobec tego przyjmujemy te zeznania.

•Oli via? - powiedział adwokat. - Chcesz pójść pierwsza?

- Tak - odparła i ruszyła w stronę kuchni.

Oboje prawnicy zaprzysięgli ją i wyjaśnili, na czym polega krzywoprzysięstwo. Potem każde zadało swoje pytania.

- Jak długo znasz Wendy Harper?

- Dziesięć lat.

- Proszę nie wliczać tych sześciu, kiedy była osobą zaginioną.
- W takim razie cztery.
- Jak często ją widywałeś?
- Codziennie.

-Ja znałem ją cztery lata w restauracji - oświadczył mąż OHvii, David. -
Olivia była pierwszą osobą, jaką zatrudniono w Banque, a potem
namówiła Wendy, żeby zatrudniła mnie.

- Wendy cię zatrudniła, nie Erie?
- Wendy zarządzała salą jadalną i barem. Ja byłem barmanem.
- Jak dobrze ją znałeś?
- Wyjątkowo dobrze.
- To znaczy?
- Ona i ja... raz się umówiliśmy.

Jack Till poszedł do kuchni ostatni. Zaczęła Linda Gordon.

- Czy może pan przysiąc, że kobieta, którą dzisiaj pan przyprowadził,
jest tą samą Wendy Harper, której sześć lat temu pomógł zniknąć? -1
potem: - Czy kiedykolwiek powiedział pan komuś o tym, co zrobił?
- Dopiero kiedy przeczytałem w gazecie, że Erica Fullera oskarżono o jej
zamordowanie.
- Nikomu więcej?

411

- Nie.
- Wie pan, że Wendy Harper miała ubezpieczenie na życie na wysoką
sumę i że Erie Fuller ją odebrał?
- Słyszałem o tym. Będzie pani musiała jego o to spytać.

- To oznacza, że jest pan winien współudziału w oszustwie ubezpieczeniowym?

- Nie jestem.

- Chwileczkę - odezwał się Chernoff. - Muszę to na moment przerwać. -

Wyłączył magnetofon.

- Jakiś problem?

- Owszem. Widzę, że szuka pani pretekstu, żeby zatrzymać albo pannę Harper, albo pana Tilla. Zatrzymałem taśmę, by oszczędzić pani ryzyka powiedzenia czegoś, co może mieć dla pani przykre konsekwencje.

Zapewniam panią, że wszelkie oskarżenia zostaną cofnięte, a pani spędzi resztę swojej zawodowej kariery na walce o to, by nie wyrzuciono pani z pracy i nie pozbawiono uprawnień.

- Grozi mi pan?

- Oczywiście, że tak. Czy pani w ogóle nie słucha?

- To spotkanie dobiegło końca - oświadczyła Linda

Gordon. - Możecie wszyscy opuścić mój dom.

- Z wielką przyjemnością - powiedział adwokat. - Zwrócę się do sędziego o wycofanie oskarżenia przeciwko Ericowi Fullerowi jeszcze dzisiaj, przed wieczorem. Pani niech robi, jak chce.

Chernoff podszedł szybkim krokiem do drzwi, otworzył je i zatrzymał się tylko na moment.

- Erie, zadzwonię do ciebie później, kiedy oskarżenie zostanie wycofane - rzucił. I już go nie było.

Erie skinął głową i spojrzał na Wendy.

- Myślisz, że moglibyśmy porozmawiać?

Wendy spojrzała na Erica, a potem na Tilla. Jack Till postarał się ukryć

swoje instynktowne uczucie zazdrości oraz tę bardziej rzeczywistą obawę przed stratą.

412

- Nie sądzę - powiedział - by pani prokurator życzyła sobie naszej tu obecności, ja natomiast nie życzę sobie, byś stała na ulicy widoczna jak na dłoni. Wendy, możesz pojechać z Erikiem na posterunek, a ja pojedę za wami. Erie, wiesz, jak tam dojechać?

- Niestety tak.

Tymczasem z kuchni wynurzyła się Linda Gordon i popędziła w stronę drzwi frontowych, jakby ją ktoś gonił. Otworzyła je energicznie i wyszła na werandę. Czerwony saab Jaya Chernoffa właśnie odjeżdżał.

- Panie Chernoff! - krzyknęła, machając ręką jak szalo

na. - Panie Chernoff!

Jack Till zobaczył, jak kobieta wykonuje szybki półobrót i osuwa się bokiem na deski, zanim jeszcze usłyszał daleki huk wystrzału. Razem z sierżantem uklękli po jej obu stronach. Każdy chwycił za jedno ramię i wspólnie wciągnęli kobietę do środka. Till zamknął kopnięciem drzwi, po czym i on, i Poliakoff natychmiast znaleźli się przy oknach, próbując zlokalizować strzelca.

- Karabin - oświadczył Till.

- Opóźnienie dźwięku - powiedział policjant. - Co najmniej półsekundowe.

- Mniej więcej dwieście metrów.

- Wzgórze na końcu ulicy.

- Jest tam pusta działka i chyba ulica powyżej, więc mogło to być któreś z podwórek. Zamelduj o tym.

Poliakoff wyjął z kieszeni małe radio.

-Tu sierżant Poliakoff. Jestem przy ulicy Greenbelt 5605, w Sherman Oaks, pod ogniem snajpera. Mamy ofiarę postrzału i potrzebna jest karetka. Myślę, że snajper ulokowany jest na wzgórzu, na południowym końcu Greenbelt. To trzy przecznice na południe od Ventura, cztery na zachód od Coldwater. Czekam.

Till znowu ukląkł przy leżącej kobiecie.

- Wendy - powiedział. - Weź z jej łóżka ze dwa koce

413

i poduszkę. - Potem zwrócił się do Lindy Gordon. -Wszystko będzie dobrze. Dostała pani w bark, ale nabój przeszedł na wylot. Ułożymy panią wygodnie, a za chwilę przyjedzie karetka.

Wendy przyniosła koce i poduszkę i uklękła obok Jacka. Till uniósł delikatnie głowę rannej, wsunął pod nią poduszkę i okrył ją kocami. Kiedy Wendy pochyliła się nad leżącą, zauważył, jak bardzo jej długie blond włosy przypominają kolorem włosy Lindy Gordon.

ROZDZIAŁ 37

Paul Turner zbiegał ze zbocza wzgórza długimi susami, które rozpęd zamienił w skoki i lądowania. Bardzo szybko znalazł się na dole i w swoim samochodzie.

-Trafiłem ją - oznajmił. - Wysoko, po lewej, może w serce.

Sylvie spojrzała w lusterko wsteczne i ruszyła w górę Valley Vista.

- Jesteś pewny, że śmiertelnie?

-Trudno wydać kategorię medyczną diagnozę, spoglądając przez lunetę karabinu - odparł. - Jedyne, co mogłem zrobić, to trafić ją z trzystaosemki i zarezerwować sobie w kalendarzu dzień na ewentualny pogrzeb.

- Chyba tak - zgodziła się. Droga wiała się serpentyną w dół, na zachód. Nie mogła jechać tak szybko, jak chciała, ponieważ był to teren podmiejski, zabudowany domami jednorodzinnymi, ze znakami stopu i odchodzącymi w prawo ulicami co kilkadziesiąt metrów. Nie było widać, co się kryje za niektórymi ostrymi zakrętami, a nie mogła ryzykować wypadku. Paul opuścił szybę.

- Mógłbyś zamknąć okno? - rzuciła.

- Dlaczego?

- Bo wytwarza się próżnia czy coś takiego i bołą mnie uszy.

- Nasłuchuję, czy nie słyszeć syren.

- Usłyszymy je bez trudu. A jeśli jedziesz z otwartym oknem, to ludzie myślą, że jesteś pijany albo że popalasz trawkę.

415

Westchnął. Wcisnął guzik i patrzył, jak szyba sunie w górę.

-Aż wierzyć się nie chce, jakie to wspaniałe uczucie.

- Zdaje mi się, że jeszcze go nie doświadczam - oświadczyła Sylvie. - Aż do tej chwili wszystko, co dotyczyło tego zlecenia, szło jak po grudzie. Muszę przyzwycząić się do myśli, że Wendy Harper wreszcie nie żyje i że możemy pojechać na wakacje.

Paul się uśmiechnął.

- Wspaniale. Wiedziałem, że trzeba śledzić Erka Fullera. Byłem pewien jak cholera, że tam, gdzie ona się znajdzie, on się pojawi.
- Zaslugujesz na pełne uznanie. - Kiedy to planowali, Sylvie zamierzała zasugerować to samo, ale mądrze postanowiła, że lepiej będzie, jak pomysł wyjdzie od niego. Nie widziała w tym nic nagannego i uznała, że jeśli plan okaże się niewypałem, to woli winić za to jego, niż żeby było na odwrót. Doszła również do wniosku, że zgoda na jego pomysł bez słowa sprzeciwu jest dobrą strategią, bo daje mu pewność siebie. Zabijanie to głównie problem psychologiczny. Jadąc za Fullerem, Paul bez trudu trafił do tej kryjówki i upolował Wendy Harper pojedynczym strzałem z odległości dwustu metrów, z czego wynika, że Sylvie miała rację. Pogratulowała sobie w duchu. - Jesteś najlepszy - oświadczyła.
- Wiedziałem, że niezależnie od tego, co ona sobie jeszcze planuje - mówił Paul - to kiedy tylko dotrze do Los Angeles, tych dwoje się spotka. Nie mógł przecież ściągnąć jej tutaj po tych sześciu latach, żeby uratowała mu tyłek, i nawet jej za to nie podziękować. To byłoby nienormalne. I wiedziałem, że z naszego punktu widzenia on zachowa się wręcz idealnie. Nie jak glina, który śledzeniem innych zarabia na życie i jest w stanie cię zauważyć i aresztować. Raczej jak żaloszny drań, który spędza życie na krojeniu cebuli w restauracji.

416

Sylvie zachowywała milczenie. Czasami egocentryzm mężczyzn wprawiał ją w zdumienie. Jakoś nie przyszło mu dotąd do głowy, że jej też należą się gratulacje. Zabicie Wendy Harper nie ograniczyło się do śledzenia zakochanego kuchmistrza z La Cienega do Greenbelt Street i siedzenia za krzakiem w oczekiwaniu na szansę stuknięcia niczego nie

podejrzewającej kobiety. Sylvie też włożyła w to wiele wysiłku i doświadczyła wielu rozczarowań.

Wyglądało na to, że wreszcie Paul zauważył, iż przestała potwierdzać wszystko, co mówi.

-Jednak nie cała zasługa przypada mnie - oświadczył. - Ty również wykonałaś świetną robotę, Sylvie. Naprawdę.

Czuła w sobie przewrotną ochotę, żeby go podpuścić i powiedzieć: „O, naprawdę? A co ja takiego zrobiłam?” Już wiedziała, że odpowiedziałby czymś protekcyjnym: „Co? Och, mnóstwo rzeczy. Przez cały ten czas byłaś ze mną”. Zmusiła się, by nie zadawać tego pytania, bo jego odpowiedź tylko by ją zirytowała i pognębiła. To była jeszcze jedna umiejętność, której nabyła w długotrwałym małżeństwie. Z daleka już dostrzegała nadciągające kłótnie, potrafiła odegrać je w myślach, by uzyskać potwierdzenie, że nie wyciągnie z nich żadnych korzyści, i w rezultacie ich unikała.

- Jesteś kochany, Paul.

Skręciła w Beverly Glen, przejechała skrzyżowanie obok salonu Cadillaca i wjechała w Tyrone, kierując się na północ, w stronę domu. Cały czas myślała o tym, co będzie dalej. Możliwe, że za niecałą dobę znajdą się w drodze do Madrytu.

Gdy wjechała na podjazd, było późne popołudnie. Ludzie z sąsiedztwa wkrótce zaczną wracać do domów. Lubiła to. Uwielbiała żyć skrytym życiem, udając jednocześnie, że robi to samo co inni. Nacisnęła guzik pilota

417

i patrzyła, jak unosi się brama garażu. Wjechała do środka, wyłączyła

silnik i zamknęła bramę.

- Zabiliśmy wreszcie tę sukę i teraz jesteśmy w domu, wolni. Uwielbiam to i ciebie. - Przechyliła się i pocałowała Paula w policzek.
- Ja też cię uwielbiam - powiedział Paul. - Jeszcze tylko jedna rzecz i mamy wakacje.

Sylvie poszła otworzyć kuchenne drzwi. Paul przyniósł karabin i amunicję.

- Tak naprawdę to pozostało nam tylko odebrać nasz milion.
- Chyba nie teraz, tej nocy?
- Jasne, że tak. Wykonaliśmy robotę, a on powiedział, że zbierze forszę i że będzie na nas czekała. Tak się umówiliśmy.
- Ale nie musimy mieć dzisiaj miliona dolarów w gotówce. To niemądre. Nawet bym nie wiedziała, gdzie je wszystkie umieścić. Już mamy tu tyle pieniędzy na naszą podróż, że przyprawia mnie to o ból głowy.
- Nieważne, gdzie je położymy - oświadczył Paul. -Wrzucimy je pod łóżko albo do piekarnika, albo gdziekolwiek, dopóki ich nie umieścimy w skrytce bankowej. Nie w tym rzecz. Pojedziemy po nie dziś wieczorem, bo nie życzymy sobie, żeby Scott Schelling miał kilka dni na obmyślenie sposobu, żeby nam ich nie oddać. Nie musimy być w tej sprawie nieuprzejmi i w ogóle... zachowamy się chłodno i rzeczowo. Zjawimy się i powiemy: „Zrobiliśmy, o co prosiłeś, więc jesteśmy. Czas na zapłatę. Pa, pa”.

Sylvie skinęła głową.

- Niech będzie. Daj mi chwilę na przebranie się.
- A ja przed wizytą u Schellinga muszę jeszcze przygotować ten karabin, zanim się go pozbędę.

•Dobrze.

Poszła wziąć kolejny prysznic i przebrać się. Wiedziała, że tego wieczoru nie wrócą wcześniej, wobec czego wybra-

418

ła czarne spodnie, czarny sweter i czarne pantofle. Czerń zawsze była stosowna w tych niejasnych sytuacjach zdarzających się wieczorową porą, a poza tym dobrze jej było w czarnym.

Kiedy wyszła z łazienki, Paul był w sypialni, już ubrany w porządnie wyprasowane szare spodnie, granatową koszulę i czarną marynarkę.

- Ty nie musisz się w ogóle ubierać. Wyglądasz niesamowicie. - Zerwał z niej ręcznik, objął ją i przycisnął do siebie.
- Zimno mi. Przestań. Chcę się ubrać. To nie jest pora. -Zesztywniała, skuliła się.

Trzymał ją w ramionach jeszcze przez chwilę, jakby liczył na to, że ulegnie, po czym puścił.

- Pewnie nie. - Odwrócił się i wyszedł z sypialni.

Przez chwilę odczuwała ulgę, bo dał jej spokój. Wiedziała, że zraniła jego uczucia i że nie powinna przyjmować tak obojętnie jego nastroju. Ciągle jeszcze przeżywał euforię wywołaną ich trudnym zwycięstwem i nagłym uwolnieniem od tego okropnego zlecenia.

Powinna była zachować się zalotnie i prowokująco, pozwolić, by odszedł od niej zadowolony. Tymczasem niezdarnie się przed nim broniła, przez co wyglądała nieatrakcyjnie, stała tam jak posąg, jak symbol oziębłości. Ubierając się, przeklinała swoją bezmyślność. A wszystko dlatego, że starała się radzić sobie z napięciem spowodowanym koniecznością spotkania ze Scottem Schellingiem, a lęk był kiepskim

afrodyzjakiem.

Skończyła się ubierać, nałożyła makijaż, poprawiła włosy, przez cały ten czas nie przestając myśleć o swoim potknięciu. Potem poszła poszukać Paula. Znalazła go w kuchni. W gumowych chirurgicznych rękawiczkach rozbierał karabin, z którego po południu strzelał do Wen-dy. Lunety, amunicji i magazynka już nie było, prawdopodobnie spoczywały w sejfie na broń. Odkręcił też lufę,

419

wyjął rygiel i mechanizm powrotny, rozłożył też mechanizm spustowy, więc spust, zaczep spustowy i sprężyna leżały na stole.

Podeszła do niego od tyłu i pocałowała w kark. Nie poruszył się.

- Przepraszam cię, Paul. Bardzo cię kocham. Nie chciałam być niemą. - Położyła mu dłonie na ramionach i na chyliła się, by pocałować go w policzek. Widziała, jak pracują mu mięśnie szczęk, i poczuła strach. To nie było tylko niezadowolenie i irytacja, to była wściekłość. Obeszła go, uklękła przed nim na posadzce i przemawiała łagodnie, dłonie przesuwiała coraz wyżej. - Nie gniewaj się. - Podniosła wzrok. - Och. Właśnie pomyślałam o czymś, co pozwoli ci poczuć się lepiej. - Rozpięła mu pasek.

Później, po wszystkim, Paul znowu wyglądał na zadowolonego i odprężonego. Patrzyła, jak bierze części karabinu i wkłada do plastikowego worka, żeby po drodze do Schellinga wrzucić je do jakiegoś pojemnika na śmieci. Poczowała się pewniej. Przedtem była bardzo lekkomyślna, ale przynajmniej miała na tyle rozsądku, żeby to wszystko naprawić. Nie mogła pozwolić, by Paul nadal był wściekły. Popęłniłaby

duży błąd.

Obeszła dom, sprawdzając, czy wszystko jest pozamykane i powyłączane. Kiedy dołączyła do Paula w garażu, otwierał pilotem zamki.

- Zatem ruszamy. A wiemy, dokąd jedziemy? - spytała.
- Tak. Najpierw do jego biura. Jeśli tam go nie będzie, to odwiedzimy go w domu.
- Gdzie mieści się firma Crosswinds Records?
 - W Burbank, przy Riverside. No wiesz... tam, gdzie są te wszystkie takie... Warner Records, Disney Channel, DIC i inne. Jego firma też tam jest, w którymś z tych budynków.

Yentura Freeway pojechał na wschód, do 134 Freeway,

420

z której zjechał na Buena Vista i zaparkował w bok od Ri-verside, w garażu pod Dalfs Restaurant. Zamiast wsiąść do windy i wjechać na poziom restauracji, wyszli wjazdem na ulicę i wzdłuż Riverside dotarli do jednego z wysokich budynków ze ścianami z lustrzanego szkła, które dziwacznie wyrastały na wyspie pomiędzy Alamedą i Riverside, niczym jakiś miraż w otoczeniu parterowych sklepów i restauracji.

- To ten - oświadczył Paul. - Rozejrzyjmy się.

Sylvie zrozumiała. Rozglądanie się oznaczało ocenę systemu ochrony. Zapadł już zmrok i włączono uliczne latarnie, można jednak było trzymać się ciemniejszych miejsc pomiędzy nimi. Budynek był jak inne, kanciasta bryła ze szkła i stali, postawiona praktycznie na chodniku, zaledwie kilka metrów od krawężnika. Kiedy mijali główne wejście, zajrzała do holu, gdzie za kontuarem zobaczyła dwóch siedzących mężczyzn. Nad nimi widniał napis „Proszę się rejestrować”, a kontuar tak usytuowano, by nikt

nie mógł dotrzeć niezauważony do znajdującej się w głębi wnęki z windami.

- Nie wygląda to łatwo, prawda? - spytała Sylvie.

-Ale nie niemożliwie. Spróbujmy najpierw prostego sposobu. Nie zatrzymujemy się. - Paul wyjął telefon komórkowy i kartkę papieru, wybrał jakiś numer. - Dobry wieczór - powiedział. - Chciałbym rozmawiać z panem Schellingiem.

Kobieta po drugiej stronie miała jedwabisty, spokojny głos, z gatunku tych, jakie powodują, że dzwoniący mogą wytrzymać dłuższą zwłokę i bardziej lekceważące traktowanie niż, jak im się wydaje, są w stanie znieść.

- Czy mogę spytać, w jakiej sprawie?

Mogła się nie wysilać.

- To rozmowa osobista, na którą on czeka. Jestem jego przyjacielem, na imię mam Paul.

-Jedną chwilkę, proszę. - Nastąpiła zwłoka tak długa,

421

że zaczął się zastanawiać, czy nie odebrała innego telefonu i nie zapomniała o nim. Kiedy już miał zamiar przerwać połączenie i zacząć od nowa, odezwała się. - Niestety, nie może w tej chwili z panem rozmawiać, poprosił jednak o spotkanie po zakończeniu narady.

•Gdzie się chce spotkać?

•Zaproponował Harlan's, przy naszej ulicy, niedaleko biur Crosslands.

Wie pan, gdzie to jest?

•Tak. O której?

•Czy może pan tam dotrzeć w pół godziny?

- Proszę mu powiedzieć, że tam będę.

- Spotka się z panem przy tylnym wyjściu **od strony** parkingu.

Paul rozłączył się i szedł dalej z Sylvie.

- Jego sekretarka mówi, że chce się spotkać w restauracji przy tej ulicy... w Harlan's. Mówi, że za pół godziny wejdzie tam tylnymi drzwiami.

Sylvie wzruszyła ramionami.

- Tam w środku jest dość ciemno. Są też boksy, więc nie jest to najgorsze miejsce na przekazywanie pieniędzy.

- Może i nie. Nie chciałbym jednak, żeby to on wybierał miejsce spotkania. Chodź, sprawdzimy je, zanim on tam się zjawi.

- Chcesz wziąć samochód?

- Nie, lepiej niech zostanie w niewidocznym miejscu.

Poszli w górę Riverside i minęli Bob's Big Boy, hamburgerową restaurację w stylu lat czterdziestych, z wielkim puciołowatym chłopcem na frontonie. W piątkowe wieczory jej parking pełen był ludzi, którzy przyjechali tu dostosowanymi do własnych potrzeb starymi samochodami, żeby mogli je podziwiać inni zapaleńcy. Skręcili w najbliższą przecznicę i ruszyli uliczką równoległą, biegnącą na zapleczu sklepów i restauracji po północnej stronie Riverside. Po lewej stronie mieli tylne do nich wejścia, a po prawej parkingi.

422

Harlan's był niskim drewnianym budynkiem, który wyglądał, jakby przeniesiono go tutaj wprost z nabrzeża.

- Będzie tu za jakieś dwadzieścia pięć minut - powiedział Paul. - Co sądzisz o tym miejscu?

- Nie wiem. Jest mnóstwo ludzi, którzy robią sporo hałasu na ulicy i przed tym budynkiem, ale tu od tyłu jest dość pustawo. Nie podoba mi się to.
- Mnie też nie. Co chcesz zrobić?
 - Cokolwiek. Chętnie bym machnęła ręką na tę forszę, wsiadła do samochodu i ruszyła na lotnisko.
 - Możliwe, że będziemy musieli tak zrobić. Przejdźmy na drugą stronę, do Marie Callender's, i poobserwujmy stamtąd wjazd na parking. Jeśli będzie wjeżdżał, to go zobaczymy.
- Dobrze.

Zrobili zaledwie kilka kroków, kiedy na drugim końcu parkingu pojawił się nagle duży beżowy szewrolet sedan, jego przód podskoczył i opadł na garbie, reflektory błysnęły w oczy Sylvie. Samochód zatrzymał się przed nimi, silnik pracował na luzie. Kiedy Sylvie osłoniła dłonią oczy, zobaczyła kierowcę, wysokiego mężczyznę w sportowej marynarce i czerwonym krawacie. Na miejscu pasażera siedział niższy mężczyzna, o ciemniejszych włosach. Kierowca otworzył drzwi i wysiadł.

- Państwo Turnerowie?
- Bądź gotowy - szepnęła Sylvie do Paula.
- Czym mogę służyć? - zawołał Paul do mężczyzny.
 - Zechcą państwo pójść ze mną, proszę? Mamy was zabrać na spotkanie. Paul i Sylvie już zaczęli odsuwać się od siebie.
- Nie tak się umówiliśmy.
 - To kwestia środków ostrożności. Wystarczy, że wsiądą państwo do samochodu.

Sylvie trzymała rękę na broni w kieszeni. Zerknęła na Paula i zobaczyła,

że jego długie nogi zdążyły zanieść go

423

na drugą stronę pojazdu. Prawą rękę trzymał przy pasie, nogi w kolanach miał lekko ugięte. Sylvie wybierała sobie cel. Najpierw wypali do mężczyzny, który wysiadł, potem w tego niższego, który wyglądał, jakby miał zabandażowaną głowę. Wiedziała, że nie będzie miała wiele czasu, wobec czego przesuwiała nieustannie wzrok z jednego na drugiego, ćwicząc w myślach.

- To mi nie odpowiada - oświadczył Paul. - Zadzwońcie i mu to powiedzcie.
- Jesteśmy funkcjonariuszami policji - odparł mężczyzna stojący obok auta - i będą musieli państwo udać się z nami.

Uchylił marynarkę, żeby sięgnąć po broń, i Sylvie zauważyła odznakę. Po drugiej stronie samochodu mężczyzna z fotela pasażera otworzył drzwi.

Sylvie strzeliła do tego z odchyloną połą marynarki, po czym opuściła się na kolana i strzeliła w ciemnowłosego mężczyznę, siedzącego na miejscu pasażera, podczas gdy Paul strzelił w przednią szybę.

Niski ciemnowłosy mężczyzna był ranny, zdołał jednak wślizgnąć się na miejsce kierowcy i nacisnąć pedał gazu. Samochód szarpnął do przodu, wprost na Paula, ale ten uskoczył i oddał trzy kolejne strzały. Auto toczyło się jeszcze chwilę, poczym uderzyło w ogrodzenie ze stalowych drutów i zatrzymało się na skraju parkingu.

Paul otworzył drzwi kierowcy, wyciągnął martwego mężczyznę na ziemię i zajął jego miejsce. Sylvie usiadła z tyłu. Paul przejechał kilka przecznic wzdłuż Riverside, skręcił w boczną ulicę i nie zatrzymał się,

dopóki nie znaleźli się z powrotem na ulicy za restauracją Dalfts. Podjechał do krawężnika, wytarł kierownicę i klamki. Zeszli zjazdem na parking pod budynkiem i wyjechali stamtąd swoim czarnym bmw.

Popędzili Riverside do Barham, potem minęli studio Warner Brothers na wzgórzu i wjechali na autostradę.

424

- Jezu. Fałszywe gliny. Nie mogę uwierzyć, że pozwoliłem mu tak nas wystawić.
- Ja już naprawdę mam dość - oświadczyła Sylvie. -Przecież to jedno po drugim same nieszczęścia.
- Rezygnujesz?
- Nie. Ale chyba nie zależy mi teraz najbardziej na forsie.

ROZDZIAŁ 38

Scott Schelling poczuł wibrowanie telefonu komórkowego w kieszeni marynarki. To już trzeci raz tego wieczoru i za każdym razem czuł, jak pod wpływem podniecenia przyspiesza jego serce. Wieści były coraz lepsze. Zerknął na drugi koniec pokoju. Ray Klein doszedł właśnie do połowy swojego przemówienia na temat pełnego zintegrowania konglomeratu elektronicznego, jakie przygotował na przyjęcie koktajlowe w swoim domu, więc Scott miał mnóstwo czasu, by odpowiedzieć na ten telefon.

Przemierzał powoli ogromny salon, nie dając po sobie poznać podniecenia. Załatwianie interesów na tych przyjęciach traktowane było

jako grubiaństwo. Jemu jednak bardzo zależało, by odpowiedzieć Tiffany. Jej pierwszy telefon był najważniejszy. Przekazała mu wiadomość od Paula, że wszystko przebiegło zgodnie z jego oczekiwaniami. Co oznaczało, że Wendy Harper nareszcie jest trupem. Od tamtej chwili, którą uważał za punkt zwrotny w swoim życiu, Scott był w doskonałym nastroju. Przez sześć lat, podczas których pracował nad zbudowaniem swojej reputacji i przechwyceniem władzy w Crosswinds Record, żył w nieustannym lęku.

Unikał sytuacji, w których konieczne było dać się sfotografować, i nie pokazywał się w telewizji, musiał jednak wykonywać swoją pracę i żyć swoim życiem, a jedno oznaczało drugie. Praca związana była z sytuacjami towarzyskimi. Scott zawsze zabierał różne kobiety na przyjęcia

426

i wykorzystywał swoje zawodowe stosunki z muzykami, by robić na nich wrażenie. Rozmawiał z kobietami tak, jak z muzykami. Mówił każdej, że jest najlepsza, jest tą, którą przedkłada nad inne. Sugerował w najjaśniejszy jaki umiał sposób, że da im wszystko, czego zapragną, bo są takie wyjątkowe. Dawał kobiecie, z którą akurat był, posmakować tego, co miało nadejść. Zazwyczaj był to zegarek albo bransoletka, coś, co kosztowało wystarczająco dużo, by wiedziała, że on jest inny niż jej wcześniejsi przyjaciele.

Scott bardzo chętnie i bez zwłoki poznawał aktualną wybrankę z muzycznymi talentami, żeby dać jej do zrozumienia, że jest człowiekiem ważnym. Pozwalał jej spotykać się z gwiazdami, tańczyć z nimi, pić, rozmawiać. Jednak przebywanie z muzycznymi znakomitościami wywoływało u młodych kobiet mieszane uczucia. Wiele z tych osób było

nieokrzesanych i niechlujnych. Pili na umór albo nagle znikali i pojawiali się po kilku minutach ze zwężonymi źrenicami i obłąkańczymi minami. Poza estradą często byli wulgarni, gburowaci, wręcz przerażający. Kobiety mogły obejrzeć sobie te pokazy osobliwości, poczuć oszołomienie i fascynację, ale Scott zauważał, jak szybko ponownie czepiają się jego ramienia, na wpeł chowając się za krzepiącym, ciemnym garniturem, za jego trzeźwością i solidnością.

Przystanął, by przywitać się z Billem Calderem, rezydentem działu rozrywki.

- Przepraszam, ale mój telefon dzwoni - wyznał i wymknął się do kaktusowego ogrodu.

Lubił dom Kleina w Santa Fe. Była to budowla z suszonej cegły, z wielkimi drewnianymi belkami na sufitach i łukowato sklepionymi wejściami. Upewniwszy się, że nikogo nie ma w pobliżu, wcisnął numer Tiffany i oświadczył:

- To ja.
- Scotty, masz nas obie... Tiffany i Kimberly... na linii

427

konferencyjnej. Chciałyśmy sprawdzić, czy na pewno nie będziesz już nas dziś wieczorem potrzebował.

- Załatwiłaś, żeby ktoś spotkał się z dżentelmenem, który dzwonił przedtem?
- Mówisz o Paulu?
- Tak - odpowiedział.
- Zadzwoiłam pod numer, który mi zostawiłeś.

- Świetnie. Jeśli wszystkiego już dopilnowałyście, nie ma powodu, byście dłużej siedziały. Potwierdźcie tylko godzinę mojego jutrzejszego porannego lotu i pogaście światła. I niech ktoś pamięta jutro nakarmić mojego psa.
- Dzięki, Scotty - powiedziała Tiffany. - Do zobaczenia w poniedziałek rano.

Rozłączył się. Wciągnął powietrze, a kiedy jego płuca się wypełniły, poczuł się jeszcze lepiej. W jakimś szalonym impulsywnym odruchu zapragnął zrobić coś dla tych kobiet, dać im na przykład wielką podwyżkę. Nie mógł jednak robić tego za każdym razem, kiedy czuł się szczęśliwy. A Bill Calder, w tej chwili przebywający zaledwie kilkadziesiąt metrów od niego, zobaczyłby tę podwyżkę i chciałby poznać jej uzasadnienie. Może zabierze je na wycieczkę. Miał w planie na przyszły miesiąc jakieś konferencje we Francji i w Niemczech.

Schował telefon i wrócił na przyjęcie. Obecni na nim goście byli mu obcy. Prezesa wszystkich innych filii mieli żony i przyprowadzili je ze sobą - wszystkie blondynki, wysokie i dwadzieścia do trzydziestu lat młodsze od mężów, ale wszystkie już po liftingach i z zębami białymi jak porcelana umywalek. Nigdy nie miał pojęcia, co ma o nich sądzić, bo nie dało się odczytać wyrazu ich twarzy.

Mężowie byli pod tym względem nieco łatwiejsi, bo rozmawiając z nimi, mógł rozpoznać ich wrogość i podejrzliwość. Kiedy z pustynnego ogrodu wszedł do wnętrza, zobaczył, że Taylor Gaines mu się przygląda. Mężczyzna był szefem finansowej filii spółki matki, która

kredytów.

- Cześć, Scott. Musisz być na bieżąco, nawet kiedy jesteś tutaj, co?
- A żebyś wiedział, Taylor. Jak człowiek nie idzie do przodu, to się cofa.

Ruszył pospiesznie korytarzem, zauważając przy okazji, że mija opracowane stare rysunki i mapy z czasów hiszpańskich. Jego dziewczęta wykonały doskonałą robotę, kupując mapę na prezent dla Jill Klein. Kiedy o tym pomyślał, uzmysłowił sobie, że nie musiały się szczególnie wysilać. Na pewno Ray powiedział im, co mają kupić.

Wyglądało na to, że wszystko, co się dzieje, jest pod kontrolą Raya Kleina. To on chciał, by dziewczęta zadowolą Scotta Schellinga swoją kompetencją po to, żeby trzymał je w gronie swoich współpracowników. W ten sposób mogły nadal przekazywać Kleinowi informacje. Chciał, żeby Scott czuł się swobodnie w stosunkach z nim, żeby czuł, że sprawnie się dobrze, że Klein go lubi i docenia. Chciał też, by jego żonie przybyło coś cennego do kolekcji, by mogła mieć poczucie, że jest aktywna i podziwiana, i by odwrócić jej uwagę od związku męża z Marthą Rodall, wiceprezesem działu public relations. I z tego właśnie był słynny Ray Klein: z zarządzania swoimi ludźmi.

Scott przemknął obok kelnerów w białych koszulach, podających małe *tamale*, tuńczyka *ahi* na porcyjkach ryżu oraz koktajle, i znalazł się w samym centrum przyjęcia; na tyle blisko Raya Kleina, by mieć pewność, że szef włącza go do jakiegokolwiek sporządzanej w myślach listy ludzi, jednak nie tak blisko, by mu przeszkadzać czy go rozpraszać. Scott dopilnował, by go widziano, po czym uśmiechnął się do Sama Hardesty'ego, szefa Aerospace Electronics Division, i uściśnął mu rękę.

- Cześć, Sam. Scott Schelling, Crosswinds Records. Jak

się masz?

429

- Świetnie. A ty? - Hardesty zbliżał się do siedemdziesiątki, miał białe włosy i posturę emerytowanego generała, którym zresztą był.
- Wspaniale - odparł Schelling. - To taki piękny wieczór, a wypad z Los Angeles o tej porze roku to prawdziwa radość. Do diabła, samo wyjście z biura to już radość. Jak będą wyglądały wasze liczby w tym kwartale?

Hardesty zachnął się, słysząc takie bezceremonialne pytanie.

- Niestety tego jeszcze nie mogę zdradzić.
- O? Tajne?
 - Nie. Tyle że do użytku wewnętrznego. Pracujesz w innej firmie, chociaż my jesteśmy jej właścicielami. Przekazanie tej informacji byłoby wbrew przepisom Komisji Papierów Wartościowych i Giełd.
- No cóż, to życzę powodzenia - powiedział Scott.

Szedł dalej, ku kolejnym pracownikom szczebla kierowniczego, dwóm maniakom komputerowym z Syn-Fi-nal Microsystems, kiedy poczuł na ramieniu dotknięcie. Zobaczył kobiecą dłoń. Na jednym z palców tkwił szmaragd wielkości fasoli w otoczeniu brylantów. Podniósł wzrok i blisko swojej twarzy ujrzał twarz Jill Klein.

- Scotty - odezwała się konspiracyjnym szeptem. - Muszę powiedzieć ci na osobności, jak bardzo podoba mi się ta mapa. - Z tej niewielkiej odległości widział, że jej twarz poddana została zabiegom chirurgicznym. Skórę powyżej kości policzkowych naciągnięto z boków, przez co jej oczy nabrały wyrazu nieustannego zdumienia. Przynęła się jeszcze bliżej i wypukłymi jak poduszcзки wargami

dotknęła jego policzka. - Jest naprawdę cudowna. -Uśmiechnęła się. -
Czasami liścik z podziękowaniami nie wydaje się wystarczający.

- To ja powinienem podziękować tobie. Zdecydowanie wolę całus od liściku.

- Chciałbyś zobaczyć, gdzie ją powiesiłam?

430

- Jasne.

Poprowadziła go szerokim korytarzem na tyły domu. Zza wielkich drzwi w końcu korytarza słyszał ludzi z firmy cateringowej uwijających się w kuchni wielkiej jak restauracyjna. Idąc, starał się przypomnieć sobie opis mapy, jaki przekazały mu Kimberly i Tiffany, żeby teraz móc ją rozpoznać. Pamiętał, że było coś o Kalifornii jako wyspie. Odgłosy kuchenne upewniły go, że znajdują się w pobliżu jadalni. Może ją powiesiła tam, gdzie inni goście będą musieli na nią patrzeć i zazdrościć mu gustu i pomysłowości.

Skręciła jednak w przeciwną stronę i poprowadziła go wąskimi schodami na piętro. Tam, po kilku krokach, otworzyła jakieś drzwi.

- To mój prywatny apartament.

Zobaczył duży gabinet udekorowany lalkami *kachina* Indian Hopi oraz dywanikami Nawahów, umeblowany sofami i ciężkim staromodnym biurkiem z ciemnego drewna. Na jednej ze ścian wisiało kilka oprawionych starych dokumentów, ale mapy wśród nich nie zobaczył.

- To naprawdę piękny pokój - powiedział.

- O tak. Zaciszny i zapewniający prywatność. - Otworzyła drzwi widoczne po drugiej stronie biurka i wprowadziła go do sypialni. Była tam pokojówka, zajęta robieniem jakichś porządków w szufladach

komody. - Oto i ona. - Wskazała na ścianę.

Mapa była większa, niż Schelling sobie wyobrażał, karta rozmiarów arkusza folio, oprawiona w cieką czarną ramkę wisiała na nierównej powierzchni, udającej suszone cegły.

- Wygląda tam bardzo autentycznie - powiedział z ulgą, że nie musi wybierać jej z całego rzędu niemal identycznych map.

Jill Klein zwróciła się do pokojówki.

- Consuelo, dopilnuj, by nam nie przeszkadzano.

431

Consuela wybiegła truchtem z pokoju. Usłyszał dźwięk zamykanego zamka, a kilka sekund później drugiego.

- Kiedy się komuś dziękuje - powiedziała Jill Klein - najlepiej robić to w staromodnym stylu, co ty na to? - Za rzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała w usta.

Schelling był zaszokowany i zaniepokojony. Nie przygotował się na taką sytuację i nie wiedział, jak reagować.

- Nie sądzę, by to było rozsądne - oświadczył. - Twój mąż jest...
- Na dole, na przyjęciu, ze swoją kochanką. - Ujęła jego ręce i zmusiła, by objął ją w pasie. - Jak się pośpieszysz, to nikt nie zostanie wprawiony w zakłopotanie.

Telefon w kieszeni Scotta znowu zaczął wibrować. W panującej ciszy słyhać było jego buczenie i Schelling podskoczył, jakby ich przyłapano.

- Wyłącz to - rzuciła.

Wyłowił telefon z kieszeni i otworzył. - Tak?

- Scotty, przepraszam, że znowu dzwonię - odezwała się Tiffany - ale

jadę samochodem i właśnie usłyszałam w wiadomościach, że ci dwaj mężczyźni, o których pytałeś, zostali zastrzeleni.

- Jesteś pewna?
- Pasują do opisu. I wydarzyło się to na parkingu za Harlan's, gdzie kazałam im się spotkać z Paulem.
- W porządku. Dzięki.
- Co mam zrobić?
 - Wracaj do domu. Nic nie rób. Nic nie mów. Zobaczymy się w poniedziałek rano. - Rozłączył się.

Jill Klein odwróciła się od niego i skierowała w stronę drzwi.

- Jill. Proszę, zaczekaj - powiedział.

Zatrzymała się i sięgając gałki przy drzwiach, spojrzała na niego przez ramię.

432

- Jill? Dla ciebie jestem panią Klein. Zawsze będę panią Klein. - Otworzyła drzwi.

Zobaczył, że Consuela siedzi na sofie w niemal kompletnych ciemnościach, bo światło mogłoby być widoczne w szparze pod drzwiami. Zerwała się, zapaliła światło i natychmiast otworzyła zatrzask u drzwi, żeby pani Klein, wychodząc stamtąd, nie musiała zwalniać kroku.

Schelling przeszedł przez gabinet i minął Consuelę, która nie uniosła wzroku. Domyślił się, że nawet na niego nie zerknęła. Najwyraźniej płacono jej za to, że jest ślepa i głucha.

Kiedy podchodził do tylnych schodów, zobaczył Jill daleko przed sobą, blisko frontu budynku. Skręcała właśnie, by zejść innymi schodami. Spojrzała w jego stronę, ale trwało to tylko chwilę i jej twarz nie wyrażała

niczego. Wybierała moment zejścia tak, by nikt na dole nie zauważył ich jednocześnie.

Zszedł na dół, ominął grupę ludzi w salonie, ponownie wyszedł do ogrodu, wyjął telefon i wybrał numer swojego osobistego trenera.

- Dale, słucham.

- Cześć. Mówi Scotty. Jesteś sam? Możesz rozmawiać?

- Jasne. Jestem w domu i trochę sobie ćwiczę. Co się stało, Scotty?

- Jestem w Santa Fe i mam tylko minutkę na rozmowę.

Naprawdę byłeś w piechocie morskiej, prawda?

- Tak.

• Nauczono cię zabijać ludzi?

• No cóż, taa, chyba tak. To znaczy, ostatecznie do tego to się sprowadza.

Na tym polega wojna. Robi się to dla kraju, dla reszty ludzi, ale tak czy owak, uczą człowieka walczyć.

• Zabiłeś kiedyś kogoś?

• Ja? Nie. Kiedy brałem udział w Pustynnej Burzy, trzymali mnie w Kuwejcie i pilnowałem, żeby świeżo przybyli

433

członkowie Gwardii Narodowej robili pompki i żabki, kiedy przyzwyczajali się do upałów. Wysłano mnie na Haiti i do Liberii, ale właściwie tam nie dotarłem. Większość czasu spędziłem na statku poza portem, na pełnym morzu.

• Ale wiedziałeś, jak to się robi. I byłeś gotowy to zrobić, zgadza się?

• Jasne, ale nie bardzo chwytam, dlaczego pytasz.

• Potrzebuję wielkiej przysługi.

- Zaraz, zaraz.

- Wynagrodzę ci.

- Scotty...

-Słuchaj, mam straszne kłopoty. Jestem w Santa Fe w interesach, ale jutro muszę wsiąść do samolotu i wrócić do domu. Ci ludzie już zabili kilka osób, które dla mnie *pracowały*. Jestem w niebezpieczeństwie. To typowa sytuacja samoobrony. To jest samoobrona.

- Rozmawiałeś o tym z policją?

- Dale, to wykroczyło daleko poza ten etap i nie mam czasu, żeby wszystko wyjaśniać.

Usłyszał głębokie westchnienie.

-Scotty, w takiej sprawie nie mogę ci pomóc.

-Proszę.

-Co?

- Powiedziałem proszę. Jeśli nie możesz tego zrobić, to podaj mi jakieś nazwisko. Dalej już sam spróbuję. Jeśli nie chcesz, żebym powołał się na ciebie, nie zrobię tego.

- Przykro mi. Nie zajmuję się takimi rzeczami i nie znam ludzi, którzy to robią.

Scott roześmiał się. Pomyślał, że nie zabrzmiało to bardziej fałszywie niż zazwyczaj. Z drugiej strony zapanowała cisza.

- Mam cię! - powiedział. - To był tylko żart, Dale. Tylko cię podpuszczałem. A ty się dałeś podpuścić. Przyznaj.

- Scotty, jeśli masz jakieś kłopoty, to myślę, że powinie-

neś udać się do odpowiednich władz. Jeśli natomiast nie masz i to rzeczywiście jest żart, to uważam, że masz chore poczucie humoru.

- Przepraszam cię, stary. Zadzwoiłem, żeby ci powiedzieć, że nie zdążę na nasze jutrzejsze ćwiczenia, i ten pomysł wpadł mi jakoś do głowy, więc go wykorzystałem. Jeśli nie był zabawny, przepraszam. W tamtym momencie wydał mi się śmieszny.
- Na pewno mówisz teraz prawdę?
- Oczywiście. Słuchaj, bardzo się teraz spieszę, ale zadzwonię do ciebie później, kiedy znajdę czas, żeby wcisnąć ćwiczenia w swój harmonogram. Trzymaj się, Dale.
- Dobra. Zadzwoń.

Stał przez chwilę bez ruchu z milczącym telefonem w garści, a każdy mięsień ciała miał mocno napięty, z powodu lęku, żalu i upokorzenia. Co, jeśli nie przekonał Dale[^], że żartował? Nie, musi przestać myśleć w ten sposób. Nie stać go na marnowanie czasu, na martwienie się Da-le'em. Co miał teraz zrobić... wynająć kogoś następnego, żeby zabił Dale'a? Musiał się bronić przed szaleństwem.

Kiedy skoncentrował się na problemie Turnerów, udało mu się zwalczyć strach i niepokój i zmusić do myślenia o tym, co ma zrobić. Wynajął Turnerów, obiecał im milion dolarów w gotówce za zabicie Wendy Harper. Kiedy wykonali zlecenie, próbował ich sprzątnąć, ale się wywinęli. Carl był tą ostatnią, jedyną osobą, której mógł zaufać, ale przecież Carl sam tego nie załatwi. Scott jednak wciąż miał jeden atut... ten milion dolarów. Pieniądze znajdowały się w walizce, w bagażniku jego samochodu w Los Angeles.

Usłyszał muzykę i zajrzał przez szklane drzwi do holu i salonu.

Brzdąkała i podśpiewywała meksykańska orkiestra uliczna. Goście popijali koktajle i nie było jeszcze żadnych oznak, że zamierzają udać się na kolację. Wybrał numer Carla.

- Halo?

435

- Carl, to ja. Tych dwóch głupków, którzy spotkali się z Turnerami, dało się zabić.
- Jasna cholera! Kiedy?
- Dopiero co, a Tiffany już słyszała o tym przez radio. Chcę, żebyś pogadał z Turnerami. Powiedz, że chcę im zapłacić to, co jestem winien, ale że do jutra nie ma mnie w mieście. Powiedz, że ci dwaj próbowali wywinąć mi numer, że chcieli ich zabić, a pieniądze zatrzymać dla siebie. Chwytasz?
- Tak. Spróbuję do nich dotrzeć.
- Carl, to nie jest czas na żadne próby. Musi ci się udać. Powierzam ci tu moje życie.
- W porządku, Scotty, rozumiem. Nie to chciałem powiedzieć. Wiesz, że zrobię wszystko, co trzeba.
- Dzięki, Carl. Muszę lecieć. - Rozłączył się i ponownie zajrzał do wnętrza domu. Wstyd mu było, że spanikował i próbował wynająć Dale'a, żeby zabił Turnerów. Carl użyje pieniędzy, żeby z nimi wygrać. Nikomu nie mogło zależeć bardziej na trwającej jedną chwilę satysfakcji z dokonanej zemsty niż na milionie dolarów. Kiedy tylko Carl ich spłaci, on będzie bezpieczniejszy niż kiedykolwiek przez ostatnie sześć lat.

Dręczył go jednak jeszcze jeden problem: ten okropny błąd, jaki

popęłnił tam, na piętrze. Nie mógł sobie pozwolić, by Jill Klein była jego wrogiem. Była żoną szefa, nawet jeśli szef sypiał od czasu do czasu z kimś innym. Mogła zaszkodzić jego reputacji wśród członków zarządu i rady nadzorczej Aggregate, a prawie wszyscy oni byli prezesami innych wielkich spółek. W tydzień mogła zmiażdżyć kogoś takiego jak Scott Schelling.

Wrócił do środka i zaczął jej szukać. Przeczesał tłum, rozglądał się na wszystkie strony i w końcu ją dojrzał. Stała po drugiej stronie wielkiego salonu z jakąś inną kobietą i z odchyłoną głową, ukazując zbyt idealne uzębienie, śmiała się z czegoś, co tamta mówiła. Zerknęła na boki, by

436

widzieć, jakie robi wrażenie na ludziach wokół, kiedy jednak dostrzegła Schellinga, jej śmiech osłabł i zgasł.

Scott stał cierpliwie w pobliżu, aż w końcu musiała zwrócić na niego uwagę albo zaryzykować wywołanie sceny. Skinęła głową i odeszła na bok, a on natychmiast ruszył, żeby przeciąć jej drogę.

- Witam, pani Klein. - Wyciągnął do niej rękę. - Nie wiem, czy pani pamięta, jestem Scott Schelling z Crosswinds Records. Spotkaliśmy się na przyjęciu kilka miesięcy temu, kiedy Aggregate nas wykupił.

Patrzyła na niego zmrużonymi oczyma.

- Schelling? Tak, chyba pamiętam. Miło mi pana widzieć. - Dała krok w prawo, żeby go ominąć.
- Wysłałem pani mały prezent i zastanawiałem się, czy go pani rozpakowała.

Rozejrzała się na boki, by sprawdzić, czy nikt ich nie słyszy.

•Czego ty próbujesz? - spytała szeptem.

•Próbuję zacząć od nowa. Chcę przeprosić za to, że przyjąłem telefon.

To linia, jakiej używam jedynie w nagłych wypadkach. Moja matka od tygodnia przebywa w szpitalu po wylewie i wcześniej szpital .nie chciał mnie połączyć z jej pokojem. Sekretarka chciała mi powiedzieć, że jej się udało dodzwonić i że matka czuje się lepiej.

•O - powiedziała kobieta. - Przykro mi słyszeć o jej chorobie.

•Dziękuję pani.

•Jill. Proszę mówić mi Jill.

-Zatem Jill. Tak sobie myślałem, czy nie miałabyś ochoty pokazać mi, gdzie powiesiłaś tę mapę. Rozejrzała się, czujna niczym sarna.

•Teraz nie ma na to dość czasu. Powiedziałam ludziom z firmy cateringowej, by za pięć minut poprosili wszystkich na kolację. Gdzie się zatrzymałeś?

•W Eldorado. Pokój 362.

437

- Czekaj na mnie o pierwszej. - Odwróciła się i zniknęła w tłumie, po czym wynurzyła po drugiej stronie salonu obok swojego męża i Marthy Rodall.

Schelling wykorzystał te pięć minut, próbując zamienić parę słów z małżonkami dwóch wysokich urzędników z działu prawnego. Wyćwiczyły się w rozmowach z mężczyznami, wydawało im się jednak, że wszyscy oni chcą rozmawiać jedynie o golfie.

Kiedy poproszono ich na kolację, przeszedł z pozostałymi gośćmi do jadalni i zajął miejsce u dołu stołu, pośród dyrektorów z mniejszych filii

firmy matki. Czuł się jak jedno z najmłodszych dzieci w dużej, rozgałęzionej rodzinie.

Jednak tego wieczoru wcale mu to nie przeszkadzało. Właśnie uratował się przed unicestwieniem. A może nawet znalazł sekretne tylne schody, które doprowadzą go na kolejne piętro sukcesu.

ROZDZIAŁ 39

Po zmroku Jack Till oddalał się chodnikiem od wzgórza i wracał do domu Lindy Gordon. Wcześniej obserwował ludzi, którzy za żółtą policyjną taśmą zabraniającą przejścia osobom postronnym szukali mosiężnej łuski z karabinowego naboju albo jakichś śladów zostawionych na ziemi przez buty strzelca, ale sam musiał trzymać się z daleka. Policja miała zostać tam jeszcze jakiś czas, próbując zebrać wszystko, co się da, on jednak wiedział już od dawna, że nic tam nie pozostawiono.

Zobaczył, że dwóch policjantów wciąż szuka naboju, który przeszył bark Lindy Gordon. Ciągłe mieli resztki nadziei, że może utkwiał w pniu drzewa albo w ogrodzeniu, albo w ścianie sąsiedniego domu. Zobaczył, jak inni, chodząc od drzwi do drzwi, kończą przepytывать ludzi z sąsiedztwa, zadawszy im zwyczajowe, beznadziejne pytania: „Czy widzieli państwo przypadkiem...? Czy przypadkiem nie słyszała pani...?” I apelując: „Proszę bezzwłocznie do nas zadzwonić, jeśli usłyszą państwo o kimś, kto coś wie”.

Podszedł do drzwi. Max Poliakoff już wrócił i wykorzystywał kuchnię jako siedzibę sztabu, podczas gdy pozostali policjanci dalej zajmowali się

poszukiwaniami.

- Max, możemy chwilę porozmawiać? - spytał.
- Jasne.
- Czy dowiedziałeś się już czegoś o Kit Stoddard?
- Do diabła, Jack. Jedna kryzysowa sytuacja naraz wy-

439

starczy. Wczoraj podałeś mi to nazwisko i mój człowiek się tym zajmuje. Była taka osoba, ale nazwisko to prawdopodobnie pseudonim, tak jak przypuszczałeś. Nie mam jej na liście osób, które już sprawdził. Nikt, z kim rozmawiał, nie *wie*, dokąd wyjechała.

- A co ze Scottem?
 - No cóż, taa, ten jest ważny, co? Jego jeszcze trudniej znaleźć, bo nie wiemy, od czego zacząć. Najwyraźniej nikt o nim nic nie wiedział nawet wtedy, kiedy spotykał się z Kit Stoddard, nie znali nawet jego nazwiska... o ile Scott to imię. Mógł być spoza Los Angeles... nawet spoza kraju. Spotykał się z Kit, ale żadna z jej przyjaciółek go nie poznała.
- Mam pewne przeczucie - powiedział Till.
- Jakie?
 - Od pierwszej mojej rozmowy z Lindą Gordon kilka miesięcy temu, kiedy sam do niej poszedłem, myślałem, że zachowuje się trochę dziwnie. Wyglądało na to, że jest szczególnie zainteresowana rezultatem tej sprawy. Nie chciała słuchać o tym, że ofiara żyje, chciała koniecznie wytoczyć proces Ericowi Fullerowi. Nie uderzyło cię to? Poliakoff wpatrywał się przez chwilę w blat stołu.

-Taa, szczerze mówiąc, i owszem. Poprzytałem wokół, porozmawiałem z ludźmi w komendzie i z kilkoma z biura prokuratora okręgowego, z którymi miałem kontakt. Mówi się, że ona przepada za rywalizacją. A szczególnie lubi te sprawy, w których kobieta jest ofiarą faceta. Zdaje się, że ją to inspiruje, daje poczucie, że o coś walczy. Z tego powodu trudno z nią wygrać przed ławą przysięgłych. Dlatego pierwszy zastępca prokuratora okręgowego tego rodzaju sprawy daje właśnie jej.

- Chcesz powiedzieć, że to, co tutaj dzisiaj widzieliśmy, to normalka?
- A co to jest normalka? - Policjant wzruszył ramionami.

440

- Gdybyś nie uważał, że zachowuje się dziwnie, tobyś o nią nie rozpytywał.
- W porządku. To prawda. Ale równie dobrze mogę zrozumieć, że ją trochę poniosło. Wyglądało na to, że wszyscy tu obecni są przeciw niej i próbują ją zmusić do podjęcia pochopnej decyzji. Może czuła, że przypierają ją do muru.
- Było czworo świadków, którzy znali Wendy Harper sześć lat temu, a policyjny technik powiedział, że zdjęcie, jakie zrobił Wendy, dokładnie odpowiada zdjęciu z jej starego prawa jazdy. Tymczasem ona koniecznie chciała zatrzymać Wendy w mieście, gdzie grozi jej niebezpieczeństwo. Słyszałeś, jak wymyślała zarzuty, pod jakimi mogłaby ją tu zatrzymać.

Poliakoff rozłożył ręce.

- Czego ode mnie chcesz, Jack? Ona jest prokuratorem w tej sprawie.
- Właśnie ją postrzelono.

- Postrzelono ją, bo z daleka, z tymi jasnymi włosami, wyglądała jak Wendy Harper, a nie z jakiegoś innego powodu.
- Jest ofiarą próby zabójstwa i zdarzyło się to właśnie tutaj. Ten dom to miejsce przestępstwa. Jego front zbry-zgany jest krwią.
- Mówisz mi, żebym przeszukał jej dom? Z jakiego niby powodu?
-Niepotrzebny ci nakaz. Byłeś już w środku, kiedy doszło do przestępstwa, a miejsce przestępstwa należy do detektywa odpowiedzialnego za śledztwo, dopóki nie przekaże sprawy komuś innemu.
- A niby czego, u diabła, miałbym szukać?
 - Ja bym szukał czegoś, co świadczyłoby, że zna mężczyznę o imieniu Scott.
 - Scott? To mocno naciągane. Nie ma najmniejszego dowodu na to, że nie mamy tu do czynienia jedynie z nadgorliwością i podejrzliwością.

441

- No to go poszukaj, a może znajdziesz - oświadczył

Till.

Sierżant przyglądał mu się przez chwilę.

- Wendy na ciebie czeka. Chcesz ją zawieźć na posterunek czy my to mamy zrobić?
- Ja to zrobię. Jest sama?

- Jest na tyłach domu i rozmawia z Erikiem Fullerem.

Till poszedł do drzwi frontowych, starannie omijając wyschniętą kałużę krwi Lindy Gordon, i wyszedł na ganek. Odetchnął głęboko nocnym powietrzem, by nad sobą zapanować. Kiedy wyszedł zza rogu, zobaczył Erica i Wendy siedzących razem na bujaku. Czy trzymali

się za ręce? Pod tym kątem nie mógł tego stwierdzić. Zatrzymał się.

- Cześć. Przepraszam, że przeszkadzam.

Wendy odwróciła głowę i Till zobaczył, że jest zapłakana. Nie wstała, Erie też nie. Odwróciła się z powrotem do Erica.

- Już nigdy więcej nie chcę stracić z tobą kontaktu. Erie podniósł się i uściśnął Tillowi rękę.
- Przypuszczam, że musisz ją gdzieś zabrać, prawda? Jack skinął głową.
- Chcą, żeby zgłosiła się na posterunek.

- No to w porządku - powiedział Erie. - Mamy sam środek pory kolacyjnej i moi kucharze przygotowują nową potrawę, homarowe risotto, beze mnie. Lepiej, żebym im pomógł. - Odwrócił się, nie patrząc na nich.

Wendy nie przestała płakać. Till usiłował wymyślić coś, co mógłby powiedzieć.

Zauważyła, że na nią patrzy.

- Powiedziała mu, co robiłam od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy.
 - O - odezwał się. - Czasami sędzę, że szczerłość jest przeceniana.
- Chyba kiedyś też to wiedziałam, ale zapomniałam. Więc cóż, dokąd teraz pojedziemy? Na posterunek?

442

- To nasz drugi przystanek. Najpierw Saint Joseph's Hospital.

- Dlaczego?
- Bo tam właśnie karetka zabrała Lindę Gordon.

Jack przejechał kilka metrów, zawrócił i ruszył w stronę Ventura

Boulevard, po czym skierował się na wschód, w kierunku Burbank. Jakiś czas milczeli oboje.

- Uratowaliśmy Erica - odezwała się w końcu. - Osiągnęliśmy to, o co nam chodziło. Czy przyszło ci do głowy, że następną rzeczą, jaką powinniśmy zrobić, to natychmiast się stąd wynieść?
- Teraz nie jest tak samo jak sześć lat temu. Ostatnim razem wyglądało na to, że nie ma wyboru, tym razem natomiast nie jesteś już jedyną osobą, która uważa, że ten Scott to zabójca. Jeśli policja będzie się tego trzymać, dostaną go i rzecz się skończy raz na zawsze.
- Więc niby dlaczego nie mielibyśmy wyjechać i zostawić ich, żeby to sami zrobili?
- Ponieważ uważam, że na razie jesteś bezpieczniejsza tutaj, niż uciekając. I jeśli ja tutaj będę, to mogę sprawdzić kilka tropów, którymi policja nie mogłaby się zająć.
- W szpitalu?
- Na początek.
 - Zamierzasz dostać się do niej, udając, że nadal jesteś gliną, prawda?
- Możliwe. Jestem w tym niezły.
 - Jack, nawet jeśli zwiedzisz wszystkich i dostaniesz się tam, ona nie będzie z tobą rozmawiać. Nienawidzi cię. Nienawidzi mnie.
 - Założę się, że w tej chwili jeszcze bardziej nienawidzi człowieka, który ją postrzelił.

Kiedy Till skręcił w prawo, w Riverside, żeby przejechać kilka ostatnich przecznic do szpitala, zobaczył migające światła kilku policyjnych radiowozów i karetek. Po

lewej stronie ulicy parkowało też kilka innych pojazdów służb ratowniczych.

- Coś się tam dzieje - oświadczył.

Podjechał bliżej i stwierdził, że policjanci każą wszystkim jechać dalej. Skręcił z Riverside w Ponca, zaparkował i wysiadł.

- Chodź. Nie chcę, żebyś siedziała sama w aucie.

Przecisnęli się przez tłum gapiów. Zobaczyli kolejną policyjną taśmę i policjantów pracujących na miejscu przestępstwa. W dwóch różnych miejscach uliczki leżały dwa ciała.

- Co się stało? - spytał Till stojącego obok mężczyznę.

- Niedawno zastrzelono tych dwóch facetów. Widzi pan? - Ręką wskazał ciała.

- Co to było, napad rabunkowy?

- Nie wiem dokładnie. Podobno porwano im samo chód.

Till podszedł do bliższego ciała. Technicy z laboratorium klęczeli na twardej nawierzchni obok niego, mierząc kąty i szukając jakichś śladów. Jack ujął Wendy za ramię.

- Popatrz na to.

• Nie chcę. Pociągnął ją bliżej.

• Spójrz.

- Mój Boże! - wykrzyknęła. - To ten gość. Ten z Morro Bay.

Till wskazał ręką w stronę, gdzie policjanci kręcili się przy drugim zabitym.

- A tam jest facet z szatni. - Wziął Wendy za rękę. - Ru szajmy. - Nie wiem, kto to zrobił, ale na pewno nie zrobił tego dla nas.

ROZDZIAŁ 40

Paul i Sylvie Turnerowie znajdowali się już po drugiej stronie wysokiego ogrodzenia i szli po równym, gładkim trawniku Scotta Schellinga. Był to przyjemny spacer, bo nawet nocą dało się zauważyć, że chodzili po nim jedynie ludzie, którzy go kosili i wałowali, a także dlatego, że wzdłuż ogrodzenia ciągnął się jeszcze wyższy od niego żywopłot, dzięki czemu Paul i Sylvie mogli się poruszać prosto. Zatrzymali się w pewnej odległości od domu i powoli zaczęli zataczać wokół niego koło.

Najpierw zatrzymali się przy garażu. Paul wyjął z kieszeni małą latarkę Maglite i poświecił przez okno w bocznej ścianie.

- Widzę auto sportowe i limuzynę lincoln.
- Świetnie. Pewnie jest w domu.

Paul skinął głową i ruszyli dalej. Pewne procedury stosowali bez potrzeby dyskusji. Oglądali dom z odległości jakichś trzech metrów, zatem byli poza zasięgiem czujników ruchu, które mogłyby włączyć reflektory. Sprawdzali okap i spiczaste daszki, szukając kamer monitorujących, chociaż o tej porze nikt nie czuwał przed monitorami. Przeczesał krzewy w poszukiwaniu przewodów elektrycznych, upewnili się, że siatki na oknach nie są podłączone do prądu, a szyby nie mają wtopionych

srebrnych drucików. Drzwi były solidne, porządnie wykonane i wyposażone w ciężkie, błyszczące okucia.

Kiedy wyszli za róg, usłyszeli metaliczne pobrzękiwa-

445

nie, a potem odgłos łap nadbiegającego trawnikiem psa. Był duży, jakiś gatunek psa myśliwskiego, już po chwili znalazł się przy nich, ziejąc i podskakując. Paul pogłaskał go, a potem mocno klepnął.

-Dobry piesek, dobry piesek - powtarzał, wyjmując pistolet. Zbliżył pistolet z tłumikiem do tyłu psiej głowy i wypalił, a gdy zwierzę padło na trawę, już z całkiem bliska oddał drugi strzał. Chwycił psa za tylną łapę i zawlókł w krzaki.

-Dostaniemy się do środka dzięki temu psu. Założę się, że jest tu jakieś wejście dla piesków - wyszeptała Sylvie.

- Popatrzmy.

Kontynuowali okrążanie domu i doszli do tylnych drzwi, w których dolnej części wycięto otwór. Uklękli na schodkach, żeby mu się przyjrzeć.

- Tędy musi nam się udać. Cały ten system alarmowy jest na pewno niezłe skomputeryzowany - oświadczyła Sylvie.

-I są kamery wideo - dodał Paul. - Później musimy znaleźć i wymazać taśmy albo zabrać chipy.

Sylvie wyciągnęła rękę i pomacała wokół otworu.

- Jestem pewna, że się przecisnę.
- Tu na pewno nie ma czujników, ale musimy bardzo uważać na hałas.
- Oczywiście. I na pułapki w środku, i na elektryczne oczy. Kochany jesteś, że się martwisz.

- Co zrobisz, jak już się tam znajdziesz?
- Obudzę go, każę wyłączyć alarm i wpuszczę cię.
- Świetnie. Ostrzeż go, co się stanie, jeśli wciśnie guzik z kodem wzywającym policję. - Nachylił się i pocałował ją w policzek. - Kocham cię, malutka.

Paul włożył cienkie rękawiczki z koźlącej skórki i Syl-vie zrobiła to samo. Podniósł plastikową klapkę i przytrzymał ją.

446

- Powodzenia, skarbie - wyszeptał.
- Dzięki. - Sylvie wsunęła ręce w otwór, wcisnęła głowę w ramiona, i przepchnęła do połowy, przekręciła się na bok i precisnęła biodra, potem obracając się, przesunęła dalej, usiadła i wciągnęła nogi i stopy.

W kuchni było ciemno i cicho. Wsłuchiwała się w odgłosy domu, przyzwyczajając wzrok do panującego mroku. Potem z bronią w ręku rozpoczęła oględziny wnętrza.

Znalazła jadalnię z kryształowym żyrandolem, długim tradycyjnym stołem i stylowymi niskimi kredensami, które wyglądały bardzo nienowocześnie w domu człowieka zajmującego wysokie stanowisko w przemyśle muzycznym. Salon dzielił się na dwie, pokryte osobnymi dywanami przestrzenie, z dwoma osobnymi kompletami białych mebli, z nagą marmurową posadzką pośrodku, z czego wysnuła wniosek, że Scott Schelling przechodzi przez ten pokój jedynie w drodze do lub od drzwi frontowych. Poszła korytarzem odchodzącym od salonu i trafiła na przestronny pokój wyposażony w kinowe fotele z grubej skóry, ogromny płaski telewizor, mniejsze monitory oraz mnóstwo głośników i wzmacniaczy należących do różnych połączonych ze sobą zestawów

audio. Wróciła długim korytarzem, minęła salon i znalazła się w salce do ćwiczeń fizycznych. Stało tam wiele urządzeń, takich jak te, które pierwszy mąż Sylvie, Darren, kupił dla niej, z tym że komplet do podnoszenia ciężarów był większy i cięższy.

Była w prywatnej części domu i domyśliła się, że jest coraz bliżej pokoi sypialnych. Z sali do ćwiczeń jedne drzwi prowadziły do pomieszczenia z natryskiem, drugie do zwykłej łazienki i jeszcze jedno do przestronnej garderoby. Zobaczyła wbudowane w ściany komody i szafki oraz rzędy garniturów na wieszakach i męskich butów na półkach.

Z bronią gotową do użycia w rękę zbliżyła się ostroż-

447

nie do następnych drzwi, błyskawicznie wyszła zza nich i wycelowała w łóżko. Było zasłane, narzuta idealnie gładka. Po prawej stronie, pod ścianą, stało biurko. Podeszła do niego. Na blacie nie było nic - żadnych papierów, portfela czy kluczy, żadnych okularów przeciwsłonecznych czy monet, które zostawiłby tam, idąc do łóżka. Spojrzała na zegarek. Było bardzo późno... po drugiej. Powinien być w domu, jeśli w ogóle zamierzał tu nocować.

Może spał w innej sypialni. Wyszła na korytarz i zajrzała do każdej po kolei. Kiedy sprawdziła wszystkie, wróciła do kuchni. W przeciwległej ścianie zobaczyła wejście do korytarzyka, które wcześniej przeoczyła; prowadził do mieszkanek pokojówki. Otworzyła ostrożnie drzwi i je obejrzała. Znalazła tam kobiece ubrania i hiszpańskie powieści na półkach, ale w łóżku nikt nie spał. W łazience pokojówki badała przez chwilę okienko nad kabiną prysznicową składające się z poziomych, wąskich szklanych ta-felek, po czym wróciła do kuchni i uklękła przy

drzwiczkach dla psa.

- Paul.
- No i co?
 - Nie ma go tutaj. W domu nie ma nikogo. Wygląda na to, że pokojówka ma wolny weekend. Sprawdziłam wszystkie pokoje. Czas, żebyś wszedł do środka.
- Jak? Przecież się nie zmieszczę.
- Obejdź dom aż do garażu. Pokażę ci.

Paul obszedł dom, a kiedy znalazł się na miejscu, Syl-vie już wyjmowała paski szkła, z których składało się okienko w łazience. On wypchnął ostatnie trzy, podał je Sylvie i wdrapał się przez pustą ramę okienną do łazienki. Umieścili szybki z powrotem na miejscu i wyszli z kabiny prysznicowej.

- Od czego zaczniemy? - spytał.
 - Kuchnia jest tam. - Poprowadziła go krótkim korytarzykiem.

448

Paul oświetlił latarką długie granitowe blaty, miedziane garnki i rondle wiszące na ścianach, ogromne zlewy i płytę kuchenną.

- Ładnie.
- Znajdźmy te pieniądze - powiedziała Sylvie.

W kuchni było mnóstwo miejsc, w których można było ukryć pieniądze: w lodówce, w garnkach i rondlach, za zdejmowanymi tylnymi ściankami urządzeń elektronicznych, w szafkach i szufladach. Nie znaleźli niczego, przeszli do kolejnego pomieszczenia. Paul stanął na stole w jadalni, żeby sprawdzić, czy nie schowano czegoś w żyrandolu. Zajrzeli pod stoły i

kredensy. W salonie unosili dywany i zdejmowali obrazy w poszukiwaniu skrytek, wyjmowali szuflady. Sprawdzili wnętrze fortepianu i poszli dalej.

Niemal świtało, kiedy skończyli. Znaleźli siedem tysięcy dolarów w gotówce, warte kilka tysięcy dolarów zegarki i biżuterię, dwa nabite pistolety i karabin powtarzalny z krótką lufą. Nie znaleźli miliona dolarów, który przyrzekł im Scott Schelling.

-I co ty na to? - spytała Sylvie. - Dajemy sobie spokój i idziemy?

-Nie dostanie Wendy Harper za friko. Była umowa i on się z niej wywiąże.

ROZDZIAŁ 41

Przy drinku w hotelowym apartamencie Scotta Schellinga Jill Klein długo wymieniała listę grzechów, które miał na sumieniu jej małżonek. Piętnaście lat wcześniej Jill była młodą, niezwykle urodziwą kobietą, pracującą w chicagowskiej filii o nazwie Carbondale Industries. Klein oznajmił jej, że dotarł do takiego momentu w życiu, w którym chciałby zrezygnować z zarządzania konglomeratem spółek i zacząć cieszyć się życiem z kobietą taką jak ona. Powiedział, że zawsze będzie ją kochał i dochowa jej wierności. Każde z tych stwierdzeń było wierutnym kłamstwem.

- Teraz ma nową dziewczynę, już pewnie setną z kolei, ale tym razem sytuacja jest znacznie gorsza. Awansował ją na stanowisko wiceprezesa i podróżuje z nią, jakby była małżonką ważnego człowieka korporacji. To jak dotąd największe dla mnie upokorzenie. Nienawidzę go. - Potem,

zupełnie jakby przypomniała sobie, po co tu przyszła, odstawiła kieliszek, wstała i zaczęła się rozbierać.

Kiedy znaleźli się w łóżku, zorientował się, że jej zachowanie ma być zemstą za upokorzenie. Gniew wyzwalał w niej namiętność i gorliwość. Koniecznie chciała być ze Scottem bardziej rozogniona, bardziej usatysfakcjonowana niż kiedykolwiek z własnym mężem, bo stanowiło to część jej zemsty: pokazać jakiemuś bezstronnemu, niewidzialnemu uniwersalnemu arbitrowi, że Ray nie jest taki dobry w te klocki jak pierwszy lepszy mężczyzna pode-

450

rwany na przyjęciu. W myślach dokonywała jeszcze innego porównania. Seks przez nią uprawiany na pewno był bardziej szalony i miał w sobie więcej erotyki niż ten pokątny, jakiego dopuszczał się Ray z Martha Rodall. Scott dostrzegał obecność jeszcze jakichś innych uczuć, ale do ich określenia brakowało mu zarówno doświadczenia, jak i empatii. Zawsze obawiał się Kleina, przerażało go, że tamten ma nad nim taką władzę. Tymczasem tej nocy, w hotelowym pokoju, uprawiał seks z jego piękną małżonką. Było to antidotum na tchórzostwo i wstyd, i urazę i było to uczucie upajające. On i Jill stali się współnikami w zdradzaniu Raya Kleina... nie tylko go oszukiwali, ale pozbawiali go honoru, kpili z brutalnej władzy, jaką miał nad nimi. Co takiego mógł ten człowiek zrobić Scottowi, co dałoby się porównać z tym? Leżąc z Jill w łóżku, Scott wiedział, że następnym razem, kiedy będzie zmuszony okazywać szefowi szacunek, znosić jego dominację, pomyśli sobie: posuwałem twoją żonę. I wiedział, że Jill też dostrzeże możliwość snucia podobnych myśli.

- Zobaczę cię jeszcze? - spytał, kiedy się ubierała.

- Wiedz, że to ja się z tobą zobaczę. - Powiedziała to jakimś szczególnym tonem. Nie było w nim żadnej czułości czy choćby odrobiny ciepła. Była natomiast ostrość, którą jego ucho natychmiast wychwyciło.

- Kiedy?

- Kiedy będę mogła.

- Chciałbym, by było to jak najszybciej. - Sam się sobie dziwił, że to powiedział, ale przecież jego słowa były zupełnie szczerze. Nie chciał, by ta noc z Jill Klein była jedyną. Chciał, by to się powtarzało tak często, jak to tylko możliwe. Zaprzagnął, żeby ona należała do niego.

Dotknęła jego policzka, nachyliła się i obdarzyła spojrzeniem, ale nie pocałunkiem.

- Jeśli tylko będę miała okazję to powtórzyć, to wierz mi, powtórzę.

451

- Dam ci mój numer telefonu. - Wziął kartkę z hotelowej papeterii i nie przestając mówić, zapisywał numer. - To komórka, którą zawsze mam przy sobie. Numer, którego prawie nikt nie zna i którego używam jedynie w wyjątkowych wypadkach. Zadzwoń, kiedy będziesz uważała, że jest szansa spotkania.

Wzięła od niego kartkę, złożyła i schowała do torebki.

- Świetnie. A teraz muszę zmykać.

Około trzeciej nad ranem Scott Schelling odprowadził Jill Klein hotelowym korytarzem do windy. Wsiedli do niej i drzwi zasunęły się z cichym poszumem. Jill zaprezentowała jeden z tych swoich

demonstracyjnych uśmiechów, objęła go i pocałowała. Wiedział, że windy hotelowe mają zazwyczaj w suficie kamery, doszedł jednak do wniosku, że lepiej nie oponować. Ci głupcy przeglądający taśmy na pewno nie mieli pojęcia, kim jest Scott Schelling.

Scott nie chciał się wydać Jill bojaźliwym. Wszystko, co robiła, było rażąco ostentacyjne. Kiedy go całowała, jej dłonie zsunęły się poniżej paska jego spodni i musiał oderwać się od niej.

- Jak będziesz się tak zachowywać, to nie będę mógł pokazać się z tobą w holu.

Roześmiała się.

- Już będę grzeczna.

- Chodzi mi o teraz, a nie o to, co zrobisz w przyszłości.

- Tak? Wobec tego następnym razem będę tak niegrzeczna, jak tylko potrafię.

- A kiedy to będzie?

- Postaram się zadzwonić do ciebie jutro. Jeśli nie zadzwonię, to znajdź jakiś pretekst, żeby wykręcić się od tej konferencji w Europie za dwa tygodnie. Przylecę wtedy do Los Angeles.

- Świetnie. Masz numer mojego telefonu komórkowego, prawda?.

452

- Jak mogłabym już zdążyć go zgubić?

Winda się zatrzymała, drzwi rozsunęły. O tej porze hol był niemal kompletnie wyludniony. Jakiś mężczyzna w uniformie polerował posadzkę, ale nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Recepcjonista na nocnym dyżurze podniósł oczy, kiedy przechodzili w odległości dwudziestu metrów od niego, po czym z powrotem opuścił wzrok na gazetę.

Wyszli głównym wyjściem, a Scott natychmiast rozejrzał się po parkingu i ulicy, żeby sprawdzić, czy ktoś ich nie śledzi. Z tego, co widział, tej nocy dopisywało mu szczęście. Nikt ich nie obserwował. Chłopak parkujący samochody i portier siedzieli na ławce kilka kroków od pełnej kluczyków szafki. Młody człowiek zerwał się i wziął od Jill kwitek, po czym pobiegł zjazdem do podziemnego garażu i przyprowadził auto. Scott poprosił go przedtem, żeby je tam zaparkował, chociaż kiedy Jill przyjechała, były jeszcze miejsca na otwartym powietrzu. Podał mu teraz banknot dziesięciodolarowy.

Otworzył jej drzwi. Usiadła za kierownicą, a on nachylił się, żeby ją pocałować. Odwróciła głowę.

- Nie wygłupiaj się. Niedługo się zobaczymy.

Wyjechała z parkingu i skręciła w stronę głównego placu przed starym Pałacem Gubernatorów. Kiedy samochód przejechał dwa kwartały ulic, zobaczył, jak jego światła przemieszczają się w kierunku ulicy prowadzącej do domu Kleinów.

Wróciwszy do pokoju, Scott poczuł słaby zapach perfum Jill. Odrzucona, zmięta pościel i porozrzucane poduszki przypomniały mu, jakim zaskoczeniem okazała się ta kobieta. Spodziewał się, że spędzi parę godzin na dyplomatycznych zabiegach, mających na celu uspokojenie starzejącej się piękności, tymczasem przeżył noc wypełnioną zupełnie nowymi wrażeniami. Teraz znowu był sam. Kiedy zdjął marynarkę, wyjął telefon komórkowy

453

i wcisnął biurowy numer Tiffany. Odezwała się jej poczta głosowa.

- Cześć, Tiffany - powiedział. - Zamierzam zatrzymać się dłużej w Santa

Fe. Sam odwołam lot i zrobię sobie nową rezerwację. Przekaż Kimberly.

Rozłączył się, położył telefon na nocnej szafce, umył zęby i położył się na łóżku. Miał jeszcze inny powód, żeby powstrzymać się przez kilka godzin z powrotem do domu. Carl jeszcze nie zadzwonił, żeby powiedzieć, jak rozwiązał problem Turnerów. Może uznał, że trzeba ich zlikwidować. Jeśli tak, to dla Scotta lepiej będzie znajdować się daleko, dopóki to się nie skończy. Pobyt w pokoju hotelowym w innym stanie nie był co prawda najlepszym alibi, ale najgorszym na pewno też nie. Sięgnął po słuchawkę telefonu wewnętrznego.

-Mówi Schelling z pokoju 362 - powiedział, kiedy usłyszał głos recepcjonisty. - Chciałbym zostać tu jeszcze jeden dzień. Może pan przedłużyć mi rezerwację?

- Proszę poczekać chwileczkę, muszę sprawdzić. - Po paru sekundach odezwał się ponownie. - Tak, proszę pana. Załatwione. Czy mogę jeszcze czymś służyć?
- Nie, dziękuję. - Odłożył słuchawkę.

Uderzyło go, że wczorajszego popołudnia we wszechświecie nastąpiło pewne delikatne przesunięcie i że teraz celem całego świata było mówić do Scotta Schellinga: „Tak, proszę pana”.

ROZDZIAŁ 42

W sobotnie popołudnie Carl podjechał pod dom Scotta Schellinga. Nacisnął przycisk pilota i patrzył, jak poruszana elektrycznym silnikiem brama odsuwa się na bok. Zaparkował tam, gdzie zwykle, czyli na

ostatnim, szóstym miejscu parkingu dla gości po prawej stronie domu. Z zadowoleniem stwierdził, że nie ma tam żadnego innego samochodu.

Scott Schelling był wymagającym pracodawcą. Pracował do późna i żądał, by wszyscy byli obecni, dopóki on sam nie zakończy dnia pracy, co następowało zazwyczaj około ósmej. Carl czasami pracował znacznie dłużej. Przy okazjach, kiedy szef wyjeżdżał poza Los Angeles, dziewczęta z biura starały się ulżyć personelowi. Chociaż było sobotnie popołudnie, Kimberly nie było. Sonia, pokojówka, też miała wolne, wobec czego Carl ofiarował się nakarmić psa.

Bardzo chciał znaleźć się już w środku. Wiedział, że będzie tu sam, ale był psychicznie przygotowany na ewentualność, że może się ktoś jeszcze pojawić.

Nie spał dobrze ubiegłej nocy, myślał o dzisiejszym dniu. Tak naprawdę jego pracodawca nigdy nie był wobec niego sprawiedliwy, ale ostatnio sytuacja znacznie się pogorszyła. Na początku lubił tę pracę. On i Scott byli młodymi facetami i spędzili wiele wspólnych wieczorów na szukaniu kobiet. Jediną prawdziwą różnicą pomiędzy nimi były ich konta bankowe. Każdy z nich miał pew-

455

ne atuty. Scott Schelling miał zapewne więcej pieniędzy i wyższą pozycję społeczną, Carl natomiast ładną twarz, gęste włosy i zdrowe zęby, muskularne ciało i poczucie humoru. W tamtych pierwszych latach Carl praktycznie tworzył prywatne życie Scotta Schellinga. Zabierał go do klubów, znajdował dla niego kobiety i właściwą gadką wzbudzał w nich zainteresowanie swoim szefem.

Jednak sześć lat temu wszystko pomiędzy nimi się zmieniło. Pewnej

nocy Carl był właśnie w klubie, kiedy zadzwonił Scott. Mógł mieć wyłączony telefon, mógł też pozwolić, żeby sobie dzwonił, a potem odsłuchać wiadomości, jednak odebrał. Scott powiedział, że Carl jest mu natychmiast potrzebny.

Kiedy przyjechał do jego domu, szef był ubrany tylko w dżinsy i chodził boso w tę i z powrotem po podjeździe. Miał szaleństwo i przerażenie w oczach, jak dzieciak.

- Co się stało? - spytał, a Scott pokręcił tylko głową i wciągnął go do środka. Zamknął drzwi.
- Carl, mam kłopoty - oświadczył. - Kit umarła.
- Co znaczy „umarła”? Z jakiego powodu? Na co?
- Chodź.

Scott pociągnął go korytarzem, obok sali treningowej, do głównej sypialni. Kit leżała na dywanie z paskiem zaciśniętym na szyi.

Carl poczuł wówczas odrazę, ale rzeczą, którą najlepiej zapamiętał, było przerażenie Scotta. Przez zaciśnięte zęby przeklinał swojego pecha, a potem winił Kit za to, że go do tego zmusiła. Chodził po pokoju, spoglądał wszędzie, tylko nie na jej ciało. Potem rzucił się na łóżko i lamentował, że grozi mu dożywocie.

Carl czuł niesmak i wstręt, było mu wstyd, że w ogóle tam jest. Ale znał już wtedy Scotta od lat i nie potrafił się tak zupełnie nim nie przejmować. Jego szef był zazwyczaj taki konkretny i zdecydowany, taki pewny siebie, a tymczasem teraz jęczał i przeklinał bezradnie.

456

Carl spojrzał na stojący na nocnej szafce zegar.

- Scotty, za trzy, cztery godziny będzie jasno. Zadzwon na policję i

powiedz, że ją zabiłeś i że był to wypadek.

- Nie mogę zadzwonić na policję - oświadczył Scott. - Co im powiem... że się włamała, więc udusiłem ją własnym paskiem? Proszę. Musisz mi pomóc pozbyć się ciała.

Carl się wzbraniał.

- Nie jesteś notowany. Jeśli do nich zadzwonisz, to możesz im powiedzieć, że to była kłótnia i że wpadłeś w szal.

Jednak mężczyzna nie ustępował, błagał go i prosił, obiecywał pieniądze i dozgonną wdzięczność. W końcu Carl nie mógł już tego dłużej słuchać.

- W porządku - powiedział. - Pomogę ci. W garażu jest płachta starego brezentu. Owiniemy ją i wyniesiemy z domu.

Objął przywództwo i wydawał swojemu pracodawcy polecenia. Kazał mu włożyć buty i bluzę z kapturem. Zawinęli Kit w brezent, pociągnęli korytarzem do garażu. Potem włożyli do bagażnika lincolna. Carl włożył tam też dwie łopaty i skrzynkę z butelkami wody mineralnej.

- Dlaczego limuzyna?

- Ma duży bagażnik. Do maserati jej nie zmieścimy.

Carl pojechał na wzgórze, na tereny powyżej zbiornika San Gabriel. Zjechał z drogi pomiędzy duże drzewa, najdalej, jak się odważył. Kiedy zatrzymał samochód, wziął łopatę i wręczył ją Scottowi.

- Kop - rzucił.

Scott nie był przyzwyczajony do pracy fizycznej, ale podnosił ciężary i ćwiczył na różnym innym sprzęcie, więc był lepszy w kopaniu, niż Carl się spodziewał. Ciągle kopali, kiedy las wokół nich zaczął powoli

wydobywać się z nocnych ciemności. Ale wtedy dziura w ziemi była już tak głęboka, że ramiona Carla znajdowały się poniżej poziomu gruntu, a stos wydobytej ziemi sięgał powyżej ich głów.

457

Wspięli się na górę, wyjęli ciało z bagażnika, odwinęli brezent i położyli je na skraju grobu.

- No dobra, rozbieraj ją.

-Co?

- Zdejmij jej ubranie, na wypadek gdyby ją znaleźli.

Jeśli znajdą jedynie ją, to prawdopodobnie na zawsze po zostanie osobą nieznaną. A po ubraniu i biżuterii potrafią ustalić tożsamość.

Scott skinął głową. Ukląkł przy ciele i rozpiął jej bluzkę. Ręce mu się trzęsły.

•Cholera - powiedział - nie mogę.

•Musisz.

W końcu jednak to Carl rozebrał ciało. Wziął ubranie, zegarek i pierścionki i włożył do bagażnika. Potem stoczył ciało do grobu i zaczął zasypywać je ziemią. Po kilku minutach Scott podszedł z tyłu i zerknął ostrożnie do dołu. Kiedy się przekonał, że już jej nie widać, złapał za łopatę i zaczął tak szybko nią machać, że jego towarzysz musiał się wycofać, by nie dać sobie obsypywać butów i spodni ziemią.

Carl wyrównał ziemię, zgarnął na zasypane miejsce trochę liści, patyków i kamieni, żeby nie wyróżniało się od otoczenia. Potem kazał Scottowi usiąść na tylnej kanapie samochodu, a sam przeciągał po ziemi łopatą, żeby usunąć ślady ich butów. Wreszcie usiadł za kierownicą,

wycofał auto na drogę i w świetle wczesnego poranka zawiózł szefa do domu.

Trzy dni zajęło mu pozbycie się reszty śladów istnienia Kit. Musiał zabrać i spalić jej ubrania, razem z tymi, które on i Scott mieli na sobie, kiedy ją zakopywali. Samochód trzeba było umyć koło domu, a potem jeszcze raz, a brezent wrzucić do śmietnika oddalonego o dziewięćdziesiąt kilometrów. Wymienili nawet meble i dywany w sypialni Schellinga.

Tydzień później obaj stanęli przed problemem: zniknięciem Kit zainteresowała się Wendy Harper. Ona i jej przy-

458

jaciółka Olivia co najmniej dwukrotnie odwiedziły mieszkanie Kit, a Wendy wypytywała wiele osób o jakąkolwiek informację na jej temat. Zupełnie jakby montowała sprawę przeciwko Scottowi. Carl słuchał z niedowierzaniem jego propozycji.

- Użyj kija bejsbolowego. Uderz raz w nogi, żeby ją powalić na ziemię. Wtedy przyłóż jej w głowę. Jeden porządny zamach i będzie martwa. To wszystko. Gliny pomyślą, że to napad rabunkowy albo jakiś zboczeniec, bo niby kto inny chciałby uśmiercić taką kobietę?
- W każdym razie nie ja - odparł Carl. Ale jego pracodawca nie przestawał mówić. -
- Chodzi ci o pieniądze? Wiesz, że ci to wynagrodzę. Co chcesz... dom? Dam ci dość na dwa domy i samochód do garażu. Pomyśl o tym.
- Pomyślę.
- Nie kiedyś, tylko teraz.
- Właśnie myślę. Nie.
- Musisz to zrobić, Carl. Ty też masz co nieco na sumieniu. Nieważne,

jak Kit zmarła, bo i tak za przenoszenie i ukrywanie jej ciała posiedzimy obaj do późnej starości. Dom, Carl, bez żadnych obciążeń. Będziesz mógł sobie kupić dom, samochód, a na początek dostaniesz równowartość swoich rocznych zarobków.

Carl uważniej słuchał ostrzeżeń Scotta niż jego obietnic i w końcu zaczął się bać. Wendy Harper już za dużo wiedziała, a ciągle węszyła, szukała i wypytywała. Pewnej nocy poczekał na nią przed jej domem i uderzył ją kijem. Pierwszy cios zwałił ją z nóg, ale podniosła się i próbowała uciekać. Upuścił kij i chwycił ją za rękaw bluzki, rzucił na ziemię, ale bluzka rozdarła mu się w rękach. Potem musiał podnieść kij i zamachnąć się, żeby trafić ją w głowę, ale ze zdenerwowania chybił. Tak naprawdę to w ostatniej sekundzie zamknął oczy. Nie chciał widzieć, jak rozłupuje głowę tej kobiety, więc zacisnął powieki. Kij walnął z pu-

459

stym dźwiękiem w chodnik i odrętwiający niczym porażenie elektryczne wstrząs przebiegł od jego dłoni do łokci. Odbity kij zawadził o jej głowę, bo krwawiła.

Potem na ciemnej, cichej ulicy pojawiły się światła reflektorów... najpierw jednego samochodu, a zaraz za nimi drugiego. Nie widział nic poza oślepiającą jasnością i nie miał gdzie schować leżącej u jego stóp kobiety - tworzyła jedną białą plamę, biała bluzka, biała skóra, blond włosy, wszystko to lśniło odbitym światłem - wobec czego rzucił się do ucieczki. Biegł przez ogródki, przeskakiwał ogrodzenia, aż znalazł się na następnej ulicy i skręcił za róg, gdzie zaparkował samochód. Zdażył dotrzeć do auta, zanim spojrzał w dół i zauważył, że w lewej ręce, razem z kijem bejsbolowym, nadal ściska połowę jej białej bluzki. Owinął nią

zakrwawiony kij, żeby nie zabrudzić dywanika, i odjechał.

Ta noc całkowicie odmieniła sytuację Carla. Nie był już szoferem, był współnikiem udającym szofera. Prowadzenie auta było jedynie przykrywką, umożliwiającą im jeżdżenie razem w różne miejsca, rozmawianie bez świadków w samochodzie, gdzie nikt ich nie mógł podsłuchać. Carl musiał znaleźć takich ludzi, którzy potrafiliby odnaleźć Wendy Harper, po czym ich wynająć i nadzorować. Scott zachowywał się tak, jakby tego rodzaju zadanie nie było dla Carla niczym trudnym, ale tak wcale nie było. Zabójcy niechętnie go słuchali. Z miejsca wyczuwali, że się ich boi, i rozmawiali z nim w sposób protekcyjny, bez cienia szacunku. W ten sposób niektórzy ludzie rozmawiają z dziećmi.

Przez sześć lat pełnił rolę kasjera i pośrednika. Robił to wszystko, nie zatrzymując dla siebie ani centa. Kiedy o tym pomyślał, doszedł do wniosku, że Scott Schelling nigdy by się tak nie zachował. Scott znalazłby sposób, żeby coś z tego ukraść dla siebie. To była jeszcze jedna różnica między nimi dwoma.

460

Natychmiast po śmierci Densmore'a Scott postanowił, że on i Carl sami rozwiążą ten cały problem. Carl wiedział, że to szaleństwo: żaden z nich nie powinien próbować manipulować takimi ludźmi jak Turnerowie. Pewni ludzie są zbyt groźni albo zbyt szaleni, żeby się im narażać. Teraz wreszcie do Scotta też to dotarło i zdecydował się zapłacić im milion dolarów gotówką, tak jak obiecał.

Carl wiedział dobrze, co się na tę sumę składa. Musiały to być banknoty studolarowe, bo z mniejszych byłaby za duża paczka. Zresztą nawet w setkach oznaczało to dziesięć tysięcy banknotów. Pełna walizka pieniędzy.

Scott nigdy by nie wszedł do siedziby Crosswinds Records, dźwigając walizkę pełną pieniędzy. Po pierwsze, oznaczałoby to, że później Turnerowie musieliby wyjść z Crosswinds, dźwigając pełną walizkę gotówki. Mogliby zostać zatrzymani, a on musiałby całą rzecz wyjaśniać. Musiał schować ją gdzieś, gdzie mógłby mieć nad nią kontrolę, skąd mógłby ją zabrać, kiedy by tylko zechciał. Musiała więc znajdować się gdzieś w jego domu.

Idąc w stronę domu, wyjmował klucze. W myślach już odtwarzał listę miejsc, gdzie można by schować walizkę. Postanowił zacząć od rzędu walizek, które Scott trzymał w ściennej szafie drugiej z kolei najlepszej gościnnej sypialni. Otworzył drzwi frontowe, podszedł do wiszącej na ścianie klawiatury alarmu, wystukał kod, wcisnął ENTER, potem OFF i znowu ENTER.

Wszedł do środka, a kiedy zamykał drzwi, kątem oka dostrzegł ruch. Odwrócił się. Zobaczył Turnerów. Obserwowali, jak wchodzi, czekali po prawej stronie schodów. W rękach mieli broń, wobec czego on trzymał ręce na widoku, odsunięte od ciała.

-Paul. Sylvie. Rany! Ale mnie przestraszyliście. Scott już wrócił?

- Nie, nie ma go tutaj - odparł Paul. - Wiesz, gdzie jest?

461

-Dlatego właśnie nikogo się tutaj nie spodziewałem. Nie ma go w mieście od piątku, wyjechał na weekendową konferencję z grupą ważniaków. Miał wrócić dziś rano, ale coś go zatrzymało. To jeden z tych problemów, jakie się zdarzają, kiedy ma się do czynienia z ważnymi ludźmi... są bardzo zajęci. Przywykniecie do tego.

•Gdzie są nasze pieniądze, Carl? - spytała Sylvie.

- Scott je ma. Jestem pewien, że je dla was przygotował, tylko nie wiem gdzie.

- Wielka szkoda - oznajmił Paul.

-Naprawdę wielka szkoda - powtórzyła jak echo Sylvie.

Carl podniósł ręce.

- Poczekajcie. Pozwólcie, że do niego zadzwonię i spytam.

- W porządku - powiedział Paul.

Carl wyjął telefon komórkowy i nacisnął przycisk automatycznego wybierania komórki Scotta. Z bijącym sercem wysłuchał jednego sygnału, potem kolejnego i jeszcze jednego. Wreszcie odezwał się inny dźwięk i automat odezwał się głosem Scotta: „Zostaw wiadomość”. Carl skrzywił się.

-Scott - powiedział - mówi Carl. Proszę, oddzwoń natychmiast. To naprawdę bardzo ważne. - Rozłączył się, potem wcisnął guzik innego numeru, biurowego. Łączył go bezpośrednio z pocztą głosową Scotta. Usłyszał nagranie głosu Tiffany: „Proszę zostawić wiadomość”. Zostawił tę samą wiadomość co poprzednio. Widział, że Paul bacznie go obserwuje, przebierając palcami po broni.

- Wygląda na to, że jest poza zasięgiem - powiedział Carl. - Przebywa w Santa Fe, więc nic dziwnego. Ale mam pewien pomysł, jeśli chodzi o miejsce, w którym mógł zostawić pieniądze. Zobaczmy.

Paul zastanawiał się przez chwilę nad jego propozycją.

- W porządku. Co nam szkodzi.

462

Carl podreptał ku schodom. Był niemal pewien, że pieniądze są w

walizce na piętrze, i prowadził do nich tych dwoje. Miał przedtem nadzieję, wyobrażał sobie, że wyląduje z milionem dolarów, ale tylko się oszukiwał. Ludzie tacy jak Carl Zacca nie dochodzili do majątku, jeździli jako kierowcy taksówek do siedemdziesiątego piątego roku życia.

Bał się i nienawidził siebie samego za ten strach. Był pewien, że wie, gdzie są pieniądze, a w kieszeni marynarki miał pistolet, ale równie dobrze ta kieszeń mogła być wypełniona piaskiem. Nie miał odwagi sięgnąć po broń. Poprowadził ich korytarzem i otworzył drzwi pokoju gościnnego. Podszedł do szafy w ścianie, a Paul i Sylvie szli krok za nim po obu jego stronach.

Nagle Carl zobaczył wszystko jasno i wyraźnie. Uświadomił sobie, że nie musi sięgać po swoją broń i próbować wygrać strzelaninę przeciwko dwóm osobom. Gdyby rzucił się na Sylvie, mógłby chwycić jej pistolet i skierować go w stronę Paula, używając jej jako tarczy. Sięgnął ku drzwiom szafy, zakręcił się w miejscu i desperacko spróbował chwycić kobietę.

Sylvie odskoczyła, wykonując jednocześnie półobrót. Kiedy stopami ponownie dotknęła podłogi, jej pistolet był wycelowany w Carla.

Carl poczuł, jak naboje wbijają się w jego tułów, jakby uderzały go w jakieś konkretne miejsca przy ćwiczeniu w strzelaniu do celu. Było coś haniebnego w takim potraktowaniu człowieka. Wyciągnął broń z kieszeni marynarki, ale nie zdążył jej użyć. Upadł na podłogę.

Paul kopnięciem odrzucił pistolet z zasięgu ręki Carla, a potem otworzył drzwi szafy. Wewnątrz stały trzy czarne walizki Turni. Otworzył jedną, potem drugą, wreszcie trzecią.

- Niech to szlag - powiedział - wszystkie puste.

ROZDZIAŁ 43

Jack Till zaglądał przez na wpół uchylone drzwi do niewielkiego gabinetu. Claire, policyjna rysownicza, podniosła prawą rękę, w której trzymała ołówek, i przeczesała nim długie, naturalnie popielate włosy, po czym przeniosła ołówek na szkicownik. Pracując, słuchała opisu podawanego jej przez Olivie, wymazywała, dodawała kolejne kreski, z metodyczną, niczym nie zmaconą cierpliwością. Till patrzył na kartkę tylko przez kilka sekund, po czym ruszył dalej. Tyle mu wystarczyło, by się przekonać, że na podstawie pamięci Olivii powstaje podobizna, która idealnie odpowiada tym, jakie powstały na podstawie opisu Wendy i Erica. Z kartki papieru spoglądała na niego twarz Kit Stoddard i czuł, że to postać rzeczywista.

Minął jeszcze dwa gabinety i wszedł do sali wydziału zabójstw. Wendy wciąż rozmawiała z Poliakoffem. Kiedy sierżant zobaczył Tilla, przywołał go gestem.

- Może odpoczniesz, Wendy - powiedział, kiedy Jack podszedł do nich. - Chciałbym zamienić parę słów z Jackiem.
- Nie mam nic przeciwko temu. Długo to potrwa?
- Nie. Oboje będziecie wolni za dziesięć minut. W pokoju socjalnym jest świeża kawa.

Poszła w tamtym kierunku, a Poliakoff wskazał Tillowi opuszczone przez nią krzesło. Jack usiadł.

- Na razie - powiedział Poliakoff - udało mi się ogra

niczyć podane informacje do tego, że ofiarą postrzału jest

464

kobieta po trzydziestce, której tożsamość ustalimy, kiedy jej rodzina zostanie powiadomiona o wydarzeniu.

- Dzięki, Max.
- Nie zwracaj sobie głowy dziękowaniem. Kilku reporterów wydobyło prawdę z biura prokuratora okręgowego, więc po wiadomościach o godzinie jedenastej strzelec będzie już wiedział, że postrzelił niewłaściwą blondynkę.
- Jasna cholera - zdenerwował się Till. -I tyle nam zostało z odrobiny upragnionego luzu.

Poliakoff przyglądał mu się uważnie. -Dlaczego mi nie powiedziałeś, że pieprzyłeś się z Wendy?

- Moja matka jeszcze o tym nie wie.
- Twoja matka nie żyje. I nie usiłuje prowadzić śledztwa w sprawie zabójstwa. Dlaczego mi nie powiedziałeś?
- Bo to rzecz całkiem świeża. Jeszcze nie wiem, co miałbym o tym powiedzieć.
- Powinniście więcej ze sobą rozmawiać. Ona mówi, że to nie jest takie świeże. Mówi, że próbowała zainteresować cię swoją osobą sześć lat temu, ale nie połączyła haczyka.
- Była klientką, która wynajęła mnie, żebym pomógł jej zniknąć, bo ktoś usiłuje roztrzaskać jej głowę kijem bejsbo-lowym. Jakoś nie wydawało mi się to odpowiednią porą na rozpoczęcie związku.
- A teraz jest właściwa pora?

- Może. Nie zmienia to niczego w tej sprawie.

- Jasne, że nie. Dlaczego nie zapytałeś, co znalazłem w domu Lindy Gordon po twoim odjeździe?

- Nie znalazłeś nic, w przeciwnym bowiem razie nie mógłbyś się doczekać, żeby mi o tym powiedzieć.

Policjant westchnął.

- Jesteś bardzo bliski prawdy.

- Udało ci się rozejrzeć?

- Nie. Po twoim odjeździe zjawiał się porucznik, więc brakło mi czasu.

465

Till zauważył, że sierżant spogląda obok niego na drzwi, odwrócił się i zobaczył w nich czekającą Wendy.

- Jest jakiś powód, dlaczego nie miałbym jej zabrać, żeby nie była na widoku, kiedy podadzą wiadomości o jedenastej?

- Nie znam takiego powodu - odparł Poliakoff. - Kiedy stąd wyjdziecie, wybiorę się do szpitala i zobaczę, czy nie uda mi się przepytać Lindy Gordon. Czasami, kiedy czołwieka postrzelą, zaczyna rozważać na nowo swoje sojusze. Potem pojedę do domu. - Wpatrywał się przez chwilę w Tilla. - Za późno, żeby wracać do domu Lindy Gordon. Odesłałem już wszystkich.

Detektyw spojrzał na niego wymownie.

- Dzięki, Max.

O wpół do jedenastej Till zjechał z autostrady przy Cold-water, pojechał na północ Ventura Boulevard do ulicy, przy której mieszkała Linda

Gordon, i powoli przejechał obok jej domu.

- Specjaliści policyjni zakończyli już pracę i dom jest pusty - oświadczył. - Rozejrzyjmy się po okolicy, żeby sprawdzić, czy jesteśmy sami. - Pokrążył jakiś czas po okolicznych ulicach, przekonał się, że nikt nie obserwuje domu, zaparkował kawałek dalej, wyjął z bagażnika dwie latarki i dwie pary rękawiczek.

- Rękawiczki?

- Zapomniałem ci powiedzieć. Zawsze noś rękawiczki, kiedy popełniasz przestępstwo.

- Przestępstwo? A znasz się na tym?

- Mam nieco wiedzy profesjonalnej: Poszli na tyły domu i zatrzymali się.

- Jak się dostaniemy do środka? - spytała szeptem Wendy. - Umiejętność przewidywania. Przed odejściem stąd

odsunąłem zasuwkę okna w spiżarni. - Włożył rękawiczki, a drugą parę podał Wendy.

466

- A co z alarmem?

- Przez najbliższą dobę czy dwie ciągle będą tu przyjeżdżali policjanci. Więc założę się, że go nie włączyli. - Podeszedł do okna przy narożniku domu, podniósł je i wspinał się do środka. Przeszedł przez kuchnię do drzwi i otworzył je dla Wendy.

- Teraz już możesz mi powiedzieć - odezwała się - po co tu wróciliśmy?

- Bo jest to szansa na zweryfikowanie mojego podejrzenia.

-A szukamy...?

- Jeszcze nie wiem. Czegoś, co nam powie, kim jest Scott.

- Podpowiedz mi coś więcej.

Till włączył latarkę.

-Zacznij od odszukania jakiegoś notesu z adresami albo spisu numerów telefonów... czegoś takiego. Jeśli zobaczysz listy czy kartki pocztowe, sprawdź je. Niektórzy trzymają też wizytówki w jednym miejscu. Szukaj imienia Scott.

- Wiesz co? To nie jest rzadkie imię.

-Wiem. Jeśli zna pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu Scottów, sprawdzę ich wszystkich.

Przeszukali kuchnię, potem przenieśli się do sypialni gościnnej, która była używana jako gabinet. Wendy znalazła wizytownik obrotowy, postawiła go na podłodze, żeby móc odczytywać przy świetle latarki, sama nie będąc widzianą przez okno, i obejrzała wszystkie wizytówki po kolei. Till przejrzał pełne papierów szuflady, mając wzrok nastawiony na to jedno konkretne imię.

Znalazł papiery dotyczące inwestowania pieniędzy oraz podatków, nigdzie jednak nie występowały sumy, które wielkością nie pasowałyby do jej dochodów na stanowisku zastępcy prokuratora okręgowego. Nie było żadnych śladów jakichś perturbacji w jej życiu, na co miał pewną nadzieję. Nie było znacznych debetów ani wycofy-

467

wania z konta dużych sum, żadnych też oznak, że nagle weszła w posiadanie większych pieniędzy.

•Trafiłaś na jakichś Scottów?

- Nie. Może nic tu nie ma. Może się mylisz, jeśli chodzi o nią.

- Nie sędzę. Coś jest z nią nie tak.

Przeszli do sypialni i zaczęli ją przeszukiwać. -Wiesz, to nie jest takie dziwne, że oskarżyła Erica

0 morderstwo na podstawie tych dowodów - powiedziała

Wendy.

- Rzeczywiście nie ma w tym nic osobliwego. Ona mi się nie podobała, to prawda, ale dopiero kilka dni temu dotarło do mnie, że jest w niej coś dziwnego. Wszyscy widzieli, że żyjesz, tymczasem ona wciąż nie zamierzała wycofać oskarżenia. Kiedy dzisiaj stało się jasne, że Jay Chernoff ma dość dowodów, żeby sędzia oddalił oskarżenie bez jej udziału, wykombinowała coś innego. Chciała nas zatrzymać za oszustwo ubezpieczeniowe. Zależało jej na tym, żeby trzymać nas w mieście i wiedzieć dokładnie, gdzie jesteśmy.

- Może ze złości. Ta moja ucieczka sprzed lat spowodowała, że zmarnowała czas i pieniądze na oskarżenie Erica.

-Wszystko jest możliwe. Ale jeśli naprawdę zamierzasz kogoś oskarżyć, to po prostu to robisz. Prokuratorzy okręgowi nie mówią ludziom, którzy nie zostali o nic oskarżeni, że są w jakiegoś rodzaju areszcie domowym.

1 ona, i Jay widzieli, że nie mogła tego zrobić. To dlaczego w ogóle próbowała?

- Nie wiem. - Zaczęła otwierać szuflady.

Till ukląkł przy łóżku i przesunął ręką pomiędzy materacem i sprężynami. Na coś się natknął, podniósł więc materac i to wyjął, po czym włączył latarkę.

-Ciekawe - oświadczył. - Musiała to schować tuż przed naszym

przybyciem.

468

-Co?

- Popatrz na to - powiedział.

Oświetlił zdjęcie w ramce. Przedstawiało mężczyznę stojącego na podjeździe obok niebieskiego klasycznego maserati.

- O mój Boże! - wykrzyknęła Wendy.
- Kto to taki? Scott? -Nie.
- Więc kto?
- Ten, który mnie napadł. Ten z kijem bejsbolowym.

ROZDZIAŁ 44

Scott Schelling siedział zgarbiony na tylnej kanapie taksówki i spoglądał na budynki, samochody i ulice przesuwane się za oknem pojazdu. Czuł się głęboko znużony. Wsiadłszy z samolotu, włączył telefon, usłyszał świergot sygnału pozostawionych mu wiadomości i ponownie go wyłączył, co robił bardzo rzadko. Lubił wiedzieć, co się dzieje, lubił być czujny, wchłaniać informacje, przetrwać je, a potem odsyłać w zmienionej formie, jako rozwiązanie każdego problemu, odpowiedź na każde pytanie.

Tego wieczoru było inaczej.

Wendy Harper nie żyła. Przetrwiał długi okres lęku i wykorzystał go, by pracować intensywnie i w pełnej koncentracji, spokojnie rozszerzając

swoją władzę i zdobywając wiedzę. Dzielił zaszczyty z innymi, czyniąc ich w ten sposób swoimi sojusznikami. Zawsze starannie wybierał sobie tych ludzi, doskonale wiedział, kogo należy pchnąć na ważne stanowisko i których jego przeciwników byli wtedy w stanie osłabiać i zwalczać. Badał grunt i planował, a teraz znalazł dojście do Jill Klein. Miała być - już była - kimś dla niego ważnym. Tego sobotniego ranka, kiedy Ray Klein poleciał do Nowego Jorku, żeby wrócić do zarządzania wielkim konglomeratem przedsiębiorstw, Jill przyszła znowu do pokoju hotelowego Scotta w Santa Fe, z głową pełną pomysłów i planów podniesienia jego pozycji.

Wczesnym rankiem zaczęła przyjmować telefony z po-

470

dziękowaniami za przyjęcie od przyjaciół, członków zarządów i ich żon oraz głównych udziałowców. Wykorzystała tę okazję, żeby wspomnieć, jakie to wrażenie Scott Schelling wywarł na tej czy innej osobie. Była zbyt sprytna, by powiedzieć, że sama rozmawiała ze Scottem, powtarzała jedynie zdanie innych ludzi, które usłyszała jako pani domu. Udało jej się utwierdzić wszystkich w przekonaniu, że istnieje w tej sprawie zgodność opinii. Jeśli ktoś do tej pory nie poznał Scotta Schellinga, no cóż, to jest co najmniej dziwne. Był to mały krok, ale we właściwą stronę i można go było wykonać jedynie tego konkretnego dnia, po tym, jak tylu gości widziało Scotta po raz pierwszy i mógł on jeszcze być tematem rozmów. Lata przeżyte u boku ważnego człowieka korporacji pozwoliły Jill intuicyjnie odgadywać, co i kiedy należy robić, a Scott stał się jej nowym beneficjentem.

Domy przesuwane się za oknem taksówki były coraz większe, a

samochody nowsze i droższe. Wjeżdżali w jego okolice. Jezdnie i chodniki były czyste, drzewa wysokie i stare, trawniki - szerokie i zielone.

Prześpi się kilka godzin, a potem pojedzie do biura i zacznie nadawać sprawom bieg. Na sobotę ustalili spotkanie z szefami działu reklamy i kontaktów z fanami i popchnie ich do pracy nad nowym projektem. Robili to już setki razy, a teraz będą to robić dla niego. Wyobraził sobie całą tę kampanię. W czasopiśmie ukaże się na prawach wyłączności wywiad ze skromnym geniuszem w branży muzyki pop, Scottem Schellingiem z Crosswinds. Kampania będzie się rozwijała powoli i subtelnie. Ludzie od reklamy będą dostarczać reporterowi opinii wszystkich współpracujących obecnie z Crosswinds muzyków o tym, jaki to on jest znakomity. To odniesie skutek, bo tak było zawsze.

Potem dostanie oferty występów w telewizji. Jego ludzie od public relations dadzą sieciom kablowym do zrozumienia, że można go zapraszać do programów o mu-

471

zyce, popularnych trendach i o celebrytach. Nie musiał już się martwić, że będą go oglądały szerokie rzesze ludzi: Wendy Harper nie żyje. Będzie wydawał przyjęcia i zapraszał śmietankę z branży, a potem wypowiadał się na łamach czasopism muzycznych. Kiedy zdjęcia gwiazd, zrobione „na przyjęciach u Scotta Schellinga”, zaczną pojawiać się regularnie, on sam stanie się osobą popularną, dobrze znaną w środowisku najbardziej zagorzałych fanów.

Scott powstrzymał się od zbyt daleko posuniętych przewidywań. Nie był to odpowiedni czas, a poza tym nie on miał się tym zajmować. Crosswinds miał najlepszy personel od reklamy w całej branży, a od czasu przejęcia

ich przez Aggregate działali jeszcze sprawniej. Scottowi udało się dać im do dyspozycji więcej pieniędzy. W zasadzie branża muzyczna niemal w całości zasadzała się na wywoływaniu owczego pędu, tymczasem jego wcześniejsi szefowie byli wręcz niewiarygodnie krótkowzroczni i skąpi, kiedy szło o reklamę. Ray Klein natomiast miał szerszą perspektywę i nie był zaskoczony budżetowymi wymaganiami Scotta w tej dziedzinie.

Nie wiadomo który raz w ciągu dwóch dni Scott uświadomił sobie, że tak naprawdę darzy Raya Kleina szacunkiem. Był świetnym biznesmenem i całkiem dobrze się dla niego pracowało. Tyle że Scott nie lubił szefów... żadnych szefów. Szef miał nad nim władzę, co wywoływało u niego obawę, że straci to, do czego doszedł. Klein zawadzał mu w dalszej karierze.

A oto i dom. Brama otwarta, a z boku domu samochód Carla. Taksówkarz się zatrzymał, Scott jednak kazał mu podjechać przed główne wejście, po czym wysiadł i podał mu banknot pięćdziesięciodolarowy; oznaczało to co najmniej dwudziestodolarowy napiwek, na który tamten nie zasłużył.

- Proszę zatrzymać resztę - oświadczył. Nie chciał, by,

472

kiedy za kilka miesięcy znajdzie się w świetle jupiterów, taksówkarze udzielający wywiadów mówili o nim, że jest skąpy. Kierowca wyjął walizkę z bagażnika i postawiwszy ją ostrożnie na ziemi, odjechał.

Scott patrzył chwilę na swój dom. Carl zostawił mu otwartą bramę, co oznaczało, że na pewno zadzwonił do hotelu i dowiedział się, że szef już się z niego wymeldował. Obecność Carla tutaj świadczyła o tym, że wszystko poszło dobrze. Otworzył drzwi i wciągnął walizkę do skąpo

oświetlonego przedpokoju.

Pierwszym, co zobaczył, była sylwetka kobiety. Czy to możliwe, że Jill przyleciała tutaj, żeby zrobić mu niespodziankę, zamiast polecieć do Nowego Jorku? Kobieta postąpiła krok w jego stronę i zobaczył pistolet. Jej głos nie przypominał głosu Jill. Był szorstki, nieprzyjazny.

- Ty pewnie jesteś Scott.
- Zgadza się. A kim ty jesteś?
- Jestem Sylvie Turner. A tuż za tobą stoi Paul. Paul odezwał się niemal prosto do jego ucha.

- Miło mi cię poznać, Scott. Witamy w domu. W piątek wieczorem twoja sekretarka powiedziała, że jesteś na jakimś spotkaniu. Nie powiedziała, że w innym stanie.
- Tak, miałem sprawę w Santa Fe.
- Sądzę, że wiesz, po co tu jesteśmy.

Sylvie podeszła bliżej. Była wyższa od Scotta i patrzyła na niego tak drapieżnie, że poczuł się bardzo nieswojo, mimo to nie ośmielił się cofnąć.

- Sądzę, że zjawiliście się po zapłatę - odpowiedział.

Samochód Carla stał obok domu. Gdzie się podział on sam?

Zza pleców usłyszał głos Paula.

- Jeśli jesteś gotów załatwić sprawę od razu, to zabie ramy nasze pieniądze i znikamy. - Twarz Sylvie zbliżyła się jeszcze bardziej, niczym twarz zjawy z tunelu strachu w wesołym miasteczku. - Chyba masz te pieniądze, co, Scotty?

- Tak - odparł. - Mam. Są tutaj w domu. Zaraz je przyniosę. - Zaczął się odwracać i zrobił pierwszy krok.
- Stój! - Głos Paula zabrzmiał jak trzask z bicia. - Nie ruszaj się - dodał już spokojniej. - Dokąd się wybierasz?
- Pieniądze są na zewnątrz. W garażu. Chciałem wziąć pilota.

Paul położył dłoń na jego ramieniu i Scott poczuł pod prawą łopatką lufę pistoletu.

- W naszej obecności musisz zachowywać się bardzo ostrożnie, Scotty. Wiem, że jesteś przyzwyczajony do tego, że ludzie ci ufają, ale my nie. W piątek bardzo zdecydowanie twierdziłeś, że chcesz nam zapłacić milion za wykonanie tego zlecenia. Potem, tego samego wieczoru, twoja sekretarka wysłała nas na spotkanie z tobą i dwóch facetów próbowało nas zabić.
- Przepraszam za to, co się stało - powiedział Scott. - Nie była to niczyja wina. Ci dwaj mieli przywieźć was tutaj, a ja miałem zadzwonić i powiedzieć im, gdzie znajdują pieniądze dla was. Najwidoczniej chcieli mnie obrabować.
- Nie ma sensu wchodzić teraz w te sprawy - odezwała się Sylvie. - Zależy nam tylko na zabraniu pieniędzy i ulotnieniu się stąd.
- Chcę tego samego. Teraz zamierzam pójść do garażu i wziąć stamtąd wasze pieniądze. Są w walizce.
- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu, byśmy poszli z tobą - powiedział Paul. - Kiedy będziemy widzieli, co robisz, to żadne z nas nie będzie nerwowe.
- W porządku. Mogę już iść?

- Ruszaj.

Scott poszedł w stronę korytarza, wziął pilota i wcisnął guzik. Usłyszeli buczenie i grzechot podnoszącej się bramy. Schelling odłożył pilota.

- Teraz wyjmę klucze - powiedział i włożył rękę do kieszeni.

Wreszcie dobrze ich widział. Oboje byli wysocy, two-

474

rzyli proporcjonalną parę, kobieta była niższa o kilkanaście centymetrów od mężczyzny, a głowami sięgali niemal górnych krawędzi drzwi, potęgując wrażenie, że są tutaj zupełnie nie na miejscu. Ich obecność stanowiła zamach na jego azyl. Bardzo chciał się ich pozbyć.

- Teraz pójde do garażu. Nie ma tam nic, czego byście się nie spodziewali. Żadnej broni czy czegoś takiego.

- Świetnie - powiedział Paul. - Chcemy tylko załatwić interes do końca.

Scott ruszył w stronę drzwi frontowych, wyszedł na zewnątrz i szedł brukowanym podjazdem. Zobaczył auto Carla i ponownie zaczął się zastanawiać. Może Carl wjechał na teren posesji, zobaczył, że coś jest nie tak, i postanowił w ogóle nie wchodzić do domu. A może wszedł do środka, usłyszał, jak nadjeżdżają Turnerowie, i gdzieś się schował. Carl na pewno nie chciałby znaleźć się w domu razem z tą parą i nie mieć dla nich pieniędzy.

Doszedł do wniosku, że źle pokierował całą sprawą. Powinien był dopilnować, żeby Turnerowie dostali swoje pieniądze natychmiast po unieszkodliwieniu Wendy Harper. Ostatecznie i tak się to do tego sprowadzało, a on mógł kazać Carlowi dokonać zapłaty szybko i kompetentnie w piątek i uniknąć kłopotów: nikt nie szedłby teraz za nim z

bronią wycelowaną w jego plecy. Wystarczy, że któreś z nich się potknie na tym głupim, rustykowanym, nierównym bruku, a skończy się to dla niego śmiercią.

Tak naprawdę było to postępowanie dawnego Scotta, nie tego nowego. Dawny Scott wykonywał małe, pospieszne, szurzące ruchy, które miały zapewnić mu bezpieczeństwo i pozwolić zachować jego milion dolarów. Od tamtej pory zdążyło mu już spaść bielmo z oczu. Kilka dni wcześniej milion wydawał się ogromną sumą, teraz natomiast wiedział, że to tylko niewielka inwestycja, która już zaczynała przynosić mu znaczne zyski. Musiał myśleć jak zwycięzca.

475

Wszedł do garażu i stanął z tyłu swojego niebieskiego staroświeckiego maserati. Był to jedyny samochód, jaki kiedykolwiek sam prowadził. Większość czasu spędzał bowiem na tylnym siedzeniu limuzyny i pozwalał się wozić Carlowi. Teraz męczyło go poczucie winy, że włożył walizkę do maserati, bo nie potrafił mu całkowicie zaufać.

Carlowi nigdy nie zdarzyło się postąpić nielojalnie czy nieuczciwie. Można było na nim polegać po części właśnie dlatego, że nie miał ani krztyny wyobraźni czy ambicji. Był zbyt bierny i opieszwały, by wejść w jakiś sojusz z wrogami swojego pracodawcy czy uknuć jakąś intrygę prowadzącą do sprzeniewierzenia pieniędzy. Ale co by zrobił, gdyby znalazł tę czarną walizkę i ją otworzył? Któż mógł wiedzieć, jaka byłaby jego reakcja na widok takiej masy szeleszczących studolarowych banknotów? Carl był pracownikiem fizycznym. Jeden taki banknot to kolacja dla niego i jego blond przyjaciółki. Pracowała dla miasta, więc pewnie zarabiała jeszcze mniej od niego. Dwa banknoty to już całonocna zabawa. Gdyby

zajrzał do walizki, to bogactwo ukazałoby się przed nim w całej okazałości. Mógłby zabrać pieniądze i bez namysłu odejść. Zatem Scott uratował go przed nim samym. Po prostu włożył pieniądze do bagażnika maserati, gdzie Carl raczej by nie zajrzał.

Włożył kluczyk do zamka i otworzył bagażnik. Przez krótką chwilę miał jakieś złe przeczucie, dziwne wrażenie, że coś jest nie tak. Ale walizka tkwiła pośrodku bagażnika, w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Kciukami rozsunał przyciski, zwalniając zaczepy zamka, po czym podniósł wieko, by ukazać porządnie ułożone stosy studolarowych banknotów. Z triumfującą miną odwrócił się do Paula i Sylvie.

- W porządku, zamknij - rzucił Turner. Scott posłusznie zamknął walizkę.
- Przenieś ją do domu.

476

Scott był rozczarowany ich reakcją. Czyżby zamierzali usiąść w salonie i liczyć te wszystkie banknoty?

Zamknął drzwi frontowe i podał walizkę Paulowi. Wydawało mu się, że jest coś królewskiego w człowieku, który płaci komuś milion dolarów, nieważne na co czy za co, jest w nim jakaś całkiem naturalna wyższość. Turner wziął od niego walizkę i postawił ją na podłodze, blisko siebie.

- Słuchajcie - powiedział Scott - na pewno się domyślacie, że nie przeliczałem ich osobiście. Jeśli jest ich o kilka więcej, to je sobie zatrzymajcie. Jeśli brakuje, wyrównam. Możecie je sobie przeliczyć w domu.
- To brzmi rozsądnie - oświadczyła Sylvie.

Scott Schelling patrzył z ulgą, jak kobieta kieruje się w stronę drzwi.

Kiedy Sylvie zeszła z linii ognia, Paul wypalił w plecy Scotta Schellinga, w miejsce, w którym, jak przypuszczał, znajdowało się jego serce.

ROZDZIAŁ 45

Jack siedział obok Wendy na tylnej kanapie. Max Po-liakoff wioził Jacka i Wendy nieoznakowanym policyjnym samochodem w stronę domu Scotta Schellinga.

- Tu mamy numer dwa tysiące dziewięćset ósmy - powiedział Till. - Schelling mieszka pod trzy tysiące dwieście szóstym. To będzie za trzecią przecznicą, po prawej.

- Denerwuję się - oświadczyła Wendy.

Policjant obrócił się do niej.

- Nie ma powodu. Zapukamy i poprosimy o chwilę rozmowy. Nie powiemy, kim jesteś. Jeśli to on jest tym gościem, wystarczy, że skiniesz głową, a my go aresztujemy. Jeśli natomiast nie jest tym właściwym Scottem, pokręcisz głową, a ja opowiem mu jakąś krzepiącą bajeczkę o straży obywatelskiej.
- To chyba dlatego, że za dużo o nim myślałam. Najpierw szukałyśmy go z OHwią w całym mieście, by się upewnić, że Kit nic się nie stało. Potem, kiedy mnie zaatakowano, on i tamten z kijem bejsbolowym byli ostatnimi ludźmi na świecie, których miałam ochotę oglądać.
- Na pewno dostaniemy tego, który cię pobił. Nie wywinie się. Kiedy go zatrzymamy, ustawimy w szeregu do pokazania i oficjalnie go

rozpoznasz. A potem go zabiorą.

- Mówisz to tak, jakbyś nie był przekonany, że tak łatwo pójdzie ze Scottem - powiedziała Wendy.
- Być może potrwa to tylko troszkę dłużej - wtrącił

478

Jack. - Nikt nie widział, jak robi Kit Stoddard jakąś krzywdę. Jednak pomiędzy nim i tymi innymi będzie jakieś powiązanie. Odkryjemy je.

- Zaczęliśmy już dzisiaj rano - zauważył Poliakoff. -

Kazałem Hortonowi czekać w biurze prokuratora okręgowego. Jeśli to jest ten właściwy Scott, zadzwonię, a on załatwi nakaz przeszukania. Zresztą to musi o niego chodzić. Niebieskie maserati ze zdjęcia jest na niego zarejestrowane.

Ostami odcinek drogi przejechali w milczeniu. Till zauważył, że dom Schellinga różni się od większości domów przy tej ulicy. Stał w głębi, był długi, piętrowy, z białym zewnętrznym deskowaniem i wysokimi oknami. Jego styl był niemal staromodny, ponieważ większość podobnych została niedawno zrównana z ziemią i zastąpiona ogromnymi tokańskimi willami, ustawionymi bliżej ulicy, na podniesionym gruncie, tak że goście, aby dotrzeć do wejścia, musieli się wspinać szerokimi, bogato zdobionymi schodami.

Przejechali przez otwartą bramę, a potem podjazdem przed drzwi frontowe. Obaj mężczyźni wysiedli, po czym Till wsadził głowę do auta.

- Wendy, jeśli się boisz, to zostań w samochodzie. Zobaczysz go przez okno.
- Nie, chcę, żeby on mnie zobaczył. - Wsiadła i stanęła przy aucie.

- Max - powiedział Till. -Co?

- Garaż. Światła.

Brama garażu były otwarta, a w środku stały dwa samochody. Świeciło się światło, chociaż do wnętrza wlewało się do środka poranne słońce.

- Taa - odparł Poliakoff. - Dziwne. Till podszedł bliżej.

- To maserati z tamtego zdjęcia.

479

Odwrócił się i zobaczył, że przyjechały dwa policyjne radiowozy. Jeden parkował w bramie przy wjeździe na podjazd, a drugi ustawiał się właśnie obok auta Poliakoffa. Wysiedli z niego dwaj policjanci i poszli za nim do drzwi.

Sierżant zadzwonił i po chwili czekania ponownie wcisnął dzwonek. Wreszcie chwycił ciężką kołatkę i załomotał nią głośno. Żadnej reakcji. Policjanci popatrzyli na siebie. Poliakoff wyjął z kieszeni krótkofalówkę.

- Dave - powiedział - tu Max. Możesz podejść do bramy wjazdowej i wcisnąć przycisk domofonu, żeby wie dzieli, że tu jesteśmy? - Z niewielkiego pudełka rozległo się głuche „Roger”. Słyszeli dzwoniący wewnątrz domu domofon, nic jednak nie wskazywało na to, że ktoś zamierza zareagować na ten sygnał.

Till podszedł do najbliższego okna.

- Max. -Taa?

- Widzę kogoś na podłodze w przedpokoju. Popatrz. Poliakoff stanął obok niego, dłońmi osłonił oczy.

- Rzeczywiście. - Odwrócił się i zawołał do policjan

tów: - Musimy się tam dostać!

Jeden z umundurowanych funkcjonariuszy podszedł do swojego wozu i otworzył bagażnik, podczas gdy pozostali ruszyli w stronę drzwi.

Poliakoff wszedł na ganek i po chwili położył rękę na gałce.

- Spokojnie! - zawołał. - Nie ma potrzeby wyłamywać drzwi, wcale nie są zamknięte. - Ostrożnie przekręcił gałkę i pchnął drzwi nogą.

Till wszedł do środka za nim. Po chwili Poliakoff wyszedł, żeby naradzić się z policjantami, po czym wrócił do środka. Wydawało się, że nie ma ich całą wieczność, wreszcie obaj pojawili się razem. Poliakoff trzymał w ręce dwa kalifornijskie prawa jazdy. Położył je na dachu swojego samochodu, żeby Wendy mogła im się dobrze przyjrzeć.

480

- Rozpoznajesz któregoś z tych mężczyzn? - spytał detektyw.

Z trudem powstrzymywała cisnące się do oczu łzy.

- To oni.

Jack objął ją ramieniem.

-Więc jak tylko powiesz mi całą resztę, będzie po wszystkim - powiedział cicho.

Popatrzyła na niego, potem na Poliakoffa, jakby obawiała się, że policjant słyszał te słowa.

- Jeśli potrzebujecie trochę prywatności, to dysponuję jedynie samochodem - rzucił sierżant.
- Dzięki - powiedział Till. - Skąd go znasz? - spytał wreszcie Wendy, gdy już siedzieli w aucie.
- Co to znaczy: skąd go znam? Nie znam go. Widziałam go raz i

wszystko ci o tym opowiedziałam.

-Sześć lat później wystarczyło, że zobaczyłaś dwa prawa jazdy, i z miejsca oświadczyłaś: „To oni”. Ty ją w to wmieszałaś, prawda?

Patrzyła na niego z niedowierzaniem i złością.

•O czym ty mówisz?

•Dlatego czułaś się odpowiedzialna za Kit, kiedy zniknęła. Miałaś poczucie winy.

Jej oczy zaczęły wypełniać się łzami.

•W ogóle nie znałam Scotta Schellinga. Spotkałam jedynie Carla. To on był jednym z tych przystojniaków, którzy późną nocą przesiadują po klubach. Widzisz ich kilka razy i nawet jeśli osobiście ich nie znasz, to masz wrażenie, jakbyś znał. Któregoś wieczora pytał mnie o kilka moich znajomych dziewcząt i Kit była wśród nich.

•Skąd wiedział, że jesteś w tym interesie?

-O Boże - jęknęła. Oklapła, jakby mięśnie jej nagle zwiotczały. - To wcale nie było tak. To nie był interes, tylko zwyczajne towarzyskie układy. Zaczęło się to tak, że kiedyś w Banque niejaki Jerry spytał mnie o OHwię. Był dobrym klientem, prawnikiem, i wszystko to miało cha-

481

rakter żartu. Powiedział, że da mi tysiąc dolarów, jeśli tylko przedstawię go Olivii. Uważałam go za sympatycznego faceta, więc się roześmiałam i wyciągnęłam rękę, a on wręczył mi te pieniądze... jakby nigdy nic.

Zatrzymałam OHwię w wąskim przejściu pomiędzy salą jadalną i kuchnią, pokazałam jej pieniądze i wskazałam tego mężczyznę. Śmiałyśmy się, bo uznałyśmy to za wielki komplement, a jej spodobał się ten żart. Podeszła do jego stolika, porozmawiali chwilę i umówili się. - Wendy wzruszyła

ramionami. - Później tak samo wyglądało z Kit. Carl poprosił, żeby go jej przedstawić, a potem wręczył mi jakieś pieniądze. I to wszystko.

- To nie było wszystko. Nie zapominaj, że mówisz do mnie.

- Tak. Masz rację. Potem też się zdarzało. Kilka razy.

-1 brałaś pieniądze od mężczyzn.

•Może raz czy dwa. Brzmi to podejrzenie, ale wcale takie nie było.

•Poza Jerrym i Carlem kto jeszcze tam był?

•Biznesmen o imieniu Bryce, który z początku był jedynie znajomą twarzą. Podejmował kiedyś klientów spoza Los Angeles i poprosił, żebym skrzyknęła kilka atrakcyjnych przyjaciółek dla uzupełnienia zestawu gości na przyjęciu.

•Tylko raz?

•No cóż, nie. Kilka razy. Nie załatwialiśmy tego w żaden formalny sposób. On nie znał nikogo i prosił o przysługę. Ja znałam dużo takich dziewczyn... niektóre pracowały dla mnie, inne spotkałam gdzie indziej... które lubiły się bawić na przyjęciach i poznawać nowych mężczyzn. Raz nawet sama wzięłam udział w takiej imprezie. Robiłam dla niego to samo, co robi każda gospodyni. Zapraszałam dziewczęta, o których wiedziałam, że potrafią się świetnie bawić. Co robiły potem, to już była ich sprawa.

-1 wieści o tym się rozeszły.

482

•Nie. Wcale tak nie było, nigdy. Dotyczyło to zaledwie kilku osób i nie trwało długo. Nikt tak naprawdę o tym nie wiedział.

•Carl jednak usłyszał i zapłacił ci za przedstawienie go Kit.

Wendy płakała i patrzyła na niego błagalnie. On czekał w milczeniu.

- Tak - powiedziała w końcu.

- I dlatego okłamałaś policję i mnie.

- To nie było kłamstwo. Nie rozumiesz? Gdyby ktoś usłyszał, że wzięłam pieniądze, miałby zupełnie wypaczony obraz. Ja jedynie nie mogłam pozwolić, żeby pomyśleli sobie coś, co nie było prawdą.

- Obawiałaś się, że cię wprawią w zakłopotanie?
- To coś więcej niż zakłopotanie, Jack. Całe miasto wyrobiłoby sobie niewłaściwe pojęcie o Banąe, a my tak ciężko pracowaliśmy, żeby zrobić z tego lokalu najlepszą restaurację, i przyciągnęliśmy tylu znakomitych klientów. Ważni ludzie nie mogą sobie pozwolić, by widziano ich w miejscu, w którym się płaci za seks. I żadna kobieta nie chce być podejrzewana o to, że się sprzedaje. Strumień pieniędzy by wysechł. Recenzenci przestaliby do nas zaglądać. A potem jakiś reporter odkryłby, kim jest mój ojciec, i to ja stałabym się tematem. Miałam prawo chcieć tego uniknąć.
- Ile Erie z tego wiedział?
- Nic. To zdarzyło się po zerwaniu zaręczyn, a wtedy nie rozmawialiśmy już wiele o naszym życiu towarzyskim.
- A Kit Stoddard? Kim ona była?
- Tak dokładnie nie wiem.
- Owszem, wiesz.
- Teraz może i wiem, ale na początku nie wiedziałam. Myślałam, że naprawdę nazywa się Kit Stoddard. Ale kiedy włamałam się z OHwią do jej mieszkania, znalazłam tam

kilka listów. Na kopertach widniało Katherine McGinnis, a adres zwrotny wskazywał Kanadę. Hamilton, w Ontario. Gniew Tilla był już teraz widoczny, jednak jego głos wciąż pozostawał spokojny, monotony.

- Czy nie sądziłaś, że przekazanie tej informacji policji byłoby pomocne? Albo przekazanie jej mnie?
 - Chciałam to zrobić. Zrobiłabym, gdyby mogło to ją uratować. Ale wtedy już wiedziałam, że ona nie żyje. Powiedzenie wówczas wszystkiego, co wiem, stukrotnie pogorszyłoby sytuację. Ludzie mówiliby, że była prostytutką, a ona nie mogłaby się bronić, i jeszcze mówiliby, że to ja wysłałam ją do psychologa, który ją zabił.
 - Bałaś się, że zostaniesz oskarżona?
 - Nie wiem. Wiedziałam tylko, że niektóre rzeczy, które zrobiłam, wyglądają na dużo gorsze, niż w rzeczywistości były.
 - Dlatego Olivia też uciekła, prawda? Bo brała pieniądze. Była jedną z tych kobiet, które umawiałaś z mężczyznami.
 - Tak. Żadna z nas nie wiedziała, co się stało z Kit ani dlaczego. Olivia bała się być sama, bała się przychodzić do pracy. Więc wyjechała. Potem Carl zasadził się na mnie.
- Till położył dłoń na klawiszach.
- No cóż, już po wszystkim. Jesteś bezpieczna. Wyciągnęła rękę i chwyciła go za nadgarstek.
 - Zrobiłam, co mogłam.
 - Nie będę udawać, że przyjmuję twój punkt widzenia.

Nawet jeśli bałaś się powiedzieć policji, mogłaś przecież powiedzieć mnie.

-Żałuję, że nie powiedziałam. Naprawdę chciałam i zawsze będę się wstydziła, że tego nie zrobiłam. Ale to wszystko wynikało ze słabości i głupoty. Nie z podłości.

-I dlatego wielka szkoda, że tak się stało. Wiedziałaś, że wystarczająco długo byłem policjantem, by już zdążyć zobaczyć wszystko. Powinnaś była wiedzieć, że tego, co

484

zrobiłaś, nie uznałbym za nic więcej jak tylko błąd. Ale zatajenie tego przede mną było czymś istotnym. Okłamałaś mnie.

Puściła jego rękę i odsunęła się.

- A ty? Czy ty mówiłeś mi prawdę? Przez ostatnie kilka dni przez cały czas mnie przesłuchiwałeś. Robiłeś, co mogłeś, żeby tylko mi na tobie zależało i żeby wyciągnąć ze mnie to, czego chciałeś się dowiedzieć. Cóż, moje gratulacje, Jack. Nie pozwoliłeś mi zatrzymać nic dla siebie. Jesteś bohaterem.

- Próbowałem ci pomóc zrobić to, co musiałaś zrobić. Im lepiej cię poznawałem, im bardziej się zbliżałem, tym byłem pewniejszy, że masz jakąś tajemnicę.

- To była moja tajemnica i tylko ja cierpiałam z jej powodu. Kiedy usłyszałam, że nie chodzi już wyłącznie o mnie, zrobiłam, co należało.

- Zaszłochała. -I byłam dzielna, do diabła. Ryzykowałam. Nie robiłam tego, co było wygodne dla mnie, robiłam to, co było słuszne.

- Byłaś dzielna. Przyznaję.

Teraz ona wpadła w złość.

- Wielkie dzięki. Ty natomiast jesteś święty. Dałeś jasno do zrozumienia, że raczej utniesz sobie rękę, niż uczynisz

coś nieetycznego, ale czy nigdy ci się nie przydarzyło, że nie wiesz, co robić, i że dokonujesz niewłaściwego wybo-ru? Przez te wszystkie lata jako glina nie odbyłeś choćby jednej rozmowy, której potem żałowałeś, i może nie zasta- nawiałeś się choć raz, czy nie uderzyłeś kogoś za mocno?

Till zesztywniał, wstrzymał oddech. Milczał, spoglądając przed siebie. Znow widział Stevena Winslowa... nie jego twarz wykrzywioną wściekłością, kiedy zamierzał się młotkiem, ale to, czym się stał, kiedy on go uderzył: widział chłopca leżącego na opustoszałej ulicy, umierającego samotnie w mroku. Minęło ponad dwadzieścia lat, a on wciąż go widział. Nie mógł powiedzieć Wendy, dlaczego zmuszenie jej do wyjawienia tajemnicy było dla niego ta-

485

kie ważne, nie mógł opisać tego uczucia nienawiści do siebie i wstydu, jakiego usiłował jej oszczędzić. Nagle dotarła do niego jej fizyczna obecność, odgłos jej oddechu, zapach mydła, bliskość. Czuł, jak mijają kolejne sekundy. Podjął decyzję. Otworzył drzwi i wysiadł.

Przechyliła się ku tym otwartym drzwiom.

- Myślę, że już od jakiegoś czasu oboje wiemy, że nie jestem idealna. Jestem tylko kimś, kto cię kocha. Jeśli nie warto mnie ratować, to myślę, że rzeczywiście powinieneś odejść.

Wyglądał na zaskoczonego.

•Wcale nie odchodziłem - oświadczył. - Masz rację. -Byłem niesprawiedliwy i przepraszam. Chciałem tylko powiedzieć Maksowi, że jedziemy stąd.

•Razem?

- Chyba że ty już nie chcesz.

Wzruszyła ramionami.

•Nie mam pojęcia, co z nami będzie. Ale uważam, że powinniśmy spróbować.

•Ja też. Chodź.

Wsunęła dłoń w jego, a on jej nie puścił. Podeszli do drzwi, gdzie Poliakoff robił szkic miejsca przestępstwa, a dwaj mundurowi dokonywali jakichś pomiarów.

•Max - powiedział Till - zostawiłem auto obok posterunku. Mógłby ten policjant przy bramie nas tam podrzucić?

•Jasne. Pozostawiłem go tam, żeby nie pozwolił tym dwóm facetom stąd prysnąć - wyjaśnił Poliakoff. - Ale chyba nie ma na to wielkiej szansy. Dziękuję wam obojgu za pomoc. Zadzwoń.

Kiedy szli brukowanym podjazdem w stronę radiowozu z pracującym na luzie silnikiem, Till zwrócił się do Wendy.

-Jest ktoś, z kim muszę się natychmiast zobaczyć, i chciałbym, żebyś ze mną pojechała. Ma na imię Holly.

486

ROZDZIAŁ 46

Turnerowie wysiedli z taksówki przed terminalem Southwest Airlines. Paul dał napiwek kierowcy, a Sylvie pociągnęła swoją walizkę przez

automatyczne szklane drzwi do środka. Jej mąż ruszył za nią i stali oboje przez pół minuty, czekając, aż taksówka włączy się w gęsty strumień pojazdów i zniknie. Wtedy pociągnęli walizki na terminal Bradley International. Paul się uparł, że mają robić wrażenie, jakby lecieli do Las Vegas czy San Francisco, a nie poza granice kraju, tak samo jak zdecydował, by czekali na taksówkę na przystanku autobusowym, żeby taksówkarz nie wiedział, który dom opuścili.

Sylvie była zmęczona i poirytowana. Dla niej te pieniądze, które zarobili, zaczynały być przekleństwem, ciężkim brzemieniem. Po nocy i dniu spędzonych w domu Scotta Schellinga, niemal bez snu, musiała wrócić do domu, wziąć prysznic i się ubrać, umieścić pieniądze na rachunkach w czterech różnych bankach, schować tyle gotówki, ile się zmieściło w czterech skrytkach bankowych, i pomóc mężowi ukryć resztę pieniędzy w ich domu.

Milion dolarów nie rekompensował wszystkich problemów, ryzyka i zmęczenia, związanych z tym zleceniem. Na początku sprawa Wendy Harper robiła wrażenie niewiarygodnie prostej, tymczasem zmieniła się w prawdziwy koszmar. Pieniądze, jakie ostatecznie wzięli od Scotta Schellinga, były jedynie nagrodą za przeżycie, za to, że

487

jako jedyni dotrwali do końca. Bardziej przypominało to niechciany spadek niż zapłatę.

Teraz szli w kierunku terminalu międzynarodowego, żeby złapać samolot do Hiszpanii, a ona wcale nie czuła się szczęśliwa. Od tygodni marzyła o tym wyjeździe. Najpierw było oczekiwanie, potem ciężko wypracowany sukces, jednak ta wycieczka zdążyła stracić dla niej swój

urok. Zarobione pieniądze przyniosły jej jedynie poczucie niepewności. Dodatkowa gotówka źle wpływała na stosunek Paula do niej. Przez tydzień czy dwa wykazywał objawy świadczące o tym, że albo ją zdradza, albo że wkrótce to zrobi. Tylko na ten krótki czas, kiedy byli już zdecydowani rzucić tę robotę, polecieć do Madrytu i machnąć ręką na pieniądze, ich małżeństwo wróciło do normy. Jednak dzisiaj, w domu, kiedy się ubierali, okazał jej niecierpliwość. „Włóż wreszcie coś na siebie. Cokolwiek, żebyśmy już mogli wyjść”. Kiedy jeździli od banku do banku, umieszczając pieniądze na kontach i w skrytkach, też był opryskliwy. Spytała go: „Do którego teraz banku?”, a on warknął: „Jezu, Sylvie. Już ci mówiłem. W Pasadenie”. Przewracał oczyma i marszczył brwi, podnosząc jej walizkę. „Co, do cholery, zabierasz ze sobą... spluwy i amu-nię?” To ostatnie było dla niej szczególnie wymowne, bo poprzednio, zanim się wybrali, by zapolować na Scotta Schellinga, podnosił walizki i nie wydawały mu się ciężkie. Co też mogło tak źle wpłynąć na jego uczucia do niej? Oczywiście pieniądze.

Nigdy nie brakowało im forsy. Dom, który odziedziczyła po pierwszym mężu, był wart co najmniej ze dwa miliony. Darren zostawił jej depozyty bankowe, akcje i obligacje. A od tamtego czasu Paul zaoszczędził większość pieniędzy z ich zarobków. Jednak ten milion od Schellinga był niebezpieczny. Z tej gotówki nie musiał się rozliczać, nie musiał jej nawet przeliczać. Mógł ją wykorzystać w pogoni za romansami. Mógł kupować prezenty innym

488

kobietom, zabierać je w różne miejsca, bez ryzyka, że Sylvie wpadną w oko jakieś rachunki.

-Wiesz, cała ta madrycka wyprawa wydaje się kiepskim pomysłem - oznajmił nagle Paul. - Oboje jesteśmy wyczerpani i zostawiamy dom pełen forsy, bez zabezpieczenia. Nie mamy planów odnośnie do tego, co zamierzamy robić w Hiszpanii czy kiedy wrócimy, czy w ogóle jakichkolwiek.

- Dom jest bezpieczny. Światła i zraszacze trawników będą się włączały automatycznie, a ogrodnicy skoszą trawę. Przyjedzie pracownik do oczyszczania basenu. Dostarczanie prasy i poczty już wiele dni temu zostało zawieszono.
- To są jedynie drobiazgi. Nawet nie wiem, dlaczego tam jedziemy - powiedział. - Nie widzę żadnego powodu, żeby teraz wyjeżdżać z kraju.
- Ja jadę do Hiszpanii, bo to jedno z najpiękniejszych miejsc na świecie i chcę sobie na nie popatrzeć, i nauczyć się kilku nowych tańców. Ty jedziesz, bo mnie kochasz i starasz się mnie zadowolić. A także dlatego, że zniosłam długotrwałą i koszmarną próbę związaną z wykonaniem zlecenia, żeby ciebie zadowolić. Zgadza się?
- Nie zaprzeczam. Mówię jedynie, że wyjazd teraz jest niedogodny i nieprzydatny.
- Nieprzydatnie jest mieć kobiety, Paul. Jesteśmy kosztowne, za dużo pakujemy do walizek, jesteśmy wymagające. Ale podróż ze mną do Hiszpanii nie jest znowu aż takim poświęceniem. Zresztą to był twój pomysł. - Pociągnęła walizkę w kierunku odległego terminalu.

Teraz już miała wystarczające dowody. Była co najmniej jedna kobieta, a może nawet kilka. Niewątpliwie Mindy, instruktorka tańca, była jedną z nich. Na pewno pieprzy się z nią od jakiegoś czasu. To oczywiste, sądząc po tym, jak ona zachowuje się w stosunku do Sylvie. I teraz Paul nie może

znieść myśli o wyjeździe na kilka miesięcy, bo tak się tutaj, w Los Angeles, dobrze urządził.

489

Sylvie od tygodni odsuwała od siebie tę prawdę, ale przecież nie było innego wytłumaczenia jego niechęci do wyjazdu. Nagle zrozumiała coś więcej. Tak naprawdę Paulowi nie chodzi o to, żeby ona zrezygnowała z tej podróży, tylko żeby sama wsiadła do samolotu i poleciała do Madrytu, zostawiając go w Los Angeles. Powiedziałby na lotnisku „Adios”, wrócił do domu i zajął się po kolei swoimi ślicznotkami. Za dzień czy dwa jedna po drugiej wprowadzałyby się do niego i spały na jej połowie łóżka. Ogarniał ją mroczny i beznadziejny nastrój.

Następne godziny będą dla niej trudne. Nie może sprowokować kłótni, bo to dałoby mu pretekst, żeby wypaść stąd jak burza i nie wsiąść do samolotu. Sylvie musi doprowadzić do tego, by poleciał z nią do Hiszpanii. Kiedy już się tam znajdą, ona musi wykazać się stanowczością i podjąć zdecydowane działania, nim on to zrobi. Dla turysty zdobycie w Europie broni w sposób zgodny z prawem prawdopodobnie nie jest możliwe. Są oczywiście noże, ale nie łudziła się, że potrafi nożem uśmiercić Paula. Wyrwałby go jej z ręki i użył przeciwko niej. Pozostaje więc trucizna.

Jeśli chodzi o truciznę, sprawa jest dużo prostsza w Europie niż w kraju. Władze nie bardzo będą się przejmowały tym, co się przydarzyło jakiemuś amerykańskiemu turyście, i nie będą zawracać sobie głowy wykonaniem odpowiednich badań, jeśli nie zażąda tego pogrążona w rozpacz widow. Zostanie pochowany za granicą. Nie, zostanie spopielony. Każe go poddać kremacji.

Paul ją dogonił i otoczył ramieniem w pasie.

- Mówię tylko, że mając te wszystkie pieniądze, tutaj też byśmy się nieźle zabawili.

Spojrzała na niego otwartymi szeroko oczyma i obdarzyła spokojnym, przekonującym uśmiechem.

- Hiszpania to jeden z najbardziej romantycznych krajów na świecie. Obiecuję, że nie dam ci dość czasu, byś zdążył zatęsknić za domem.

490

Paul uśmiechnął się i pocałował ją za uchem.

- Kocham cię - powiedział.

Nie uda mu się jej namówić, by zrezygnowała z tej podróży. Musi polecieć z nią do Hiszpanii i tam wymyślić, jak ją zabić i nie dać się złapać.